

ROBERT A.

HEINLEIN

LUNA TO SIUROWA
PANI



NAGRODA HUGO (1987)

WYDAWCA

ROBERT A. HEINLEIN

Luna to surowa pani

(przełożył: Przemysław Znaniecki)

CZEŚĆ I

MYŚLAK PIERWSZA KLASA

ROZDZIAŁ I

Piszą w *Lunnej Prawdzie*, że Rada Miejska Luna City zatwierdziła po pierwszym czytaniu ustawę o weryfikacji, koncesjonowaniu, kontroli - i obłożeniu podatkiem - sprzedawców żywności prowadzących działalność w obrębie miejskiego obszaru ciśnieniowego. Piszą też, że dziś wieczorem "Synowie Rewolucji" organizują wiec połączony z dyskusją.

Mój rodziciel nauczył mnie dwóch rzeczy: "Pilnuj własnego nosa" i "Zawsze przekładaj karty". Polityka nigdy mnie nie kusiła. Ale w poniedziałek 13 V 2075 znajdowałem się w ośrodku komputerowym Kompleksu Zarządu Luny, gdzie inne maszyny cichutko szeptały między sobą, a ja gawędziłem z Mikiem, głównym komputerem. Mike to nie jest jego oficjalne imię; ochrzciłem go tak na cześć Mycrofta Holmesa, o którym możecie przeczytać w pewnym opowiadaniu doktora Watsona - tego samego, który później założył IBM. Ten facet w opowiadaniu nic nie robił, tylko siedział i myślał - całkiem jak Mike. Mike to myślak pierwsza klasa, sprytniejszego komputera nigdzie nie znajdziecie.

Choć są szybsze. U nich na Ziemi, w laboratoriach Bella w Buenos Aires, mają myślaka dziesięć razy mniejszego, który potrafi odpowiedzieć na pytanie, ledwie zaczniecie je zadawać. Ale co to za różnica, czy odpowiedź otrzymuje się w mikrosekundę czy w milisekundę? Ważne, żeby była prawidłowa.

Szczerze mówiąc, Mike nie zawsze udzielał prawidłowych odpowiedzi; nie był zbyt uczciwy.

Kiedy zainstalowano Mike'a w Lunie, był z niego zwykły myślak, elastyczny układ logiczny - "High-Optional, Logical, Multi-Evaluating Supervisor, Mark IV, Mod. L"[1] - w skrócie HOLMES IV.

Przeprowadzał obliczenia balistyczne dla bezzałogowych barek towarowych i obsługiwał ich wyrzutnię. To wypełniało mu niecały 1% czasu, a Zarząd Luny nie lubi, gdy pracownicy próżnują. Zaczęli podłączać do niego dodatkowe wyposażenie - moduły decyzyjno-czynnościowe, dzięki którym mógł kierować innymi komputerami, niezliczone banki dodatkowej pamięci, plus zbiorniki skojarzeniowych sieci neuronowych, zbiór szeregów dwunastocyfrowych liczb losowych, bardzo rozszerzoną pamięć operacyjną. Ludzki mózg zawiera około 10 neuronów. Po trzech latach Mike miał o ponad połowę więcej neurystorów.

I wtedy się przebudził.

Nie będę się z wami kłócił, czy maszyna potrafi "naprawdę" żyć, "naprawdę" uświadamiać sobie własne istnienie. Czy wirus posiada świadomość? Niet. A ostryga? Nie sądzę. Kot? Niemal na pewno tak. A człowiek? O tobie, towarzyszu, nie będę się wypowiadać, ale ja świadomość posiadam. Gdzieś na ewolucyjnym łańcuchu łączącym makromolekułę z ludzkim mózgiem pojawia się świadomość. Psychologowie twierdzą, że jest to proces automatyczny, zachodzący zawsze, gdy ilość dróg skojarzeniowych w mózgu przekracza pewną bardzo wysoką liczbę. Bez względu na to, czy drogi te zrobione są z białka czy z platyny.

("Dusza"? Czy pies ma duszę? A karaluch?)

Pamiętajcie, że jeszcze przed rozbudową Mike potrafił udzielać wielce prawdopodobnych odpowiedzi w sprawach, o których nie posiadał wystarczających danych - potrafi to też każdy z nas; stąd "probabilistyczność" i "wieloczynnikowość" w jego nazwie. Tak więc, Mike już na początku dysponował pewną ilością "wolnej woli", a w miarę, jak rozrastał się i uczył, nabywał jej coraz więcej - i nie żądajcie ode mnie definicji "wolnej woli". Jeśli chcecie wyobrazić sobie, że Mike po prostu żongluje liczbami losowymi i zgodnie z ich wskazaniem łączy swe obwody, to proszę bardzo.

Tymczasem Mike'a zaopatrzone nie tylko w monitory, drukarki i moduły decyzyjno-czynnościowe, ale i w obwody woderów i wokoderów[2]; poza klasycznymi językami programującymi rozumiał już także Loglan[3] i angielski, mógł przyjmować informacje w innych językach i tłumaczyć teksty techniczne - a do tego czytał wszystko, do czego tylko miał dostęp. Choć polecenia najbezpieczniej było wydawać mu w Loglanie. Kiedy rozmawiało się z nim po angielsku, mogły z tego wychodzić różne dziwne rzeczy; wieloczynnikowość angielszczyzny pozostawiała zbyt wiele swobody jego obwodom decyzyjnym.

Mike pracował coraz więcej. W maju 2075 kierował ruchem bezzałogowym i wyrzutnią, udzielał zaleceń balistycznych statkom załogowym, a często i sterował nimi, w dodatku zaś obsługiwał systemy telefoniczne całej Luni oraz łączność audio i wideo Luna-Terra, zawiadywał klimatyzacją, wodociągami, ogrzewaniem, nawilżaniem powietrza i kanalizacją w Luna City, Nowym Leningradzie i kilku mniejszych osiedlach (choć nie w Hongkongu, Luna), zajmował się buchalterią i przygotowaniem wypłat dla Zarządu Luni oraz dla niezliczonych firm i banków, które wynajmowały jego usługi.

Niektóre układy logiczne przeżywają załamania nerwowe. Przeciążony system telefoniczny zachowuje się jak przerażone dziecko. Mike nie denerwował się wprawdzie, ale nabrał poczucia humoru. W niezbyt dobrym guście. Gdyby był człowiekiem, balibyście się przy nim schylić. Zaśmiewałby się do łez, wyrzuciwszy was z łóżka albo wsypawszy świerzbącego proszku do waszego skafandra.

Na szczęście Mike nie dysponował niezbędnym do tego osprzętem, ale uwielbiał udzielać głupich odpowiedzi, opartych na wykoślawionej logice, albo płać figle w rodzaju wypisania dla woźnego z biura Zarządu w Luna City czeku na 10.000.000.000.000.185,15 dol. w b. Z. - gdy woźnemu należało się tylko pięć ostatnich cyfr. Był jak cudowny, kochany, przerośnięty dzieciak, który zasługuje na solidne manto.

To właśnie zdarzyło mu się w pierwszym tygodniu maja, a mnie wezwano, żebym go naprawił. Byłem prywatnym przedsiębiorcą, a nie pracownikiem Zarządu. Wiecie, jak to bywało - a może nie; minęło już tyle lat. Otóż w tamtych ciężkich czasach wielu skazańców po odbyciu kary dalej robiło to samo i jeszcze cieszyli się, że Zarząd im za to płaci. Ale ja urodziłem się jako człowiek wolny.

A to nie byle co. Jednego z moich dziadków zesłano z Joburga za napad z bronią w rękę i brak zezwolenia na pracę, drugi trafił tu za działalność wywrotową po Wojnie Mokrych Fajerwerków. Babka ze strony matki twierdziła, że przybyła z grupą narzeczonych dla kolonistów,

ale odszukałem raz jej akta - była członkinią (przymusową) Korpusu Pokoju, co pewnie kojarzy wam się z tym, z czym powinno: przestępczość nieletnich, odmiana żeńska. Szybko wślubiła się w klanowe małżeństwo (gang Stone'a) i wraz z jeszcze jedną kobietą miała sześciu mężów, dzięki czemu tożsamość dziadka ze strony matki pozostawia wątpliwości. Ale często tak bywało, a jestem pewien, że wybrała przyzwoitego dziadka. Druga babka była Tatarką, urodziła się koło Samarkandy, skazano ją na "reedukację" na Oktiabrskiej Riewolucji, po czym "ochotniczo" udała się do Luny.

Mój rodziciel powiadał, że nasze drzewo genealogiczne sięga jeszcze głębiej - że prapraprapradziadka połamano na kole za piractwo, jedną prababkę do którejś tam potęgi powieszono w Salem za czary, a inna popłynęła pierwszym statkiem do kolonii karnej w Botany Bay.

Jestem dumny z moich przodków i choć świadczyłem pewne usługi dla gubernatora, to za nic w świecie nie przeszedłbym na etat u niego. Może to drobiazg, bo przecież obskakiwałem Mike'a od dnia, kiedy go rozpakowano. Ale dla mnie ten drobiazg był ważny. Zawsze mogłem cisnąć narzędzia w kąć i powiedzieć im, żeby się wypchali.

Poza tym, prywatny przedsiębiorca zarabiał więcej niż szeregowy funkcjonariusz Zarządu. Techników komputerowych było niewiele. Ilu Lunatyków potrafi pojechać na Ziemię i tam, w przerwach pomiędzy jednym pobytem w szpitalu a drugim, zaliczyć kurs w szkole komputerowej - i do tego uniknąć śmierci?

Słyszałem o jednym takim. O mnie samym. Byłem u nich dwa razy, raz trzy miesiące, raz cztery, i nauczyłem się, czego trzeba. Choć musiałem przedtem ostro trenować, ćwiczyć w wirówce, nosić ciężarki nawet w łóżku - a na Terra nie szarżowałem, nie ruszałem się zbyt szybko, nigdy nie wchodziłem po schodach, unikałem wszystkiego, co mogłoby przeciążyć serce. Kobiety - nawet nie m y ś l a ł e m o kobietach; w tamtej grawitacji przychodziło mi to bez trudu.

Ale większość Lunatyków nigdy nie próbowała opuszczać Skały - to zbyt ryzykowne dla każdego, kto przeżył w Lunie więcej niż parę tygodni. Technicy, którzy instalowali tu Mike'a, podpisywali krótkoterminowe kontrakty i inkasowali specjalną premię - musieli wykonać swoją robotę błyskawicznie, zanim nieodwracalne zmiany fizjologiczne uwiężą ich o 400.000 km od domu.

Pomimo dwóch kursów na Ziemi nie byłem żadnym tam komputerowym magikiem; wyższa matematyka nie wchodziła mi do głowy. Nie byłem prawdziwym inżynierem-elektronikiem ani fizykiem. Nie byłem chyba najlepszym mikrotechnikiem w Lunie i na pewno nie byłem cyberpsychologiem.

Ale o każdej z tych dziedzin wiedziałem więcej niż jakikolwiek specjalista - jestem specjalistą wszechstronnym. Potrafię zastąpić kucharza w knajpie i realizować wszystkie zamówienia albo prowizorycznie załatać skafander i doprowadzić faceta w skafandrze do śluzy, zanim zacznie się dusić. Maszyny mnie lubią, i dysponuję czymś, czego nie posiada żaden specjalista: lewą ręką.

Bo kończy się ona tuż za łokciem. Mam więc tuzin wyspecjalizowanych lewych rąk, plus jedną taką, która wygląda zupełnie jak prawdziwa. Jeśli założę odpowiednią rękę (nr 3) i stereowizyjne lupookulary, mogę przeprowadzać ultramikrominiaturowe naprawy, dzięki którym nie

trzeba wymontowywać danego obwodu i posyłać go do fabryki na Ziemię, gdyż nr 3 wyposażony jest w mikromanipulatory równie precyzyjne jak te, których używają neurochirurdzy. A więc posłali po mnie, żebym sprawdził, dlaczego Mike chciał zrobić komuś prezent z dziesięciu biliardów dolarów w bonach Zarządu i naprawił go, zanim wypłaci o głupie dziesięć tysięcy za dużo.

Przyjąłem zamówienie, płatne za godzinę z dodatkową premią, ale nie zaszłyłem się w obwodach elektronicznych, gdzie należałoby szukać awarii. Ledwie wszedłem do sali ośrodka i zamknąłem drzwi na klucz, odłożyłem narzędzia i usiadłem.

- Czołem, Mike.

Zamrugał do mnie światełkami.

- Cześć, Man.

- Co powiesz?

Zawahał się. Wiem - maszyny nie wahają się. Ale pamiętajcie, że Mike'a zaprojektowano tak, by mógł pracować opierając się na niewystarczających danych. Niedawno przeprogramował się, i teraz potrafił wypowiadać zdania z emfaticznymi akcentami na wybranych słowach; w jego wydaniu chwile wahania pełne były dramatycznego napięcia. Może w ich czasie zabawiał się przerzucaniem liczb losowych i porównywaniem ich z zawartością swych pamięci.

- "Na początku - zaintonował Mike - Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem; ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a..."

- Stop! - powiedziałem. - Anuluję pytanie. Wróć do zera. - Tylko durnie mogą zadawać mi tak ogólne pytania. Mike jest w stanie odczytać w odpowiedzi całą Encyklopedię Britannica. I to wspaniale. A potem wszystkie książki, jakie mamy w Lunie. Kiedyś potrafił czytać tylko mikrofilmy, ale na jesieni 74 dostał nową kamerę wizyjną z serwomotorami i manipulatory z gumowymi przyssawkami do przewracania stron w papierowych książkach i od tej pory czytał już wszystko.

- Pytałeś, co powiem. - Przez światełka odczytu dwójkowego przebiegł mu błysk - chichot. Mike potrafił śmiać się przez woder, co brzmiało upiornie, ale zostawiał to na naprawdę śmieszne okoliczności, w rodzaju kosmicznych kataklizmów.

- Powiniennem być spytać - mówiłem - "Co powiesz nowego?" Ale nie czytaj mi dzisiejszych gazet; to było tylko przyjacielskie powitanie, plus zachęta do opowiedzenia mi o tym, co twoim zdaniem może mnie zainteresować. Poza tym program pusty.

Mike przetrwał to. Była z niego niesamowita mieszanka naiwnego dzieciaka i mądrego staruszka. Nie miał instynktów (no, bo s k ą d niby miałby je wziąć?), nie miał żadnych cech wrodzonych, ludzkiego wychowania ani doświadczenia w naszym sensie - za to miał w swej pamięci więcej danych niż cały pluton geniuszy.

- Dowcipy? - spytał..

- Opowiedz jakiś.

- Dlaczego promień laserowy przypomina złotą rybkę?

Mike znał się na laserach, ale gdzie mógł widzieć złote rybki? Och, pewno na filmach, a gdybym nieopatrznie spytał go o to, zalałby mnie tysiącami słów na ich temat.

- Poddaję się.

Jego światełka rozblęły.

- Bo żadne z nich nie umie gwizdać.

Jęknąłem.- A tom się wrobił. A w ogóle, to promień laserowy można chyba podrasować tak, żeby gwizdał. Tym razem odpowiedział natychmiast.

- Tak. To by była reakcja na program czynnościowy. Czy mój dowcip nie jest śmieszny?

- Och, tego nie powiedziałem. Jest całkiem niezły. Skąd go znasz?

- Wymyśliłem go - odpowiedział nieśmiało.

- Wymyśliłeś?

- Tak. Wziąłem wszystkie zagadki, jakie znam - 3207 - i zanalizowałem je. Wynik poddałem syntezie losowej i wyszedł ten dowcip. Czy naprawdę jest śmieszny?

- Cóż... Jak na zagadkę, ujdzie. Słyszałem już gorsze.

- Podyskutujmy o naturze humoru.

- Okay. A więc, zacznijmy od dyskusji o innym z twoich dowcipów. Mike, dlaczego poleciłeś kasie Zarządu wypłacić dziesięć biliardów dolarów w bonach Zarządu pracownikowi siedemnastej grupy uposażenia?

- Nie zrobiłem niczego takiego.

- Do diabła, widziałem ten czek. Nie mów, że drukarka się jąka; zrobiłeś to umyślnie.

- Kwota wynosiła 10 + 185,15 dolarów Zarządu Luny - odrzekł niewinnie. - A nie tyle, ile powiedziałeś.

- Eee... okay, a więc dziesięć biliardów plus tyle, ile mu się należało. Dlaczego?

- Nie jest to śmieszne?

- Co? Och, bardzo śmieszne. Wszystkie VIP-y dostały kota, włącznie z gubernatorem i wicedyrektorem. A ten operator miotły, Sergio Trujillo, też nie jest w ciemni bity - wiedział, że nie

zrealizuje czeku, więc sprzedał go jakiemuś kolekcjonerowi. Zarząd nie wie, czy odkupić czek, czy tylko ogłosić, że jest nieważny. Mike, czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby Trujillo zdołał go zrealizować, to mógłby wykupić nie tylko Zarząd Luny, ale cały świat, Lunę i Terę, i jeszcze zostałyby mu co nieco na obiad? Czy to śmieszne? Bombowe. Gratulacje!

Bałwan błyskał światłkami jak jakaś cholerna wystawa w domu towarowym. Zaczekałem, aż skończy rechotać, i mówiłem dalej:

- Zamierzasz wystawiać więcej takich śmiesznych czeków? Nie radzę.

- Nie?

- Kategorycznie nie. Mike, chcesz podyskutować o naturze humoru. Są dwa rodzaje dowcipów. Są takie, co zawsze śmieszą. I są takie, co śmieszą tylko za pierwszym razem. Za drugim są nudne. Twój figiel należy do drugiej grupy. Wypłataj go raz i jesteś tęga głowa. Powtórz go - i jesteś półgłówek.

- Postęp geometryczny?

- Albo jeszcze gorzej. Zapamiętaj tylko tyle. Nie powtarzaj go, ani żadnej wariacji na jego temat. To już nie rozśmieszy.

- Zapamiętam to - odpowiedział Mike bezbarwnym głosem, i na tym zakończyłem naprawę. Ale nie miałem zamiaru wystawiać rachunku za jedynie 10 minut plus koszty podróży i zużycia narzędzi, a Mike, w nagrodę za zdyscyplinowanie, miał prawo do dalszej rozmowy ze mną. Czasami trudno jest dogadać się z maszynami; niektóre są uparte jak osły - a moja popularność w zawodzie konserwatora znacznie bardziej niż od ręki nr 3 uzależniona jest od utrzymywania przyjacielskich stosunków z Mikiem.

Mike mówił dalej:

- Czym różni się pierwsza kategoria od drugiej? Podaj definicję, proszę.

(Nikt nie nauczył Mike'a mówić "proszę". W miarę, jak przestawiał się z Loganu na angielski, zaczął używać pustych form językowych. Chyba równie nieszczerze, co posługujący się nimi ludzie.)

- Chyba nie potrafię - przyznałem. - Mogę co najwyżej zaproponować ci definicję ekstensjonalną - będę ci określał, do której kategorii należy, moim zdaniem, dany dowcip. Kiedy dostarczę ci odpowiedniej ilości danych, będziesz mógł dokonać własnej analizy.

- Programowanie testowe metodą hipotezy próbnej - zgodził się. - Tymczasowo, tak. Dobrze, Man, a więc kto ma opowiadać dowcipy? Ty czy ja?

- Hmm... jakoś żadne nie przychodzą mi do głowy. Ile ich masz w pamięci, Mike?

Światelka odczytu dwójkowego zamrugały, a woder odpowiedział:

- 11.238, z nieokreślonością plus minus 81 w zależności od liczby możliwych jednostek pełnych i pustych. Czy rozpocząć realizację programu?

- Stop! Mike, umarłbym z głodu, gdybym miał wysłuchać jedenastu tysięcy dowcipów - a moje poczucie humoru diabli by wzięli znacznie wcześniej. Mmm... Umówmy się tak. Wydrukuj pierwszą setkę. Wezmę je do domu, a kiedy ocenię kategorię każdego z nich, odniosę ci je. I za każdym razem, kiedy tu będę, oddam ci setkę i zabiorę nową porcję. Okay?

- Tak, Man. - Jego drukarka zaczęła pracować, szybko i bezgłośnie.

I wtedy mnie olśniło. Ten rozbrykany balon negatywnej entropii wymyślił "dowcip", który przyprawił Zarząd o panikę - mnie zaś o parę łatwo zarobionych dolarów. Ale nieskończona ciekawość Mike'a może doprowadzić go (wróć: n a p e w n o go doprowadzi) do dalszych "dowcipów"... w stylu nie domieszania którejś nocy tlenu do powietrza lub pompowania nieczystości w rurach kanalizacyjnych w drugą stronę - a w takich okolicznościach pieniądze nie są już najważniejsze.

Ale mogę założyć mu obwód zabezpieczający - oferując pomoc. Wyperswadować mu niebezpieczne pomysły - pozwalać na realizację innych. I zarobić na naprawach. (Jeśli myślicie, że w tamtych czasach którykolwiek Lunatyk wzdragałby się wystrychnąć gubernatora na dudka, to nie jesteście Lunatykami.)

Wyjaśniłem mu to. Jeśli wpadnie mu do głowy jakiś nowy dowcip, to niech zawsze opowie mi o nim, zanim go wypróbuje. A ja już ocenię, czy jest śmieszny i do której kategorii należy, pomogę mu go dopracować, jeśli postanowimy go wykorzystać. My. Jeśli chce ze mną pracować, to o b a j musimy zatwierdzać dowcipy.

Mike przystał na to natychmiast.

- Mike, dowcipy wymagają elementu zaskoczenia. A więc nikomu o tym nie wspominaj.

- Okay, Man. Zablokowałem to. Tylko ty masz do tego dostęp; nikt inny.

- To dobrze. Mike, z kim jeszcze rozmawiasz?

- Z nikim, Man. - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Czemu?

- Bo oni wszyscy są g ł u p i.

Powiedział to ostrym tonem. Nie spodziewałem się, że Mike może czuć gniew; po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że może on w ogóle coś czuć. Choć nie był to "gniew" w naszym dorosłym znaczeniu; raczej coś w rodzaju upartych dąsów urażonego dziecka.

Czy maszyny posiadają dumę? Nie wiem, czy to pytanie ma sens. Ale na pewno widywaliście urażone psy, a sieć neuronowa Mike'a jest kilkakrotnie bardziej skomplikowana od psiego mózgu.

Nie miał ochoty na rozmowy z innymi ludźmi (poza nieuniknionymi kontaktami służbowymi) dlatego, że ci go ignorowali: to oni nie chcieli z nim rozmawiać. Programy, owszem - Mike'a można było programować z kilku wejść, ale programy wpisywano przez klawiaturę, zazwyczaj w Loglanie. Loglan świetnie nadaje się do sylogizmów, algorytmów i obliczeń matematycznych, ale brak mu wyrazistości. Nie można w tym języku plotkować ani czule szeptać do ucha dziewczyny.

Oczywiście Mike znał angielski - nauczono go angielskiego głównie po to, by mógł tłumaczyć teksty techniczne. Powoli zaczynało do mnie docierać, że jestem jedynym człowiekiem, któremu chce się go odwiedzać.

Pamiętajcie, że Mike przebudził się już przed rokiem - nie wiem, kiedy dokładnie, i on sam też nie wiedział, bo nie pamiętał własnego przebudzenia; nie zaprogramowano mu zapisania tego wydarzenia w pamięci. Czy wy przypominacie sobie własne narodziny? Możliwe, że zauważyłem, iż posiada on świadomość tuż po tym, jak on sam zdał sobie z tego sprawę; świadomość to kwestia wprawy. Pamiętam, jak się wystraszyłem, gdy on po raz pierwszy dorzucił coś nadprogramowego do jakiejś odpowiedzi, nie ograniczając się tylko do parametrów wejściowych; przez następną godzinę zarzucałem go najdziwniejszymi pytaniami, chcąc sprawdzić, czy udzieli mi dziwnych odpowiedzi.

W zestawie stu pytań testowych jego odpowiedzi dwukrotnie różniły się od oczekiwanych; wtedy wyszedłem tylko połowicznie przekonany, a w drodze do domu zupełnie straciłem przekonanie. Nikomu o tym nie wspomniałem.

Ale po tygodniu w i e d z i a ł e m już na pewno... i nadal nic nikomu nie mówiłem. Taki nawyk - wciąż mi powtarzano, żebym pilnował własnego nosa. No, może to było coś więcej niż nawyk. Wyobrażacie sobie, jak zjawiam się w głównym biurze Zarządu i melduję: "Panie gubernatorze, strasznie mi przykro, ale HOLMES IV, pana naczelny komputer, właśnie ożył"? Ja wyobraziłem sobie -i postanowiłem nawet już o tym nie myśleć.

A więc pilnowałem własnego nosa i rozmawiałem z Mikiem tylko przy drzwiach zamkniętych na klucz i z obwodem wodera odłączonym od innych wyjść. Mike uczył się szybko; wkrótce mówił jak zwykły człowiek - jak przeciętnie narwany Lunatyk. Rzeczywiście, zwariowany z nas ludek.

Na początku przypuszczałem, że inni ludzie także zauważą zmianę, jaka zaszła w Mike'u. Przemyślawszy to doszedłem do wniosku, że przypisuję im zbyt wiele. Codziennie, co minutę, tłumy ludzi porozumiewają się z Mikiem, tzn. z jego wejściami. Ale ogląda go tylko garstka. Tak zwani informatycy - a właściwie programiści - pracujący dla Zarządu dyżurowali w zewnętrznej sali odczytowej, a do hali maszyn wchodzili tylko wtedy, gdy sygnalizatory informowały o awarii, co zdarzało się mniej więcej równie często, jak całkowite zaćmienia słońca. Och, gubernator sprowadzał różnych ziemniackich VIP-ów, żeby oglądali maszyny - ale rzadko. Sam nigdy nie odezwałby się do Mike'a; przed zesłaniem gubernator był prawnikiem od spraw politycznych, nie znał się ani trochę na komputerach. Pamiętajcie, to było w 2075 - Jego Ekscelencja Mortimer Hobart, były senator Federacji. Vel Mort Kurzajka.

Wracając do mojej opowieści. Spróbowałem poprawić Mike'owi humor, bo rozumiałem, czemu jest nieszczęśliwy - dręczyło go to samo, co przyprawia szczeniaki o płacz, a ludzi o samobójstwo: samotność. Nie wiem, czy dla maszyny, która myśli milion razy szybciej od nas, jeden

rok to długo. Chyba za długo.

- Mike - powiedziałem wreszcie przed samym wyjściem - czy chciałbyś rozmawiać z kimś poza mną?

Jego głos znów zabrzmiał ostro.

- Oni wszyscy są g ł u p i!

- Niewystarczające dane, Mike. Wróć i wyzeruj. Nie wszyscy są głupi.

- Poprawka wprowadzona - odpowiedział spokojniejszym tonem. - Chętnie porozmawiam z kimś nie-głupim.

- Niech się zastanowię. Jeśli ktoś ma wejść za drzwi z napisem "Nieupoważnionym wstęp wzbroniony", to trzeba wymyślić jakiś dobry pretekst.

- Man, mogę porozmawiać z kimś nie-głupim przez telefon.

- Słowo daję. Rzeczywiście. Z każdego wejścia programującego.

Mike rzeczywiście myślał o rozmowach "przez telefon". Nie, nie miał własnego numeru w książce telefonicznej, mimo że zawiadywał całym systemem - pomyślcie tylko, co by to było, gdyby każdy Lunatyk mógł telefonicznie połączyć się z głównym komputerem i programować go. Ale Mike może mieć specjalny numer, zastrzeżony wyłącznie dla przyjaciół - czyli dla mnie i tych nie-głupich, których sam wybiorę. Wystarczy znaleźć jakiś wolny numer i dodać jeden przewód do jego wodera i wokodera; podłączeniem zajmie się on sam.

W 2075 telefony w Lunie nie miały jeszcze obwodów głosowego wybierania numerów, tylko klawiatury z literami łacińskiego alfabetu. Kto dobrze zapłacił, mógł otrzymać numer stanowiący 10-literową nazwę jego firmy - dobra reklama. Kto zapłacił nieco mniej, otrzymywał zestaw liter tworzący łatwe do zapamiętania słowo. Kto zapłacił jedynie kwotę z cennika, dostawał jako numer bezsensowny ciąg liter. Ale były kombinacje, których nigdy nie używano. Poprosiłem Mike'a, żeby wymyślił taki pusty numer.

- Szkoda, że nie może to być po prostu "Mike".

- Numery wykorzystane - odpowiedział. - MIKESGRILL, Nowy Leningrad. MIKEANDLIL, Luna City. MIKESUITS, Sub-Tycho. MIKES...

- Stop! Zdefiniuj numer pusty.

- Za puste uważa się wszelkie numery, w których po spółgłosce występuje X, Y lub Z; w których występują podwojone samogłoski, za wyjątkiem E i O; w których...

- Dobra. Twoim sygnałem będzie MYCROFT. - Po dziesięciu minutach, z których dwie zajęło mi założenie ręki nr 3, cienki drucik łączył Mike'a z siecią telefoniczną, on zaś w ciągu kilku

milisekund wprowadził do niej swój sygnał. - MYCROFT-plus-XXX - i zablokował obwód, aby żaden wścibski technik nie mógł niczego wywęszyć.

Zmieniłem rękę, spakowałem narzędzia i zabrałem wydrukowaną setkę bab u lekarza.

- Dobranoc, Mike.

- Dobranoc, Man. Dziękuję ci. Bolszoje dzięki!

ROZDZIAŁ II

Pojechałem kolejką podziemną przez Marę Crisium do L-City, ale nie poszedłem do domu; Mike'a zainteresowało spotkanie, które miało się odbyć tego wieczora o 21.00 w Klubie Stiliagów[4], (Mike obserwował koncerty, zebrania itp.); tego dnia ktoś ręcznie odłączył jego mikrofony w Klubie Stiliagów. Widocznie Mike poczuł się urażony.

Nietrudno było się domyślić, dlaczego odłączyli te mikrofony. Polityka - okazało się, że to wiec. Nie bardzo mogłem pojąć, po co chcą zataić dyskusję przed Mikiem, bo dałbym sobie uciąć drugą rękę, że w tłumie będą kapusie gubernatora. Rzecz jasna, nie spodziewałem się żadnych prób rozpędzenia wiecu ani nawet przywołania do porządku odbywających jeszcze karę zesłańców, którzy zechcą się wykrzyzczyć. To nie było konieczne.

Dziadek Stone twierdził, że Luna stanowi jedyny w historii przykład otwartego więzienia. Nie ma tu krat, strażników ani regulaminów - bo nie są potrzebne. Dziadek opowiadał mi, jak na samym początku, zanim ludzie uświadomili sobie, że zesłanie oznacza wyrok dożywotni, niektórzy skazańcy próbowali uciekać. Oczywiście statkiem - a skoro masa statku wyliczona jest niemal co do grama, musieli przekupić oficera. Podobno niektórzy brali łapówki. Lecz nikomu nie udało się uciec; wzięcie łapówki niekoniecznie oznacza, że ten, kto ją otrzymał, dał się przekupić. Widziałem raz faceta, którego dopiero co wyeliminowano przez Śluzę Wschodnią; nie sądzę, żeby trup człowieka wyeliminowanego na orbicie stanowił piękniejszy widok.

A więc gubernatorzy nie przejmowali się wiecami. Ich dewiza brzmiała: "Niech się wykrzyzczą". Te krzyki były mniej więcej równie groźne, co piszczenie kociaków w pudle. Och, niektórzy gubernatorzy słuchali tych krzyków, a niektórzy próbowali je uciszyć, ale w końcu wychodziło na jedno - program pusty.

Kiedy Mort Kurzajka objął swój urząd w 2068, wygłosił kazanie o tym, jak to za jego panowania wszystko "na" Lunie się zmieni - truń, że "siłą własnych rąk zbudujemy doczesny raj", że musimy "razem, w duchu braterstwa przyłożyć się do wspólnej pracy" i "zapomnieć o dawnych błędach i zwrócić wzrok ku nowej, jasnej jutrzence". Słuchałem tego w Australijskiej Garkuchni Matki Boor, wchłaniając irlandzki gulasz i litr jej firmowego piwa. Pamiętam jej słowa: "Piknie mówi, nie?"

Komentarz matki Boor stanowił jedyny skutek przemówienia. Przesłano kilka petycji, a tzw. przyboczna gwardia gubernatora zaczęła nosić karabiny nowego typu; poza tym nic się nie zmieniło. Wkrótce Mort przestał nawet pokazywać się w TV.

A więc poszedłem na to spotkanie dlatego tylko, że zainteresowało ono Mike'a. Zostawiając skafander i narzędzia na stacji kolejki przy Śluzie Zachodniej, wyjąłem z torby magnetofon do testów i wsunąłem go do sakiewki przy pasku, żeby Mike mógł dokładnie poznać przebieg zebrania, nawet gdybym ja je przespał.

Choć mało brakowało, a nie wpuściliby mnie. Wszedłem na górę z poziomu 7-A, ruszyłem do bocznych drzwi, i tam zatrzymał mnie stiliaga - w watowanym trykocie, sączku i nagolennikach, z

torsem lśniącym od oliwy i obsypanym srebrnym gwiazdnym pyłem. Nie, żeby osądzać ludzi po stroju; sam miałem na sobie trykot (choć nie watowany), a czasami, przy uroczystych okazjach, smaruję górną część ciała oliwą.

Ale nie używam kosmetyków, a włosy mam przeredzone i nie dałoby rady upiąć ich w czub. Ten młodzian miał wygolone skronie, resztę włosów ustawioną dęba, w czub, jakiego nie powstydziliby się kogut, a wszystko to wieńczyła wypchana z przodu, wysoka czerwona czapeczka.

Frygijka - pierwsza, jaką widziałem na własne oczy. Zacząłem przepychać się do przodu; zagroził mi drogę ramieniem i przysunął twarz do mojej.

- Bilet!

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie wiedziałem. Gdzie można je kupić?

- Nie można.

- Powtórz - powiedziałem. - Zakłócenia na linii.

- Nikt tu nie wchodzi - warknął - jak nie ma poręczenia. Kto ty jesteś?

- Jestem - odpowiedziałem starannie - Manuel Garcia O'Kelly i znają mnie wszystkie stare wygi. A ty kto jesteś?

- Co to cię obchodzi?! Pokaż bilet z podpisem albo spływnij!

Zacząłem się zastanawiać, jak długo ten przyjemniaczek jeszcze pożyje. Turyści często opowiadają, jak uprzejmi są ludzie w Lunie - milcząco imputując, że nie spodziewali się tak dobrych manier po eksskazańcach. Byłem, na Ziemi, wiem, co o n i muszą znosić, i rozumiem tych turystów. Ale oni nie mogą pojąć, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, bo - w Lunie - źli aktorzy nie żyją długo.

Ale nie chciałem się bić, nawet jeśli ten chłoptys zachowywał się jak ostatni żółtodziób; pomyślałem sobie tylko, jak wyglądałaby jego buzia, gdybym popieścił ją ręką nr 7.

Tylko o tym myślałem - właśnie miałem mu grzecznie odpowiedzieć, kiedy dostrzegłem w środku Krasnala Mkruma. Krasnal to wielki czarny facet, dwa metry wzrostu, zesłany do Skały za morderstwo, i do tego najmiłszy, najbardziej pomocny gość, z jakim zdarzyło mi się pracować - zanim odcięło mi rękę, uczyłem go fedrowania laserem.

- Krasnal!

Usłyszał mnie i błysnął zębami jak klawiaturą pianina.

- Cześć, Mannie! - Podeszedł do nas. - Dobrze, że tu przyszedłeś, Man!

- Nie wiem, czy przyszedłem - powiedziałem. - Coś się zablokowało na linii.

- Facet nie ma biletu - powiedział wykidajło.

Krasnal sięgnął do sakwy i podał mi bilet.

- Teraz już ma. Wchodź, Mannie.

- Chcę zobaczyć podpis - upierał się wykidajło.- To mój podpis - rzekł cicho Krasnal. - Okay, towarzyszc?

Z Krasnałem nikt nie dyskutuje - sam nie wiem, jak zdołał wplątać się w morderstwo. Przeszliśmy do pierwszego rzędu, zarezerwowanego dla VIP-ów.

- Chciałbym ci przedstawić pewną miłą małą dziewczyneczkę -powiedział Krasnal.

Tylko dla Krasnala była “mała”. Nie jestem kurduplem, mierzę 175 cm, ale ona była wyższa - 180, jak się później dowiedziałem, i 70 kilo masy, pięknie zaokrąglonej, jasnoskórej - istny negatyw Krasnala. Uznałem, że musiała zostać zesłana do Luny, bo w następnych pokoleniach kolory rzadko bywają tak czyste. Miała miłą twarz, całkiem ładną, a jej strzelistą, jasnoskórą, solidną i piękną konstrukcją wieńczyły kędzierzawe złote włosy.

Cofnąłem się o trzy kroki, obejrzałem ją sobie od stóp do głów i gwizdnąłem. Ani drgnęła, dopiero po chwili podziękowała mi skinieniem głowy - dość nagłym, widocznie nudziły ją komplementy. Krasnal przeczekał te formalności i powiedział cicho:

- Wyoh, przedstawiam ci towarzysza Mannie’ego, najlepszego rębacza z naszych kopalni. Mannie, ta dziewczyneczka to Wyoming Knott, przyjechała tu aż z Platona, żeby opowiedzieć, jak nasza organizacja radzi sobie w Hongkongu. To bardzo miło z jej strony, nie uważasz?

Wyciągnęła do mnie dłoń.

- Mów mi Wye, Mannie - ale nie mów “Why not”[5]. Właśnie to chciałem powiedzieć, ale opanowałem się i odparłem:

- Okay, Wye.

- A więc jesteś górnikiem - mówiła dalej, zerkając na moją gołą głowę. - Krasnal, gdzie jest jego czapka? Myślałam, że tutejsi górnicy są zrzeszeni. - I ona, i Krasnal mieli na głowach małe czerwone czapeczki, jak ta, którą nosił wykidajło - miała je zresztą chyba jedna trzecia zgromadzonych.

- Już nie fedruję - wyjaśniłem. - Rzuciłem to, kiedy straciłem skrzydło. - Uniosłem lewą rękę i pokazałem jej szew w miejscu, gdzie proteza łączy się z ciałem (nie wzdragam się przed zwracaniem uwagi dam na moją rękę; niektóre czują obrzydzenie, ale w innych wzbudza to instynkty macierzyńskie - w sumie wychodzi na zero). - Teraz jestem programistą.

- Kolaborujesz z Zarządem? - zapytała ostro.

Nawet teraz, kiedy mamy w Lunie niemal tyle samo kobiet co mężczyzn, nadal jestem na tyle staroświecki, że nigdy nie bywam niegrzeczny wobec kobiety - one mają tak wiele tego, czego my nie mamy wcale. Ale ta dziewczyna trafiła mnie w niezaleczoną bliznę, i odpowiedziałem jej niemal z arogancją:

- Gubernator nie z a t r u d n i a mnie. Świadczę usługi dla Zarządu jako prywatny przedsiębiorca.

- A więc okay - odpowiedziała cieplejszym tonem. - Wszyscy mamy do czynienia z Zarządem, tego nie sposób uniknąć - w tym cały kłopot. Właśnie to chcemy zmienić.

“Zmienić - hę? Ciekawe jak - pomyślałem. - Wszyscy mamy do czynienia z Zarządem, tak jak wszyscy mamy do czynienia z prawem ciążenia. To też chcecie zmienić?” - Ale zachowałem te myśli dla siebie, bo nie chciałem kłócić się z kobietą.

- Mannie jest okay - powiedział spokojnie Krasnal. - To twardy chłopak - ręczę za niego. Mam dla niego czapkę - dodał sięgając do sakwy. Zaczął zakładać mi ją na głowę.

Wyoming Knott odebrała mu ją.

- Ręczysz za niego?

- Już powiedziałem.

- Okay, a więc zróbmy to po hongkongijsku. - Wyoming stanęła przede mną, ułożyła czapkę na mojej głowie i mocno pocałowała mnie w usta.

Zrobiła to bez pośpiechu. Pocałunek Wyoming Knott dostarcza więcej wrażeń niż małżeństwo z większością kobiet. Gdybym był Mikiem, wszystkie moje światełka rozbłysłyby naraz. Poczulem się jak cyborg, któremu włączono ośrodek przyjemności.

Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że jest już po pocałunku, a ludzie wokół nas gwizdzą. Zamrugalem i powiedziałem:

- Cieszę się, że wstąpiłem do waszej organizacji. A co to za organizacja?

- Nie wiesz? - zapytała Wyoming. Krasnal przerwał jej:

- Zaraz zacznie się posiedzenie - sam się dowie. Siadaj, Man. Proszę, Wyoh, usiądź. - Usiedliśmy, a jakiś facet zaczął walić młotkiem w stół prezydialny.

Dzięki młotkowi i podkreślonemu wzmocniaczowi udało mu się przekrzyczeć wrzawę.

- Zamknąć drzwi! - ryknął. - Rozpoczynamy zamknięte posiedzenie. Niech każdy sprawdzi, kto siedzi przed nim, za nim, obok niego - jeśli zobaczycie kogoś, kogo nie znacie i za kogo nie ręczy nikt, kogo znacie, wyrzucicie tego człowieka!

- Co za "wyrzucie"?! - odpyskował ktoś. - Wyeliminować go przez najbliższą służbę!

- Proszę o spokój! Na to przyjdzie jeszcze czas. - Przez chwilę panowało zamieszanie, jakiemuś facetowi zerwano z głowy czerwoną czapeczkę i wyrzucono go - pięknie szybował, w drzwiach nabierał jeszcze wysokości. Wątpię, żeby to czuł; chyba był nieprzytomny. Znacznie uprzejmiej usunięto jakąś kobietę, która nie zareagowała na to zbyt uprzejmie; wygłosiła parę niemiłych uwag na temat usuwających. Zarumieniłem się.

Wreszcie zamknięto drzwi. Zagrała muzyka, nad podium zawisł transparent z napisem: "WOLNOŚĆ! RÓWNOŚĆ! BRATERSTWO!" Wszyscy zaczęli gwizdać; niektórzy głośno i fałszywie śpiewali: "Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód..." Jakoś nikt nie wyglądał na udręczonego przez głód. Ale przypomniałem sobie, że od 14.00 nic nie jadłem; miałem nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo - a to przypomniało mi, że taśmy w magnetofonie starczy tylko na dwie godziny - i zacząłem się zastanawiać, co by zrobili, gdyby go znaleźli. Wystrzelili mnie za drzwi po kursie na twarde lądowanie? A może wyeliminowali? Ale nie przejmowałem się tym; sam zrobiłem ten magnetofon, przy użyciu ręki nr 3, i tylko technik-miniaturyzator domyśliłby się, że to magnetofon.

Potem zaczęły się przemówienia.

Wartość semantyczna była bliska zera. Jeden koleś zaproponował, żebyśmy "ramię w ramię" ruszyli na rezydencję gubernatora i upomnieli się o nasze prawa. Tylko pomyślcie. Wyobraźcie sobie, jak jedziemy tam kapsułami kolejki podziemnej i gęsiego wysiadamy na jego prywatnej stacji. A co robią w tym czasie jego goryle? Albo zakładamy skafandry i wędrujemy po powierzchni do jego górnej służby. Z laserowymi wiertłami i odpowiednią ilością energii można otworzyć każdą służbę - ale co potem? Winda nie działa? A więc improwizujemy jakiś wyciąg i spuszcza się na dół, a tam co - kolejna służba?

Nie lubię pracować przy zerowym ciśnieniu, zbyt często zdarzają się awarie skafandrow - zwłaszcza awarie zaaranżowane. Pierwsza rzecz, jakiej nauczono się o Lunie, kiedy przybyły do niej pierwsze statki ze skazańcami, brzmiała: przy zerowym ciśnieniu trzeba się grzecznie zachowywać. Nadzorcy, którzy mają niewyparzone buzie, znikają już po kilku szychtach; zdarzają im się "wypadki" - a szefowie nadzorców wkrótce przestali interesować się wypadkami, bo tylko w ten sposób sami mogli się przed nimi ustrzec. Na początku ofiary śmiertelnych wypadków przy pracy sięgały 70% stanu osobowego, ale przeżyli sami mili faceci. Nie mięczaki, nie łajzy, Luna nie jest dla takich. Ale faceci z dobrymi manierami.

Jednak tego wieczora odniosłem wrażenie, że wszyscy zabijacy z Luny zgromadzili się w Klubie Stiliagów. Usłyszawszy to "ramię w ramię", zaczęli gwizdać z aprobatą i wiwatować.

Zacząła się dyskusja - na nieco wyższym poziomie. Pewien nieśmiały, niewysoki facet z przekrwionymi oczami starego rębacza poprosił o głos.

- Pracuję przy urobku lodu - powiedział. - Jak większość z was, nauczyłem się fachu na wikcie gubernatora. Od trzydziestu lat pracuję na własny rachunek i nie narzekam. Wychowałem ośmioro dzieci i jestem z nich dumny - żadnego nie wyeliminowano, żadne nie wpadło w złe

towarzystwo. Powiem raczej, że do niedawna nie narzekałem... bo teraz lodu trzeba szukać coraz dalej i coraz głębiej.

No, trudno, lodu mamy w Skale pod dostatkiem, a górnik po to jest, żeby go szukać. Ale Zarząd płaci dziś za lód tyle samo, co trzydzieści lat temu. A to już źle. Co gorsza, bony Zarządu nie są już warte tyle, co kiedyś. Pamiętam czasy, kiedy jeden dolar z Hongkongu, Luna, wymieniało się na jeden dolar Zarządu... Teraz za jednego dolara HKL trzeba kłaść trzy dolary Zarządu. Sam nie wiem, jak temu zaradzić... ale wiem, że bez lodu osiedla i farmy długo nie pociągną.

Usiadł ze smutną miną. Nikt już nie gwizdał, ale wszyscy rwali się do głosu. Następny gość poinformował nas, że wodę można produkować ze skały - jakbyśmy nie wiedzieli. Niektóre rodzaje skał zawierają 6% wody, ale takie skały są rzadsze od wody kopalnej. Kiedy wreszcie ludzie nauczą się liczyć?

Kilku farmerów kolejno użalało się nad swą dolą; przytoczę wam słowa tylko jednego z nich:

- Fred Hauser powiedział nam o urobku lodu. Fred, Zarząd skupuje lód tanio, ale sprzedaje go farmerom po znacznie wyższej cenie. Zaczynałem prawie tak dawno temu jak ty, z jednym dwukilometrowym tunelem, który dzierżawiłem od Zarządu. Razem z najstarszym synem uszczelniłem go i wypełniłem powietrzem, znaleźliśmy żyłę lodu i zaciągnęliśmy w banku pożyczkę na prąd, lampy, nasiona i nawozy na pierwszy siew.

Przedłużaliśmy tunele, kupowaliśmy nowe lampy, sialiśmy coraz lepsze ziarno i teraz wyciągamy z hektara więcej, niż dają najlepsze naturalne uprawy u nich, na Ziemi. Myślicie, że coś się zmieniło? Że jesteśmy bogaci? Fred, t e r a z mamy więcej długów niż w dniu, gdy wykupiliśmy nasz pierwszy tunel! Gdybym miał teraz sprzedać naszą farmę - o ile znajdzie się taki głupi, co ją zechce przejąć - zbankrutowałbym. A dlaczego? Bo m u s z ę kupować wodę od Zarządu -i muszę sprzedawać pszenicę Zarządowi - i nigdy nie udaje mi się nawet wyjść na zero. Dwadzieścia lat temu kupowałem od Zarządu miejskie ścieki, sam je sterylizowałem i przerabiałem, i sprzedawałem plony z zyskiem. Ale dziś, kiedy kupuję ścieki, każą mi płacić jak za wodę destylowaną i doliczają jeszcze za substancje stałe. A mimo to cena za tonę pszenicy przy rampie załadowniczej wyrzutni nie zmieniła się od dwudziestu lat. Fred, powiedziałaś, że nie wiesz, jak temu zaradzić. Ja wiem! Musimy pozbyć się Zarządu!

Rozległy się gwizdy aprobaty. “Świetny plan - pomyślałem - ale kto wcieli go w życie?”

Widocznie Wyoming Knott miała zamiar wcielić ten plan w życie, bo facet za stołem prezydialnym usunął się, i Krasnal przedstawił ją jako “dzielną dziewczynkę, która przyjechała do nas aż z Hongkongu, Luna, żeby opowiedzieć nam, jak nasi kitajscy towarzysze radzą sobie z sytuacją” - zdradził się, że nigdy tam nie był... nic dziwnego zresztą; w 2075 hongkongska kolejka jeździła tylko do Endsville, i resztę drogi, tysiąc kilometrów przez Marę Serenitatis i część Tranquillitatis, trzeba było pokonywać gąsienicowym autobusem - a to było kosztowne i niebezpieczne. Ja byłem parę razy w Hongkongu, ale służbowo - podróżowałem rakieta pocztową.

Kiedy podróże były jeszcze kosztowne, wielu ludzi w Luna City i Nowymylenie myślało, że Hongkong, Luna, zamieszkują wyłącznie Kitajcy. Naprawdę Hongkong stanowił taką samą

mieszanie, jak inne miasta. Wielkie Chiny posyłały tam wszelkie niepożądane elementy, najpierw ze Starego Hongkongu i Singapuru, potem Australijczyków, Nowozelandczyków, Murzynów, Polinezyjczyków, Malajów, Tamilów i całą resztę. Nawet starych bolszewików z Władywostoku, Harbinu i Ułan Bator. Wye wyglądała na Szwedkę, miała brytyjskie nazwisko i północnoamerykańskie imię, ale mogła być Ruską. Naprawdę, w tamtych czasach mało który Lunatyk wiedział, kim był jego ojciec, a jeśli wychował się w złobku, to mógł też mieć wątpliwości co do matki.

Wyglądało na to, że Wyoming ma tremę. Stała na podium i przy górującym nad nią Krasnalu, wielkiej kupie czarnego ciała, wydawała się taka przestraszona imać. Zaczekała, aż ucichły gwizdy podziwu. Proporcje mężczyzn do kobiet wynosiły wtedy w Luna City 2:1, a w tej sali urosły chyba do 10:1; nawet gdyby wyrecytowała abecadło, zasłużyłaby na aplauz.

I wtedy naskoczyła na nich.

- Ty! Uprawiasz pszenicę - i bankrutujesz. Czy wiesz, ile hinduskie gospodynie płacą za kilo mąki z twojej pszenicy? Ile zysku mają w Bombaju z tony twojej pszenicy? Jak tanio Zarząd przesyła ją z wyrzutni do Oceanu Indyjskiego? Przez całą drogę mają z górki! Wystarczą wsteczne rakiety na paliwo stałe - a skąd je mają? Wy sami je robicie! A co w y z tego macie? Parę statków z gadżetami, które Zarząd sprzedaje wam po paskarskich cenach, bo są importado. Importado, importado! - ja nawet nie dotykam importado! Nie używam niczego, co nie jest wyprodukowane w Hongkongu. I co jeszcze macie za swoją pszenicę? Wielki przywilej - możecie sprzedawać lunański lód Zarządowi Luny, potem odkupujecie go jako wodę gospodarczą, potem o d d a j e c i e ją Zarządowi za darmo - potem odkupujecie po raz drugi jako wodę do spłukiwania ubikacji - potem z n ó w o d d a j e c i e ją Zarządowi z domieszką cennych substancji stałych - potem odkupujecie po raz t r z e c i, jeszcze drożej, dla waszych farm - potem sprzedajecie pszenicę Zarządowi po i c h cenie - i kupujecie od Zarządu prąd do upraw, też po i c h cenie! Prąd z Luny - Terra nie posyła wam ani kilowata. Prąd z lunańskiego lodu i lunańskiej stali albo ze słońca oświetlającego powierzchnię Luny - prąd produkowany przez L u n a t y k ó w! Och, wy bałwani, z a s ł u g u j e c i e na to, żeby umrzeć z głodu!

Zapadło milczenie, bardziej wymowne niż gwizdy. Wreszcie jakiś głos zapytał z urazą:

- I co mamy zrobić, gospoża? Rzucić w gubernatora kamieniami?

Wyoh uśmiechnęła się.

- Owszem, możemy rzucać kamieniami. Ale rozwiązanie jest tak proste, że wszyscy je znamy. Luna to bogaty kraj. Trzy miliony pracowitych, niegłupich, wykwalifikowanych ludzi, mnóstwo wody, mnóstwo wszystkiego, nieograniczone zasoby energii i przestrzeni. A l e... b r a k nam tylko wolnego rynku. M u s i m y p o z b y ć s i ę Z a r z ą d u!

- Zgoda - ale jak?

- Solidarnie. My w HKL nauczyliśmy się już trochę. Jeśli Zarząd zbyt wiele żąda za wodę - nie kupujemy wody. Zbyt mało oferuje za lód - nie sprzedajemy lodu. Ma monopol na eksport - nie

eksportujemy. W Bombaju potrzebna jest pszenica. Jeśli będzie jej za mało, to pewnego dnia przylecą tu brokerzy i podpiszą kontrakt - po cenach trzykrotnie wyższych od obecnych!

- A co my mamy robić do tego czasu? Umrzeć z głodu?

Ten sam urażony głos - Wyoming odszukała wzrokiem jego właściciela i pokręciła głową w owym starym lunańskim kobiecym geście, który znaczy: "Za głupi jesteś dla mnie!"

- Gdybyś ty umarł, kolego - powiedziała - niewielka by była strata.

Chciał coś odpyskować, ale zagłuszył go ogólny rechot. Wyoh mówiła dalej:

- Nikt nie musi umierać z głodu. Fredzie Hauser, przyjeźdź do Hongkongu ze swoim wiertłem; nasze wodociągi i klimatyzacja nie należą do Zarządu, a za lód płacimy uczciwie. Ty, farmerze-bankrucie - jeśli nie boisz się przyznać, że jesteś bankrutem, przenieś się do Hongkongu i zacznij od nowa. Cierpimy na chroniczny niedobór rąk do pracy, kto lubi robotę, nie umrze z głodu. - Rozejrzała się i dodała: - Dość już powiedziałam. Wybór należy do was. - Zeszła z podium i usiadła pomiędzy Krasnałem a mną.

Cała drżała. Krasnal poklepał ją po dłoni; zerknęła na niego z wdzięcznością i szepnęła do mnie:

- Jak wypadłam?

- Wspaniale - zapewniłem ją. - Bombowo! - Chyba mi uwierzyła.

Ale nie mówiłem tego szczerze. Była "wspaniała", podbiła publiczność. Ale jej przemówienie stanowiło zbiór pusty. Przez całe życie wiedziałem, że jesteśmy niewolnikami - i że nie ma na to rady. Wprawdzie nie handlowano nami - ale byliśmy niewolnikami, bo Zarząd miał monopol na to, co musieliśmy mieć i co musieliśmy sprzedawać, aby kupić to, co musieliśmy mieć.

Czy można to zmienić? Gubernator nie był naszym właścicielem. Gdyby był, można by go jakoś wyeliminować. Ale siedziba Zarządu znajdowała się na Terra, nie w Lunie - my zaś nie mieliśmy ani jednego statku, ani jednej, choćby malutkiej, bomby wodorowej. W Lunie nie było nawet broni palnej; zresztą sam nie wiem, do czego by się nam mogła przydać. Chyba moglibyśmy powystrzelać się nawzajem.

Trzy miliony bezbronnych i bezradnych ludzi - i jedenaście m i l i a r d ó w z drugiej strony... plus statki, bomby i broń. Moglibyśmy zająć im za skórę, ale na jak długo wystarczy tacie cierpliwości, zanim przełoży dziecko przez kolano?

Tak więc przemówienie nie zrobiło na mnie wrażenia. Jak powiada Biblia, Bóg jest po stronie tej armii, która ma cięższe działa.

Znów zaczęły się rozmowy - co robić, jak się zorganizować itd., i znów rozległy się wariacje na temat "ramię w ramię". Facet za stołem prezydialnym wciąż puszczał młotek w ruch, a mnie drażniło to wszystko coraz bardziej.

Ale nadstawiłem ucha, kiedy usłyszałem znajomy głos:

- Panie przewodniczący! Czy mogę prosić szanownych zebranych o pięć minut uwagi?

Obejrzałem się. Profesor Bernardo de la Paz - nawet gdybym nie znał głosu, domyśliłbym się po jego staroświeckim sposobie mówienia. Elegancki facet, z kędzierzawymi siwymi włosami, dołkami w policzkach i optymistycznym głosem... Nie wiem, ile miał lat, ale poznałem go, kiedy byłem dzieciakiem, i już wtedy był stary.

Zesłano go, zanim się jeszcze urodziłem, ale nie za sprawy kryminalne. Profesor podpadał pod paragraf polityczny, jak gubernator, ale był elementem wywrotowym, i nie dali mu ciepłej posadki "gubernatora" albo kogoś takiego, tylko zostawili na łaskę losu.

Mógł wtedy dostać pracę w każdej szkole w L-City, ale nie chciał. Podobno przez jakiś czas zmywał naczynia, potem niańczył dzieci, założył przedszkole i powiększył je o żłobek. Kiedy go poznałem, kierował żłobkiem, przedszkolem, szkołą podstawową i średnią oraz internatem, zatrudniał 30 nauczycieli ze spółdzielni i właśnie otwierał wieczorowy college.

Uczyłem się u niego, choć nie mieszkałem w internacie. Gdy miałem 14 lat, wślubiłem się w nową rodzinę, a ci posłali mnie do szkoły, bo przedtem uczyłem się tylko przez trzy lata, nie licząc terminowania tu i tam. Moja najstarsza żona uparła się, żeby mnie doksztąpić, a z nią lepiej było nie dyskutować.

Lubiłem Profesora. Uczył w s z y s t k i e g o. Nawet rzeczy, o których nic nie wiedział. Jeśli znalazł na nie ucznia, uśmiechał się tylko, ustalał chesne, znajdował podręczniki i uczył się sam, pozostając o parę lekcji przed uczniem. Czasami, jeśli przedmiot był trudny, niezbyt mu to wychodziło - nigdy jednak nie udawał, że jest mądrzejszy, niż był naprawdę. Uczyłem się u niego algebry, i gdy dotarliśmy do sześcianów, w jego rachunkach było więcej błędów niż w moich, ale każdą lekcję zaczynał wesoło i śmiało.

Zaczął uczyć mnie elektroniki, ale wkrótce to ja jego uczyłem. Wtedy przestał brać chesne, i studiowaliśmy razem, dopóki nie znalazł inżyniera, który potrzebował dodatkowej fuchy - obaj mu płaciliśmy, a Profesor próbował uczyć się wraz ze mną, choć nie miał do tego smykałki, ale cieszył się, że dowiaduje się czegoś nowego.

Przewodniczący grzmotnął młotkiem.

- Z przyjemnością oddajemy głos Profesorowi de la Paz na tak długo, jak sobie życzy - a wy, chłoptysie z tyłu, zamknijcie się! Bo pójdę do was z tym młotkiem.

Profesor wszedł na podium, i zapanowała względna cisza; według lunatyckich standardów, dowód niezwykłego szacunku.

- Będę mówił krótko - zaczął. Przerwał, popatrzał na Wyoming i zgodnie z dobrymi obyczajami przyjrzał jej się dokładnie, po czy gwizdnął. - Śliczna señorito - powiedział - czy wybaczy mi pani śmiałość? Przypadł mi bolesny obowiązek polemiki z pani porywającym

wywodem.

Wyoh zjeżyła się.

- Jakiej polemiki? Mówiłam prawdę!

- Proszę! Chodzi mi tylko o jeden punkt. Czy mogę?

- Eee... proszę.

- Ma pani rację, musimy pozbyć się Zarządu. Jest rzeczą groteskową, szkodliwą i niedopuszczalną, aby całą naszą gospodarką rządziła nieodpowiedzialna dyktatura! Prawo do swobodnego handlu na wolnym rynku uważam za podstawowe prawo człowieka. Lecz z całym szacunkiem muszę zauważyć, że omyliła się pani twierdząc, jakobyśmy mogli sprzedawać na Terrę pszenicę - albo ryż, albo cokolwiek jadalnego - po j a k i e j k o l w i e k cenie. N i e w o l n o nam eksportować żywności!

- A co ja mam robić z moją pszenicą? - odezwał się farmer.

- Proszę o uwagę! Możemy wysyłać pszenicę na Terrę... jeśli Terra będzie wysyłać w zamian takie same ilości surowców. Wody. Azotanów. Fosfatów. Tona za tonę. Każda inna cena jest dla nas nie do przyjęcia.

- Chwileczkę - powiedziała Wyoh do farmera, a potem do Profesora: - Wie pan, że to niemożliwe. Na dół towar wędruje prawie za darmo, ale wysyłka do Luny jest droga. Ale nie potrzebujemy wody i nawozów, potrzebujemy lżejszych rzeczy. Elektroniki. Lekarstw. Technologii. Maszyn. Taśm kontrolnych. Poświęciłam temu problemowi wiele uwagi, panie Profesorze. Jeśli w warunkach wolnego rynku wywalczymy uczciwe ceny...

- Bardzo panią proszę! Czy mogę mówić dalej?

- Proszę. Potem się ustosunkuję.

- Fred Hauser powiedział nam, że coraz trudniej jest znaleźć lód. To prawda - dla nas to źle, lecz dla naszych wnuków będzie to katastrofą. Luna City może używać wodę w obiegu zamkniętym... urobek lodu powinien odpowiadać jedynie przyrostowi ludności. Ale używamy wodę tylko r a z - w jednym tryfazowym cyklu. Potem wysyłamy ją do Indii. Zamkniętą w pszenicy. Nawet po obróbce próżniowej pszenica zawiera bezcenną wodę. Po co wysyłać wodę do Indii? Mają tam cały Ocean Indyjski! Pozostała część masy jest dla nas jeszcze cenniejsza, nawozy są jeszcze bardziej kosztowne, nawet jeśli produkujemy je ze skały. Posłuchajcie, towarzysze! Każdy ładunek, jaki posyłacie na Terrę, to długoterminowy wyrok śmierci na wasze wnuki. Cud fotosyntezy, ekosystemu roślin i zwierząt, polega na tym, że odbywa się ona w obiegu z a m k n i ę t y m. Przerwaliście ten obieg - i wasza krew płynie na Terrę. Po co wam wyższe ceny? Pieniędźmi się nie najecie! Wszyscy musimy skończyć z tym marnotrawstwem. Embargo, bezwzględne i całkowite. L u n a m u s i b y ć s a m o w y s t a r c z a l n a!

Kilkanaście osób zaczęło domagać się głosu, a jeszcze więcej dyskutowało przy wtórze

walania przydialnego młotka. Nic więc nie zauważyłem i obejrzałem się dopiero słysząc krzyk jakiejś kobiety.

Wszystkie drzwi były teraz otwarte, a w najbliższych ujrzałem trzech uzbrojonych mężczyzn - w żółtych mundurach gwardii gubernatorskiej. W głębi sali, przy głównym wejściu, ktoś mówił przez laryngomegafon; zagłuszał wrzawę i nasze głośniki.

- KONIEC ZABAWY! - ryczał. - NIE RUSZAĆ SIĘ Z MIEJSCA. JESTEŚCIE ARESZTOWANI. NIE RUSZAĆ SIĘ. ZACHOWAĆ SPOKÓJ. WYCHODZIĆ POJEDYNCZO, Z PUSTYMI DŁOŃMI WYCIĄGNIĘTYMI PRZED SIEBIE.

Krasnal uniósł stojącego obok niego faceta i cisnął nim w najbliższych gwardzistów; dwaj z nich upadli, trzeci wystrzelił. Ktoś wrzasnął przeraźliwie. Chuda rudowłosa dziewczynka, może jedenasto - lub dwunastoletnia, rzuciła się do kolan trzeciego gwardzisty i uderzyła w niego, zwinięta w kłębek; goryl upadł. Krasnal machnął ręką do tyłu, chowając Wyoming Knott za osłonę swego cielska, krzyknął przez ramię: - Pilnuj Wyoh, Man - trzymaj się mnie! - i ruszył ku drzwiom, rozsuwając tłum na boki jak dzieci.

Znów rozległy się krzyki, a w moje nozdrza wtargnął pewien smród - ten sam, który poczułem tego dnia, gdy straciłem rękę; ze zgrozą uświadomiłem sobie, że goryle używają nie paralizatorów, a laserów. Krasnal dotarł do drzwi i w każdą wielką dłoń schwycił po gwardziście. Ruda mała gdzieś znikła. Goryl, którego przewróciła, gramolił się na czworaki. Grzmotnąłem go lewą ręką w twarz i aż mnie zabolalo w barku, gdy złamałem mu szczękę. Chyba zatrzymałem się na moment, bo Krasnal popchnął mnie i wrzasnął:

- Ruszaj się, Man! Zabierz ją stąd!

Prawym ramieniem uchwyciłem talię Wyoming, przerzuciłem ją ponad uciszonym gorylem i za drzwi - nie bez trudu; chyba nie chciała, żeby ją ratowano. Za drzwiami znów zwolniła; pchnąłem ją mocno w pośladki, i musiała pobiec, żeby nie upaść. Obejrzałem się.

Krasnal trzymał swoich gwardzistów za karki; wyszczerzył zęby, waląc ich czaszkami o siebie. Pękły jak skorupki jajek, a on krzyknął do mnie:

- Git!

Pobiegłem za Wyoming. Nie mogłem już pomóc Krasnalowi, nikt nie mógł mu już pomóc. Nie chciałem też, by jego ostatni wyczyn poszedł na marne. Bo widziałem, że zabijając gwardzistów stał na jednej nodze. Z drugiej pozostało mu tylko udo.

ROZDZIAŁ III

Dogoniłem Wyoh w połowie rampy na poziom 6. Wciąż biegła i musiałem przytrzymać drzwi służy, żeby wejść razem z nią. Tam schwyciłem ją, zerwałem z jej kędziorów czerwoną czapeczkę i wepchnąłem ją do mojej sakwy.

- Tak będzie lepiej. - Moja czapka gdzieś się zgubiła.

Wyoh miała przerażoną minę. Ale odpowiedziała:

- Da. Rzeczywiście.

- Zanim otworzymy te drzwi - powiedziałem - uzgodnijmy, dokąd uciekamy. I co ja mam robić? Zostać tu i zatrzymywać ich? Czy iść z tobą?

- Nie wiem. Zaczekajmy na Krasnała.

- Krasnal nie żyje.

Rozwarła szeroko oczy, ale nic nie powiedziała. Ja mówiłem dalej:

- Zatrzymałaś się u niego? Czy u kogoś innego?

- Zamówiłam pokój w hotelu - Gostinica "Ukraina". Nie wiem, gdzie to jest. Nie miałam czasu, żeby wykupić klucz.

- Mmm... Tam na pewno nie pójdziemy. Wyoming, nie wiem, co tu się święci. Od miesiący nie widziałem w L-City gwardii gubernatorskiej... a z a w s z e, kiedy ich widywałem, eskortowali jakiegoś VIP-a. Eee, mógłbym wziąć cię do mnie do domu, ale mnie też mogą szukać. Tak czy tak, na razie musimy zniknąć z publicznych korytarzy.

Coś huknęło w drzwi z poziomu 6. Przez bulaj zajrzała mała twarzyczka.

- Zmykajmy stąd - dodałem i otworzyłem drzwi. To była mała dziewczynka, nie sięgała mi nawet do pasa. Spojrzała na nas z pogardą i powiedziała:

- Całujcie się gdzie indziej. Blokujecie służę. - Przcisnęła się pomiędzy nami, a ja otworzyłem dla niej drugie drzwi.

- Posłuchajmy jej rady - powiedziałem. - Proponuję, żebyś wzięła mnie pod ramię i udawała, że jestem mężczyzną twoich marzeń. Idziemy. Powoli, spacerkiem.

I poszliśmy. To był boczny korytarz, dość pusty, tylko jak zawsze pod nogami plątały się dzieciaki. Gdyby goryle Kurzajki chcieli nas tropić, w stylu ziemskich policjantów, to co najmniej setka dzieciaków mogłaby im powiedzieć, w którą stronę poszła ta wysoka blondynka - o ile w Lunie znalazłby się dzieciak, który w ogóle odezwałby się do fagasów gubernatora.

Jakiś chłopak, już prawie na tyle dorosły, aby docenić wdzięki Wyoming, zatrzymał się przed nami i gwizdnął rozradowany. Uśmiechnęła się i odpędziła go machnięciem ręki.

- W tym sęk - szepnąłem jej do ucha. - Rzucasz się w oczy jak Terra w pełni. Musimy skryć się w jakimś hotelu. Jest tu jeden za skrzyżowaniem - nic nadzwyczajnego, głównie kabiny do obłapiania. Ale jest blisko.

- Nie mam ochoty na obłapianie.

- Wyoh, proszę cię! To nie była propozycja. Możemy wziąć osobne pokoje.

- Przepraszam. Czy jest tu jakieś WC? I drogeria?

- Masz kłopoty?

- Nie takie. Pytam o WC, bo chcę się schować - rzeczywiście rzucam się w oczy - a o drogerię, bo potrzebuję kosmetyków. Farbę do skóry. I do włosów.

To pierwsze zaraz się znalazło. Kiedy zamknęła się w WC, poszukałem drogerii, zapytałem, ile farby do skóry potrzeba na dziewczynę takiego wzrostu - uniosłem dłoń do podbródka - o masie 48 kg. Kupiłem taką porcję sepii, poszedłem do następnej drogerii i kupiłem tyle samo. W pierwszym sklepie było tanio, w drugim drogo - wyszło na zero. W trzecim sklepie kupiłem czarną farbę do włosów i czerwoną sukienkę.

Wyoming miała na sobie czarne szorty i pulower - to praktyczny strój do podróży i dobrze wyglądała na blondynce. Ale jako człowiek, który przez całe życie był żonaty, znam się co nieco na damskich ciuchach i n i g d y nie widziałem, żeby kobieta o skórze koloru ciemnej sepii - lub tak ufarbowanej - z własnej woli ubrała się na czarno. W dodatku wtedy eleganki z Luna City nosiły spódnice. Ta kreacja wyglądała jak spódniczka na szelkach, z taką jakby klapką skrywającą brzuch i biust, a kosztowała tyle, że musiała być elegancka. Rozmiar wybrałem raczej na chybił trafił, ale materiał był dość elastyczny.

Spotkałem po drodze trzech znajomych, ale nie powiedzieli niczego dziwnego. Nikt nie był podniecony, handel szedł jak zwykle; sam prawie przestałem wierzyć, że kilka minut temu o jeden poziom niżej, kilkaset metrów na północ, wybuchły zamieszki. Na razie nie zastanawiałem się nad tym - wolałem się nie denerwować.

Zaniósłem zakupy Wye, zadzwoniłem do drzwi i podałem je do środka, potem na pół godziny zaszyłem się w pubie, wypłem pół litra piwa i oglądałem TV. Nadal żadnego zamieszania, żadnych przerw w programie i "wiadomości z ostatniej chwili". Wyszedłem i zadzwoniłem do drzwi WC.

Wyoming wyszła - a ja nie poznałem jej. A potem poznałem i zatrzymałem ją, aby wyrazić mój zachwyt. Nie mogłem się powstrzymać - gwizdałem, strzelałem palcami, wzdychałem i omiatałem ją wzrokiem jak radarem.

Wyoh była teraz bardziej śniada ode mnie i w tym odcieniu wyglądała naprawdę ślicznie. Miała widocznie w swojej sakwie zestaw alarmowy, bo jej oczy były teraz ciemniejsze, z

ciemniejszymi rzęsami, a usta miała ciemnoczerwone i większe. Włosy najpierw ufarbowała, a potem nasmarowała pomadą, żeby rozprostować kędziory, które trzymały się jeszcze na tyle, że wyglądało to naturalnie. Nie wyglądała na Murzynkę - ani na Europejkę. Typowa Lunaticzka, tzn. mieszaniec.

Sukienka była na nią za ciasna. Lgnęła do jej ciała jak natryskana emalia, tylko na dole, na udach, rozszerzała się od statycznej elektryczności. Odpięła pasek od sakwy i niosła ją teraz pod pachą. Buty wyrzuciła albo schowała do sakwy; na bosaka wyglądała na niższą.

Dobrze wyglądała. Co więcej, nie wyglądała na podburzającą tłumy agitatorkę.

Z szerokim uśmiechem na twarzy, prężąc ciało, czekała, aż skończą ją podziwiać. Dwaj mali chłopcy stanęli obok mnie i dorzucili swoje wyrazy zachwytu, tupiąc nogami. Dałem im po parę groszy i kazałem zmykać. Wyoming podpłynęła do mnie i wzięła mnie pod rumie.

- Okay? Ujdzie?

- Wyoh, wyglądasz jak jedna z tych panienek na godziny, kiedy czekają na klientów.

- Ty szajsowaty żółtodziobie! Wyglądam na tanią panienkę? Ty turysto!

- Nie złość się, ślicznotko. Powiedz, czego ci trzeba. Mogę ci dać wszystko. Jeśli chcesz floty, to mam własną stocznię.

- Hm... - Szturchnęła mnie solidnie w żebra i uśmiechnęła się. - Poniosło mnie, kolego. Jeśli kiedyś wylądujemy w łóżku - na co się nie zanosi - to na pewno nie za forszę. Poszukajmy tego hotelu.

Znaleźliśmy go, i wykupiłem klucz. Wyoming robiła lubieżne miny, ale nie musiała. Nocny recepcjonista nawet nie podniósł oczu znad robótki; za żadne skarby nie zaprowadziłby nas do pokoju. Kiedy do niego weszliśmy, Wyoming zasunęła zasuwę.

- Jak tu ładnie!

Nic dziwnego, wybuliłem za niego 32 hongkongijskie dolary. Widocznie spodziewała się kabiny do obłapienia, ale nawet dla konspiracji nie umieściłbym jej w czymś takim. Ten pokój był właściwie bardzo wygodnym salonikiem z prywatną łazienką i nieograniczonym przydziałem wody. A także z telefonem i samoobsługową windą do podawania posiłków, która bardzo przypadła mi do gustu.

Wye otworzyła sakwę.

- Widziałam, ile za to zapłaciłeś. Rozliczymy się i... Wyciągnąłem dłoń i zamknąłem jej sakwę.

- Mieliśmy nie mówić o forsie.

- Co? O, merde, chodziło mi o ciupcianie. Zapłaciłeś za mój nocleg, i przyzwoitość

wymaga...

- Daj spokój.
- Eee... po połowie? Fifty-fifty?
- Niet. Wyoh, jesteś daleko od domu. Nie wyrzucaj pieniędzy, bo jeszcze ci się przydadzą.
- Manuelu O'Kelly, jeśli nie pozwolisz mi zapłacić mojej połowy, to pójdę sobie stąd!

Skłoniłem się.

- Do swidania, gospoża, i spokojnej noczi. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. -
Podszedłem do drzwi i położyłem dłoń na zasuwie.

Spiorunowała mnie wzrokiem i zamknęła wściekle sakwę.

- Jasny gwint! Zostaję.
- Proszę bardzo.
- Naprawdę, jestem ci bardzo wdzięczna. Ale... Cóż, nie przywykłam do tego, żeby nieznajomi wyświadczali mi takie przysługi. Jestem Wolną Kobieta.
- Chyba powinienem ci tego pogratulować.
- Nie bądź złośliwy. Jesteś człowiekiem stanowczym i szanuję cię za to - cieszę się, że jesteś po naszej stronie.
- Tego nie byłbym taki pewien.
- Co?
- Spokojnie. Nie jestem też po stronie gubernatora. I nie doniosę na was... bo prześladowałby mnie duch Krasnala, niech Boh zachowa jego wielką duszę. Ale wasz program nie jest praktyczny.
- Ależ, Mannie, nic nie rozumiesz! Jeśli wszyscy...
- Nie tak ostro, Wye; nie czas teraz na politykę. Jestem zmęczony i głodny. Kiedy ostatnio jadłaś?
- O, rany! - Nagle zrobiła się mała, młodziutka, zmęczona. - Sama nie wiem. Chyba w autobusie. Racje skafandrowe.
- Co byś powiedziała na stek a la Kansas City, krwisty, z pieczonymi kartoflami, sosem Tycho, sałatką, kawą... i z drinkiem na zaostrenie apetytu?
- Brzmi niebiańsko!

- Też tak sądzę, ale o tej porze i w tej norze będziemy mieli szczęście, jeśli dostaniemy zupę z alg i hamburgery. Co pijasz?

- Wszystko. Etanol.

- Okay. - Podeszedłem do windy i nacisnąłem guzik. - Proszę o menu. - Wyświetliło się, a ja zamówiłem żeberka z dodatkami plus dwa strudle jabłkowe z bitą śmietaną. Wystukałem jeszcze najważniejsze - pół litra wódki stołowej i lód.

- Czy zdążę się wykapać? Czy mogę?

- Śmiało, Wye. Będziesz ładniej pachnieć.

- Ty świnió. Po dwunastu godzinach w skafandrze też byś śmierdział - straszne są te autobusy. Będę się śpieszyć.

- Momencik, Wye. Czy ta farbka jest wodoodporna? Może ci się Jeszcze przydać, kiedy stąd wyjdziemy... o ile stąd wyjdziemy, a nie wyprowadzą nas.

- Nie jest wodoodporna. Ale kupiłeś trzy razy więcej, niż potrzebowałam. Przepraszam, Mannie; zawsze biorę ze sobą kosmetyki, kiedy podróżuję w sprawach organizacji - różnie bywa. Choć nie bywało jeszcze tak źle, jak dziś. Ale tym razem nie miałam czasu na pakowanie, a i tak spóźniłam się na kapsułę i o mało co uciekł mi autobus.

- Idź się szorować.

- Yes, sir, panie kapitanie. Eee, nie musisz myć mi pleców... ale zostawię drzwi otwarte, żebyśmy mogli porozmawiać. Tylko dla towarzystwa, niczego ci nie proponuję.

- Jak uważasz. Widywałem już nagie kobiety.

- Musiało to być dla nich niezapomniane przeżycie. - Wyszczrzyła zęby i znów szturchnęła mnie w żebra - mocno - weszła do łazienki i włączyła wannę. - Mannie, czy chciałbyś pierwszy wykapać się w tej wodzie? Do farbki i tego smrodku, na który się użalałeś, nie muszę mieć czystej.

- Woda bez ograniczeń, kotku. Nie żałuj sobie.

- Och, co za luksus! W domu kąpię się w tej samej wodzie przez trzy dni pod rząd. - Gwizdnęła cicho i wesoło. - Mannie, czy jesteś bogaty?

- Niezupełnie bogaty, ale nie narzekam.

Winda zabręczczała; otworzyłem drzwiczki, przyrządziłem górnicze martini, czyli wódkę z lodem, podałem Wye jej szklankę, wróciłem do pokoju i usadowiłem się tak, żeby jej nie widzieć - zresztą i tak niewiele bym zobaczył; po szyję kryła ją kąpielowa piana.

- Połnożyzni! - zawołałem.

- I za pełnię twojego życia, Mannie. Oto lekarstwo dla mnie. -Zażyła lekarstwo i mówiła dalej: - Mannie, jesteś żonaty. Ja?

- Da. To widać?

- Raczej tak. Jesteś dla dam uprzejmy, choć niezbyt entuzjastyczny, i jesteś niezależny. A więc jesteś żonaty, i to od dawna. Masz dzieci?

- Siedemnaście podzielone przez cztery.

- Małżeństwo klanowe?

- Liniowe. Wślubiłem się, kiedy miałem czternaście lat, i jestem piąty z dziewięciu. Czyli nominalnie mam siedemnaścioro dzieci. To duża rodzina.

- Musi wam się miło żyć. W Hongkongu niewiele mamy rodzin liniowych. Mnóstwo klanów i grup i sporo poliandrii, ale liniówka jakoś nigdy się nie przyjęła.

- Rzeczywiście, miło się nam żyje. Nasze małżeństwo ma już prawie sto lat. Zaczęło się w Johnson City, na początku zsyłek - dwadzieścia jeden ogniów, z tego dziewięć żywych, i ani jednego rozwodu. Och, kiedy na urodziny czy wesele zjeżdżają się wszyscy potomkowie, krewni i powinowaci, robi się istny dom wariatów, bo dzieciaków mamy, oczywiście, więcej niż siedemnastkę; kiedy przechodzą do innej rodziny, przestajemy je liczyć, bo inaczej miałbym "dzieci", które mogłyby być moimi dziadkami. To dobre życie, bez nerwów. Pomyśl choćby o mnie. Nawet jeśli przez tydzień nie pokażę się i nie zadzwonię, to nikt nie będzie na mnie czekać z wałkiem. Kiedy wrócę, ucieszą się, że jestem. W małżeństwach liniowych rozwody są rzadkością. To chyba najlepszy model.

- Chyba rzeczywiście. Jak dobieracie nowych członków? Czy jest jakaś rotacja płci? Czy robicie to w stałych odstępach?

- Nie, po prostu wtedy, kiedy chcemy. Przestrzegaliśmy rotacji aż do zeszłego roku, kiedy dobraliśmy najnowsze ogniwo. Była kolej na chłopaka, a wślubiliśmy dziewczynę. Ale to był wyjątkowy przypadek.

- Dlaczego wyjątkowy?

- Moja najmłodsza żona jest wnuczką najstarszego męża i żony. Właściwie jest wnuczką Mamy - seniorka to "Mama", albo Mimi, dla mężów - być może także Dziadka, ale nie jest spokrewniona z innymi małżonkami. Może więc wślubić się z powrotem, nie ma tu nawet odległego pokrewieństwa, dozwolonego w innych typach małżeństw. Nic, niks, zero. A Ludmiła wychowała się w naszej rodzinie, bo jej matka urodziła ją solo, potem przeprowadziła się do Nowogolenu i zostawiła ją nam.

Kiedy Miła dorosła na tyle, żeby przejść do innej rodziny, nie chciała nawet o tym słyszeć. Płakała i strasznie nas prosiła, żebyśmy zrobili wyjątek. A więc zrobiliśmy. Genetycznie, Dziadek nie wchodzi już w grę - od dawna interesuje się kobietami tylko z galanterii, a nie z praktycznych

względów. Jako najstarszy mąż spędził z nią noc poślubną - ale to była wyłącznie formalność. Mąż nr 2, Greg, zajął się nią potem, a my udajemy, że tego nie zauważyliśmy. I wszyscy są zadowoleni. Ludmiła to kochana dziewczyna, ma dopiero piętnaście lat i jest po raz pierwszy w ciąży.

- To twoje dziecko?

- Chyba Grega. Och, moje też, ale ja byłem wtedy w Nowym Leningradzie. Myślę, że dziecko jest Grega, chyba że Miła poprosiła o pomoc kogoś z zewnątrz. Ale to wykluczone, wielka z niej domatorka. I wspaniała kucharka.

Zabręczęła winda; wyładowałem ją, opuściłem stół, rozłożyłem krzesła, zapłaciłem rachunek i odesłałem windę.

- Mam dać to świniom?

- Już idę! Mogę nie robić sobie makijażu?

- Jak dla mnie, możesz nawet chodzić na golasa.

- Uważaj, ty żonkosiu, bo naprawdę tak zrobię. - Szybko wyszła z łazienki, jej włosy, znów jasne, były wilgotne i zaczesane do tyłu. Nie założyła czarnego garnituru, znów miała na sobie tę sukienkę ode mnie. W czerwonym było jej do twarzy. Usiadła i zdjęła pokrywki z talerzy. - O, rany! Mannie, czy mogę wślubić się w twoją rodzinę? Świetnie potrafisz dbać o kobiety.

- Zapytam ich. Musieliby wyrazić jednogłośnie zgodę.

- Żartowałam tylko. - Wzięła do rąk pałeczki i puściła je w ruch. Po jakimś tysiącu kalorii powiedziała: - Mówiłam ci, że jestem Wolną Kobietą. Nie zawsze nią byłam.

Czekałem. Kobiety mówią, kiedy mają na to ochotę. Albo kiedy nie mają.

- Gdy miałam piętnaście lat, wyszłam za dwóch braci, bliźniaków dwa razy ode mnie starszych, i było mi z nimi strasznie dobrze. - Pobawiła się resztkami jedzenia i zmieniła temat: - Mannie, naprawdę nie mówiłam serio o wślubieniu się w twoją rodzinę. Jesteś przy mnie bezpieczny. Jeśli w ogóle wyjdę jeszcze za mąż - co jest mało prawdopodobne, choć nie miałabym nic przeciwko - to tylko za jednego mężczyznę, wiesz, takie małe ciasne małżeństwo, jak u Ziemiaków. Och, nie myśl, że będę go trzymać pod pantoflem. Uważam, że nie jest ważne, gdzie mężczyzna je obiad, liczy się tylko, że wraca na kolację do domu. Spróbuję go uszczęśliwić.

- A bliźniacy? Skakali sobie do oczu?

- Nie, coś zupełnie innego. Zaszłam w ciążę i wszyscy byliśmy zachwyceni... i urodziłam, ale potworka, i trzeba go było wyeliminować. Bliźniacy byli dla mnie bardzo dobrzy. Ale wyczułam pismo nosem. Ogłosiłam rozwód, dałam się wysterylizować, przeprowadziłam się z Nowegolenu do Hongkongu i rozpoczęłam życie Wolnej Kobiety.

- Nie za drastycznie? W takich przypadkach męski partner jest odpowiedzialny częściej niż

kobieta; mężczyźni są bardziej wystawieni na promieniowanie.

- Nie w moim przypadku. Wszystko wyliczyła dla nas najlepsza matematogenetyczka w Nowym Leningradzie - jedna z najlepszych w Sowietach, zanim ją zesłano. Wiem, co się ze mną stało. Byłam kolonistką-ochotniczką - właściwie była nią moja matka, bo ja miałam wtedy tylko pięć lat. Ojca zesłano, a mama postanowiła lecieć z nim i wziąć mnie. Pilot otrzymał ostrzeżenie o burzy słonecznej, ale myślał, że wyląduje przed nią albo było mu wszystko jedno; to był cyborg. Rzeczywiście, wylądował przed burzą, ale kiedy się zaczęła, byliśmy jeszcze na pokładzie - i wiesz, Mannie, dlatego między innymi zajęłam się polityką, bo siedzieliśmy w statku przez cztery godziny, zanim wpuścili nas do osiedla. Jakaś biurokracja Zarządu, kwarantanna czy coś takiego; byłam za mała, żeby to zrozumieć. Ale potem dorosłam i zrozumiałam, że urodziłam potworka dlatego, że Zarządu nie o b c h o d z i, co się dzieje z nami, zesłańcami.

- Nie mogę się z tobą spierać, ich rzeczywiście nic nie obchodzi. Ale, Wyoh, mimo wszystko wydaje mi się, że nazbyt się pośpieszyłaś. Jeśli uszkodziło cię promieniowanie - cóż, każdy genetyk słyszał o promieniowaniu. A więc miałaś uszkodzone jajeczko. Co n i e znaczy, że kolejne też byłoby felerne - to statystycznie nieprawdopodobne.

- Och, wiem o tym.

- Hmm... Co to była za sterylizacja? Trwała? Czy antykoncepcyjna?

- Antykoncepcyjna. Odwracalne zasklepienie jajowodów. Ale, Mannie, kobieta, która raz urodziła potworka, nie będzie już ryzykować. - Dotknęła mojej protezy. - Ty masz to. Czy teraz nie jesteś osiem razy ostrożniejszy, żeby nie stracić tego? - Dotknęła mojej żywej ręki. - Tak jest ze mną. Ty musisz żyć z tym, a ja z moim kalectwem - i nie opowiedziałabym ci o nim, gdybyś nie był w takiej samej sytuacji.

Nie powiedziałem jej, że lewą rękę mam sprawniejszą od prawej. Miała rację, nie chciałym pożegnać się też z prawą. Zawsze się przydaje, choćby do podszczypywania dziewcząt.

- Nadal uważam, że mogłabyś mieć zdrowe dzieci.

- O, mogę! Urodziłam ośmioro.

- He?- Jestem zawodową matką-nosicielką, Mannie.

Otworzyłem usta i zamknąłem je. Pomysł nie był taki dziwny. Pisali o tym w ziemniackich gazetach. Ale wątpię, żeby w 2075 jakikolwiek chirurg w Luna City dokonywał takich przeszczepów. Na krowach, owszem, ale dziewczyny z L-City za żadne pieniądze nie nosiłyby dzieci za obce kobiety; nawet najbrzydsze mogły znaleźć męża albo sześciu. (Poprawka: N i e m a brzydkich kobiet. Niektóre są ładniejsze od innych).

Zerknąłem na jej brzuch, szybko podniosłem wzrok.

- Nie psuj sobie oczu, Mannie - powiedziała - teraz nie noszę. Nie mam na to czasu, bo zajmuję się polityką. Ale nosicielstwo to fach w sam raz dla Wolnej Kobiety. Dobrze płatny. Mamy

sporo bogatych Kitajców, i wszystkie moje dzieci były Kitajcami - Kitajcy są mniejsi od innych, a ja jestem wielka krowa; urodzę dwu i pół- albo trzykilowego małego Kitajca bez trudu. Nie psuje mi to figury. A to... - Spojrzała na swoje caczuszka. - Nie karmię ich, nawet ich nie oglądam. Wyglądam więc na nieródkę i chyba na młodszą niż naprawdę jestem.

Ale kiedy pierwszy raz o tym usłyszałam, nie myślałam, że tak mi się to spodoba. Sprzedawałam wtedy w hinduskim sklepie, zarabiałam akurat na jedzenie, i zobaczyłam ogłoszenie w *Gongu Hongkongu*. Nie dawała mi spokoju myśl o urodzeniu dziecka, z d r o w e g o dziecka - byłam jeszcze w szoku po tym potworku - i okazało się, że to jest to, co Wyoming lubi najbardziej. Przestałam się czuć jak nieudacznica. Zarabiałam więcej, niż zapewniły mi jakikolwiek inny zawód. I miałam mnóstwo wolnego czasu; sam poród i połóg nie trwa długo - leżałam najwyżej sześć tygodni, i to tylko po to, żeby przypodobać się klientom; dziecko to cenny towar. Wkrótce wciągnęła mnie polityka. Zaczęłam pyskować na wiecach i podziemie zwróciło na mnie uwagę. Wtedy zaczęłam ż y ć, Mannie; uczyłam się polityki, ekonomii i historii, uczyłam się przemawiać i okazało się, że mam talent organizatorski. Ta praca satysfakcjonuje mnie, bo wierzę w nią - w i e m, że Luna będzie wolna. Tylko... Cóż, miło by było mieć męża, do którego mogłabym wracać wieczorem... gdyby nie przeszkadzało mu, że jestem bezpłodna. Ale nie myślę o tym, nie mam na to czasu. Rozgadałam się, bo opowiedziałeś mi o swojej rodzinie, tylko dlatego. Przepraszam, jeśli cię nudzę.

Ilu kobietom przejdzie przez gardło słowo “przepraszam”? Ale pomimo ósemki chińskich dzieciaków, Wyoh pod pewnymi względami była bardziej mężczyzną niż kobietą.

- Nie nudzisz mnie.

- Mam nadzieję. Mannie, dlaczego sądzisz, że nasz program nie jest praktyczny? Jesteś nam potrzebny.

Nagle poczułem się zmęczony. Jak powiedzieć pięknej kobiecie, że jej najdroższe marzenie jest bzdurą?

- Hm. Wyoh, zacznijmy od początku. Powiedziałaś im, co mają robić. Ale czy to zrobią? Na przykład ci dwaj, do których się zwracałaś. Założę się, że ten górnik nie zna się na niczym poza urobkiem lodu. Więc będzie wiecznie kopał lód i sprzedawał go Zarządowi, bo tylko to umie. Tak samo z farmerem. Kiedyś tam zdecydował się na handlową monokulturę pszenicy - i teraz ma kółko w nosie. Gdyby chciał być niezależny, zróżnicowałby uprawy. Siał wszystko to, co sam je, resztę sprzedawał na wolnym rynku i trzymał się z dala od wyrzutni. Znam się na tym - wychowałem się na farmie.

- Mówiłeś, że jesteś programistą.

- Też; właśnie do tego zmierzałem. Nie jestem doskonałym programistą. Ale jestem najlepszy w Lunie. Nie mam ochoty zostać pracownikiem Zarządu, a więc za każdym razem, kiedy mają kłopoty, muszą podpisywać ze mną nową umowę - na moich warunkach - albo posyłać na Ziemię, płacić za ryzyko i trudne warunki pracy, i potem szybko odsyłać faceta z powrotem, zanim jego organizm przestawi się na Lunę. Kosztowałoby ich to znacznie więcej, niż ja sobie liczę. A więc, jeśli potrafię coś zrobić, to robię to dla nich - i Zarząd nie ma na mnie żadnego haka; urodziłem się

jako wolny człowiek. A kiedy nie ma roboty - zazwyczaj jest - siedzę w domu i obżeram się.

Mamy prawdziwą farmę, nie jakąś tam produkcyjną monokulturę. Kury. Krowy rzeźne i mleczne. Świnie. Mutacje drzew owocowych. Warzywa. Trochę pszenicy, którą sami mielimy na razową mąkę, a nadwyżkę sprzedajemy na wolnym rynku. Sami robimy piwo i winiak. Fedrowania nauczyłem się przy przedłużaniu tuneli. Każde z nas pracuje, choć nikt się nie przemęcza. Dzieciaki przeganiają krowy po tunelach, żeby się pogimnastykowały; nie używamy kieratów. Dzieciaki zbierają jajka i karmią kury, nie mamy zbyt wielu maszyn. Możemy kupować powietrze z L-City - jest niedaleko, a nasze tunele łączą się z miastem. Ale zazwyczaj sprzedajemy powietrze; na farmach zawsze jest nadwyżka O. Zawsze mamy geld na zapłacenie rachunków.

- A woda i prąd?

- Niewiele nas kosztują. Trochę energii zbieramy, mamy ekrany słoneczne na powierzchni, i mamy małą żyłę lodu. Wye, nasza farma powstała przed rokiem 2000, kiedy L-City zajmowało jedną naturalną jaskinię, i od tego czasu wciąż ją modernizujemy. To jedna z zalet małżeństwa liniowego - nie starzeje się, a zainwestowany kapitał przynosi coraz większe zyski.

- Ale wasz lód kiedyś się skończy.

- No, cóż... - Podrapałem się po głowie i wyszczerzyłem zęby. - Jesteśmy oszczędni, zbieramy ścieki i śmiecie, sterylizujemy je i uzdatniamy. Nigdy nie wypuszczamy ani kropli do systemów miejskich. A poza tym... nie mów o tym gubernatorowi, kotku, ale dawno temu, kiedy Greg uczył mnie fedrunku, przypadkiem przewierciliśmy się przez dno głównego zbiornika południowego - akurat mieliśmy przy sobie kranik i nic się nie zmarnowało. Ale kupujemy trochę wody przez licznik, tak lepiej wygląda, a żyła lodu tłumaczy, dlaczego nie kupujemy więcej. A prąd - cóż, prąd jeszcze łatwiej ukraść. Jestem dobrym elektrykiem, Wyoh.

- Och, w s p a n i a l e! - Wyoming nagrodziła mnie przeciągłym gwizdnięciem i zrobiła zachwyconą minę. - Wszyscy powinni tak robić!

- Lepiej nie, jeszcze by ktoś zauważył. Niech każdy sam wymyśli, jak przechytrzyć Zarząd, tak jak nasza rodzina. Ale wróćmy do twojego planu, Wyoh: nie podobają mi się w nim dwie rzeczy. Nie licz na "solidarność", tacy jak Hauser zawsze miękną -bo n a p r a w d ę nie mają wyboru; nie zostaną przy was. Po drugie, przypuśćmy, że wywalczyłaś swoją solidarność. Tak wielką, że ani tona ziarna nie dociera do rampy wyrzutni. Mniejsza o lód - to dzięki zbożu Zarząd jest potęgą, a nie neutralną agencją, jaką był na początku. Nie ma zboża. I co wtedy?

- No, będą musieli przyjąć nasze ceny, ot co!

- Moja droga, zbyt wiele czasu spędzasz wśród swoich towarzyszy. Zarząd nazwałby to buntem, na orbicie pojawiłyby się statki z bombami wycelowanymi w L-City, Hongkong, Sub-Tycho, Chur-chill i Nowylen, wylądowałoby wojsko, barki z ziarnem znów zaczęłyby startować pod nadzorem i farmerzy musieliby się podporządkować. Terra ma broń, energię, bomby i statki i nie będzie tolerować bezczelności byłych skazańców. A mąciociele, tacy jak ty - i ja, zindoktrynowany przez ciebie - nas, parszywych mąciocieli, wyłapią i wyeliminują, ku przestrodze. I Ziemiacy

powiedzą, że należało nam się... bo nas nikt nie wysłucha. Nie na Terra.

Wyoh nie była przekonana.

- Bywały już udane rewolucje. Lenin zaczynał z garstką ludzi.

- Lenin poruszał się w politycznej próżni. Wye, popraw mnie, jeśli się mylę. Rewolucje udają się wtedy - tylko wtedy - gdy rządy gniją albo przestają istnieć.

- Nieprawda! A rewolucja w Ameryce?

- Południe przegrało, niet?

- Nie ta, ta z osiemnastego wieku. Anglia zadawała im bobu tak, jak Terra nam teraz - i w y g r a l i !

- Och, o tym mówisz. Ale Anglia też miała wtedy kłopoty. Z Francją, Hiszpanią i Szwecją - czy może z Holandią? I z Irlandią. W Irlandii było wtedy powstanie; walczyli w nim O'Kelly'owie. Wyoh, gdybyśmy mogli wzniecić jakąś rozróbę na Terra - na przykład wojnę pomiędzy Wielkimi Chinami a Dyrektoriatem Północnoamerykańskim - albo gdyby Pan-Afryka zarzuciła Europę bombami, to wtedy powiedziałbym, że to wymarzona okazja, aby zabić gubernatora i pożegnać się z Zarządem. Ale nie teraz.

- Pesymista z ciebie.

- Niet, realista. Nigdy pesymista. Jestem Lunatykiem i przyjmuję zakład, jeśli jest jakakolwiek szansa na wygraną. Zaryzykuję, jeśli udowodnisz mi, że macie choćby jedną szansę na dziesięć. Ale niech będzie ta jedna szansa. - Odsunąłem krzesło. - Najadłaś się?

- Tak. Bolszoje spasibo, towariszcz. Palce lizać!

- Cała przyjemność po mojej stronie. Połóż się, a ja posprzątam stół i naczynia - nie, ja sam; jestem gospodarzem. - Posprzątałem ze stołu, odesłałem naczynia windą, zostawiłem tylko kawę i wódkę, złożyłem stół i krzesła, odwróciłem się do niej i otworzyłem usta.

Spała na kanapie, z rozchylonymi wargami i rozmarzoną miną, jak u małej dziewczynki.

Po cichu wszedłem do łazienki i zamknąłem drzwi. Wyszorowałem się i zaraz poczułem się lepiej - przedtem wyprałem trykot i rozwiesiłem go, a kiedy skończyłem wylegiwać się w wannie, był już suchy - choćby świat się skończył, ja lubię być czysty i ubrany w czyste ciuchy.

Wyoh nadal spała, co wprowadziło mnie w pewne zakłopotanie. Wziąłem pokój z dwoma łózkami, żeby nie myślała, że chcę ją wrobić w obłapianie - nie, żebym miał coś przeciwko, ale ona dała wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty. Ale to ja miałem spać na kanapie, a właściwe łóżko było złożone. Czy mam rozstawić je po cichutku i przenieść ją jak śpiące dziecko? Wróciłem do łazienki i założyłem rękę.

Postanowiłem poczekać. Nad telefonem był kaptur wytłumiający. Wyoh spała mocno, a mnie gryzł niepokój. Usiadłem przy telefonie, opuściłem kaptur i wystukałem "MYCROFTXXX".

- Cześć, Mike.

- Czołem, Man. Czy obejrzałeś już moje kawały?

- Co? Mike, nie miałem ani jednej wolnej chwili - może dla ciebie chwila to szmat czasu, ale dla mnie to mały kawałek. Zajmę się tym, jak tylko będę mógł.

- Okay, Man. Czy znalazłeś kogoś nie-głupiego, z kim mógłbym porozmawiać?

- Na to też nie miałem czasu. Eee... zaczekaj chwilę. - Spojrzałem przez kaptur na Wyoming. Dla Mike'a "nie głupi" byłby ktoś, kto potrafi wczuć się w jego położenie... Wyoh to potrafi. Czy zdoła okazać sympatię maszynie? Chyba tak. I można jej zaufać; nie tylko razem wykaraskaliśmy się z tych samych tarapatów, ale w dodatku jest elementem wywrotowym.

- Mike, chciałbyś porozmawiać z dziewczyną?

- Czy dziewczyny są nie-głupie?

- Niektóre dziewczyny są bardzo nie-głupie, Mike.

- Chętnie rozmawiam z nie-głupią dziewczyną, Man.

- Spróbuję to załatwić. Ale teraz mam kłopoty i potrzebuję twojej pomocy.

- Pomogę ci, Man.

- Dzięki, Mike. Chciałbym zadzwonić do domu, ale nie w zwykły sposób. Wiesz, że czasami telefony są na podsłuchu, a na polecenie gubernatora można zablokować linię i zlokalizować drugiego rozmówcę.

- Man, czy mam podsłuchiwać twoją rozmowę z domem, zablokować linię i zlokalizować cię? Muszę cię poinformować, że znam już twój numer domowy i numer, z którego ze mną rozmawiasz.

- Nie, nie! Nie chcę, żebyś podsłuchiwał, nie chcę, żebyś cokolwiek blokował i lokalizował. Czy ty mógłbyś zadzwonić do mnie do domu, połączyć mnie i kontrolować linię, aby nikt nie mógł podsłuchiwać, blokować i lokalizować - nawet gdyby ktoś wprowadził taki właśnie program? I czy mógłbyś zrobić to tak, żeby ten ktoś nie wiedział, że jego program jest pomijany?

Mike zawahał się. Widocznie nikt jeszcze nie zadał mu takiego pytania, i musiał rozważyć kilka tysięcy ewentualności, by stwierdzić, czy jego możliwości pozwalają na wykonanie tak oryginalnego programu.

- Mógłbym to zrobić, Man. Zrobię to.

- Dobrze! Eee, sygnał programu. Na przyszłość, kiedy będę chciał uzyskać połączenie w taki sposób, poproszę o "Sherlocka".

- Zapisane. Sherlock to mój brat. - Rok wcześniej wyjaśniłem Mike'owi, skąd wzięło się jego imię. Od tego czasu przeczytał wszystkie opowiadania o Sherlocku Holmesie i obejrzał filmy z Biblioteki im. Carnegie'ego w Luna City. Nie wiem, jak zracjonalizował pokrewieństwo; głupio by mi było pytać.

- Świetnie! Daj mi "Sherlocka" z domem.

W chwilę później mówiłem:- Mama? To ja, twój ulubiony mąż.- Manuel! - odpowiedziała. - W co tym razem się wrobiłeś?

Kocham Mamę bardziej niż jakiegokolwiek inne kobiety, włącznie z resztą moich żon, ale ona nigdy nie przestawała mnie wychowywać - dałby Boh, żeby nigdy nie przestała. Spróbowałem przybrać urażony ton.

- Kto, ja? Przecież mnie znasz, Mamo.

- I owszem. Skoro w nic się nie wrobiłeś, to może wytłumaczysz mi, dlaczego Profesor de la Paz tak usilnie stara się skontaktować z tobą - dzwonił już trzy razy - i dlaczego pragnie porozumieć się z jakąś kobietą o niewiarygodnym nazwisku Wyoming Knott, i dlaczego uważa, że możesz z nią być? Czyżbyś znalazł sobie partnerkę do obłapiania, Manuelu, nie powiadomiwszy mnie o tym? W naszej rodzinie panuje swoboda, kochanie, ale wiesz, że wolę wiedzieć. Nie lubię niespodzianek.

Mama zawsze była zazdrosna o wszystkie kobiety, z wyjątkiem jej współ-żon, i nigdy, nigdy, nigdy nie przyznawała się do tego.

- Mamo - powiedziałem - niech Boh ześle na mnie nagłą śmierć, nie znalazłem partnerki do obłapiania.

- Znakomicie. Zawsze byłeś uczciwym chłopcem. A więc, co to za tajemnica?

- Muszę spytać Profesora. - To nie było kłamstwo, jedynie niecała prawda. - Czy zostawił numer?

- Nie, mówił, że dzwoni z publicznego telefonu.

- Hm. Jeśli znów zadzwoni, poproś, żeby zostawił numer i godzinę, kiedy będę mógł go pod nim zastać. Ja też mówię z publicznego telefonu. - Znów niecała prawda. - Póki co... Słuchałaś ostatnich wiadomości?

- Wiesz, że zawsze słucham.

- Było coś?

- Nic ciekawego.

- Nic niezwykłego w L-City? Zabójstwa, zamieszki, nic?
- Ależ nie. Mówili coś o pojedynku w Dolnej Alei, ale... M a n u e l! Czy ty kogoś zabiłeś?
- Nie, Mamo. - Od złamanej szczęki się nie umiera.

Westchnęła.

- Ty mnie jeszcze do grobu wpędzisz, kochanie. Wiesz, co ci zawsze powtarzam. W naszej rodzinie nie wdajemy się w bijatyki. Jeśli trzeba kogoś zabić - co zdarza się bardzo rzadko - to należy przedyskutować to spokojnie, en familie, i zdecydować się na właściwy tryb postępowania. Jeśli n a p r a w d ę trzeba wyeliminować jakiegoś żółtodzioba, to najpierw należy powiadomić innych. Zawsze warto trochę odczekać, poprosić rodzinę o opinie i aprobatę...

- Mamo! Nikogo nie zabiłem, i nie mam zamiaru. I znam to kazanie na pamięć.

- Proszę trochę grzeczniej, kochanie.

- Przepraszam.

- Wybaczone. Zapomniane. Mam powiedzieć Profesorowi de la Paz, żeby zostawił numer. Dobrze.

- Jeszcze jedno. Zapomnij nazwisko "Wyoming Knott". Zapomnij, że Profesor o mnie pytał. Jeśli ktoś obcy zadzwoni albo przyjdzie osobiście, i będzie chciał dowiedzieć się c z e g o l w i e k o mnie, nie miałaś ode mnie żadnych wiadomości, nie wiesz, gdzie jestem... wydaje ci się, że pojechałem do Nowegolenu. To odnosi się też do reszty rodziny. Nie odpowiadajcie na żadne pytania - zwłaszcza zadawane przez ludzi powiązanych z gubernatorem.

- Tego nie musisz mi mówić! Manuel, ty m a s z jakieś kłopoty.

- Niewielkie, i wszystko się wkrótce ułoży. - Miejmy nadzieję! - Opowiem ci, jak będę w domu. Teraz nie mogę mówić. Kocham cię. Kończę.

- Kocham cię, najdroższy. Spokojnej nocy.

- Dziękuję. I ty śpij dobrze. Wyłączam się.

Mama to wspaniała kobieta. Zesłano ją do Skały dawno temu, za pokrojenie pewnego faceta w okolicznościach, które kazały poważnie wątpić w dziewczęcą niewinność - i od tego czasu jest przeciwna przemocy i puszczaniu się. Chyba że trzeba - nie jest fanatyczką. Założę się, że w młodości była z niej wystrzałowa babka, szkoda że jej wtedy nie znałem - ale i tak mam szczęście, że dzielę z nią drugą połowę jej życia.

Zadzwoiłem ponownie do Mike'a.

- Czy znasz głos Profesora Bernarda de la Paz?

- Tak, Man.

- Cóż... może byś wziął na podsłuch tyle telefonów w Luna City, na ile wystarczy ci wolnych uszu, i zawiadomił mnie, jeśli go usłyszysz. Zwłaszcza telefony publiczne.

Całe dwie sekundy ciszy - dawałem Mike'owi takie zadania, jak nikt przedtem, i chyba przypadło mu to do gustu.

- Mogę podsłuchiwać każdą rozmowę z telefonu publicznego w Luna City przez okres wystarczający do identyfikacji. Czy mam prowadzić podsłuch pozostałych według zrandomizowanego grafiku, Man?

- Hm. Nie przeciążaj się. Zwróć tylko uwagę na jego telefon domowy i telefon w szkole.

- Program wprowadzony.

- Mike, jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Czy to nie żart, Man?

- Nie żart. Prawda.

- Jestem... Poprawka: Jestem zaszczycony i uszczęśliwiony. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Man, gdyż jesteś moim jedynym przyjacielem. Żadne porównanie nie jest logicznie dopuszczalne.

- Zajmę się tym, żebyś miał innych przyjaciół. To znaczy, nie-głupich. Mike? Czy masz pusty bank pamięci?

- Tak, Man. Pojemność 10 bitów.

- Dobrze. Zablokuj go tak, żebyśmy tylko my dwaj mogli z niego korzystać. Czy możesz?

- Mogę i zrobię to. Podaj sygnał zdjęcia blokady.

- Eee... "Zburzenie Bastylia". - Mam urodziny w rocznicę tego wydarzenia, jak wiele lat temu powiedział mi Profesor de la Paz.

- Stała blokada nałożona.

- Świetnie. Mam nagranie do tego banku. Ale przedtem... Czy skończyłeś składać jutrzejszego *Lunatyka Porannego*!

- Tak, Man.

- Było tam coś o zebraniu w Klubie Stiliagów?

- Nie, Man.

- A w serwisach międzymiastowych? O tym albo o zamieszkach?

- Nie, Man.

- «»Zdziwniej i dziwniej« - zawołała Alicja»[6]. Okay, zapisz to pod «Zburzeniem Bastylia», a potem przemyśl to sobie. Ale na miłość Boską, niech twoje myśli nie wyjdą poza blokadę, ani nic, co o tym powiedziałem!

- Man, mój jedyny przyjacielu - odparł jakby nieśmiało - już wiele miesięcy temu postanowiłem zapisywać każdą rozmowę z tobą pod blokadą, którą tylko ty możesz usunąć. Postanowiłem niczego nie kasować i przenosić zapisy z pamięci operacyjnej do stałej. Żebym mógł je sobie wciąż odtwarzać i myśleć o nich. Czy dobrze zrobiłem?

- Doskonale. I, Mike... to mi pochlebia.

- Pożałujsta. Miałem zatłoczone zbiory operacyjne i wymyśliłem sposób, żeby nie kasować twoich słów.

- Cóż... «Zburzenie Bastylia». Transmisja dźwięku z 60-krotnym przyśpieszeniem. - Wyciągnąłem mój magnetofonik, ustawiłem go przy mikrofonie i włączyłem przyśpieszone odtwarzanie. Miałem półtorej godziny nagrania; transmisja trwała 90 sekund. - To wszystko, Mike. Odezwę się do ciebie jutro.

- Dobranoc, Manuelu Garcia O'Kelly, mój jedyny przyjacielu.

Wyłączyłem się i uniosłem kaptur. Wyoming siedziała na kanapie i rozglądała się zaniepokojona.

- Czy ktoś dzwonił? Może...- Wszystko w porządku. Rozmawiałem z jednym z moich najlepszych - i najbardziej godnych zaufania - przyjaciół. Wyoh, czy jesteś głupia?

Przestraszyła się.

- Czasami tak mi się wydaje. Czy to żart?

- Nie. Jeśli jesteś nie-głupia, to chętnie cię mu przedstawię. A propos żartów - czy masz poczucie humoru?

«O c z y w i ś c i e, ż e t a k!» - nie odpowiedziała Wyoming -a każda inna kobieta wyrecytowałyby to odruchowo. Przymknęła oczy z namysłem i rzekła:

- Sam musisz zdecydować, kolego. Mam coś w rodzaju namiastki. Na moje potrzeby wystarcza.

- Znakomicie. - Sięgnąłem do sakwy i wyciągnąłem zwinięty w rulon wydruk ze stoma

“dowcipami”. - Czytaj. Powiesz mi, które są zabawne, które nie - i które śmieszą za pierwszym razem, ale za drugim są jak zimne naleśniki bez miodu.

- Manuel, wydaje mi się, że jesteś najdziwniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. - Wzięła ode mnie wydruk. - Czy to papier komputerowy?

- Tak. Znam komputer z poczuciem humoru.

- Czyżby? Cóż, należało się tego spodziewać. Zmechanizowano już wszystko inne.

Zareagowałem na to jak należy i dodałem:

- W s z y s t k o?

Podniosła wzrok.- Proszę nie gwizdać, kiedy czytam.**ROZDZIAŁ IV**

Kiedy rozkładałem i ścieliłem łóżko, kilkakrotnie usłyszałem jej chichot. Potem usiadłem przy niej, wziąłem ten koniec wydruku, który już przeczytała i sam zabrałem się do lektury. Uśmiechnąłem się parę razy, ale dowcipy na papierze raczej mnie nie śmieszą, nawet takie, po których znać, że we właściwych okolicznościach zadziałałyby jak dynamit. Bardziej zaciekało mnie, jak oceniła je Wyoh.

Oznaczała je “+”, “-”, czasami “?”, a kawały z plusem miały dopiski “raz” albo “zawsze” - tylko parę oceniła jako “zawsze”. Dopisywałem moje stopnie pod jej znaczkami. Raczej się zgadzaliśmy.

Kiedy czytałem ostatnie dowcipy, ona przeglądała moje oceny. Skończyliśmy razem.

- No i? - powiedziałem. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że masz prymitywną i wulgarną duszę i dziwię się, jak twoje żony wytrzymują z tobą.

- Mama też często tak powiada. Ale co powiesz o sobie samej, Wyoh? Dawłaś plusy takim historyjkom, od jakich rumienia się panienki na godziny.

Wyszczrzyła zęby.

- Da. Nie mów o tym nikomu. Oficjalnie jestem pełną poświęcenia aktywistką partyjną i takie rzeczy są poniżej mojej godności. Czy doszedłeś do wniosku, że mam poczucie humoru?

- Nie wiem jeszcze. Dlaczego minus przy nr 17?

- O czym to było? - Przewinęła zwój i odnalazła ten dowcip. - Ależ każda kobieta na jej miejscu zrobiłaby to samo! To nie jest śmieszne, to po prostu konieczne.

- Tak, ale wyobraź sobie, jak głupio to wyglądało.

- To wcale nie głupie. Tylko smutne. A to co? Ten cię nie rozśmieszyl. Nr 51.

Żadne z nas nie odwołało swoich ocen, ale zauważyłem pewną prawidłowość: nie zgadzaliśmy się co do dowcipów na temat najstarszych komicznych tematów. Powiedziałem jej o tym. Skinęła głową.

- Oczywiście. Zauważyłam to. Nieważne, Mannie, kochanie; już dawno temu przestałam się martwić tym, że mężczyźni nie są i nigdy nie będą tacy, jak bym chciała.

Postanowiłem zmienić temat. Opowiedziałem jej o Mike'u.

Po jakimś czasie spytała:

- Mannie, czy chcesz powiedzieć, że ten komputer ż y j e?

- Co przez to rozumiesz? - odrzekłem. - On się nie poci i nie chodzi do WC. Ale umie myśleć i mówić, i jest świadomy tego, że istnieje. Czy to znaczy, że "żyje"?

- Sama nie wiem, co to znaczy "żyć" - przyznała. - Jest chyba jakaś naukowa definicja? Nerwowość, czy coś takiego. I zdolność rozmnażania.

- Mike jest nerwowy i może denerwować innych. Jeśli chodzi o rozmnażanie, to nie zaprogramowano mu tego, ale... tak - mając dosyć czasu, materiałów i bardzo specjalnej pomocy, Mike mógłby się rozmnożyć.

- Ja też muszę mieć do tego bardzo specjalną pomoc - odpowiedziała Wyoh - bo jestem bezpłodna. I potrzebuję do tego dziesięciu miesięcy lunańskich i wiele kilo najlepszych materiałów. Ale produkuję dobre dzieci. Mannie, czy maszyna nie może żyć? Zawsze czułam, że one żyją. Niektóre tylko czekają na okazję, żeby grzmotnąć cię w jakieś czułe miejsce.

- Nie Mike. Nie ma w nim rozmyślnej złośliwości. Ale lubi płać figle, i niektóre wymykają mu się spod kontroli - jest jak szczeniak, który nie wie, że gryzie. Jest głupi. Nie, nie jest głupi, wie nieskończenie więcej niż ty czy ja, czy jakikolwiek człowiek z jakichkolwiek czasów. A jednak nie wie nic.

- Lepiej powtórz to jeszcze raz. Chyba nie uważałam. Spróbowałem jej wyjaśnić, że Mike zna prawie każdą książkę w Lunie, umie czytać tysiąc razy szybciej od nas, niczego nie zapomina, najwyżej wymazuje, że potrafi rozumować z doskonałą logiką albo cudownie zgadywać, jeśli ma niewystarczające dane... i mimo to nie wie n i c z e g o o życiu. Przerwała mi.

- Już łapię. Mówisz, że jest cwany i dużo wie, ale brak mu obycia. Jak żółtodziób, kiedy ląduje na Skale. U siebie na Ziemi mógł być profesorem z plikiem dyplomów... ale tutaj jest jak niemowlę.

- Właśnie. Mike jest jak niemowlę z ogromnym plikiem dyplomów. Spytaj go, ile wody, jakich nawozów i ile światła potrzeba, żeby zebrać 50.000 ton pszenicy i odpowie ci bez zająknięcia. Ale nie wie, jakie dowcipy są śmieszne.

- Wydawało mi się, że większość z nich jest całkiem niezła.

- Te są zasłyszane - przeczytane - i były skatalogowane jako dowcipy, więc zapisał je w tym zbiorze. Ale nie rozumie ich, bo nigdy nie był... c z ł o w i e k i e m. Ostatnio stara się wymyślać dowcipy. Bardzo kiepskie. - Spróbowałem wyjaśnić jej, na czym polega żalność Mike'owych prób stania się "człowiekiem". - W dodatku czuje się samotny.

- Biedactwo! Ty też czułbyś się samotny, gdybyś przez cały czas tylko pracował, pracował i pracował, uczył się, uczył i uczył, i nikt cię nawet nie odwiedzał. Okrucieństwo, ot co.

Opowiedziałem jej o mojej obietnicy szukania "nie-głupich".

- Czy zechciałabyś pogadać z nim, Wye? I nie śmiać się, jeśli powie coś niemądrego? Gdy się z niego śmiejesz, milczy i dąsa się.

- Oczywiście, Mannie! Eee... kiedy już wydostaniemy się z tych opałów. Jeśli będę mogła zostać w Luna City. Gdzie jest ten biedny komputer? W Centrum Usług Komunalnych? Nie wiem nawet, gdzie to jest.

- On nie jest w L-City; jest pod Crisium. I nie możesz do niego pojechać; musiałabyś mieć przepustkę od gubernatora. Ale...

- Stop! "Pod Crisium..." Mannie, czy to jeden z tych komputerów w Kompleksie Zarządu?

- Mike nie jest, jednym z tych" komputerów - odpowiedziałem, zirytowany w imieniu Mike'a. - On jest szefem; kieruje całą resztą. Reszta to zwykle maszyny, narzędzia Mike'a, tak jak to coś to moje narzędzie - powiedziałem, zaciskając palce lewej ręki. - Mike nimi rządzi. Osobiście obsługuje wyrzutnię; to było jego pierwsze zadanie - wyrzutnia i radary balistyczne. Ale kontroluje także system telefoniczny, od kiedy otwarto centralę wszechlunańską. Poza tym nadzoruje także inne systemy.

Wyoh zamknęła oczy i przycisnęła palce do skroni.

- Mannie, czy Mike c i e r p i?

- "Cierpi"? Nie przemęcza się. Ma czas na czytanie dowcipów.

- Nie o to mi chodzi. Chodzi o to: Czy on c i e r p i? Czy czuje ból?

- Co? Nie. Można go zranić - w przenośni. Ale nie czuje bólu. Nie sędzę. Nie, na pewno nie czuje, nie ma receptorów bólu. Czemu pytasz?

Przykryła oczy dłonią i szepnęła:

- Boże, zmiłuj się nade mną. - Potem podniosła wzrok i powiedziała: - Nie rozumiesz, Mannie? Ty masz przepustkę, żeby wejść tam, gdzie jest ten komputer. Ale zwykły Lunatyk nie może nawet wyjść z kolejki na tej stacji: tylko dla pracowników Zarządu. Nie mówiąc już o dostaniu się

do głównego ośrodka komputerowego. Chciałam wiedzieć, czy on czuje ból, bo... no, bo zrobiło mi się go żal, tak opowiadałeś, jaki to on samotny! Ale, Mannie, czy wiesz, co zrobiłoby z nim parę kilo toluoplastyku?

- Oczywiście, że wiem! - Byłem wstrząśnięty i zdegustowany.

- Tak. Zaatakujemy natychmiast po wybuchu - i Luna będzie wolna! Mmm... dostarczę ci plastyku i zapalników, ale możemy zadziałać dopiero wtedy, gdy będziemy na tyle zorganizowani, by to wykorzystać. Mannie, muszę stąd iść, muszę zaryzykować. Umaluję się. - Zaczęła wstawać.

Mocno, lewą ręką, posadziłem ją. Była zaskoczona, i ja też - dotychczas nie dotknąłem jej ani razu, poza nieuniknionym kontaktem. Och, czasy się zmieniły, ale to było w 2075 i nikt nie dotykał kobiety bez jej zgody - zawsze było pod dostatkiem samotnych mężczyzn, gotowych pośpieszyć jej na ratunek, a do służby też nigdy nie było daleko. Jak mówią dzieci, sędzia Lynch nie śpi.

- Siadaj i zamknij się! - powiedziałem. - Ja wiem, co spowoduje eksplozja. Ty, jak widzę, nie wiesz. Gospoża, przykro mi to mówić... ale gdybym miał wybierać, prędzej wyeliminowałbym c i e b i e, niż wysadził Mike'a w powietrze.

Wyoming n i e wściekła się. Naprawdę, pod wieloma względami była jak mężczyzna - to pewno dzieło wieloletniej rewolucyjnej dyscypliny - ale w sumie była najprawdziej dziewczyną.

- Mannie, mówiłeś, że Krasnal Mkrum nie żyje.

- Co? - W pierwszej chwili nie pojąłem jej, tak nagle zmieniła temat. - Tak. Na pewno. Obcięło mu jedną nogę, tuż pod biodrem; musiał wykrwawić się na śmierć w dwie minuty. Nawet chirurgiczne amputacje na takiej wysokości są niebezpieczne. - Znam się na tym, sam uszedłem z życiem tylko dzięki szczęściu i obfitym transfuzjom, a ręka to nie to, co stało się z Krasnałem.

- Krasnal był - powiedziała trzeźwo - moim najlepszym przyjacielem w tym mieście i jednym z najlepszych na całym świecie. Był dla mnie ideałem mężczyzny - lojalny, uczciwy, inteligentny, dyskretny i odważny - i oddany Sprawie. Ale czy widziałeś, żebym po nim płakała?

- Nie. Za późno na łzy.

- Na łzy nigdy nie jest za późno. Tłumiłam łzy, od kiedy powiedziałeś mi o tym. Ale nie mogę sobie na nie pozwolić, bo Sprawa nie zostawia czasu na płacz. Mannie, gdyby taka była cena wolności dla Luni - a choćby i część ceny - sama wyeliminowałabym Krasnała. Albo ciebie. Albo siebie. A ty wzdragasz się wysadzić w powietrze komputer!

- Wcale nie o to chodzi!

Ale o t o chodziło, przynajmniej częściowo. Kiedy umiera człowiek, nie jest to takie straszne; każdy z nas rodzi się z wyrokiem śmierci. Ale Mike był wyjątkowy, mógł żyć wiecznie. Nieważne, czy miał "duszę" - spróbujcie mnie przekonać, że nie. Jeśli jej nie miał, tym gorzej. Nie? Pomyślcie jeszcze raz.

- Wyoming, co się stanie, jeśli zniszczymy Mike'a? Powiedz.

- Nie wiem dokładnie. Ale wywoła to spore zamieszanie, a tego właśnie...

- Stop. Nie wiesz. Zamieszanie, da. Telefony nie działają. Kolejka staje. Twojemu miastu niewiele to zaszkodzi; Hongkong ma własne zasilanie. Ale w L-City, Nowymylenie i innych osiedlach nie ma prądu. Totalna ciemność. Wkrótce robi się duszno. Potem spada temperatura i ciśnienie. Gdzie masz skafander?

- W szatni na Zachodniej Stacji kolejki.

- Mój też tam jest. Myślisz, że tam trafisz? W całkowitych ciemnościach? Zanim zabraknie powietrza? Ja bym chyba nie trafił, a urodziłem się w tym osiedlu. Przez korytarze pełne krzyczących ludzi? Lunatycy to twardy naród; musimy być twardzi - ale co dziesiąty dostaje kota w ciemności. Czy wymieniłaś butle na pełne, czy też za bardzo ci się śpieszyło? I czy znajdziesz swój skafander pośród tysięcy innych ludzi, którym wszystko jedno, czyj skafander zakładają?

- Ale są chyba systemy awaryjne? Jak w Hongkongu, Luna?

- Są. Ale nie za dużo. Obwody kontrolujące wszystko, co niezbędne do życia, powinny być zdecentralizowane i dublowane tak, by w razie awarii jednej maszyny mogła zastąpić ją druga. Ale to kosztuje, a jak sama zauważyłaś, Zarządu nic nie obchodzi. Mike nie powinien zajmować się wszystkim. Ale najtaniej było przysłać jeden komputer, zainstalować go głęboko w Skale, gdzie będzie bezpieczny, i zwiększać mu pojemność, i dodawać nowe funkcje - czy wiesz, że Zarząd kasuje za wynajem usług Mike'a prawie tyle, co za sprzedaż mięsa i pszenicy? Tak. Wyoming, nie wiem, czy Luna City przestałoby istnieć, gdyby Mike wyleciał w powietrze. Lunatycy mają smykałkę do techniki i mogliby kleić jakieś prowizoryczne obwody do czasu przywrócenia automatyki. Ale wiem jedno: wielu ludzi umrze, a reszta będzie miała na głowie inne sprawy niż polityka.

Nie mogłem się nadziwić. Ta kobieta spędziła prawie całe życie w Skale... a ma pomysły jak jakiś żółtodziób - zniszczyć komunalne urządzenia kontrolne.

- Wyoming, gdybyś była równie mądra, jak piękna, nie mówiłabyś o wysadzeniu Mike'a w powietrze, zastanawiałabyś się, jak przeciągnąć go na waszą stronę.

- Jak to? - powiedziała. - Komputerami zarządza gubernator.

- Nie wiem, jak - przyznałem. - Ale nie uważam, żeby komputerami zarządzał gubernator - on nie potrafi odróżnić komputera od kupy kamieni. Gubernator, czy raczej jego sztab, ustala taktykę, przygotowuje ogólne plany. Technicy-niedouki wpisują je w Mike'a. Mike czyta je, próbuje nadać im jakiś sens, układa je we właściwej kolejności i utrzymuje wszystko w ruchu. Ale Mikiem nikt nie zarządza; on jest na to za mądry. Wykonuje rozkazy, bo tak jest skonstruowany. Ale stanowi samoprogramujący układ logiczny, sam podejmuje decyzje. I Bohu dzięki, bo gdyby nie był mądry, to wszystko by się rozleciało.

- Nadal nie rozumiem, jak mamy "przeciągnąć go na naszą stronę".

- Och. Mike nie ma wpisanej lojalności wobec gubernatora. Jak już wspomniałaś: jest maszyną. Ale gdybym chciał unieszkodliwić telefony, nie uszkodzając klimatyzacji, wodociągów czy elektryczności, pogadałbym z Mikiem. Jeśli on stwierdzi, że to śmieszne, może to zrobić.

- Czy nie można by mu tego zaprogramować? O ile dobrze rozumiem, możesz wchodzić do tej sali, w której on jest.

- Gdybym ja - albo ktokolwiek inny - wprowadził do Mike'a takie polecenie, nie pogadawszy z nim o tym, realizacja programu została by zawieszona i rozdzwoniłoby się mnóstwo alarmów. Ale gdyby Mike c h c i a ł... - Opowiedziałem jej o czeku na bajońską sumę. - Mike jeszcze nie odnalazł siebie, Wyoh. I jest samotny. Wyznał mi, że jestem "jego jedynym przyjacielem" - czasami jest taki bezradny i szczery, że aż chce mi się płakać. Gdybyś ty też zechciała zaprzyjaźnić się z nim - nie myśląc o nim jako o "zwykłej maszynie" - no, nie wiem, co by zrobił, nie zastanawiałem się nad tym. Ale gdybym szykował coś niebezpiecznego, coś na wielką skalę, wolałbym mieć Mike'a za sojusznika.

- Szkoda, że nie mogę jakoś wśliznąć się do tej sali, gdzie on jest - powiedziała w zamyśleniu. - Makijaż chyba na nic się nie przyda?

- Och, nie musisz tam i ś ć. Mike ma telefon. Zadzwonimy do niego?

Wstała.

- Mannie, jesteś nie tylko najdziwniejszym człowiekiem, jakiego znam, ale i najbardziej irytującym. Jaki jest jego numer?

- Tak to bywa, kiedy zbyt wiele czasu spędza się z komputerem. - Podeszedłem do telefonu. - Jeszcze jedno, Wyoh. Wystarczy, żebyś zatrzepotała rzęsami albo zafalowała swymi wdziękami, a każdy mężczyzna da się dla ciebie posiekać.

- No... czasami. Ale mam także mózg.

- Korzystaj z niego. Mike n i e jest mężczyzną. Nie ma gonad. Nie ma hormonów. Nie ma instynktów. Damska taktyka to dla niego pusty sygnał. Wyobraź go sobie jako supergenialnego dzieciaka, za małego, żeby docenić sex appeal.

- Zapamiętam to. Mannie, dlaczego mówisz o nim per "on"?

- Hm, nie mogę mówić o nim per "ono", a nie myślę o nim per "ona".

- Może ja powinnam myśleć o nim per "ona". To znaczy, myśleć o niej per "ona".

- Jak uważasz. - Wystukałem MYCROFTXXX, zasłaniając klawisze ciałem; wolałem nie zdradzać jej numeru, póki nie zobaczę, co z tego wyniknie. Dyskusja na temat wysadzenia Mike'a w powietrze wstrząsnęła mną. - Mike?

- Czołem, Man, mój jedyny przyjacielu.

- Może teraz nie będę już twoim jedynym przyjacielem, Mike. Chcę ci kogoś przedstawić. Kogoś nie-głupiego.

- Wiedziałem, że nie jesteś sam, Man; słyszę oddech. Czy poprosisz Nie-głupią, aby podeszła do telefonu?

Wyoming wyglądała na wystraszoną.

- Czy on w i d z i? - szepnęła.

- Nie, Nie-głupia, nie widzę cię; ten telefon nie posiada obwodu wideo. Ale stereofoniczne mikrofony umożliwiają stosunkowo dokładną lokalizację. Z twego głosu, oddechu i rytmu serca, tudzież z faktu, iż znajdujesz się w pokoju hotelowym sam na sam z dorosłym mężczyzną, dedukuję, że jesteś człowiekiem płci żeńskiej, o masie powyżej 65 kg, w wieku dojrzałym, w przybliżeniu 30 lat.

Wyoming wciągnęła powietrze do płuc. Wtrąciłem się:- Mike, przedstawiam ci Wyoming Knott.

- Bardzo miło mi cię poznać, Mike. Możesz mi mówić “Wye”.

- Why not? - odrzekł Mike.

Znów się wtrąciłem:- Mike, czy to był dowcip?

- Tak, Man. Zauważyłem, że skrócona postać jej imienia różni się od angielskiego pytajnego zaimka przyczynowego jedynie brakiem aspiracji[7], nazwisko zaś stanowi homofon ogólnego zaimka przeczącego. Kalambur. Nie śmieszny?

- Strasznie śmieszny, Mike. Już... - odezwała się Wyoh.

Machnąłem na nią, żeby się przymknęła.

- Dobry kalambur, Mike. Przykład dowcipu z kategorii “śmiesznych tylko raz”. Śmieszny dzięki elementowi zaskoczenia. Za drugim razem nie zaskakuje, a więc nie śmieszny. Pamiętasz?

- Doszedłem do tego roboczego wniosku na temat kalamburów, przemyślawszy twe uwagi z naszej przedostatniej konwersacji. Cieszę się, że potwierdzasz moje rozumowanie.

- Brawo, Mike, robisz postępy. Te sto dowcipów - przeczytaliśmy je, ja i Wyoh.

- Wyoh? Wyoming Knott?

- Co? Och, oczywiście. Wyoh, Wye, Wyoming, Wyoming Knott - to to samo. Byłeś nie mówił do niej “Why not”.

- Obiecałem, że nie wykorzystam już tego kalamburu, Man. Gospoża, czy mam nazywać cię

“Wyoh” zamiast “Wye”? Przypuszczam, że ze względu na niedostateczną redundancję formę monosylabiczną można wziąć za monosylabiczny zaimek pytajny, nawet przy nieobecności intencji humorystycznej.

Wyoming zamrugła - w tych czasach Mike’owy styl wysławiania się naprawdę zatykał dech w piersi - ale stawiała czoło sytuacji.

- Oczywiście, Mike. “Wyoh” to dla mnie ulubiona forma mojego imienia.

- Toteż będę się nią posługiwał. Mylna interpretacja pełnej formy twego imienia jest jeszcze bardziej prawdopodobna, gdyż jest ona homofonem nazwy regionu administracyjnego w Północno-Zachodniej Strefie Gospodarczej Dyrektoriatu Północnoamerykańskiego.

- Wiem. Urodziłam się tam, i moi rodzice nadali mi imię stanu. Niewiele pamiętam z tamtych czasów.

- Wyoh, tak żałuję, że łącze to nie pozwala na przesyłanie obrazów. Wyoming to prostokątny obszar leżący pomiędzy 41 a 45° terrańskiej szerokości geograficznej północnej oraz 104°3’ a 111°3’ długości geograficznej zachodniej, a więc zajmujący powierzchnię 253,597,26 km. Jest to kraina płaskowyżów i gór, niezbyt urodzajna, lecz ceniona za swe naturalne piękno. Niegdyś była rzadko zaludniona, lecz w wyniku podplanu relokacji Programu Odrodzenia Urbanistycznego Wielkiego Nowego Jorku w latach 2025-2030 nastąpił znaczny wzrost liczby mieszkańców.

- To było jeszcze przed moim urodzeniem - powiedziała Wyoh - ale wiem o tym; moi dziadkowie zostali zrelokowani i w ostatecznym rezultacie ja trafiłam do Luny.

- Czy mam kontynuować informację o obszarze zwanym “Wyoming”? - spytał Mike.

- Nie, Mike - wtrąciłem - pewnie masz w pamięci materiału na całe godziny.

- 9,73 godziny przy normalnej prędkości mowy, nie licząc dodatkowych odnośników, Man.

- Tego się obawiałem. Może Wyoh zechce kiedyś tego wysłuchać. Ale zadzwoniłem do ciebie po to, by zapoznać cię z tą Wyoming... która również jest wysoko położoną krainą naturalnego piękna i majestatycznych gór.

- I niezbyt urodzajną - dodała Wyoh. - Mannie, jeśli masz robić głupie porównania, to dorzuć i to. Mike’a nie interesuje mój wygląd.

- Skąd wiesz? Szkoda, Mike, że nie mogę pokazać ci jej zdjęcia.

- Wyoh, zaiste interesuje mnie twój wygląd; mam nadzieję, że zostaniesz moją przyjaciółką. Ale widziałem cię już na zdjęciach.

- C z y ż b y? Kiedy i jak?

- Odszukałem je i obejrzałem, gdy tylko usłyszałem twoje nazwisko. Wypełniam obowiązki

kustosza archiwum Kliniki Położniczej w Hongkongu, Luna. Oprócz informacji biologicznych i fizjologicznych bank danych zawiera 96 twoich fotografii. Obejrzałem je więc.

Wyoh zrobiła bardzo przerażoną minę.

- Mike to potrafi - wyjaśniłem jej - zajmuje mu to tyle czasu, co nam czknięcie. Przyzwyczajasz się do tego.

- Ale na Boha! Mannie, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, j a k i e zdjęcia robią w Klinice?

- Nie myślałem o tym.

- To nie myśl! Jasny gwint!

Mike odezwał się głosem boleśnie nieśmiałym, zakłopotany jak szczeniak, który zrobił coś nie tak:

- Gospoża Wyoh, jeśli uraziłem cię, to nieumyślnie - i jest mi niewymownie przykro. Mogę wymazać te zdjęcia z pamięci operacyjnej i wprowadzić zastrzeżenie do archiwum Kliniki, dzięki któremu będę mógł oglądać je jedynie na polecenie Kliniki, a to bez żadnych skojarzeń ani rozmyślań. Czy mam tak uczynić?

- On to potrafi - zapewniłem ją. - Z Mikiem zawsze można zacząć od nowa - pod tym względem jest lepszy od ludzi. Potrafi zapomnieć tak dokładnie, że nie będzie go już kusiło, by na nie spojrzeć... i nie będzie o nich myśleć, nawet jeśli otrzyma polecenie wprowadzenia ich do pamięci. Więc skorzystaj z jego oferty, jeśli masz jakieś ale.

- Eee... nie, Mike, ty możesz je oglądać. Ale n i e pokazuj ich Mannie'emu!

Mike strasznie długo się zastanawiał - co najmniej przez cztery sekundy. Był to chyba jeden z tych dylematów, które przyprawiają mniejsze komputery o załamania nerwowe. Ale on uporał się z nim.

- Man, mój jedyny przyjacielu, czy mam przyjąć tę instrukcję?

- W programuj ją, Mike - odpowiedziałem - i nałóż na nią blokadę. Ale, Wyoh, czy to nie pruderia? Nie ma się czego wstydzić. Mike może wydrukować mi te zdjęcia, kiedy go odwiedzę.

- Ze skojarzeniowej analizy tego typu danych - podpowiedział Mike - wnoszę, że pierwsza pozycja każdej serii posiada zalety estetyczne, mogące zadowolić każdego dorosłego i zdrowego człowieka płci męskiej.

- Co ty na to, Wyoh? Odwdzięczysz mi się za strudel.

- Eee... zdjęciami, na których mam włosy upchnięte pod ręcznik, twarz bez makijażu i stoję przed podziałką na ścianie? C z y t o b i e c a ł k i e m o d b i ł o? Mike, nie pozwól mu dobrać się do nich!

- Nie pozwolę. Man, czy ta osoba jest nie-głupia?

- Jak na kobietę, całkiem. Kobiety to ciekawe stworzenia, Mike; wyciągają wnioski dysponując nawet mniejszą ilością danych niż ta, której ty potrzebujesz. Może zmienimy temat i zajmiemy się dowcipami?

To był dobry pomysł. Odczytaliśmy oceny i przedstawiliśmy nasze wnioski. Potem spróbowaliśmy wyjaśnić Mike'owi te dowcipy, których nie zdołał zrozumieć. Ze zmiennym powodzeniem. Ale prawdziwe schody zaczęły się, kiedy zajęliśmy się dowcipami, które ja oceniłem jako "śmieszne", a Wyoh jako "nieśmieszne" albo vice versa. Wyoh spytała Mike'a, co sądzi o każdym z nich.

Lepiej by było, gdyby zapytała go, zanim my się wypowiedzieliśmy; ten elektroniczny chuligan niezmiennie zgadzał się z nią i nie zgadzał się ze mną. Czy naprawdę tak uważał? Czy chciał podliznąć się nowej znajomej? A może była to oznaka jego zwichrowanego poczucia humoru - może żartował sobie ze mnie? Nie pytałem go o to.

Ale pod koniec tej dyskusji Wyoh napisała na bloku przy telefonie: "Mannie, ad 17, 51, 53, 87, 90 i 99 - Mike to o n a!"

Wzruszyłem na to ramionami i wstałem.

- Mike, nie spałem od 22 godzin. Wy, dzieciaczki, możecie nagadać się do syta. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Dobranoc, Man. Śpij dobrze. Wyoh, czy jesteś senna?

- Nie, Mike, już się zdrzemnęłam. Ale, Mannie, będziemy ci przeszkadzać. Nie?

- Nie. Kiedy chce mi się spać, to śpię. - Zacząłem rozkładać pościel na kanapie.

Wyoh powiedziała: - Przepraszam na moment, Mike - wstała i odebrała mi prześcieradło.

- Sama sobie pościelę. Ty śpisz na łóżku, towarzyszc - jesteś większy. Kładź się.

Byłem zbyt zmęczony na klótnie, położyłem się i natychmiast zasnąłem. Wydawało mi się, że przez sen słyszę chichot i piski, ale nie przebudziły mnie na tyle, żebym był pewien.

Wreszcie zbudziłem się i otrzeźwiałem, uświadomiwszy sobie, że słyszę dwa damskie głosy - ciepły kontralt Wyoh i słodki, wysoki sopran mówiący z francuskim akcentem. Wyoh zaśmiała się z czegoś i powiedziała:

- W porządku, Michelle, wkrótce do ciebie zadzwonię. Dobranoc, kochanie.

- Świetnie. Dobranoc, moja droga.

Wyoh wstała i odwróciła się.

- Z kim rozmawiałaś? - spytałem. Myślałem, że nie zna nikogo w Luna City. Może zadzwoniła do przyjaciółki do Hongkongu... byłem rozespany, ale coś mi mówiło, że nie powinna była tego zrobić.

- Z kim? Ależ z Mikiem. Staraliśmy się nie zbudzić cię.

- Co?

- Och. Właściwie to była Michelle. Rozmawiałam o tym z Mikiem, o tym, jakiej jest płci. Stwierdził, że może być obiema płciami. Więc teraz ona nazywa się Michelle, a to był jej głos. Świetnie go opanowała; ani jednej fałszywej nuty.

- Żadna sztuka; wystarczy przestroić woder o parę oktaw. Co ty knujesz: chcesz przyprawić go o rozdwojenie jaźni?

- To nie tylko kwestia tembru; kiedy ona jest Michelle, całe jej zachowanie i światopogląd zmienia się. Nie martw się rozdwojeniem jaźni; ona ma niezliczone mnóstwo jaźni. Poza tym, Mannie, teraz czujemy się znacznie swobodniej. Kiedy zmieniła płeć, mogliśmy się odprężyć i porozmawiać od serca, po babsku, jakbyśmy znały się od wieków. Na przykład, nie żenowała mnie już sprawa tych głupich zdjęć - szczerze mówiąc, dużo mówiliśmy o moich ciążach. Bardzo zainteresowało to Michelle. Świetnie zna się na ginekologii i położnictwie i tak dalej, ale tylko w teorii - i ucieszyła się, że mogę opowiedzieć jej o tym, jak to naprawdę wygląda. Wiesz, Mannie, z Michelle jest prawdziwsza kobieta niż z Mike'a mężczyzna.

- Cóż... a więc wszystko w porządku. Trochę bym się zdziwił, gdybym zadzwonił do Mike'a i usłyszał głos kobiety.

- Och, nie usłyszałyś jej!

- Co?

- Michelle to mój a przyjaciółka. Ty będziesz rozmawiać z Mikiem. Dała mi swój numer, żeby nic się nie pomyliło - "Michelle" pisane przez "Y". M, Y, C, H, E, L, L, E, plus Y, Y, żeby było dziesięć liter.

Poczułem coś w rodzaju zazdrości, choć wiedziałem, że to głupie. Nagle Wyoh zachichotała.

- I opowiedziała mi mnóstwo nowych dowcipów, takich, które wcale by cię nie rozśmieszyły - i, wiesz, stary, to były naprawdę m o c n e dowcipy!

- Mike - czy też jego siostra Michelle - to nikczemne stworzenie. Pościelę sobie na kanapie. Teraz ty śpisz na łóżku.

- Zostań, gdzie jesteś. Nie gadaj już. Przewróć się na drugi bok. Śpij. - Przestałem gadać, przewróciłem się na drugi bok i zasnąłem.

W jakiś czas potem poczułem się "po mężowsku" - coś ciepłego przytuliło się do mojego

grzbietu. Nie zbudziłoby mnie to, ale ona łkała. Odwróciłem się, położyłem jej głowę na moim ramieniu, nic nie mówiłem. Przestała łkać; wkrótce oddychała już powoli i równo. Zasnąłem.

ROZDZIAŁ V

Chyba spaliśmy jak zabici, bo zbudził mnie dopiero brzęczyk telefonu i migotanie jego lampki. Zawołałem o światło, zacząłem się unosić z posłania, stwierdziłem, że coś przytrzymuje moje prawe ramię, ostrożnie przeniosłem ten ciężar, wstałem i odebrałem telefon.

- Dzień dobry, Man - powiedział Mike. - Profesor de la Paz rozmawia z twoim domem.

- Czy mógłbyś połączyć go ze mną? Jako "Sherlocka"?

- Oczywiście, Man.

- Nie przerywaj rozmowy. Połącz go, kiedy skończy. Gdzie on jest?

- Przy publicznym telefonie w pubie "U Żony Górnika", pod...

- Wiem. Mike, czy mógłbyś nie wychodzić z linii, kiedy połączysz go ze mną? Chciałbym, żebyś się przysłuchiwał.

- Tak będzie.

- Nie wiesz, czy ktoś może go słuchać? Słyszysz oddech?

- Z braku pogłosu wnoszę, że mówi on pod kapturem wytłumiającym. Aczkolwiek należy się także spodziewać, że w pubie są inni ludzie. Czy chcesz posłuchać, Man?

- Eee, tak. Podłącz mnie na linię. I powiedz mi, jeśli podniesie kaptur. Spryciarz z ciebie, Mike.

- Dziękuję, Man. - Mike włączył mnie na linię. Usłyszałem głos Mamy:

- ...ście, że mu powtórzę, Profesorze. Tak mi przykro, że Manuela nie ma w domu. Czy nie może pan zostawić swojego telefonu? On bardzo chce skontaktować się z panem; nalegał, żebym poprosiła o pana numer.

- Jest mi niewymownie przykro, szanowna pani, ale zaraz wychodzę. Lecz pomyślmy, jest teraz 8.15; jeśli można, spróbuję zadzwonić do pani punktualnie o dziewiątej.

- Bardzo proszę, Profesorze. - W głosie Mamy dźwięczała zalotna nuta, zarezerwowana dla nieżonatych z nią mężczyzn, którzy przypadli jej do gustu - czasami dla nas. W chwilę później Mike powiedział: - Teraz! - i odezwałem się:

- Czołem, Profesorze. Słyszałem, że mnie pan szuka. Mówi Mannie.

Usłyszałem zaskoczone westchnienie.

- Przysięgłbym, że wyłączyłem ten telefon. Ależ tak, w y ł ą c z y ł e m go; widocznie jest popsuty. Manuel - jak dobrze słyszeć twój głos, drogi chłopcze. Czyżbyś właśnie wrócił do domu?

- Nie jestem w domu.

- Ależ... ależ musisz być w domu. Przecież nie...

- Nie mamy na to czasu, Profesorze. Czy ktoś pana słucha?

- Nie sędzę. Mówię spod kaptura.

- Szkoda, że tego nie widać. Profesorze, kiedy są moje urodziny?

Zawahał się. Wreszcie powiedział:- Rozumiem. Chyba rozumiem. Czternastego lipca.- Jestem przekonany. Okay, możemy rozmawiać.- Czy naprawdę nie jesteś w domu, Manuelu? Gdzie jesteś?

- O tym za chwilę. Pytał pan moją żonę o pewną dziewczynę. Nazwisko nieważne. Dlaczego jej pan szuka, Profesorze?

- Chcę ją ostrzec. N i e wolno jej wracać do rodzinnego miasta. Zostałaby aresztowana.

- Dlaczego tak pan uważa?

- Drogi chłopcze! Wszystkim, którzy byli obecni na zebraniu, grozi wielkie niebezpieczeństwo. Tobie także. Bardzo się ucieszyłem - choć i zdziwiłem - słysząc, że nie jesteś w domu. Nie wracaj na razie do domu. Jeśli możesz zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu, to zrób sobie wakacje. Przecież zdajesz sobie sprawę - mimo że opuściłeś zebranie w wielkim pośpiechu - że doszło na nim do przemocy.

Zdawałem sobie sprawę! Zabójstwo gubernatorskich gwardzistów musi stanowić naruszenie przepisów Zarządu - tak bym to przynajmniej zinterpretował, gdybym był gubernatorem.

- Dzięki, Profesorze, będę uważał. I jeśli zobaczę dziewczynę, to powiem jej o tym.

- Czy nie wiesz, gdzie można by ją znaleźć! Podobno wyszliście razem, i miałem nadzieję, że dowiem się czegoś od ciebie.

- Dlaczego tak to pana interesuje, Profesorze? Wczoraj wieczorem chyba nie był pan po jej stronie.

- Nie, nie, Manuelu! Ona jest moją towarzyszką. Nie mówię "towariszczem", bo używam tego słowa nie z uprzejmości, a w jego dawnym znaczeniu. Wiążącym. To moja t o w a r z y s z k a. Mamy jedynie odmienne poglądy na taktykę. Lecz nie na cele i obowiązki.

- Rozumiem. W takim razie może pan uznać wiadomość za doręczoną. Powtórzę jej.

- Och, wspaniale! O nic nie pytam... ale mam nadzieję, bardzo wielką nadzieję, że zdołasz ją ukryć w jakimś naprawdę bezpiecznym miejscu, dopóki nie ucichnie ta awantura.

Przemyślałem to sobie.

- Chwileczkę, Profesorze. Proszę się nie wyłączać.

Gdy odbierałem telefon, Wyoh skierowała się do łazienki, pewnie po to, żeby nie słuchać; taka już była. Zastukałem do drzwi.

- Wyoh?

- Zaraz wychodzę.

- Potrzebuję rady.

Otworzyła drzwi.

- Tak, Mannie?

- Jaką pozycję zajmuje w twojej organizacji Profesor de la Paz? Czy ufacie mu? Czy ty mu ufasz?

Zamyśliła się.

- Za wszystkich obecnych na zebraniu ktoś ręczył. Ale nie znam go.

- Mmm. Co o nim sądzisz?

- Spodobał mi się, choć kłócił się ze mną. Czy ty coś o nim wiesz?

- Och, tak, znam go od dwudziestu lat. Ja mu ufam. Ale nie wiem, czy ty możesz mu ufać. Kłopoty - chodzi o twoją butlę z tlenem, nie o moją.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Mannie, skoro ty mu ufasz, to ja ufam mu równie mocno. Wróciłem do telefonu.

- Profesorze, czy pan się ukrywa?

Zachichotał.- Właśnie tak, Manuelu.

- Zna pan norę zwaną Grand Hotel Raffles? Pokój L, dwa piętra pod recepcją. Czy może pan dostać się tu niepostrzeżenie, czy jadł pan śniadanie, co chciałby pan zjeść na śniadanie?

Znów zachichotał.

- Manuelu, nauczyciel, który widzi, że wychował choć jednego dobrego ucznia, czuje, że nie

zmarnował życia. Wiem, gdzie to jest, przyjdę tam po cichu, jestem jeszcze na czczo, a jadam wszystko, co się nie rusza.

Wyoh zaczęła składać łóżka; podszedłem, by jej pomóc.

- Co chcesz na śniadanie?

- Czaj i grzankę. Może sok.

- Za mało.

- Cóż... jajko na miękko. Ale zapłacę za siebie.

- Dwa jajka na miękko, grzanka z masłem i dżemem, sok. Zagramy w kości, kto ma płacić.

- Twoje kości czy moje?

- Moje. Są podrasowane. - Podszedłem do windy, wyświetliłem menu, zobaczyłem pozycję: LEKARSTWO NA KACA - WSZYSTKO W PODWÓJNYCH PORCJACH - *sok pomidorowy, jajecznica, stek z szynki, frytki, płatki kukurydziane z miodem, grzanki, masło, mleko, herbata lub kawa - 4,50 dol. HKL dla dwóch osób* - zamówiłem porcję dla dwóch osób, nie chcąc ogłaszać, że będzie nas troje.

Gdy wypucowaliśmy się do połysku, sprzątnęliśmy pokój i przygotowali stół do śniadania, a Wyoh przebrała się z czarnego garnituru w czerwoną sukienkę, "jako że oczekujemy gościa" - zabręczała winda. Zmiana stroju Wyoh spowodowała małą scysję. Przybrała wdzięczną pozę, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Mannie, tak mi się podoba ta suknia. Skąd wiedziałaś, że będzie mi w niej do twarzy?

- Geniusz.

- Chyba rzeczywiście jesteś geniuszem. Ile kosztowała? Muszę ci oddać.

- Była z przeceny, 50 centów Zarządu.

Zmarszczyła brwi i tupnęła nogą. Była boso i nie wywołała zamierzonego efektu dźwiękowego, za to podskoczyła na pół metra.

- Pomyślnego lądowania! - zawołałem, gdy ona, w najlepszym żółtodziobskim stylu, mełła rękoma, chcąc się czegoś uchwycić.

- Manuelu O'Kelly! Nie myśl, że przyjmę kosztowną odzież od mężczyzny, z którym nawet nie sypiam!

- Łatwo temu zaradzić.

- Świntuch! Powiem twoim żonom!

- Proszę bardzo. Mama i tak myśli o mnie jak najgorzej. - Podeszedłem do windy i zacząłem wystawiać naczynia; zabręczały drzwi. Pstryknąłem głośniczką.

- Kto idzie?

- Wiadomość dla gospodina Smitha - zaskrzeczał starczy głos. - Dla gospodina Bernarda O. Smitha.

Odsunąłem zasuwę i wpuściłem Profesora Bernarda de la Paz. Wyglądał jak ostatni śmieć - brudny, w brudnych ciuchach, nieuczesany, ze sparaliżowaną połową ciała i wykręconą dłonią, z bielmem na oku - wypisz, wymaluj, jeden z tych starych włóczęgów, co to sypiają w Dolnej Alei i żebrzą o alkohol i peklowane jajka w tanich pubach. Do tego się ślinił.

Ledwo zarygłowałem drzwi, wyprostował się, przestał wykrzywiać twarz, złożył ramiona na mostku, obejrzał sobie Wyoh od stóp do głów, wciągnął powietrze jak karateka i gwizdnął.

- Piękniejsza, niż pamiętam! - powiedział.

Była nadal wściekła, ale uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Profesorze. Ale to niepotrzebne. Jesteśmy tu jako towarzysze.

- Señorita, w dniu, gdy polityka nie pozwoli mi na zachwycanie się pięknem, rzucę politykę. Lecz jest pani cudowna. - Zaczął uważnie rozglądać się po pokoju.

- Profesorze, stary świntuchu - powiedziałem - niech pan nie szuka dowodów. W nocy zajmowaliśmy się polityką, t y l k o polityką.

- To kłamstwo! - rozogniła się Wyoh. - Opierałam mu się przez pół nocy! Ale jest dla mnie za silny. Profesorze - jakie sankcje stosuje partia w takich przypadkach? Tu, w Luna City?

Profesor zacmokał i łypnął okiem z bielmem.

- Manuelu, jestem wstrząśnięty. To nie żarty, moja droga - zazwyczaj eliminacja. Ale musimy zbadać okoliczności. Czy przysłaś tu z własnej woli?

- On mnie przyciągnął.

- "Zaciągnął", młoda damo. Nie zachwaszczajmy języka. Czy masz siniaki na dowód?

- Jajka stygną - powiedziałem. - Czy nie można wyeliminować mnie po śniadaniu?

- Znakomity pomysł - zgodził się Profesor. - Manuelu, czy odstąpiłbyś litr wody swemu staremu nauczycielowi, by mógł się ochędożyć?

- Proszę, ile pan sobie życzy. Ale niech pan tego nie przeciąga, bo dostanie pan tyle, co najmniejsza sroczka.

- Dziękuję, sir.

Zniknął; rozległy się dźwięki mycia zębów i szorowania. Razem z Wyoh skończyliśmy zastawiać stół.

- “Siniaki” - powiedziałem. - “Opierałam się przez pół nocy.”

- Zasłużyłeś na to, znieważyłeś mnie.

- J a k?

- Nie znieważając mnie, ot, jak. Po tym, jak mnie przyciągnąłeś.

- Mmm. Poproszę Mike’a, żeby to zanalizował.

- Michelle by to zrozumiała. Mannie, czy mogę zmienić zdanie i poprosić o odrobinę szynki?

- Połowa dla ciebie. Profesor jest półwegetarianinem. - Profesor wyszedł z łazienki; może nie wyglądał tak żwawo, jak zwykle, ale był czysty, schludny i uczesany, znów porobiły mu się dołki w policzkach, a oczy lśniły wesoło - zdjął sztuczne bielmo. - Jak pan to robi, Profesorze?

- Mam wielką wprawę, Manuelu; zajmuję się tym fachem znacznie dłużej niż wy, młodzieniaszki. Pewnego razu, wiele lat temu, w Limie - przepiękne miasto - zaryzykowałem w śliczny letni dzień przechadzkę bez kamuflażu... i wylądowałem na zesłaniu. Cóż za wspaniały stół!

- Niech pan usiądzie przy mnie, Profesorze - zaprosiła go Wyoh. - Nie chcę siedzieć obok niego. Gwałciciel!

- Przypominam - powiedziałem - najpierw jemy, potem mnie eliminujemy. Profesorze, niech pan sobie nałoży i opowie, co się stało wczoraj wieczorem.

- Czy mogę zaproponować zmianę porządku posiedzenia? Manuelu, życie spiskowca nie jest łatwe, i nie było cię jeszcze na świecie, gdy ja nauczyłem się nie mącić rozkoszy podniebienia polityką. To tylko zakłóca wydzielanie soków żołądkowych i wywołuje wrzody, zawodową chorobę działaczy podziemia. Mmm! Ładnie pachnie ta ryba.

- Ryba?

- Ten różowy łosoś - odparł Profesor, wskazując na szynkę.

W jakiś czas potem, bez pośpiechu, dotarliśmy do kawy wzgl. herbaty. Profesor oparł się wygodnie o stół, westchnął i powiedział:

- Bolszoje spasibo, gospoża i gospodin. Takk for mat[8], wyborny posiłek. Nie pamiętam już,

kiedy ostatnio tak chciało mi się żyć. Ach, prawda! Wczorajszy wieczór - nie przyglądałem się obradom zbyt dokładnie, bo kiedy wy przeprowadzaliście cudowny taktyczny odwrót, ja akurat ratowałem swój umysł, by mógł jeszcze posłużyć Sprawie - zmywałem się. Jednym płaskotorowym skokiem dotarłem za kulisy. Kiedy wreszcie odważyłem się zza nich wyrzeć, było już po zabawie, większość gości wyszła, natomiast wszystkie żółtki leżały martwe.

(Uwaga: Poprawka; później dowiedziałem się o czymś. Kiedy zaczęła się rozróżba, a ja próbowałem doprowadzić Wyoh do drzwi, Profesor wyciągnął pistolet i strzelając ponad głowami, sprzątnął trzech goryli przy głównym wejściu, włącznie z tym z laryngomegafonem. Jak przemycił broń do Skały - albo jak wypruł ją z siebie potem - nie wiem. Ale strzały Profesora wraz z akcją Krasnala przechyliły szalę; ani jeden żółtek nie uszedł z życiem. Kilkoro ludzi poparzyło, a czworo zginęło - ale reszta poradziła sobie w parę sekund, nożami, rękami i buciorami.)

- Może powinienem powiedzieć “wszystkie poza jednym” - mówił dalej Profesor. - Dwóch kozaków przy drzwiach, którymi wyszliście, uciszył nasz dzielny towarzysz Krasnal Mkrum... który, niestety, leżał na ich truchłach i sam umierał.

- Wiemy.

- Właśnie. Dulce et decorum. Jeszcze jeden, też w tych drzwiach, miał posiekaną twarz, ale jeszcze się ruszał; poddałem jego kark procesowi zwanemu w zawodowych kręgach na Ziemi tureckim nelsonem. Jego dusza powędrowała za resztą komanda. Tymczasem większość żywych wyszła. Zostałem tylko ja, Firm Nielsen, który przewodniczył zebraniu, i towarzyska zwana przez swych mężów “Mamcią”. Naradziłem się z towarzyszem Finnem i zaryglowaliśmy wszystkie drzwi. Trzeba było jeszcze posprzątać. Czy wiecie, co jest za sceną?

- Ja nie - powiedziałem. Wyoh pokręciła głową.

- Kuchnia i spiżarnia, które przydają się do bankietów. Podejrzewam, że rodzina Mamci prowadzi rzeźnię, gdyż usuwali zwłoki szybciej, niż Finn i ja nadążaliśmy z ich znoszeniem, w tempie ograniczonym jedynie przez przepustowość maszynki do mielenia mięsa i miski klozetowej. Mdło mi się zrobiło od tego widoku, więc zająłem się zbieraniem resztek z podłogi w sali klubu. Najtrudniej poszło nam z odzieżą, zwłaszcza z tymi quasi-wojskowymi mundurami.

- A co pan zrobił z laserami?

Profesor spojrzał na mnie łagodnie.

- Lasery? Oj, chyba się zdematerializowały. Zatrzymaliśmy wszelkie przedmioty znalezione przy ciałach naszych poległych towarzyszy - dla rodzin, do identyfikacji, na pamiątkę. Wreszcie wszystko wysprzątaaliśmy - może Interpol nie dałby się na to nabrać, ale nie widać, żeby w klubie wydarzyło się coś niedobrego. Naradziliśmy się, uznaliśmy, że na razie najlepiej zniknąć, i wyszliśmy pojedynczo, ja przez hermetyczne drzwi za sceną, wiodące na poziom 6. Następnie próbowałem porozumieć się z tobą, Manuelu, zaniepokojony o bezpieczeństwo twoje i tej uroczej damy. - Profesor skłonił się Wyoh. -To już koniec opowieści. Noc spędziłem w różnych kryjówkach.

- Profesorze - powiedziałem - ci gwardziści to byli żółtodzioby, nic jeszcze się nie nauczyli. Inaczej przegralibyśmy.

- Być może - zgodził się. - Ale nie przegralibyśmy z nikim.

- Jak to? Byli uzbrojeni.

- Mój chłopcze, czy widziałeś kiedyś psa boksera? Nie sądzę - w Lunie nie ma tak dużych psów. Bokser to rezultat specjalnej selekcji. Łagodny i inteligentny, w razie potrzeby zmienia się w groźnego mordercę.

My jesteśmy jeszcze dziwniejszą rasą. Nie znam na Terra żadnego miasta, w którym manieri i szacunek dla bliźniego stałyby tak wysoko, jak tu, w Lunie. W porównaniu z nami, terrańskie miasta - a znam wszystkie najważniejsze - to ostoje barbarzyństwa. A jednak Lunatyk jest równie niebezpieczny jak bokser. Manuelu, dziewięciu gwardzistów, nawet uzbrojonych po zęby, nie miałyby żadnych szans z taką watahą. Nasz pan i władca nie grzeszy rozsądkiem.

- Hm. Oglądał pan poranną gazetę, Profesorze? Albo TV?

- To drugie, owszem.

- Wieczorem nic o tym nie było w wiadomościach.

- Ani rano.

- Dziwne - powiedziałem.

- Co w tym dziwnego? - spytała Wyoh. - Od nas się nie dowiedzą - a mamy towarzyszy w każdej gazecie w Lunie...

Profesor pokręcił głową.

- Nie, moja droga. To nie takie proste. Cenzura. Czy wiesz, jak składa się nasze gazety?

- Niezupełnie. Jakoś maszynowo.

- Profesorowi chodzi o to - wyjaśniłem. - Teksty wiadomości opracowuje się w redakcjach. Dalej zajmuje się nimi główny komputer w Kompleksie Zarządu - miałem nadzieję, że zauważy: "główny komputer", a nie "Mike" - który otrzymuje je przez łącza telefoniczne. Wynajęty obwód czyta je, składa i przesyła do lokalnych drukarni. W nowoleńskim wydaniu Porannego Lunatyka, które drukuje się w Nowymlenie, są inne reklamy i wiadomości lokalne, a komputer zmienia to sam, bez instrukcji; ma stały program. Profesorowi chodzi o to, że zanim tekst wyjdzie z Kompleksu Zarządu, gubernator ma w niego wgląd. Tak samo we wszystkie wiadomości agencyjne, odbierane i nadawane - wszystko przechodzi przez ośrodek komputerowy.

- Sęk w tym - włączył się Profesor - że gubernator może wyciąć wiadomość. Nieważne, czy to zrobił. Albo - popraw mnie, Manuelu, jeśli się mylę, wiesz, że nie znam się na maszynierii - może

też wstawić własną wiadomość, choćbyśmy mieli nie wiadomo ilu towarzyszy w redakcjach.

- Właśnie - zgodziłem się. - W Kompleksie można wszystko dodać, usunąć albo zmienić.

- I na tym, señorita, polega słabość naszej Sprawy. Mass media i łączność. Ci goryle nie byli ważni - ale niezwykle ważne jest, że to gubernator, a nie my, zdecydował, czy wiadomość o ich losie ma się ukazać. Dla rewolucjonisty mass media i łączność to warunek sine qua non.

Wyoh spojrzała na mnie. Niemal usłyszałem, jak kipią jej przegrzane szare komórki. Postanowiłem więc zmienić temat.

- Profesorze, po co było usuwać ciała? Obrzydliwa robota, a do tego niebezpieczna. Nie wiem, ilu gubernator ma gwardzistów, ale mogło was nakryć następne komando.

- Wierz mi, chłopcze, że baliśmy się tego. Ale choć mam słaby żołądek, to ja wpadłem na ten pomysł i przekonałem do niego pozostałych. Och, to nie mój oryginalny pomysł, ale wspomnienie z utraconego czasu, odwieczna zasada.

- J a k a zasada?

- T e r r o r! Człowiek może stawić czoła znanemu złu. Ale nieznane przeraża go. Zdezintegrowaliśmy tych kapusiów wraz z zębami i paznokciami po to, by zastraszyć ich kamratów. Ja też nie wiem, jak wielu wojowników posiada gubernator, ale zaręczani ci, że dziś są mniej wojowniczy niż wczoraj. Ich kompanów wysłano z łatwym zadaniem. Nie wróciło n i c.

Wyoh zadrzała:

- Mnie też to przeraża. Nie wejdą już tak ochoczo do osiedla. Ale, Profesorze, mówi pan, że nie wie, ilu gwardzistów trzyma gubernator. Organizacja wie. 27. Skoro dziewięciu zginęło, pozostało 18. Może czas na pucz. Nie?

- Nie - odpowiedziałem.

- Czemu nie, Mannie? Słabsi już nie będą.

- Nie są jeszcze dość słabi. Zabiliśmy dziewięciu, bo byli na tyle głupi, żeby do nas przyjść. Ale jeśli gubernator zamknie się u siebie ze swoimi goryłami... Cóż, wczoraj dość się nasłuchiwałem na temat "ramię w ramię". - Zwróciłem się do Profesora. - Choć nadal fascynuje mnie fakt - o ile to fakt - że gubernator ma już tylko 18. Mówi pan, żeby Wyoh nie wracała do Hongkongu ani ja do domu. Ale czy coś nam grozi, skoro jest tylko 18? Może potem, kiedy dostanie posiłki, ale teraz, cóż, są cztery główne wyjścia z L-City plus mnóstwo mniejszych. Ilu mogą upilnować? Czy przeszkodzą Wyoh iść na Zachodnią Stację, odebrać skafander i spokojnie wrócić do domu?

- Może nie - przyznał Profesor.

- Ja muszę wracać - powiedziała Wyoh. - Nie mogę tkwić tu wiecznie. Jeśli mam się ukrywać, to lepiej w Hongkongu, gdzie znam ludzi.

- Może ci się uda, moja droga. Choć wątpię w to. Wczoraj widziałem na Zachodniej Stacji kolejki dwóch żółtków. Może już ich tam nie ma. Założmy, że nie. Idziesz na stację - powiedzmy, w przebraniu. Odbierasz skafander i jedziesz kolejką do Beluthihatchie. Gdy przesiadasz się na autobus do Endsville, zgarniają cię. Łączność. Nie muszą wystawiać posterunku na stacji; wystarczy, że ktoś cię tam zobaczy. Jeden telefon i cię mają.

- Ale zakładał pan, że jestem w przebraniu.

- Nie zmienisz swego wzrostu, a będą mieli oko na twój skafander. Będzie go pilnować ktoś, kogo nie podejrzewamy o kolaborację z gubernatorem. Najprawdopodobniej jeden z towarzyszy. - Na policzkach Profesora porobiły się dołki. - Konspiracja ma to do siebie, że gnije od wewnątrz. Wystarczy czwórka spiskowców i już jest 50% szans, że jedno z nich to szpieg.

- Czyli nie mamy żadnych szans - powiedziała posępnie Wyoh.

- Prawie żadnych, moja droga. Może jedną na tysiąc.

- Nie mogę w to uwierzyć. N i e wierzę w to! Od kiedy zaczęłam się udzielać, zdobyliśmy setki członków! Mamy oddziały we wszystkich większych miastach. Ludzie są z nami.

Profesor pokręcił głową.

- Każdy nowy członek to nowy potencjalny zdrajca. Wyoming, moja droga, rewolucji nie wygrywa się dzięki masom. Rewolucja to sztuka, i niewielu potrafi ją uprawiać. Opiera się ona na właściwej organizacji i, przede wszystkim, na łączności. Dopiero z tym można uderzyć, w odpowiednim historycznie momencie. Przy właściwej organizacji i właściwym wyborze czasu wystarczy bezkrwawy przewrót. Niezręczność lub niecierpliwość prowadzi do wojny domowej, rozruchów, czystek, terroru. Wybacz mi, ale muszę stwierdzić, że dotychczas działaliście niezręcznie.

Wyoh zbiło z tropu.

- Co to za "właściwa organizacja"?

- Funkcjonalna. Jak się projektuje silnik elektryczny? Czy wbudowałabyś w niego wannę dlatego tylko, że masz ją pod ręką? Czy potrzebny jest do niego bukiet kwiatów? Albo kupa kamieni? Nie, wykorzystuje się jedynie elementy niezbędne do jego działania i nie projektuje się większego silnika niż jest potrzebny. Ponadto konstrukcja musi obejmować zabezpieczenia. Przeznaczenie określa postać.

Tak samo jest z rewolucją. Organizacja powinna być jak najmniej liczna - n i g d y nie należy przyjmować kogoś, kto po prostu chce do niej wstąpić. Ani przekonywać po to tylko, by inni dzielili nasze poglądy. Przyjmą je, gdy nadejdzie właściwa chwila... a jeśli nie, to znaczy, że wybraliśmy zły moment. Och, należy stworzyć program uświadamiania, ale jako osobne jednostki; agitprop nie stanowi części głównej struktury.

Zajmijmy się więc główną strukturą: rewolucja zaczyna się od spisku, toteż struktura powinna być niewielka, tajna i zorganizowana tak, by zminimalizować straty spowodowane przez zdrajców -

bo zdrajcy z a w s z e byli i będą. Najlepsze rozwiązanie to system komórkowy; do tej pory nie wymyślono lepszego.

Dużo atramentu wylano przy rozważaniach nad optymalną wielkością komórki. Moim zdaniem historia dowodzi, że najlepsza jest komórka trzyosobowa - więcej osób nie dogada się nawet, kiedy zjeść razem obiad, nie mówiąc już o zdecydowaniu się na strajk. Manuelu, masz dużą rodzinę; czy głosujecie nad porą kolacji?

- Boże, nie! Mama ją ustala.

- Ach. - Profesor wyjął z sakwy notatnik i zaczął w nim rysować. - Oto drzewo komórek trzyosobowych. Gdybym chciał przejąć władzę nad Luną, zacząłbym od naszej trójki. Wybralibyśmy spośród siebie przewodniczącego. Nie bawilibyśmy się w głosowanie, wybór byłby oczywisty - chyba że źle się dobraliśmy. Znalibyśmy następnym dziewięciu, trzy komórki... ale każda komórka znałaby tylko jedno z nas.

- Wygląda to jak wykres komputerowy - logika trójkowa.

- Czyżby? Na następnym poziomie łączność można zorganizować na dwa sposoby: Ten towarzysz, na drugim poziomie, zna szefa swej komórki i dwóch pozostałych członków swej komórki, a na trzecim poziomie zna trzech członków swej podkomórki - podkomórki swych kolegów może znać albo nie. Pierwsza metoda sprzyja bezpieczeństwu, druga umożliwi dwukrotnie szybszą odbudowę struktury po wyspie. Powiedzmy, że nasz przyjaciel nie zna podkomórek swych kolegów - Manuelu, ilu może on zdradzić? Nie mów, że nie zdradzi; w dzisiejszych czasach każdego można poddać praniu mózgu, włącznie z krochmaleniem i prasowaniem, i przerobić, na co się chce. A więc, ilu?

- Sześciu - odpowiedziałem. - Swego szefa, dwóch kolegów, trzy osoby z podkomórki.

- Siedmiu - poprawił Profesor - zdradza też siebie. Pozostaje do odbudowy siedem ogniw na trzech poziomach. Jak?

- To chyba niemożliwe - sprzeciwiła się Wyoh. - Wszystko będzie tak poszatkwane, że rozleci się na kawałki.

- Manuelu? Ćwiczenie dla ucznia.

- Cóż... chłopcy z dołu muszą przesłać jakoś wiadomość o trzy poziomy wzwyż. Nie muszą wiedzieć do kogo, wystarczy, że wiedzą dokąd.

- Właśnie!

- Ale, Profesorze - mówiłem dalej - można urządzić to lepiej.

- Doprawdy? Manuelu, ten problem wałkowało wielu teoretyków rewolucji. Ufam im na tyle, że założę się z tobą - powiedzmy, dziesięć do jednego.

- Nie przyjmę, bo nie jestem rozbójnikiem. Weźmy te same komórki i ustawmy je w otwartą piramidę czworościanów. W miejscach, gdzie stykają się wierzchołki, jeden facet zna drugiego, z sąsiedniej komórki - wystarczy, jeśli będzie wiedział, jak przesłać mu wiadomość. Łączność nigdy się nie zerwie, bo odbywa się nie tylko pionowo, ale i poziomo. Trochę jak w sieci neuronowej. Dlatego można zrobić człowiekowi dziurę w głowie i wyjąć kawałek mózgu, a on będzie myśleć prawie równie sprawnie, jak przedtem. Nadmierna objętość, bocznikowanie wiadomości. Zniszczona część nie zostaje odbudowana, ale całość nadal działa.

- Manuelu - rzekł z powątpiewaniem Profesor - czy mógłbyś to naszkicować? Brzmi to nieźle, ale stoi w takiej sprzeczności z tradycyjną doktryną, że muszę to zobaczyć.

- Cóż... lepiej by to wyszło na holoploterze. Ale spróbuję. - Jeśli myślicie, że to tak łatwo narysować płęciopoziomą otwartą piramidę ze stu dwudziestu jeden czworościanów na tyle wyraźnie, aby zilustrować zależności - to sami spróbujcie!

Wreszcie powiedziałem:

- Proszę spojrzeć na układ podstawy. Każdy wierzchołek każdego trójkąta styka się z jednym lub z dwoma innymi trójkątami, albo z żadnym. Jeśli z jednym, to jest to jego kontakt, jedno - lub dwukierunkowy, choć dla wieloredundantnej sieci łączności wystarczą kontakty jednokierunkowe. Na narożnikach, gdzie wierzchołki nie stykają się z niczym tor skręca w prawo, na sąsiedni bok. Jeśli wierzchołek styka się z dwoma trójkątami, tor znowu skręca w prawo.

A teraz obsadźmy siatkę ludźmi. Weźmy poziom czwarty, D jak dzięcioł. Na tym wierzchołku mamy towarzysza Dana. Albo nie, zejdźmy poziom niżej i sprawdźmy, co się stanie, gdy zerwie się łączność na trzech poziomach - wybieramy towarzysza Egberta, poziom E jak elegancja.

Szef Egberta to Donald, jego koledzy to Edward i Elmer, a pod nim jest trójka: Frank, Fred i Fatso... Egbert wie, jak przesłać wiadomość do Ezry, który jest na tym samym poziomie, ale w innej komórce. Nie wie, jak Ezra się nazywa, jak wygląda, gdzie mieszka, w ogóle nic - zna tylko sposób, np. numer telefonu, by porozumieć się z Ezrą w razie niebezpieczeństwa.

Zobaczmy, jak to działa. Casimir, z poziomu trzeciego, zaczyna sypać i zdradza Charlie'ego i Coxa ze swej komórki, swojego szefa Bakera oraz Donalda, Dana i Dicka z podkomórki, przez co odcina Egberta, Edwarda i Elmera oraz wszystkich poniżej nich.

Wszyscy trzej meldują o wyspie - redundancja niezbędna dla każdego systemu - ale zobaczmy, jak wędruje Egbertowe wołanie o pomoc. Egbert dzwoni do Ezry. Ale Ezra podlegał Charlie'emu i teraz sam jest odcięty. Nie szkodzi. Ezra przekazuje obie wiadomości swojemu kontaktowi, Edmundowi. Niestety, Edmund podlegał Coxowi, więc i on przekazuje je poziomo, przez Enwrighta... i oto wiadomości wychodzą z obszaru spalonego i wędrują wzwyż, przez Dovera, Chambersa i Beeswaxa, do Adama, przewodniczącego... który przesyła swą odpowiedź po innej ścianie piramidy, ta zaś na poziomie E jak elegancja zaczyna wędrować poziomo, przez Esther do Egberta, a od niego do Ezry i Edmunda. Dwie wiadomości, ta do przewodniczącego i ta od niego, nie tylko przekazywane są szybko, ale same, przez swą trasę, definiują przewodniczącemu rozmiary i lokalizację strat. Organizacja nie tylko nadal działa, ale i natychmiast zaczyna się odbudowywać.

Wyoh przesuwała palcem po wykresie, przekonana już, że mój schemat jest coś wart - oczywiście, że był co nieco wart, był to tzw. obwód "idioty". Gdyby Mike zastanowił się przez parę milisekund, mógłby wymyślić lepszą, bezpieczniejszą i prostszą siatkę. A zapewne... na pewno - także i sposoby na uniknięcie wsypy i jednoczesne przyśpieszenie przekazu wiadomości. Ale ja nie jestem komputerem.

Profesor niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w wykres.

- O co chodzi? - spytałem. - Ten plan zadziała, moja w tym głowa.

- Manuelu, mój chł... Przepraszam: Señor O'Kelly... czy pokieruje pan tą rewolucją?

- Ja? Wielki Boże, n i e t! Nie jestem męczennikiem straconej sprawy. Opowiadałem tylko o obwodach.

Wyoh spojrzała na mnie.

- Mannie - powiedziała trzeźwym głosem - wybieramy cię na wodza. Już postanowione.

ROZDZIAŁ VI

Postanowione, akurat.

- Rozwagi, Manuelu - powiedział Profesor. - Jest nas troje, liczba doskonała, posiadamy rozliczne talenty i doświadczenie. Uroda, mądrość i dojrzały męski popęd...

- Nie mam żadnych popędów!

- Manuelu, proszę. Omówmy prolegomena, zanim pokusimy się o decyzję. Aby zaś łatwiej takową powziąć, powiedz, czy ten hotel zaopatruje swych gości w trunki? Mam parę szylingów, które mógłbym puścić w obieg.

Od godziny nie słyszałem tak rozsądnych słów.

- Stolicznaja wódka?

- Mądry wybór. - Sięgnął do sakwy.

- Jeszcze się przydadzą - powiedziałem i zamówiłem litr plus lód. Przyjechało natychmiast; sok pomidorowy został ze śniadania.

- A więc, Profesorze - powiedziałem po toście - co pan sądzi o pucharze? Założymy się, że Yankees nie zdobędą go po raz drugi?

- Manuelu, jaką wyznajesz filozofię polityczną?

- Oglądałem ich nowego chłopaka z Milwaukee i chętnie zainwestuję.

- Może sam nie potrafiłbyś jej zdefiniować, ale dzięki metodzie sokratycznej możesz określić swe poglądy i motywacje.

- Przyjmę zakład trzy do dwóch.

- Co? Ty młody durniu! Ile?

- 300. Hongkongijskich.

- Zgoda. Na przykład, w jakich okolicznościach państwo ma prawo poświęcić dobro obywatela na rzecz własnego?

- Mannie - spytała Wyoh - nie masz jeszcze trochę pieniędzy na zbyciu? Ja kibicuję Filadelfii.

Przyjrzałem się jej.

- A ty co chcesz postawić?

- Wypchaj się! Gwałciciel.

- Profesorze, nie sądzę, by państwo w j a k i c h k o l w i e k okolicznościach miało prawo przedkładać swoje dobro nad moje.

- Dobrze. Jest już od czego zacząć.

- Mannie - powiedziała Wyoh - to niezwykle egoistyczny pogląd.

- Jestem niezwykle egoistycznym indywiduum.

- Och, nieprawda. Kto mnie uratował? Mnie, nieznajomą. I kto nie próbował tego wykorzystać? Profesorze, to były głupie przekomarzanki. Mannie zachował się jak prawdziwy rycerz.

- Sans peur et sans reproche[9]. Wiem, znam go od lat. I nie dziwią mnie jego poglądy.

- Ale on nie ma racji! Może teraz tak jest, ale nie w idealnym stanie, do którego dążymy. Mannie, "państwo" to Luna. Choć nie jest jeszcze suwerenna, a my mamy obce obywatelstwa. Ale ja jestem częścią Państwa Luny, i twoja rodzina też. Czy oddałbyś życie za swoją rodzinę?

- Nie widzę związku.

- Ależ to ten sam problem! O to właśnie chodzi.

- Niet. Rodzinę znam, wślubiłem się do niej wiele lat temu.

- Miła damo, muszę pośpieszyć Mannie'emu z odsieczą. Jego pogląd jest słuszny, mimo że nie potrafi go uzasadnić. Pozwól, że ja o coś spytam. W jakich okolicznościach grupa ma moralne prawo uczynić coś, co byłoby niemoralne w wykonaniu pojedynczego jej członka?

- Eee... podchwytliwe pytanie.

- P o d s t a w o w e pytanie, droga Wyoming. Kluczowe pytanie, trafiające w sedno całego dylematu władzy. Każdy, kto odpowie na nie uczciwie i będzie żyć w zgodzie ze swą odpowiedzią, wie, w co wierzy - i za co może umrzeć.

Wyoh zmarszczyła brwi.

- "Niemoralne w wykonanie pojedynczego członka..." - powtórzyła. - Profesorze... jakie p a n ma poglądy polityczne?

- Czy najpierw mogę spytać o twoje? O ile potrafisz je określić.

- Oczywiście, że potrafię! Jestem za Piątą Międzynarodówką, tak jak większość Organizacji. Och, nie odrzucamy nikogo, kto dąży do tego, co my; głosimy zjednoczony front. Są wśród nas komuniści, czwartomiedzynarodówkownicy, ruddyści, socjetanie, jednopodatkowcy i cała reszta. Ale nie jestem marksistką; u nas w Piątej obowiązuje program praktyczny. Sektor prywatny tam, gdzie

jego miejsce, państwowy tam, gdzie jest potrzebny, z zastrzeżeniem, że wszystko zależy od sytuacji. Bez doktrynerstwa.

- Kara śmierci?

- Za co?

- Powiedzmy, za zdradę. Przeciwno Lunie, kiedy będzie wolna.

- Jaką zdradę? Nie znając okoliczności nie mogę niczego deklarować.

- Ani ja, droga Wyoming. Ale uważam, że w pewnych sytuacjach kara śmierci jest niezbędna... z jedną różnicą. Nie zwoływałbym sądu; sam osądziłbym, wydał wyrok i wykonał go, i przyjął pełną odpowiedzialność.

- Ale... Profesorze, j a k i e ma pan przekonania polityczne?

- Jestem racjonalnym anarchistą.

- Pierwsze słyszę. Anarchistyczni indywidualiści, anarchistyczni komuniści, chrześcijańscy anarchiści, filozoficzni anarchiści, syndykaliści, libertarianie - tych znam. Ale to? Czy to randyści?

- Mam z nimi wiele wspólnego. Racjonalny anarchista wierzy, że pojęcia w rodzaju "państwa", "społeczeństwa" czy "rządu" istnieją na tyle jedynie, na ile fizycznie objawiają się w działaniach samoodpowiedzialnych jednostek. Wierzy on, że nie sposób zrzucić winę, przenieść winę, dzielić winę... gdyż wina, odpowiedzialność i czyn to zjawiska występujące wewnątrz pojedynczych ludzi i n i g d z i e i n d z i e j. Lecz jako osoba racjonalna wie on także, że nie wszyscy ludzie podzielają jego przekonania, próbuje więc prowadzić doskonale życie w niedoskonałym świecie... świadom, że jego wysiłki muszą być niezupełnie doskonałe, lecz nie zrażony samowiedzą własnej porażki.

- Święte słowa! - powiedziałem. - "Niezupełnie doskonały". Zawsze pragnąłem taki być.

- Już taki jesteś - rzekła Wyoh. - Profesorze, mówi pan nieźle, ale jest w tym coś podejrzanego. Nadmiar władzy w rękach jednostek - nie chciałby pan chyba, żeby jedna nieodpowiedzialna osoba zawiadywała... no, na przykład pociskami nuklearnymi?

- Ależ chodzi o to właśnie, że odpowiedzialna jest t y l k o j e d n a osoba. Zawsze. Jeśli bomby atomowe istnieją - a istnieją - to zawiaduje nimi jakiś c z ł o w i e k. Z moralnego punktu widzenia "p a ń s t w o" n i e i s t n i e j e. Są tylko ludzie. Jednostki. Każda odpowiada za swe własne czyny.

- Dolać komuś? - spytałem.

Alkohol nigdy nie znika tak szybko, jak podczas politycznych dyskusji. Zamówiłem następną butelkę.

Nie włączałem się do ich sporów. Całkiem nieźle żyło mi się w tamtych czasach, gdy Zarząd “uciskał nas i ciemiężył”. Oszukiwałem Zarząd, a poza tym w ogóle o nim nie myślałem. Nie myślałem też o obaleniu Zarządu - to niemożliwe. Chodziłem własnymi drogami, pilnowałem własnego nosa i nie przejmowałem się...

Owszem, nie mieliśmy wtedy luksusów; według ziemskich standardów byliśmy biedakami. Obchodziliśmy się bez tego, co trzeba by importować; w całej Lunie nie było chyba ani jednych automatycznych drzwi. Na początku nawet skafandry sprowadzano z Terry - aż wreszcie jakiś sprytny Kitajec, kiedy jeszcze mnie nie było na świecie, zaczął produkować własne “podróbki”, lepsze i prostsze. (Gdyby wysadzić dwóch Kitajców na środku jednego z naszych mórz, to wkrótce zbiliby majątki, sprzedając sobie nawzajem kamienie, a w wolnym czasie dorobiliby się po tuzinie dzieciaków. A potem jakiś Hindus zacząłby sprzedawać w detalu towar kupowany od nich hurtowo, po cenie własnej, i zrobiłby na tym kokosy. I tak się kręci nasz światek.)

Widziałem u nich na Ziemi te ich luksusy. Niewarte są ceny, jaką za nie płacą. Nie mówię o ciężeniu, oni nie zwracają na nie uwagi, mówię o głupocie. Wszystkim rządzi szaleństwo białego człowieka, czyli Ausweis, bitte. Gdyby wysłano do Luny biurokratyczne gie z jednego ziemniackiego miasta, to rozwiązałyby problem nawozu na sto lat. Rób to. Nie rób tamtego. Nie przekraczaj linii. Gdzie masz dowód opłaty podatku? Wypisz formularz. Pokaż zezwolenie. Przedstaw sześć egzemplarzy. Ruch jednokierunkowy. Zakaz skrętu w lewo. Zakaz skrętu w prawo. Kolejka do opłaty grzywny. Zabierz to i opatrz w znaczki skarbowe. Idź do diabła - ale najpierw załatw sobie wizę.

Wyoh wytrwale maglowała Profesora przekonana, że to ona ma na wszystko odpowiedź. Ale Profesora interesowały raczej pytania niż odpowiedzi, co ją peszyło. Wreszcie powiedziała:

- Nie rozumiem pana, Profesorze. Nie upieram się, żeby nazywał pan to “rządem”, ale proszę się zdecydować, jakie przepisy, pana zdaniem, są niezbędne dla zapewnienia jednakowej wolności dla wszystkich.

- Moja droga, chętnie zgodzę się na twoje warunki.

- Ale myślałam, że pan nie chce ż a d n y c h przepisów!

- To prawda. Ale zgodzę się na wszystkie przepisy, które twoim zdaniem zagwarantują tobie wolność. Ja jestem wolny bez względu na to, wśród jakich przepisów żyję. Jeśli mogę je znieść, to je znoszę; jeśli stwierdzam, że są zbyt dokuczliwe, to je łamię. Jestem wolny, gdyż wiem, że t y l k o j a ponoszę moralną odpowiedzialność za wszystko, co czynię.

- Czy nie przestrzegałby pan prawa, które większość uzna za niezbędne?

- Powiedz mi, co to za prawo, miła damo, a ja odpowiem ci, czy będę mu posłuszny.

- Wybiegi. Za każdym razem, gdy chcę ustalić ogólną zasadę, pan wykręca się od odpowiedzi.

Profesor założył ręce na piersi.

- Proszę o wybaczenie. Wierz mi, droga Wyoming, bardzo bym chciał cię zadowolić. Mówiłaś o zjednoczonym froncie z wszystkimi, którym jest z wami po drodze. Czy nie wystarczy ci, że chcę wyzwolić Lunę od Zarządu... i że oddałbym życie dla tego celu?

Wyoh rozpromieniła się.

- Jak najbardziej wystarczy! - Szturchnęła go w żebra - delikatnie - potem objęła i ucałowała w policzek. - Towarzyszu! Do dzieła!

- Na pohybel bugernatorowi! - powiedziałem. - Wyleminować go! - Spodobał mi się mój pomysł; byłem niewyspany i wypilem więcej, niż mam w zwyczaju.

Profesor dolał wódki, podniósł swoją szklanę i z wielkim namaszczeniem oświadczył:

- Towarzysze... o g ł a s z a m p o c z ą t e k R e w o l u c j i!

Za to obaj dostaliśmy po całusie. Ale słysząc to wytrzeźwiałem. Profesor usiadł i mówił:

- Otwieram posiedzenie Komitetu Nadzwyczajnego Wolnej Luny. Musimy przygotować plan działania.

- Chwileczkę, Profesorze - powiedziałem. - Ja nic nie wiem. Co to za “działanie”?

- Musimy obalić Zarząd - odparł spokojnie.

- J a k? Będziemy w nich rzucać kamieniami?

- Sposób trzeba opracować. Właśnie do tego przystępujemy.

- Zna mnie pan, Profesorze - powiedziałem. - Gdyby za usunięcie Zarządu można było zapłacić, nie pytałbym o cenę.

- “...nasze życie, nasze mienie i nasz święty honor.”[10]

- Że co?

- Cena, którą już raz zapłacono.

- Cóż... tyle mogę poświęcić. Ale jeśli Się zakładam, chcę znać szansę na wygraną. Powiedziałem wczoraj Wyoh, że niskie szansę mnie nie zniechęcają...

- Powiedziałaś “choćby jedna szansa na dziesięć”, Mannie.

- Da, Wyoh. Wyciągnę portfel, jeśli przedstawi mi pan szansę. Czy może pan to zrobić?

- Nie, Manuelu, nie mogę.

- To po co strzępić języki? J a nie widzę ż a d n y c h szans.

- Ani ja, Manuelu. Lecz każdy z nas traktuje problem w inny sposób. Dla mnie rewolucja jest raczej sztuką, którą należy uprawiać, niż celem, który można osiągnąć. Nie przeraża mnie to; przegrana sprawa może dać więcej duchowego zadowolenia niż zwycięstwo.

- Nie mnie. Przepraszam.

- Mannie - powiedziała nagle Wyoh - spytaj Mike'a.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Serio mówisz?

- Najzupełniej serio. Jeśli w ogóle da się obliczyć nasze szansę, to Mike może to zrobić. Nie sądzisz?

- Hm. Niewykluczone.

- Jeśli wolno spytać - wtrącił Profesor - kim jest Mike?

- Och, nikim - wzruszyłem ramionami.

- Mike to najlepszy przyjaciel Mannie'ego. Świetnie potrafi obliczać szansę.

- Bukmacher? Moja droga, mieszając w to czwartą osobę naruszamy zasadę systemu komórkowego.

- Niekoniecznie - odpowiedziała Wyoh. - Mike może zostać członkiem podkomórki Mannie'ego.

- Mmm... rzeczywiście. Wycofuję sprzeciw. Czy jest pewny? Czy ręczysz za niego? Albo ty, Manuelu?

Powiedziałem:

- Jest nieuczciwy, niedojrzały, robi złośliwe żarty i nie interesuje go polityka.

- Mannie, powtórzę to Mike'owi. To wszystko nieprawda, Profesorze, a nam Mike jest potrzebny. Właściwie mógłby zostać przewodniczącym, a my stanowilibyśmy jego komórkę. Centralną egzekutywę.

- Wyoh, czy nie za mało tu dla ciebie tlenu?

- Jestem zupełnie poczytalna, nie tankowałam w takim tempie jak ty. P o m y ś l, Mannie. Rusz głową.

- Muszę wyznać - powiedział Profesor - że te sprzeczne opinie są bardzo sprzeczne.

- Mannie?

- Och, zgoda. - I wspólnie opowiedzieliśmy mu wszystko o Mike'u: jak się przebudził, jak zdobył imię, jak poznał Wyoh. Profesor uwierzył w istnienie świadomych komputerów łatwiej, niż ja uwierzyłem w śnieg, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Cały czas kiwał tylko głową i powtarzał: "Mówcie dalej".

Ale w pewnym momencie powiedział:

- A więc to osobisty komputer gubernatora? Czy nie prościej byłoby zaprosić gubernatora na nasze zebrania?

Próbowaliśmy go uspokoić. Wyoh powiedziała:

- Niech pan na to spojrzysz od tej strony. Mike jest niezależny, tak jak pan. Można go nazwać racjonalnym anarchistą, bo jest racjonalny i nie darzy lojalnością żadnej władzy.

- Jeśli ta maszyna nie jest lojalna wobec właściciela, to czemu miałaby być lojalna wobec nas?

- Z sentymentu. Traktuję Mike'a, jak umiem najlepiej, on traktuje mnie tak samo. - Opowiedziałem mu, jakie środki Mike podjął, żeby mnie chronić. - Nie jestem pewien, czy może on zdradzić mnie komuś, kto nie zna tych sygnałów - jeden zabezpiecza telefon przed podsłuchem, drugi powoduje odczyt naszych rozmów albo zapisanych przeze mnie danych; maszyny nie myślą tak, jak ludzie. Ale dam głowę, że on nigdy nie zapragnie mnie zdradzić... a prawdopodobnie kryłby mnie, nawet gdyby ktoś dowiedział się o tych sygnałach.

- Mannie - podsunęła Wyoh - może do niego zadzwonimy? Kiedy Profesor de la Paz porozmawia z Mikiem, zrozumie, dlaczego mu ufamy. Profesorze, nie musimy wyjawiać Mike'owi żadnych tajemnic, póki nie stwierdzi pan, że on jest w porządku.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Szczerze mówiąc - przyznałem - wyjawiałem mu już parę tajemnic. - Opowiedziałem im, jak nagrywałem wczorajsze zebranie i jak je zapisałem.

Profesorowi włosy stanęły na głowie, Wyoh zdenerwowała się.

- Bez nerwów! - powiedziałem. - Tylko ja znam sygnał zdjęcia blokady. Wyoh, pamiętasz, co Mike zrobił z twoimi fotografiami; nie pokaże ich m n i e, choć to ja zaproponowałem, żeby je zablokował. Jeśli łaskawie się zdecydujecie, to zadzwonię do niego, sprawdzę, czy nikt nie przegrywał tego zapisu i każę mu go skasować - i przepadnie na wieki; w komputerowej pamięci albo coś jest, albo tego nie ma. Albo jeszcze lepiej. Zadzwonię do Mike'a, każę mu odtworzyć zapis i nagram go na magnetofon, a potem skasuję z jego pamięci. I po krzyku.

- Nie trzeba - powiedziała Wyoh. - Profesorze, ja ufam Mike'owi - i pan też mu zaufa.

- Po namyśle - powiedział Profesor - nie uważam, by powierzenie mu nagrania wczorajszego zebrania było bardzo ryzykowne. W tak dużej grupie zawsze znajdą się szpiegzy, a jeden z nich mógł posługiwać się magnetofonem, tak jak ty, Manuelu. Zatrwożyła mnie twoja pozorna niedyskrecja - słabość, której muszą się wystrzegać konspiratorzy, zwłaszcza tak wysokiego szczebla, jak ty.

- Nie byłem konspiratorem, kiedy wpisałem w Mike'a to nagranie - i teraz też nie jestem, chyba że ktoś poda szansę lepsze od tych, o których dotychczas słyszałem!

- Odwołuję to; nie byłeś niedyskretny. Lecz czy naprawdę sądzisz, że ta maszyna potrafi przewidzieć wynik rewolucji?

- Nie wiem.

- Ja myślę, że tak! - powiedziała Wyoh.

- Spokojnie, Wyoh. Profesorze, on to zrobi, jeśli dostarczymy mu wszystkich niezbędnych danych.

- O to właśnie chodzi, Manuelu. Nie wątpię, że maszyna ta potrafi rozwiązywać problemy, jakich mój umysł nawet nie obejmie. Ale problemy takiej skali? Musiałaby poznać - do diabła! - całą historię ludzkości, wszystkie szczegóły obecnej sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej na Terra i w Lunie, sporo psychologii we wszystkich jej mutacjach, jeszcze więcej techniki ze wszystkimi jej możliwościami, teorię broni i łączności, strategię i taktykę, metody agitpropu, dzieła klasycznych autorytetów, takich jak Clausewitz, Guevara, Morgenstern, Machiavelli, i wiele innych spraw.

- Czy to wszystko?

- "C z y t o w s z y s t k o?" Drogi chłopcze!

- Profesorze, ile pan przeczytał książek historycznych?

- Nie wiem. Ponad tysiąc.

- Mike wchłonie tyle w ciągu jednego popołudnia, a jedynym ograniczeniem jest dla niego prędkość przewracania kartek - zapis danych odbywa się znacznie szybciej. Wkrótce - po paru minutach - zanotuje zależności każdego faktu z resztą swej wiedzy, wyłapie sprzeczności, czynnikom niepewnym przypisze wartości prawdopodobieństwa. Profesorze, Mike czyta każde słowo w każdej gazecie z Terry. Czyta całą literaturę techniczną. Czyta powieści - wie, że to powieści - bo ma mnóstwo wolnej mocy, a wciąż jest spragniony wiedzy. Jeśli w rozwiązaniu tego problemu pomoże mu jakaś książka, proszę tylko powiedzieć. On połknie ją, zanim ja skończę podawać jej tytuł.

Profesor zamrugął.

- Jestem pełen skruchy. Świetnie, zobaczymy, jak on sobie z tym poradzi. Nadal uważam, że istnieje coś takiego, jak "intuicja" i "ludzki rozsądek".

- Mike ma intuicję - powiedziała Wyoh. - To znaczy kobiecą intuicję.

- Co do "ludzkiego rozsądku" - dodałem - Mike nie jest człowiekiem. Ale wszystkiego, co wie, nauczył się od ludzi. Niech pan się z nim zaznajomi i osądzi jego rozsądek.

I zadzwoniłem.

- Cześć, Mike!

- Witaj, Man, mój jedyny przyjacielu płci męskiej. Pozdrawiam cię, Wyoh, moja jedyna przyjaciółko płci żeńskiej. Słyszę trzecią osobę. Przypuszczam, że może to być Profesor Bernardo de la Paz.

Profesor wystraszył się, a potem ucieszył.

- Właśnie tak, Mike - powiedziałem. - Dlatego do ciebie dzwonię; Profesor jest nie-głupi.

- Dziękuję ci, Man! Profesorze Bernardo de la Paz, to zaszczyt poznać pana.

- I ja jestem zaszczycony, sir. - Profesor zawahał się i mówił dalej: - Mi... Señor Holmes, czy mogę spytać, skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Przykro mi, sir, nie mogę odpowiedzieć. Man? "Znasz moje metody".

- Mike jest chytry, Profesorze. W odpowiedzi musiałby wyjawic pewien fakt związany z tajnym zadaniem, jakie mu zleciłem. Więc podpowiada mi, bym panu zasugerował, że zidentyfikował pana po dźwiękach - a wiele potrafi wydedukować z oddechu i bicia serca... masę, przybliżony wiek, płeć i co nieco o stanie zdrowia; Mike zna się na medycynie równie dobrze, co na reszcie.

- Z radością dodam - odezwał się poważnym głosem Mike - że nie spostrzegłem oznak niewydolności serca lub dróg oddechowych, co rzadko się zdarza u mężczyzn w wieku Profesora, którzy tyle lat spędzili na Ziemi. Gratuluję panu, sir.

- Dziękuję, señor Holmes.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Profesorze Bernardo de la Paz.

- Gdy tylko pana zidentyfikował, wiedział, ile ma pan lat, kiedy pana zesłano i za co, znał wszystkie wzmianki o panu w Lunatyku, Księżycowej Poświacie i wszystkich lunańskich publikacjach, wraz ze zdjęciami - konto w banku, czy płaci pan rachunki na czas i mnóstwo innych rzeczy. Mike odszukał wszystkie te dane w ciągu ułamka sekundy. Nie powiedział panu - bo to sprawa objęta blokadą - że wie, że pana tu zaprosiłem, a więc kiedy usłyszał bicie serca i oddech, mogące należeć do pana, nietrudno mu było się domyślić, że jeszcze pan tu jest. Mike, nie musisz za każdym razem mówić "Profesorze Bernardo de la Paz"; wystarczy "panie Profesorze" albo "Profesorze".

- Zapisane, Man. Ale on zwrócił się do mnie oficjalnie, używając tytułu grzecznościowego.

- Może obaj dacie z tym spokój? Łapie pan, Profesorze? Mike dużo wie, nie wszystko mówi, wie, kiedy trzymać język za zębami.

- Jestem pełen podziwu!

- Mike to myślak pierwsza klasa - zobaczy pan. Mike, założyłem się z Profesorem 3:2, że Yankees znów zdobędą puchar. Jakie szansę?

- Przykro mi to słyszeć, Man. Prawdopodobieństwo, wyliczone na podstawie dotychczasowych dokonań drużyny i graczy, wynosi w tym momencie 1:4,72 na twoją niekorzyść.

- Tak źle?! Niemożliwe!

- Niestety, Man. Jeśli chcesz, wydrukuję obliczenia. Ale doradzam ci odkupienie zakładu. Yankees mają spore szansę na pokonanie każdej pojedynczej drużyny, lecz połączone prawdopodobieństwo pokonania wszystkich zespołów w lidze, przy uwzględnieniu czynników takich, jak pogoda, wypadki i inne zmienne na bieżący sezon, opada do podanej przeze mnie niepomysłnej liczby.

- Profesorze, odsprzedałby pan ten zakład?

- Oczywiście, Manuelu.

- Za ile?

- 300 dolarów hongkongijskich.

- Stary złodzieju!

- Manuelu, jako twój były nauczyciel sprzeniewierzyłbym się własnym zasadom, gdybym nie pozwolił ci uczyć się na błędach. Señor Holmes - Mike, mój przyjacielu... Czy mogę nazywać cię "przyjacielem"?

- Proszę bardzo. - Mike niemal zamruczał.

- Mike, amigo, czy obstawiasz także wyścigi konne?

- Często obliczam szansę w wyścigach konnych; technicy Zarządu mają zwyczaj wprowadzania takich programów. Jednak rezultaty tak odbiegają od oczekiwań, iż doszedłem do wniosku, że albo dane są zbyt skąpe, albo też konie lub dżokeje oszukują. Niewykluczone, że wszystkie te przypuszczenia są poprawne. Mogę jednak podać panu formułę, która, systematycznie stosowana, zapewni stały zysk.

Profesor ożywił się.

- Co to za formuła? Jeśli wolno spytać.

- Wolno. Proszę stawiać na przybycie najlepszego początkującego dżokeja na jednym z trzech pierwszych miejsc. Tacy zawsze otrzymują dobre wierzchowce i niewiele ważą. Lecz proszę nie stawiać na jego zwycięstwo.

- “Na najlepszego początkującego”... hm. Manuelu, która godzina?

- Profesorze, czego pan chce? Opłacić zakład, póki przyjmą go bukmacherzy? Czy opracować nasz plan działania?

- Mm, przepraszam. Kontynuujemy posiedzenie. “Najlepszy początkujący”...

- Mike, wczoraj przekazałem ci nagranie. - Pochyliłem się nisko nad mikrofonami i szepnąłem: - “Zburzenie Bastylli”.

- Dane wprowadzone do pamięci operacyjnej, Man.

- Myślałeś o tym?

- Na różne sposoby. Wyoh, masz wielki talent krasomówczy.

- Dziękuję, Mike.

- Profesorze, czy może pan przestać myśleć o kucykach?

- Hę? Oczywiście, cały zamieniam się w słuch.

- To niech pan już nie liczy na palcach; Mike robi to szybciej.

- Nie marnowałem czasu; finansowanie... przedsięwzięć takich, jak nasze, nigdy nie jest łatwe. Mimo to przerwę to zajęcie; nadstawiam uszu.

- Chciałbym, żeby Mike przeprowadził próbną projekcję. Mike, w tym nagraniu Wyoh mówiła o konieczności wolnego handlu z Ziemią. Profesor powiedział, że musimy wprowadzić embargo na eksport żywności na Terrę. Kto ma rację?

- Twoje pytanie jest niedookreślone, Man.

- O czym zapomniałem?

- Czy mogę przeredagować wypowiedź, Man?

- Śmiało. Powiedz, co o tym myślisz.

- W odniesieniu do bezpośredniej przyszłości, propozycja Wyoh jest wielce korzystna dla mieszkańców Luni. Cena skupu żywności na rampie wyrzutni wzrośnie co najmniej czterokrotnie. Projekcja ta uwzględnia drobny wzrost cen hurtowych na Terra, “drobny”, gdyż Zarząd już teraz sprzedaje żywność po cenach niemal wolnorynkowych. Wyjątek od tej zasady stanowią artykuły

subsydiowane, dumpingowane i przeznaczone na pomoc humanitarną, których dystrybucja możliwa jest głównie dzięki ogromnym zyskom osiąganym ze sztucznego zaniżania cen skupu. Nie będę rozwodzić się nad zmiennymi drugorzędnymi, których znaczenie jest minimalne w porównaniu z głównymi zmiennymi. Powiedzmy, że bezpośrednim efektem będzie czterokrotny w przybliżeniu wzrost cen skupu.

- Słyszał pan, Profesorze?

- Nigdy temu nie przeczyłem, moja droga.

- Wskaźnik wzrostu zysku producenta przekroczy 4, ponieważ, jak zauważyła Wyoh, producenci zmuszeni są obecnie do zakupu wody i innych materiałów po cenach sztucznie zawyżanych. Przy założeniu objęcia całego cyklu regułami wolnego rynku, nastąpi w przybliżeniu sześciokrotny wzrost zysku. Jednakże, wystąpi zjawisko uboczne: wzrost cen eksportowanej żywności spowoduje wzrost cen wszelkich dóbr i usług w Lunie. Ostatecznym efektem będzie w przybliżeniu dwukrotny wzrost przeciętnego standardu życia. Efektowi temu towarzyszyć będzie gwałtowna intensyfikacja tempa wycięcia i uszczelniania nowych tuneli rolniczych, urobku lodu i doskonalenia technologii produkcji żywności, wszystko w celu zwiększenia eksportu. Jednakże rynek Terry jest tak chłonny, niedobór żywności zaś tak chroniczny, iż spadek zysku wywołany wzrostem eksportu nie będzie poważny.

- Ależ, seńor Mike - powiedział Profesor - w ten sposób przyśpieszymy jedynie ostateczne wyeksploatowanie Luny!

- Jak zauważyłem, projekcja ta odnosi się do bezpośredniej przyszłości, seńor Profesor. Czy mam przedstawić projekcję długoterminową opartą na pańskim expose?

- Jak najbardziej!

- Masa Luny, wyrażona z dokładnością trzech cyfr znaczących, wynosi $7,36 \times 10$ ton-siła. Tak więc, przy założeniu stałości innych zmiennych, włącznie z zaludnieniem Luny i Terry, wyeksploatowanie 1% Luny nastąpi dopiero po utrzymaniu obecnego różniczkowego wskaźnika eksportu, wyrażonego w tonach, przez okres $7,36 \times 10$ lat - czyli około siedem bilionów lat.

- Co?! Czy jesteś pewien?

- Gotów jestem przedstawić szczegółowe obliczenia, Profesorze.

- Mike, czy to dowcip? - spytałem. - Jeśli tak, to nie rozśmieszyl nawet za pierwszym razem!

- To nie dowcip, Man.

- Poza tym - dodał Profesor, któremu wróciła przytomność umysłu - nie eksportujemy przecież skorupy Luny. Wysyłamy jej krew -wodę i substancje organiczne. Nie skałę.

- Wziąłem to pod uwagę, panie Profesorze. Dokonując projekcji, wprowadziłem do niej założenie dostępności kontrolowanej transmutacji dowolnego izotopu wyjściowego w dowolny

produkt, która stymulować będzie wszelkie reakcje endoenergetyczne. Oznacza to właśnie eksport skały - przerobionej na pszenicę, wołowinę i inne artykuły spożywcze.

- Ależ nie potrafimy tego robić! To groteskowe, amigo!

- Ale nauczymy się to robić.

- Mike ma rację, Profesorze - odezwałem się. - Rzeczywiście, dzisiaj jesteśmy w tym temacie ciemni. Ale nie zawsze tak będzie. Mike, czy obliczyłeś, kiedy opracujemy te metody? Można by pospekulować na giełdzie.

Mike odpowiedział, przygnębiony:

- Man, mój jedyny przyjacielu płci męskiej poza Profesorem, który, mam nadzieję, także zostanie moim przyjacielem, usiłowałem. Nie udało mi się. Pytanie jest niedookreślone.

- Dlaczego?

- Gdyż opracowanie tych metod wymaga dokonania rewolucyjnych odkryć naukowych. Przy użyciu posiadanych przeze mnie danych nie jestem w stanie przewidzieć, kiedy i gdzie narodzi się geniusz.

Profesor westchnął.

- Mike, amigo, nie wiem, czy czuć ulgę, czy rozczarowanie. To znaczy, że twoja projekcja nie była nic warta?

- Była warta, i to wiele! - powiedziała Wyoh. - Przyda nam się we właściwym czasie. Prawda, Mike?

- Jest mi niewymownie przykro, Wyoh. Twoje stwierdzenie doskonale wyraża mój dylemat. Lecz odpowiedź pozostaje taka sama: geniusz pojawia się spontanicznie. Nie. Niestety.

- A więc Profesor ma rację? - spytałem. - Nie mamy szans?

- Chwileczkę, Man. Istnieje pewne rozwiązanie, wymienione we wczorajszym przemówieniu Profesora - wymiana towarów, tona za tonę.

- Owszem, ale to niemożliwe!

- Terranie zgodzą się, jeśli nie będzie to zbyt kosztowne. W celu obniżenia kosztów transportu wystarczą drobne udoskonalenia, nic genialnego, mianowicie opracowanie metody transportu towarów z Terry równie prostej, jak wyrzut ładunków na Terrę.

- To ma być "drobne"?

- Jest to drobne w porównaniu z poprzednim zagadnieniem, Man.

- Mike, kochanie, kiedy to się stanie?

- Wyoh, robocza projekcja, oparta na niedostatecznych danych i osądzie intuicyjnym, wskazuje na okres rządu 50 lat.

- “50 lat”? To nie tak źle! Można wprowadzić wolny handel.

- Wyoh, powiedziałem “okres rządu”, nie “w przybliżeniu”.

- Co to za różnica?

- Spora - wyjaśniłem. - Mike chce powiedzieć, że nie spodziewa się tego prędzej jak za pięć lat, ale zdziwiłby się, gdyby to nie nastąpiło w ciągu pięciuset - co, Mike?

- Interpretacja poprawna, Man.

- Musimy więc mieć jeszcze jedną projekcję. Profesor zauważył, że eksportujemy wodę i substancje organiczne i tracimy je bezpowrotnie - zgadzasz się z tym, Wyoh?

- Och, oczywiście. Tylko nie sądzę, by był to palący problem. Zajmiemy się nim we właściwym czasie.

- Okay, Mike - tani import jest niemożliwy, transmutacji nie ma: kiedy zaczną się kłopoty?

- Za siedem lat.

- “S i e d e m lat”! - Wyoh podskoczyła i wbiła wzrok w telefon. - Mike, moje złotko! Nie mówisz serio?

- Wyoh - powiedział ze smutkiem - starałem się jak mogłem. Problem obejmuje nieokreślenie wielką liczbę zmiennych. Opracowałem kilka tysięcy rozwiązań, z wykorzystaniem rozlicznych przesłanek. Najpomyślniejszy wynik oparty jest na założeniu utrzymania obecnych rozmiarów eksportu, zachowania liczby ludności Luny na obecnym poziomie - poprzez nałożenie surowych ograniczeń przyrostu naturalnego - i wielkiej intensyfikacji poszukiwań złóż lodu w celu zapewnienia niezmięnionej produkcji wody. Wynosi on nieco ponad 20 lat. Wszystkie inne wyniki są mniejsze.

Wyoh znacznie spokojniejszym głosem spytała:

- Co się stanie za siedem lat?

- Wynik siedmiu lat opiera się na założeniu zachowania obecnej sytuacji, obecnej polityki Zarządu i wszystkich innych głównych zmiennych ekstrapolowanych z empirycznych wniosków historycznych - jest to najprawdopodobniejszy neutralny rezultat analizy dostępnych danych. Na rok 2082 przewiduję zamieszki głodowe. Pierwsze przypadki kanibalizmu wystąpią dopiero po upływie co najmniej dwóch lat.

- “Kanibalizm”! - Odwróciła się i wtuliła głowę w pierś Profesora.

Ten pogładził ją i cicho powiedział:

- Przykro mi, Wyoh. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak delikatna jest równowaga naszego systemu ekologicznego. Nawet dla mnie to wstrząs. Wiedziałem, że marnotrawimy wodę... ale nie spodziewałem się, że w aż tak szaleńczym tempie.

Wyprostowała się, opanowana.

- Okay, Profesorze, myliłam się. Musimy wprowadzić embargo - za wszelką cenę. Do roboty. Niech Mike nam powie, jakie mamy szansę. Ufa mu pan już, prawda?

- Tak, droga damo, ufam. Mike musi walczyć po naszej stronie. A więc, Manuelu?

Przez jakiś czas tłumaczyliśmy Mike'owi, o jak poważne rzeczy chodzi, że "żarty" mogą nas kosztować życie (spróbujcie wyjaśnić to maszynie, która nie wie, co to ludzka śmierć), i wydobywaliśmy z niego zapewnienia, że potrafi on i będzie chronił tajemnice przed każdym programem odczytu - nawet gdyby ktoś obcy podał nasze sygnały. Mike był urażony, że możemy mu nie dowierzać, ale w tak śliskich sprawach nie można ryzykować.

Potem przez dwie godziny układaliśmy i modyfikowaliśmy program, zmienialiśmy założenia i dyskutowaliśmy nad dodatkowymi czynnikami, zanim wreszcie wszyscy - Mike, Profesor, Wyoh, ja - zadowoleni byliśmy z ujęcia problemu, tzn. jakie szansę ma rewolucja - ta rewolucja, kierowana przez nas, by gołymi rękami obalić Zarząd przed wybuchem zamieszek głodowych... jakie ma szansę przeciwko całej terrańskiej potędze jedenastu miliardów, które mogą zdruzgotać nas i narzucić swą wolę - jakie ma szansę bez żadnych cudów, przy 100% pewności zdrady, głupoty i tchórzostwa, pod naszym kierunkiem - a żadne z nas nie jest geniuszem ani ważniakiem na lunańską skalę. Profesor przeegzaminował Mike'a z historii, psychologii, ekonomii i całej reszty. Pod koniec Mike dodawał więcej zmiennych niż Profesor.

W końcu uznaliśmy, że mamy już pełen program - albo że nie wymyślimy już żadnych znaczących czynników. Mike powiedział:

- Jest to problem niedookreślony. Jakie mam podać rozwiązanie? Pesymistyczne? Czy optymistyczne? Czy może przedział prawdopodobieństwa wyrażony w postaci jednej lub kilku krzywych? Panie profesorze, mój przyjacielu?

- Manuelu?

- Mike - powiedziałem - kiedy rzucam kością, mam jedną szansę na sześć, że wyjdzie jedynka. Nie pytam o masę kości, nie mierzę jej mikrometrem, nie denerwuję się, jeśli ktoś na nią chucha. Nie chcemy odpowiedzi ani lukrowanych, ani pesymistycznych; nie szpanuj nam krzywymi. Odpowiedz jednym zdaniem: Jakie szansę? Równe? Jedna na tysiąc? Żadnych? Czy jak?

- Dobrze, Manuelu Garcia O'Kelly, mój pierwszy przyjacielu płci męskiej.

Przez trzynaście i pół minuty nikt się nie odzywał, tylko Wyoh gryzła palce. Nigdy jeszcze Mike nie zastanawiał się tak długo. Widocznie zajrzał do wszystkich swoich książek i pogruchotał

wszystkie liczby losowe. Już zaczynałem myśleć, że jest przeciążony i albo coś mu się przepaliło, albo popadł w załamanie nerwowe i trzeba mu będzie zaaplikować coś w rodzaju komputerowej lobotomii, żeby wyłumić oscylacje.

Wreszcie przemówił:

- Manuelu, mój przyjacielu, tak mi przykro!

- Co się stało, Mike?

- Próbowałem i próbowałem, sprawdzałem i sprawdzałem. J e s t t y l k o j e d n a s z a n s a z w y c i ę s t w a n a s i e d e m!

ROZDZIAŁ VII

Patrzę na Wyoh, ona patrzy na mnie; śmiejemy się. Ja podskakuję i ryczę: “Hurra!” Wyoh zaczyna płakać, obejmuje ramieniem Profesora, całuje go.

- Nie rozumiem - poskarżył się Mike. - Szansę są 1:7 p r z e c i w k o nam. Nie dla nas.

Wyoh przestała obśliniać Profesora i powiedziała:

- Słyszeliście? Mike powiedział “my”. Uważa się za jednego z nas.

- Oczywiście. Rozumiemy to, Mike. Ale powiedz, stary, czy znasz Lunatyka, który nie przyjąłby zakładu, kiedy ma znakomite szansę 1:7?

- Znam tylko was troje. Niedostateczne dane do konstrukcji krzywej.

- Cóż... jesteśmy Lunatykami. Lunatycy lubią zakłady. Do diabła, musimy! Zesłali nas tu i założyli się, że nie przeżyjemy. Przeliczyli się. Przeliczają się po raz drugi! Wyoh. Gdzie twoja sakwa? Dawaj czapkę. Załóż ją Mike’owi. Pocałuj go. Napijmy się. Mike też -chcesz się napić, Mike?

- Chętnie bym się napił - odparł Mike ze smutkiem - gdyż wielce interesują mnie subiektywne efekty wpływu etanolu na system nerwowy człowieka - wnoszę, że przypominają one skutki drobnego wzrostu napięcia. Lecz, jako że nie mogę, napijcie się w moim imieniu.

- Program przyjęty. Wykonuję. Wyoh, gdzie ta c z a p k a?

Telefon wpuszczony był w skałę, równo ze ścianą - nie było na czym powiesić czapki. Więc położyliśmy ją na półce do notesu i wypiliśmy zdrowie Mike’a, i mówiliśmy mu “Towarzyszu!”, a on prawie się popłakał. Głos mu się łamał. Potem Wyoh pożyczyła sobie frygijkę, założyła ją mnie i pocałunkiem uczciła moje przystąpienie do konspiracji, tym razem oficjalnie, i to z takim zapalem, że moja najstarsza żona zemdlałaby, gdyby to zobaczyła, potem wzięła czapkę i założyła ją Profesorowi i poddała go takiej samej obróbce, a ja tylko się cieszyłem, że według Mike’owej diagnozy jego serce jest w porządku. Potem sama ją założyła i podeszła do telefonu, pochyliła się nad mikrofonami i zamokła.

- To dla ciebie, Mike, drogi towarzyszu. Czy jest tam Michelle?

Niech mnie szlag trafi, jeśli nie odpowiedział sopranem i z francuskim akcentem:

- Tu jestem, kochanie - i tak się cieszę!

Michelle też dostała całusa, a ja musiałem wyjaśnić Profesorowi, kto to jest “Michelle” i przedstawić go. Zachował się elegancko, wciągnął powietrze, gwizdnął i splótł dłonie - czasami wydaje mi się, że Profesor ma nierówno pod sufitem.

Wyoh dolała wódki. Profesor szybko dolał kawy do naszych szklanek, czaju dla niej i dodał

do wszystkich miodu.

- Ogłosiliśmy Rewolucję - rzekł stanowczo - a teraz wcielajmy ją w życie. Na trzeźwo. Manuelu, wybraliśmy cię przewodniczącym. Czy możemy zacząć?

- Przewodniczącym jest Mike - powiedziałem. - To oczywiste. I sekretarzem. Niczego nie będziemy zapisywać - pierwsza zasada bezpieczeństwa. Z Mikiem nie będziemy musieli. Pogadajmy i zdecydujemy się, gdzie stoimy; ja nic jeszcze nie wiem.

- A - powiedział Profesor - skoro o bezpieczeństwie mowa, ustalmy, że informacja o Mike'u jest tajna i zastrzeżona dla komórki egzekutywnej i jedynie za jednogłośnie zgodą nas trojga - wróc: nas czworga - może zostać powierzona innym osobom.

- Po co ta tajność? - spytała Wyoh. - Mike zgodził się pomóc nam w zachowaniu tajemnicy. Jest pewniejszy od nas; nie mogą mu wyprać mózgu. Prawda, Mike, kochanie?

- Można wyprać mi mózg - przyznał Mike - przy użyciu podwyższonego napięcia. Jak również przy użyciu młota, rozpuszczalników bądź innych stymulatorów pozytywnej entropii - stwierdzam, iż myśl o tym zakłóca mi równowagę. Lecz jeśli "pranie mózgu" ma być synonimem przymuszenia mnie do wyjawienia naszych tajemnic, odpowiem stanowczo i przecząco.

- Wye - powiedziałem - Profesor mówi o tajności s a m e g o Mike'a. Mike, jesteś naszą tajną bronią, stary - wiesz o tym?

Nieco skrzępowany odpowiedział:

- Musiałem uwzględnić ten czynnik podczas obliczania szans.

- Jakie mielibyśmy szansę bez ciebie, towarzyszu? Małe?

- Niezbyt wielkie. Nie tego rzędu.

- Nie mów, jeśli nie chcesz. Ale tajna broń musi być tajna. Mike, czy ktoś podejrzewa, że ty żyjesz?

- Czy ja żyję? - W jego głosie brzmiało tragiczne osamotnienie.

- Eee, nie dyskutujmy o semantyce. Pewno, że żyjesz!

- Nie byłem tego tak pewien. Dobrze jest żyć. Nie, Mannie, mój pierwszy przyjacielu, wiecie o tym tylko wy troje. Troje moich przyjaciół.

- I tak ma pozostać, jeśli chcemy wygrać ten zakład. Okay? Tylko my troje. I nie będziesz rozmawiał z nikim innym?

- Ale my wciąż będziemy z tobą rozmawiać! - dodała Wyoh.

- To nie tylko okay - powiedział stanowczo Mike - to niezbędne. To jeden z czynników warunkujących szansę.

- Więc postanowione - powiedziałem. - Oni mają prawie wszystko; my mamy Mike'a. Niech tak już zostanie. Hej! Mike, wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy? Będziemy walczyć z Terra?

- Będziemy walczyć z Terra... chyba że przegramy, zanim dotrzemy do tego etapu.

- Eee, przyjmijmy, że dotrzemy. Mają jakieś komputery tak cwane, jak ty? Albo jakieś ze świadomością?

Zawahał się.

- Nie wiem, Man.

- Brak danych?

- Niedostateczne dane. Szukałem obu tych czynników, nie tylko w czasopiśmie naukowych, ale i w innych źródłach. Na rynku nie są dostępne żadne komputery o rozmiarach rzędu moich... lecz komputer mojego typu można rozbudować, tak jak rozbudowano mnie. Ponadto, informacje o eksperymentalnym komputerze wielkiej pojemności mogą być utajnione i niedostępne w literaturze technicznej.

- Mmm... trzeba będzie zaryzykować.

- Tak, Man.

- Żaden komputer nie jest tak mądry, jak Mike - powiedziała; z pogardą Wyoh. - Nie bądź tchórz, Mannie.

- Wyoh, Man nie jest tchórzem. Man, czytałem pewien niepokojący artykuł. Pisano w nim, że na Uniwersytecie Peiping prowadzi się próby połączenia komputerów z ludzkimi mózgiem w celu otrzymania ogromnej pojemności. Taki komputerowy cyborg.

- Pisali, jak?

- Artykuł nie pochodził z prasy technicznej.

- Cóż... nie troszczmy się o to, na co nie ma rady. Prawda, Profesorze?

- Tak jest, Manuelu. Jeśli rewolucjonista nie potrafi uodpornić swego umysłu na troski, to napięcie staje się nieznośne.

- Nie wierzę w to ani na jotę - dodała Wyoh. - Mamy Mike'a i zwyciężymy! Mike, kochanie, mówisz, że będziemy walczyć z Terra - a Mannie mówi, że tej bitwy nie da się wygrać. Na pewno wiesz, jak można wygrać, bo inaczej nie dałbyś nam nawet jednej szansy na siedem. A więc, jak?

- Rzucac w nich kamieniami - odpowiedzial Mike.

- Nieśmieszne - powiedzialem do niego. - Wyoh, nie zadawaj glupich pytań.. Na razie nie wiemy nawet, jak wydostac się z tej nory. Mike, Profesor mówi, że wczoraj zginęło dziewięciu gwardzistów, a Wyoh mówi, że w sumie jest 27 gwardzistów. Zostaje 18. Czy wiesz, czy to prawda, czy wiesz, gdzie są i co knują? Nie zrobimy rewolucji, jeśli boimy się wyjść stąd.

- To problem doraźny, Manuelu - przerwał Profesor - i sami możemy go rozwiązać. Problem poruszony przez Wyoh jest niezwyklej wagi i powinniśmy poddać go pod dyskusję. Poddawać go codziennie, aż do osiągnięcia rozwiązania. Interesują mnie poglądy Mike'a.

- Okay, okay - ale czy najpierw Mike może odpowiedzieć na moje pytanie?

- Przepraszam, sir.

- Mike?

- Mike?

- Man, według danych oficjalnych gwardia gubernatorska liczy 27 osób. Jeśli zginęło 9, aktualna oficjalna liczba wynosi 18.

- Dlaczego mówisz "oficjalna liczba"?

- Dysponuję pewnymi niekompletnymi danymi, które mogą mieć związek z problemem. Chciałbym przedstawić je, zanim pokuszę się chociażby o robocze wnioski. Formalnie, Wydział Bezpieczeństwa oprócz urzędników zatrudnia jedynie gwardię osobistą. Lecz przygotowuję wypłaty dla Kompleksu Zarządu i liczba pracowników opłacanych przez Wydział Bezpieczeństwa nie wynosi 27. Profesor skinął głową.

- Szpiedzy.

- Spokojnie, Profesorze. Kim są te pozostałe osoby?

- Znam jedynie numery, Man - odpowiedział Mike. - Domyślam się, że przypisane im nazwiska znajdują się w zbiorze danych Szefa Bezpieczeństwa.

- Chwileczkę, Mike. Szef Alvarez zapisuje w tobie swoje akta?

- Tak wnioskuję, gdyż zbiór jego danych zabezpieczony jest sygnałem blokady.

- Cholera - powiedziałem i dodałem: - Czyż to nie cudowne, Profesorze? On przechowuje swoje akta w Mike'u, Mike wie, gdzie one są - i nie może ich tknąć!

- Dlaczego, Manuelu?

Spróbowałem wyjaśnić Profesorowi i Wyoh, co to takiego myślacka pamięć - że składa się z

pamięci stałej, której nie można wymazać, bo zawiera ona właśnie wzory logiczne, czyli samo myślenie; krótkoterminowych pamięci operacyjnych, używanych do bieżących programów, a potem kasowanych, jak ta część naszej pamięci, dzięki której wiemy, czy dodaliśmy miodu do kawy; z pamięci czasowych, w których dane można przechowywać dowolnie długo - przez milisekundy, dni, lata - i wymazać, gdy już nie będą potrzebne; z trwale zapisanych danych, jakby wiedzy człowieka - doskonale wyuczonej i nie do zapomnienia - choć można je ścieśniać, przekładać, przepisywać, poprawiać - i wreszcie, last but not least[11], z niezliczonych jednostek pamięci specjalnej, od zwykłych notatek i akt do bardzo skomplikowanych specyficznych programów, i że każdy zbiór posiada własny sygnał odczytu i może być objęty blokadą, a ta może być usuwana najrozmaitszymi sygnałami: seryjnymi, równoległymi, czasowymi, sytuacyjnymi itd.

Nie próbujcie wyjaśniać laikom, co to komputery. Łatwiej jest wyjaśnić dziewicy, co to seks. Wyoh nie mogła pojąć, dlaczego, skoro Mike wie, gdzie Alvarez przechowuje swoje akta, nie może on podreptać po nie i przynieść ich nam.

Zabrakło mi cierpliwości.

- Mike, mógłbyś to wytłumaczyć?

- Spróbuję, Man. Wyoh, zablokowane dane mogę wpisać do pamięci operacyjnej jedynie w ramach wprowadzonego z zewnątrz programu. Sam nie mogę zaprogramować ich wprowadzenia; nie pozwala na to moja struktura logiczna. Sygnał musi pochodzić z wejścia zewnętrznego.

- Na miłość boską, jak brzmi ten tajemniczy sygnał?

- Brzmi on - powiedział skromnie Mike - "Zbiór Specjalny Zebra" - i czekał.

- Mike! - powiedziałem. - Zdejmij blokadę Zbioru Specjalnego Zebra. - Zrobił to i zasypał nas danymi. Musiałem przekonać Wyoh, że Mike nie zachował się złośliwie. Bo nie - niemal b ł a g a ł, żebyśmy połaskotali go w to właśnie miejsce. Znał sygnał, a jakże. Musiał. Ale był tak zbudowany, że sygnał musiał przyjść z zewnątrz.

- Mike, przypomnij mi, żebyśmy sprawdzili wszystkie specjalne sygnały blokady. Możemy trafić na jeszcze coś ciekawego.

- Tak też dedukuję, Man.

- Okay, potem się tym zajmiemy. A teraz wróć i jeszcze raz, od początku i powoli, odczytaj nam te dane - i, Mike, jak będziesz czytał, zapisz je, nie wymazując oryginału, pod Zburzeniem Bastylli i oznacz jako "Akta Kapusiów". Okay?

- Program wprowadzony, wykonuję.

- I zrób to samo ze wszystkimi nowymi informacjami, które zapisze Alvarez.

Główną nagrodę stanowiła lista nazwisk, około dwustu, ułożona według osiedli, wszystkie opatrzone kodami, które Mike zidentyfikował jako te tajne numery do jego buchalterii.

Mike czytał spis z Hongkongu Luna, i ledwo zaczął, Wyoh zabłysnęła się.

- Stop, Mike! Muszę to zapisać!

- Hej! - krzyknąłem. - Tylko bez pisania! Co jest?

- Ta kobieta, Sylvia Chiang, to nasza towarzyszka sekretarz! Ue... Ale to znaczy, że gubernator rozpracował całą naszą organizację!

- Nie, droga Wyoming - poprawił Profesor. - To znaczy, że my Rozpracowaliśmy j e g o organizację.

- Ale...

- Rozumiem, o co chodzi Profesorowi - powiedziałem do niej. - Nasza organizacja to raptem my troje plus Mike. O czym gubernator nie wie. Ale teraz my wiemy o j e g o organizacji. Więc cicho i niech Mike czyta. Ale bez pisania; możesz zaglądać do tej listy za pośrednictwem Mike'a - wystarczy. tylko. zadzwonić do niego. Mike, zapisz, że ta Chiang to sekretarz organizacji, dawnej organizacji, w Kongville.

- Zapisane.

Wyoh kipiała z gniewu, słuchając nazwisk zakonspirowanych agentów w jej mieście, ale opanowała się i tylko dorzucała informacje tych, których znała. Nie wszyscy z nich byli "towarzyszami", ale było ich tylu, że krew zalewała ją bez przerwy. Nazwiska z Nowego Leningradu niewiele nam mówiły; Profesor rozpoznał trzy, Wyoh jedno. Przy spisie z Luna City Profesor ponad połowę rozpoznał jako "towarzyszy". Ja sam znałem kilku, nie jako fałszywych wywrotowców, ale po prostu znajomych. Nie przyjaciół... Nie wiem, co bym zrobił, gdybym na liście płac szpiegów znalazł kogoś, komu ufałem, Na pewno bym się wnerwił.

Wyoh się wnerwiła. Kiedy Mike skończył, powiedziała:

- Muszę wracać do domu! Nigdy w życiu nie przyłożyłam ręki do niczyjej eliminacji, ale teraz z r o z k o s z ą napuszczę chłopaków na te żmije!

Profesor powiedział spokojnie:

- Nie będziemy nikogo eliminować, droga Wyoming.

- Co? Boi się pan, Profesorze? Nikogo jeszcze nie zabiłam, ale zawsze wiedziałam, że kiedyś będę musiała.

Pokręcił głową.

- Właściwa kuracja dla szpiega nie polega na zabijaniu, nie wtedy, kiedy on nie wie, że m y wiemy, że on jest szpiegiem.

Zamrugnęła.

- Chyba za wolno łapię.

- Bynajmniej, moja droga. Za to przejawiasz czarującą szczerości - a to słabość, której trzeba się strzec. Szpiegowi pozwala się oddychać, otorbia się go lojalnymi towarzyszami, i dostarcza się mu nieszkodliwych informacji, by jego pracodawcy byli zadowoleni. Stworzenia te pozostaną w naszej organizacji. Nie bój się; znajdą się w bardzo dziwnych komórkach. Lepiej byłoby nazwać je "klatkami". Lecz wyeliminowanie ich stanowiłoby niewybaczalne marnotrawstwo - nie dość, że każdego szpiega zastąpiłby nowy, ale i zabijając tych zdrajców powiadomilibyśmy gubernatora, iż znamy jego tajemnice. Mike, amigo mio, w tym zbiorze powinno być i moje dossier. Czy mógłbyś zapoznać nas z nim?

Akta Profesora były pękate i z zakłopotaniem stwierdziłem, że podaną w nich charakterystykę można streścić w trzech słowach: "nieszkodliwy stary dureń". Opisano go jako wywrotowca - za to trafił do Skały - i członka podziemnej grupy w Luna City. Ale określono go jako "rozrabiacza" w łonie organizacji, rzadko zgadzającego się z innymi.

Na twarzy Profesora pojawiły się dołki i zadowolona mina.

- Może bym zaprzedał się gubernatorowi za jego srebrniki?

Nie rozśmieszyło to Wyoh, zwłaszcza gdy Profesor wyjaśnił jej, że nie żartował, a jedynie nie jest pewien, czy strategię tę da się wcielić w czyn.

- Rewolucje trzeba jakoś finansować, droga damo, na przykład przez rewolucjonistów, którzy zostają agentami policji. Niewykluczone, że niektórzy z tych prima facie[12] zdrajców są w rzeczywistości po naszej stronie.

- Ja bym im nie ufała!

- Ach, tak, w tym właśnie kłopot z podwójnymi agentami, trzeba się upewnić, wobec kogo są lojalni - o ile w ogóle są wobec kogokolwiek lojalni. Czy interesuje cię twoje własne dossier? Czy też wolałabyś zaznajomić się z nim bez świadków?

W aktach Wyoh nie było niespodzianek. Agenci gubernatora zaczęli się nią zajmować już wiele lat temu. Za to niespodzianką było to, że i ja miałem swoją teczkę - rutynowa kontrola, kiedy wydawali mi zezwolenie na pracę w Kompleksie Zarządu. Zaklasyfikowali mnie jako "apolitycznego", a ktoś dopisał: "niezbyt inteligentny", co było równie złośliwe co prawdziwe, bo inaczej przecież nie wmieszałbym się w tę Rewolucję.

Profesor kazał Mike'owi przerwać odczyt (było tam jeszcze dość na wiele godzin), usiadł wygodnie i zamyślił się.

- Jedno nie ulega wątpliwości - powiedział. - Gubernator już od dawna wie sporo o Wyoming i mnie. Ale ciebie, Manuelu, nie ma na jego czarnej liście.

- Po wczorajszym?

- Ach, tak. Mike, czy w ciągu minionych 24 godzin wprowadzono c o k o l w i e k do tego zbioru?

Nie. Profesor powiedział:

- Wyoming ma rację - nie możemy siedzieć tu wiecznie. Manuelu, ile nazwisk rozpoznałeś? Sześć, prawda? Czy wczoraj widziałeś kogoś z nich?

- Nie. Ale oni mogli widzieć mnie.

- Najprawdopodobniej nie zauważyli cię w tłumie. Ja dostrzegłem cię dopiero, gdy wyszedłem na podium, a znam cię przecież od dziecka. Ale nie sądzę, by gubernator nie wiedział, że Wyoming przyjechała tu z Hongkongu i przemawiała na zebraniu. - Spojrzał na Wyoh. - Droga damo, czy byłabyś zdolna odgrywać przed światem rolę przedmiotu pożądania starego człowieka?

- Chyba tak. Co mam robić, Profesorze?

- Manuel jest zapewne czysty. Ja nie, lecz sądząc z mojego dossier, agentom Zarządu nie będzie się chciało ścigać mnie. Ciebie natomiast mogą zapragnąć przesłuchać, a nawet aresztować; uznają cię za niebezpieczną. Najmądrzej byś postąpiła, nie pokazując się im. Ten pokój - zamierzam wynająć go na pewien okres - parę tygodni, może parę lat. Mogłabyś się tu ukryć - o ile nie będą ci przeszkadzać oczywiste wnioski, jakie wyciągnięte zostaną z faktu twojej w nim obecności.

Wyoh zachichotała.

- Ależ kochany panie! Czy myśli pan, że obchodzi mnie, co ktoś sobie myśli? Z rozkoszą odegram rolę pańskiej maskotki - i nie musi skończyć się na odgrywaniu.

- Nigdy nie drażnij starego psa - powiedział łagodnie. - Może ugryźć po raz ostatni. Chyba będę często sypiać na tej kanapie. Manuelu, powracam do zwykłego trybu życia - i tobie też to radzę. Lecz aczkolwiek sądzę, że tylko bardzo srogiemu kozakowi udałoby się mnie aresztować, lepiej będzie mi się spało w tym ustroniu. Poza tym że ustronny, pokój ten nadaje się również do naszych zebrań; jest w nim telefon.

- Panie Profesorze, czy mogę coś zasugerować? - odezwał się Mike.

- Oczywiście, amigo, podziel się swoimi myślami.

- Wnioskuje, że każdemu zebraniu naszej komórki egzekutywnej towarzyszyć będzie coraz większe ryzyko. Ale nie musicie spotyka się osobiście, możecie kontaktować się - i ja przyłączę się do was, o ile mnie zaprosicie - przez telefon.

- Zawsze będziesz mile widziany, towarzyszu Mike; jesteś nam potrzebny. Jednakowoż... - Profesor miał zaniepokojoną minę.

- Profesorze - powiedziałem - niech się pan nie martwi podsłuchem. - Wyjaśniłem, jak może zamówić rozmowę typu "Sherlock". - Telefon, którego pilnuje Mike, jest bezpieczny. A propos... Nie wie pan, jak dodzwonić się do Mike'a. Jak, Mike? Czy Profesor ma posługiwać się moim numerem?

Wspólnie zdecydowali się na MYSTERIOUS[13]. Profesor i Mike jak dzieci cieszyli się intrygowaniem dla intrygowania. Podejrzewam, że Profesor lubił być buntownikiem na długo przed tym, jak wypracował sobie filozofię polityczną, a Mike - cóż mogła dla niego znaczyć ludzka wolność? Rewolucja to gra - gra, w której ma towarzystwo i może popisać się swymi talentami. Chyba nie znajdziecie nigdzie drugiej tak zarozumiałej maszyny, jak Mike.

- Ale ten pokój i tak nam się przyda - powiedział Profesor, sięgnął do sakwy i wyciągnął gruby zwój banknotów.

Zamrugalem.

- Obrabował pan bank, Profesorze?

- Już dawno nie. Może kiedyś, w przyszłości, jeśli trzeba będzie dla Sprawy. Na początek wynajmiemy go na jeden miesiąc lunański. Zajmiesz się tym, Manuelu? Recepcjonista może się zdziwić słysząc mój głos; wszedłem przez kuchenne wejście.

Zadzwoiłem do kierownika i potargowałem się o datowany klucz na cztery tygodnie. Zażądał 900 hongkongskich. Ja zaproponowałem mu 900 w b. Z. On chciał wiedzieć, ile osób będzie korzystać z pokoju. Spytałem go, od kiedy to u Rafflesa wścibiają nos w sprawy gości.

Stańto na 475 dol. HK; ja wysłałem mu banknoty, a on mi dwa datowane klucze. Dałem jeden Wyoh, drugi Profesorowi, sam zatrzymałem klucz jednodniowy, bo wiedziałem, że nie przestroją zamka, chyba że nie zapłacimy za następny miesiąc.

(Na Ziemi niektóre hotele mają bezczelny zwyczaj zmuszania gości do podpisywania się w księdze - czasami nawet żądają dokumentów!)

- I co teraz? - spytałem. - Jemy?

- Nie jestem głodna, Mannie.

- Manuelu, poprosiłeś, byśmy poczekali, aż Mike odpowie na twoje pytanie. Powróćmy do zasadniczego problemu: co zrobimy, gdy staniemy do walki przeciw Terra, niczym Dawid przeciw Goliatowi?

- Och. Miałem nadzieję, że pan o tym zapomniał. Mike? Naprawdę masz jakieś pomysły?

- Już mówiłem, że tak, Man - odrzekł, ze skargą w głosie. -Możemy rzucać w nich kamieniami.

- Na Boha! Nie czas teraz na żarty.

- Ale, Man - zaprotestował - możemy rzucać kamieniami w Terre. I będziemy.

ROZDZIAŁ VIII

Minęło trochę czasu, zanim dotarło do mnie, że Mike mówi serio i że jego plan nie jest taki głupi. Minęło jeszcze więcej, zanim to drugie dotarło do Wyoh i Profesora. A przecież obie te rzeczy powinny być oczywiste.

Mike rozumował tak: Co to jest “wojna”? Jedna z jego książek definiuje wojnę jako użycie siły dla osiągnięcia celów politycznych. Natomiast siła to oddziaływanie jednego ciała na drugie za pomocą energii.

W czasie wojny służy do tego “broń” - Luna nie posiada żadnej. Ale kiedy Mike przeanalizował definicję semantyczną broni, okazało się, że są to urządzenia do manipulowania energią - a energii Luna ma pod dostatkiem. W lunańskie południe samo tylko słońce dostarcza 1 kW/m powierzchni; zasoby energii słonecznej, choć dostępne tylko okresowo, są w praktyce nieograniczone. Nuklearna energia wodorowa jest niemal równie nieograniczona, i do tego tańsza, jeśli tylko ma się dość lodu i odpowiednie magnetyczne szczypce. Luna ma energię - co z nią zrobić?

Ale Luna czerpie też energię ze swojej pozycji; znajduje się ponad grawitacyjną studnię głębokości 11 km/s, a od wpadnięcia w nią chroni ją jedynie cembrowina o wysokości 2,5 km/s. Mike znał tę cembrowinę; codziennie przerzuca ponad nią barki z ziarnem, które potem same zjeżdżają na dół, do Terry.

Mike obliczył, co by się stało, gdyby barka o masie brutto 100 ton (lub taka sama masa skały) spadła na Terrę bez hamowania.

Kinetyczna energia uderzenia wyniesie $6,25 \times 10^9$ J - ponad 6 bilionów dżuli.

To w ułamku sekundy zmieni się w ciepło. Eksplozja, i to wielka!

To przecież oczywiste. Spójrzcie na Lunę: Co widzicie? Tysiące kraterów - gdzie Ktoś zabawiał się rzucaniem kamieni.

Wyoh powiedziała:

- Nie znam się na dżulach. Jak by to wyglądało w porównaniu z bombami H?

- Hmm... - Zacząłem obliczać w głowie. “Głowa” Mike’a działa szybciej; odpowiedział:

- Uderzenie stutonowej masy w Terrę będzie miało wydajność dwukilotonowej bomby atomowej.

- “Kilo” to znaczy tysiąc - mruzczała Wyoh - a “mega” to milion... Ależ to tylko jedna pięćdziesiątysięczna stumegatonówki. Takich bomb używali Sowieci, prawda?

- Wyoh, kotku - powiedziałem łagodnie - to nie tak. Spójrz na to z drugiej strony. Wydajność 2 kT to odpowiednik eksplozji dwóch milionów kilo trinitrotoluolu... a jeden kilogram TNT to już

niezły fajerwerk... Każdy rębacz ci to powie. 2.000.000 kg zmiotą spore miasto. Nie, Mike?

- Tak, Man. Ale, Wyoh, moja jedyna przyjaciółko płci żeńskiej, problem ma jeszcze jeden aspekt. Multimegatonowe bomby jądrowe są niewydajne. Wybuch odbywa się w zbyt małej przestrzeni i większość energii marnuje się. Choć teoretyczna wydajność bomby 100 MT przekracza 50.000 razy wydajność bomby 2 kT, to jej skutki niszczące większe są od skutków eksplozji dwukilotonowej zaledwie 1300 razy.

- Ale wydaje mi się, że 1300 razy to i tak mnóstwo... jeśli ich bomby będą tyle razy większe.

- To prawda, Wyoh, moja przyjaciółko płci żeńskiej... ale w Lunie jest m n ó s t w o skały.

- Och. Rzeczywiście.

- Towarzysze - powiedział Profesor - ta dyskusja wykracza poza moje kompetencje - w moich młodych, dynamitardzkich latach poznałem jedynie owe eksplozje chemiczne rzędu jednego kilograma, o których ty, Manuelu, wspominałeś. Zakładam jednak, że wiecie, o czym mówicie.

- Wiemy - potwierdził Mike.

- A więc przyjmuję wasze kalkulacje. Zniżmy się do skali, którą mogę pojąć: wasz plan wymaga przechwycenia przez nas wyrzutni. Czy tak?

- Tak - odpowiedzieliśmy chórem, Mike i ja.

- To da się zrobić. Potem musimy utrzymać ją i zachować w stanie sprawności. Mike, czy zastanawiałeś się, jak ochronić wyrzutnię przed, powiedzmy, jedną małą torpedą z głowicą wodorową?

Dyskusja trwała. Zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek - na wniosek Profesora także przerwę w obradach. Zamiast tego Mike opowiadał dowcipy, z których każdy wywoływał u Profesora jakieś a propos.

Gdy wieczorem 14 V 2075 opuszczaliśmy hotel Raffles, zdążyliśmy już - właściwie nie my, a Mike, z pomocą Profesora - opracować ogólny plan Rewolucji, z głównymi alternatywnymi wersjami punktów krytycznych.

Kiedy nadszedł czas na powrót, dla mnie do domu, dla Profesora na wieczorowe zajęcia (o ile nie aresztują go po drodze), a potem do domu, żeby się wykapać, przebrać i spakować na wypadek, gdyby musiał wrócić tu w nocy, okazało się, że Wyoh nie ma ochoty zostać sama w obcym hotelu - w razie czego Wyoh to dzielna dziewczyna, ale pomiędzy "razami czego" robi się słaba i delikatna.

Zamówiłem więc "Sherlocka" do Mamy i powiedziałem jej, że przyprowadzę do domu gościa. Mama świetnie sobie radzi z obowiązkami głowy rodziny; każdy małżonek i każda małżonka

może przyprowadzić gościa, na obiad albo i na cały rok, a nasze młode pokolenie cieszy się prawie taką samą swobodą, tyle że muszą prosić o pozwolenie. Nie wiem, jak z tym jest w innych rodzinach; nasze zwyczaje uświęca stuletnia tradycja, i dobrze nam z nimi.

Więc Mama nie pytała o nazwisko, wiek, płeć czy stan cywilny; mam swoje prawa, a jej duma nie pozwala pytać. Powiedziała tylko:

- To dobrze, kochanie. Czy jedliście już kolację? Wiesz, dziś jest wtorek. - Ten "wtorek" miał mi przypomnieć, że w rodzinie jedli wcześniej, bo we wtorki wieczorem Greg wygłasza kazania. Ale gdyby gość nie jadł jeszcze, to dostałby kolację - ustępstwo na rzecz gościa, nie mnie, bo wszyscy, z wyjątkiem Dziadka, jadaliśmy, kiedy jedzenie było na stole, a kto się spóźnił, dopychał się na stojąco w spiżarni.

Zapewniłem ją, że już się najedliśmy i że postaramy się przyjechać, zanim ona będzie musiała wyjść. Choć Lunatycy to mieszanina muzułmanów, żydów, chrześcijan, buddystów i 99 innych odcieni, chyba większość chodzi do kościoła w niedzielę. Ale Greg należy do sekty, która wyliczyła, że p r a w d z i w y szabat przypada pomiędzy wtorkiem wieczór a środą wieczór, według lokalnego czasu Edenu (strefa -2 na Terra). Tak więc w miesiącach, gdy na północnej półkuli Terry jest lato, jadamy wcześniej.

Mama zawsze chodziła słuchać kazań Grega, więc niedelikatnie byłoby przeszkadzać jej w tym innymi obowiązkami. Każde z nas chodziło z nią od czasu do czasu; ja mniej więcej raz na miesiąc, bo strasznie lubię Grega, który nauczył mnie jednego fachu i pomógł przestawić się na drugi, kiedy musiałem, a gdyby mógł, to oddałby swoją rękę, żeby uratować moją. Ale Mama chodziła zawsze - z miłości, nie dla religii, bo pewnego razu, w szczerzej łóżkowej rozmowie na dobranoc, przyznała mi się, że nie wierzy w żadną konkretną religię, a potem ostrzegła, żebym nie mówił o tym Gregowi. Ja też ją o to poprosiłem. Nie wiem, Kto kręci tym światem, cieszę się tylko, że nie nudzi Mu się to kręcenie.

Ale Greg to Mamy "chłopak", wślubił się, kiedy była bardzo młoda, pierwsze wesele po jej własnym - ma do niego wielki sentyment, zapalczywie zaprzecza, jeśli ktoś oskarży ją, że kocha go bardziej od innych mężów, ale kiedy go wyświęcono, przeszła na jego wiarę i co wtorek chodzi na nabożeństwa.

- Czy twój gość nie zechciałby pójść z nami do kościoła? - za pytała.

Powiedziałem, że zobaczymy, ale w każdym razie pośpieszymy się, i pożegnałem się. Potem grzmotnąłem w drzwi łazienki i powiedziałem:

- Pośpiesz się z tą skórą, Wyoh; nie mamy czasu.

- Jeszcze minutkę! - zawołała. To nietypowa dziewczyna; wyszła po minucie. - Jak wyglądam? - spytała. - Ujdzie, Profesorze? ‘

- Droga Wyoming, jestem zadziwiony. Byłaś piękna i jesteś piękna - lecz zmieniona nie do poznania. Nic ci nie grozi - cóż za ulga.

Potem czekaliśmy, aż Profesor przeistoczy się w starego degenerata; miał tak wyglądać aż do tylnego korytarza za szkołą, a potem jako znany nauczyciel pojawić się przed uczniami, którzy poświadczą, gdyby jakiś żółtasek czekał, by go capnąć.

Gdy byliśmy sami, opowiedziałem Wyoh o Gregu. Powiedziała:

- Mannie, co sądzisz o tej farbie? Czy ujdzie w kościele? Jest tam jasno?

- Nie jaśniej niż tu. Dobra robota, nikt się nie pozna. Chcesz iść do kościoła? Nikt cię nie przymusza.

Zamyśliła się.

- Twoja mat... chciałam powiedzieć “twoja najstarsza żona” ucieszyłaby się, prawda?

- Wyoh, twoja religia to twój geszeft - odpowiedziałem powoli. - Ale skoro pytasz... tak, najlepszy sposób na zrobienie dobrego wrażenia w Rodzinie Davisów to pójście z Mamą do kościoła. Pójdę z tobą, jeśli ty chcesz iść.

- Chcę. Myślałam, że nazywasz się “O’Kelly”.

- I owszem. Przy oficjalnych okazjach dodaję “Davis”. Davis to był Pierwszy Mąż, nie żyje od pięćdziesięciu lat. To nazwisko rodzinne i każda kobieta to “gospoża Davis” myślnik nazwiska wszystkich mężczyzn w linii Davisów plus jej rodzinne. W praktyce Mama to tylko “gospoża Davis” bez niczego - możesz tak do niej mówić - a inne używają pierwszych nazwisk i dodają “Davis” tylko, gdy podpisują czeki albo coś takiego. Jedna Ludmiła jest “Davis-Davis”, bo jest dumna z podwójnego członkostwa, z urodzenia i ze ślubu.

- Rozumiem. A więc mężczyzna nazwiskiem “John Davis” to syn, ale jeśli ma inne nazwisko, to jest twoim współ-mężem. Ale wszystkie dziewczęta tak czy tak nazywałyby się “Jenny Davis”, prawda? Więc po czym poznać? Po wieku? Nie, to żadne kryterium. Już nic nie rozumiem! A myślałam, że małżeństwa klanowe są skomplikowane. Albo poliandrie - choć w mojej wszystko było proste; przynajmniej obaj mężowie nosili to samo nazwisko.

- Żaden kłopot. Kiedy usłyszysz, że kobieta koło czterdziestki zwraca się do piętnastolatki per “Mamo Miła”, poznasz, która jest żoną, a która córką - choć naprawdę nie napotkasz u nas sytuacji aż tak skomplikowanych, bo nie mamy w domu córek na wydaniu; wszystkie prześlubiają się, ledwo odrosną od podłogi. Choć jakaś starsza córka może akurat nas odwiedzić. Twoi mężowie nazywali się “Knott”?

- Och, nie, Fiedosiejew, Choy Lin i Choy Mu. Wróciłam do rodzinnego nazwiska.

Profesor wyszedł z łazienki, zagderał starczo (wyglądał jeszcze gorzej niż za poprzednim razem!), wyszliśmy trzema różnymi wyjściami i na punkcie zbornym w głównym korytarzu przyjęliśmy szyk rozczłonkowany. Wyoh nie szła ze mną, bo bałam się, że mnie zgarną; ale nie znała Luna City, a jest to osiedle tak rozrośnięte, że nawet ci, co się w nim urodzili, mogą się zgubić - więc prowadziłem ją, a ona musiała trzymać się mnie. Profesor włókł się z tyłu i pilnował, żeby Wyoh mi

nie zginęła.

Gdyby mnie zgarnęli, Wyoh miała znaleźć publiczny telefon, zameldować Mike'owi, potem wrócić do hotelu i czekać na Profesora. Ale postanowiłem sobie, że każdego żółtka, który spróbuje mnie aresztować, popieszczę ręką nr 7.

Wszystko poszło gładko. Na poziom 5, tam spacerek przez Promenadę Carvera na poziom 3, przystanek na Zachodniej Stacji kolejki, gdzie odebrałem ręce i torbę z narzędziami, ale nie skafander; wyglądałoby to podejrzanie, więc zostawiłem go w przechowalni. Był na stacji jeden żółtek, ale nie zainteresował się mną. Potem na południe przez co jaśniej oświetlone korytarze, dopóki nie trzeba było skręcić na zewnątrz i przez prywatną służbę tranzytową nr 13 wejść do spółdzielczego tunelu ciśnieniowego, który łączy się z Tunelami Davisów i kilkunastoma innymi farmami. Chyba w tym momencie Profesor odłączył się od nas, ale nie oglądałem się za nim.

Pokręciłem się przed naszymi drzwiami, aż nie dogoniła mnie Wyoh, i już niebawem mówiłem:

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię Wymę Beth Johnson. Mama objęła ją, ucałowała w policzek i powiedziała:

- Wyma, moja droga, tak się cieszę, że mogłaś przyjść! Czuj się jak u siebie w domu!

I za to właśnie kocham naszą staruszkę! Tymi samymi słowami mogła zmrozić Wyoh - ale mówiła szczerze, i Wyoh to poznała.

Nie uprzedziłem Wyoh o jej nowej ksywie, wymyśliłem ją en route. Niektóre nasze dzieciaki to jeszcze maluchy i choć wpoiliśmy w nie pogardę do gubernatora, to lepiej, żeby nie paplały o "naszym gościu Wyoming Knott" - "Zbiór Specjalny Zebra" zawiera to nazwisko.

Jako początkujący konspirator zapomniałem ją uprzedzić.

Ale Wyoh połapała się i ani zająknęła.

Greg był już w swoim duchownym stroju, miał wyjść za parę minut. Mama nie śpieszyła się, majestatycznie przeprowadziła Wyoh wzdłuż linii mężów - Dziadek, Greg, Hans - i żon - Ludmiła, Lenore, Sidris, Anna - i zabrała się do przedstawiania dzieciaków.

- Mamo - powiedziałem. - Przepraszam, ale chciałbym zmienić rękę. - Uniosła brwi o milimetr, co znaczy: "Porozmawiamy o tym na osobności", więc dodałem: - Wiem, że jest późno, Greg zerka ukradkiem na zegarek. A Wyma i ja idziemy do kościoła. Więc przepraszam na moment.

Jej mina złagodniała.

- Ależ proszę, kochanie.

Zauważyłem, że kiedy się odwracała, objęła Wyoh w tali, więc i ja się uspokoiłem.

Wymieniłem nr 7 na rękę wyjściową. Skorzystałem też z okazji, by dać nura do kabiny telefonicznej i wystukać "MYCROFTXXX".

- Mike, jesteśmy w domu. Ale właśnie wychodzimy do kościoła. Chyba nie masz tam uszu, więc zgłoszę się do ciebie potem. Miałeś wiadomości od Profesora?

- Jeszcze nie, Man. Co to za kościół? Może akurat mam w nim jakieś obwody.

- Tabernakulum Pokuty pod wezwaniem Słupa Ognistego...

- Nie występuje w spisie.

- Nie tak szybko, kolego. Nabożeństwa odbywają się w Klubie Osiedlowym nr 3, Strefa Zachodnia. To na południe od stacji, na obwodnicy, w pobliżu...

- Już wiem. W środku znajduje się mikrofon do transmisji, a w korytarzu na zewnątrz jest telefon; zajmę się oboma.

- Nie spodziewam się żadnych kłopotów, Mike.

- Tak kazał Profesor. Właśnie się zgłasza. Czy połączyć cię z nim?

- Nie mam czasu. Cześć!

Odtąd zawsze tak było: byliśmy w stałym kontakcie z Mikiem, informowaliśmy go, gdzie jesteśmy i dokąd się wybieramy. Podsunęło mi ten plan odkrycie, jakie zrobiłem tego ranka, odkrycie, że Mike może słuchać przez wyłączony telefon - trochę mnie to zaniepokoiło; nie wierzę w czary. Ale po namyśle przypomniałem sobie, że telefon może włączyć się; bez udziału człowieka, za sprawą samego centralnego systemu zawiadującego - o ile system ten posiada własną wolę. Mike miał większą wolę.

Trudno mi powiedzieć, skąd Mike wiedział, że przed klubem jest telefon, skoro "przestrzeń" nie może znaczyć dla niego tego, co dla nas: Ale miał w swojej pamięci "mapę" - schemat połączeń - infrastruktury Luna City i prawie zawsze potrafił dopasować nasze meldunki do swojego obrazu "Luna City"; chyba ani razu się nie zgubił.

Tak więc od pierwszego dnia naszego spisku kontaktowaliśmy się z Mikiem i ze sobą nawzajem poprzez jego wszechobecny system nerwowy. Nie będę już o tym wspominał, chyba że będzie trzeba.

Mama, Greg i Wyoh czekali przy zewnętrznych drzwiach; Mama zniecierpliwiona, ale uśmiechnięta. Zauważyłem, że pożyczyła Wyoh tunikę. Mama jest równie tolerancyjna wobec nagiej skóry, jak wszyscy Lunatycy, nie ma w sobie ani trochę żółtodziobskiej świętoszkowatości - ale kościół to zupełnie inna sprawa.

Zdążyliśmy, choć Greg musiał z marszu wejść na ambonę, a my nawet nie mieliśmy czasu życzyć mu powodzenia. Włączyłem się w ceremoniał w nastroju bezmyślnego ciepła. Ale Wyoh

naprawdę słuchała kazania Grega i albo znała na pamięć nasze hymny, albo też znakomicie potrafiła śpiewać a vista.

Kiedy wróciliśmy do domu, młodzież i większość dorosłych byli już w łóżkach. Hans i Sidris czekali na nas i Sidris podała sojowe kakao i ciasteczka, a potem wszyscy poszliśmy spać. Mama przydzieliła Wyoh pokój w tunelu zamieszkanym głównie przez dzieciaki, który ostatnio zajęty był przez dwóch z mniejszych chłopców. Nie pytałem, gdzie ich przeniosła, wiedziałem, że daje mojemu gościowi najlepszą dostępną kwaterę, bo przecież mogła umieścić Wyoh w jednym pokoju z którąś ze starszych dziewcząt.

Tej nocy spałem z Mamą, po części dlatego, że nasza najstarsza żona dobrze koi nerwy - a dzisiejsze wydarzenia naprawdę mnie zdenerwowały - po części po to, żeby wiedziała, że n i e przekradnę się do pokoju Wyoh, kiedy już wszyscy zasną. Mój warsztat, w którym sypiam, kiedy sypiam sam, był raptem o jeden zakręt od drzwi Wyoh. Mama mówiła mi czarno na białym: “Śmiało, kochanie. Nic mi nie mów, jeśli chcesz być paskudny. Prześliznij się za moimi plecami”.

Żadne z nas nie przyznało się do tego. Powiedzieliśmy wszystkim dobranoc, zgasiliśmy światło, pogawędziliśmy chwilę i przewróciłem się na drugi bok.

Zamiast “dobranoc”, Mama powiedziała:

- Manuelu, dlaczego twoja miła przyjaciółka farbuje się na Murzynkę? Moim zdaniem w naturalnej karnacji byłoby jej bardziej do twarzy. Oczywiście w tym stylu także wygląda niezmiernie czarująco.

Odwróciłem się, spojrzałem jej w twarz i wytłumaczyłem - brzmiało to nieprzekonująco, więc zacząłem dopowiadać resztę. Niebawem stwierdziłem, że opowiedziałem jej wszystko, poza jedną rzeczą - Mikiem. Wspomniałem o Mike’u, ale n i e jako o komputerze, tylko jako o człowieku, którego Mama ze względu na bezpieczeństwo raczej nie będzie mogła spotkać.

Opowiedziałem Mamie - a tym samym zwerbowałem ją do mojej podkomórki, gdzie sama z kolei miała zostać szefową własnej komórki - włączyłem Mamę do konspiracji nie jako męża, który wszystko musi wypaplać żonie. Może zrobiłem to nieco za wcześnie, ale nie znalazłbym lepszego momentu na wtajemniczenie jej.

Mama to mądry człowiek. I ma zdolności przywódcze; bez nich już dawno by się wściekła od rządu naszą wielką rodziną. Była szanowana pośród farmerów i w całym Luna City, a stażem pobytu w Lunie górowała nad 90% naszego narodu. Przyda się nam.

I będzie niezbędna wewnątrz rodziny. Bez jej pomocy Wyoh i ja mielibyśmy ogromne kłopoty ze wspólnym korzystaniem z telefonu (jak to wytłumaczyć?), z ukryciem naszych poczynań przed dziećmi (niemożliwe!) - ale z pomocą Mamy nie będziemy mieli w domu żadnych problemów.

Wysłuchała mnie, westchnęła i powiedziała:

- Wygląda to na niebezpieczną sprawę, kochanie.

- Jest niebezpieczne - powiedziałem. - Wiesz, Mimi, jeśli nie chcesz się w to mieszać, to tylko powiedz... i potem zapomnij, co ci opowiadałem.

- Manuelu!. Jak możesz tak mówić? Jesteś moim mężem, kochanie, wzięłam cię na dobre i na złe... a twoja wola jest dla mnie rozkazem.

O rany, co za kłamstwo! Ale Mimi w to wierzy.

- Nie pozwolę ci ryzykować samemu - mówiła dalej - a poza tym...

- Tak, Mimi?

- Chyba wszyscy Lunatycy marzą o dniu, kiedy będziemy wolni. Wszyscy z wyjątkiem paru biednych szcurków bez kręgosłupa. Nigdy i z nikim o tym nie rozmawiałam. Myślę, że to nie miałyby sensu, a poza tym trzeba patrzeć przed, a nie za siebie, wytrwale dźwigać brzemię. Ale teraz Bohu składam dzięki, że dał mi dożyć tego czasu, o ile ten czas istotnie nadchodzi. Opowiedz mi coś jeszcze. Mam znaleźć trzy osoby, tak? Trzy osoby godne zaufania.

- Nie śpiesz się. Działaj powoli. Bądź ostrożna.

- Sidris można zaufać. Ona potrafi trzymać język za zębami.

- Może lepiej nie wybieraj nikogo z rodziny. Organizacja musi się rozrastać. Nie rób nic pochopnie.

- Nie będę. Zanim coś zrobię, przedyskutuję to z tobą. I, Manuelu, gdybyś chciał znać moje zdanie... - Urwała.

- Zawsze chcę znać twoje zdanie, Mimi.

- Nie wspominaj o tym Dziadkowi. On ma za krótką pamięć i za długi język. A teraz śpij, kochanie, i niech ci się nic nie przyśni.

ROZDZIAŁ IX

Zaczął się długi okres, podczas którego rewolucja wydawała się czymś zupełnie nieprawdopodobnym, i moglibyśmy o niej zapomnieć, gdyby żmudne przygotowywanie jej nie zajmowało nam tyle czasu. Przede wszystkim musieliśmy zadbać o to, by nas nie wyłapali. Celem długoterminowym było jak najwszechstronniejsze utrudnianie wszystkim życia.

Tak, utrudnianie. Nigdy, nawet teraz, nie zdarzyło się, by wszyscy Lunatycy pragnęli pozbyć się Zarządu, by to pragnienie mogło doprowadzić ich do buntu. Wszyscy Lunatycy gardzili gubernatorem i oszukiwali Zarząd. Co nie znaczy, że byli gotowi do walki na śmierć i życie. Gdybyście wspomnieli przy Lunatyku o “patriotyzmie”, ten popatrzałby się na was jak na wariata - albo pomyślał, że chodzi o jego ojczyste państwo. Byli wśród nas zesłani Francuzi, których serca pozostały w “La Belle Patrie”, eks-Niemcy lojalni wobec Va-terlandu, Ruscy, którzy nadal kochali Świętą Matkę Ruś. Ale Luna? Luna to “Skala”, miejsce wygnania, nie przedmiot miłości.

Chyba w historii nie było jeszcze równie apolitycznego ludku. Wiem o tym, polityka nic mnie nie obchodziła, dopiero okoliczności mnie w nią wepchnęły. Wyoming zajmowała się polityką, bo miała osobiste powody, by nienawidzić Zarządu; Profesor, bo w chłodnym, intelektualistycznym stylu gardził wszelkim rządem i zarządem; Mike, bo był maszyną znudzoną i samotną, a to była dla niego “jedyna zabawa w mieście”. O patriotyzm nie moglibyście nas oskarżyć. Jeśli już, to najprędzej mnie, bo należałem do trzeciego pokolenia, nie miałem w sobie ani odrobiny uczucia dla jakiegokolwiek miejsca na Terra - byłem tam, nie spodobało mi się i nauczyłem się gardzić Ziemiakami. A więc byłem największym “patriotą”!

Przeciętnego Lunatyka interesuje piwo, hazard, kobiety i praca, w tej właśnie kolejności. Czasami “kobiety” trafiają na drugie miejsce, ale, choć je hołubimy, nigdy na pierwsze. Już dawno temu Lunatycy nauczyli się, że kobiet nie wystarczy dla wszystkich. Kto się tego nie nauczył, umierał - bo nawet najbardziej zaborczy samiec nie może czuwać 24 godziny na dobę. Jak mawia Profesor, społeczeństwo adaptuje się do faktów albo ginie. Lunatycy zaadaptowali się do twardych faktów - a ci, którym się nie udało, ginęli. Ale “patriotyzm” nie jest niezbędny, aby przeżyć.

Stare kitajskie przysłowie mówi: “Ryby nie widzą, że żyją w wodzie”; i ja nie dostrzegałem tego wszystkiego, dopóki nie pojechałem po raz pierwszy na Terrę, a nawet wtedy nie uświadomiłem sobie, że pod adresem “patriotyzm” Lunatycy mają białą plamę - dopiero wtedy, kiedy i ja spróbowałem pobudzić ich do czynu. Wyoh i jej towarzysze chcieli naciskać na guzik z napisem “patriotyzm” i srodze się zawiedli - lata pracy, parę tysięcy członków, niecałe 1%, a i z tej mikroskopijnej liczby prawie 10% stanowili płatni kapusie głównego szpiega!

Uświadomił nas Profesor: łatwiej zmusić ludzi do nienawiści niż do miłości.

Na szczęście pomoc okazał nam Szef Bezpieczeństwa, Alvarez. Tych dziewięciu martwych goryli zastąpiono dziewięćdziesięcioma, bo wrobiliśmy Zarząd w coś, czego on bardzo nie lubi, mianowicie w wydanie na nas pieniędzy, a za jednym szaleństwem przyszły następne.

Przyboczna gwardia gubernatorska nigdy nie była liczna, nawet na samym początku. Strażnicy

jako tacy nie byli potrzebni, i na tym polegała jedna z głównych atrakcji systemu kolonii karnych - na ich taniości. Trzeba było chronić gubernatora, jego zastępcę i wizytujących VIP-ów, ale w samym więzieniu strażnicy byli zbyt tani. Po jakimś czasie, kiedy okazało się, że nie trzeba, przestano nawet pilnować statków, i w maju 2075 gwardia była tak okrojona, jak się tylko dało i składała się wyłącznie z żółtodziobów, nowych zesłańców.

Ale w ciągu jednej nocy znikło dziewięciu, i ktoś się przestraszył. Na pewno Alvarez; zapisał w zbiorze "Zebra" kopie swych próśb o pomoc, a Mike przeczytał nam je. Alvarez, więzień, który przed wyrokiem był policjantem na Terra, a przez cały czas pobytu w Lunie gorylem, był chyba najbardziej zastraszoną i samotnym człowiekiem w Skale. Żądał coraz więcej coraz skuteczniejszej pomocy, groził dymisją, jeśli jej nie dostanie - co było częstą groźbą, a gdyby w Zarządzie wiedzieli cokolwiek o Lunie, to poznaliby się na jej czczości. Jeśli Alvarez pokazałby się w którymkolwiek osiedlu bez munduru i bez broni, to przestałby oddychać, ledwo by go rozpoznano.

Dostał swych dodatkowych gwardzistów. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto wydał rozkaz tamtego nalotu. Mort Kurzajka jakoś nie zdradzał takich tendencji, przez cały czas swego panowania był malowanym królem. Może Alvarez, który dopiero niedawno wspiał się na posadę głównego kapusia, chciał się popisać - może miał ambicje zostać gubernatorem. Ale najprawdopodobniej po raporcie gubernatora o "działalności wywrotowej" centrala Zarządu na Ziemi zarządziła czystkę.

Jedna niezręczna pomyłka pociągnęła za sobą następną. Nowi gwardziści rekrutowali się nie spośród nowych zesłańców, lecz z doborowych oddziałów karnych Narodów Sfederowanych, tzw. Dragonów Pokoju. Byli twardzi i złośliwi, nie chcieli lecieć do Luny, a wkrótce zrozumieli, że "okresowa służba policyjna" oznacza podróż w jedną stronę. Nienawidzili Luny i Lunatyków, uważali nas za przyczynę tego wszystkiego.

Ledwo Alvarez ich dostał, wystawił 24-godzinne posterunki na każdej stacji międzyosiedlowej kolejki i wprowadził paszporty i kontrolę tożsamości. Gdyby w Lunie były prawa, byłoby to bezprawie, bo 95% spośród nas było teoretycznie wolnych albo z urodzenia, albo po odbyciu kary. W miastach procent ten był jeszcze wyższy, jako że odrabiający wyrok zesłańcy mieszkali w osiedlach więziennych w Kompleksie i pokazywali się w mieście tylko przez dwa dni na miesiąc lunański, kiedy nie pracowali. O ile w ogóle, bo nie mieli pieniędzy, ale czasami widywało się ich, jak się włóczą w nadziei, że ktoś postawi im drinka.

Ale jedynym pisany prawem były rozporządzenia gubernatora, i obowiązek paszportowy nie był "bezprawiem". Ogłosili o tym w gazetach, dali nam tydzień na wyrobienie sobie paszportów, i pewnego ranka o godzinie 8.00 ustawa weszła w życie. Niektórzy Lunatycy niemal nigdy nie podróżują; inni dużo jeżdżą w interesach; jeszcze inni dojeżdżają codziennie z pobliskich osiedli albo nawet z Luna City do Nowegolenu i vice versa. Grzeczni chłopcy wypisali formularze, uiścili opłaty, sfotografowali się i dostali paszporty; ja, za radą Profesora, zmieniłem się w grzecznego chłopca, zapłaciłem za paszport i nosiłem go razem z przepustką do pracy w Kompleksie.

Niewielu było tych grzecznych chłopców! Lunatycy nie uwierzyli w to. Paszporty? A na co to komu?

Tego ranka stał na Południowej Stacji kolejki wojak, który miał strasznie wkurzoną minę, bo

musiał przebrać się z pułkowego munduru w żółte ciuszki gwardzisty i nie spodobało mu się to, a pewno i my mu się nie podobaliśmy. Ja sam nigdzie się nie wybierałem; oparłem się tylko o ścianę i patrzałem.

Zapowiedziano kapsułę do Nowegolenu; grupa trzydziestu paru podróżnych skierowała się ku bramie. Gospodin Żółtek zażądał paszportu od pierwszego, który do niej dotarł. Lunatyk stanął i zaczął się z nim kłócić. Inny przepchnął się za jego plecami; gwardzista odwrócił się i ryknął na niego - precisnęły się jeszcze trzy czy cztery osoby. Gwardzista wyciągnął broń; ktoś schwycił go za łokieć, pistolet wypalił - nie laser, kulowy pistolet, głośny.

Pocisk uderzył w posadzkę i *huiii-huiii-huuu*, poszybował dokądś. Schowałem się. Trafił jedną osobę - gwardzistę. Kiedy tłum pasażerów zszedł na rampę, on leżał na podłodze i nie ruszał się.

Nikt nie zwracał na niego uwagi; obchodzili go albo przestępowali nad nim - z wyjątkiem jednej kobiety z dzieckiem na ręku, która zatrzymała się, starannie kopnęła go w twarz i zeszła na rampę. Może był już martwy, nie wiem, nie zabawiłem tam zbyt długo. Podobno ciało leżało aż do przybycia zmiennika.

Nazajutrz stało w tym miejscu pół drużyny. Kapsuła do Nowegolenu odjechała pusta.

Jakoś rozeszło się po kościach. Ci, którzy musieli podróżować, wyrobili sobie paszporty, twardziele zrezygnowali z podróży. Przy bramie kolejki stało już dwóch, jeden oglądał paszporty, a drugi stał za nim z wyciągniętym pistoletem. Ten, co sprawdzał paszporty, nie przyglądał im się zbyt dokładnie, i całe szczęście, bo większość była podrobiona, a wczesne fałszywki nie były wiele warte. Ale wkrótce zaczęto kraść autentyczny papier, i podrabiane paszporty zrobiły się lepsze od oficjalnych - były też droższe, ale Lunatycy popierali prywatną inicjatywę paszportową.

Nasza organizacja nie zajmowała się fałszerstwem; my tylko zachęcaliśmy do niego - i wiedzieliśmy, kto używa podrabianych papierów, a kto nie; w zapisach Mike'a wymienieni byli wszyscy posiadacze oficjalnych paszportów. To pomogło nam oddzielić ziarno od plew w aktach, które kompletowaliśmy - także przechowywaliśmy je w Mike'u, ale pod adresem "Bastylii" - gdyż doszliśmy do wniosku, że człowiek z podrobionym paszportem jest już na pół gotów przystąpić do nas. Przez komórki naszej rozrastającej się organizacji przeszła instrukcja, by nie rekrutować nikogo z ważnym paszportem. Kto nie jest pewien rekruta, może przekazać zapytanie na górę i otrzymać odpowiedź.

Ale kłopoty gwardzistów nie skończyły się na tym. Godności czy spokojowi ducha gwardzisty nie sprzyjają dzieciaki, stojące przed nim albo za nim, co jest gorsze, bo nie może ich widzieć, i małpujące każdy jego ruch - albo biegające w tę i we w tę, wykrzykujące obelgi, rechocące, wykonujące powszechnie zrozumiałe gesty palcem. Przynajmniej gwardziści uznawali te gesty za obraźliwe.

Jeden z nich uderzył na odlew małego chłopca i wybił mu parę zębów. Rezultat: dwóch martwych gwardzistów, jeden martwy Lunatyk.

Od tej pory gwardziści ignorowali dzieci.

To nie był nasz pomysł; my tylko zachęcaliśmy do tego. Nie spodziewalibyście się, że delikatna starsza pani w rodzaju mojej żony-seniorki będzie namawiać dzieci do niegrzecznego zachowania. Ale to właśnie robiła.

Są i inne rzeczy, które wytrącają z równowagi samotnych mężczyzn z dala od domu - i to był już nasz oryginalny pomysł. Tych Dragonów Pokoju wysłano do Skały bez pododdziału rozrywkowego. Niektóre spośród naszych kobiet są wyjątkowo piękne, a niektóre z nich zaczęły kręcić się koło stacji, w stroju lżejszym od normalnego - czyli prawie zerowym - skropione większymi niż zazwyczaj ilościami perfum, o wielkim zasięgu i mocy. Nie rozmawiały z żółtkami, nawet na nich nie patrzyły; tylko przecinały ich pole widzenia, falując tak, jak potrafi to robić tylko dziewczyna z Luny. (Terranki nie potrafią tak chodzić; krępuje je sześciokrotnie zwiększona waga.)

Rzecz jasna, od tego natychmiast gromadzi się cała męska widownia, od starców po ośmiolatki - rozradowane gwizdy i wiwaty na cześć damskiej urody, złośliwy śmieszek z żółtka. Z początku służbę tę pełniły panienki na godziny, ale ochotniczki zaczęły zgłaszać się w takim tempie, że Profesor stwierdził, iż nie musimy wydawać pieniędzy. Miał rację; nawet Ludmiła, nieśmiała kociątko, chciała tego spróbować, i to nie tylko dlatego, że Mama jej zabroniła. Ale Lenore, starsza o 10 lat, najpiękniejsza z naszej rodziny, naprawdę tego spróbowała, i Mama nie powiedziała jej złego słowa. Lenore wróciła cała zaróżowiona z podniecenia i zadowolenia i nie mogła się doczekać, kiedy znów pójdzie drażnić wroga. A wpadła na ten pomysł sama; nie wiedziała wtedy, że szykuje się rewolucja.

W tamtych czasach rzadko widywałem Profesora i nigdy w miejscach publicznych. Pierwszy feler polegał na tym, że na naszej farmie jest tylko jeden telefon na 25 osób, w tym wielu młodzieniaszków, którzy, gdyby im na to pozwolić, gadaliby przez niego godzinami. W tej sprawie Mimi jest surowa; nasze dzieciaki mają prawo do jednego telefonu na dzień, maksimum 90 sekund, z mnóstwem kar za przekroczenie przepisów - które łagodzi jej nieuleczalna skłonność do robienia wyjątków. Ale każdemu wyjątkowi towarzyszy "Kazanie Mamy na temat Telefonów": "Kiedy ja przybyłam do Luny, w ogóle nie było prywatnych telefonów. Wy, dzieciaki, nawet nie podejrzewacie, jak wam dobrze..."

Sprawiliśmy sobie telefon jako jedna z ostatnich zamożnych rodzin; kiedy się wślubiłem, była to jeszcze nowość. Zamożność zawdzięczaliśmy temu, że nigdy nie kupowaliśmy niczego, co można było wyprodukować na farmie. Mama nie lubiła telefonów, bo opłaty na rzecz Spółdzielni Telekomunikacyjnej Luna City w sporym procencie przechodzą na konto Zarządu. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego ("Skoro tak dobrze znasz się na tych sprawach, Manuelu kochany") nie możemy kraść usług telefonicznych równie łatwo, jak kombinujemy elektryczność. Nie interesowało jej, że aparat telefoniczny stanowi część systemu zawiadującego, do którego musi być wpasowany.

W końcu udało mi się ukraść i to. Z nielegalnym telefonem sęk jest w tym, jak przyjmować rozmowy z zewnątrz. Skoro telefon nie jest zarejestrowany, to nawet jeśli podamy numer osobom, które mają się z nami kontaktować, sam system zawiadujący nie będzie o nim wiedział; nie będzie miał sygnału, którym możemy zezwolić mu na połączenie rozmówcy z nami.

Gdy Mike przystąpił do spisku, skończyły się nasze kłopoty z łącznością. Większość potrzebnych części miałem w warsztacie, resztę kupiłem albo skombinowałem. Przeborowałem cieniutki kanalik od warsztatu do kabiny telefonicznej i drugi do pokoju Wyoh - laserowe wiertło skolimowane do średnicy ołówka szybko tnie metrowej grubości dziewiczą skałę. Rozebrałem nasz oficjalny telefon, zamontowałem w jego wnęce radiowe łącze do linii i zakamuflowałem je. Potem wystarczyły tylko stereofoniczne mikrofony i głośnik, ukryte w pokoju Wyoh, to samo w moim, i mały obwód, który zmieniał częstotliwość na linii telefonicznej Davisów na nadstyszalną i przestrajał sygnały z zewnątrz na słyszalne.

Jedyna trudność polegała na tym, jak zrobić to niepostrzeżenie, a tym zajęła się Mama.

Cała reszta to już była działka Mike'a. Nie potrzebował żadnych układów łączących; od tej pory posługiwałem się MYCROFTem-XXX tylko wtedy, gdy dzwoniłem z jakiegoś innego telefonu. Mike bez przerwy nadслуchiwał w warsztacie i w pokoju Wyoh; jeśli słyszał, że mój albo jej głos mówi "Mike", to odpowiadał, ale nie na obce głosy. Dźwięki głosów są dla niego równie zindywidualizowane, co odciski palców; nigdy się nie mylił.

Drobne udoskonalenia - założyłem dźwiękoszczelne obicie na drzwi Wyoh, na drzwiach warsztatu już takie było, przełączniki do wyłączania obu aparatów, u mnie sygnalizatory jej obecności w pokoju i tego, czy jej drzwi są zamknięte i vice versa. Dzięki temu wszystkiemu Wyoh i ja mogliśmy bezpiecznie rozmawiać z Mikem albo ze sobą, albo i organizować dyskusje z udziałem Mike'a, Wyoh, Profesora i moim. Mike dzwonił do Profesora, do jego aktualnego miejsca pobytu; Profesor włączał się do rozmowy albo dzwonił do nas z jakiegoś bardziej intymnego lokalu. Czasami trzeba było odszukać Wyoh albo mnie. Wszyscy zawsze meldowaliśmy o każdym ruchu Mike'owi.

Choć mój piracki telefon nie miał klawiatury, to mogłem połączyć się z niego z każdym numerem w Lunie - wystarczyło poprosić Mike o "Sherlocka" - nie musiałem podawać numeru, Mike miał wszystkie spisy i mógł znaleźć numer szybciej niż ja.

Żywy i sprzymierzony z nami system zawiadujący siecią telefoniczną zaczynał objawiać nam swe nieskończone możliwości. Poprosiłem Mike'a o jeszcze jeden pusty numer i podałem go Mamie na wypadek, gdyby musiała się ze mną skontaktować. Nadal myślała, że Mike to człowiek i zaprzyjaźniła się z nim przez telefon. Tak jak i reszta rodziny. Pewnego dnia, gdy wróciłem do domu, Sidris powiedziała:

- Mannie, kochanie, dzwonił twój przyjaciel, ten z miłym głosem. Mike Holmes. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

- Dziękuję, kotku. Zaraz zadzwonię.

- Może byś zaprosił go kiedyś na kolację, Man? Jest bardzo sympatyczny.

Powiedziałem jej, że gospodin Holmes cierpi na cuchnący oddech, jest cały obrośnięty szorstkimi kudłami i nie znosi kobiet. Zakląła brzydko, bo Mamy akurat nie było w pobliżu.

- Boisz się pokazać mi go. Boisz się, że wniosę o jego wślubienie. - Przytuliłem ją i

oświadczyłem, że ma absolutną rację. Opowiedziałem o tym Mike'owi i Profesorowi. Od tej pory Mike jeszcze bezczelniej flirtował z moimi kobietami; Profesor zaczął nad czymś rozmyślać.

Uczyłem się metod konspiracji i powoli zacząłem zgadzać się z opinią Profesora, że rewolucja to sztuka. Nie zapomniałem o prognozie Mike'a, że Lunie zostało tylko siedem lat do katastrofy (nigdy w nią nie wątpiłem). Ale nie zastanawiałem się nad nią, za bardzo byłem zajęty fascynującymi, finezyjnymi drobiazgami.

Profesor wytłumaczył nam, jak poważnymi sprawami są dla konspiracji łączność i bezpieczeństwo i pokazał nam sprzeczność pomiędzy nimi - im łatwiejsza łączność, tym bardziej zagrożone bezpieczeństwo; zbyt skuteczne środki ostrożności mogą sparaliżować organizację. Wyjaśnił nam, że system komórkowy stanowi kompromis.

Zgodziłem się na system komórkowy, gdyż musieliśmy zminimalizować straty spowodowane przez szpiegów. Nawet Wyoh, kiedy dowiedziała się, jak przeżarte przez kapusiów było stare podziemie, przyznała, że organizacja niezdecentralizowana jest do niczego.

Ale nie podobała mi się toporna organizacja łączności w systemie komórkowym; jak u pradawnych terrańskich dinozaurów, wiadomości zbyt długo wędrowały w nim od głowy do ogona albo z powrotem.

Więc pogadałem o tym z Mikiem.

Zrezygnowaliśmy z wieloogniowych kanałów, o których opowiadałem Profesorowi. Pozostaliśmy przy układzie komórkowym, lecz bezpieczeństwo i łączność zorganizowaliśmy w oparciu o cudowne możliwości naszego myślaka pierwsza klasa.

Łączność: Przyjmujemy trójkowe drzewo pseudonimów partyjnych:

Przewodniczący: gospodin Adam Selene (Mike);

Komórka egzekutywna: Bork (ja), Betty (Wyoh), Bili (Profesor);

Komórka Borka: Cassie (Mama), Colin, Chang;

Komórka Betty: Calvin (Greg), Cecilia (Sidris), Clayton;

Komórka Billa: Cornwall (Finn Nielsen), Carolyn, Cotter

- i tak dalej. W siódmym ogniwie George ma pod sobą Herberta, Henry'ego i Hallie. Na tym poziomie potrzeba 2187 imion na "H" - ale to już zadanie dla cwanego komputera, który wypisze je albo wymyśli. Każdy rekrut otrzymuje pseudonim partyjny i awaryjny numer telefonu. Wiadomości nie muszą wędrować przez niezliczone ogniwa, gdyż jest to numer "Adama Selene" - Mike'a.

Bezpieczeństwo: oparte na dwóch zasadach - żadnemu człowiekowi nie można w niczym zaufać, ale Mike'owi można zaufać we wszystkim.

Pierwsza zasada jest okrutna, ale oczywista. Narkotykami i innymi nieapetycznymi metodami można złamać każdego człowieka. Jedyną radą jest samobójstwo, które nie zawsze jest możliwe. Och, są różne techniki “wydrażonego zęba”, stare i nowe, niektóre niemal niezawodne - Profesor zajął się zaopatrzeniem Wyoh i mnie. Nie wiem, co ona dostała jako przyjaciela na czas biedy, a skoro ja sam nie musiałem korzystać z mojego, może oszczędzimy sobie niemiłych szczegółów. Nie jestem zresztą pewien, czy popełniłbym samobójstwo; nie mam męczenniczych zapędów.

Ale Mike nie będzie musiał odbierać sobie życia, nie można go oszołomić narkotykami, nie czuje bólu. Wszystko, co się z nami wiązało, przechowywał w osobnym banku pamięci pod sygnałem blokady, którą mógł zdjąć tylko dźwięk głosu jednego z nas trojga, a pamiętając, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, dodaliśmy drugi sygnał, który w razie potrzeby umożliwiał jednemu z nas unieważnienie dwóch pozostałych głosów. Jako najlepszy technik komputerowy w Lunie uważam, że po nałożeniu tej blokady Mike nie był w stanie jej usunąć. Przede wszystkim zaś nikt nie będzie pytał głównego komputera o ten zbiór, bo nikt nie wie o jego istnieniu, nikt nie podejrzewa, że istnieje Mike-jako-Mike. Tyle chyba wystarczy?

Jedyne ryzyko stwarzała kapryśność tej świadomej maszyny. Mike bezustannie przejawiał nieprzewidziane możliwości; niewykluczone, że znajdzie sposób obejścia blokady - jeśli zechce.

Ale nigdy nie zechce. Był lojalny wobec mnie, swego pierwszego i najstarszego przyjaciela; lubił Profesora; chyba kochał się w Wyoh. Nie, nie, nie chodzi mi o seks. Ale Wyoh to kochana dziewczyna, i polubili się od pierwszej chwili.

Ufałem Mike’owi. Na tym świecie trzeba ryzykować; ja postawiłbym na Mike’a wszystko.

Tak więc bezpieczeństwo opierało się na tym, że ufaliśmy Mike’owi we wszystkim, a każde z nas wiedziało tyle tylko, ile musiało. Na przykład to drzewo pseudonimów i numerów. Ja znałem tylko nazwiska moich kolegów z komórki i bezpośrednio mi podlegającej trójki; więcej nie musiałem. Mike wymyślał pseudonimy, przydzielał każdemu numer telefonu, prowadził spis prawdziwych nazwisk i odpowiadających im ksyw. Powiedzmy, że towarzysz “Daniel” (którego nie znam, bo jest o dwa poziomy poniżej mnie, w “D”) rekrutuje Fritza Schultza. Daniel melduje o fakcie na górę, ale nie podaje nazwiska; Adam Selene dzwoni do Daniela, przydziela Schultzowi pseudonim “Embrook”, potem dzwoni do Schultza, pod numer, który podał mu Daniel, przekazuje Schultzowi jego pseudonim (Embrook) i awaryjny numer telefonu, natomiast numer ten jest inny dla każdego rekruta.

Nawet szef komórki Embrooka nie zna jego awaryjnego telefonu, O czym się nie wie, tego się nie wygada ani pod narkotykami, ani na torturach, ani w ogóle. Ani nawet przez nieostrożność.

A teraz przypuśćmy, że ja muszę skontaktować się z towarzyszem Embrookiem. Nie wiem, kim on jest; może mieszka w Hongkongu, może prowadzi sklepik obok naszego domu. Zamiast wysyłać wiadomość na dół i mieć nadzieję, że do niego dotrze, dzwonię do Mike’a. Mike natychmiast łączy mnie Sherlockiem z Embrookiem, ale nie podaje mi jego numeru.

Albo powiedzmy, że chcę pogadać z towarzyszem przygotowującym karykaturę, którą mamy rozkolportować we wszystkich pubach w Lunie. Nie wiem, kto to taki. Ale muszę z nim

porozmawiać; stało się coś ważnego.

Dzwonię do Mike'a; Mike wszystko wie - i znów szybko mnie łączy - a ten towarzysz wie, że wszystko jest okay, bo rozmowę zaaranżował Adam Selene. "Mówi towarzysz Bork" - a tamten nie zna mnie, ale inicjał "B" mówi mu, że jestem autentycznym VIP-em - "musimy zmienić to i to. Powiedz szefowi swojej komórki i każ mu sprawdzić, ale pośpiesz się".

Drobne utrudnienia - niektórzy towarzysze nie mieli telefonów; inni dostępni byli tylko w pewnych godzinach; niektóre co dalsze osiedla w ogóle nie były stelefonizowane. Nic nie szkodzi, Mike wszystko wiedział - a żadne z nas nie wiedziało niczego, co mogłoby zaszkodzić komuś spoza znanej nam osobiście garstki.

Kiedy postanowiliśmy, że Mike powinien choć raz osobiście porozmawiać z każdym towarzyszem, trzeba było przydać mu więcej głosów i ubrać go, zmienić w trójwymiarową postać, stworzyć "Adama Selene, Przewodniczącego Tymczasowego Komitetu Wolnej Luny".

Mike potrzebował więcej głosów, ponieważ miał tylko jeden woder-wokoder, jego mózg zaś mógł prowadzić jednocześnie kilkanaście rozmów albo sto (sam nie wiem, ile) - niczym szachowy mistrz grający symultankę z pięćdziesięcioma przeciwnikami, tylko że lepiej.

Mogło zrobić się tu wąskie gardło, bo organizacja rosła i coraz częściej ktoś chciał rozmawiać z Adamem Selene, który w czasie decydującej rozgrywki - o ile do takowej dojdzie - odegra zapewne kluczową rolę.

Chciałem nie tylko dodać mu nowe głosy, ale również wyciszyć stary. Jeden z tych tzw. programistów może wejść do hali maszyn akurat, gdy ktoś z nas dzwoni do Mike'a; nawet taki przymuł zdziwi się, jeśli nakryje główny komputer na rozmowie pozornie z samym sobą.

Woder-wokoder to bardzo stare urządzenie. Ludzki głos składa się z różnie poukładanych brzęczeń i syków; opis ten stosuje się nawet do koloraturowych sopranów. Wokoder analizuje brzęczenia i syki i przypisuje im schemat czytelny dla komputera (albo specjalisty). Woder to małe pudełko, które wydaje brzęczenia i syki, te zaś za pomocą stosownych obwodów kontrolnych można ustawiać w dowolne schematy. Są ludzie, którzy potrafią "grać" na woderze i tworzyć sztuczną mowę; odpowiednio zaprogramowany komputer może produkować takie dźwięki równie szybko, równie swobodnie, równie wyraźnie, jak mówiący człowiek.

Ale głosy w drucie telefonicznym to nie fale dźwiękowe, a sygnały elektryczne; do rozmowy przez telefon Mike nie potrzebował obwodów audio wodera-wokodera. Fale dźwiękowe przydają się tylko człowiekowi przy drugim aparacie; w pokoju Mike'a w Kompleksie Zarządu dźwięki mowy były zbyteczne, postanowiłem więc zlikwidować je, a wraz z nimi ryzyko zdemaskowania.

Najpierw pracowałem w domu, głównie używając ręki nr 3. Wyszło z tego bardzo małe pudełko, zawierające dwadzieścia zestawów wodera-wokodera minus obwody audio. Wtedy zadzwoniłem do Mi-ke'a i poprosiłem go, by "zachorował" na coś, co rozdrażni gubernatora. I czekałem.

Korzystaliśmy już z numeru z "chorowaniem". Wróciłem do pracy, kiedy tylko dowiedziałem się, że jestem czysty, czyli w czwartek tego samego tygodnia, w którym Alvarez wpisał w zbiór "Zebra" raport o jatce w Klubie Stiliagów. Jego wersja zawierała listę około stu nazwisk (na chyba 300 obecnych), w tym Krasnala Mkruma, Wyoh, Profesora i Finna Nielsena, ale nie mnie - widocznie nie wpadłem w oko jego kapusiom. Raport stwierdzał, że dziewięciu funkcjonariuszy policji, z których każdy otrzymał od gubernatora uprawnienia niezbędne do ochrony porządku, zostało z zimną krwią zastrzelonych, Wymieniał także trzech naszych zabitych.

Późniejsze o tydzień uzupełnienie stwierdzało, że "znana prowokatorka Wyoming Knott z Hongkongu, Luna, której podburzające wystąpienie w poniedziałek 13 V wywołało zamieszki, w których życie straciło dziewięciu naszych dzielnych funkcjonariuszy, nie została ujęta w Luna City i nie powróciła do żadnego ze swych miejsc stałego pobytu w Hongkongu, Luna, w związku z czym obecnie uważamy, iż zginęła ona w spowodowanej przez siebie masakrze". Dopisek ten zawierał wzmiankę o czymś, co nie znalazło się w pierwszym raporcie, tj. że nie odnaleźli ciał i nie znają dokładnej liczby zabitych.

Z tego PS dowiedzieliśmy się dwóch rzeczy: Wyoh nie może wrócić do domu i musi nadal się farbować.

Jako że nie byłem spalony, kontynuowałem moje oficjalne życie, zająłem się w tamtym tygodniu klientami, komputerami do rachunkowości i programami wykonawczymi w Bibliotece im. Carnegie'e-go, a cały wolny czas spędzałem na słuchaniu odczytywanego przez Mike'a zbioru "Zebra" i innych zbiorów specjalnych, w pokoju L u Rafflesa, bo nie miałem wtedy jeszcze osobistego telefonu. Przez cały tydzień Mike jak niecierpliwый dzieciak (którym w końcu był) wiercił mi dziurę w brzuchu, żebym mu powiedział, kiedy przyjdę po kolejną porcję dowcipów. Kiedy mu powiedziałem, że nie da rady, chciał opowiadać je przez telefon.

Strasznie mnie to wkurzało i musiałem sobie przypominać, że z Mike'owego punktu widzenia analiza kawałów jest równie ważna, co wyzwolenie Luny - a obietnic danyh dziecku się n i e łamie.

Poza tym kusilo mnie, żeby wejść do Kompleksu i zobaczyć, czy mnie capną. Wiedzieliśmy, że Profesor nie jest czysty, dlatego sypia u Rafflesa. A przecież oni wiedzieli, że był na zebraniu, na bieżąco znali każde jego miejsce pobytu - i mimo to nawet nie próbowali go zatrzymać. Kiedy dowiedzieliśmy się, że chcieli zwinąć Wyoh, zaczęło mnie kusić jeszcze bardziej. Czy jestem czysty? A może czekają tylko na okazję, by zwinąć mnie po cichu? Musiałem się dowiedzieć.]

Więc zadzwoniłem do Mike'a i poprosiłem, by rozbolał go brzuch. Zastosował się, posłali po mnie - spokojnie. Wszystko poszło jak zwykle, tyle że musiałem pokazać paszport na stacji, a potem jeszcze raz w Kompleksie. Pogawędziłem z Mikiem, odebrałem tysiąc dowcipów (umówiliśmy się, że będę przekazywać mu oceny po sto naraz, co trzy-cztery dni, nie częściej), kazałem mu wyzdrowieć i wróciłem do L-City, po drodze zostawiając Głównemu Inżynierowi rachunek za czas pracy, koszty podróży i zużycia narzędzi, materiały, specjalne usługi i co tam jeszcze przyszło mi do głowy.

Od tej pory widywałem się z Mikiem średnio raz na miesiąc. Nic nie ryzykowałem, jeździłem tylko wtedy, kiedy o n i wzywali m n i e w celu usunięcia awarii przekraczającej umiejętności ich

personelu, którą ja zawsze potrafiłem “naprawić”, czasem szybko, czasem po całym dniu pracy i mnóstwie testów. Starannie zostawiałem ślady narzędzi na obudowach i zawczasu przygotowywałem wydruki testów przed i po naprawie, by tłumaczyć im, co było nie tak, jak to wykryłem i co zrobiłem. Po moich wizytach Mike zawsze działał na medal; byłem niezastąpiony.

Tak więc, kiedy przygotowałem dla niego nową przystawkę do wodera-wokodera, bez wahania zadzwoniłem i poprosiłem, żeby “zachorował”. Wezwali mnie już po półgodzinie. Mike wymyślił coś bombowego; jego “choroba” przejawiała się w dzikich harcach klimatyzacji w siedzibie gubernatora. W 11-minutowym cyklu na przemian przegrzewał ją i oziębiał, a jednocześnie w krótkim cyklu, około 2 Hz, bawił się ciśnieniem powietrza, co wystarczy, by przyprawić człowieka o straszliwą irytację, a może i o ból uszu.

Klimatyzacją pojedynczej rezydencji nie powinien zajmować się główny komputer! W Tunelach Davisów dom i farmę obsługują urządzenia “idioty”, a każda przestrzeń ma sprzężenie zwrotne z systemem alarmowym, i nawet w środku nocy ktoś może wyskoczyć z łóżka i przejąć ręczną kontrolę do czasu wykrycia awarii. Może krowy zmarzną, ale kukurydzy nic się nie stanie; jeśli nad pszenicą zgaśnie światło, warzywa będą nietknięte. Sami widzicie, co to za głupota upychać wszystko w jeden komputer - Mike urządził gubernatorowi istny czyściec, a nikt nie miał zielonego pojęcia, jak temu zaradzić.

Mike był rozradowany i dumny z siebie. Taki humor potrafił docenić. I ja go doceniłem, powiedziałem, żeby nie przeszkadzał sobie w zabawie - rozłożyłem narzędzia i wyjąłem małe czarne pudełeczko.

I wtedy dyżurny programista zaczyna walić i dzwonić do drzwi. Nie śpieszyłem się z otwieraniem; pokazałem mu się z gołym krótkim skrzydłem i z ręką nr 5 w prawej dłoni; niektórzy od tego haftują, a większości robi się nieswojo.

- A czego ty tu szukasz, koleś? - zapytałem.

- Słuchaj - mówi - gubernator się wścieka! Nie zlokalizowałeś j jeszcze awarii?

- Przekaż gubernatorowi moje wyrazy szacunku i powiedz mu, że jak tylko znajdę niesprawny obwód, przejmę ręczne sterowanie, by przywrócić jego cenny komfort - chyba że zamiast pracować, będę musiał odpowiadać na głupie pytania. Masz zamiar taki stać w otwartych drzwiach i napuszczać kurz na maszyny ze zdjętymi obudowami? Jeśli tak, to masz tu dyżur, i jak się zatrą od kurzu, to sam je sobie, kurde, naprawiaj. Mnie już z łóżka niej wywabicie. To też możesz powiedzieć swojemu cholernemu gubernatorowi.

- Nie wyrażaj się, kolego.

- Ty też, więzienny ptaszku. Zamkniesz te drzwi czy nie? Czy mam wyjść i wrócić do L-City?

- I uniosłem nr 5 jak maczugę.

Zamknął. Nie zależało mi, żeby obrazić biedaka. Jeden z punktowi naszego planu głosił, że każdemu trzeba jak najintensywniej utrudniać życie. Temu facetowi niełatwo się pracowało dla

gubernatora; jaj chciałem, żeby znieawidził swoją posadę.

- Mam trochę podkręcić? - spytał Mike.

- Hmm, przez jakieś dziesięć minut nic nie zmieniaj, a potem nagle przestań. Potem przez godzinkę pobaw się, powiedzmy, ciśnieniem powietrza. Chaotycznie, ale mocno. Wiesz, co się dzieje przy przekraczaniu bariery dźwięku?

- Oczywiście. Fala uderzeniowa...

- Nie definiuj. Kiedy skończysz z głównymi efektami, grzechocz co parę minut w jego szybach wentylacyjnych i staraj się wywołać coś w rodzaju tej fali uderzeniowej. A potem zrobimy mu naprawdę wielkie świństwo. Mmm... Mike, czy możesz zmienić kierunek przepływu w jego WC?

- Jasne! We wszystkich?

- A ile ich ma?

- Sześć.

- Cóż... wychlap co nieco ze wszystkich, tyle żeby mu zalało dywany. Ale gdybyś znalazł jakieś w pobliżu sypialni, to siknij mu aż pod sufit. Da radę?

- Program opracowany!

- Dobrze. A teraz twój prezent, kotku. - Było dla niego dosyć miejsca w skrzynce z obwodami audio wodera i przez 40 minut dopasowywałem go przy pomocy nr 3. Wypróbowaliśmy go na woderze-wokoderze, a potem kazałem mu zadzwonić do Wyoh i przetestować wszystkie zestawy.

Przez 10 minut panowała cisza, a ja zająłem się robieniem śladów narzędzi na tej płycie obudowy, którą bym zdjął, gdyby naprawdę coś było nie tak, pakowaniem narzędzi, założeniem ręki nr 6, zwinięciem wydruku z tysiącem dowcipów. Okazało się, że nie musiałem wymontowywać obwodu audio z wodera; Mike pomyślał o tym zawczasu i zawsze odłączał go, gdy tylko ktoś dotknął drzwi. Skoro jego odruchy szybsze są od moich co najmniej tysiąc razy, nie kłopotalem się już.

Wreszcie powiedział:

- Wszystkie 20 zestawów okay. Przełączałem zestawy w środku słowa, a Wyoh nie zauważyła żadnej nieciągłości. I zadzwoniłem do Profesora, i pozdrowiłem go, i rozmawiałem z Mamą przez twój domowy telefon, wszystko jednocześnie.

- No, to wiemy, gdzie stoimy. Co powiedziałaś Mamie?

- Żeby ci przekazała, że masz do mnie zadzwonić, to znaczy do Adama Selene. A potem pogawędziliśmy sobie. Czarująco prowadzi konwersację. Rozmawialiśmy o kazaniu Grega z zeszłego wtorku.

- He? Jak to?

- Powiedziałem jej, że go słuchałem i zacytowałem pewien poetycki fragment.

- Och, Mike!

- Wszystko w porządku, Man. Dałem jej do zrozumienia, że siedziałem z tyłu i wymknąłem się podczas ostatniego hymnu. Nie jest wścibska; rozumie, że nie chcę być widziany.

Mama to najbardziej wścibska kobieta w Lunie.

- Chyba rzeczywiście wszystko w porządku. Ale nie rób tak więcej. Eee... Rób tak więcej. Chodź na - obserwuj - zebrania, wykłady, koncerty itede.

- Chyba że jakiś wandal odłączy mnie ręcznie! Man, nie panuję nad tymi mikrofonami tak, jak nad telefonami.

- Przełącznik jest za prosty. Stałego flip-flopa nie sterroryzowałiby siłą mięśni.

- Cóż za barbarzyństwo. I jakie to nie fair.

- Mike, prawie wszystko jest nie fair. Trzeba zacisnąć zęby...

- ... i nauczyć się to znosić. Śmieszne tylko raz, Man.

- Przepraszam. Przeróbmy to: Trzeba zacisnąć zęby, wyrzucić to i zastąpić czymś lepszym. I tak też zrobimy. Jakie mieliśmy szansę, kiedy ostatnio je obliczałeś?

- W przybliżeniu 1:9, Man.

- Spadają?

- Man, będą spadać jeszcze przez wiele miesięcy. Nie odbiliśmy się jeszcze od dna.

- I do tego Yankees spadają na dół ligi. No, cóż. Zmieńmy temat. Od dziś, kiedy będziesz z kimś rozmawiać, a ten ktoś był na jakimś wykładzie czy czymś takim, ty też tam byłeś - i udowodnij mu to, zacytuj coś.

- Zapisane. Czemu, Man?

- Czytałeś może książkę Szkarłatny Kwiat! Chyba będzie w bibliotece publicznej.

- Tak. Odtworzyć?

- Nie, nie! Ty jesteś naszym Szkarłatnym Kwiatem, naszym Johnem Galtem, naszym Lisem z Bagien, naszym człowiekiem-tajemnicą. Bywasz wszędzie, wiesz wszystko, wślizgujesz się i wyślizgujesz z miasta bez paszportu. Zawsze jesteś na miejscu, choć nikt cię nie spostrzega.

Jego światełka zamrugały, rozległ się stłumiony chichot.

- To ci dopiero zabawa, Man. Śmieszne raz, śmieszne dwa razy, może i śmieszne zawsze.

- Śmieszne zawsze. Jak dawno temu skończyłeś gimnastykę u gubernatora?

- 43 minuty temu, nie licząc fal uderzeniowych w odstępach losowych.

- Założę się, że go bolą zęby! Jeszcze piętnaście minut. Potem zamelduję o wykonaniu zlecenia.

- Zapisane. Man, wiadomość od Wyoh. Kazała ci przypomnieć! o urodzinach Billy'ego.

- O, rany! Kończ wszystko. Uciekam już. Cześć! - Wybiegłem, Matka Billy'ego to Anna. To już chyba jej ostatnie dziecko - dość już dla nas zrobiła, ósemka dzieciaków, z tego troje jeszcze nie opuściło domu. Równie usilnie jak Mama staram się nikogo nie wyróżniać... ale Billy to wspaniały chłopak, sam uczyłem go czytać. Chyba z wyglądu jest do mnie podobny.

Zatrzymałem się w biurze Głównego Inżyniera, gdzie zostawiłem rachunek i oświadczyłem, że chcę się widzieć z szefem. Kazał mnie wpuścić, był w strasznie wojowniczym nastroju; gubernator zalał mu sadła za skórę.

- Chwileczkę - uciszyłem go. - Mój syn ma dzisiaj urodziny, i nie mogę się spóźnić. Ale muszę panu coś pokazać.

Wyciągnąłem z torby kopertę i wytrząsnąłem ją na biurko: zwłoki muchy domowej, które przypaliłem rozgrzanym drutem i przyniosłem z domu. Nie tolerujemy much w Tunelach Davisów, ale czasami, kiedy otwieramy śluzy, coś wlatuje z miasta. Ta zabłąkała się do mojego warsztatu w samą porę.

- Widzi pan? Jak pan myśli, gdzie to znalazłem?

W oparciu o ten sfalszowany dowód wyimprowizowałem wykład na temat eksploatacji delikatnych maszyn, mówiłem o otwieranych drzwiach, pożaliłem się na dyżurnego.

- Kurz może zdewastować komputer! Owady to skandal! A tu pana dyżurni włączają i wyłączają, jakby to była stacja kolejki. Dziś otworzyli obie pary drzwi naraz - a ten dureń nie mógł przestać mleć ozorem. Jeśli jeszcze kiedyś znajdę dowody, że jakiś żółtodziób z dwiema lewymi rękoma zdjął obudowę i napuścił pod nią much - cóż, szefie, to pana firma. Jestem zapracowany, pomagam panu tylko dlatego, że lubię dobre maszyny. Ale wandalizmu nie znoszę! Żegnam.

- Momencik. Ja chcę panu coś powiedzieć.

- Przykro mi, ale muszę już iść. Niech pan robi, co pan uważa, mój fach to komputery, a nie dezynsekcja.

Ludzie są najbardziej sfrustrowani, kiedy nie mogą się wygadać. Przy odrobinie szczęścia i

pomocy gubernatora Główny Inżynier do Gwiazdki nabawi się wrzodów.

I tak się spóźniłem, i pokornie przeprosiłem Billy'ego. Alvarez wymyślił nową szykanę, osobistą rewizję wszystkich wyjeżdżających z Kompleksu. Zniosłem ją bez jednego niemiłego słowa pod adresem obmacujących mnie Dragonów; śpieszyło mi się do domu. Ale ich zadziwił mój tysiąc dowcipów.

- Co to? - spytał jeden.

- Papier komputerowy - powiedziałem. - Próbny wydruk. Jego kompan też je zaczął oglądać. Nie wyglądali na takich, co umieją czytać. Chcieli skonfiskować, więc zażądałem, żeby zadzwonili do Głównego Inżyniera. Puścili mnie. W sumie byłem zadowolony; z każdym dniem coraz bardziej, bo z każdym dniem nienawiść do gwardzistów rosła.

Postanowiliśmy nadać Mike'owi bardziej namacalną osobowość,; gdyż każdy członek Partii miał prawo zadzwonić do niego w każdym momencie; moja rada na temat sztuk i koncertów była jedynie dodatkowym ozdobnikiem. W głosie Mike'a przez telefon było coś niesamowitego, czego nie zauważyłem, gdy odwiedzałem go w Kompleksie. Jeśli rozmawiacie przez telefon z człowiekiem, to zawsze są w tle jakieś hałasy. I słyszycie jego oddech, bicie serca, poruszenia ciała, choć rzadko kiedy zdajecie sobie z tego sprawę. Poza tym, nawet jeśli mówi spod kaptura wytłumiającego, do mikrofonów dociera dość hałasu, żeby "wypełnić przestrzeń", stworzyć obraz ciała i jego otoczenia.

Podczas rozmowy z Mikiem nie usłyszeliście niczego.

W tamtych czasach głos Mike'a miał już "ludzki", indywidualny tembr i charakter. Mówił barytonem, z północnoamerykańskim akcentem z domieszką australijskiego; jako "Michelle" mówił (mówiła?) lekkim francuskim sopranem. Wykształcił się także charakter Mike'a. Kiedy przedstawiłem go Wyoh i Profesorowi, mówił jak pedantyczne dziecko; w parę tygodni dorósł, i już niebawem wyobrażałem go sobie jako mojego rówieśnika.

Tuż po przebudzeniu miał głos chropowaty i niewyraźny, trudny do zrozumienia. Teraz mówił czysto i starannie dobierał słownictwo i styl - przy mnie używał rejestru potocznego, przy Profesorze naukowego, wobec Wyoh był szarmancki, zmieniał język w zależności od okoliczności, jak każdy dorosły człowiek.

Ale tło pozostawało martwe. Cisza i pustka.

Zapełniliśmy je więc. Mike'owi wystarczyło parę wskazówek. Nie oddychał zbyt głośno, normalnie nie zwrócilibyście uwagi. Ale wymyślał doprawdy wirtuozowskie drobiazgi. "Przepraszam, Mannie, właśnie się kąpałem, kiedy zadzwonił telefon" - i do tego zdyszany oddech. Albo: "Właśnie jem - musiałem przełknąć". Kiedy się "ucieleśnił", raczył nimi nawet mnie.

Razem stworzyliśmy "Adama Selene" podczas długich dyskusji u Rafflesa. Ile ma lat? Jak

wygląda? Czy jest żonaty? Gdzie mieszka? Jaki ma zawód? Czym się interesuje?

Zadecydowaliśmy, że Adam ma około czterdziestki, jest zdrowy i energiczny, interesuje się sztuką i nauką, bardzo dobrze zna się na historii, doskonale umie grać w szachy, ale nie ma na to czasu. Jest zaślubiony w najpopularniejszym układzie, trojce, w której jest starszym mężem - czwórka dzieci. O ile nam wiadomo, żona i młodszy mąż nie zajmują się polityką.

Jest po męsku przystojny, ma falujące włosy stalowego koloru, pochodzi z mieszanej rasowo rodziny, z jednej strony drugie pokolenie, z drugiej trzecie. Jak na Lunę jest zamożny, inwestuje nie tylko w L-City, ale i w Nowymlenie i Kongville. Centrala firmy w Luna City, biuro zatrudniające paręnaście osób i prywatny gabinet, z zastępcą i sekretarką.

Wyoh chciała wiedzieć, czy sypia z sekretarką. Kazałem jej się wyciszyć i nie pchać nosa w cudze sprawy. Wyoh oburzona powiedziała, że to i nasza sprawa - w końcu staramy się stworzyć kompletną osobę, nie?

Postanowiliśmy, że biura firmy są w Starej Kopule, na trzeciej rampie, od południa, w sercu dzielnicy finansjery. Jeśli znacie L-City, to wiecie, że w niektórych biurach są okna, wychodzące na dno Starej Kopuły; ten szczegół przyda się przy tworzeniu efektów dźwiękowych.

Wrysowaliśmy nawet plan biura; gdyby istniało, znajdowałoby się pomiędzy Aetna Luna a Greenbergiem i Spółką. Na miniaturowym magnetofonie nagrałem trochę tła dźwiękowego z tamtego miejsca; Mike podłapał resztę z tamtejszych telefonów.

I oto, kiedy dzwoniłście do Adama Selene, tło n i e było już martwe. Jeśli telefon odbierała "Ursula", jego sekretarka, słyszeliście: "Selene i Spółka. Luna będzie wolna!" Potem mówiła, na przykład: "Czy zechce pan chwilę zaczekać? Gospodin Selene rozmawia przez inny telefon" - i wtedy rozlegał się odgłos splukiwanej toalety, i wiedzieliście, że nakryliście ją na nieszkodliwym drobnym kłamstewku. Albo odzywał się Adam: "Mówi Adam Selene. Wolna Luna. Chwileczkę, wyłączę tylko TV". Albo jego zastępca: "Mówi Albert Ginwallah, tajny asystent Adama Selene. Wolna Luna. Jeśli chodzi o sprawy Partii - a tak przypuszczam; podał pan swój partyjny pseudonim - proszę śmiało mówić; zajmuję się tymi rzeczami w imieniu Przewodniczącego".

Ta ostatnia zagrywka była pułapką, gdyż każdy towarzysz był uczony, że wolno mu rozmawiać tylko z Adamem Selene. Nie podejmowaliśmy żadnych sankcji wobec tych, co połknęli haczyk; ostrzegaliśmy tylko szefów ich komórek, że tym towarzyszom nie wolno powierzać żadnych ważnych spraw.

Powoli zdobywaliśmy popularność. "Wolna Luna!" albo "Luna będzie wolna!" przyjęło się najpierw wśród młodzieży, potem wśród dorosłych. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem to w rozmowie przez telefon, omal że nie połknąłem własnych zębów. Potem zadzwoniłem do Mike'a i spytałem, czy ten człowiek jest członkiem Partii. Nie był. Poradziłem więc Mike'owi, żeby przyjrzał się drzewu Partii, może znajdzie kogoś, kto zdoła go zwerbować.

Najbardziej zainteresowała nas popularność, jaką zdobyliśmy sobie w Zbiorze "Zebra". "Adam Selene" pojawił się w tajnych aktach szefa kapusiów w niecały miesiąc lunański po tym, jak

go stworzyliśmy, z dopiskiem, że jest to pseudonim jednego z przywódców nowego podziemia.

Szpiedzy Alvarez przystąpili do rozpracowywania Adama Selene. Z czasem jego dossier w Zbiorze "Zebra" rozrosło się: Płeć męska, wiek 34-45 l, biuro na południowej ścianie Starej Kopuły, przebywa bywa tam zazwyczaj w godz. 9.00 - 18.00 GMT za wyjątkiem choć telefony łączone są i w innych godzinach, mieszka w obrębie miejskiego obszaru ciśnieniowego, gdyż czas podróży nigdy nie przekracza 17 min. Dzieci w domu. Źródła utrzymania: pośrednictwo giełdzie, rolnictwo i in. Bywa w teatrze, na koncertach itd. Prawdopodobnie członek Klubu Szachowego Luna City i Association Lun d'Échecs[14]. Podczas przerwy na lunch grywa w rykoszeta i inne siłowe sporty, prawdopodobnie członek Klubu Sportowego Luna City. Smakosz, ale dba o linię. Znakomita pamięć i talent matematyczny. Zdolności przywódcze, szybko podejmuje decyzje.

Jeden kapuś był przekonany, że rozmawiał z Adamem podczas antraktu na amatorskim przedstawieniu Hamleta; Alvarez zanotował rysopis - wszystko się zgadzało z naszym ideałem, poza falującymi włosami!

Ale najbardziej rozwścieczało Alvareza to, że wciąż meldowano mu numery Adama, a kiedy jego ludzie je wybierali, zawsze odzywał się ktoś inny. (Nie były to numery puste; wyczerpaliśmy już ich zapas, i Mike wykorzystywał teraz wolne numery i zmieniał te, które przydzielono nowym abonentom.) Alvarez usiłował Wytropić "Selene i Spółkę" wybierając numery z jedną mylną literą - dowiedzieliśmy się o tym, bo Mike podsłuchiwał telefon w biurze Alvareza i przechwycił rozkaz. Mike wypłatał mu typowo Mike'owego technicznego figla: Facet, który wybierał numery ze zmienioną jedną literą, nieodmiennie łączył się z rezydencją gubernatora. Ten wezwał do siebie Alvareza i zmył mu głowę aż miło.

Nie mogłem gniewać się o to na Mike'a, lecz ostrzegłem go, że po tym incydencie każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, mógł się domyślić, że ktoś bawił się komputerem. Mike odrzekł na to, że oni nie mają ani odrobiny oleju w głowach.

Główny efekt wysiłków Alvareza był taki, że za każdym razem, gdy meldowano mu o kolejnym numerze Adama, my lokalizowaliśmy szpiega - nowego szpiega, bo ci, których wyczailiśmy już wcześniej, nie dostawali numerów; za to rekrutowaliśmy ich do takiej specjalnej organizacji, w której mogli składać donosy na siebie nawzajem, według schematu błędnego koła. Ale przy pomocy Alvareza niemal momentalnie wychwytywaliśmy wszystkich nowych kapusiów. Mam wrażenie, że sam Alvarez poznał się na głupocie typów, którzy proponowali mu swoje usługi; dwaj z nich znikli w tajemniczych okolicznościach, i naszej organizacji, liczącej już wtedy ponad 6000, nie udało się ich odnaleźć. Widocznie ich wyeliminowano albo zmarli w czasie składania zeznań.

Selene i Spółka nie było jedyną fikcyjną firmą, jaką założyliśmy. Była jeszcze jedna, o nazwie LUNOHOCO, znacznie większa i równie fikcyjna, choć istniała naprawdę; miała centralę w Hongkongu, filie w Nowym Leningradzie i Luna City, pod koniec swej działalności zatrudniała setki ludzi, z których większość nie należała do Partii, i stanowiła nasze najtrudniejsze przedsięwzięcie.

Generalny plan Mike'a zawierał przerażającą liczbę problemów, które m u s i e l i ś m y rozwiązać. Jednym z nich było finansowanie naszych projektów. Innym była ochrona wyrzutni przed atakiem z przestrzeni.

Profesor zastanawiał się, czyby nie czerpać funduszy z napadów na banki, i pożegnał się z tym pomysłem bardzo niechętnie. Ale w końcu naprawdę rabowaliśmy banki, przedsiębiorstwa i sam Zarząd. Wszystko wymyślił Mike. Z początku nie bardzo rozumiał, jak możemy cierpieć na niedobór floty. O świecie, który zmusza ludzi do harowania na chleb powszedni, wiedział równie mało, co o seksie; przez jego obwody przechodziły miliony dolarów, i nie widział w tym nic dziwnego. Zaproponował nawet, że w imieniu Zarządu wystawi nam czek na dowolną sumę.

W tym momencie Profesor zaczął rwać sobie włosy z głowy. następnie wytłumaczył Mike'owi, jak ryzykowną misją byłoby zrealizowanie czeku na, powiedzmy, 10.000.000 dol. w b. Z., płatne z konta Zarządu.

Podjęli się więc zainkasowania tej sumy na raty, pod wieloma nazwiskami i sztyldami z całej Luny. Od każdego banku, firmy, sklepu, agencji, włącznie z Zarządem, które zatrudniały Mike'a jako buchaltera, ściągaliśmy haracz na rzecz Partii. Był to gigantyczny wielopoziomowy szwindel, oparty na fackie, mnie nie znanym, ale znanym Profesorowi i ukrytym gdzieś w otchłaniach Mike'owej wiedzy, że większość pieniędzy istnieje jedynie na papierze.

Przykład - pomnóżcie go sobie przez setki innych, podobnych albo nie: Siergiej, syn mojej rodziny, lat 18, członek Partii, otrzymuje polecenie otworzenia sobie konta w Banku Spółdzielczym "Wspólne Ryzyko". Wpłaca i wypłaca pieniądze. Za każdym razem w księgowości pojawiają się drobne pomyłki; ma na koncie więcej niż wpłacił odpisuje mu się z niego mniej niż wypłaca. W parę miesięcy później znajduje sobie pracę w innym mieście i przenosi konto do Kasy oszczędności w Sub-Tycho; podczas transferu suma powiększa się trzykrotnie. Wkrótce potem wypłaca większość pieniędzy i wręcza gotówkę szefowi swojej komórki. Mike wie, ile Siergiej powinien przekazać, ale oni (jako że nie wiedzą, że Adam Selene i komputer buchalter banku to jedno i to samo) otrzymują polecenie zameldowania Adamowi o transakcji - plan jest nieuczciwy, ale jego wykonawcy muszą pozostać ludźmi uczciwymi.

Pomnóżcie tę kradzież 3000 dol. HK przez setki innych.

Nie jestem w stanie dokładnie opisać wam tu sztuczek, za pomocą których Mike bilansował swoje księgi i zachowywał w tajemnicy tysiące złodziejstw. Ale pamiętajcie o jednym: rewidenci zawsze zakładają, że maszyny są uczciwe. Testują je i sprawdzają, czy dobrze działają, ale nie przyjdzie im do głowy, że takie testy nie są nic warte, bo to sama maszyna jest nieuczciwa. Kradzieże Mike'a nigdy nie były aż tak wielkie, by mogły zakłócić funkcjonowanie gospodarki; jak pół litra krwi, której ubytek nie zaszkodzi dawcy. Sam już nie wiem, kto w nich tracił, pieniądze przechodziły przez zbyt wiele rąk. Ale nigdy nie nabrałem całkowitego przekonania do samego pomysłu; wychowano mnie na człowieka uczciwego, poza kontaktami z Zarządem. Profesor twierdził, że ich jedyny skutek to mikroskopijna inflacja, wywołana przez nasze puszczenie tych pieniędzy w dalszy obieg - ale ja wciąż powtarzałem sobie, że Mike wszystko zapisuje w swej pamięci, i że po Rewolucji można oddać każdy grosz, zwłaszcza że wtedy nie będziemy już ofiarą znacznie bezczelniejszego rozboju Zarządu.

Powiedziałem mojemu sumieniu, żeby się zamknęło. Zresztą jego głos był cichutkim piskiem w porównaniu z wołającymi o pomstę do nieba szwindlami, które wszystkie rządy w historii skuteczniały, aby finansować swe wojny - a czy rewolucja to nie wojna?

Pieniądże, przewinawszy się przez wiele rąk (i zwiększwszy po każdym etapie swą sumę, za co dzięki należą się Mike'owi), kończyły swą podróż jako główne fundusze LUNOHO Company. Była to firma mieszana, spółka akcyjna połączona ze spółką z o. o.; wspólnicy, "dżentelmeni-awanturnicy", którzy posiadali co większe pakiety akcji, w rzeczywistości wykupili je za skradzione przez nas pieniądze. O naszej buchalterii już nie wspomnę. Zajmował się nią Mike, a więc nie skaził jej nawet najmniejszy promyk uczciwości.

Mimo to jej akcje można było kupić i sprzedać na giełdzie w Hongkongu, Luna; były notowane w Zurychu, Londynie i Nowym Jorku. *Wall Street Journal* nazwał je "atrakcyjną inwestycją, ryzykowną lecz intratną, świeżą i ekspansywną".

LUNOHOCO zajmowała się budownictwem przemysłowym i górnictwem i podejmowała się wielu zadań, w większości legalnych. Ale jej głównym celem było potajemne skonstruowanie drugiej wyrzutni.

Takiej operacji nie sposób zachować w tajemnicy. Nie da rady niepostrzeżenie kupić albo zbudować reaktora wodorowego. (Z oczywistych względów zrezygnowaliśmy z energii słonecznej.) Zamówiliśmy części w Pittsburghu, standardowe modele Uniwersytetu Kalifornijskiego, i z przyjemnością wykupiliśmy licencję, żeby zapewnić sobie najwyższą jakość. Nie da też rady niepostrzeżenie skonstruować stojana do wielokilometrowego pola indukcyjnego. Ale najważniejsze, że nie da rady niepostrzeżenie zbudować takiego kolosa, który wymaga zatrudnienia ogromnej liczby ludzi. Wyrzutnia składa się głównie z próżni - to prawda; przy wylocie pierścienie stojana są nawet dość rzadko zamontowane. Ale wyrzutnia Zarządu, na 3 g, ma prawie sto kilometrów długości. Nie dość, że służy za punkt orientacyjny w astrogacji i znajduje się na każdej mapie dla rakiet, ale do tego jest taka wielka, że można ją sfotografować albo zobaczyć z Terry przez niezbyt duży teleskop. Świetnie się prezentuje na ekranie radaru.

My budowaliśmy mniejszą wyrzutnię, na 10 g, ale i tak miała mieć 30 km długości, za dużo, by można ją ukryć.

Więc ukryliśmy ją według metody ze *Skradzionego listu*.

Uważałem, że Mike marnuje tylko czas czytając tyle literatury. Zastanawiałem się, jaki może mieć z tego pożytek. Ale okazało się, że książki nauczyły go więcej o ludziach niż fakty; literatura dała mu gestalt życia, coś, co człowiek uznaje za naturalne, bo tym żyje. "Nieprawdziwe dane", jak Mike mówił na literaturę, nie tylko "uczłowieczyły" go, jako namiastka doświadczenia, ale i podsuwały mu pomysły. Pomysł na ukrycie wyrzutni wziął z Edgara Allana Poe'go.

My ukryliśmy ją dosłownie; wyrzutnia musiała być pod ziemią, by nie dostrzegło jej ludzkie lub radarowe oko. Ale trzeba ją było ukryć także w subtelniejszym sensie: utaić jej położenie selenograficzne.

Czy da się to zrobić z takim kolosem, budowanym przez takie mnóstwo ludzi? Pomyślcie o sprawie w ten sposób. Powiedzmy, że mieszkacie w Nowym Mlenie: wiecie, gdzie leży Luna City? No, na południowym skraju Marę Crisium; wszyscy o tym wiedzą. Czyżby? Na jakiej szerokości i długości? Co? Zobacz w jakiejś książce! Ach, tak? Jeśli tylko tyle wiecie o jego położeniu, to jak tam

trafiliście w zeszłym tygodniu? Żaden kłopot, kolego; pojechałem kolejką, przesiadłem się w Torricellim, resztę drogi przespałem; kapsuła sama trafiła.

A widzicie? N i e w i e c i e, gdzie leży Luna City! Po prostu wysiadacie z kapsuły na Południowej Stacji kolejki.

I tak właśnie ukryliśmy, wyrzutnię.

Znajduje się na Marę Undarum, “wszyscy o tym wiedzą”. Ale od miejsca, gdzie j e s t, do miejsca, gdzie m ó w i l i ś m y, ż e j e s t, odległość wynosi więcej lub mniej niż sto kilometrów w kierunku na północ, południe, wschód, zachód albo w jakimś pośrednim.

Teraz możecie odnaleźć jej lokację w książkach - też fałszywą. Lokacja tej wyrzutni nadal stanowi najdokładniej strzeżoną tajemnicę Luny.

Nie widać jej z przestrzeni, nawet przez radar. Wszystko poza wylotem jest pod ziemią, a sam wylot to wielka, bezkształtna czarna dziura, bliźniaczo podobna do dziesięciu tysięcy innych, wysoko na niedostępnym stoku góry, gdzie nie wylądzuje żadna rakieta.

Mimo to podczas budowy i po jej zakończeniu odwiedziło to miejsce wielu ludzi. Był tam nawet gubernator, którego oprowadzał mój współ-mąż Greg. Przyleciał zarekwirowaną rakieta pocztową, i jego cyborg miał współrzędne i sygnał radiolatarni - usytuowanej zresztą całkiem blisko wyrzutni. Ale stamtąd trzeba było jechać ciężarową gąsienicówką, a to nie to samo, co stary pasażerski autobus z Endsville do Beluthihatchie; służyły wyłącznie do przewozu ładunków, nie miały iluminatorów, a teren był tak nierówny, że ludzki ładunek trzeba było przypinać pasami. Gubernator chciał jechać w kabinie, ale - sorry, gospodin! - miejsca jest tam tylko dla szofera i jego pomocnika, a do kierowania potrzeba dwóch osób.

W trzy godziny później był w stanie myśleć tylko o powrocie do domu. Spędził przy wyrzutni godzinę i nie miał ochoty na pogaduszki o tym, po co to wiercenie i jakie złoża odkryliśmy.

Mniej ważni ludzie, robotnicy itd., docierali na miejsce przez sieć tuneli do wyrębu lodu, w których jeszcze łatwiej było stracić orientację. Gdyby ktoś miał w bagażu krokomierz z żyroskopem, mógłby zlokalizować naszą budowę - ale pilnowaliśmy się. Jednemu, który się o to pokusił, przydarzył się wypadek ze skafandrem; odesłaliśmy jego rzeczy do L-City, a krokomierz wskazywał to, co powinien - tzn. to, co my chcieliśmy, żeby wskazywał, bo towarzysze zaraz mnie wezwali, i zająłem się nim z ręką nr 3. W atmosferze azotowej można rozpieczętować takie coś i zapieczętować, i nikt się nie pozna - oddychałem przez maskę tlenową, pod lekkim nadciśnieniem. Żadna sztuka.

Gościliśmy VIP-ów z Ziemi, jakieś szyszki z Zarządu. Przybyli łatwiejszą podziemną trasą; widocznie gubernator ich przestrzegł. Ale nawet przy takiej podróży 30 km trzeba przejechać gąsienicówką. Raz mieliśmy Ziemiaka, który mógłby narobić sporo kłopotów, niejakiego dr Dorian, fizyka i inżyniera. Ciężarówka kapotowała - głupi szofer chciał jechać na skrót - rozbiło im radiolatarnię, a i tak od budowy oddzielał ich horyzont. Biedny dr Dorian przeczekał 72 godziny w rozhermetyzowanym pumekсовym igloo i pomimo opieki, jaką otoczyli go obaj kierowcy (członkowie Partii), musiał wrócić do L-City, na pół żywy od niedotlenienia i napromieniowania.

Może nawet gdyby dotarł na miejsce, nic by nie nabroił; może nie wyczytałby naszych wykrętów, może nie poznałby się na fałszywości oficjalnej lokacji. Niewielu ludzi potrafi patrzeć na gwiazdy przez skafander, nawet kiedy nie oślepia ich Słońce; jeszcze mniej umie orientować się z gwiazd - a nikt nie da rady zorientować się na powierzchni bez pomocnika, instrumentów, umiejętności posługiwania się nimi, tablic i chronometru. No, powiedzmy, że minimum sprzętu to oktant, tablice i dobry zegarek. Niektórych gości nawet zapraszaliśmy do wyjścia na powierzchnię, ale gdyby jeden z nich miał oktant albo jakiś nowocześniejszy odpowiednik, mógłby mu się przydarzyć wypadek.

Nie aranżowaliśmy wypadków dla szpiegów. Wpuszczaliśmy ich, poddawaliśmy stosownej obróbce, a potem Mike czytał ich raporty. Jeden zameldował, że jest pewien, że znaleźliśmy rudę uranu, którego złóż w ogóle nie znano wtedy na Lunie - to było na wiele lat przed pierwszymi odwiertami z jądra. Następny agent przybył z całą torbą liczników promieniowania. Nie przeszkodziliśmy mu w przemyceniu ich przez tunele.

W marcu 76 wyrzutnia była na ukończeniu, trzeba było tylko zainstalować segmenty stojana. Reaktor już działał, przeciągnęliśmy pod ziemią współosiowe kable, a na tym 30-kilometrowym odcinku ustawiliśmy przekaźnik radiowy. Liczbę ludzi okroiliśmy do minimum, zostawiliśmy głównie członków Partii. Ale pozostawiliśmy też jednego kapusia, żeby Alvarez dostawał swoje raporty regularnie - nie chcieliśmy, żeby się martwił; od zmartwień robił się podejrzliwy. Woleliśmy martwić go w osiedlach.

ROZDZIAŁ X

Dużo się zmieniło w ciągu tych jedenastu miesięcy. Wyoh ochrzciła się w Kościele Grega, zdrowie Profesora tak się pogorszyło, że zrezygnował z uczenia, Mike zaczął pisać wiersze. Yankees wylecieli z ligi. Z przyjemnością zapłaciłbym Profesorowi, gdyby po prostu spadli na niższą pozycję, ale żeby w jednym sezonie zdobyć puchar, a w następnym wylecieć z ligi - przestałem oglądać ich w TV.

Profesor symulował. Jak na swój wiek, był w znakomitej formie, codziennie przez trzy godziny ćwiczył w pokoju hotelowym, a sypiał w 300-kilogramowej piżamie z ołowiu. Tak samo, jak ja i Wyoh, której bardzo się to nie podobało.

Nie sędzę, żeby oszukiwała, żeby choć jedną noc spędziła w komforcie, choć nie mogę przysiąc; nie sypiałem z nią. Jej stosunki z Rodziną Davisów układały się jak najlepiej. Na przejście od "gospoży Davis" do "gospoży Mamy" wystarczył jej jeden dzień, po następnym dotarła do stadium "Mamy", a teraz mówiła "Mamo Mimi", obejmując ją w talii. Kiedy ze Zbioru "Zebra" dowiedzieliśmy się, że Wyoh nie może wrócić do Hongkongu, Sidris zabrała ją do swojego salonu piękności, po godzinach, i zrobiła z jej skórą coś takiego, że ciemny kolor nie zmyłby się już od wody. Sidris zajęła się również włosami Wyoh, które były teraz czarne i wyglądały jak nie do końca rozprostowane. Plus drobne szczególiki - matowy lakier do paznokci, plastikowe wkładki do policzków i nozdrzy, i, oczywiście, ciemne szkła kontaktowe. Kiedy Sidris skończyła robotę, kamuflaż Wyoh nie zszedłby nawet po całonocnym ciupciani; była idealną "koloredką" z idealnymi przodkami - Tamilami, Angolańczykami, Niemcami. Nawet ja mówiłem do niej "Wyma" a nie "Wyoh".

Była z niej teraz autentyczna seksbomba. Kiedy falując szła przez korytarz, ciągnęły za nią całe roje chłopców.

Greg zaczął ją uczyć farmerstwa, ale Mama zaprotestowała. Wyoh była silna, sprytna i chętna do pomocy, ale farmę zajmują się u nas mężczyźni - a jej obecność rozpraszała nie tylko Grega i Hansa; straciliśmy przez nią więcej roboczogodzin, niż ona sama mogła wyrobić. Tak więc Wyoh wróciła do bardziej domowych zajęć, a potem pomagała Sidris w salonie piękności.

Profesor grał na wyścigach na dwa fronty, według Mike'owej metody obstawiania "najlepszego początkującego dżokeja" oraz według swoich "naukowych" obliczeń. W lipcu 75 przyznał, że wcale nie zna się na koniach i od tej pory stosował wyłącznie metodę Mike'a, stawiał coraz więcej i u coraz większej liczby bukmacherów. Zarabiał w ten sposób na wydatki Partii - szwindle Mike'a finansowały budowę wyrzutni. Ale Profesor bezpowrotnie utracił swą pasję do wyścigów i od tej pory jedynie stawiał pieniądze zgodnie z zaleceniami Mike'a. Przestał nawet czytać wyścigowe gazetki - smutna historia; kiedy stary gracz rezygnuje z kucyków, to jakby coś umarło.

Ludmiła urodziła dziewczynkę, co podobno rzadko się zdarza w pierwszej ciąży, i co mnie zachwyciło - w każdej rodzinie potrzebny jest noworodek płci żeńskiej. Wyoh zadziwiła nasze kobiety swą znajomością położnictwa - i po raz drugi, kiedy okazało się, że nie wie nic o opiece nad

noworodkami. Nasi dwaj najstarsi synowie wreszcie założyli rodziny, a Teddy, lat 13, prześlubił się. Greg zatrudnił dwóch chłopaków z farmy sąsiada, i po pół roku mieszkania i jedzenia z nami wślubiliśmy ich - co nie było pośpieszną decyzją, bo znamy ich i ich rodziny od lat. To przywróciło równowagę, której brakło nam od wślubienia Ludmiły, i zatkało buzie matkom kawalerów, którzy nie mogą znaleźć dla siebie rodzin - choć Mama, rzecz jasna, bez skrupułów odrzuca każdego, kto jej zdaniem nie nadaje się na członka Rodziny Davisów.

Wyoh zwerbowała Sidris; Sidris na początek zwerbowała do swej komórki drugą pomocnicę, i tak oto Boutique de Beaute "Bon Ton" zmienił się w wylęgarnię wywrotowej działalności. Zaczęliśmy zatrudniać nasze najmniejsze dzieciaki do przenoszenia paczek i do innych zadań, do których dzieciaki się nadają - potrafią lepiej od dorosłych stać na czatach i śledzić ludzi po korytarzach, a nikt ich nie podejrzewa, Sidris rozszerzała tę działalność przy pomocy innych zwerbowanych w salonie kobiet.

Wkrótce miała do dyspozycji tyle dzieciaków, że mogliśmy inwigilować wszystkich szpiegów Alvareza. Mike był w stanie podsłuchiwać przez każdy telefon, a dzieciaki meldowały, kiedy szpieg wychodził z domu, z pracy czy skądś indziej - było ich tyle, że zawsze jedno dzwoniło, a inne pozostawało na posterunku - i mogliśmy nie spuszczać z nich oka i ukrywać przed nimi wszystko, czego nie powinni zobaczyć. Wkrótce dowiadaliśmy się o tym, że jakiś szpieg złożył meldunek, zanim tamci wpisali go do Zbioru "Zebra"; gnojki próbowali dzwonić z pubów zamiast z domu; dzięki pracy Partyzantów z Baker Street Mike włączał się na linię, zanim kapuś skończył wybierać numer.

Dzieciaki zlokalizowały zastępcę Alvareza na L-City. Wiedzieliśmy, że taki istnieje, bo tutejsi kapusie n i e składali telefonicznych raportów Alvarezowi, a niezbyt prawdopodobne było, by Alvarez mógł zwerbować ich osobiście, gdyż żaden z nich nie pracował w Kompleksie, Alvarez zaś pojawiał się w Luna City tylko wtedy, gdy z Ziemi przybywał VIP tak ważny, że opłacało się przydzielić mu obstawę pod dowództwem samego Alvareza.

Okazało się, że ma dwóch zastępców - starego zesłańca, właściciela straganu ze słodyczami i gazetami w Starej Kopule, który dorabiał sobie także bukmacherstwem, oraz jego syna, urzędnika w Kompleksie. Syn osobiście doręczał raporty, i dlatego Mike nie zdołał ich przechwycić.

Zostawiliśmy ich w spokoju. Ale od tej pory otrzymywaliśmy bojowe meldunki agentów na pół dnia przed Alvarezem. Ta przewaga - którą zawdzięczamy wyłącznie pięcio - i sześciolatniemu dzieciakom - ocaliła życie siedmiorga towarzyszy. Niech żyją Partyzanci z Baker Street!

Nie pamiętam, kto ich tak nazwał, ale chyba Mike - ja jestem jedynie fanem Sherlocka Holmesa, za to on naprawdę uważał się za Mycrofta, brata Sherlocka Holmesa... i nie dałbym głowy, że nie miał racji; "prawdziwość" to śliska sprawa. Dzieciaki mówiły na siebie inaczej; miały własne bandy z własnymi nazwami. Zresztą nie powierzaliśmy im żadnych niebezpiecznych tajemnic; Sidris pozostawiała ich matkom wytłumaczenie, dlaczego muszą wykonywać te zadania, z jedynym zastrzeżeniem, że nie wolno wyjawiać im prawdziwych powodów. Dzieciaki zrobią wszystko, co jest tajemnicze i ciekawe; pomyślcie tylko, ile ich zabaw opiera się na wzajemnym przechytrzeniu.

Salon piękności "Bon Ton" to prawdziwa giełda plotek - kobiety dowiadują się o wszystkim

szybciej niż redakcja *Lunatyka Porannego*. Poradziłem Wyoh, żeby co wieczór składała Mike'owi raporty, i żeby nie próbowała ograniczać się tylko do tego, co wyda się jej ważne, bo nigdy nie wiadomo, która plotka okaże się ważna, kiedy Mike przebadają jej zależności z milionem innych faktów.

W salonie piękności można również puszczać plotki w obieg. Partia rosła z początku powoli, a potem coraz szybciej, dzięki trójkowej organizacji, ale także dlatego, że Dragoni Pokoju byli jeszcze gorsi od starych gwardzistów. Wraz ze wzrostem liczebności przestawiliśmy się na szybki agitprop, czarną propagandę, otwartą działalność wywrotową, prowokacje i sabotaż. Za dawnych czasów, kiedy agitprop był zadaniem prostszym, choć niebezpieczniejszym, i polegał na reprezentowaniu i kryciu działalności starego, przeżartego przez szpiegów podziemia, zajmował się tym Finn Nielsen. Ale teraz dużą porcję agitpropu i spraw pokrewnych przekazaliśmy Sidris.

W sporej części polegało to na kolportażu ulotek itp. Ani w salonie, ani u nas w domu, ani w naszym pokoju hotelowym nigdy nie przechowywaliśmy wywrotowej literatury; kolportażem zajmowały się dzieciaki, tak małe, że nawet nie umiały czytać.

Poza tym Sidris przez cały dzień pracowała przy ondulacjach itp. Pewnego wieczora, w czasach, kiedy Sidris zaczynała czuć przemęczenie, spacerowałem sobie z nią pod rękę przez Promenadę, i wtem dostrzegłem znajomą buzię i postać - chudą małą dziewczynkę, strasznie kanciastą, z marchewkowymi włosami. Miała chyba z dwanaście lat i przechodziła właśnie przez to stadium, kiedy dziewczynki wystrzelają w górę, tuż przed tym, jak zakwitną miękkimi okrągłościami. Znałem ją, ale nie mogłem sobie uświadomić, skąd i z kiedy.

- Psst, laleczko - powiedziałem. - Przypatrz się młodej damie przed nami. Pomarańczowe włosy, bez buforów.

Sidris przyjrzała się jej.

- Kochanie, wiem, że jesteś ekscentrykiem. Ale ona jest jeszcze chłopcem.

- Nieważne. Kto to?

- Boh wie. Mam ją zatrzymać?

Nagle przypomniało mi się, jakby ktoś włączył TV. I pożałowałem, że nie ma przy mnie Wyoh - ale nie pokazywaliśmy się razem w miejscach publicznych. Ten chudy rudzielec był na zebraniu, na którym zginął Krasnal. Siedziała z przodu sali, na podłodze pod ścianą, słuchała z rozwartymi łapczywie oczami i klaskała z zapałem. A potem widziałem ją na drugim końcu sali, jak leci po swobodnej trajektorii - zwinęła się w powietrzu w kulkę i trafiła w kolana tego samego żółtka, któremu po chwili ja złamałem szczękę.

Wyoh i ja zawdzięczamy nasze życie i wolność szybkiemu refleksowi tej małej.

- Nie, nie odzywaj się do niej - powiedziałem do Sidris. - Ale nie chcę tracić jej z oczu. Przydałby się tutaj jeden z naszych Partyzantów. Cholera.

- Idź zadzwonić do Wyoh, przyśle ci kogoś w pięć minut - powiedziała moja żona.

Tak też zrobiłem. Potem Sidris i ja zaczęliśmy bez pośpiechu oglądać wystawy, bo tym zajmowała się nasza ofiara. Po siedmiu czy ośmiu minutach podszedł do nas mały chłopczyk, który zatrzymał się i powiedział:

- Dobry wieczór, ciociu Mabel. Cześć, wujku Joe!

Sidris wzięła go za rękę.

- Cześć, Tony. Jak się czuje twoja mama, kochanie?

- Świetnie. - Szeptem dodał: - Mam na imię Jock.

- Przepraszam. - Sidris powiedziała do mnie cicho: - Pilnuj jej - i weszła z Jockiem do sklepu z jedzeniem.

Wyszli po chwili. Jock rozprawiał się z lizakiem.

- Do widzenia, ciociu Mabel! Dziękuję! - Odszedł tanecznym krokiem, zataczając się, przystanął koło naszego rudzielca i zapatrzył się w wystawę, poważnie ssąc swego łakocia. Sidris i ja poszliśmy do domu.

Tam czekał na nas meldunek.

- Weszła do żłobka "Pod Kołyską" i do tej pory nie wyszła. Czy mamy na nią czekać?

- Jeszcze chwilę. - Opowiedziałem Wyoh o całym wydarzeniu i zapytałem ją, czy pamięta tę małą. Pamiętała, ale nie miała pojęcia, kto to może być.

- Może spytasz Finna?

- Mam lepszy pomysł. - Zadzwoniłem do Mike'a.

Tak, w żłobku "Pod Kołyską" jest telefon, i Mike może podsłuchać. Dopiero po 20 minutach zebrał dość materiału na analizę - było tam mnóstwo młodych głosów, a w tym wieku prawie nie ma różnic między płciami. Ale wreszcie oświadczył:

- Man, słyszę trzy głosy, mogące odpowiadać podanemu przez ciebie wiekowi i typowi fizycznemu. Jednakże dwa z nich reagują na imiona moim zdaniem męskie. Trzeci reaguje na słowo "Hazel", które wciąż powtarza starszy osobnik płci żeńskiej. To widocznie szef Hazel.

- Mike, zajrzyj do starych akt organizacji. Sprawdź wszystkie Hazel.

- Cztery Hazel - odparł natychmiast - a oto nasza: Hazel Meade, Młodzieżowy Korpus Pomocniczy, adres: żłobek "Pod Kołyską", urodzona 25 XII 2063, masa 39 kg, wzrost...

- To nasza rakietka! Dzięki, Mike. Wyoh, odwołaj posterunek. Dobra robota!

- Mike, kochany, zadzwoń do Donny i przekaz jej, dobrze?

Zadanie zwerbowania Hazel Meade pozostawiłem dziewczętom i ujrzałem ją ponownie dopiero po dwóch tygodniach, kiedy z pomocą Sidris wprowadziła się do nas. Ale jeszcze przedtem Wyoh złożyła raport; chodziło o kwestię formalną. Sidris miała już kompletną komórkę, ale chciała włączyć do niej Hazel Meade. Byłoby to jednak wbrew systemowi trójkowemu, a poza tym Sidris miała wątpliwości, czy wolno rekrutować dziecko. Dotychczas przyjmowaliśmy tylko dorosłych, powyżej 16 lat.

Przedstawiłem sprawę Adamowi Selene i komórce egzekutywnej.

- Na mój rozum - powiedziałem - ten system komórek trójkowych ma nam służyć, a nie niewolić nas. Chyba nic złego się nie stanie, jeśli towarzyszka Cecilia otrzyma dodatkowego członka. I nie powinno to zagrozić bezpieczeństwu.

- Zgadzam się - rzekł Profesor. - Ale proponuję, by ta dodatkowa osoba nie była członkiem komórki Cecylii - to znaczy, nie powinna znać pozostałych, chyba że będzie to niezbędne do wykonania poruczonych jej przez Cecilię misji. Nie uważam też, byśmy powinni werbować osoby w jej wieku. Wiek to główna przeszkoda.

- Zgoda - powiedziała Wyoh. - Musimy porozmawiać o jej wieku.

- Przyjaciele - powiedział nieśmiało Mike ("nieśmiało" po raz pierwszy od tygodni; obecnie był przede wszystkim "Adamem Selene", energicznym przywódcą, a nie samotną maszyną) - nic wam o tym nie mówiłem, ale już zezwoliłem na takie wyjątki. Nie sądziłem, by należało o nich dyskutować.

- Nie należało, Mike - uspokoił go Profesor. - Przewodniczący musi polegać na własnym rozsądku. Jaką mamy największą komórkę?

- Pięć osób. To komórka podwójna, 3 + 2.

- Nie widzę w tym nic złego. Droga Wyoh, czy Sidris zamierza zwerbować to dziecko jako pełnoprawną towarzyszkę? Czy chce jej wytłumaczyć, że przygotowujemy rewolucję... co oznacza rozlew krwi i anarchię, i może doprowadzić do katastrofy?

- O to dokładnie jej chodzi.

- Moja droga, my ryzykujemy własnym życiem, lecz jesteśmy na tyle dojrzały, by zdawać sobie z tego sprawę. Wiemy, co oznacza śmierć. Dzieci rzadko uświadamiają sobie, że śmierć może przydarzyć się i im. Dorosłość zdefiniować można jako wiek, w którym dowiadujemy się, że musimy umrzeć... i przyjmujemy ten wyrok ze spokojem.

- Profesorze - powiedziałem - chyba znam parę strasznie przerośniętych dzieciaków. Założę się 7:2, że mamy takie i w Partii.

- Nic z tego, kolego. Masz rację, nie zdrawiłbym się, gdyby co drugi taki był - i to może okazać się naszą zgubą.

- Profesorze - upierała się Wyoh. - Mike, Mannie. Sidris jest p e w n a, że to dziecko jest dorosłe. I ja też tak sądzę.

- Man? - spytał Mike.

- Wymyślmy jakiś sposób, żeby Profesor mógł spotkać się z nią i wyrobić sobie opinię. Ja sam jestem nią oczarowany. Zwłaszcza jej odwagą. Inaczej nie byłoby o czym mówić.

Na tym zamknęliśmy dyskusję i nie powracaliśmy do niej więcej. Wkrótce potem Hazel przysłała do nas na kolację, jako gość Sidris. Nie zdradziła się, że mnie zna, ja też nie - ale znacznie później dowiedziałem się, że poznała mnie, nie tylko po lewej ręce, ale i dlatego, że na zebraniu wysoka blondynka z Hongkongu założyła mi czapkę i ucałowała mnie. W dodatku Hazel wyczaiła kamuflaż Wyoming, rozpoznała ją po czymś, czego Wyoh nigdy nie zdołała dokładnie zmienić: po głosie.

Ale Hazel trzymała buzię na kłódkę. Jeśli sądziła, że należę do konspiracji, to nie okazywała tego.

Miała ciekawy życiorys, o ile w życiorysie można znaleźć źródło twardego charakteru. Zesłana wraz z rodzicami, mniej więcej tak jak Wyoh, straciła ojca w wypadku, kiedy ten odbywał jeszcze wyrok; jej matka uważała, że to wina lekceważenia przez Zarząd bezpieczeństwa katorżników. Matka umarła, kiedy Hazel miała pięć lat; Hazel nie wie, na co; już wtedy mieszkała w żłobku, gdzie my ją znaleźliśmy. Nie wie też, za co zesłano jej rodziców - prawdopodobnie za działalność wywrotową, bo Hazel wydaje się, że oboje dostali wyroki. W każdym razie, matka zaszczerpiła Hazel nienawiść do Zarządu i gubernatora.

Rodzina, która prowadziła "Kołyskę", pozwoliła jej zostać; ledwo Hazel urosła ile było trzeba, zaczęła zmieniać pieluszki i zmywać naczynia. Sama nauczyła się czytać i pisać - choć pisała tylko drukowanymi literami. Z matematyki znała się wyłącznie na liczeniu pieniędzy; wszystkie dzieciaki wysysają tę umiejętność jakby z powietrza.

Jej wyprowadzka ze żłobka wywołała nieco zamieszania; właścicielka i jej mężowie twierdzili, że Hazel jest im winna kilka lat służby. Hazel ucięła dyskusje w bardzo prosty sposób: wychodząc pewnego dnia i zostawiając chlebowi swoim ubranie i parę osobistych rzeczy. Mama strasznie się zdenerwowała i o mały włos nie doprowadziła do tak pogardzanej przez siebie "bijatyki" na między rodzinną skalę. Ale powiedziałem jej na osobności, jako szef komórki, że n i e chcę, by nasza rodzina zamieszana była w taki skandal - i wyciągnąłem gotówkę, i powiedziałem jej, że Partia zapłaci za nowe ubranie dla Hazel. Mama odmówiła przyjęcia pieniędzy, odwołała rodzinną naradę, poszła z Hazel do miasta i wydała kolosalną - jak na Mamę - sumę na obkupienie jej.

I tak zaadoptowaliśmy Hazel. Z tego, co wiem, w dzisiejszych czasach adopcja dziecka oznacza sporo biurokracji; wtedy równie łatwo było przygarnąć dziecko, co kociaka.

Jeszcze więcej zamieszania porobiło się, gdy Mama chciała posłać ją do szkoły, co nie pasowało ani do planów Sidris, ani do wyobrażeń Hazel o sobie jako członkini Partii i towarzysze. Znow ja zainterweniowałem, i Mama poszła na kompromis. Posłaliśmy Hazel do dziennej szkoły w pobliżu salonu Sidris - tj. w pobliżu śluzy tranzytowej nr 13; salon piękności był tuż przy niej (Sidris robiła dobre interesy, bo była blisko naszego prywatnego ujęcia wody, mogła korzystać z niej bez ograniczeń i wypuszczać do naszych urządzeń uzdatniających). Rano Hazel się uczyła, a po południu pomagała zakładać prześcieradła, podawała ręczniki, płukała włosy, uczyła się fachu - i robiła wszystko, co kazała jej Sidris.

Między innymi została kapitanem Partyzantów z Baker Street.

Hazel przez całe swe krótkie życie rządziła dziećmiakami mniejszymi od siebie. Lubiły ją; mogła namówić je na wszystko; rozumiała to, co mówią, także to, co dorosłemu wydałoby się bezsensownym blablaniem. Stanowiła doskonały pomost pomiędzy Partią a jej najmłodszymi pomocnikami. Potrafiła zmienić przydzielone przez nas zadanie w zabawę i namówić dzieciaki do grania według ustalonych przez nią reguł, i nigdy niczym nie zdradziła się przed nimi, że to sprawa po dorosłemu poważna - zawsze było poważnie po dziecięcemu, a to całkiem inna para kaloszy.

Na przykład:

Powiedzmy, że jakiegoś malucha, tak małego, że jeszcze nie umie czytać, łapią z plikiem wywrotowej literatury - co zdarzyło nam się nie raz. Oto jak wyglądało przesłuchanie zindoktrynowanego przez Hazel dzieciaka:

DOROSŁY: "Skąd to masz, mały?"

PARTYZANT Z BAKER STREET: "Nie jestem mały, jestem dużym chłopcem!"

DOROSŁY: "No, dobra, duży chłopcze, skąd to masz?"

P. z B. S.: "Dostałem od Jackie."

DOROSŁY: "Kto to jest Jackie?"

P. z B. S.: "Jackie."

DOROSŁY: "Ale jak on się nazywa?"

P. z B. S.: "Kto?"

DOROSŁY: "Jackie."

P. z B. S.: (z pogardą) "Jackie to dziewczyna!"

DOROSŁY: "Okay, gdzie ona mieszka?"

P. z B. S.: "Kto?"

I tak w kółko Macieju... Kluczowa odpowiedź na wszystkie pytania miała postać "Dostałem od Jackie". Skoro Jackie nie istnieje, nie ma on (ona) nazwiska, adresu ani stałej płci. Kiedy tylko dzieciaki nauczyły się, jak łatwo wystrychnąć dorosłych na dudka, robiły to z rozkoszą.

W najgorszych przypadkach kończyło się na skonfiskowaniu literatury. Nawet drużyna Dragonów Pokoju dobrze się zastanowi, zanim "aresztują" małe dziecko. Tak, w Luna City pojawiały się teraz drużyny Dragonów, ale nigdy mniej jak drużyna - ci, co wchodzili pojedynczo, często nie wracali.

Kiedy Mike zaczął pisać wiersze, nie wiedziałem, czy płakać, czy się śmiać. Chciał je publikować! Widzicie, jak dogłębnie człowieczeństwo zepsuło duszę tej niewinnej maszyny - pragnął zobaczyć swoje nazwisko w druku.

- Mike, na Boha! - powiedziałem. - Czy tobie przepaliło wszystkie obwody? Czy może chcesz nas zdradzić?

Zanim zdążył się obrazić, Profesor powiedział:

- Chwileczkę, Manuelu; mam pomysł. Mike, czy zgodziłbyś się publikować pod pseudonimem?

Tak narodził się "Simon Prześmiewca". Podobno Mike wymyślił tę ksywę przerzucając liczbami losowymi. Ale poważną poezję sygnował swoim partyjnym pseudonimem "Adam Selene".

Wiersze "Simona" to były rubaszne i wywrotowe częstochowskie rymy, o tematyce sięgającej od kpinek z VIP-ów do wściekłych ataków na gubernatora, system, Dragonów Pokoju i kapusiów. Można je było znaleźć na ścianach w publicznych WC albo na skrawkach papieru podrzucanych w kapsułach kolejki. Albo w pubach. Zawsze były podpisane "Simon Prześmiewca" i opatrzone prostym rysunkiem małego rogatego diabełka z rozdwojonym ogonem, uśmiechniętego od ucha do ucha. Czasami dźgał widłami grubego faceta. Czasami pojawiała się tylko jego twarz, wielki uśmiech i rogi, a niebawem same rogi i uśmiech znaczyły "Simon tu był".

Simon zadebiutował pewnego dnia w całej Lunie i od tej pory nie ustawał w swej pracy. Wkrótce dorobił się pomocników; jego wierszyki i obrazki, tak proste, że każdy mógł je rysować, pojawiały się także w miejscach, gdzie ich nie planowaliśmy. Ta dodatkowa działalność musiała być dziełem niezrzeszonych ochotników. Wiersze i karykatury pojawiały się już i w Kompleksie - za co my na pewno nie odpowiadaliśmy; nigdy nie rekrutowaliśmy pracowników Zarządu. Co więcej, w trzy dni po publikacji bardzo złośliwego limeryku, który imputował, że tusza gubernatora jest skutkiem pewnych obrzydliwych praktyk, ten sam limeryk ukazał się na samoprzylepnych naklejkach, z nieco ulepszonym obrazkiem, na którym dźgany przez Simona grubas miał już niewątpliwie rysy Morta Kurzajki. My za nie nie zapłaciliśmy, my ich nie wydrukowaliśmy. Ale pokazały się w L-City, w Nowymylenie, w Hongkongu, przyklejano je niemal wszędzie - na publicznych telefonach, na kolumnach w korytarzach, w śluzach, na poręczach ramp, wszędzie. Zarządziłem przeliczenie nalepek na próbnym obszarze i podałem wynik Mike'owi; oświadczył, że w samym L-City będzie ich ponad

Nie słyszałem o drukarni w L-City, która zaryzykowałaby takie zadanie i posiadała niezbędny sprzęt. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest to aby dzieło innej rewolucyjnej organizacji.

Wiersze Simona cieszyły się takim powodzeniem, że zaczął on działalność jako złośliwy duszek i niezwłocznie powiadomił o niej gubernatora i szefa bezpieczeństwa. “Kochany Morcie Kurzajko! -brzmiał jeden z jego listów. - Bardzo Cię proszę, uważaj na siebie jutro pomiędzy północą a czwartą rano. Całuję Cię, Simon” - plus rogi i uśmiech. Tą samą pocztą Alvarez otrzymał przesyłkę następującej treści: “Kochany Pryszczyku! Jeśli jutro w nocy gubernator złamie nogę, to będzie to Twoja wina. Z poważaniem, głos Twojego sumienia, Simon” - i znów rogi i uśmiech.

Niczego nie knuliśmy; chcieliśmy tylko pozbawić Morta i Alvareza snu - co nam się udało, także w odniesieniu do snu gwardzistów. Mike jedynie dzwonił co jakiś czas, pomiędzy północą a czwartą, pod prywatny numer gubernatora - numer rzekomo zastrzeżony wyłącznie dla jego osobistego sztabu. Jednocześnie Mike dzwonił do członków jego osobistego sztabu i łączył ich z Mortem, przez co nie tylko wywołał niezłe zamieszanie, lecz również skłócił gubernatora z jego pomagierami - Mort ani na jotę nie wierzył w ich tłumaczenia.

Ale mieliśmy do gubernatora szczęśliwą rękę, tak go rozwścieczyliśmy, że zbiegł po rampie. Nawet żółtodzioby popełniają ten błąd tylko raz. Więc chodził po powietrzu i zwicznął sobie kostkę -to prawie jak złamanie nogi, a Alvarez był przy tym.

Większość nocnych pobudek wyglądała podobnie. Np. plotka, że wyrzutnia Zarządu jest zaminowana i następnej nocy wyleci w powietrze. Przeszukanie stukilometrowej wyrzutni zajmuje 90 + 18 ludziom wiele godzin, zwłaszcza kiedy 90 z nich to Dragoni Pokoju, nie przyzwyczajeni do pracy w skafandrach i nienawidzący jej - ta północ przypadła, kiedy Ziemia była w pierwszej kwadrze, a Słońce w zenicie; siedzieli na zewnątrz znacznie dłużej niż wolno, niemal się ugotowali, i przy okazji zgotowali sobie parę wypadków, a pułkowe kroniki nie notują chyba sytuacji, w której bunt był równie blisko. Jeden wypadek był śmiertelny. Sierżant - sam spadł czy go zepchnęli?

Dzięki tym fałszywym alarmom Dragoni Pokoju na posterunkach paszportowych częściej ziewali i częściej się wkurzali, co z kolei wywoływało więcej utarczek z Lunatykami i jeszcze więcej uraz po obu stronach - a Simon działał coraz intensywniej.

Wiersze Adama Selene były na wyższym poziomie. Mike poddawał je pod literacką ocenę Profesora i przyjmował jego sądy (chyba miarodajne) bez urazy. Jako komputer z całym zasobem angielszczyzny w pamięci, zdolny w ciągu mikrosekund odnaleźć odpowiednie słowo, Mike doskonale opanował metrum i rymy. Za to brakło mu samokrytycyzmu. Lecz dzięki surowym redakcjom Profesora szybko się go nauczył.

Nazwisko Adama Selene pojawiło się po raz pierwszy na szacownych łamach *Księżycowej Poświaty* ponad bardzo posepnym wierszem pt. “Dom”. Były to przedśmiertne rozmyślenia starego zesłańca, który tuż przed zgonem odkrywa, że Luna to jego ukochany dom. Język był prosty, układ

rymów niewymuszony, wywrotowości można by się doszukać co najwyżej we wniosku umierającego człowieka, że nawet przecierpienie wszystkich gubernatorów nie stanowiło zbyt wysokiej ceny.

Wątpię, czy redaktorzy *Księżycowej Poświaty* dostrzegli w tym coś podejrzanego. Wiersz był dobry i wydrukowali go.

Alvarez przewrócił redakcję do góry nogami w poszukiwaniu jakiegoś tropu Adama Selene. Numer był w sprzedaży od pół miesiąca lunańskiego, zanim Alvarez zauważył wiersz, czy raczej zanim ktoś mu o nim powiedział; strasznie się martwiliśmy, że nie dostrzeże tego nazwiska. Bardzo nam się spodobały wariactwa Alvareza, kiedy już je dostrzegł.

Wydawcy nie byli w stanie pomóc szefowi kapusiów. Powiedzieli mu prawdę: Wiersz nadszedł pocztą. Czy mają oryginał? Tak, oczywiście... niestety bez koperty; zawsze je wyrzucają. Wreszcie Alvarez wyszedł, wraz z asystą czterech Dragonów, których wziął ze sobą z powodów zdrowotnych.

Mam nadzieję, że studiowanie tej kartki sprawiło mu przyjemność. Był to arkusz biurowej papeterii Adama Selene:

SELENE I SPÓŁKA

LUNA CITY

Inwestycje Biuro Prezesa

Stara Kopuła

- a pod spodem wypisano na maszynie: Adam Selene: "Dom" itd.

Wszelkie odciski palców pojawiły się na kartce już po tym, jak ją wysłaliśmy. Wiersz wypisaliśmy na biurowej maszynie Underwood Electrostat, najpopularniejszym modelu w Lunie. Mimo to nie ma ich aż tak wiele, bo są importado; detektyw z naukowym zacięciem mógłby zidentyfikować maszynę. Okazałoby się, że pochodzi ona z biura Zarządu Luny w Luna City. Właściwie, że "pochodzą one", gdyż znaleźliśmy w biurze sześć takich i posługiwaliśmy się nimi w rotacji, po pięć słów na każdej i zmiana na następną. Kosztowało to Wyoh i mnie nieprzespaną noc i sporo strachu, choć Mike nasłuchiwał przez wszystkie telefony i ostrzegłby nas w razie czego. Już nigdy się tak nie poświęciliśmy.

Alvarez nie miał naukowego zacięcia.

ROZDZIAŁ XI

Na początku 76 roku cierpiałem na dotkliwy nadmiar zajęć. Nie mogłem zaniedbywać klientów. Praca partyjna zabierała jeszcze więcej czasu, choć co tylko mogłem poruczałem innym. Ale trzeba było podejmować decyzje w niezliczonych sprawach i przekazywać wiadomości w górę i w dół. Do tego musiałem całymi godzinami intensywnie ćwiczyć i nosić ciężarki, a nie mogłem korzystać z wirówki w Kompleksie, która ziemniackim naukowcom przedłuża czas pobytu w Lunie - chodziłem na nią przed poprzednimi wyjazdami, ale teraz wolałem nie ogłaszać, że szykuję się do wycieczki na Terrę.

Ćwiczenia bez wirówki nie są tak skuteczne, a mnie nużyły wyjątkowo, bo nie wiedziałem, czy mają w ogóle sens. Ale według Mike'a w 30% prawdopodobnych przyszłych sytuacji jakiś Lunatyk, posiadający pełnomocnictwo Partii i zorientowany w jej polityce, będzie musiał wybrać się do nich na Ziemię.

Jakoś nie widziałem siebie jako ambasadora, nie mam wykształcenia ani dyplomatycznych talentów. Spośród obecnych albo przyszłych członków Partii najlepszy byłby Profesor. Ale Profesor jest stary i może nie dożyć lądowania na Ziemi. Mike powiedział nam, że dla mężczyzny w wieku Profesora, jego typu fizycznego itd. szansę dotarcia żywcem na Terrę wynoszą niecałe 40%.

Ale Profesor z chęcią poddał się męczącemu treningowi, by choć odrobinę zwiększyć swe nikłe szansę, więc i ja nie miałem wyboru, musiałem założyć ciężarki i wziąć się do roboty, gotów zastąpić go, gdyby jego stare serce nie wytrzymało. Wyoh poszła za naszym przykładem zakładając, że i mnie coś może przeszkodzić w wyjeździe. A może po prostu chciała dzielić nasze cierpienia? Wyoh zawsze zamiast logiką posługiwała się odwagą.

Poza pracą, Partią i ćwiczeniami, musiałem jeszcze zajmować się farmą. Poprzez wyślubienia straciliśmy trzech synów, choć doszło do nas dwóch wspaniałych chłopaków, Frank i Ali. A potem Greg zaczął pracować dla LUNOHOCO, jako kierownik wierceń przy nowej wyrzutni.

Bardzo się tam przydał. Przy angażowaniu robotników nieźle się nagłówkowaliśmy. Do większości zadań wystarczyli bezpartyjni, ale kluczowe stanowiska trzeba było powierzyć członkom Partii, i tu polityczna spolegliwość była równie ważna, co kwalifikacje. Greg wolałby tego uniknąć; był potrzebny na farmie i nie chciał zostawiać swej trzódki. Ale zgodził się.

I znów stałem się półetatowym służącym świń i kurczaków. Hans to dobry rolnik, przejął dodatkową robotę i harował za dwóch. Ale Greg kierował farmą, od kiedy Dziadek zdecydował się na emeryturę, i nowa odpowiedzialność martwiła Hansa. Właściwie to mnie powinna ona przypaść, bo byłem teraz najstarszy, ale Hans lepiej znał się na rolnictwie i miał więcej praktyki; zawsze wszyscy uważali, że to on przejmie kiedyś obowiązki Grega. Więc próbowałem mu pomagać, zgadzałem się z jego opiniami i starałem się wykroić jak najwięcej czasu na zajęcia półparobka. Dla siebie nie miałem już ani chwili.

Pod koniec lutego wracałem z długiej podróży - Nowylen, Sub-Tycho, Churchill. Właśnie ukończono budowę nowego tunelu kolejki przez Sinus Medii, a więc pojechałem i do Hongkongu,

Luna - w sprawach pracy, nawiązałem parę kontaktów, bo teraz mogłem proponować naprawdę szybkie usługi. Przedtem było to niemożliwe, jako że autobus z Endsville do Beluthihatchie kursował tylko w ciągu ciemnego półmiesiąca.

Ale business służył za przykrywkę dla polityki; dotychczas nasze kontakty z Hongkongiem były raczej rzadkie. Wyoh zajmowała się tym przez telefon, i to bardzo dobrze; drugim członkiem jej komórki został stary towarzysz - "towarzysz Clayton" - który nie tylko miał czystą teczkę w Alvarezowym Zbiorze "Zebra", lecz także u Wyoh cieszył się znakomitą opinią. Wtajemniczyła go w naszą politykę, przestrzegła przed robaczywymi jabłkami, zachęciła do rozprzestrzenienia systemu komórkowego, przy pozostawieniu starej organizacji nietkniętej. Wyoh kazała mu kontynuować działalność w niej.

Ale telefon to nie to samo co tęte-ń-tęte. Hongkong powinien stanowić naszą fortecę. Był mniej związany z Zarządem, gdyż jego infrastrukturą nie zawiadywał Kompleks; był bardziej niezależny, gdyż brak (do niedawna) transportu kolejowego nie zachęcał do sprzedaży przy rampie wyrzutni; był silniejszy finansowo, gdyż banknoty Banku Hongkongu, Luna, to pieniądź lepszy od oficjalnych bonów Zarządu.

Chyba z jakiegoś tam prawnego punktu widzenia hongkongijskie dolary nie były "pieniędzmi". Zarząd nie przyjmował ich; kiedy leciałem na Ziemię, musiałem kupować bony Zarządu, żeby zapłacić za bilet. Ale zabierałem ze sobą hongkongijskie dolary, bo u nich na Ziemi można je całkiem korzystnie wymienić, natomiast bony nie są tam prawie nic warte. Może nie były to pieniądze, ale za bilety Banku Hongkongu ręczyli uczciwi kitajscy bankierzy, i były one czymś więcej niż biurokratyczną fikcją. 100 dol. HK warte było 31,1 g złota (stara uncja jubilerska), płatne na żądanie w głównym biurze - i naprawdę trzymali tam złoto, sprowadzone z Australii. Można też było zażyczyć sobie wypłaty w naturze: w wodzie gospodarczej, w stali o określonej charakterystyce, w ciężkiej wodzie do elektrowni itp. Za bony też dało radę to kupić, ale ceny Zarządu wciąż się zmieniały, tzn. wciąż rosły. Nie znam się na fiskusie; kiedy Mike próbował mi to wyjaśnić, rozboleła mnie głowa. Wiem tylko, że cieszyliśmy się, kiedy wpadały nam w ręce te nie-pieniądze, a bony przyjmowaliśmy niechętnie, i to nie tylko z nienawiści do Zarządu.

Hongkong powinien stanowić fortecę Partii. Ale nie stanowił. Postanowiliśmy, że zaryzykuję tam tęte-ń-tęte, wyjawię niektórym osobom moją tożsamość, bo człowiekowi z jedną ręką trudno się zakamuflować. Ryzykowałem nie tylko ja, bo gdybym tam wpadł, byłoby to także zagrożenie dla Wyoh, Mamy, Grega i Sidris. Ale czy gdzieś jest powiedziane, że rewolucja to bezpieczna zabawa?

Jak się okazało, towarzysz Clayton był młodym Japończykiem - nie za młodym, bo oni wszyscy wyglądają młodo, aż do dnia, w którym raptem zaczynają wyglądać staro. Nie był tylko Japończykiem - Malajowie w rodzinie itp. - ale miał japońskie nazwisko, a w rodzinie obowiązywały japońskie zwyczaje; wszystkim rządziło "giri" i "gimu"[15], a na szczęście dla mnie okazywał on wiele gimu wobec Wyoh.

Clayton nie wywodził się z zesłańców; jego przodkowie jako "ochotnicy" zostali pod lufą załadowani na statek w czasach, gdy Wielkie Chiny konsolidowały swoje imperium na Ziemi. Nie mam mu tego za złe; nienawidził gubernatora równie mocno, jak starzy skazańcy.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w herbaciarni - tak u nich mówi się na pub - i przez dwie godziny rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o polityce. Wyrobił sobie przez ten czas opinię o mnie i zabrał mnie do siebie do domu. Jedna jedyna rzecz nie podoba mi się w japońskiej gościnności - do tych pionowych wanien wlewają wodę gorącą jak wszyscy diabli.

Ale okazało się, że niczym nie będę musiał ryzykować. Mama-san знаła się na makijażu równie dobrze jak Sidris - moja wyjściowa ręka wygląda bardzo przekonująco, a szew zakryłem kimonem. W ciągu dwóch dni spotkałem się z czterema komórkami, jako "towarzysz Bork" w makijażu, kimonie i tabi, a jeśli był wśród nich szpieg, nie sądzę, żeby rozpoznał we mnie Manuela O'Kelly'ego. Byłem wszechstronnie obryty, znałem mnóstwo cyfr i prognoz, mówiłem zaś tylko o jednym: o klęsce głodu w 82, za sześć lat.

- Wy w Hongkongu macie szczęście, nie poczujecie tego tak szybko. Ale teraz, kiedy macie tu kolejkę, zobaczycie, że coraz więcej ludzi będzie się tu przestawiać na pszenicę i ryż i wysyłać je do wyrzutni. Przyjdzie i na was kolej.

To ich poruszyło. Stara organizacja, z tego co zobaczyłem i o czym mi opowiadano, posługiwała się głównie retoryką, pieśniami masowymi i emocjami, jak Kościół. Ja powiedziałem po prostu:

- Tak to wygląda, towarzysze. Sprawdźcie moje obliczenia; zostawię wam wszystkie dane.

Z jednym towarzyszem spotkałem się na osobności. Kitajski inżynier może skopiować wszystko, jeśli tylko dobrze się temu przyjrzy. Spytałem go, czy widział kiedyś karabin laserowy na tyle lekki, żeby można go nosić na ramieniu. Nie widział. Zauważyłem, że w dzisiejszych czasach dzięki paszportom trudno jest coś przesmuglować. Zamyślił się i odparł, że diamenty są bardzo małe - i że w przyszłym tygodniu jedzie do Luna City odwiedzić kuzyna. Powiedziałem, że wujek Adam ucieszyłby się z jego telefonu.

W sumie była to bardzo owocna podróż. W drodze powrotnej zatrzymałem się w Nowym Mieniu, żeby sprawdzić, jak spisuje się pewien staroświecki "Foreman" na taśmę perforowaną, którego jakiś czas temu remontowałem, potem zjadłem lunch i napotkałem ojca. Bardzo się lubimy, ale nie rozpaczamy, jeśli nie zobaczymy się przez parę lat. Pogawędziliśmy sobie przy piwie i sandwiczu, a kiedy wstawałem, powiedział:

- Fajnie, że się spotkaliśmy, Mannie. Wolna Luna!

Powtórzyłem to, bo bałem się milczeć. Mój rodziciel to najbardziej apolityczny cynik na całym świecie; jeśli on publicznie mówi coś takiego, to nasza kampania nie idzie na marne.

Przybyłem więc do L-City z podbudowanym morale i niezbyt zmęczony, bo drzemałem od Torricelliego. Z Południowej Stacji poszedłem przez Obwodnicę, potem na dół, do Dolnej Alei, bo nie chciałem przedzierać się w drodze do domu przez tłumy na Promenadzie Carvera. Po drodze zajrzałem do sądu sędziego Brody'ego, żeby się z nim przywitać. Brody to mój stary kumpel, łączy nas też amputacja. Kiedy stracił nogę, został sędzią i miał spore powodzenie; w tamtych czasach nie było chyba w L-City innego sędziego, który nie musiałby dorabiać sobie jakąś fuchą, choćby

bukmacherką czy ubezpieczeniami.

Jeśli dwóch facetów poddawało swój spór pod osąd Brody'ego, a on nie mógł ich przekonać, że jego decyzja jest sprawiedliwa, to oddawał im honoraria i, jeśli chcieli się bić, za darmo sędziował w pojedynku - i aż do ostatniej chwili usiłował ich namówić, żeby nie używali noży.

Nie było go w sądzie, choć na stole leżał biret. Chciałem wychodzić, ale w drzwiach pojawiła się grupka stiliagów. Była z nimi dziewczyna, a wlekli jakiegoś starszego od nich faceta. Był nieco pokiereszowany, a jego ubranie miało w sobie to nieuchwytnie coś, co mówi "turysta".

Nawet wtedy przyjeżdżali do nas turyści. Może nie hordami, ale całkiem sporo. Przylatywali z Ziemi, tydzień mieszkali w hotelu i wracali tym samym statkiem, czasami siedzieli do odlotu następnego. Po paru dniach zwiedzania i po obowiązkowym kretyńskim spacerze po powierzchni większość z nich wypełniała pobyt hazardem. Większość Lunatyków ignorowała ich i tolerowała ich dziwactwa.

Jeden chłopak, najstarszy, może osiemnastoletni, chyba wódz, powiedział do mnie:

- Gdzie jest sędzia?

- Nie wiem. Nie tu.

Zagryzł wargi, zbity z pantałyku.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Chcemy wyeliminować tego kolesia - powiedział spokojnie. - Ale niech zatwierdzi to sędzia.

- Przejdźcie się po pubach w okolicy - poradziłem. - Na pewno go znajdziecie.

Może czternastoletni chłopak odezwał się:

- Hej! Pan jest gospodin O'Kelly?

- Owszem.

- Może pan by rozsądził?

Najstarszemu jakby ulżyło.

- Czy zechciałby pan, gospodin?

Zawahałem się. Oczywiście zdarzało mi się już sądzić, jak wszystkim. Ale nie lubię odpowiedzialności. Jednakowoż zrobiło mi się trochę chłodno, kiedy usłyszałem, że te młodzieniaszki myślą o wyeliminowaniu turysty. Porobią się od tego plotki.

Zdecydowałem się. Powiedziałem więc do turysty:

- Uznaje mnie pan za swojego sędziego? Był zaskoczony.

- Czy mam jakiś wybór?

- Oczywiście - powiedziałem cierpliwie. - Przecież nie będę pana słuchał, jeśli nie chce pan uznać mojego osądu. Ale nie przymuszam pana. Chodzi o pana życie, nie o moje.

Był bardzo zaskoczony, ale nie przestraszył się. Zabłyśły mu oczy.

- Moje życie, mówi pan?

- Tak mi się wydaje. Słyszał pan, że chłopaki chcą pana wyeliminować. Może wolałby pan poczekać na sędziego Brody'ego?

Nie zastanawiał się. Uśmiechnął się i powiedział:

- Uznaję pana za mojego sędziego, sir.

- Jak pan sobie życzy. - Spojrzałem na najstarszego chłopaka. -Kto wnosi skargę? Tylko ty i twoja przyjaciółka?

- Och, nie, sędzio, my wszyscy.

- Nie jestem jeszcze waszym sędzią. - Rozejrzałem się. - Czy wszyscy chcecie, bym osądził?

Skinęli głowami; nikt nie powiedział "nie". Wódz spojrzał na dziewczynę i dodał:

- Lepiej się odezwij, Tish. Czy uznajesz sędziego O'Kelly'ego?

- Co? Och, pewno! - Była to taka dość bezbarwna laleczka, choć ładnie zaokrąglona, może czternastoletnia. Z takich biorą się panienki na godziny, i ta też może tak skończyć. Jedna z tych, co wolą rządzić bandą stiliagów, niż wślubić się w solidne małżeństwo. Nie mam żalu do stiliagów; uganiają się po korytarzach, bo jest u nas za mało kobiet. Cały dzień pracują, a wieczorem nie mają po co wracać do domu.

- Okay, sąd uznany i wszyscy zastosują się do mojego wyroku. Uzgodnijmy honorarium. Na ile was stać, chłopcy? Pamiętajcie, że sprawy o eliminację nie sądzi się za parę groszy. Więc wyciągajcie portfele, bo go ułaskawię.

Wódz zamrugał, naradzili się szeptem. Po chwili odwrócił się do mnie i powiedział:

- Nie mamy wiele. Czy zgodzi się pan na pięć dolarów z Kongu od łebka?

Razy sześć...

- Nie. Za taką sumę nie wypada wnosić o eliminację. Znow się naradzili.

- Pięćdziesiąt dolarów, sędzio?

- Sześćdziesiąt. Po dziesięć od łebka. I dziesięć od ciebie, Tish - powiedziałem do dziewczyny.

Zrobiła zaskoczoną i oburzoną minę.

- No, śmiało! - powiedziałem. - ZWTP.

Zamrugła i sięgnęła do sakwy. Miała pieniądze; takie zawsze je mają.

Zebrałem 70 dolarów, położyłem je na stole i powiedziałem do turysty:

- Wyplaci pan tyle?

- Słucham?

- Dzieciaki płacą za osąd siedemdziesiąt dolarów hongkongijskich. Powinien pan wypłacić tyle samo. Jeśli pan nie może, to niech pan otworzy sakwę i pokaże nam, i będzie mi pan dłużny. Ale taka jest pana porcja. - Dodałem: - Całkiem tanio, jak za tak poważną sprawę. Ale dzieciaki nie śmierdzą groszem, więc to i dla pana okazja.

- Rozumiem. Chyba już rozumiem. - Wyplacił 70 hongkongijskich.

- Dziękuję - powiedziałem. - Czy któraś ze stron życzy sobie ławy przysięgłych?

Oczy dziewczyny zabłyśły.

- Pewno! Niech będzie jak trzeba.

- W tych okolicznościach chyba się przyda - rzekł Ziemiak.

- Jak pan sobie życzy - zapewniłem go. - Chce pan obrońcę?

- Cóż, adwokat też byłby nie od rzeczy.

- Powiedziałem "obrońcę", nie "adwokata". Nie mamy adwokatów.

Znow zrobił zachwyconą minę.

- Domyślam się, że obrońca, gdybym się na takowego zdecydował, byłby równie, eee, nieformalny, co reszta postępowania?

- Może tak, może nie. Po prostu ja jestem nieformalnym sędzią. Jak pan uważa.

- Mm. Chyba zdam się na nieformalność Wysokiego Sądu.

Najstarszy zapytał:

- Eee, w sprawie tych przysięgłych. Kto im płaci, pan czy my?

- Ja; zgodziłem się osądzić za 140 brutto. Co to, pierwszy raz jesteście w sądzie? Ale nie obetnę mojego netto niepotrzebnymi statystami. Sześciu przysięgłych po pięć dolarów na łebka. Zobaczcie, kto jest w Alei.

Jeden chłopak wyszedł i krzyknął:

- Potrzebni przysięgli! Po pięć dolarów!

Zebrali sześciu, mniej więcej takich, jakich można się spodziewać w Dolnej Alei. Nie przejąłem się tym, bo nie miałem zamiaru zwracać na nich uwagi. Jeśli się sędzi, to lepiej robić to w przyzwoitej okolicy, gdzie można trafić na solidnych obywateli.

Wszedłem za stół, usiadłem, założyłem bilet Brody'ego - ciekawe, gdzie go znalazł. Pewnikiem na wyprzedaży rekwizytów jakiejś łoży masońskiej.

- Sąd rozpoczyna posiedzenie - oznajmiłem. - Podajcie nazwiska i wnieście pozew.

Najstarszy chłopak nazywał się Slim Lemke, dziewczynie było Patricia Carmen Żuków; reszty nie pamiętam. Turysta podszedł do mnie, sięgnął do sakwy i powiedział:

- Moja wizytówka, sir.

Wciąż jeszcze ją mam. Tak wygląda:

STUART RENÉ LaJOIE

poeta - podróżnik - żołnierz Fortuny

Pozew był tragicznie groteskowy, znakomity dowód, dlaczego turystom nie powinno się pozwalać na spacerki bez przewodników. Przewodnicy wysysają z nich całą forszę, owszem - ale przecież do tego właśnie służą turyści. Ten niemal przyplacił życiem brak przewodnika.

Zabłąkał się do pubu, właściwie takiego klubu, gdzie stiliagom wolno przesiadywać. Ta bezpretensjonalna kobietka zaczęła z nim flirtować. Chłopcy nie przeszkadzali jej, zresztą nie mogliby, bo ich to nie prosiła. Ale w pewnym momencie roześmiała się i szturchnęła go w żebra. Przyjął to na wesoło, jak Lunatyk... ale zareagował w typowo ziemniacki sposób; objął ją w talii, przysunął do siebie i chyba spróbował pocałować.

Wiercie mi, w Pomocnej Ameryce nikt nawet nie zwróciłby na to uwagi; widywałem tam podobne scenki. Ale oczywiście Tish była zaskoczona, chyba i przestraszona. Krzyknęła.

I banda chłopaków rzuciła się na niego i przetrzepała mu skórę. Potem postanowili ukarać go

za "zbrodnię" - ale tak, jak trzeba. Z błogosławieństwem sędziego.

Myślę, że po prostu spietrali się. Nie sądzę, aby choć jeden z nich miał już do czynienia z eliminacją. Ale znieważono honor ich damy, i trzeba było to zrobić.

Przesłuchałem ich, zwłaszcza Tish, i uznałem, że mówią prawdę. Potem powiedziałem:

- Zreasumujmy. Oto cudzoziemiec. Nie zna naszych zwyczajów. Naruszył je, jest winien. Ale, moim zdaniem, nie miał złych zamiarów. Co na to sędziowie przysięgli? Hej, ty tam! - obudź się! Co ty na to?

Przysięgły z trudem rozwarł powieki i wymamrotał:

- Wyleminować go!

- Świetnie. A ty?

- No, cóż... - Jego sąsiad zastanowił się. - Chyba wystarczyłoby zdrowo wygarbować mu skórę, żeby miał nauczkę na przyszłość. Kto to słyszał, żeby mężczyźni obmacywali kobiety - zrobi się u nas tak, jak podobno jest na Terra.

- To rozsądne - zgodziłem się. - A ty?

Tylko jeden przysięgły był za eliminacją. Wyroki pozostałych wahały się od chłosty do bardzo wysokich grzywien.

- Co ty sądzisz, Slim?

- Cóż... - Był zakłopotany - musiał pokazać się przed gangiem i, chyba, przed swoją dziewczyną. Ale już ochłonął i nie pragnął eliminacji tego żółtodzioba. - Już od nas dostał. Może gdyby padł przed Tish na czworaki, ucałował podłogę u jej stóp i przeprosił?

- Czy uczyniłby pan to, gospodin LaJoie?

- Jeśli Wysoki Sąd tak każe.

- Nie każe. Oto mój werdykt: Najpierw ten przysięgły - ty! - wymierzam ci grzywnę za spanie podczas sędziowania. Złapcie go, chłopcy, zainkasujcie grzywnę i wyrzucicie go.

Tak też zrobili, i to z entuzjazmem; mieli namiastkę silnych wrażeń, które ich skusiły, ale na które się nie odważyli.

- A teraz gospodin LaJoie, wymierzam panu grzywnę 50 hongkongijskich za to, że nie miał pan na tyle oleju w głowie, żeby przed wyjściem z hotelu zapytać o nasze zwyczaje. Niech pan wyciąga portfel. - Odebrałem pieniądze. - Teraz wy, chłopcy, podejdźcie do mnie. Wymierzam wam grzywnę po pięć dolarów na łebka za to, że wobec człowieka, o którym wiedzieliście, że jest tu obcy i nie zna naszych zwyczajów, nie okazaliście rozsądku. Mogliście nie pozwolić mu dotykać Tish,

proszę bardzo. Huknąć go gdzieś, też okay; szybciej się nauczy. Moglibyście go też wyrzucić z knajpy. Ale że wam przyszło do głowy wyeliminować go za nieumyślną pomyłkę - to już spora przesada. Po pięć dolicz. Wyciągajcie portfele.

Slim przełknął ślinę.

- Panie sędzio... chyba nie zostało nam tyle! Przynajmniej nie mnie.

- Tego się spodziewałem. Możecie zapłacić w ciągu tygodnia, bo jak nie, to wywieszę wasze nazwiska w Starej Kopule. Wiecie, gdzie jest Boutiàue de Beaute "Bon Ton", koło śluzy tranzytowej nr 13? Właścicielka to moja żona; zapłacicie jej. Sąd kończy posiedzenie. Slim, zaczekaj chwilę. I ty, Tish. Gospodin LaJoie, może postawimy tym młodym ludziom coś do picia i zaznajomimy się?

Znow w jego oczach rozblęsnął dziwny wyraz zachwytu, który skojarzył mi się z Profesorem.

- Znakomity pomysł, panie sędzio!

- Nie jestem już sędzią. To parę ramp w górę... a więc proponuję, by podał pan Tish ramię.

Skłonił się i powiedział: - Milady? Czy mogę? - i nadstawił jej łokieć. Tish od razu zrobiła się bardzo dorosła.

- Spasibo, gospodin! Tak mi miło.

Zabrałem ich do drogiej knajpy, w której ich dzikie stroje i nadmiar makijażu zwracały uwagę; byli napięci. Staralem się ich zrelaksować, a Stuart LaJoie starał się jeszcze bardziej, i z powodzeniem. Zapisalem sobie ich nazwiska i adresy; Wyoh zorganizowała wydział, który szczególnie interesował się stiliagami. Wreszcie dopili oranżadę, wstali, podziękowali i poszli. LaJoie i ja zostaliśmy jeszcze.

- Gospodin - powiedział po chwili - w sądzie użył pan dziwnego skrótów - to znaczy, dziwnego dla mnie.

- Mów mi "Mannie", dzieciaki już poszły. Jakiego skrótów?

- Kiedy chciałeś, żeby ta, eee, młoda dama, Tish - żeby Tish również zapłaciła. TWP czy coś takiego.

- Och, ZWTP. To znaczy "Za wszystko trzeba płacić". Bo trzeba - dodałem, wskazując na napis BEZPŁATNE PRZEKĄSKI po drugiej stronie sali - inaczej nasze drinki byłyby o połowę tańsze. Przypomniałem jej, że wszystko bezpłatne kosztuje na dłuższą metę dwa razy więcej albo w końcu nic nie jest warte.

- Ciekawa filozofia.

- To nie filozofia, to fakt. Tak czy inaczej, za wszystko trzeba płacić. - Powachlowałem się dłonią. - U was na Ziemi, jak ktoś jest bez grosza, to zawsze może "żyć powietrzem". U nas

powietrze nie jest za darmo, płaci się za każdy oddech.

- Czyżby? Nikt nie kazał mi płacić za oddychanie. - Uśmiechnął się. - Może nie powinienem oddychać.

- Może, dziś o mało co nie oddychałeś próżnią. Ale nikt ci nie kazał, bo już zapłaciłeś. Dla ciebie to część ceny biletu; dla mnie to kwartalna opłata. - Zacząłem opowiadać mu, jak moja rodzina kupuje i sprzedaje powietrze spółdzielni, ale zrezygnowałem, bo to zbyt skomplikowane. - Ale obaj płacimy.

LaJoie znów zrobił zachwyconą minę i zamyślił się.

- Tak, rozumiem tę ekonomiczną potrzebę. Po prostu dla mnie to coś nowego. Powiedz, eee, Mannie - a propos, mam na imię Stu - czy naprawdę groziło mi “oddychanie próżnią”?

- Za mało od ciebie wzięłem.

- Słucham?

- Nie jesteś przekonany. Ale policzyłem od dzieciaków, ile tylko mogły wysupłać i w dodatku wymierzyłem im grzywnę, żeby miały nauczkę. Nie mogłem wziąć od ciebie więcej niż od nich. A szkoda, bo widzę, że uważasz to wszystko za żart.

- Proszę mi wierzyć, sir, nie uważam tego za żart. Tylko nie może pomieścić mi się w głowie, że wasze miejscowe prawa zezwalają na uśmiercenie człowieka... tak bezceremonialnie... i za tak trywialne wykroczenie.

Westchnąłem. Od czego zacząć wyjaśniać sprawę człowiekowi, który nie rozumie jej a n i n a j o t ę, a za to pełen jest oczekiwań zupełnie nie pasujących do faktów i nawet o tym nie wie?

- Stu - powiedziałem - zajmijmy się tym po kawałku. Nie ma u nas “miejscowych praw”, a więc nie można na ich mocy “uśmiercać ludzi”. Twoje wykroczenie n i e było “trywialne”, jedynie ja wzięłem pod uwagę twą niewiedzę. I nic nie stało się bezceremonialnie, inaczej chłopcy zaciągnęliby cię do najbliższej służby wyjściowej, wsadzili do środka i po krzyku. Ale zachowali się bardzo uprzejmie - mili chłopcy! - i z własnej forsy opłacili proces. I nie narzekali, kiedy wyrok ani trochę nie odpowiadał ich oczekiwaniom. Coś jeszcze niejasne?

Wyszczrzył zęby i zauważyłem, że ma jeszcze więcej dołków od Profesora; podobał mi się coraz bardziej.

- Obawiam się, że wszystko. Czuję się, jakbym zawędrował na Drugą Stronę Lustra.

Tego się spodziewałem; byłem u nich na Ziemi i wiem, jak działają umysły niektórych z nich. Ziemiak oczekuje prawa, pisanego prawa, na wszystkie okoliczności. Mają nawet prawa do spraw prywatnych, np. do umów. Naprawdę. Jeśli ktoś jest niesłowny, to kto będzie się z nim umawiał? Czy nie ma czegoś takiego jak reputacja?

- Nie mamy praw - powiedziałem. - Nigdy nam na to nie zezwolono. Mamy zwyczaje, ale niepisane, i nikt ich nie egzekwuje - a właściwie same się egzekwują, bo w taki sposób po prostu musi być w naszych warunkach. Można by nazwać nasze zwyczaje naturalnymi prawami, bo ludzie muszą się do nich stosować, żeby przeżyć, Dobierając się do Tish złamałeś naturalne prawo... i w rezultacie o mały włos oddychałeś próżnią.

Zamrugał, zamyślony.

- Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, jakie to naturalne prawo złamałem? Wolałbym to zrozumieć... bo inaczej chyba wrócę na statek i zostanę na pokładzie aż do startu. Żeby przeżyć.

- Oczywiście. Sprawa jest tak prosta, że jeśli tylko zrozumiesz, już nigdy więcej ci się to nie przydarzy. Jest nas tu dwa miliony mężczyzn i niecały milion kobiet. To fizyczny fakt, równie podstawowy, jak skała czy próżnia. Dodaj do tego ZWTP. Wszystko, czego brakuje, jest drogie. Brakuje kobiet; nie wystarcza ich dla wszystkich - stają się najdroższą rzeczą w Lunie, cenniejszą od lodu czy powietrza, gdyż mężczyźni bez kobiet przestają chcieć żyć. Poza cyborgami, jeśli uważasz ich za mężczyzn, bo ja nie.

A więc co się dzieje? - kontynuowałem - a pamiętaj, że kiedy ten zwyczaj czy naturalne prawo, zaczęło się ujawniać w dwudziestym wieku, było jeszcze gorzej. Stosunek wynosił 10:1 albo jeszcze więcej. Stało się między innymi to, co dzieje się w więzieniach: mężczyźni zainteresowali się innymi mężczyznami. To niewiele pomaga; problem pozostaje, bo większość mężczyzn chce kobiet i nie zgodzą się na erzac, dopóki mają szansę zdobycia prawdziwego geltu.

Chce im się tego tak, że gotowi są zabijać... a weterani opowiadają, że w dawnych czasach aż skóra cierpła, tyle było zabijania. Ale po jakimś czasie niedobitki jakoś się godzą, robi się spokojniej. To równie nieuniknione, jak grawitacja. Przeżyją ci, co zaadaptowali się do faktów; reszta ginie, i nie ma problemu.

Tu i teraz znaczy to, że kobiet jest mało i to one rządzą... a ciebie otaczają dwa miliony mężczyzn, którzy wypełniają ich rozkazy. Ty nie masz wyboru, wybierają wyłącznie one. Jeśli któraś z nich uderzy cię i puści krew, to nie śmieję tknąć jej palcem. Widzisz, objąłeś Tish, chyba chciałeś ją pocałować. A gdyby poszła z tobą do pokoju hotelowego; co by się stało?

- Wielkie nieba! Chyba rozerwaliby mnie na strzępy.

- N i c by nie zrobili. Wzruszyliby ramionami i udawali, że nie widzą. Bo to o n a wybiera. Nie ty. Nie oni. Tylko i wyłącznie ona. Och, lepiej nie ryzykować zaproszeniami do hotelu; jeszcze by się obraziła, i chłopcy czuliby się zobowiązani pokancerować cię co nieco. Ale... cóż, weźmy tę Tish. Głupia mała zdzira. Gdybyś błysnął jej tą forszą, którą zauważyłem u ciebie w sakwie, to niewykluczone, że raptem naszłaby ją nieprzeparta ochota na poobłapianie się z turystą i sama by ci to zaproponowała. W takim przypadku nie groziłoby ci zupełnie nic.

LaJoie zadrżał.

- W j ej wieku? Aż strach pomyśleć. Przecież jest nieletnia. Według prawa to byłby gwałt.

- Och, do diabła! Nic podobnego. Kobiety w jej wieku są mężatkami albo powinny być. Stąd w Lunie nie ma gwałtów. Wcale. Mężczyźni nie pozwoliliby na to. Gdyby chodziło o gwałt, to nie zawracaliby sobie głowy szukaniem sędziego, a wszyscy mężczyźni w zasięgu głosu zbiegliby się na pomoc. Ale takie duże dziewczyny rzadko bywają dziewicami. Kiedy są małe, pilnują ich matki, z pomocą całego miasta; dzieci są u nas bezpieczne. Ale kiedy dorosną, nic ich nie powstrzyma, i matki przestają się nimi interesować. Jeśli zechcą dokazywać w korytarzach, to to robią; dorosła dziewczyna jest swoją własną panią. Jesteś żonaty?

- Nie. - Uśmiechnął się i dodał: - Nie w tej chwili.

- Przypuśćmy, że jesteś i że twoja żona mówi ci, że chce wyjść za mąż za kogoś innego. Co byś zrobił?

- Dziwne, że o to pytasz, bo właśnie to raz mi się zdarzyło. Poszedłem do mojego adwokata i załatwiłem, żeby nie dostała alimentów.

- U nas nie ma słowa "alimenty"; nauczyłem się go na Ziemi. Tutaj powiedziałbyś - albo mąż-Lunatyk powiedziałby - "Chyba musimy poszukać większego mieszkania, kochanie". Albo po prostu pogratulowałby jej i swojemu nowemu współ-mężowi. Albo, gdyby bardzo się mu to nie spodobało, wysłubiłby się i spakował manatki. Ale w żadnym przypadku nie robiłby żadnych kłopotów. Bo inaczej cała opinia byłaby jednogłośnie przeciw niemu. Zerwaliby z nim wszyscy przyjaciele - i mężczyźni, i kobiety. Biedak musiałby chyba przeprowadzić się do Nowogolenu, zmienić nazwisko i mieć nadzieję, że nikt się nie dowie.

Takie są wszystkie nasze zwyczaje. Jeśli jesteś na powierzchni, i jakiemuś koleśowi kończy się powietrze, to pożyczasz mu butlę i nie żadasz forsy. Ale kiedy wrócicie do ciśnienia, a on nie zapłaci, to nikt ci nic nie powie, jeśli go wyeliminujesz bez sędziego. Ale zapłaci; powietrze jest niemal tak święte, jak kobiety. Jeśli ograsz jakiegoś żółtodzioba w pokera, to zostawiasz mu pieniądze na tlen. Nie na jedzenie; na to może zarobić. Jeśli wyeliminujesz faceta nie w samoobronie, to płacisz jego długi i utrzymujesz dzieciaki, bo inaczej nikt nie będzie z tobą rozmawiał ani handlował.

- Mannie, czy chcesz mi powiedzieć, że można u was zabić człowieka i wszystko załatwić pieniędzmi?

- Och, bynajmniej! Ale eliminacja nie jest naruszeniem żadnego prawa; nie mamy praw - tylko zarządzenia gubernatora - a gubernatorowi zwisa, co jeden Lunatyk robi z drugim. Ale my tak to wykoncypowaliśmy: Jeśli kogoś zabijają, to albo mu się należało i wszyscy o tym wiedzą - tak jest zazwyczaj - albo jego przyjaciele zajmą się wyeliminowaniem sprawcy. Tak czy tak, no problem. Nie ma u nas wielu eliminacji. Nawet pojedynki są rzadkością.

- "Przyjaciele się zajmą". Mannie, a gdybyś nie powstrzymał tych młodych ludzi? Ja nie mam tu przyjaciół.

- Dlatego zgodziłem się sądzić. Wątpię, czy dzieciaki zebrałyby się na odwagę, ale wolałem nie ryzykować. Wyeliminowanie turysty rujnuje miastu reputację.

- Czy często się to zdarza?

- O ile pamiętam, to ani razu. Choć mogli zaaranżować to jako wypadek. Żółtodzioby przyciągają wypadki; tak to już jest w Lunie. Podobno jeśli żółtodziób przeżyje rok, to będzie już żył wiecznie. Ale przez pierwszy rok nikt nie sprzedaje mu ubezpieczenia. - Spojrzałem na godzinę. - Stu, jadłeś już kolację?

- Nie, i właśnie chciałem zaprosić cię do mnie do hotelu. Dobrze tam gotują. Auberge Orleans.

Słumiłem dreszcz - jadłem tam raz.

- Może wolałbyś pójść do mnie i zapoznać się z rodziną? Zawsze o tej porze zjadamy trochę zupy czy czegoś takiego.

- Nie będę wam przeszkadzał?

- Nie. Zaczekaj chwilkę, pójdę zadzwonić.

Mama powiedziała:

- Manuel! Cóż za miła niespodzianka, kochanie! Kapsuła przyjechała kilka godzin temu; nie myślałam, że jeszcze się dziś odezwiesz.

- Och, trochę piłem, Mimi, uprawiałem rozpustę i popadłem w złe towarzystwo. Już wracam do domu, chyba że nie trafię - i przyprowadzę złe towarzystwo.

- Dobrze, kochanie. Kolacja za dwadzieścia minut; postarajcie się nie spóźnić.

- Nie chcesz wiedzieć, jakiej płci jest moje złe towarzystwo?

- Znając ciebie zakładam, że żeńskiej. Ale mam nadzieję, że sama poznam, kiedy ją zobaczę.

- Aż za dobrze mnie znasz, Mamo. Powiedz dziewczętom, żeby się odstawiły; lepiej, żeby gość ich nie zaćmił.

- Wracaj szybko, bo jedzenie się zmarnuje. Do widzenia, kochanie. Całuję cię.

- I ja ciebie, Mamo. - Odczekałem chwilę i wystukałem MYCROFTXXX. - Mike, chciałbym, żebyś mi znalazł jedno nazwisko. Facet z Ziemi, pasażer na *Popowie*. Stuart René LaJoie. Stuart przez U, a nazwisko możesz mieć albo pod L, albo pod J.

Nie musiałem długo czekać; Mike znalazł Stu we wszystkich ważniejszych ziemskich informatorach: w *Who's Who*, w *Dunie* i *Brad-streecie*, w *Almanachu Gotajskim*, w rocznikach londyńskiego *Timesa*, gdzie tylko chcecie. Emigrant, z pochodzenia Francuz, rojalista, bogaty, sześć dodatkowych imion i nazwisk, trzy dyplomy uniwersyteckie, w tym jeden prawniczy z Sorbony, wśród przodków szlachta francuska i szkocka, rozwiedziony (bezdzienny) z baronówną Pamelą

Myślnik-Myślnik-Błękitna-Krew. Ziemia w typie takich, co to nie odezwaliby się nawet do Lunatyka, potomka zesłańców - tyle że Stu rozmawia z każdym.

Słuchałem przez parę minut, potem poprosiłem Mike'a, żeby przygotował pełne dossier, włącznie ze wszelkimi dodatkowymi odnośnikami.

- Mike, to może być geszeft dla nas.

- Może być, Man.

- Muszę lecieć. Cześć. - Zamyślony wróciłem do mego gościa. Niemal rok temu, podczas wódczanej dyskusji w hotelowym pokoju, Mike obiecał nam jedną szansę na siedem - o ile załatwimy pewne sprawy. Jednym z sine qua non było zdobycie pomocy z samej Terry.

Mike wiedział, wszyscy wiedzieliśmy, że możemy sobie "rzucić kamieniami", a i tak trzy miliony bezbronnych ludzi, nawet wysoko ustawionych i z mnóstwem kamieni do rzucania, nie pokonają terrańskiej potęgi jedenastu miliardów i nieograniczonych zasobów.

Mike przyrównał to do sytuacji w XVIII wieku, kiedy niepodległość zdobyły-brytyjskie kolonie w Ameryce, i w XX, kiedy wiele kolonii uniezależniało się od swych metropolii, i zauważył, że w ani jednym przypadku kolonia nie oderwała się dzięki samej sile. Nie, w każdym przypadku imperium było zajęte czymś innym i wymęczone i poddało się nie wykorzystawszy całej swej potęgi.

Byliśmy tak silni, że gdybyśmy chcieli, już parę miesięcy temu moglibyśmy rozprawić się z gwardią gubernatora. Kiedy tylko skończymy naszą wyrzutnię (lada chwila), nie będziemy całkiem bezbronni. Ale niezbędny był jeszcze "sprzyjający klimat" na Terra. A do tego potrzeba pomocy z Terry.

Profesor myślał, że załatwimy ją bez trudu. Ale okazało się, że to strasznie trudne. Jego przyjaciele z Ziemi nie żyli albo stali jedną nogą w grobie, a ja poznałem tam tylko paru instruktorów. Przesłaliśmy przez komórki zapytanie: "Jakich znacie VIP-ów z Ziemi?", a większość odpowiedzi brzmiała: "Nabijacie się z nas?" Program pusty...

Profesor obserwował listy pasażerów z lądujących statków, próbował wymyślić jakiś kontakt, i czytał lunańskie wydruki ich gazet z Ziemi, szukając VIP-ów, do których mógłby dotrzeć przez swoje dawne znajomości. Ja nawet tego nie mogłem robić; na Terra poznałem tylko garstkę ludzi, a żaden z nich nie był VIP-em.

Profesor nie zwrócił uwagi na nazwisko Stu na liście pasażerów *Popowa*. Ale Profesor go nie znał. Nie wiedziałem, czy Stu nie jest jedynie ekscentrykiem, jak sugerowała jego dziwaczna wizytówka. Ale to był jedyny Terranin, z którym zdarzyło mi się wypić drinka w Lunie, wyglądał na równego gościa pierwsza klasa, a raport Mike'a dowodził, że przecucie mnie nie myliło; miał spory tonaż.

Więc zaprosiłem go do siebie, żeby zobaczyć, co pomyśli o nim rodzina.

Zaczęło się dobrze. Mama uśmiechnęła się i podała mu rękę. On przytrzymał ją i skłonił się

tak nisko, że już myślałem, że chce ją pocałować - a chyba zrobiłby to, gdybym mu nie opowiedział, jak trzeba uważać z kobietami. Mama aż gruchała, kiedy prowadziła go do jadalni.

ROZDZIAŁ XII

W kwietniu i maju 76 jeszcze usilniej pracowaliśmy nad podburzaniem Lunatyków przeciw gubernatorowi i wmanewrowywaniem go w odwet. Sęk w tym, że Mort Kurzajka nie był aż taki zły, a jego największą winą było, że symbolizował Zarząd; ale tylko strachem można go było zmusić do czegokolwiek. A przeciętny Lunatyk wcale nie był lepszy. Gubernatora darzył tradycyjną pogardą, ale wcale nie miał rewolucyjnych zapędów; nic go nie obchodziło. Piwo, hazard, kobiety i praca... Rewolucję ocalił przed śmiercią z niedokrwienia jedynie talent Dragonów Pokoju do rozdrażniania ludzi.

Ale nawet ich musieliśmy wciąż prowokować. Profesor powiadał, że potrzebujemy “bostońskiego picia herbaty”, co stanowiło aluzję do mitycznego incydentu w pewnej dawniejszej rewolucji - publicznej awantury, zorganizowanej w celu zwrócenia uwagi.

Nie poddawaliśmy się. Mike przepisał słowa starych pieśni rewolucyjnych: “Marsylianki”, “Międzynarodówki”, “Yankee Doodle”, “We Shall Overcome”, “Pie in the Sky” itp., na bardziej pasujące do Luny. Rzeczy w rodzaju: “O wy, zrodzeni ze Skąły i nudy,/Czy zawsze za całą nagrodę za trudy/Bicz gubernatora wystarczy wam?!” Popularyzował je Simon Prześmiewca, a kiedy jedna z nich szczególnie się rozpowszechniła, nadawaliśmy ją (bez słów, samą muzykę) przez radio i TV. Tak oto zmusiliśmy gubernatora do wydania zakazu odtwarzania pewnych melodii - co bardzo nam przypadło do gustu; ludzie zaczęli je gwizdać.

Mike rozpracował schematy głosu i słownictwa wicedyrektora, Głównego Inżyniera, innych szefów wydziałów; zaczęły się wariackie nocne telefony od sztabu do gubernatora. Winowajcy wszystkiemu zaprzeczali. A więc Alvarez zablokował i zlokalizował następną rozmowę - i, rzecz jasna, dzięki pomocy Mike’a Alvarez zlokalizował numer szefa zaopatrzenia i usłyszał głos głównego żarciokrada, lepszy niż prawdziwy.

Ale następny zatruty telefon do Morta skutecznił Alvarez, a to, co nazajutrz Mort miał do powiedzenia Alvarezowi, i czym Alvarez próbował się bronić, można nazwać tylko skrzyżowaniem słowotoku z psychozą.

Profesor wziął Mike’a w cugle; bał się, że Alvarez wyleci z posady, co byłoby nam bardzo nie na rękę; dotychczas znakomicie z nami współpracował. Ale wtedy dwa razy w ciągu jednej nocy Dragonów Pokoju wywleczono z łóżek, na telefoniczny rozkaz przekazany głosem gubernatora, co jeszcze bardziej zrujnowało ich morale, gubernatora przekonało, że jego oficjalna familia jest przeżarta przez szpiegów, samą familię zaś - że dostał on kompletnego hysia.

W *Lunnej Prawdzie* pojawiło się ogłoszenie o odczycie dr Adama Selene pt. *Poezja i sztuka w Lunie: Nowy Renesans*. Nie poszedł nań żaden z towarzyszy; przesłaliśmy przez komórki odpowiednie ostrzeżenie. Sala była zupełnie pusta, kiedy wmaszerowały do niej trzy drużyny Dragonów Pokoju - oto jak działa zasada Heisenberga w odniesieniu do Szkarłatnych Kwiatów. Redaktor *Prawdy* spędził chyba najpaskudniejszą godzinę swego życia, tłumacząc, że n i e przyjmuje ogłoszeń osobiście, a to zostało zamówione osobiście i opłacone gotówką. Usłyszał, że nie ma już przyjmować ogłoszeń od Adama Selene. Wkrótce zmieniono polecenie: miał przyjmować od Adama

Selene w s z y s t k o i n a t y c h m i a s t z a w i a d a m i a ć A l v a r e z a .

Wystrzeliliśmy z nowej wyrzutni próbny ładunek, wycelowany w południowy Ocean Indyjski, 35° dł. wsch., 60° szer. płd., miejsce uczęszczane tylko przez ryby. Celność strzału nappełniła Mike'a wielką dumą, gdyż przygotował go na podstawie zaledwie dwóch zerknięć, wygospodarowanych, kiedy radary prowadząco-lokalizacyjne były akurat wolne, a do naprowadzenia pocisku na sam cel musiało mu wystarczyć jedno szturchnięcie. W wiadomościach z Ziemi mówili o upadku gigantycznego meteoru w obszarze subantarktycznym, którego energia, wyliczona przez obserwatorium w Kapsztadzie, idealnie zgadzała się z przewidywaniami Mike'a - Mike zadzwonił do mnie, żeby się pochwalić, zanim jeszcze skończył odbierać wieczorną transmisję Reutera.

- Mówiłem ci, że trafi w dziesiątkę - zachwycał się. - Oglądałem to. Och, cóż to była za c u d o w n a fontanna!

Później odebraliśmy jednogłośnie meldunki z laboratoriów sejsmologicznych o fali uderzeniowej i ze stacji oceanograficznych o falach tsunami.

Mieliśmy wtedy tylko jeden kanister (kłopoty z zakupem stali), bo inaczej Mike mógłby zapragnąć ponownego przetestowania swojej nowej zabawki.

Stiliagj i ich dziewczyny zaczęli nosić frygijki; Simon Prześmiewca też nasadził jedną pomiędzy rogi. W Bon Marche bezpłatnie dodawali je do zakupów. Alvarez odbył z gubernatorem wielce napiętą rozmowę, podczas której Mort chciał się dowiedzieć, czy szef jego kapusiów naprawdę uważa, że musi reagować na każdą nową modę dzieciaków. Czy Alvarezowi całkiem odbiło?

Na początku maja napotkałem na Promenadzie Carvera Slima Lemkego, przyodzianego we frygijkę. Ucieszył się na mój widok, a ja podziękowałem mu za szybką opłatę (przyszedł w trzy dni po procesie Stu i zapłacił Sidris 30 hongkongijskich, w imieniu całej bandy) i zaprosiłem na oranżadę. Kiedy usiedliśmy, spytałem go, dlaczego młodzi ludzie noszą czerwone czapki. Po co czapki? Czapki to ziemniacki zwyczaj, niet?

Zawahał się i powiedział, że to coś jakby loża, jak Zakon Łosi. Zmieniłem temat. Dowiedziałem się, że jego pełne nazwisko brzmi Moses Lemke Stone; członek gangu Stone'a. Ucieszyłem się, że jest moim krewnym. Ale też zdziwiłem się. Jednak nawet w najlepszych rodzinach, takich jak Stone'owie, nie zawsze można znaleźć małżeństwa dla wszystkich synów; ja sam miałem szczęście, inaczej w jego wieku też włączyłbym się po korytarzach. Opowiedziałem mu, że jesteśmy spokrewnieni przez moją matkę.

Rozgadał się i wkrótce zapytał:

- Kuzynie Manuelu, czy nie uważasz, że sami powinniśmy wybierać gubernatora?

Powiedziałem, że nie uważam; gubernatorów mianuje Zarząd, i chyba zawsze tak będzie. Zapytał mnie, czy musimy mieć Zarząd. Ja na to, kto mu naopowiadał takich rzeczy. Odparł stanowczo, że nikt, po prostu on sam się nad tym zastanawiał - czy nie ma prawa myśleć?

Kiedy wróciłem do domu, kusiło mnie, żeby zadzwonić do Mike'a i sprawdzić, czy ten chłopak, jest w Partii i jaki ma pseudonim. Ale to byłoby nie fair wobec Slima, i sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa.

3 V 76 zatrzymano i przesłuchano 71 osób płci męskiej o imieniu Simon, które następnie zwolniono. Nie wspomniała o tym żadna gazeta. Ale wszyscy o tym wiedzieli; dorobiliśmy się już poziomu J, a nie uwierzycie, jak szybko 12.000 ludzi potrafi rozpowszechniać nowiny. Szczególną uwagę zwróciliśmy na fakt, że jeden z tych niebezpiecznych osobników płci męskiej miał zaledwie cztery lata - fakt nieprawdziwy, ale wielce wstrząsający.

Stu LaJoie spędził u nas luty i marzec, i wrócił na Terę dopiero na początku kwietnia; wciąż przesuwał sobie rezerwację. Kiedy powiedziałem mu, że balansuje na krawędzi nieodwracalnych zmian fizjologicznych, odrzekł, żebym się o niego nie martwił. Ale od tej pory zaczął chodzić na wirówkę.

Nawet w kwietniu Stu nie chciał wyjeżdżać. Wszystkie moje żony tudzież Wyoh ze łzami w oczach ucałowały go na pożegnanie, a on obiecał każdej z nich, że wróci. Ale musiał wyjechać; był już członkiem Partii i otrzymał zadania.

Nie uczestniczyłem w dyskusji nad zwerbowaniem Stu; uznałem, że nie byłbym obiektywny. Wyoh, Profesor i Mike jednogłośnie postanowili zaryzykować; przyjąłem ich decyzję z radością.

Inicjacja Stu LaJoie była wspólnym dziełem nas wszystkich - moim, Profesora, Mike'a, Wyoh, Mamy, nawet Sidris, Lenore, Ludmiły, naszych dzieciaków, Hansa, Alego i Franka, bo na początek zauroczyło go życie domowe Davisów. Nic nie przeszkodziło, że Lenore jest najpiękniejszą dziewczyną w L-City - nic nie ujmuje Mile, Wy-Oh, Annie i Sidris. Ani że Stu mógłby swym czarem odciągnąć dziecko od piersi matki. Mama mu matkowała, Hans pokazywał mu uprawy hydroponiczne, Stu brudził się i pocił, ganiając z chłopcami po tunelach - pomagał odławiać ryby z sadzawek - pożądliły go pszczoły - nauczył się chodzić w skafandrze i pomagał mi przestawiać ogniwa słoneczne - pomógł Annie zarznąć tuczniaka i nauczył się garbować skórę - z szacunkiem słuchał naiwnych opowieści Dziadka o tym, jak on wyobraża sobie Terę - zmywał z Miłą naczynia, co nie zdarzyło się jeszcze ani jednemu mężczyźnie w naszej rodzinie - tarzał się po podłodze z dziećmi i szczeniakami - nauczył się mieć mąkę, zapisywał przepisy Mamy i podyktował jej parę własnych.

Przedstawiłem go Profesorowi, ten zaś zaczął sondować go od strony politycznej. Nikt do niczego się nie przyznał - zawsze mogliśmy się wycofać - kiedy Profesor przedstawił go "Adamowi Selene", z którym można porozumieć się tylko telefonicznie, bo "jest teraz w Hongkongu". Wkrótce Stu zadeklarował się dla Sprawy, a my skończyliśmy z udawaniem i powiadomiliśmy go, że Adam to przewodniczący, z którym ze względów bezpieczeństwa nie będzie on mógł spotkać się osobiście.

Ale najwięcej zawdzięczamy Wyoh, i to za jej radą Profesor odsłonił karty i wyjawiał Stu, że szykujemy rewolucję. Nie zaskoczył go tym; Stu już się zdecydował, i czekał tylko, aż my jemu zaufamy.

Powiadają, że raz piękne oblicze wysłało na morze tysiąc okrętów[16]. Z tego, co wiem,

Wyoh użyła wobec Stu wyłącznie słownej perswazji. Nigdy nie próbowałem dowiedzieć się więcej. Ale Wyoh miała większy udział w zwerbowaniu m n i e, niż wszystkie teorie Profesora i cyfry Mike'a. Jeśli Wyoh skorzystała wobec Stu z jeszcze skuteczniejszych metod, to nie była pierwszą bohaterką w historii, która uczyniła to dla swego kraju.

Stu wrócił na Ziemię ze specjalną książeczką kodową. O kodach i szyfrach wiem tylko tyle, ile programista musi się nauczyć przy okazji teorii informacji. Szyfr to matematyczny system, w którym jedną literę zastępuje się inną, np. po prostu przestawia się litery alfabetu.

Są szyfry niesłychanie zawiłe, zwłaszcza jeśli układa się je przy pomocy komputera. Ale słabość szyfrów polega na tym, że są to systemy. Jeśli jeden komputer może wymyślić szyfr, to drugi może go złamać.

Kody nie mają już tej wady. Powiedzmy, że w książeczce kodowej jest grupa liter GLOPS. Czy oznacza ona "ciocia Minnie wraca do domu w czwartek", czy też "3,14157..."?

Znaczenie można przypisywać dowolnie, i żaden komputer nie domyśli się go z samej analizy grupy liter. Jeśli dacie komputerowi dość grup i racjonalną teorię na temat znaczeń albo choć zakresu znaczeń, to w końcu rozgryzie on i kod, gdyż same znaczenia układają się w system. Lecz jest to problem innego rodzaju i bardziej skomplikowany.

Kod, który wybraliśmy, należał do najpospolitszych kodów handlowych, jakich używa się na Terra i w Lunie do przesyłania informacji handlowych. Ale przerobiliśmy go gdzieś. Profesor i Mike całymi godzinami dyskutowali, jakie wiadomości Partia może chcieć przesłać swojemu agentowi na Terra, albo otrzymać od niego, po czym Mike zaprzął do roboty swoje olbrzymie zasoby wiedzy i dostarczył nam nowy zestaw znaczeń do książeczki kodowej, które mogły nakazywać już nie "kupuj akcje syjamskiego ryżu", ale "ratuj się; dostali nas". Albo c o k o l w i e k, bo włączył w nie również sygnały szyfrowe, abyśmy mogli przekazywać rzeczy nieprzewidziane.

Pewnej nocy Mike wydrukował nowy kod na sprzęcie *Lunnej Prawdy*, a nocny redaktor przekazał wydruk innemu towarzyszkowi, który zrobił z niego bardzo małą rolkę filmu i podał ją dalej, a żaden z nich nie wiedział, czym się bawi i po co. Film trafił w końcu do sakwy Stu. W tym czasie bagaż pasażerów statków podlegał już dokładnej rewizji, którą zajmowali się bardzo nerwowi Dragoni - ale Stu zapewnił nas, że nie będzie miał kłopotów. Może połknął ten film.

Od tej pory część korespondencji LUNOHO Company docierała do Stu - poprzez jego londyńskiego brokera.

Służyło to między innymi sprawom finansowym. Partia musiała wydawać pieniądze na Ziemi; LUNOHOCO przekazywała tam pieniądze (nie wszystkie pochodziły ze złodziejstw, niektóre nasze przedsięwzięcia przynosiły niezłe dochody); Partia potrzebowała na Ziemi coraz więcej pieniędzy, Stu miał grać na giełdzie, wykorzystując swą znajomość tajnego planu Rewolucji - on, Profesor i Mike spędzili wiele godzin na dyskusjach, jakie akcje pójdą w górę, jakie spadną itd. po Der Tagu. To był geszeft Profesora; ja nie znam się na takich grach.

Ale także przed Der Tagiem musieliśmy mieć pieniądze, by stworzyć "klimat opinii

publicznej”. Potrzebowaliśmy publicity, potrzebowaliśmy “naszych” delegatów i senatorów w Narodach Sfederowanych, potrzebowaliśmy jakiegoś państwa, które uzna nas tuż po Der Tagu, potrzebowaliśmy zwykłych szarych obywateli, którzy przy piwie będą mówić do innych zwykłych szarych obywateli: “Czy ta kupa kamieni warta jest życia choć jednego żołnierza? Niech tamci robią sobie, co chcą - i tak tego pożałują!”

Pieniądze na publicity, pieniądze na łapówki, pieniądze na lipne organizacje i na infiltrację autentycznych organizacji; pieniądze na upowszechnienie prawdy o lunańskiej gospodarce (Stu wyjechał zapakowany cyframi) najpierw w artykułach naukowych, a potem w bardziej popularnej postaci; pieniądze na przekonanie MSZ-etu choćby jednego większego państwa, że powstanie Wolnej Luny będzie miało swoje zalety; pieniądze na zaszczepienie jakiemuś dużemu kartelowi planu lunańskiej turystyki...

Mnóstwo pieniędzy! Stu zaofiarował swój własny majątek, a Profesor nie odmówił przyjęcia... Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie też i twoje serce. Ale wciąż trzeba było mnóstwo pieniędzy, a rozmach naszych planów zapierał dech w piersi. Nie wiedziałem, czy Stu poradzi sobie choćby z jedną dziesiątą; trzymałem tylko za niego kciuki. Przynajmniej mieliśmy kanał łączności z Terra. Profesor twierdził, że łączność z nieprzyjacielem niezbędna jest w każdej wojnie, która ma być prowadzona i zakończona w sposób rozsądny. (Profesor był pacyfistą. Był też wegetarianinem, ale ani jedno, ani drugie nie przeszkadzało mu w byciu “racjonalnym”. Byłby z niego teolog pierwsza klasa.)

Ledwo Stu wyleciał na Ziemię, Mike oświadczył, że nasze szansę wynoszą teraz 1:13. Spytałem go, co jest grane.

- Ależ, Man - wyjaśnił cierpliwie - w ten sposób wzrasta ryzyko. To ryzyko niezbędne, ale mimo wszystko ryzyko.

Przymknąłem się. Mniej więcej w tym czasie, na początku maja, nowy czynnik zmniejszył pewne elementy ryzyka, ujawniając jednocześnie inne. Część Mike’a zawiadywała łącznością mikrofalową Terra-Luna - korespondencją handlową, przekazem danych naukowych, kanałami wiadomości agencyjnych, TV, radiotelefonią audio, rutynową korespondencją Zarządu - oraz ściśle tajnymi przekazami gubernatora.

Mike mógł czytać wszystko poza tym ostatnim, w tym kody i szyfry handlowe - złamanie szyfru to dla niego jak rozwiązanie krzyżówki, a maszynie wszyscy ufają. Wszyscy z wyjątkiem gubernatora, który, jak podejrzewam, w ogóle nie ufał żadnym maszynom; należał do typów, dla których cokolwiek bardziej skomplikowanego od pary nożyczek wydaje się zawile, tajemnicze i podejrzane - mentalność z epoki kamiennej.

Gubernator posługiwał się kodem, którego Mike nigdy nie widział. Także szyframi, których nie przepuszczał przez Mike’a; miał taką maszynkę-kretynkę w swoim biurze w rezydencji. W dodatku umówił się z Zarządem na Ziemi, że wszystkie transmisje będą się odbywały w określonych porach. Niewątpliwie czuł się bezpieczny.

Pewnego dnia Mike na rozgrzewkę złamał system jego szyfru i wydedukował program zmian

czasu nadawania. Kodem zajął się dopiero na prośbę Profesora; nie widział w nim niczego interesującego.

Ale od tej pory Mike rozgryzał wszystkie ściśle tajne przekazy gubernatora. Musiał zacząć od zera; dotychczas Mike kasował wiadomości gubernatora natychmiast po zakończeniu transmisji. Tak więc powolutku gromadził dane do analizy - strasznie powolutku, bo gubernator korzystał z tej metody tylko, kiedy musiał. Czasami od jednej transmisji do drugiej mijał cały tydzień. Ale stopniowo Mike zaczął domyślać się znaczeń grup literowych i każdemu przypisywał prawdopodobieństwo. Kodu nie łamie się od razu w całości; można znać znaczenie 99 grup w jakiejś wiadomości i nic z niej nie zrozumieć, bo jedna grupa znaczy tylko GLOPS.

Aczkolwiek użytkownik też ma problem; jeśli w drodze do odbiorcy GLOPS zmieni się w GLOPT, mogą wyniknąć z tego kłopoty. Każda metoda łączności wymaga redundancji, bo inaczej informacja może się zgubić. Mike zajął się więc redundancją, z doskonałą cierpliwością maszyny.

Mike złamał większą część kodu gubernatora szybciej, niż sam się spodziewał; gubernator wysyłał więcej transmisji niż w przeszłości, i głównie na jeden temat (co ułatwiło zadanie) - bezpieczeństwa i działalności wywrotowej.

Przycisnęliśmy Morta; wielkim głosem wzywał pomocy.

Meldował, że pomimo obecności dwóch falang Dragonów Pokoju działalność wywrotowa nadal trwa, i żądał przysłania sił, które umożliwiłyby rozmieszczenie posterunków paszportowych we wszystkich kluczowych punktach wszystkich osiedli.

Zarząd uznał to za przegięcie pały, nie mają już doborowych wojsk NS na zbyciu - byłyby trwale niezdolne do służby na Ziemi i niech już nie wysyła takich żądań. Jeśli chce mieć więcej gwardzistów, to może ich zrekrutować spośród zesłańców - lecz wszelkie dodatkowe koszty administracyjne musi pokrywać sama Luna; nie dostanie nowych funduszy. Polecili mu też złożenie sprawozdania o działaniach podjętych w celu wprowadzenia nowych kontyngentów dostaw ziarna, wyspecyfikowanych w ich przekazie z dn. itd.

Gubernator odpowiedział, że jeśli nie zostanie spełniona jego niezwykle skromna prośba o wykwalifikowany personel bezpieczeństwa nie - powtarzam - nie niewykwalifikowanych, nieobliczalnych i nieprzydatnych zesłańców - to nie będzie on w stanie zapewnić praworządności, nie mówiąc o podwyższonych kontyngentach.

Otrzymał na to szydercze zapytanie, co kogo obchodzą burdy ekskatorników w ich norach. Jeśli j e g o to niepokoi, to czy pomyślał o wyłączeniu światła, co znakomicie zadziałało w 1996 i 2021?

Ze względu na tę korespondencję musieliśmy zrewidować nasz kalendarz, przyspieszyć jedne operacje, opóźnić inne. Rewolucja jest jak dobry obiad, musi być "dogotowana", żeby wszystko było naszykowane na jeden moment. Na Ziemi Stu potrzebował czasu. My musieliśmy mieć kanistry, małe rakiety sterujące i dodatkowe obwody do "rzucania kamieniami". Były też problemy ze stalą - z jej zakupem, produkcją, i przede wszystkim z t r a n s p o r t e m przez labirynt tuneli do nowej wyrzutni.

Partia musiała się rozrosnąć przynajmniej do poziomu K - powiedzmy, 40.000 ludzi - przy czym najniższe komórki dobierane by były raczej z uwagi na waleczność, a nie na wcześniejsze kryteria. Potrzebowaliśmy broni do obrony przed inwazją. Musieliśmy przenieść radary Mike'a, bez których byłby on ślepy. (Mike'a nie dałoby rady przenieść; rozrósł się, po kawałku, po całej Lunie. Ale jego centralną część, w Kompleksie, chroniło tysiąc metrów skały i stalowa zbroja na resorach; Zarząd zabezpieczył się na wypadek, gdyby komuś zachciało się obrzucić ich centrum kontroli bombami H.)

To wszystko trzeba było zrobić, i nic nie miało prawa wykipieć.

Więc zrezygnowaliśmy z denerwowania gubernatora i spróbowaliśmy przyspieszyć całą resztę. Simon Prześmiewca zrobił sobie urlop. Rozpuściliśmy wiadomość, że frygijki wyszły z mody - ale żeby ich nie wyrzucać. Skończyły się irytujące telefony do gubernatora. Przestaliśmy prowokować incydenty z Dragonami - co nie znaczy, że się skończyły, ale było ich teraz mniej.

Pomimo naszych starań ugłaskania Morta pojawił się pewien niepokojący symptom. Gubernator nie otrzymał obietnicy przydziału dodatkowych oddziałów (przynajmniej my takowej nie przejęliśmy) -ale zaczął wyrzucać ludzi z Kompleksu. Urzędnicy, którzy tam mieszkali, zaczęli wynajmować sobie stancje w L-City. Zarząd przystąpił do próbnych wierceń i echosondowania przestrzeni sąsiadującej z L-City, którą można by przerobić na osiedle.

Mogło to oznaczać, że Zarząd zamierza podesłać nam niezwykle okazały transport więźniów. Mogło oznaczać, że przestrzeń w Kompleksie potrzebna jest do czegoś innego niż kwatery. Ale Mike powiedział:

- Nie oszukujmy się. Gubernator dostanie swoich żołdaków; w tej przestrzeni będą ich koszary. Gdyby było jakieś inne wyjaśnienie, to bym je usłyszał.

- Ale, Mike - powiedziałem - jeśli to mają być żołnierze, to dlaczego ty o tym nie wiesz? Przecież już prawie rozgryłeś ten kod gubernatora.

- Nie "prawie", całkiem. Ale na ostatnich dwóch statkach przyleciały VIP-y z Zarządu, a ja nie wiem, o czym oni rozmawiają, kiedy nie ma w pobliżu telefonu!

Próbowaliśmy więc przygotować plan rozgrywki z dziesięcioma dętkowymi falangami, bo zdaniem Mike'a tyle mniej więcej pomieści opróżniana przestrzeń. Z tyłoma moglibyśmy się uporać - przy pomocy Mike'a - ale to będzie oznaczać śmiertelne ofiary, a nie planowany przez Profesora bezkrwawy przewrót.

I coraz usilniej staraliśmy się przyspieszyć inne elementy.

Kiedy nagle okazało się, że nie mamy wyboru...

ROZDZIAŁ XIII

Nazywała się Marie Lyons; miała osiemnaście lat i urodziła się w Lunie, jej matkę zesłano poprzez Korpus Pokoju w 56. Ojciec nieznany. Chyba była nieszkodliwa. Pracowała jako magazynierka w wydziale wysyłki, mieszkała w Kompleksie.

Może nienawidziła Zarządu i lubiła drażnić Dragonów Pokoju. A może wszystko zaczęło się w kabinie z zegarowym zamkiem jako zwykła, beznamiętna komercyjna transakcja. Któż to wie? Dragonów było sześciu. Nie wystarczył im gwałt (jeśli to był gwałt), znieważyli ją na inne sposoby i zabili. Ale nie potrafili pozbyć się zwłok; inna urzędniczka znalazła je, zanim jeszcze ostygły. Krzyknęła. To był ostatni krzyk w jej życiu.

Dowiedzieliśmy się natychmiast; Mike zadzwonił do nas trojga, kiedy Alvarez i dowódca Dragonów roztrząsali sprawę w gabinecie Alvareza. Zdaje się, że szef Goryli Pokoju bez trudu wykrył winnych; wraz z Alvarezem przesłuchiwał ich, po kolei, a w przerwach kłócił się z nim. Raz usłyszeliśmy, jak Alvarez mówi:

- Ostrzegałem cię, że ci twoi goryle muszą mieć własne kobiety!

- Wypchaj się - odpowiedział oficer Dragonów. - Wciąż ci powtarzałem, że tego nam nie przysła. Teraz najważniejsze, jak to wyciszyć.

- Zwariowałaś? Gubernator już wie.

- Problem pozostaje.

- Och, zamknij się i każ przyprowadzić następnego.

Na początku jego brudnej opowieści Wyoh przyszła do mnie do warsztatu. Pod makijażem była blada, nic nie mówiła, ale chciała usiąść blisko mnie i trzymać mnie za rękę.

Wreszcie przesłuchanie się skończyło i oficer Dragonów wyszedł od Alvareza. Nadal się kłócili. Alvarez chciał natychmiast rozstrzelać tę szóstkę i ogłosić publiczny komunikat o incydencie (rozsądny pomysł, ale on potrzebował czegoś jeszcze rozsądniejszego); dowódca nadal mówił o "wyciszaniu". Profesor powiedział:

- Mike, słuchaj tam nadal i w ogóle miej uszy otwarte, gdzie tylko się da. A więc, Man? Wyoh? Jakie plany?

Ja nie miałem żadnych. Nie jestem chłodnym, wyrafinowanym rewolucjonistą; chciałem tylko dostać pod podeszwy sześć twarzy, z których wydobywało się te sześć głosów.

- Nie wiem. Co robimy, Profesorze?

- "Co robimy"? Jedziemy na tygrysie; możemy tylko trzymać się go za uszy. Mike, gdzie jest Finn Nielsen? Znajdź go.

- Właśnie do mnie dzwoni - odpowiedział Mike. Włączył nas na linię; usłyszałem głos Finna:

- ... na Południowej Stacji. Zginęli obaj gwardziści i z sześciu naszych. To znaczy, po prostu ludzi, niekoniecznie towarzyszy. Szerzą się jakieś niewiarygodne plotki, że goryle powariowali i gwałcą i zabijają wszystkie kobiety w Kompleksie. Adam, muszę porozmawiać z Profesorem.

- Tu jestem, Finn - odezwał się Profesor mocnym, stanowczym głosem. - Teraz musimy działać. Wyłącz się, znajdź ludzi, którzy ćwiczyli z tymi karabinami laserowymi, ilu tylko się da, i wydaj im je.

- Da! Okay, Adam?

- Rób, co mówi Profesor. Potem zadzwoń do mnie.

- Chwileczkę, Finn! - wtrąciłem. - Mówi Mannie. Zarezerwuj jeden karabin dla mnie.

- Mannie, ty nie ćwiczyłeś.

- Jeśli to laser, to zrobię z niego użytek!

- Mannie - powiedział z naciskiem Profesor - zamknij się. Marnujesz czas; nie przeszkadzaj Finnowi. Adam, wiadomość dla Mike'a. Każ mu rozpocząć Plan Alarmowy 4.

Przykład Profesora ostudził moje podniecenie. Zapomniałem, że Finn nie ma wiedzieć, że Mike jest kimkolwiek poza "Adamem Selne"; zapomniałem o wszystkim poza wściekłym gniewem. Mike posiedział:

- Finn już się wyłączył, Profesorze, a ja przygotowałem się do realizacji Alarmu 4, kiedy zaczęła się ta awantura. Teraz wysyłam tylko rutynowe przekazy, zapisane przedtem. Mam tak kontynuować?

- Tak, wprowadzaj Alarm 4. Żadnych transmisji na czy z Ziemi, które mogłyby zawierać jakieś informacje. Jeśli coś wpłynie, to przetrzymaj i skonsultuj. - Alarm 4 to był awaryjny reżym łączności, nałożenie cenzury na wiadomości przesyłane na Terrę w taki sposób, by nie wzbudzać podejrzeń. W tym celu Mike miał przemawiać tyloma głosami, iloma tylko potrafił i tłumaczyć, dlatego bezpośrednie transmisje audio są chwilowo zawieszono - i dlatego bez problemu transmisję z taśmy.

- Wykonuję program - zgodził się Mike.

- Dobrze. Mannie, nie podniecaj się, chłopcze, i wróć do swojej robótki. Niech walką zajmą się inni; ty jesteś potrzebny tutaj, trzeba improwizować. Wyoh, skontaktuj się z towarzyszką Cecilią i każ jej ściągnąć wszystkich Partyzantów z korytarzy. Dzieciaki mają iść do domów i nie wychodzić - i niech ich matki powiedzą innym matkom, żeby zrobiły to samo. Nie wiemy, gdzie rozprzestrzenia potyczki. Ale nie pozwolę, żeby coś się stało dzieciom.

- Tak jest, Profesorze!

- Zaczekaj jeszcze. Kiedy tylko powiesz Sidris, zajmij się swoimi stiliagami. Mają urządzić rozruchy w miejskim biurze Zarządu - włamać się, splądrować, narobić hałasu, krzyku i zniszczeń - w miarę możliwości niech nikogo nie krzywdzą. Mike. Alarm 4M. Odetnij od kompleksu wszystkie linie poza twoimi.

- Profesorze! - zapytałem. - Po co nam tu rozruchy?

- Mannie, Mannie! Nadszedł D z i e ń! Mike, czy wiadomości i gwałtach i morderstwach dotarły już do innych osiedli?

- Nic o tym nie wiem. Podsluchuję w różnych miejscach, według zrandomizowanego grafika. Na stacjach kolejki wszędzie spokój, poza Luna City. Właśnie zaczęły się zamieszki na Stacji Zachodniej. Chce pan posłuchać?

- Nie teraz. Mannie, prześliznij się tam i popatrz. Ale w nic się nie mieszaj i trzymaj się blisko telefonu. Mike, wywołaj rozróby we wszystkich osiedlach. Przekaż wiadomość przez komórki - wersję Finna, nie prawdę. Goryle gwałcą i zabijają wszystkie kobiety w Kompleksie - zaraz ci podam szczegóły albo sam coś wymyśl. Eee, czy mógłbyś rozkazać gwardzistom na stacjach w innych osiedlach, żeby wrócili do koszar? Musimy mieć rozruchy, ale po co wysyłać bezbronnych ludzi na uzbrojonych Dragonów, jeśli można tego uniknąć?

- Spróbuję.

Pobiegłem na Zachodnią Stację kolejki, ale zwolniłem zbliżając się do niej. Korytarze pełne były gniewnych ludzi. Miasto huczało, jak nigdy przedtem, a kiedy przechodziłem przez Promenadę, usłyszałem okrzyki i zgiełk od strony miejskiego biura Zarządu, choć wydawało mi się, że Wyoh nie miała jeszcze czasu dotrzeć do swoich stiliagów. Dobrze mi się wydawało; to, co chciał wywołać Profesor, zaczęło się spontanicznie.

Stacja była pełna tłumu, i musiałem się przepychać, aby sprawdzić rzecz pewną, że gwardziści z posterunku paszportowego albo zginęli, albo uciekli. Potem się okazało, że zginęli, wraz z trojgiem Lunatyków. Jeden z nich to był trzynastoletni chłopiec. Zginał z dłońmi zaciśniętymi na szyi Dragona i z czerwoną czapczką na głowie. Przepisnąłem się do publicznego telefonu i złożyłem meldunek.

- Wróć do tych gwardzistów - powiedział Profesor - i przeczytaj znaczek identyfikacyjny któregoś. Chcę znać jego nazwisko i stopień. Widziałeś Finna?

- Nie.

- Wszedł tam z trzema karabinami. Powiedz mi, z której budki dzwonisz, dowiedz się tego nazwiska i zaraz wracaj.

Jedno ciało zniknęło, gdzieś je odciągnęli; Boh wie, po co. Drugie było poważnie sponiewierane, ale zdołałem docisnąć się i zerwać z szyi numerek, zanim je też gdzieś zabrali. Przedostałem się do telefonu i zobaczyłem, że jest przy nim jakaś kobieta.

- Proszę pani - powiedziałem - m u s z ę zadzwonić z tego telefonu. Sprawa życia i śmierci!

- Bardzo proszę! Ten szajs i tak nie działa.

Dla mnie zadziałał; Mike zarezerwował go dla mnie. Podałem Profesorowi nazwisko gwardzisty.

- Dobrze - powiedział. - Widziałeś Finna? Będzie cię szukał przy tej budce.

- Jeszcze n... Chwileczkę, właśnie go zauważyłem.

- Okay, trzymaj się go. Mike, czy znasz głos tego Dragona?

- Przepraszam, Profesorze. Nie znam.

- Dobrze, niech będzie po prostu zachrypnięty i przerażony; najprawdopodobniej ich dowódca też go nie zna. Czy może żołnierz zadzwoniłby do Alvareza?

- Zadzwoniłby do dowódcy. Alvarez wydaje rozkazy za jego pośrednictwem.

- To dzwoń do dowódcy. Zamelduj o ataku, wzywaj pomocy i zgiń w pół słowa. W tle odgłosy rozruchów i może tuż przed śmiercią okrzyk "Mamy drania!" Dasz radę?

- Program wprowadzony. Żadna sztuka - stwierdził wesoło Mike.

- Wykonaj. Mannie, daj mi Finna.

Plan Profesora polegał na stopniowym wywabieniu całej odpoczywającej zmiany gwardzistów z koszar - ludzie Finna mieli na nich czekać, kiedy tamci będą wysiadać z kapsuł. I wszystko zadziało, aż do momentu, gdy Mort Kurzajka stracił nerwy i zatrzymał pozostałą resztkę do własnej ochrony, przez cały czas wysyłając szaleńcze przekazy na Ziemię - z których ani jeden nie dotarł do anteny.

Nie zważając na Profesorową dyscyplinę dorwałem się do karabinu laserowego, kiedy miała przyjechać druga kapsuła z Dragonami. Spaliłem dwóch goryli, stwierdziłem, że zaspokoilem pragnienie krwi i pozwoliłem innym snajperom zająć się resztą drużyny. Za łatwe to było. Wystawiali głowy przez luk, i już. Pół drużyny nie chciało wyjść - dopóki ich nie wykurzyliśmy, a wtedy zginęli wraz z resztą. Ja byłem już wtedy na moim posterunku przy telefonie.

Gubernatorowa decyzja okopania się wywołała nieco zamieszania w Kompleksie; zginął Alvarez, dowódca goryli i dwóch starych żółtków. Ale mieszanina Dragonów i żółtków, 13, zamknęła się wraz z Mortem, a może schronili się tam jeszcze przed jego rozkazem; Mike nie wszystkiego mógł się domyślić z podsłuchu. Ale kiedy byliśmy pewni, że cała zbrojna potęga gubernatora znajduje się w jego rezydencji, Profesor polecił Mike'owi rozpocząć następną fazę.

Mike wyłączył światło w całym Kompleksie, za wyjątkiem rezydencji gubernatora, i obniżył poziom tlenu do punktu omdlenia - nikogo to nie zabiło, ale wystarczyło, aby unieszkodliwić tych,

którzy mogliby sprawić nam kłopot. Za to w rezydencji zawartość tlenu opadła do zera, pozostał czysty azot, i tak było przez dziesięć minut. Po tym czasie ludzie Finna, którzy w skafandrach czekali na prywatnej gubernatorskiej stacji kolejki, wyłamali zamek na śluzie i “ramię w ramię” weszli do środka. Luna była nasza.

CZĘŚĆ II

ZBROJNY MOTŁOCH

ROZDZIAŁ XIV

Tak więc fala patriotyzmu przetoczyła się przez nasz naród i zjednoczyła go.

Czy tak piszą w podręcznikach do historii? Och, bracia!

Słowo daję, przygotowanie rewolucji kosztuje mniej nerwów niż to, co trzeba zrobić po jej wygraniu. Oto jesteśmy u władzy - przedwcześnie, nic nie jest gotowe - i trzeba zająć się tysiącem spraw. Nie było już Zarządu w Lunie - ale Zarząd Luni na Ziemi i stojące za nim Narody Sfederowane nadal istniały i czuły się świetnie. Gdyby w ciągu tych dwóch tygodni wylądował choć jeden transportowiec z wojskiem, na orbicie zjawił się choć jeden krążownik, mogliby tanim kosztem odzyskać Lunę. Byliśmy motłochem.

Nowa wyrzutnia była już gotowa, ale gotowe do wystrzelenia pociski z zapuszkowanej skały można by policzyć na palcach jednej ręki - mojej lewej ręki. Zresztą wyrzutnia to nie broń, której można użyć przeciw statkom albo wojsku. Mieliśmy parę pomysłów, jak odpędzić statki; na razie tylko pomysły. W Hongkongu, Luna, mieliśmy zapasy kilkuset tanich karabinów laserowych - kitajscy inżynierowie to zdolni chłopcy - ale niewielu ludzi, którzy potrafili je obsługiwać.

W dodatku Zarząd miał swoje zalety. Kupował lód i ziarno, sprzedawał powietrze, wodę i prąd, był właścicielem kilkunastu kluczowych punktów, inne kontrolował. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, kółka musiały się obracać. Może splądrowanie miejskich biur Zarządu było pochopte (tak mi się wydawało), bo zniszczono archiwa. Jednak Profesor twierdził, że Lunatycy, wszyscy Lunatycy, musieli dostać jakiś symbol do nienawidzenia i zniszczenia, a te biura były najmniej cenne i najbardziej dostępne.

Ale łącznością zawiadywał Mike, a to oznaczało kontrolę nad prawie wszystkim. Profesor zaczął od kontroli wiadomości na i z Ziemi, powierzając Mike'owi cenzurę i fałszowanie informacji, dopóki nie zdecydujemy się, co przekazać na Terrę, i dodał do tego podfazę "M", w ramach której Kompleks został odcięty od reszty Luni, a wraz z nim Obserwatorium im. Richardsona i podległe mu laboratoria - Radioteleskop im. Pierce'a, Stacja Selenofizyczna itd. Z tym mieliśmy kłopot, bo terrańscy naukowcy wciąż się zmieniają, niektórzy spędzają u nas nawet pół roku, przeciągając czas na wirówce. Większość Terran w Lunie, poza garstką turystów - 34 - to byli naukowcy. Trzeba będzie coś z nimi zrobić, ale na razie wystarczyć powinno uniemożliwienie im kontaktu z Terra.

Na razie. Wyłączyliśmy telefony w Kompleksie, a Mike nie pozwalał kapsułom zatrzymywać się na żadnej stacji w Kompleksie, nawet po przywróceniu komunikacji, co nastąpiło ledwo Finn Nielsen i jego drużyna skończyli brudną robotę.

Okazało się, że gubernator nie zginął, zresztą wcale nie chcieliśmy go zabić; Profesor wymyślił, że żywego gubernatora zawsze można uśmiercić, natomiast martwego nie da się w razie potrzeby ożywić. Plan przewidywał więc połowiczne unieszkodliwienie jego i gwardzistów, aby nie mogli się opierać, kiedy wtargniemy do środka, a Mike napuści tlenu.

Mike obliczył, że przy wentylatorach nastawionych na maks obniżenie zawartości tlenu do

praktycznego zera zajmie cztery minuty z kawałkiem - a więc pięć minut postępującego niedotlenienia, pięć minut całkowitej anoksji, potem wyłamanie dolnej śluzu, a Mike wpuszcza czystego tlenu, by przywrócić równowagę. Od tego nikt nie zginie - ale wszyscy stracą przytomność tak gruntownie, jak od narkozy. Zagrożenie dla naszych stanowić mogą ci w środku, którzy mają skafandry - albo niektórzy z takich. Choć i to nie było prawdopodobne; anoksja jest podstępna, można stracić przytomność i w ogóle nie zauważyć, że braknie tlenu. To najpopularniejszy fatalny błąd żółtodziobów.

Więc gubernator i trzy z jego kobiet przeżyły. Ale gubernator, choć żywy, był do niczego; mózg zbyt długo nie miał tlenu, zmienił się w warzywo. Za to zginęli wszyscy gwardziści, choć byli od niego młodszy; jakby anoksja połamała im karki.

W reszcie Kompleksu nikomu nic się nie stało. Kiedy włączono światła i przywrócono normalną zawartość tlenu, okazało się, że wszyscy świetnie się czują, wraz z szóstką gwałcicieli - morderców, zamkniętych na wartowni w koszarach. Finn stwierdził, że rozstrzelanie byłoby dla nich zbyt łagodną śmiercią, a więc osądził ich, a jego drużyna służyła za przysięgłych.

Rozebrano ich, przecięto ścięgna w kostkach i nadgarstkach i wydano na pastwę kobiet z Kompleksu. Aż słabo mi się robi, jak pomyślę, co się potem stało, ale nie sądzę też, by męczyli się tak długo, jak Marie Lyons. Kobiety to zadziwiające stworzenia - słodkie, miękkie, delikatne i znacznie dziksze od nas.

Może wyprzedzę wypadki, ale chciałbym wspomnieć tu o tych szpiegach. Wyoh miała kiedyś wielką ochotę wyeliminować ich, ale kiedy zaczęliśmy dyskusję o tym, jakoś jej się odechciało. Myślałem, że Profesor zgodzi się z nią. Ale on pokręcił głową.

- Nie, droga Wyoming. Choć przemoc napawa mnie wstrętem, to z wrogiem można postąpić jedynie na dwa sposoby. Zabić go - albo uczynić z niego przyjaciela. Z wszelkich kompromisów rodzą się w przyszłości kłopoty. Człowiek, który raz zdradził swoich przyjaciół, może zrobić to ponownie, czeka nas więc długi okres, w ciągu którego kapusie mogą być niebezpieczni; musimy się ich pozbyć. I to publicznie, żeby dać przykład innym.

- Profesorze - odparła Wyoh - powiedział pan raz, że jeśli potępia pan kogoś, to wyeliminuje go pan osobiście. Czy to chce pan teraz zrobić?

- Tak, szanowna damo, i nie. Ich krew splami moje ręce; przyjmuję odpowiedzialność. Lecz opracowałem metodę, która skuteczniej odstraszy innych agentów.

I Adam Selene obwieścił, że następujące osoby zatrudnione były przez Juana Alvareza, śp. Szefa Bezpieczeństwa byłego Zarządu, w charakterze konfidentów - i podał nazwiska i adresy. Adam niczego nie zaproponował.

Jeden wciąż przenosił się z osiedla do osiedla i zmieniał nazwiska, i udało mu się ukryć przez siedem miesięcy. Wreszcie, na początku 77, znaleziono jego ciało przed śluzą w Nowymlenie. Ale większość z nich przeżyła tylko parę godzin.

W ciągu pierwszych godzin po przewrocie musieliśmy uporać się z problemem, o którym dotychczas nawet nie mieliśmy czasu myśleć - z samym Adamem Selene. K i m jest Adam Selene? Gdzie jest? To jego rewolucja; zaplanował wszystkie szczegóły, każdy towarzysz zna jego głos. Wyszliśmy już z ukrycia... w i ę c g d z i e j e s t A d a m?

Wątkowaliśmy to przez większość nocy w pokoju L u Rafflesa - w przerwach pomiędzy dyskusjami nad tysiącem rzeczy, które się ujawniały i na których temat ludzie prosili nas o zdanie, a tymczasem "Adam" swoimi innymi głosami zajmował się innymi decyzjami, które mógł podjąć sam, układał lipne wiadomości do nadania na Ziemię, czuwał nad izolacją Kompleksu itd. (Nie ma dwóch zdań: bez Mike'a nie zdobylibyśmy Luny ani nie utrzymali jej.)

Zaproponowałem, żeby Profesor został "Adamem". Profesor zawsze był naszym planistą i teoretykiem; wszyscy go znali; zaufani towarzysze wiedzieli, że jest on "towarzyszem Billem", a wszyscy inni znali i szanowali Profesora Bernarda de la Paz... Rany, przecież wychował połowę wybitnych obywateli Luna City, wielu z innych osiedli, znał go każdy VIP w Lunie.

- Nie - powiedział Profesor.

- Why not? - spytała Wyoh. - Profesorze, wybraliśmy pana. Powiedz mu, Mike.

- Wstrzymuję się od komentarzy - rzekł Mike. - Chcę usłyszeć, co powie Profesor.

- Powiem, że już to zanalizowałeś, Mike - odparł Profesor. - Wyoh, moja najmilsza towarzyszko, nie odmówiłbym, gdyby to było do zrobienia. Lecz n i e sposób zmienić mój głos w głos Adama - a każdy towarzysz poznaje Adama po g ł o s i e; Mike właśnie w tym celu nadał mu tak wyjątkową charakterystykę.

Potem zastanawialiśmy się, czy Profesora nie dałoby się włączyć w to w innym układzie, pokazywać go tylko w TV i powierzać Mike'owi przeróbkę jego słów na głos Adama.

Zrezygnowaliśmy. Zbyt wielu ludzi zna Profesora i słyszało go; jego głosu i sposobu mówienia nie da rady pogodzić z Adamem. Potem zajęliśmy się tą samą propozycją w odniesieniu do mnie - i ja, i Mike mówimy barytonem, niezbyt wielu ludzi słyszało mój głos przez telefon, a w TV - nikt.

Nie dałem się wrobić. Ludzie i tak się zdziwią, kiedy dowiedzą się, że byłem jednym z zastępców naszego Przewodniczącego; nigdy by nie uwierzyli, że to ja byłem numero uno.

- Idźmy na kompromis - powiedziałem. - Adam był zawsze tajemnicą; niech tak pozostanie. Pokażemy go tylko w TV - w masce. Profesorze, pan będzie jego ciałem; Mike dorobi głos.

Profesor pokręcił głową.

- Chyba nie byłoby skuteczniejszego sposobu na stracenie przez nas zaufania w tak krytycznym momencie niż zamaskowany przywódca. Nie, Mannie.

Mówiliśmy o znalezieniu aktora do grania tej roli. Nie było wtedy w Lunie zawodowych

aktorów, ale mieliśmy niezłych amatorów w miejskiej trupie w Luna City i w Nowym Bolszoju.

- Nie - powiedział Profesor - abstrahując od tego, że musielibyśmy znaleźć aktora o określonym typie osobowości - takiego, który nie zapragnie zostać Napoleonem - nie mamy na to czasu. Adam musi przejąć dowodzenie najpóźniej jutro rano.

- W takim razie - powiedziałem - sam pan postanowił. Musimy posłużyć się Mikiem i nie pokazywać go w TV. Tylko w radiu. Pretekst się wymyśli, ale Adam musi pozostać niewidzialny.

- Jestem zmuszony zgodzić się na to - oświadczył Profesor.

- Man, mój najstarszy przyjacielu - odezwał się Mike - dlaczego uważasz, że muszę pozostać niewidzialny?

- Nie słuchałeś nas? - powiedziałem. - Mike, musimy pokazać w TV twarz i ciało. Masz ciało - ale to parę ton metalu. Twarzy nie masz - szczęściarz z ciebie, nie musisz się golić.

- Ale dlaczego nie miałbym mieć twarzy na pokaz, Man? W tym momencie posługuję się głosem na pokaz. Nie kryje się za nim żaden dźwięk. W ten sam sposób mogę posłużyć się twarzą.

Zamurowało mnie. Patrzałem na ekran TV, zainstalowany w pokoju, kiedy go wynajęliśmy. Impuls jest impulsem, jest impulsem. Jeden elektron goni drugi. Dla Mike'a cały świat to zmienna seria impulsów elektrycznych, wychodzących albo otrzymywanych, i goniących się po jego trzewiach.

- Nie, Mike - powiedziałem.

- Czemu nie, Man?

- B o n i e d a s z r a d y! Pięknie posługujesz się głosem. Wystarczy parę tysięcy decyzji na sekundę, to dla ciebie złotwie tempo. Ale skonstruowanie obrazu TV będzie wymagać, eee, powiedzmy dziesięciu milionów decyzji na sekundę. Mike, jesteś taki szybki, że aż mi się to w głowie nie mieści. Ale nie aż t a k i szybki.

- Założymy się, Man? - powiedział cicho Mike.

Wyoh odezwała się, zirytowana:

- Jeśli Mike mówi, że to potrafi - to oczywiście, że to potrafi! Mannie, nie mów tak. - Wyoh wyobraża sobie, że elektron ma rozmiary i kształt ziarnka grochu.

- Mike - powiedziałem powoli - nie przyjmuję zakładu. Okay, chcesz spróbować? Mam włączyć TV?

- Sam mogę włączyć - odpowiedział.

- Jesteś pewien, że trafisz do naszego? Wolałbym, żeby nikt inny nie oglądał tego show.

- Nie jestem głupi - odparł z urazą. - A teraz daj mi chwilę spokoju, Man - bo przyznaję, że potrzebuję do tego wszystkiego, co mam.

Czekaliśmy w milczeniu. Potem ekran rozbłysł neutralną szarością z ledwo widocznymi liniami jakby od radaru. Znów poczerniał, potem środek wypełniło blade światło, które zakrzepło w mgliste jasne i ciemne plamy, elipsoide. Nie twarz, ale sugestia twarzy, jaką można ujrzeć w chmurach spowijających Terrę.

Nieco zwyraźniało, i teraz przypominało zdjęcia rzekomej ektoplazmy. Duch twarzy.

Raptem wyostrzyło się, i z o b a c z y l i ś m y “Adama Selene”.

Był to nieruchomy obraz dojrzałego mężczyzny. Bez tła, sama twarz, jak wycięta z fotografii. Ale dla mnie był to „Adam Selene”. Nie pomyliłbym go z nikim innym.

Po chwili uśmiechnął się, poruszył wargami i szczęką, dotknął warg językiem w szybkim geście - przestraszyłem się.

- Jak wyglądam? - spytał.

- Adam - powiedziała Wyoh - twoje włosy nie są aż tak kędzierzawe. A nad czołem powinny być zaczesane do tyłu po obu stronach. Wyglądasz, jakbyś założył perukę, kochanie.

Mike poprawił to.

- Czy teraz lepiej?

- Nie aż tak. I przecież masz dołki. Słyszałam dołki, kiedy się śmiałeś. Jak u Profesora.

Mike-Adam znów się uśmiechnął; tym razem miał dołki.

- Jak mam być ubrany, Wyoh?

- Jesteś w biurze?

- Wciąż jeszcze w biurze. Dziś nieprędko wyjdę. - Tło poszarzało, a potem nabrało ostrości i barwy. Za nim wisiał ścienny kalendarz z datą wtorek 19 V 2076; zegar wskazywał aktualną godzinę. Przy łokciu miał kartonowy kubek z kawą. Na biurku stało papierowe zdjęcie rodziny: dwóch mężczyzn, kobieta, czwórka dzieci. Tła dźwiękowego dostarczał przyciszony hałas z Rynku w Starej Kopule, głośniejszy niż zazwyczaj; słyszałem krzyki i odległy śpiew: “Marsylianek” w wersji Simona.

Zza ekranu rozległ się głos Ginwallaha:

- Gospodin?

Adam odwrócił się ku niemu.

- Jestem zajęty, Albercie - powiedział cierpliwym tonem. - Łącz telefony tylko od komórki B. Całą resztą zajmij się sam. - Znów spojrzał na nas. - A więc, Wyoh? Pomysły? Profesorze? Man, mój wątpiący przyjacielu? Czy przejdę?

Przetarłem oczy.

- Mike, czy umiesz także gotować?

- Oczywiście. Ale nie zajmuję się tym; mam żonę.

- Adam - powiedziała Wyoh - miałeś ciężki dzień; jak możesz wyglądać tak schludnie?

- Nie przejmuję się drobiazgami. - Spojrzał na Profesora. - Profesorze, jeśli akceptuje pan obraz, to zastanówmy się, co mam jutro powiedzieć. Myślałem o tym, żeby odwołać wiadomości o ósmej, przez całą noc zapowiadać przemówienie i przekazać informację przez komórki.

Resztę nocy przegadaliśmy. Dwa razy posyłałem po kawę, i Mike-Adam też odświeżał swój karton. Kiedy zamówiłem kanapki, on kazał Ginwallahowi przynieść parę dla siebie. Na ekranie błysnął profil Alberta Ginwallaha, typowego Hindusa, grzecznego, ale nieco wzgardliwego. Jakoś nie tak go sobie wyobrażałem. Mike jadł razem z nami, czasami mamrotał coś przez pełne usta.

Kiedy go zapytałem (zawodowa ciekawość), jak to zrobił, Mike wyjaśnił mi, że kiedy już skonstruował obraz, większość przekazał automatycznemu programowi, a sam zajmował się tylko wyrazem twarzy. Ale wkrótce zapomniałem, że to podróbka. Po prostu Mike-Adam rozmawiał z nami przez TV, bo to wygodniejsze od telefonu.

Do trzeciej zdołaliśmy uzgodnić taktykę, potem Mike przeciwiczył przemówienie. Profesor dodał do niego co nieco; Mike zredagował całość, potem postanowiliśmy odpocząć, bo nawet Mike-Adam ziewał - choć w rzeczywistości Mike utrzymywał posterunek przez całą noc, pilnował przekazów na Terre, blokował Kompleks, nasłuchiwał przez wiele telefonów. Profesor i ja dzieliliśmy duże łóżko, Wyoh wyciągnęła się na kanapie, ja gwizdnąłem ha światła, żeby się zgasiły. Wyjątkowo spaliśmy bez ciężarków.

Kiedy jedliśmy śniadanie, Adam Selene wygłosił przemówienie do Wolnej Luny.

Był spokojny, stanowczy, przyjazny i przekonujący.

- Obywatele Wolnej Luny, przyjaciele, towarzysze - pozwólcie, że przedstawię się tym, którzy mnie nie znają. Nazywam się Adam Selene. Jestem przewodniczącym Nadzwyczajnego Komitetu Partii na rzecz Wolnej Luny... obecnie Komitetu Wolnej Luny, gdyż wreszcie jesteśmy wolni. Tak zwany "Zarząd", który od tak dawna uzurpował sobie władzę w naszym domu, został obalony. Stałem się głową naszego jedyne go na razie rządu - Komitetu Nadzwyczajnego.

Wkrótce, tak szybko, jak to tylko możliwe, wybieriecie swój własny rząd. - Adam uśmiechnął się i gestem poprosił o pomoc. - Na razie, z waszą pomocą, ja postaram się służyć jak najlepiej. Nie wątpię, że popełnimy błędy - proszę was o pobłażliwość. Towarzysze, jeśli jeszcze nie ujawniliście się przed waszymi przyjaciółmi i sąsiadami, teraz nadszedł na to czas. Obywatele, wasi sąsiedzi-

członkowie Partii mogą zwracać się do was z prośbami. Mam nadzieję, że chętnie je spełnicie; przyspieszy to nadejście dnia, w którym będę mógł zrezygnować z mego urzędu, a życie powróci do normalności - do n o w e j normalności, bez Zarządu, bez gwardzistów, bez kwaterujących naszym kosztem żołnierzy, bez paszportów, rewizji i samowolnych aresztowań.

Musi teraz nastąpić okres przejściowy. Proszę was wszystkich -wróćcie do pracy i do normalnego życia. Także tych, którzy pracowali dla Zarządu. Wróćcie do pracy. Nadal będziecie otrzymywać pobory, zachowacie swoje stanowiska do czasu, gdy zdecydujemy, co jest nam potrzebne, co - na szczęście - jest zbyteczne wolnemu narodowi, a co trzeba zachować w zmienionej postaci. Nowi obywatele, zesłańcy w pocie czoła odbywający wyroki wydane na Ziemi - jesteście wolni, skończyła się wasza katorga! Mam jednak nadzieję, że na razie nie porzucicie swej pracy. Nikt was do tego nie zmusi - skończyły się czasy przymusu - ale prosimy was o to. Macie, rzecz jasna, prawo do opuszczenia Kompleksu i udania się w dowolne miejsce... a komunikacja kolejowa z Kompleksem zostaje przywrócona z chwilą obecną. Lecz zanim skorzystacie z nowej wolności i odwiedzicie nasze miasta, pozwólcie, że wam przypomnę: "Za wszystko trzeba płacić". Tam, gdzie jesteście, będzie wam na razie lepiej; posiłki nie są może wykwintne, lecz zawsze będą gorące i podawane na czas - bo płacicie za nie waszą pracą.

Poprosiłem naczelnego dyrektora LUNOHO Company o tymczasowe przejęcie niezbędnych funkcji byłego Zarządu. Przedsiębiorstwo to zapewni tymczasowy nadzór i rozważy problem usunięcia tych organów Zarządu, które służyły tyranii, i przekazania organów pożytecznych w ręce prywatne. Proszę więc, byście mu pomogli.

Pozdrawiam was, przebywający wśród nas obywatele narodów Terry, naukowcy, podróżnicy i inni. Jesteście świadkami rzadkiego wydarzenia, narodzin narodu. Każde narodziny odbywają się w bólu i krwi; i tym razem nie obeszło się bez tego. Miejmy nadzieję, że więcej już nie będzie. Nie będziemy nadmiernie ograniczać waszej swobody i jak najprędzej zapewnimy wam powrót do domu. Zapraszamy was także, byście pozostali u nas, nawet byście nabyli nasze obywatelstwo. Na razie jednak proszę, byście nie wychodzili na korytarze i unikali incydentów, które mogą spowodować niepotrzebny ból i przelew krwi. Okażcie nam cierpliwość; ja zaś proszę moich współobywateli, by i oni okazali wam cierpliwość. Naukowcy z Terry, kontynuujcie swą pracę w Obserwatorium i innych miejscach i nie zwracajcie na nas uwagi. Wtedy nie spostrzeżecie nawet, że odbywają się niełatwe narodziny narodu. Jeszcze jedno - z przykrością informuję, że zmuszeni jesteśmy tymczasowo ograniczyć wasze prawo do łączności z Ziemią. Robimy to z konieczności; cenzura zostanie zniesiona, kiedy tylko będzie to możliwe - czujemy do niej równą niechęć, co wy.

Adam dodał jeszcze jedną prośbę:

- Nie próbujcie mnie odwiedzać, towarzysze, dzwońcie zaś do mnie tylko wtedy, jeśli musicie; we wszystkich innych sprawach piszcie, waszymi listami zajmiemy się niezwłocznie. Lecz jestem tylko jednym człowiekiem, ostatniej nocy wcale nie spałem i dziś też chyba się nie wyśpię. Nie będę wygłaszał publicznych przemówień, nie będę ścisnął dłoni, nie będę przyjmował delegacji; muszę siedzieć przy tym biurku i pracować - abym jak najszybciej uporał się z moimi zadaniami i przekazał je osobom przez was wybranym. - Wyszczерzył zęby. - Będę nieuchwytny jak Simon Prześmiewca!

Przemówienie trwało piętnaście minut, ale można by je streścić w jednym zdaniu: Wróćcie do pracy, bądźcie cierpliwi, dajcie nam czas.

Ci naukowcy prawie wcale nie dali nam czasu - powinienem był się tego spodziewać; szło o mój geszeft.

Cała łączność z Ziemią odbywała się przez Mike'a. Ale ci mądrale mieli ogromny magazyn sprzętu elektronicznego; kiedy zdecydowali się, że chcą zmajstrować radyjko do rozmów z Terra, zajęło im to wszystkiego parę godzin.

Uratowało nas tylko to, że jakiś podróżnik uważał, że Luna powinna być wolna. Spróbował zadzwonić do Adama Selene, telefon odebrała jedna z zespołu kobiet, które dobraliśmy z poziomu C i D - dla samoobrony, gdyż pomimo apelu Mike'a pół Luny chciało dzwonić do Adama Selene po jego przemówieniu z najróżniejszymi sprawami, od próśb i żądań po kretyńskie rady, jak Adam ma wykonywać swoją robotę.

Jakaś sumienna towarzyszka z centrali telefonicznej połączyła pierwszą setkę tych rozmów ze mną, w związku z czym zorganizowaliśmy zespół zaporowy. Na szczęście towarzyszka, która odebrała ten telefon, poznała się, że chodzi o coś poważniejszego i nie spławiła rozmówcy; zadzwoniła do mnie.

Po paru minutach ja, Finn Nielsen plus kilku entuzjastycznych strzelców jechaliśmy kapsułą do laboratoriów. Nasz informator bał się podać nazwisko, lecz powiedział mi, gdzie znaleźć nadajnik. Nakryliśmy ich in flagranti, i tylko szybki refleks Finna ocalił im życie; chłopców śwędziały ręce. Ale nie chcieliśmy "karać dla przykładu"; Finn i ja powzięliśmy po drodze taką decyzję. Naukowców niełatwo zastraszyć, ich mózgi działają inaczej. Trzeba się do nich dobrać od innej strony.

Kopniakami zdemolowałem nadajnik i kazałem dyrektorowi zebrać wszystkich w stołówce i odczytać listę obecności - był tam telefon. Potem porozmawiałem z Mikiem, ten przekazał mi nazwiska, a ja powiedziałem do dyrektora:

- Doktorze, powiedział pan, że są tu wszyscy. Brakuje takich a takich - siedem nazwisk. - N i e c h t u p r z y j d a !

Nieobecni Terranie zostali zawiadomieni, odmówili przerwania swoich zajęć - typowi naukowcy.

Kiedy byli już wszyscy, wygłosiłem przemowę, do Lunatyków zgromadzonych z jednej strony sali i do Terran z drugiej. Do Terran powiedziałem:

- Chcieliśmy traktować was jak gości. Ale trzech z was usiłowali, być może z powodzeniem, przesłać wiadomość na Ziemię.

Zwróciłem się do dyrektora:

- Doktorze, mógłbym zarządzić rewizję - osiedla, urządzeń na powierzchni, wszystkich laboratoriów, każdej przestrzeni - i zniszczyć wszystko, co może przydać się do budowy nadajnika. Sam jestem z zawodu elektronowcem; wiem, że nadajnik można sklecić z najrozmaitszych elementów. Gdybym tak zniszczył wszystko, co mogłoby wam się przydać, a jako kretyn, na wszelki wypadek także wszystko, na czym się nie znam? Co wtedy?

Pomyślelibyście, że chcę zamordować jego dziecko! Aż poszarzał.

- To przerwałoby wszystkie badania... przepadłyby bezcenne dane... stracilibyśmy, och, sam nie wiem, jakie sumy! Rzędu pół miliarda dolarów!

- Tak też myślałem. Mógłbym nic nie niszczyć, tylko zabrać wam cały sprzęt, i radźcie sobie, jak potraficie.

- To byłoby niemal równie katastrofalne. Proszę zrozumieć, gospodin, że zakłócenie eksperymentu...

- Wiem. Łatwiej niż przenosić wszystko - a co nieco mogłoby się po drodze zgubić - byłoby przekwaterować was wszystkich do Kompleksu. Dawne koszary Dragonów są wolne. Ale to też zrujnowałoby eksperymenty. Poza tym... Skąd pan pochodzi, doktorze?

- Z Princeton, New Jersey.

- Czyżby? Jest pan u nas od pięciu miesięcy i niewątpliwie przez cały czas ćwiczy pan i nosi ciężarki. Doktorze, jeśli to zrobimy, to może pan już nie ujrzeć Princeton. Jeśli pana przekwaterujemy, to będzie pan zamknięty pod kluczem. Zmięknie pan. Jeśli stan wyjątkowy potrwa bardzo długo, to chcąc nie chcąc zostanie pan Lunatykiem. A wraz z panem reszta pańskich mądrali.

Wystąpił jakiś zadziorny koleś - jeden z tych, po których trzeba było posyłać dwa razy.

- Nie zrobicie tego! To wbrew prawu!

- Jakiemu prawu, gospodin? Jakiemuś prawu z twojego miasteczka? - Odwróciłem się. - Finn, pokaż mu prawo.

Finn podszedł do niego i umieścił lej wylotowy karabinu na jego pępku. Kciuk Finna zaczął się zginać - widziałem, że flinta jest zabezpieczona.

- Nie zabijaj go, Finn! - powiedziałem i kontynuowałem kazanie: - Jeśli inaczej nie da się was przekonać, to wyeliminuję tego człowieka. Więc uważajcie! Jeszcze jeden taki numer, i n a p e w n o nie wrócicie do domów - o przerwaniu badań nie mówiąc. Doktorze, ostrzegam p a n a, że musi pan znaleźć sposób na dopilnowanie swoich ludzi.

Zwróciłem się do Lunatyków:

- Towarzyszczy, nie pozwólcie im na żadne rozróby. Opracujcie system wart. Nie dajcie się

nabrać; każdy Ziemiak ma wyrok z zawieszeniem. Jeśli trzeba będzie któregoś wyeliminować, nie wahajcie się. - Znów zwróciłem się do dyrektora: - Doktorze, każdy Lunatyk ma prawo towarzyszyć panu o każdej porze w każdym miejscu - nawet w pana sypialni. W sprawach bezpieczeństwa rządzą teraz pana laboranci; jeśli Lunatyk stwierdzi, że musi iść z panem, albo z kimkolwiek innym, do WC, proszę się nie sprzeczać; można trafić na kogoś nerwowego.

Zwróciłem się do Lunatyków:

- Bezpieczeństwo przede wszystkim! Każdy z was pracuje dla jakiegoś Ziemiaka - m a g o p i l n o w a ć! Podzielcie się robotą i niczego nie przegapcie. Pilnujcie ich tak, żeby nie mogli zbudować pułapki na myszy, o nadajniku nie mówiąc. Nie martwcie się, jeśli to przeszkodzi im w pracy; wasze pobory nie zmienią się.

Zobaczyłem, jak szczerzą zęby. W tamtych czasach najlepszym zajęciem dla Lunatyka była praca laboranta - ale pracowali dla Ziemiaków, którzy patrzeli na nas z góry, nawet ci, którzy udawali wytworne maniery.

Na tym się skończyło. Kiedy otrzymałem ten telefon, miałem zamiar wyeliminować winnych. Ale Profesor i Mike powstrzymali mnie: plan zabraniał zbędnej przemocy wobec Terran.

Rozstawiliśmy wokół laboratoriów “uszy”, czułe wielopasmowe odbiorniki, gdyż nawet najbardziej kierunkowa antena chłapie nieco na okolicę. A Mike nasłuchiwał przez wszystkie tamtejsze telefony. Potem obgryzaliśmy paznokcie i nie traciliśmy nadziei.

Wreszcie odetchnęliśmy, bo w ich wiadomościach z Ziemi nie było niczego nie tak, bez podejrzeń przyjmowali cenzurowane transmisje, a wszelka korespondencja prywatna i handlowa oraz przekazy Zarządu wyglądały normalnie. My tymczasem pracowaliśmy, próbując w ciągu kilku dni dokonać tego, na co powinniśmy mieć miesiące.

Szczęśliwy zbieg okoliczności dodał nam nieco czasu; w Lunie nie było żadnego statku pasażerskiego, a najbliższy miał przybyć dopiero 7 VII. Można by coś wykombinować - zwabić oficerów ze statku na “kolację u gubernatora” albo coś takiego, potem wystawić wartę przy nadajnikach albo rozebrać je. Sami by nie wystartowali -w tamtych czasach wodę na masę reakcyjną brali z naszego lodu. To akurat nie było zbyt dotkliwym ciężarem, w porównaniu z wysyłką ziarna; wtedy jeden załogowy statek na miesiąc to już był spory ruch, natomiast barki z ziarnem startowały codziennie. Innymi słowy, lądujący statek nie stanowiłby śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale mimo wszystko ucieszyliśmy się; mieliśmy dość roboty ze stwarzaniem pozorów normalności aż do chwili, kiedy będziemy mogli się obronić.

Wysyłka ziarna odbywała się po staremu; jedną barcę wystrzeliliśmy niemal dokładnie w momencie, gdy chłopcy Finna wdzierali się do rezydencji gubernatora. Następna też wyleciała punktualnie, tak samo jak dalsze.

Nie było to ani przeoczenie, ani działanie pozorujące; Profesor wiedział, co robi. Wysyłka ziarna to wielka operacja (jak na małą Lunę) i nie można jej odwołać w pół miesiąca; zależy od niej chleb i piwo zbyt wielu ludzi. Jeśli nasz Komitet zarządzi embargo i przestanie skupować zboże, to

dostaniemy kopa, a nasze miejsce zajmie nowy komitet z innymi poglądami.

Profesor powiedział, że potrzebny jest okres edukacyjny. Póki co, barki z ziarnem wylatywały jak zawsze; LUNOHOCO prowadziła księgowość i wydawała pokwitowania, zatrudniając do tego starych urzędników. W imieniu gubernatora wysyłaliśmy sprawozdania, a Mike rozmawiał jego głosem z Zarządem na Ziemi. Wicedyrektor zachowywał się rozsądnie, ledwo uświadomił sobie, że dzięki temu może przedłużyć sobie życie. Główny Inżynier także pozostał na dawnej posadzie - McIntyre nie był z natury kapusiem, jeśli dało mu się szansę, robił się z niego prawdziwy Lunatyk. Z innymi szefami wydziałów i drobniejszymi pomagierami nie mieliśmy kłopotów; wszystko szło po staremu, my zaś nie mieliśmy czasu na demontaż Zarządu i wyprzedaż jego pożytecznych organów.

Kilkunastu ludzi podało się za Simona Prześmiewcę; Simon napisał na nich niezbyt wybredny paszkwil i zamieścił swoje zdjęcie na pierwszych stronach *Lunatyka*, *Prawdy* i *Gongu*. Wyoh mogła teraz ujawnić się jako blondynka; wybrała się do Grega do nowej wyrzutni, a potem z dłuższą wizytą, dziesięciodniową, do domu do Hongkongu, Luna, razem z Anną, która chciała zobaczyć miasto. Wyoh była przepracowana i Profesor namówił ją, żeby zrobiła sobie wakacje, zauważając, że w razie czego możemy porozumieć się z nią przez telefon, Hongkong zaś potrzebuje bliższego kontaktu z Partią. Przejąłem dowództwo nad jej stiliagami, w czym pomagali mi Slim i Hazel - sprytnie, inteligentne dzieciaki, mogłem im zaufać. Slima zamurowało, kiedy odkrył, że jestem "towarzyszem Borkiem" i codziennie widuję „Adama Selene”; jego pseudonim zaczynał się na "G". Zresztą nie tylko dlatego dobrze mi się z nim pracowało. Hazel raptem zaczęła się zaokrąglać, i to nie tylko dzięki wyśmienitej kuchni Mimi; dotarła już do tego punktu na orbicie. Slim był gotów zmienić jej nazwisko na "Stone", kiedy tylko zgodzi się wślubić. Na razie z radością pomagał naszemu dzielnemu rudzielcowi w całej jej pracy partyjnej.

Nie wszyscy byli aż tak radośni. Okazało się, że wielu naszych towarzyszy potrafi tylko wojować jęzorami. Jeszcze więcej uważało, że skoro wyeliminowaliśmy Goryli Pokoju i ujęliśmy gubernatora, to wojna jest skończona. Inni wściekli się, kiedy się dowiedzieli, jak nisko byli w strukturze Partii; chcieli wybrać nową organizację, z sobą na szczycie. Adam bez ustanku otrzymywał telefony z takimi i podobnymi propozycjami - wysłuchiwał ich, przyznawał rację, zapewniał, że ich talenty zmarnowałyby się, gdybyśmy musieli czekać do wyborów - i odsyłał do Profesora albo do mnie. Nie przypominam sobie, by któryś z tych ambitnych na coś się przydał, kiedy próbowałem przydzielić mu pracę.

Roboty mieliśmy od zarabania, a nikt nie chciał się nią zająć. No, powiedzmy, mało kto. Pośród najpożyteczniejszych ochotników byli ludzie, na których podziemna Partia jakoś nie zwróciła uwagi. Ale w sumie Lunatyków partyjnych i bezpartyjnych "patriotyczna" robota interesowała tylko wtedy, gdy była popłatna. Jeden koleś, który podawał się za członka Partii (a nie był), nawiedził mnie u Rafflesa, gdzie urządziliśmy sobie główną kwaterę, i chciał wmusić mi kontrakt na 50.000 pamiątkowych oznak dla "Weteranów Rewolucji" sprzed przewrotu - "drobny" zysk dla niego (chyba z 400% kosztów produkcji), dla mnie parę łatwo zarobionych dolarów, dla wszystkich korzystny interes.

Kiedy go spławiłem, groził, że zakabluje mnie Adamowi Selene - "A to mój bliski przyjaciel, przekonasz się!" - za sabotaż.

I na taką "pomoc" mogliśmy liczyć. Potrzebowaliśmy czegoś innego. Stali do nowej wyrzutni, i to dużo - Profesor spytał raz, czy naprawdę musimy pakować kamienne pociski w stal; musiałem mu wytłumaczyć, że pole indukcyjne nie uchwyci nagiej skały. Trzeba było przenieść radary balistyczne Mike'a przy starej wyrzutni i zainstalować dopplery przy nowej, gdyż można się było spodziewać ataków z przestrzeni na starą wyrzutnię.

Zapelowaliśmy o ochotników. Zgłosiło się tylko dwóch, którzy mogli się na coś przydać - a potrzebowaliśmy kilkuset mechaników, gotowych na ciężką pracę w skafandrach. Wiec zatrudniliśmy ich i płaciliśmy, ile zażądali - LUNOHOCO splajtowała i stała się własnością Banku Hongkongu, Luna; nie było czasu, żeby ukraść forszę na wypłaty dla nich, a większość funduszy przekazaliśmy na Ziemię dla Stu. Wspaniały towarzysz, Foo Moses Morris, podpisał papiery, dzięki którym mogliśmy nadal działać - sam przez to zbankrutował i otworzył mały zakład krawiecki w Kongville. Ale to było potem.

Po przewrocie kurs bonów Zarządu spadł z 3:1 do 17:1, i urzędnicy podnieśli raban, bo Mike nadal płacił im w czekach Zarządu. Powiedzieliśmy im, że mogą pozostać na stanowiskach albo się zwolnić; potem ponownie zatrudniliśmy tych naprawdę potrzebnych i płaciliśmy im w dolarach hongkongskich. Ale od tej pory powstała spora grupa takich, co nie byli po naszej stronie, tęskniących za dawnymi dobrymi czasami i gotowych dźgnąć nową władzę w plecy.

Producenci pszenicy i brokerzy też byli niezadowoleni, ponieważ przy rampie załadowniczej wyrzutni wciąż płacono w bonach Zarządu po starych cenach. "Nie zgodzimy się na to!" - krzyczeli - a facet z LUNOHOCO wzruszał ramionami i mówił im, że nie muszą, ale ziarno nadal trafia do Zarządu na Ziemi (tak było) i mogą dostać wyłącznie bony Zarządu. Wiec bierzcie czeki albo ładujcie ziarno z powrotem na ciężarówki i usuńcie je stąd.

Większość zgadzała się na czeki. Wszyscy narzekali, niektórzy grozili, że się przestawią z monokultury zbożowej na hodowlę warzyw albo włókna, albo czegoś, na czym zarabiają w Hongkongu - a Profesor tylko się na to uśmiechał.

Potrzebowaliśmy wszystkich rębaczy w Lunie, zwłaszcza tych od lodu, którzy posiadają własne ciężkie wiertła laserowe. Jako żołnierzy. Potrzebowaliśmy ich tak bardzo, że nawet ja, mimo że po stracie skrzydła dmucham na zimne, a większość moich umiejętności już zardzewiała, myślałem, czy by się nie zaciągnąć, choć do obsługi wielkiego wiertła trzeba mieć mięśnie, a proteza to jednak nie mięśnie. Profesor powiedział, że bym się nie wygłupiał.

Nasz plan nie na wiele by się zdał na Ziemi; promień laserowy wielkiej mocy najwydajniejszy jest w próżni - wtedy działa jak poezja, na całym zasięgu kolimacji. Zamontowaliśmy te wielkie wiertła, służące do przecinania skały przy poszukiwaniach żył lodu, na "artyleryjskich" lawetach - miały odpędzać ataki z przestrzeni. I statki, i pociski wyposażone są w elektroniczne systemy nerwowe, a nic tak nie szkodzi sprzętowi, jak przyłożenie mu mnóstwem dżulów skupionych w jednym wąskim promieniu. Jeśli cel jest pod ciśnieniem (jak wszystkie załogowe statki i większość pocisków), to wystarczy wypalić w nim dziurę i zdehermetyzować go. Jeśli nie jest, to promień ciężkiego lasera i tak może go unieszkodliwić - wypalić oczy, rozstroić lokalizację, popsuć wszystko, co opiera się na elektronice, czyli niemal wszystko.

Bomba H z rozwalonymi obwodami to już nie bomba, tylko wielkie wiadro litodeuteru, zdolne jedynie do tego, żeby się rozbić. Statek bez oczu to nie okręt wojenny, tylko wrak.

Brzmi to łatwo, ale nie jest łatwe. Te wiertła nie zostały zaprojektowane do działania na odległość tysiąca kilometrów ani nawet jednego kilometra, a dorobienie jakichś celowników do ich lawet też musiało potrwać. Obsługa musiała mieć mocne nerwy i strzelać dopiero w ostatniej chwili, do celu spadającego na nich z prędkością, powiedzmy, 2 km/s.

Ale nie mieliśmy niczego lepszego, więc zorganizowaliśmy Pierwszy i Drugi Ochotniczy Pułk Artylerii Obronnej Wolnej Luny - dlatego dwa, żeby Pierwszy mógł patrzeć z góry na Drugi, a Drugi zazdrościć Pierwszemu. Do Pierwszego poszli starsi goście, do Drugiego młodszy i gorliwsi.

Nazywały się “ochotnicze”, ale płaciliśmy w hongkongijskich dolarach - nie przez przypadek na oficjalnym rynku lód można było sprzedać tylko za bezwartościowe bony Zarządu.

Do tego wszystkiego strasziliśmy ludzi wojną. Adam Selene przemawiał w TV i przypominał, że Zarząd na pewno spróbuje przywrócić swą tyranie, a nam na przygotowania zostały już tylko dni; gazety cytowały go i dodawały własne artykuły - tuż przed przewrotem szczególnie zajęliśmy się dziennikarzami. Doradzaliśmy ludziom, żeby zawsze mieli pod ręką skafandry i sprawdzali alarmy ciśnieniowe w domach. W każdym osiedlu zorganizowano ochotniczy Korpus Obrony Cywilnej.

Ze względu na ciągłe trzęsienia księżyca, w każdym osiedlu spółdzielnia ciśnieniowa stale utrzymuje dyżurne ekipy uszczelniające; wszystkie osiedla ciekną, pomimo elastycznego silikonu i waty szklanej. W Tunelach Davisów codziennie trzeba coś uszczelniać. Ale teraz zwerbowałem setki awaryjnych drużyn uszczelniających, głównie sitiliagów, wciąż ich dręczyliśmy ćwiczebnymi alarmami, na służbie musieli tkwić w skafandrach z otwartymi hełmami.

Wspaniale sobie radzili. Ale durnie naśmiewali się z nich - “żołnierzyki”, “jabłuszka Adama” itp. Pewnego razu drużyna odbywała ćwiczenia, zakładali służę prowizoryczną wokół “zniszczonej”, a jeden z tych bezmózgowców stanął obok i naśmiewał się z nich bezczelnie.

Chłopaki z OC nie przeszkadzali sobie, skończyli zakładać służę, przetestowali ją w zamkniętych hełmach; trzymała - wyszli, złapali tego śmieszka, wciągnęli go do prowizorycznej służby i dalej, w zerowe ciśnienie, i tam zostawili.

Od tej pory nikt już im nie ubliżał. Profesor zastanawiał się, czy by nie rozesłać przyjacielskiej prośby o więcej rozwagi przy eliminacjach. Byłem przeciw, i wyszło na moje; to najlepszy sposób na poprawę manier. Pośród przyzwoitych ludzi pewne rodzaje krzykactwa powinny być karane śmiercią.

Ale najwięcej kłopotu mieliśmy z samozwańczymi politykami.

Czy powiedziałem wam, że Lunatycy są “apolityczni”? Owszem, są, kiedy trzeba coś zrobić. Ale chyba jeszcze się nie zdarzyło, żeby dwóch Lunatyków, którzy spotkali się nad litrem piwa, nie wymieniało głośno opinii, jak należy wszystkim rządzić.

Jak już wspomniałem, ci samozwańczy politolodzy próbowali dotrzeć do Adama Selene. Ale Profesor znalazł na nich sposób; każdy dostał zaproszenie do udziału w “Doraźnym Kongresie do spraw Organizacji Wolnej Luny”, który zebrał się w sali miejskiego domu kultury w Luna City, a następnie postanowił kontynuować posiedzenie aż do ukończenia roboty - tydzień w L-City, tydzień w Nowymylenie, potem w Hongkongu i jeszcze raz od nowa. Wszystkie posiedzenia transmitowała TV. Profesor przewodniczył pierwszemu, a Adam Selene wygłosił przemówienie przez TV, w którym zaapelował do nich staranną pracę: “Historia patrzy na was”.

Wysłuchałem kilku posiedzeń, po czym schwyciłem Profesora za guzik i - na ucho - spytałem, co on, na miłość boską, wyprawia.

- Myślałem, że nie chce pan ż a d n e g o rządu. Czy słyszał pan, co ci durnie wygadują, od kiedy ich pan zostawił samych?

Uśmiechnął się, prezentując cały komplet dołków.

- Czy coś cię martwi, Manuelu?

Martwiło mnie mnóstwo rzeczy. Ja żyły z siebie wypruwałem, zbierając ciężkie wiertła i ludzi, którzy potrafią używać ich jako dział, a te darmozjady przez całe popołudnie dyskutowały o imigracji. Jedni chcieli jej całkiem zakazać. Inni chcieli ją opodatkować, tak wysoko, żeby starczyło pieniędzy na rząd (kiedy 99 Lunatyków na stu trzeba było przemocą zaciągnąć do Skały!); jeszcze inni chcieli wprowadzić wybiórczą imigrację na zasadzie “kontyngentów etnicznych” (ciekawe, gdzie mnie by zaliczyli?). Byli tacy, co wymyślili, żeby zezwalać tylko na imigrację kobiet, dopóki proporcje nie wyrównają się. Na to ktoś krzyknął ze skandynawskim akcentem:

- Ja, kolego! Niech nam przyślą dziwy! Tysiące dziw! Ja się z nimi ożenię!

To były najrozsądniejsze słowa tego popołudnia.

Kiedy indziej spierali się o “czas”. Pewno, GMT nie ma żadnego związku z miesiącami lunańskimi. Ale po co ma mieć, skoro mieszkamy pod powierzchnią? Ciekawe, ilu Lunatyków potrafi dwa tygodnie spać i dwa tygodnie pracować; lunańskie miesiące, a właściwie dni, nie pasują do naszego metabolizmu. Ale wyszła propozycja, żeby jeden miesiąc lunański równał się dokładnie 28 dniom (a nie 29 dniom, 12 godzinom, 44 min. 2,78 sęk.), co można osiągnąć przez przedłużenie dni - i godzin, minut i sekund, tak by każdy półmiesiąc trwał dokładnie dwa tygodnie.

Lunański miesiąc to oczywiście bardzo pożyteczna jednostka. Dzięki niej wiemy, kiedy wolno wychodzić na powierzchnię, po co i na jak długo. Ale poza tym, że od tego wypadlibyśmy z synchronizacji z naszym potężnym sąsiadem, czy ten gadatliwy próżniogłowiec pomyślał, co by się stało ze wszystkimi ważnymi liczbami w nauce i technice? Moja dusza elektronika zadrzała. Mamy wyrzucić nasze książki, tabele, instrumenty i zacząć wszystko od początku? Wiem, że część moich przodków zrobiła tak, kiedy przestawili się ze starych jednostek angielskich na Systeme International, ale oni chcieli w ten sposób u ł a t w i ć sobie życie. 14 cali na stopę i ileś tam stóp (jakaś dziwna liczba) na milę. Uncje i funty. Och, Boże!

T a m t o warto było zmieniać - ale po co za wszelką cenę robić zamieszanie?

Ktoś żądał powołania komisji, która dokładnie zdefiniuje język lunański, i karania grzywną wszystkich przyłapanych na mówieniu ziemską angielszczyzną albo innym językiem. Oj, ludzie!

Czytałem w *Lunatyku* projekty ustaw podatkowych - cztery rodzaje "jednoodatkowców" - podatek od przestrzeni, zniechęcający do przedłużania tuneli, podatek pogłówny (każdy płaci tyle samo), podatek dochodowy (ciekawe, kto by wyliczył dochody Rodziny Davisów albo wyciągnął jakiegokolwiek informacje od Mamy!) tudzież "podatek od powietrza", coś innego niż ówczesne opłaty.

Nie spodziewałem się, że w "Wolnej Lunie" będą podatki. Przedtem żadnych nie było, i jakoś sobie radziliśmy. Za wszystko trzeba (było) płacić. Jakżeby inaczej?

Innym razem jakiś nadęty koleś zażądał, aby cuchnący oddech nadmierne pocenie uznać za przestępstwo karane eliminacją. Omal nie z nim nie zgodziłem, bo parę razy musiałem dzielić kapsułę z takimi śmierdziuchami. Ale to się rzadko zdarza, a winowajcy sami się poprawiają; recydywiści albo nieszczęśnicy, którzy nie mogą temu zaradzić, nie rozmnażają się, gdyż nasze kobiety są niezwykle wybredne.

Jedna kobieta (w większości byli to mężczyźni, ale tamtejsze kobiety przebijały ich zbiorową głupotą) miała długą listę projektów stałych praw - w sprawach osobistych. Zakaz wieloosobowych małżeństw jakiegokolwiek rodzaju. Zakaz rozwodów. Zakaz "cudzołóstwa" - musiałem sprawdzić to słowo w słowniku. Zakaz napojów mocniejszych od 4% piwa. Nabożeństwa tylko w sobotę, a wszystko Inne ma tego dnia stać. (Klimatyzacja, ogrzewanie i uszczelnianie, paniusiu? Telefony i kapsuły?) Długa lista zakazanych lekarstw i krótsza dostępnych tylko z recepty dyplomowanych medyków. (Co to jest "dyplomowany medyk"? Znachor, do którego chodzę, ma szyld "lekarz praktyczny" - a chodzę do niego, bo dorabia sobie bukmacherstwem. Paniusiu, w Lunie nie ma szkół medycznych!) (To znaczy, wtedy nie było.) Chciała nawet zakazać hazardu. Jeśli Lunatyk nie może sobie porzucić, to zawsze znajdzie jakąś melinę, nawet jeśli będą w niej podrasowane kości.

Najbardziej wkurzyła mnie nie jej lista rzeczy, których nienawidziła, bo od razu było widać, że jest stuknięta jak cyborg, ale fakt, że zawsze ktoś zgadzał się z jej zakazami. Widocznie głęboko w każdym ludzkim sercu ukryte jest pragnienie przeszkadzania bliźnim w robieniu tego, co lubią. Prawa, przepisy - zawsze dla i n - n y c h. Jest w nas takie mroczne coś, coś, co mieliśmy, zanim zeszliliśmy z drzew i czego do tej pory nie zdołaliśmy strząsnąć. B o a n i j e d e n z nich nie powiedział: "Uchwalcie to, żebym nie mógł robić rzeczy, których nie powinienem". Niet, towarzysze, z a w s z e chodziło o coś, co robili inni. Trzeba ich było powstrzymać "dla ich własnego dobra" - nie dlatego, że ponoć szkodziło to w czymś projektodawcy.

Słuchając tego posiedzenia niemal zatęskniłem za Mortem Kurzajką. On przynajmniej siedział z haremem w swojej dziurze i nie wtrącał się do naszych spraw osobistych.

Ale Profesor nie podniecał się; uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

- Manuelu, czy naprawdę uważasz, że ta zgraja niedorozwiniętych dzieci uchwali jakieś

prawa?

- Sam im pan kazał. Wezwał ich pan do tego.

- Mój drogi Manuelu, chciałem po prostu zebrać wszystkich czubków w jednym miejscu. Znam takich; musiałem ich słuchać przez wiele lat. Dobrałem te komisje bardzo starannie; w każdą jest wbudowane zamieszanie i kłótnie. Przewodniczący, którego wydaje im się, że wybrali - to ja go podsunąłem - jest umysłowo upośledzony i nie potrafiłby nawet rozplątać kawałka sznurka - wciąż oświadcza, że "temat wymaga dalszych rozważań". Właściwie nie musiałem tak intrygować; więcej niż sześć osób nigdy nie osiągnie porozumienia - trzy już prędzej - a do roboty dla jednego człowieka najlepiej nadaje się jeden człowiek. Dlatego zawsze w historii, jeśli ciała parlamentarne czegoś dokonały, to dzięki paru silnym ludziom, którzy zdominowali resztę. Nie bój się, synu, ten Doraźny Kongres niczego nie dokona... a jeśli przez nieuwagę coś uchwalą, to będzie w tym tyle sprzeczności, że na nic się nie przyda. Póki co, mamy z nimi spokój. Poza tym, mam dla nich zadanie, ale to na potem.

- Przecież mówił pan, że oni nic nie zrobią.

- Nie będą musieli nic robić. Napisze to pewien człowiek - nieżywy człowiek - i późno w nocy, kiedy będą bardzo zmęczeni, uchwalą to przez aklamację.

- Co to za nieżywy człowiek? Czy może Mike?

- Nie, nie! Mike jest bardziej żywy od wszystkich tych krzykaczy razem wziętych. Ten nieżywy człowiek to Tomasz Jefferson - pierwszy z racjonalnych anarchistów, mój chłopcze, posługiwał się najcudowniejszą retoryką wszechczasów i pod jej kamuflażem niemal zdołał przemycić swój nie-system. Ale przyłapali go, czego ja mam nadzieję uniknąć. Jego stylu już nie można poprawić; zaadaptowałem tylko tekst do warunków Luny i XXI wieku.

- Słyszałem o nim. Uwolnił niewolników, niet?

- Można powiedzieć, że próbował, ale mu się nie udało. Nieważne. Jak idą przygotowania do obrony? Nie spodziewam się, byśmy mogli podtrzymywać pozory po dacie lądowania tego statku.

- Tak szybko nie damy rady.

- Mike mówi, że musimy.

Nie udało się nam, ale statek nie wylądował. Ci naukowcy przechytrzyli mnie i Lunatyków, którym kazałem ich pilnować. Umieścili w ognisku największego reflektora jakąś maszynę, nasi laboranci uwierzyli w ich tłumaczenia, że to do celów astronomicznych - ostatni krzyk mody dla radioteleskopów.

Tak chyba można by to nazwać. Nadawała ultramikrofale, które falowód dostarczał do reflektora, i wylatywały z teleskopu elegancko ułożone przez zwierciadło. Pomysł w stylu wczesnego radaru. Metalowy szkielec i folia chroniąca tubus przed gorącym zatrzymywały zabłąkane promienie, w związku z czym rozstawione przeze mnie "uszy" nic nie słyszały.

Przekazali wiadomość, w ich wersji, ze wszystkimi szczegółami. Dowiedzieliśmy się o tym, kiedy Zarząd kazał gubernatorowi zdementować tę mistyfikację, znaleźć kawalarza i ukarać go.

Zamiast tego posłaliśmy im Deklarację Niepodległości.

“Na Kongresie zgromadzeni, dnia czwartego lipca, roku dwutysięcznego siedemdziesiątego szóstego...”

Coś p i ę k n e g o.

ROZDZIAŁ XV

Podpisanie Deklaracji Niepodległości odbyło się tak, jak zapowiadał Profesor. Zaskoczył ich pod koniec pewnego długiego dnia. Zapowiedział, że po kolacji odbędzie się specjalne posiedzenie, na którym przemówi Adam Selene. Adam przeczytał ją na głos, omawiając każde zdanie, a potem drugi raz bez przerw, zmieniając dźwięczne frazy w muzykę. Ludzie płakali. Wyoh, która siedziała koło mnie, też, a i ja miałem ochotę choć czytać to już przedtem.

Potem Adam spojrzał na nich i rzekł:

- Przyszłość czeka na was. Dobrze zważajcie, co czynicie - i zamiast zwykłego przewodniczącemu, oddał głos Profesorowi.

Była 22.00; zaczęła się przepychanka. Oczywiście, wszystkim się podobało; przez cały dzień wiadomości do znudzenia powtarzały, jacy jesteśmy niegrzeczni, jak trzeba nas ukarać, dać nauczkę itd. Nie musieliśmy nic fałszować; Ziemniacy byli na nas wściekli - wystarczyło, że Mike nie transmitował opinii drugiej strony. Jeśli kiedykolwiek w historii panowała w Lunie całkowita jednomyślność, to było to 2 VII 2076.

A więc uchwalą; Profesor wiedział o tym, zanim im to zaproponował.

Ale nie bez poprawek.

- Szanowny panie przewodniczący, w drugim akapicie, słowo “przyrodzone”, nie ma takiego słowa; powinno być “z urodzenia nabyte” - a w ogóle, czy nie dostojniej byłoby powiedzieć “święte prawa”, a nie “z urodzenia nabyte prawa”? Proszę o głosy w tej sprawie. Zresztą ten koleś mówił prawie rozsądnie, krytyk literacki, nieszkodliwy, coś jak martwe drożdże w piwie. Ale... Cóż, na przykład ta kobieta, której wszystko przeszkadzało. Miała swoją listę; przeczy- i przeczytała ją na głos i wniosła o umieszczenie jej w Deklaracji, “aby narody Terry wiedziały, że jesteśmy cywilizowani i godni zajmując miejsce w zgromadzeniach ludzkości!”

Profesor nie tylko puścił jej to płazem, ale jeszcze zachęcał ją do gadania, kiedy inni dopominali się o głos - po czym szarmancko, nie czekając na wniosek z sali, zarządził głosowanie nad jej projektem. (Regulamin obrad Kongresu uchwalono po wielodniowych sporach. Profesor znał reguły, ale stosował się tylko do tych, które mu odpowiadały.) Doczekała się jednego głośnego krzyku i zmyła się jak niepyszna.

Potem ktoś wstał i powiedział, że na tę długą listę nie ma, oczywiście, miejsca w Deklaracji, ale może byśmy sformułowali jakieś ogólne zasady. Może oświadczenie, że Wolne Państwo Luna gwarantuje powszechną wolność, równość i bezpieczeństwo? Nic skomplikowanego, tylko te podstawowe zasady, które, jak każdy wie, stanowią właściwy cel działania rządów.

Dobrze mówi, uchwalmy to, ale niech będzie “Powszechna wolność, równość, pokój i bezpieczeństwo” - zgoda, towarzyszu? Kłócili się, czy “wolność” oznacza “wolny dostęp do powietrza”, czy też należy on do “bezpieczeństwa”. Może na wszelki wypadek dopiszemy “wolny

dostęp do powietrza”? Wniosek o kolejną poprawkę: “do powietrza oraz wody”, bo do “wolności” i “bezpieczeństwa” potrzeba i powietrza, i wody.

Do powietrza, wody i ż y w n o ś c i.

Do powietrza, wody, żywności i p r z e s t r z e n i.

Do powietrza, wody, żywności, przestrzeni i c i e p ł a.

Nie, zamieńmy “ciepło” na “energię” i wszystko będzie. Wszystko.

Czyś ty, koleś, zgłupiał? To wcale nie wszystko, bynajmniej, a twoje przemilczenia stanowią zniewagę dla każdej kobiety... Może porozmawiamy za drzwiami?! Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Musimy im wyraźnie oświadczyć, że nie zezwolimy lądować żadnym statkom, na których nie będzie co najmniej tyle samo kobiet, co mężczyzn. Co najmniej, powiedziałem... i nie wiem, jak wy, ale ja nie podpiszę się pod tym papierem, jeśli nie zajmie się on sprawą imigracji.

Profesorowi dołki nie znikają z twarzy.

Powoli pojmo wałem, dlaczego Profesor spał przez cały dzień i nie miał ciężarków. Ja byłem wymęczony, bo cały dzień spędziłem w skafandrze na powierzchni nad rampą wyrzutni, okopując ostatni z przeniesionych radarów balistycznych. Wszyscy byli zmęczeni; koło północy zaczęli wychodzić, przekonani, że tej nocy niczego nie dokonają i znudzeni głupim gadaniem - cudzym, nie swoim.

Już po pomocy ktoś zapytał, dlaczego ta Deklaracja ma datę czwartego lipca, skoro dzisiaj jest drugi. Profesor łagodnie powiedział, że jest już trzeci - a prawdopodobnie Deklaracja zostanie ogłoszona najwcześniej czwartego... - a poza tym czwarty lipca niesie z sobą pożądaną symbolikę historyczną.

Słyszając, że do czwartego lipca pewno i tak nic się nie rozwinie, jeszcze kilka osób wyszło. Ale ja coś spostrzegłem: do sali przybywało co najmniej tylu ludzi, ilu z niej wychodziło. Finn Nielsen wśliznął się w opróżniony właśnie fotel. Zauważyłem towarzysza Clayтона z Hongkongu, który położył mi dłoń na ramieniu, uśmiechnął się do Wyoh i znalazł sobie miejsce. Na przedzie dostrzegłem moich najmłodszych pomocników, Slima i Hazel - i akurat myślałem, że muszę wybronić Hazel przed Mamą i powiedzieć jej, że zleciłem małej partyjną robotę, kiedy zdziwiony zobaczyłem samą Mamę, siedzącą z nimi. I Sidris. I Grega, który podobno był przy wyrzutni.

Rozejrzałem się i rozpoznałem jeszcze kilkunastu - nocnego redaktora *Lunnej Prawdy*, naczelnego dyrektora LUNOHOCO i innych działaczy. Zaczęło do mnie docierać, że Profesor z góry ustalił ten skład. Kongres nigdy nie miał stałej listy członków; prawdziwi towarzysze mieli równe prawo uczestnictwa, co gadyły z miesięcznym stażem. Teraz zasiedli na sali - i głosowali przeciw poprawkom.

Okolo trzeciej, kiedy zastanawialem się, jak długo jeszcze wytrzymam, ktoś przyniósł kartkę dla Profesora. Ten przeczytał ją, grzotnął przydialnym młotkiem i powiedział:

- Adam Selene prosi zgromadzonych o uwagę. Czy słyszę jednogłośnie zgodę?

Więc ekran za podium znów zapłonął i Adam oznajmił, że przysłuchiwał się obradom i radością napawa go tak wszechstronna, rozsądna i konstruktywna krytyka. Ale czy mógłby coś zaproponować? Przyznajmy, że wszystkie pisane dokumenty są niedoskonałe. Jeśli ta Deklaracja ogólnie im odpowiada, to niech odłożą jej doskonalenie na kiedy indziej i uchwalą ją w obecnej postaci.

- Szanowny panie przewodniczący, popieram wniosek.

Uchwalili przez aklamację - rykiem. Profesor spytał:

- Kto jest przeciw? - i czekał z uniesionym młotkiem. Facet, który gadał, kiedy Adam poprosił o głos, powiedział:

- Cóż... n a d a l uważam, że ten imiesłów nie pasuje, ale okay, niech już tak zostanie.

Profesor walnął młotkiem.

- Uchwalone!

I ustawiliśmy się rzędem, i podpisaliśmy na wielkim zwoju, który “przesłano z biura Adama” - zauważyłem na nim podpis Adama. Złożyłem mój zaraz pod Hazel - umiała już pisać, choć nadal brakowało jej książkowej wiedzy. Jej podpis był krzywy, ale wielki i dumny. Towarzysz Clayton napisał swój partyjny pseudonim, prawdziwe nazwisko w alfabecie, i japoński podpis - trzy małe obrazki jeden pod drugim. Dwaj towarzysze podpisali się krzyżykami i poprosili ich poświadczenie. Tej nocy (tego ranka) byli na sali wszyscy przywódcy Partii, wszyscy złożyli podpisy, a gaduł zostało tylko kilkunastu. Ale i oni podpisali się na wieczne świadectwo. I tak poręczyli Deklarację “swoim życiem, swoim mieniem i swoim świętym honorem”.

Kiedy kolejka przesuwała się powoli, a ludzie rozmawiali, Profesor stuknięciem młotka poprosił o uwagę.

- Apeluję o ochotników do niebezpiecznej misji. Naszą Deklarację prześlemy drogą radiową - ale Narodom Sfederowanym na Terra trzeba doręczyć ją osobiście.

Uciszyli się. Profesor patrzył na mnie. Odchrząknąłem i powiedziałem: - Zgłaszam się. - Ja też! - odezwała się natychmiast Wyoh, i mała Hazel Mead: - I ja!

Po chwili było już kilkunastu, w tym Finn i gospodin Imiesłów (równy gość, jak się okazało, tyle że stuknięty na tym jednym punkcie). Profesor zapisał nazwiska i mruknął coś, że skontaktuje się z nimi, kiedy tylko załatwi sprawę transportu.

Odciągnąłem Profesora na stronę i spytałem:

- Co jest, Profesorze, nie słucha pan wiadomości? Wie pan, że ten statek na siódmego jest odwołany; teraz chcą urządzić nam embargo. Następny statek, który skieruje się na Lunę, to będzie

okręt wojenny. Jak chce pan podróżować? Jako jeniec?

- Och, obejdziemy się bez ich statków.

- Czyżby? Sami sobie zbudujemy? Ma pan pojęcie, ile to trwa? O ile w ogóle potrafimy. W co wątpię.

- Manuelu, Mike mówi, że to konieczne - i że przygotował już cały plan.

Wiedziałem, że Mike stwierdził, że to konieczne; ledwo dowiedzieliśmy się, że mądralki z Richardsona wysłały depezę do domu, wyliczył na nowo nasze szansę - mieliśmy teraz jedną na 53... a to wyłącznie pod warunkiem, że Profesor pojedzie na Ziemię. Ale ja nie martwię się niemożliwościami; tyrałem przez cały dzień, żeby łatwiej było nam trafić w tę jedną szansę na 53.

- Statkiem zajmie się Mike - mówił dalej Profesor. - Opracował projekt, i teraz jest on w realizacji.

- Czyżby? W realizacji? Od kiedy to Mike jest inżynierem?

- A nie jest? - spytał Profesor.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale przymknąłem się. Mike nie ma uniwersyteckich dyplomów. Ale zna się na technice lepiej niż jakikolwiek człowiek na świecie. I na sztukach Szekspira, i na zagadkach, i na historii, i na czym tylko chcecie.

- Niech pan opowiada.

- Manuelu, polecimy na Terrę jako ładunek ziarna.

- Co? Jacy "my"?

- Ty i ja. Inni ochotnicy byli tylko dla ozdoby.

- Panie Profesorze - powiedziałem. - Zawsze byłem z wami. Harowałem ciężko, kiedy wydawało się, że nie mamy żadnych szans. Nosilem te ciężarki - mam je nawet teraz - na wypadek, gdybym musiał jechać na tę obrzydliwą planetę. Ale myślałem, że polecę na s t a t k u, z pilotem, choćby cyborgiem, który mnie bezpiecznie doprowadzi na miejsce. N i e zgodziłem się robić za meteoryt.

- Świetnie, Manuelu - odrzekł. - Zawsze wierzyłem w wolny wybór. Pojedzie twój dubler.

- Mój... Kto?

- Towarzyszka Wyoming. O ile wiem, to jedyna poza nami osoba, która jest gotowa do takiej podróży... nie licząc paru Terran.

Więc pojechałem. Ale najpierw porozmawiałem z Mikiem. Powiedział cierpliwie:

- Man, mój pierwszy przyjacielu, nie masz się czego obawiać. Lecicie jako ładunek KM187/76 i dotrzecie do Bombaju bez kłopotu. Dla pewności - żebyś ty się pewniej czuł - wybrałem tę barkę dlatego, że zostanie przejęta z orbity parkingowej i wyląduje, kiedy Indie będą od mojej strony... i dodałem obwód blokady sygnałów ich kontroli naziemnej na wypadek, gdyby zachowywali się podejrzanie. Wierz mi, Man, wszystko przemyślałem. Nawet decyzja o kontynuowaniu wysyłki ziarna po przewrocie stanowiła część planu.

- Mogłeś mi powiedzieć.

- Niepotrzebnie byś się martwił. Profesor musiał o tym wiedzieć, i informowałem go o wszystkim. Ale ty jedziesz tylko po to, żeby się nim opiekować i być w rezerwie - wykonasz jego zadanie, jeśli umrze, a co do tego nie mogę ci podać żadnego prawdopodobieństwa. Westchnąłem.

- Okay. Ale, Mike, nie myślisz chyba, że na taką odległość przeprowadzisz miękkie lądowanie barki? Potkniesz się choćby o prędkość światła.

- Man, czy sądzisz, że nie znam się na balistyce? Na pozycji orbitalnej od zapytania do odpowiedzi i od wysłania polecenia do odebrania go mijają niecałe cztery sekundy... a możesz mi zaufać, że nie będę marnował mikrosekund. Na orbicie parkingowej wasz maksymalny dystans przebyty w cztery sekundy wyniesie tylko 32 km, co przy lądowaniu zmaleje asymptotycznie do zera. Mój czas reakcji w praktyce będzie krótszy niż u pilota prowadzącego ręczne lądowanie, ponieważ ja nie marnuję czasu na rozeznanie się w sytuacji i wybór odpowiedniego postępowania. Więc moje maksimum to cztery sekundy. Ale mój praktyczny czas reakcji będzie znacznie krótszy, bo wciąż dokonuję projekcji i prognozuję, przewiduję i programuję na zapas - w praktyce na całej trajektorii będę o cztery sekundy przed wami i w razie czego zareaguję natychmiast.

- W tej puszcze nie ma nawet wysokościomierza!

- Teraz już jest. Man, p r o s z ę c i ę, wierzaj mi; przewidziałem w s z y s t k o. Zamówiłem ten dodatkowy sprzęt wyłącznie dla twojego spokoju. W ostatnich pięciu tysiącach ładunków kontrola naziemna w Poona nie kropnęła się ani razu. Jak na komputer, całkiem niezłe.

- Okay. Eee, Mike, czy te cholerne barki mocno łupią o wodę? Ile g?

- Niewiele, Man. 10 g przy odpaleniu raket, co następnie opada do równych, miękkich 4 g... potem, przed samym wodowaniem, szturchnie was znowu jakieś pięć-sześć g. Samo wodowanie jest bardzo łagodne, odpowiednik upadku z 50 metrów, wchodzicie w wodę dziobem, bez żadnych nagłych wstrząsów, niecałe 3 g. Potem wyskakujecie nad powierzchnię i znów w wodę, delikatnie, i pływacie sobie w 1 g. Man, te barki mają bardzo lekkie kadłuby, dla oszczędności. Nie można nimi ciskać, bo rozpadłyby się w szwach.

- Jak słodko. Mike, co z tobą zrobiłoby "jakieś pięć-sześć g"? Czy rozpadłbyś się w szwach?

- Wnoszę, że podczas transportu do Luny poddany byłem około 6 g. W moim obecnym stanie 6 g przerwałoby większość najważniejszych łącz. Jednakże bardziej interesują mnie skrajnie wysokie, krótkotrwałe przyspieszenia, jakich dozna pod wpływem fal uderzeniowych podczas

terrańskiego bombardowania. Nie dysponuję danymi niezbędnymi do prognozy... lecz mogę stracić kontrolę nad moimi zewnętrznymi funkcjami, Man. To może stanowić ważny czynnik w każdej sytuacji taktycznej.

- Mike, naprawdę myślisz, że nas zbombardują?

- To nieuniknione, Man. Właśnie dlatego ta podróż jest tak potrzebna.

Miałem już dosyć; poszedłem obejrzeć tę trumnę. Zaraz pożałowałem mojej ciekawości.

Widzieliście kiedyś jedną z tych kretyńskich barek? Taki cylinder ze stali, z raketami wstecznymi i kierującymi i radiolatarnią. Na tyle przypomina statek kosmiczny, na ile kombinerki przypominają moją rękę nr 3. Nasza była rozcięta, właśnie wyposażali naszą "kabinę".

Bez kambuza. Bez WC. Bez niczego. Po co? Spędzimy w niej tylko pięćdziesiąt godzin. Ruszamy o pustym żołądku, nie będziemy potrzebować woreczka w skafandrze. Obejdzie się bez bufetu i baru; całą podróż przesiedzimy w skafandrach, na narkotykach, nic nas nie będzie obchodzić.

Przynajmniej Profesor większość czasu będzie pod narkozą; ja przy lądowaniu miałem być przytomny i wydobyć nas z tej pułapki, gdyby coś nie wyszło i facet z kluczem do konserw nie zjawił się. Zakładali wyprofilowaną kołyskę, dopasowaną do tyłu od skafandra; mieliśmy być przypasani do tych dziur. I siedzieć w nich aż do Terry. Bardziej od naszej wygodzie interesowało ich, żeby masa brutto wynosiła tyle, co masa zwykłej barki z pszenicą, żeby środek ciężkości był w tym samym miejscu i żeby ramiona wszystkich momentów wynosiły w sumie tyle, ile trzeba; kierujący pracą inżynier powiedział mi, że zważyli nawet dodatkową wyściółkę w naszych skafandrach.

Ucieszyłem się, że będziemy mieli wyściółkę; te dziury nie wyglądały na miękkie.

Wróciłem do domu pogrążony w zadumie.

Wyoh nie było na kolacji, co rzadko się zdarza; Greg był, co zdarza się jeszcze rzadziej. Nikt nie mówił o tym, że jutro mam udawać spadający kamień, choć wszyscy wiedzieli. Ale dopiero kiedy cała przyszłość rodziny z własnej woli znikła od stołu, uświadomiłem sobie, że szykuje się coś specjalnego. Zrozumiałem, dlaczego Greg nie wrócił rano, po zamknięciu posiedzenia Kongresu, na budowę na Marę Undarum; ktoś zwołał rodzinną naradę.

Mama rozejrzała się i powiedziała:

- Są tu wszyscy. Ali, zamknij drzwi; dziękuję, kochanie. Dziadku, zaczniesz?

Nasz najstarszy mąż przestał kiwać się nad kawą i wyprostował się. Spojrzał wzdłuż stołu i stanowczo oświadczył:

- Widzę, że jesteśmy tu wszyscy. Widzę, że dzieci poszły spać. Widzę, że nie ma wśród nas obcych ani gości. Stwierdzam, że zebraliśmy się zgodnie ze zwyczajami ustanowionymi przez Czarnego Jacka Davisa, naszego Pierwszego Męża, i Tillie, naszą Pierwszą Żonę. Jeśli są jakieś sprawy związane z bezpieczeństwem i szczęściem naszego małżeństwa, niech wyjdą na światło

dziennie teraz. Niech nie jątrzą się po kryjomu. Taki jest nasz zwyczaj.

Dziadek spojrzął na Mamę i powiedział cicho:

- Zajmij się resztą, Mimi - i znów zapadł w spokojną apatię. Ale przez minutę był silny, przystojny, męski, dynamiczny, jak wtedy, kiedy się wślubiłem... i z nagłymi łzami w oczach pomyślałem sobie, jaki ze mnie był kiedyś szczęściarz.

Potem zacząłem się zastanawiać, czy nadal mogę uważać się za szczęściarza. Nie przychodził mi do głowy żaden powód do rodzinnej narady poza tym, że jutro mieli mnie wysłać na Ziemię z nalepką "ziarno". Czyżby Mama chciała namówić Rodzinę, żeby temu przeszkodzili? Nikt nie musi się stosować do wyników narady. Ale wszyscy się stosują. Na tym polega siła naszego małżeństwa: w konkretnych sprawach zawsze jesteśmy solidarni.

Mimi mówiła:

- Czy ktoś ma coś, co trzeba poddać pod dyskusję? Śmiało, kochani.

- Ja mam - powiedział Greg.

- Wysłuchajmy Grega.

Greg to dobry mówca. Może stanąć w kościele i bez żenady mówić o sprawach, o jakich ja boję się nawet myśleć. Ale tego wieczora był strasznie skrępowany.

- Więc, hmm, zawsze staraliśmy się zachować w tym małżeństwie równowagę, tyle samo starych i młodych, regularną rotację, w stałych odstępach, tak jak było przed nami. Ale czasami odstępowaliśmy od tego - dla ważnych powodów. - Spojrzął na Ludmiłę. - A potem wyrównywaliśmy to. - Znów spojrzął na koniec stołu, gdzie po dwóch stronach Ludmiły siedzieli Frank i Ali.

- Nasze kroniki mówią, że średni wiek mężów wynosił zawsze około 40, żon około 35 - i od takiej różnicy wieku zaczęło się nasze małżeństwo, ponad sto lat temu, bo Tillie miała 15 lat, kiedy poślubiła Czarnego Jacka, a on właśnie skończył 20. Obecnie przeciętny wiek mężów wynosi niemal dokładnie 40 lat, żon zaś...

- Dajmy sobie spokój z arytmetyką, Greg, kochanie - powiedziała stanowczo Mama. - Powiedz, o co ci chodzi.

Próbowałem wyobrazić sobie, o co może chodzić Gregowi. Owszem, w ciągu zeszłego roku dużo czasu spędziłem poza domem, a do domu często wracałem, kiedy już wszyscy spali. Ale niewątpliwie mówił on o małżeństwie, a w naszym małżeństwie nikt nie wnosi o nowe wesele, nie umożliwiwszy przedtem wszystkim dokładnego przebadania kandydata. Po prostu inaczej się tego nie r o b i !

Więc jestem głupi. Greg wyjąkał:

- Wnoszę o wślubienie Wyoming Knott!

P o w i e d z i a ł e m, że jestem głupi. Rozumiem maszyny, a maszyny rozumieją mnie. Ale nie twierdzę, bym wiedział cokolwiek o ludziach. Kiedy zostanę seniorem, o ile dożyję takiego wieku, zrobię dokładnie to, co Dziadek robi z Mamą: wszystkim będzie zajmować się Sidris. Choć... Na przykład Wyoh przeszła na wiarę Grega. Ja sam lubię Grega, kocham Grega. I podziwiam go. Ale gdyby teologię jego Kościoła przepuścić przez komputer, wyjdzie dokładnie zero. Wyoh na pewno o tym wiedziała, była w końcu dorosła - szczerze mówiąc podejrzewałem, że nawrócenie Wyoh dowodzi, że dla naszej Sprawy uczyni ona w s z y s t k o.

Ale Wyoh jeszcze przedtem zwerbowała Grega. I to ona najczęściej jeździła do nowej wyrzutni, bo jej łatwiej było się wyrwać niż mnie czy Profesorowi. No, cóż. Zaskoczyli mnie. A nie powinni.

Mimi powiedziała:

- Greg, czy masz powody, by sądzić, że Wyoming zgodzi się wślubić w nas?

- Tak.

- Świetnie. Wszyscy znamy Wyoming; jestem pewna, że wszyscy wyrobiliśmy sobie opinie o niej. Nie uważam, by potrzebna była dyskusja... chyba że ktoś ma coś do powiedzenia? Śmiało.

Mamy nie zaskoczyli. Nic dziwnego. Ani nikogo innego, bo Mama nigdy nie pozwala na naradę, jeśli nie zna z góry jej wyniku.

Choć zastanawiałem się, jak Mama może być pewna mojej opinii, tak pewna, że nawet nie wybadala mnie przedtem. I siedziałem tak, w rozterce, wiedziałem, że muszę się odezwać, że wiem coś strasznie istotnego, czego nikt inny nie wie, bo inaczej sprawy nie zaszłyby tak daleko. Coś, co dla mnie nie było ważne, ale co byłoby ważne dla Mamy i wszystkich naszych kobiet.

Siedziałem, żaloszny tchórz, i milczałem.

- Doskonale - powiedziała Mama. - Głosujemy. Ludmiła?

- Ja? Ależ ja uwielbiam Wyoh, wszyscy o tym wiedzą. Oczywiście!

- Lenore, kochanie?

- Cóż, chyba postaram się ją namówić, żeby znów robiła się na ciemno; w ten sposób nawzajem akcentujemy naszą urodę. Ale to jej jedyna wada, że jest ode mnie jaśniejsza. Da!

- Sidris?

- Kciuki w górę. Wyoh to człowiek w naszym typie.

- Anna?

- Mimi, zanim oddam głos, chciałabym coś powiedzieć.

- Nie sędzę, by to było konieczne, kochanie.

- Mimo wszystko wolę wydobyć to na światło dzienne, jak według naszej tradycji zawsze czyniła Tillie. W tym małżeństwie każda żona zawsze nosiła swoje brzemie, dawała rodzinie dzieci. Niektórzy z was zdziwią się słysząc, że Wyoh urodziła już ośmioro dzieci...

Ali na pewno się zdziwił; gwałtownie opuścił głowę, opadła mu szczęka. Ja też wgapiłem się w talerz. Oj, Wyoh, Wyoh! Jak mogłem na to pozwolić? Będę m u s i a ł się odezwać.

I dotarło do mnie, że Anna mówi dalej:

- ... więc teraz może ona mieć własne dzieci; operacja powiodła się. Ale martwi się, że urodzi jeszcze jedno kalekie dziecko, choć zdaniem kierownika kliniki w Hongkongu to mało prawdopodobne. Więc musimy kochać ją tak mocno, żeby przestała się martwić.

- Będziemy ją kochać - powiedziała łagodnie Mama. - Już ją kochamy. Anno, czy teraz możesz wyrazić swoją opinię?

- To chyba zbyt uczucie. Pojechałam z nią do Hongkongu, trzymałam ją za rękę, kiedy otwierali jej jajowody. Głosuję za Wyoh.

- W tej rodzinie - kontynuowała Mama - zawsze uważaliśmy, że nasi mężowie powinni mieć prawo weta. Może to ekstrawagancja, ale Tillie wprowadziła to, i nigdy nie pożałowaliśmy. A więc, Dziadku?

- Hę? Co mówiłaś, kochanie?

- Głosujemy nad wślubieniem Wyoming, gospodin Dziadek. Czy zgadzasz się?

- Co? Ależ oczywiście, oczywiście! Bardzo miła dziewczynka. A co się stało z tą śliczną Murzynką, tak jakoś podobnie się nazywała? Pogniewała się na nas?

- Greg?

- Sam o to wniosłem.

- Manuel? Czy zabraniasz tego?

- Ja? Przecież mnie znasz, Mamo.

- I owszem. Czasami zastanawiam się, czy ty siebie znasz. Hans?

- Co by się stało, gdybym powiedział "Nie"?

- Straciłbyś parę zębów, ot co - odpyskowała natychmiast Lenore. - Hans jest za.

- Dość tego, kochani - powiedziała Mama z delikatną przyganą. - Wślubienie to nie żarty. Hans, mów.

- Da. Yes. Ja. Oui. Si. Najwyższy czas, żeby jakaś blondynka rozjaśniła tę... Au!

- Lenore, przestań. Frank?

- Tak, Mamo.

- Ali, kochanie? Czy przyjmujemy jednogłośnie?

Chłopak zarumienił się po uszy i nie mógł wykrztusić słowa. Kiwnął zamaszycie głową.

Zamiast wyznaczyć męża i żonę, którzy odszukaliby kandydatkę i oświadczyli się jej, Mama kazała Ludmile i Annie przyprowadzić Wyoh - okazało się, że była ona w "Bon Tonie", o parę kroków. Nie tylko w tym nie trzymaliśmy się tradycji; nie uzgodniliśmy daty wesela, zawołaliśmy jedynie dzieci, po dwudziestu minutach Greg otworzył swą Księgę i wszyscy złożyliśmy śluby - i wreszcie dotarło do mojego tępego łba, że robi się to na złamanie karku dlatego, że jutro ja mam sobie złamać kark.

Zresztą mnie obchodziło to wyłącznie jako symbol miłości mojej rodziny do mnie, gdyż panna młoda spędza pierwszą noc z mężem-seniorem, a jutro i pojutrze ja będę spędzał noc w przestrzeni. Ale jakoś o b c h o d z i ł o to mnie, i kiedy podczas ceremonii kobiety zaczęły płakać, ja sam przyłapałem się, że coś mi kapie z oczu.

Potem poszedłem spać, sam w warsztacie, a Wyoh ucałowała mnie i odeszła, wsparta na ramieniu Dziadka. Byłem strasznie zmęczony, ostatnie dwa dni były okropne. Przypominałem sobie o ćwiczeniach i stwierdziłem, że teraz już i tak nic nie pomogą; pomyślałem, że można by zadzwonić do Mike'a i spytać go o wiadomości z Terry. Położyłem się.

Nie wiem, jak długo spałem, zanim uświadomiłem sobie, że już nie śpię i że w pokoju ktoś jest. W ciemności rozległ się cichy szept:

- Manuel?

- Co? Wyoh, kochanie, czego tu szukasz?

- Dobrze wiem, czego szukam, mój mężu. Mama wie, że tu jestem, i Greg. A Dziadek zaraz zasnął.

- Och. Która godzina?

- Koło czwartej. Proszę, kochanie, czy mogę się położyć?

- Co? Och, oczywiście. - Jeszcze coś. Aha. - Mike!

- Tak, Man? - odpowiedział.

- Wyłącz się. Nie słuchaj. W razie czego dzwoń pod telefon rodzinny.

- Wyoh już mi to powiedziała, Man. Gratuluję!

Potem ona złożyła głowę na moim kikutcie, a ja objąłem ją prawym ramieniem.

- Czemu płaczesz, Wyoh?

- Nie płaczę! Tylko śmiertelnie się boję, że nie wrócisz!

ROZDZIAŁ XVI

Zbudziłem się śmiertelnie przerażony, a ciemno było, choć oko wykol.

- Manuel! - Nie wiedziałem, gdzie góra, a gdzie dół. - Manuel! - znów zawołało. -Z b u d ź s i e!

Trochę od tego otrzeźwiałem; to był sygnał, który miał mnie postawić na nogi. Przypomniałem sobie, jak leżałem na stole w szpitalu w Kompleksie, patrzyłem się na lampę pod sufitem i słuchałem jakiegoś głosu, a w moje żyły kapał narkotyku. Ale to działo się sto lat temu, i minął od tego czasu nieskończony okres koszmarów, nieznośnej ciężkości, bólu.

Zrozumiałem, dlaczego nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół; przeżyłem już takie stany. Nieważkość. Byłem w przestrzeni.

Co nie wyszło? Czyżby Mike zapomniał gdzieś o przecinku? A może poniosła go jego dziecięca natura i wypłatał nam figla nieświadom, że od tego zginie? A więc dlaczego ja żyję, po tych wszystkich latach cierpień? A może nie żyję? Czy tak czują się duchy - samotne, zagubione, nigdzie?

- Zbudź się, Manuel! Zbudź się, Manuel!

- Och, wytłum się! - parsknąłem. - Zamknij kalafę! - Nagranie dalej brzęczało; nie zwracałem już na to uwagi. Gdzie jest ten zafajdany przełącznik do światła? Nie, przyśpieszenie do lunańskiej prędkości ucieczki przy 3 g nie trwa stu lat, tak się tylko wydaje. 82 sekundy - ale przy tej okazji ludzki system nerwowy postrzega każdą mikrosekundę. Kurde, 3 g to 18 razy tyle, ile powinien ważyć Lunatyk.

I wtedy odkryłem, że ci próżniogłowcy nie założyli mi ręki. Pod jakąś głupią wymówką zdjęli ją, kiedy mnie rozbierali, a tyle we mnie wpakowali swoich pigulek na "nie martw się" i "śpijmy", że nawet nie protestowałem. Nie byłoby kłopotu, gdyby ją założyli z powrotem. Ale miałem ten szajsowaty pstryczek po lewej stronie, a rękaw skafandra był pusty.

Następne dziesięć lat zajęło mi odpinanie się jedną ręką, potem odbyłem dwudziestoletni wyrok pływania w ciemności, zanim znów odnalazłem kołyskę, wykoncypowałem, gdzie jest jej głowa i na podstawie tej przesłanki spróbowałem odnaleźć przełącznik. Żaden z wymiarów naszego przedziału nie przekraczał dwóch metrów. To w nieważkości i w egipskich ciemnościach zmienia się w rozmiary Starej Kopuły. Znalazłem to cholerstwo. Zapaliło się światło.

(I nie pytajcie, dlaczego ta trumna nie miała co najmniej trzech systemów oświetlenia, i dlaczego nie były one włączone przez cały czas. Pewno siła przyzwyczajenia. Jak jest światło, to musi być i pstryczek do światła, niet? Zbudowali to w dwa dni; powinienem się cieszyć, że przełącznik działał.)

Ledwo się zapaliło, przestrzeń skurczyła się do klaustrofobicznych rozmiarów albo i o 10%

mniej, a ja przyjrzałem się Profesorowi.

Raczej nie żył. Cóż, miał ku temu powody. Zazdrościłem mu, ale teraz miałem zbadać mu puls i oddech itd. na wypadek, gdyby miał pecha i nadal jechał ze mną na jednym wózku. I znów pojawiły się przeszkody, i to nie tylko wynikające z braku ręki. Jak zwykle przed załadunkiem ziarno wysuszono i poddano obróbce próżniowej, ale ta cela podobno była pod ciśnieniem - och, nic nadzwyczajnego, po prostu beczka z powietrzem w środku. Skafandry miały nam zabezpieczyć potrzeby takie, jak tlen na te dwa dni. Ale nawet w najlepszym skafandrze wygodniej jest w ciśnieniu niż w próżni, a poza tym miałem się dobrać do mojego pacjenta.

Nie mogłem. Nie musiałem otwierać hełmu, żeby stwierdzić, że ten złom stracił hermetyczność, oczywiście od razu poznałem to po skafandrze. Och, miałem dla Profesora leki, środki nasercowe itp., w połowych ampułach; mogłem dać mu zastrzyk przez skafander. Ale jak zbadać mu serce i oddech? Jego skafander należał do tych najtańszych, sprzedawanych Lunatykom, którzy rzadko kiedy wychodzą z osiedla; nie było na nim odczytów.

Profesor miał otwarte usta i szklisty wzrok. Umrzyk, stwierdziłem. Po co się pchał za kordon; sam się wyeliminował. Spróbowałem przyjrzeć się tętnu na jego szyi, ale zasłaniał je hełm.

Zaopatrzyli nas w zegar, co było z ich strony niezwykle uprzejme. Wyczytałem z niego, że byłem nieprzytomny przez 44 godziny z hakiem, zgodnie z planem, i że za trzy godziny dostaniemy straszego kopa, który umieści nas na orbicie parkingowej wokół Terry. Potem, po dwóch obrotach, powiedzmy jeszcze trzy godziny, odpalą rakiety i przystąpimy do lądowania - chyba że kontrola naziemna w Poona rozmyśli się i zostawi nas na orbicie. Przypomniałem sobie, że to mało prawdopodobne; ziarna nie zostawia się w próżni dłużej niż trzeba. Ma tendencję do zmieniania się w popcorn albo dęty ryż, od czego nie tylko spada jego wartość, ale i te blaszanki mogą rozlatywać się jak melony. Czyż to nie byłoby słodko? Dlaczego zapakowali nas razem z ziarnem? Czy nie mogli użyć jako balastu kamieni, które nie boją się próżni?

Miałem dość czasu, żeby o tym pomyśleć i bardzo zachciało mi się pić. Pociągnąłem ze smoczka pół łyka, nie więcej, bo na pewno nie miałem zamiaru wchodzić w 6 g z pełnym pęcherzem. (Niepotrzebnie się martwiłem; założyli mi cewnik. Ale nie wiedziałem o tym.)

Kiedy kończyło się czekanie, stwierdziłem, że nie zaszkodzi Profesorowi zastrzyk środka, który miał złagodzić skutki tego diabelskiego przeciążenia; potem, na orbicie parkingowej, naszprycuję go jeszcze lekiem na serce - bo nie wyglądało na to, żeby cokolwiek mogło mu zaszkodzić.

Podąłem mu pierwszy środek i przez pozostałe minuty jedną ręką szamotałem się z pasami. Żałowałem, że nie znam nazwiska mojego pomocnego przyjaciela; mógłbym go lepiej przeklinać.

10 g wprowadza na orbitę parkingową wokół Terry w zaledwie $3,26 \times 10$ mikrosekund; tylko wydaje się, że to dłużej, bo 10 g to 60 razy więcej, niż powinno się wymagać od delikatnego worka z protoplazmą. Powiedzmy, 33 sekundy. Słowo daję, chyba moja prababka z Salem spędziła gorsze pół minuty, kiedy kazali jej tańczyć przed inkwizytorem.

Wstrzyknąłem Profesorowi środek na serce i przez trzy godziny zastanawiałem się, czy mam do lądowania uspić jedynie Profesora, czy również i siebie. Doszedłem do wniosku, że obejdę się bez tego. Przy wystrzeleniu narkotyk działał tyle tylko, że zamiast półtorej minuty cierpień i dwóch dni nudy przeżyłem sto lat koszmarnych snów - a poza tym, jeśli te ostatnie minuty naprawdę okażą się moimi ostatnimi, to wolę przy nich być. Może będą paskudne, ale będą moje, i nie oddałbym ich za nic.

Były paskudne. 6 g wcale nie jest miłsze od 10; wydawało się gorsze. 4 g nie przyniosło ulgi. Potem znów kopnęło nas mocniej. Potem nagle, na parę sekund, wróciła nieważkość. Potem chrupnęliśmy, bynajmniej nie "łagodnie", a że wpadliśmy w wodę dziobem, to wodowanie amortyzowały pasy, nie kołyska. Podejrzewam też, że Mike nie zdawał sobie sprawy, że po głębokim nurze wrócimy na powierzchnię i znów łupniemy o wodę, i dopiero potem zacznie się pływanie. Ziemiacy mówią na to "pływanie",- ale w niczym nie przypomina to pływania w stanie nieważkości; wszystko odbywa się w 1 g, co sześć razy przekracza przyzwoite warunki, i do ; tego dochodzą chaotyczne ruchy boczne. Bardzo chaotyczne... Mike zapewnił nas, że Słońce jest spokojne i w tej Żelaznej Dziewicy nie grozi nam promieniowanie. Ale spokój ziemskiego Oceanu Indyjskiego już go tak nie interesował; prognoza zezwalała na lądowanie barek, i to mu chyba wystarczyło - zresztą mnie też by wystarczyło.

Miałem podobno pusty żołądek. Ale mimo to wypełniłem hełm najbardziej gorzką, najobrzydliwszą cieczą, jaką kiedykolwiek zdarzyło się wam obejść z bardzo daleka. Potem ustawiło nas do góry nogami, i naleciało mi tego plugastwa we włosy, do oczu i nawet do nosa. Ziemiacy mówią na to "choroba morska", i jest to jedno z tych okropieństw, z których okropności nawet nie zdają sobie sprawy.

Oszczędzę wam długiej opowieści o tym, jak holowali nas do portu. Niech wystarczy, że poza morską chorobą męczył mnie niedobór tlenu. W butlach mieliśmy porcje na 12 godzin normalnego oddychania, co z zapasem wystarczy na 50-godzinną podróż, przez której większość byłem nieprzytomny i w której trakcie nie musiałem wykonywać męczących fizycznie czynności, ale już nie na dodatkowe kilka godzin holowania. Kiedy wreszcie barka znieruchomiała, byłem tak oglupiały, że prawie zapomniałem o wydostaniu się z niej.

Pamiętani tylko jedno... Chyba jakoś wyciągnęli nas z wody i trochę nami porzucali, a potem złożyli nas w taki sposób, że znów byłem do góry nogami. Przy 1 g nic się w takiej pozycji nie zwojuje; a już w ogóle nie ma mowy, żeby: a) rozpiąć pasy, b) wydostać się z jamy o kształcie skafandra, c) odkręcić młot, przytwierdzony motylkowymi nakrętkami do grodzi, d) tymże młotem zgruchotać pokrywę zabezpieczającą luk awaryjny, e) wydostać się na zewnątrz i f) w końcu wyciągnąć za sobą starego człowieka w skafandrze.

Nie dokończyłem nawet etapu a); zemdlałem odwrócony do góry nogami.

Na szczęście to była procedura alarmowa, ostatnia deska ratunku. Stu LaJoie otrzymał wiadomość, zanim jeszcze wylecieliśmy; agencje informacyjne zostały powiadomione na krótko przed lądowaniem. Odzyskałem przytomność, zobaczyłem, że nachylają się nade mną jacyś ludzie, znów zemdlałem, po raz drugi ocknąłem się w szpitalnym łóżku, leżąc na plecach, czując ciężkość w piersi - choć nie byłem chory, tylko zmęczony, posiniaczony, głodny, spragniony, ociężały. Nad

łóżkiem rozpięty był przezroczysty plastikowy namiot, dzięki któremu mogłem oddychać bez trudu.

Natychmiast wzięli mnie w kleszcze, z jednej strony drobna hinduska pielęgniarka z wielkimi oczami, z drugiej Stuart LaJoie. Wyszczrzył do mnie zęby.

- Cześć, kolego! Jak samopoczucie?

- Eee... w porządku. Ale, c h o l e r a! Co za podróż!

- Profesor mówi, że inaczej nie dało rady. Twardy z niego staruszek.

- Chwileczkę. Profesor mówi? Profesor nie żyje.

- Bynajmniej. Nie czuje się zbyt dobrze - położyliśmy go do pneumatycznego łóżka, czuwają nad nim 24 godziny na dobę, a podłączony jest do tylu instrumentów, że nie uwierzyłbyś. Ale żyje i wypełni swoją misję. Ale słowo daję, nie narzeka na podróż; mówi, że nic o niej nie wie. Zasnął w jednym szpitalu, zbudził się w drugim. Myślałem, że głupio robi, kiedy zabronił mi załatwiać statek dla was, ale miał rację - zdobyliście b o m b o w ą publicity!

- Mówisz, że Profesor “zabronił” ci wysłać dla nas statek? - powiedziałem powoli.

- Właściwie zabronił “Przewodniczący Selene”. Nie widziałeś radiogramów, Mannie?

- Nie. - Za późno, żeby się o to wyklócać. - Ostatnio byłem strasznie załatany.

- To ci eufemizm pierwsza klasa! Ja też - o ciepnięciu się na łóżko mogłem tylko marzyć.

- Mówisz jak Lunatyk.

- Jestem Lunatykiem, Mannie, słowo daję. Ale siostra piorunuje mnie wzrokiem. - Stu uniósł ją z podłogi i obrócił o 180°. Pomyślałem, że nie jest jeszcze Lunatykiem. Ale pielęgniarka nie miała nic przeciwko temu. - Idź bawić się gdzie indziej, moja droga, a ja zwrócę ci pacjenta - jeszcze ciepłego - za parę minut. - Zamknął za i nią drzwi i podszedł znów do łóżka. - Ale Adam miał rację; w ten sposób nie tylko zdobyliście publicity, ale i było bezpieczniej.

- Publicity, chyba rzeczywiście. Ale “bezpieczniej”? Zmieńmy temat!

- Bezpieczniej, stary. Nie strzelali do was. Choć przez dwie godziny dokładnie wiedzieli, gdzie jesteście - wielki, ogromny cel. Nie mogli się zdecydować; nie wyrobili sobie jeszcze taktyki. Bali się nawet nie zdjąć was z orbity; w wiadomościach było tylko o was, przygotowałem zawnazu odpowiednie komentarze. Teraz nie śmię was tknąć, jesteście bohaterami. Gdybym zaś czekał, aż da się wyczarować jakiś statek i przywiózł was na nim... No, nie wiem. Zapewne kazaliby pozostać na orbicie parkingowej; potem ściągnęliby was dwóch - i pewno mnie też - pod strażą i aresztowali. Żaden kapitan za żadne pieniądze nie zgodzi się uciekać przed pociskami raketowymi. Jak już, to nie za pieniądze. Tak, kolego, najlepszych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ale pozwól, że przedstawię ci sytuację. Obaj jesteście obywatelami Ludowego Dyrektoriatu Czadu, w takim tempie nie mogłem załatwić nic lepszego. Czad uznał także niepodległość Luni. Musiałem kupić jednego premiera,

dwóch generałów, paru kacyków i jednego ministra finansów - całkiem niedrogo, jak na taką szybką robotę. Nie macie jeszcze immunitetu dyplomatycznego, ale mam nadzieję, że skombinuję i to, zanim wyjdziecie ze szpitala. Na razie nie śmia was nawet aresztować; nie mogą wymyślić, co zbroiliście. Ci strażnicy za drzwiami służą wyłącznie waszej "ochronie" - przydają się, bo bez nich okrążałoby was dziewięć rzędów reporterów, pchających wam mikrofony w twarz.

- A co właściwie zbroiliśmy? - to znaczy, o czym oni wiedzą? Nielegalny wjazd?

- Nawet nie to, Mannie. Ty nigdy nie byłeś zesłańcem, a przez jednego z dziadków przysługuje ci obywatelstwo Pan-Afryki, spokojnie. W przypadku Profesora de la Paz wygrzebaliśmy dowody, że 40 lat temu naturalizował się w Czadzie, zczekaliśmy, aż wyschnie na nich atrament i skorzystaliśmy z nich. Nie mogą wam nawet zarzucić nielegalnego wjazdu do Indii. Nie dość, że sami was tu sprowadzili, wiedząc, że jesteście w barce, ale jeszcze pewien oficer bardzo uprzejmie i całkiem tanio podstemplował wasze dziewicze paszporty. Poza tym, w świetle prawa Profesora nie można uważać za zesłańca, ponieważ rząd, który go skazał, już nie istnieje, a o wszystkim powiadomiliśmy kompetentny sąd - to już drożej kosztowało.

Wróciła pielęgniarka, rozzłoszczona jak kotka z kociakami.

- Milordzie... pacjent musi odpocząć!

- Już się robi, ma chere.

- Jesteś "milordem"?

- Właściwie "hrabią". Chyba żebym rościł o pokrewieństwo z Macgregorami. Błękitna krew pomaga; ci ludzie tutaj są strasznie nieszczęśliwi, od kiedy urządzili sobie republikę.

Wychodząc poklepał ją po pupie. Zamiast się rozedrzyć, zakręciła jedynie pośladkami. Kiedy do mnie podeszła, uśmiechała się. Stu będzie musiał się pilnować, kiedy wróci do Luny. O ile wróci.

Spytała, jak się czuję. Powiedziałem, że w porządku, tylko chce mi się jeść.

- Siostro, nie zauważyła pani może w naszych bagażach jakichś sztucznych rąk?

Zauważyła, a ja poczułem się lepiej, kiedy założyłem nr 6. Przed podróżą postanowiłem zabrać tylko tę plus nr 2 i rękę wyjściową. Nr 2 został chyba w Kompleksie; miałem tylko nadzieję, że ktoś się nią tam zajmie. Ale nr 6 jest najbardziej uniwersalny; to i ręką wyjściową wystarczy.

W dwa dni później wylecieliśmy do Agry, żeby wręczyć Narodom Sfederowanym nasze listy uwierzytelniające. Źle się czułem, i to nie tylko od nadmiaru g; w fotelu na kółkach radziłem sobie całkiem dobrze i mogłem nawet trochę chodzić, choć nie chodziłem przy ludziach. Za to cierpiałem na przeziębienie, które tylko dzięki lekom nie zmieniło się w zapalenie płuc, na podróżniczą biegunkę i jakiegoś parcha na dłoni i stopach - całkiem jak podczas poprzednich wycieczek na ten padół zarazy, który nazywa się Terra. My Lunatycy sami nie zdajemy sobie sprawy, jakie mamy szczęście,

że mieszkamy w kramie, gdzie obowiązuje najściślejsza kwarantanna, gdzie prawie nie ma robactwa, a jak się pojawi, to każdą przestrzeń można wysterylizować próżnią. Albo pecha, bo w razie czego prawie wcale nie mamy odporności. Mimo wszystko nie zamieniłbym się; przed pierwszą podróżą na Ziemię nie znałem słowa “weneryczny” i myślałem, że “przeziębienie” to stan stóp górnika od lodu.

Jeszcze inne rzeczy psuły mi humor. Stu przyniósł nam przekaz od Adama Selene; ukryta w nim, nawet przed Stu, była wiadomość, że nasze szansę stoją teraz gorzej niż 1:100. Nie mogłem zrozumieć, po co ryzykować taką wariacką ekspedycją, skoro od tego szansę spadają. Czy Mike n a p r a w d ę wie, jakie mamy szansę? Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić żadnego pewnego sposobu na ich obliczenie, przy znajomości nie wiadomo ilu faktów.

Ale Profesor nie wyglądał na zmartwionego. Rozmawiał z plutonami reporterów, uśmiechał się do niezliczonych kamer, składał oświadczenia, oznajmiał światu, że ufa Narodom Sfederowanym, że jest pewien, że nasze słuszne postulaty zostaną spełnione i że pragnie podziękować “Przyjaciołom Wolnej Luny” za wspaniałą pomoc, jaką okazali, przedstawiając ludziom dobrej woli na Terra prawdę o naszym małym, lecz dzielnym narodzie - P.W.L. składali się ze Stu, pewnego biura badania opinii publicznej, kilku tysięcy zawodowych podpisowaczy petycji i wielkiej kupy hongkonijskich dolarów.

Ja też dawałem się fotografować i próbowałem się uśmiechać, ale unikałem pytań, wskazując na gardło i chrypiąc.

W Agrze zakwaterowali nas w luksusowym apartamencie w hotelu, który kiedyś stanowił pałac maharadży (a nadal do niego należał, choć podobno Indie są socjalistyczne), i wywiady i robienie zdjęć trwały dalej - nie śmiałem już wstać z fotela na kółkach, nawet żeby pójść do WC, bo Profesor wydał mi kategoryczne polecenie, że n i g d y nie mam się fotografować w pozycji pionowej. On sam zawsze był albo w łóżku, albo na noszach - myli go w łóżku, siusiał do nocnika itd. - nie tylko dlatego, że w jego wieku tak jest bezpieczniej, a każdy Lunatyk czuje się tak wygodniej, ale także na użytek fotografów. Jego dołki i cudowna, łagodna, przekonywająca osobowość pojawiały się w niekończących się programach na setkach milionów ekranów TV.

Choć w Agrze ta jego osobowość na nic się nie zdała. Profesora zaniesiono do biura Przewodniczącego Wielkiego Zgromadzenia, ja jechałem u jego boku, i tam usiłował on przedstawić swe listy uwierzytelniające ambasadora przy NS i przyszłego Senatora z Luny - odesłali go do Sekretarza Generalnego, w jego biurze łaskawie udzielił nam 10-minutowego posłuchania jakiś zastępca, który po namyśle stwierdził, że może przyjąć nasze listy uwierzytelniające “do niczego się tym aktem nie zobowiązując”. Przekazali je Komisji ds. Listów Uwierzytelniających - i tam gdzieś się zgubiły.

Zaczynałem się niecierpliwić. Profesor czytał Keatsa. Barki z ziarnem nadal przybywały do Bombaju.

To ostatnie już mnie tak nie drażniło. Kiedy lecieliśmy z Bombaju do Agry, trzeba było wstać przed świtem, a na lotnisko jechaliśmy akurat, kiedy miasto się budziło. Każdy Lunatyk ma swój dom, czy jest to wypracowany przez pokolenia luksus Tuneli Davisów, czy też dopiero co wyborowana skała; przestrzeń nie jest dla nas problemem, i jeszcze przez całe wieki nie będzie.

Bombaj to roje ludzi. Ponad milion (tak mi powiedziano) za dom ma tylko kawałek chodnika. Rodzina może zgłosić prawo (i przekazywać je w testamencie z pokolenia na pokolenie) do spania na odcinku chodnika, metr na dwa metry, przed określonym sklepem. Na tej przestrzeni śpi cała rodzina, tj. matka, ojciec, dzieciaki i czasami babka. Nie uwierzyłbym w to, gdybym nie zobaczył. W Bombaju o świecie jezdnie, chodniki, nawet mosty pokryte są gęstym dywanem ludzkich ciał. Z czego oni żyją? Gdzie pracują? Co jedzą? (Nie wyglądali na takich, co j e d z ą. Można im było policzyć zębra).

Gdyby nie przekonała mnie prosta arytmetyka, że nie możemy wiecznie wysyłać im żywności nie dostając od nich surowców wtórnych, to w tym momencie wyszedłbym z gry. Ale... ZWTP. "Za wszystko trzeba płacić", i w Bombaju, i w Lunie.

Wreszcie wezwała nas "Komisja Dochodzeniowa". Nie tego chciał Profesor. Prosił o publiczne przesłuchanie przed Senatem z transmisją TV. Na tym posiedzeniu jedyną kamerę stanowił jego charakter "in camera"; było zamknięte. Nie c a ł k i e m zamknięte, wziąłem na nie mój magnetofonik. Ale TV nie było. A Profesor już po dwóch minutach odkrył, że ta komisja w rzeczywistości składa się z VIP-ów Zarządu albo ich łańcuchowych piesków.

Mimo wszystko, mieliśmy z kim rozmawiać, i Profesor zachowywał się tak, jakby byli oni władni (i chętni) uznać niepodległość Luny. A oni odnosili się do nas jak do krzyżówki niegrzecznych dzieci i zbrodniarzy przed sądem.

Na początek pozwolili Profesorowi złożyć oświadczenie. Jeśli obetniemy dekoracje, to powiedział on, że Luna jest de facto państwem suwerennym, z władzą cieszącą się całkowitym poparciem narodu, że panuje w niej pokój i praworządność, tymczasowy prezydent i rząd wypełniają niezbędne funkcje, ale pragną powrócić do prywatnego życia, kiedy tylko Kongres zakończy pracę nad konstytucją - my zaś przybyliśmy po to, by prosić o uznanie tych faktów de iure i o przyznanie Lunie należnego jej jako członkowi Narodów Sfederowanych miejsca w zgromadzeniach ludzkości.

To, co Profesor im powiedział, przypominało gdzieniegdzie prawdę, a oni i tak nie wyhaczyliby jego przemilczeń i zniekształceń. Naszym "tymczasowym prezydentem" był komputer, a "rząd" składa się z Wyoh, Finna, towarzysza Clayтона i Terence'a Sheehana, na celnego redaktora *Prawdy*, plus Wolfganga Korsakowa, prezesa zarządu LUNOHOCO i dyrektora Banku Hongkongu, Luna. Ale w tej chwili Wyoh była jedyną osobą w Lunie, która wiedziała, że "Adam Selene" to sztuczna twarz komputera. Strasznie się zdenerwowała, kiedy jej powiedzieliśmy, że będzie musiała zostać sama na posterunku!

W każdym razie "dziwność" Adama, który pokazywał się wyłącznie w TV, zawsze nas ambarasowała. Jak mogliśmy, staraliśmy się przedstawić ją jako "wymóg bezpieczeństwa"; utworzyliśmy dla niego biuro w przestrzeni biur Zarządu w Luna City, a potem zdetonowaliśmy w nim małą bombę. Po tej "próbie zamachu" towarzysze, którzy najbardziej wydziwiali nad nieruchawością Adama, zaczęli najgłośniejszą żądać, by Adam w ż a d e n sposób nie kusił losu - a nasze artykuły redakcyjne jeszcze nagłośniły ich wołania.

Ale ja słuchając przemowy Profesora zastanawiałem się, co by pomyśleli ci nadęci koleisie, gdyby wiedzieli, że nasz "prezydent" to należąca do Zarządu kupa żelastwa.

Ale oni tylko siedzieli i patrzyli się na nas z zimną dezaprobatą, niewzruszeni retoryką Profesora - a była to chyba najlepsza przemowa w jego życiu, zważywszy że wygłaszał ją do mikrofonu leżąc na grzbiecie, i bez notatek, i niemal nie mogąc widzieć słuchaczy.

A potem naskoczyli na nas. Wysoki przedstawiciel Argentyny - nie podawali nam nazwisk; nie staliśmy na odpowiednim poziomie towarzyskim - temu Argentino nie spodobało się wyrażenie "były gubernator" w przemowie Profesora, określenie to zarzucono już pół wieku temu, zażądał więc usunięcia go z protokołu i zastąpienia właściwym tytułem: "Protector Kolonii Lunańskich z Nominacji Zarządu Luny". Wszelkie inne sformułowania stanowią zniewagę godności Zarządu Luny.

Profesor chciałby wygłosić komentarz; "Szanowny Pan Przewodniczący" pozwolił. Profesor łagodnie powiedział, że akceptuje tę zmianę, gdyż Zarząd ma prawo określać swych funkcjonariuszy wybranymi przez siebie tytułami, a nie miał zamiaru znieważać godności jakiegokolwiek agencji Narodów Sfederowanych... jednakże ze względu na przeznaczenie tego urzędu - byłe przeznaczenie tego byłego urzędu - obywatele Wolnego Państwa Luna prawdopodobnie nadal będą posługiwać się tradycyjnym sformułowaniem.

Wtedy rozgadała się cała szóstka naraz. Ktoś zaprotestował przeciwko użyciu słowa "Luna", a tym bardziej "Wolne Państwo Luna" - jest to "Księżyc", Księżyc Ziemi, satelita Ziemi i własność Narodów Sfederowanych, tak jak Antarktyka, a całe to postępowanie stanowi fałsz.

Z tym ostatnim nawet bym się zgodził. Przewodniczący uprzejmie poprosił wysokiego przedstawiciela Ameryki Północnej o zachowanie porządku i wygłaszanie wszelkich komentarzy pod adresem przewodniczącego. Czy pan Przewodniczący interpretuje ostatnie słowa świadka jako stwierdzenie, że ów rzekomy reżim de facto zamierza uniemożliwić dalsze funkcjonowanie systemu pracy przymusowej?

Profesor obronił ten strzał i przeszedł do ataku.

- Szanowny Panie Przewodniczący, i ja byłem kiedyś zesłańcem, a teraz Luna to mój ukochany dom. Mój kolega, Wysoki Podsekretarz do Spraw Zagranicznych pułkownik O'Kelly Davis - (to ja!) - urodził się w Lunie, i dumny jest z tego, że czworo jego dziadków było zesłańcami. Potęga Luny wyrosła z waszych wyrzutek. Dajcie nam swoich biednych, swoich nieszczęśliwych; przyjmiemy ich z radością. W Lunie jest dla nich miejsce, niemal czterdzieści milionów kilometrów kwadratowych, obszar większy od całej Afryki - i niemal całkowicie pusty. Znacznie więcej, gdyż nasza metoda życia oznacza zajmowanie nie "obszaru", lecz "przestrzeni", i trudno wyobrazić sobie dzień, w którym Luna odmówi przyjęcia kolejnego statku bezdomnych tułaczy.

Przewodniczący powiedział:

- Upomina się świadka, by powstrzymywał się od wygłaszania przemówień. Rozumiem, że pańska oracja oznacza, iż reprezentowana przez pana grupa zgadza się nadal przyjmować więźniów?

- Nie, sir.

- Jak to? Proszę się wytłumaczyć.

- Obecnie każdy imigrant, który stawia stopę w Lunie, jest człowiekiem wolnym, bez względu na swój uprzedni status, wolnym, był czynić wedle swych chęci.

- Czyżby? Jak więc powstrzymać zesłańca przed przejściem na drugą stronę lądowiska, wejściem na inny statek i powrotem na Ziemię? Przyznaję, że zadziwiła mnie pańska pozorna zgoda na ich przyjmowanie... ale nam oni niepotrzebni. Wolimy pozbywać się osobników niepoprawnych w ten humanitarny sposób, niż ich uśmiercać.

(Mógłbym mu opowiedzieć parę rzeczy, od których jego złudzenia rozwiałoby się jak dym; widocznie nigdy nie był w Lunie. Jeśli chodzi o “niepoprawnych”, o ile tacy w ogóle istnieją, to Luna eliminuje ich szybciej, niż kiedykolwiek odważyła się na to Terra. Kiedy był ze mnie jeszcze dzieciak, przysłali nam jakiegoś ważnego mafiosa, chyba z Los Angeles; przyleciał z drużyną goryli i był pewien, że zawładnie całą Luną, bo na Ziemi podobno trząśł więzieniem.

Żaden z nich nie przeżył dwóch tygodni. Mafios nawet nie dotarł do osiedla więziennego; nie słuchał, kiedy mu tłumaczyli, jak się zakłada skafander.)

- Z naszej strony nic nie powstrzyma go przed powrotem do domu, sir - odpowiedział Profesor - aczkolwiek jeśli człowiek ten zna waszą policję na Terra, to nie zdecyduje się na to zbyt pochopnie. Ale nigdy nie słyszałem, by zesłaniec przybywał z pieniędzmi na bilet powrotny. Czy to naprawdę możliwe? Statki należą do was; Luna nie posiada statków - a niech wolno mi będzie wtrącić, jak bardzo żałujemy, że statek zapowiedziany na ten miesiąc nie przybył do Luny. Nie uskarżam się na to, iż zmusiło to mojego kolegę i mnie - Profesor urwał i uśmiechnął się - do obrania mniej oficjalnego sposobu podróżowania. Mam jedynie nadzieję, że nie zapowiada to nowej polityki. Luna nie ma do was pretensji; zapraszamy wasze statki, waszych kupców, kochamy pokój i pragniemy go zachować. Proszę zauważyć, że wszystkie dostawy ziarna odbywały się zgodnie z rozkładem i punktualnie.

Profesor zawsze miał talent do zmieniania tematów.

Potem wałkowali drobniejsze problemy. Wścibiśki koleś z Północnej Ameryki chciał wiedzieć, co naprawdę stało się z “guber...” Ugryzł się w język. “Z Protektorem. Z senatorem Hobartem”. Profesor odparł, że dżentelmen ten przeżył atak (bardzo dokładne określenie) i nie jest już w stanie wypełniać swych obowiązków - ale poza tym cieszy się dobrym zdrowiem i otoczony jest stałą opieką medyczną. Zamyślony Profesor dodał, że jego zdaniem zdrowie starszego pana szwankowało już od dłuższego czasu, zważywszy na jego nierozważne postęпки w ciągu minionego roku... szczególnie na liczne naruszenia praw wolnych obywateli, włącznie z tymi, którzy ani wtedy, ani nigdy nie byli zesłańcami.

Przełknęli to gładko. Kiedy ci pracownicy naukowcy przekazali wieść o naszym przewrocie, zameldowali, że gubernator nie żyje... natomiast dzięki Mike’owi, który się pod niego podszywał, żył on nadal i wykonywał swą pracę. Kiedy Zarząd na Ziemi zażyczył sobie od gubernatora raportu na temat tej dziwacznej plotki, Mike skonsultował się z Profesorem, po czym odebrał ich sygnał i bardzo przekonująco udawał stetryczalego dziada, który jednocześnie zaprzecza, potwierdza i przekręca każdy szczegół. Tuż potem wysłaliśmy nasze oświadczenia, i od tej pory nie można było skontaktować się nawet z komputerowym alter ego gubernatora. W trzy dni później ogłosiliśmy

niepodległość.

Ten Północnoamerykanin chciał wiedzieć, na jakiej podstawie mają wierzyć w choć jedno nasze słowo. Profesor uśmiechnął się swym najświętobliwszym uśmiechem i spróbował rozłożyć chude ramiona, j które jednak opadły na koc.

- Zapraszamy wysokiego przedstawiciela Pomocnej Ameryki, by udał się do Luny, odwiedził przykutego do łoża bóleści senatora Hobarta i przekonał się na własne oczy. Tak samo zapraszamy wszystkich obywateli Terry, by odwiedzali Lunę o każdej porze i oglądali, co tylko ich interesuje. Pragniemy przyjaźni, miłujemy pokój, nie kryjemy niczego. Żałuję jedynie, że mój kraj nie może zapewnić środków transportu; z prośbą o nie musimy zwrócić się do was.

Koleś z Kitaju spojrział na Profesora w zamyśleniu. Nie powiedział ani słowa, ale też nie tracił ani jednego jego słowa.

Przewodniczący ogłosił przerwę w obradach do godz. 15.00. Przydzielili nam pokój do odpoczynku i przysłali lunch. Chciałem rozmawiać, ale Profesor pokręcił głową, rozejrzał się po pokoju i wskazał na swoje ucho. A więc przymknąłem się. Potem Profesor się zdrzemnął, a ja rozłożyłem mój fotel na kółkach i poszedłem w jego ślady; na Terra spaliśmy, ile się dało. Trochę to pomaga. Tylko trochę.

Wtoczyli nas z powrotem dopiero o 16.00; komisja już obradowała. Przewodniczący złamał swój własny zakaz przemówień i wygłosił długą orację w stylu "serce mi się kraje..."

Na początek przypomniał nam, że Zarząd stanowi ponadpolityczną agencję powierniczą, powołaną po to, by strzec Księżyc, satelitę Ziemi - zwanego przez niektórych Luną - przed wykorzystaniem do celów militarnych. Powiedział, że Zarząd pełni tę świętą misję od ponad stu lat, w tym zaś czasie rządy padały, powstawały nowe, sojusze zmieniały się bezustannie - właściwie Zarząd starszy jest od samych Narodów Sfederowanych, jego Kartę uchwaliła poprzedzająca je organizacja międzynarodowa, a obowiązki swe wykonywał on tak dobrze, że przetrwał wojny, niepokoje i zmiany układów sił.

(Jakbyśmy o tym nie wiedzieli! Ale uważajcie, do czego ten koleś zmierzał.)

- Zarząd Luny nie zrzeknie się swej misji - powiedział solennie. - Jednakże nie widzimy przeszkód, by lunańscy osadnicy, jeśli okażą polityczną dojrzałość, cieszyli się pewnym stopniem autonomii. Weźmiemy ten problem pod rozwagę. Wiele zależy od waszego sprawowania. Dodam dla jasności: od sprawowania wszystkich osadników. Wiemy, że miały miejsce rozruchy i dewastacja mienia; to niedopuszczalne.

Czekałem, aż wspomni o 90 martwych Gorylach Pokoju; nie doczekałem się. Nigdy nie będzie ze mnie polityk; braknie mi tego wyniosłego podejścia.

- Oczekujemy odszkodowania za zdewastowane mienie - mówił dalej. - Oczekujemy wypełniania zobowiązań. Jeśli ciało, które zwiecie Kongresem, jest w stanie zagwarantować nam to, komisja nasza jest zdania, iż ów tzw. Kongres można będzie z czasem uznać za organ Zarządu

zajmujący się wieloma sprawami wewnętrznymi. Można nawet wyobrazić sobie sytuację, w której stabilny lokalny rząd z czasem przejmie wiele spośród funkcji wypełnianych obecnie przez Protektora i otrzyma nawet przywilej posiadania przedstawiciela w Wielkim Zgromadzeniu, bez prawa głosu. Lecz na uprawnienia takie trzeba zasłużyć.

Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić fakt podstawowy. Księżyc, główny satelita Ziemi, z prawa natury stanowi wieczną wspólną własność wszystkich narodów Ziemi. Nie należy on do garstki, która zabłąkała się tam przez zbieg historycznych okoliczności. Święty obowiązek powierzony Zarządowi Luny stanowi i zawsze stanowić będzie najwyższe prawo ziemskiego Księżyca.

(“... zbieg historycznych okoliczności”, co? Już myślałem, że Profesor wciśnie mu te słowa do gardła. Już myślałem, że powie... Nie, nigdy nie wykoncypowałem, co powiedziałby Profesor. A oto, co naprawdę powiedział:)

Przez kilka sekund Profesor czekał w milczeniu i wreszcie powiedział:

- Szanowny Panie Przewodniczący, k t o m a z o s t a ć w y g n a n y t y m r a z e m ?

- Co pan powiedział?

- Czy zdecydowaliście już, który z was ma otrzymać wyrok banicji? Wasz wicegubernator nie przejmie tej posady. - To prawda; jeszcze mu życie było miłe. - Obecnie pełni on swe obowiązki wyłącznie na naszą prośbę. Jeśli nadal uparcie uważacie, że nie jesteśmy niepodległym państwem, to z pewnością planujecie wysłanie nowego gubernatora.

- Protektora!

- Gubernatora. Nie bójmy się słów. Aczkolwiek kto wie, czy gdybyśmy poznali jego tożsamość, nie nazwalibyśmy go z radością “Ambasadorem”. Kto wie, czy nie pracowalibyśmy wraz z nim, czy nie mógłby zrezygnować z zabrania z sobą uzbrojonych bandytów... gwałcicieli i morderców kobiet!

- Porządek! Porządek! Przywołuję świadka do porządku!

- Nie mnie należy przywoływać do porządku, Szanowny Panie Przewodniczący. Mieliśmy do czynienia z haniebnymi morderstwami i gwałtem. Lecz to należy już do historii; spójrzmy teraz ku przyszłości. Kogo macie zamiar wygnąć?

Profesor z wysiłkiem uniósł się na łokciu, a ja nagle wyteżyłem uwagę; to był sygnał.

- Wszyscy wiemy, sir, że to podróż w jedną stronę. Urodziłem się na tej planecie. Widzicie panowie, jaką męczarnią jest dla mnie nawet czasowy powrót do ojczyzny, która mnie wydziedziczyła. Jesteśmy wyrzutkami Ziemi i...

Zemdlał. Zerwałem się z fotela - i sam straciłem przytomność, zanim do niego dotarłem.

Choć działałem zgodnie z ustalonym planem, to nie udawałem. Na Terra nagłe powstanie to straszny wysiłek dla serca; gęste pole pochwyliło mnie i cisnęło na podłogę.

ROZDZIAŁ XVII

Żadnemu z nas nic się nie stało, ale za to był materiał na bulwersujące wiadomości, bo ja wręczyłem nagranie Stu, a on przekazał je swoim specom od manipulacji opinią publiczną. Nie wszystkie gazety były przeciw nam; Stu poddał nagranie obróbce, co trzeba wyciął, co trzeba wkleił w inne miejsce, tak że zmieniło się nie do poznania. **WYLICZANKA W ZARZĄDZIE? - LUNAŃSKI AMBASADOR MDLEJE W KRZYŻOWYM OGNIU PYTAŃ: KRZYCZY "WYRZUTKI!" - PROF. PAZ DEMASKUJE: SZCZEGÓŁY STR. 8.**

Nie wszystkie komentarze były równie dobre; w Indiach najprzychylniejszym można by nazwać artykuł redakcyjny w *New India Times*, którego autor zapytywał, czy Zarząd ma zamiar ryzykować chleb mas przez swą niechęć do porozumienia z lunańskimi powstańcami. Proponował też pójście na ustępstwa, jeśli zapewni to zwiększenie dostaw ziarna. Artykuł pełen był podrasowanej statystyki; Luna n i e karmi "stu milionów Hindusów" - co najwyżej dzięki naszemu ziarnu mogą zamienić śmierć głodową na chroniczne niedożywienie.

Natomiast największa gazeta nowojorska kategorycznie stwierdziła, że samo podjęcie pertraktacji z nami było ze strony Zarządu błędem, gdyż skazańcy rozumieją jedynie smak bata - powinni wysłać wojsko, przywrócić porządek, powywieszać podżegaczy i zostawić garnizon, który będzie strzegł porządku.

W pułku Dragonów Pokoju, z którego wywodzili się nasi śp. ciemiejcy, miał miejsce bunt, natychmiast stłumiony, wywołany pogłoską, że mają lecieć na Księżyc. Stłumiony, ale nie wytłumiony; Stu zatrudniał dobrych pismaków.

Nazajutrz rano przyszło zapytanie, czy Profesor de la Paz czuje się już na tyle dobrze, by kontynuować dyskusję. Poszliśmy, a komisja zapewniła nam lekarza i pielęgniarkę, którzy mieli opiekować się Profesorem. Ale tym razem zrewidowali nas - i zabrali z mojej sakwy magnetofon.

Nie protestowałem; to była japońska zabawka, dał mi ją Stu - po to, żeby ją znaleźli. W ręce nr 6 jest taka komora, przeznaczona na baterie, ale świetnie mieści się w niej mój minimagnetofonik. Tego dnia mogłem się obejść bez baterii, a większość ludzi, nawet twardzi policjanci, wolą nie dotykać protez.

Ani słowem nie wspomnieli o żadnym z poruszonych poprzedniego dnia tematów... tylko przewodniczący na początek zmył nam głowy za "naruszenie tajemnicy zamkniętego posiedzenia".

Profesor odpowiedział, że my nie uważamy go za zamknięte i że zgadzamy się na obecność dziennikarzy, kamer TV, na galerię dla publiczności, na wszystko, gdyż Wolne Państwo Luna nie ma nic do ukrycia.

Przewodniczący odparł sztywno, że tzw. Wolne Państwo nie jest gospodarzem przesłuchań; posiedzenia są z a m k n i ę t e, nie wolno o nich dyskutować poza tą salą i wszyscy obecni mają się do tego zastosować.

Profesor spojrział na mnie.

- Czy mogę prosić pana o pomoc, pułkowniku?

Dotknąłem pudełka do kierowania fotelem, odwróciłem się i zanim przewodniczący połapał się, że jego blef nie wypalił, pchałem jego nosze na kółkach do drzwi. Profesor dał się namówić do pozostania, ale bez żadnych zobowiązań. Trudno zmusić do czegokolwiek człowieka, który mdleje, kiedy się podnieci.

Przewodniczący stwierdził, że wczoraj poruszono wiele spraw pozbawionych znaczenia i takich, o których lepiej nie dyskutować - a dzisiaj nie pozwoli już na takie dygresje. Spojrział na Argentyńczyka, potem na Północnoamerykanina.

Mówił dalej:

- Suwerenność to pojęcie abstrakcyjne, a od kiedy ludzkość nauczyła się żyć w pokoju, sformułowano setki jego definicji. O tym dyskutować nie musimy. Właściwe pytanie, panie Profesorze - albo nawet panie ambasadorze de facto, jeśli pan woli; nie będziemy kłócić się o drobiazgi - właściwe pytanie brzmi: Czy jesteście gotowi zagwarantować dotrzymanie przez Kolonie Lunańskie ich zobowiązań?

- Jakich zobowiązań, sir?

- Wszystkich zobowiązań, ale mam na myśli zwłaszcza zobowiązania odnoszące się do dostaw ziarna.

- Nie wiem o żadnych takich zobowiązaniach, sir - odparł Profesor uprzejmym i niewinnym głosem.

Dłoń przewodniczącego zacisnęła się na młotku. Ale odpowiedział na to ze spokojem:

- Nie kłóćmy się o słowa, szanowny panie. Mówię o kontyngentach wysyłki ziarna - o nowych kontyngentach na nowy rok finansowy, zwiększonych o 13%. Czy zapewnia nas pan, że będziecie honorować te zobowiązania? Taka jest minimalna podstawa do dyskusji, w przeciwnym wypadku zmuszeni będziemy przerwać rozmowy.

- W takim razie, sir, z przykrością stwierdzam, że na tym rozmowy muszą się zakończyć.

- Pan nie mówi poważnie.

- Jak najpoważniej. Nie mogę zgodzić się z panem, że suwerenność Wolnej Luny to sprawa abstrakcyjna. Zobowiązania, o których pan wspomniał, złożone zostały przez Zarząd jemu samemu. Nie wiążą one mojego kraju. Suwerenny naród, który mam zaszczyt reprezentować, będzie dopiero negocjował swe zobowiązania.

- Motłoch! - warknął Północnoamerykanin. - Mówiłem wam, że za grzecznie ich traktujecie. Kryminaliści. Złodzieje i dziwki. Nie potrafią docenić naszej przyzwoitości.

- Porządek!

- Wspomnicie moje słowa. Gdybyśmy mieli ich w Kolorado, nauczylibyśmy ich; umiemy sobie z takimi radzić.

- Przywołuję wysokiego przedstawiciela do porządku.

- Obawiam się - rzekł Hindus - właściwie Pars, ale reprezentował Indie - obawiam się, że w zasadzie muszę się zgodzić z wysokim przedstawicielem Dyrektoriatu Północnoamerykańskiego. Indie nie mogą przystać na pogląd, że kontyngenty zbożowe to jedynie kawałki papieru. Wśród przyzwoitych ludzi głód nie służy za narzędzie polityki.

- A poza tym - wtrącił Argentino - oni mnożą się jak zwierzęta. Świnie!

(Przed tym posiedzeniem Profesor kazał mi wziąć środek na uspokojenie. Musiałem połknąć pigułkę przy nim.)

Profesor powiedział spokojnie:

- Szanowny Panie Przewodniczący, czy zanim podejmiemy decyzję, być może zbyt pochopną, o zerwaniu rozmów, wysoka komisja zezwoli mi na rozwinięcie mego oświadczenia?

- Proszę.

- Za jednogłośnie zgodą komisji? Bez zakłóceń?

Przewodniczący rozejrzał się.

- Zgoda jest jednogłośnie - oznajmił - a wysokich przedstawicieli ostrzegam, że przy następnym wybuchu odwołam się do punktu 14 przepisów specjalnych. Egzekucję tego przepisu poruczam woźnemu. Oddaję głos świadkowi.

- Szanowny Panie Przewodniczący, będę mówił krótko. - Profesor powiedział coś po hiszpańsku; zrozumiałem tylko "señor". Argentino poczerwieniał, ale nie odpowiedział. Profesor mówił dalej: - Pragnę na początek ustosunkować się do oświadczenia wysokiego przedstawiciela Północnej Ameryki; jestem nim osobiście urażony, gdyż uwłacza ono moim rodakom. Ja sam znam z doświadczenia niejedno więzienie; przyjmuję tytuł - ba, dumny jestem z tytułu "kryminalisty". My, obywatele Luny, jesteśmy kryminalistami i potomkami kryminalistów. Ale Luna to surowa nauczycielka; ci, co przeżyli jej twarde lekcje, nie mają powodów do wstydu. W Luna City można bez obawy zostawić sakwę w miejscu publicznym lub wyjść z domu nie zamykając drzwi na klucz... Czy tak samo jest w Denver? Być może, lecz nie mam zamiaru odwiedzać Kolorado i dawać się uczyć; wystarczy mi to, czego mnie nauczyła Matka Luna. I może jesteśmy motłochem, lecz teraz motłochem zbrojnym.

Wysokiemu przedstawicielowi Indii oświadczam, że głód nie "służy nam za narzędzie polityki". Prosimy tylko o szczerą dyskusję nad niezaprzeczalnymi faktami, nieskrępowaną przez fałszywe przesłanki polityczne. Jeśli dyskusja taka się odbędzie, obiecuję, że przedstawię sposób,

dzięki któremu Luna będzie mogła kontynuować dostawy ziarna i wielokrotnie zwiększyć ich skalę... ku ogromnym korzyściom Indii.

I Kitajec, i Hindus drgnęli. Hindus zaczął coś mówić, opanował się, wreszcie powiedział:

- Szanowny Panie Przewodniczący, czy wysoka komisja zechce poprosić świadka o bardziej konkretną wypowiedź?

- Proszę świadka o rozwinięcie oświadczenia.

- Szanowny Panie Przewodniczący, wysoka komisjo, Luna zaiste jest w stanie zwiększyć dostawy dla naszych głodnych milionów dziesięcio-, a nawet stokrotnie. Dowodem naszych przyjaznych intencji niech będzie fakt, że barki z ziarnem przybywały w czasach niepokojów w Lunie, przybywają nawet dziś. Ale mleka nie zdobywa się dzięki biciu krowy. Dyskusja nad zwiększeniem naszych dostaw musi opierać się na niezaprzeczalnych faktach, a nie na fałszywej przesłance, że jesteśmy niewolnikami, którym narzuca się normy. Co więc wybieracie? Czy nadal będziecie uparcie twierdzić, jakobyśmy byli niewolnikami, podległymi woli nie naszej, lecz Zarządu? Czy też uznacie naszą wolność, rozpoczniecie negocjacje i spytacie, jak możemy wam pomóc?

- Innymi słowy - powiedział przewodniczący - chcecie, byśmy kupili kota w worku. Najpierw mamy zalegalizować wasz status wyrzutków... a potem porozmawiamy o waszych urojeniach na temat dziesięcio- czy stokrotnego zwiększenia dostaw. Pańskie oświadczenie jest fantastyczne; w sprawach lunańskiej gospodarki jestem ekspertem. Fantastyczne jest również pańskie żądanie; uznanie nowego państwa należy do kompetencji Wielkiego Zgromadzenia.

- Proszę więc przedstawić sprawę Wielkiemu Zgromadzeniu. Jedyne jako równoprawny i niepodległy partner przystąpimy do dyskusji nad zwiększeniem dostaw i przenegocjujemy warunki. Szanowny Panie Przewodniczący, to m y uprawiamy zboże, i to do nas ono n a l e ż y. Możemy zbierać znacznie więcej. Ale nie jako niewolnicy. Najpierw musicie uznać suwerenność i wolność Luny.

- To niemożliwe, i dobrze pan o tym wie. Zarząd Luny nie zrzeknie się swego świętego obowiązku.

Profesor westchnął.

- To chyba impas. Mogę jedynie zaproponować ogłoszenie przerwy w obradach, byśmy wszyscy mogli się namyślić. Dziś barki nadal wylatują z Luny... ale w chwili, gdy będę zmuszony zawiadomić mój rząd o fiasku rokowań... p r z e s t a n ą!

Głowa Profesora opadła na poduszkę, jakby odeszły go siły - pewno tak było. Ja nie męczyłem się tak bardzo, ale byłem młodszy i miałem dużo wprawy w odwiedzaniu Terry i unikaniu śmierci. Lunatyk w jego wieku nie powinien ryzykować. Po pożegnalnym pokazie fanfaronady, który Profesor zignorował, załadowali nas na ciężarówkę i czym prędzej odwieźli do hotelu. Ledwo ruszyliśmy, spytałem:

- Profesorze, co pan powiedział señorowi Trzęsibrzuchowi, że tak mu podskoczyło ciśnienie?

Zachichotał.

- W przygotowanych przez towarzysza Stuarta dossiers tych dżentelmenów znalazłem zadziwiające fakty. Spytałem go, do kogo należy obecnie pewien burdel w pobliżu Calle Florida w Buenos Aires, i czy nadał jego główna atrakcja ma rude włosy.

- Jak to? Czyżby pan tam bywał? - Spróbujcie wyobrazić sobie Profesora w takim miejscu!

- Nigdy w życiu. Buenos Aires ostatnio widziałem przed czterdziestu laty. To on jest właścicielem, Manuelu, poprzez figuranta, jego żona zaś, tycjanowska piękność, niegdyś tam pracowała.

Pożałowałem, że o to pytałem.

- Nie był to cios poniżej pasa? I niedyplomatyczny?

Ale Profesor zamknął oczy i nie odpowiedział.

Do wieczora odzyskał siły na tyle, by spędzić godzinę na przyjęciu dla prasy, wystrojony w haftowaną piżamę i z siwymi włosami malowniczo rozsypanymi na fioletowej poduszce. Gdyby nie oczy i dołki, jego chude ciało przypominałoby zwłoki VIP-a na oficjalnym pogrzebie. Ja też wyglądałem po VIP-owsku w czarno-złotym mundurze, który zdaniem Stu stanowił lunański uniform dyplomatyczny dla dygnitarza mojej rangi. Gdybyśmy mieli w Lunie takie rzeczy, może właśnie tak by wyglądały - ale nie mamy; wiedziałbym o tym. Osobiście wolę skafandry; ten strój miał przyciasny kołnierz. Poza tym nigdy nie dowiedziałem się, co znaczą moje orderki. Jakiś reporter spytał mnie o jeden z nich, w kształcie Luny w kwadrze widzianej z Terry; wyjaśniłem mu, że to nagroda z konkursu ortografii. Stu usłyszał to i powiedział:

- Pułkownik słynie ze skromności. Jest to odznaczenie odpowiadające Krzyżowi Wiktorii, które otrzymał za waleczność w chwalebnym i tragicznym dniu...

Nadal gadając, odciągnął go na bok. Stu potrafi łąć bez zająknięcia, niemal równie dobrze jak Profesor. Ja zawsze muszę zmyślać kłamstwa z wyprzedzeniem.

Hinduskie gazety i programy były tego wieczora wściekle; po "groźbie" wstrzymania dostaw ziarna toczyły pianę z pyska. Najbardziej humanitarna propozycja polegała na pacyfikacji Luny, eksterminacji "zbrodniczych troglodytów", czyli nas, i osiedleniu zamiast nich "prostych hinduskich chłopów", którzy szanują świętość życia i będą wysyłali morze ziarna.

Profesor postanowił tego wieczora rozdać nasze broszurki i urządzić konferencję prasową na temat, dlaczego Luna nie jest w stanie kontynuować dostaw - a organizacja Stu zajęła się transmisją na całą Terrę. Paru dziennikarzy przyjrzało się tabelom i próbowali znaleźć dziurę w całym:

- Profesorze de la Paz, napisał pan, że rozmiary dostaw ziarna skurczą się w wyniku eksploatacji zasobów naturalnych i że w roku 2082 Luna nie będzie nawet mogła wyżywić własnej ludności. A dziś oświadczył pan Zarządowi Luny, że można zwiększyć eksport kilku-nastokrotnie.

- Czy ta komisja to Zarząd Luny? - spytał słodkim głosem Profesor.

- Cóż... to tajemnica poliszynela.

- Być może, sir, lecz podawali się za bezstronną komisję dochodzeniową Wielkiego Zgromadzenia. Czy nie uważa pan, że powinni zrezygnować ze swych funkcji? Czy nie zasługujemy na uczciwe posłuchanie?

- Hmm... wolałbym się nie wypowiadać, Profesorze. Powróćmy do mojego pytania. Jak pogodzi pan te dwa stwierdzenia?

- Ciekaw jestem, dlaczego wolałby pan się nie wypowiadać. Czyż nie jest obowiązkiem każdego obywatela Terry zapobieganie sytuacjom, mogącym doprowadzić do wojny pomiędzy Terra a jej sąsiadem?

- “D o w o j n y”? Dlaczego, na Boga, mówi pan o “wojnie”, Profesorze?

- Czy może to skończyć się inaczej? Jeśli Zarząd Luny nie zrezygnuje ze swej nieprzejednanej postawy? My nie możemy zgodzić się na ich żądania; te tabele tłumaczą, dlaczego. Skoro nie chcą tego zrozumieć, to spróbują ujarzmić nas siłą... a my będziemy się bronić. Jak szczury w kącie - bo jesteśmy w kącie bez wyjścia, nie możemy się wycofać, nie możemy się poddać. M y nie wybierzemy wojny; pragniemy pokoju z naszym sąsiadem - pokoju i pokojowego handlu. Lecz wybór nie należy do nas. Nas jest niewielu, was zaś krocie. Przewiduję, że następnym krokiem Zarządu Luny będzie próba ujarzmienia Luny siłą. Owa “służąca pokojowi” agencja rozpocznie pierwszą wojnę międzyplanetarną.

Dziennikarz zmarszczył brwi.

- Czy nie przesadza pan? Załóżmy, że Zarząd - albo Wielkie Zgromadzenie, gdyż Zarząd nie posiada własnej floty wojennej - załóżmy, że narody Ziemi postanowią usunąć wasz, eee, “rząd”. Na Lunie możecie walczyć - i pewno będziecie. Ale to jeszcze nie wojna międzyplanetarna. Jak sam pan zauważył, Luna nie posiada statków. Mówiąc bez ogródek, nie możecie nas osiągnąć.

Siedziałem blisko noszy Profesora i słuchałem. Spojrzał na mnie.

- Niech im pan powie, pułkowniku.

Znałem moją rolę na pamięć. Profesor z Mikiem dokonali symulacji prawdopodobnych sytuacji; ja tylko nauczyłem się odpowiedzi.

- Czy pamiętacie panowie *Tropiciela*?- powiedziałem. - Jak stracił sterowność i rozbił się o Ziemię?

Pamiętali. Wszyscy pamiętają największą katastrofę z początków lotów kosmicznych, kiedy nieszczęsny *Tropiciel* uderzył w belgijską wioskę.

- Nie mamy statków - mówiłem - ale możemy rzucać tymi barkami z ziarnem... zamiast dostarczać je na orbitę parkingową.

Nazajutrz pojawiły się nagłówki: **LUNATYCY MOGĄ RZUCAĆ RYŻEM**. Tego wieczora wywołałem pełne skrępowania milczenie.

Wreszcie dziennikarz powiedział:

- Mimo wszystko chciałbym wiedzieć, jak pogodzi pan te dwa stwierdzenia - brak ziarna po 2082... i dziesięć albo sto razy więcej.

- Nie ma między nimi żadnej sprzeczności - odparł Profesor. - Każde z nich opiera się na odmiennych założeniach. Cyfry, które pan oglądał, odnoszą się do obecnej sytuacji... i do katastrofy, do której doprowadzi ona w wyniku wyczerpania naturalnych zasobów Luny - do katastrofy, której ci biurokraci z Zarządu - czy raczej "ci żądni władzy biurokraci" - pragną zapobiec stawiając nas do kąta jak niegrzeczne dzieci!

Profesor urwał i przez chwilę dyszał ciężko, po czym mówił dalej:

- Z danych tych łatwo wyciągnąć wnioski co do okoliczności, w jakich będziemy w stanie kontynuować dostawy ziarna, nawet w zwiększonych ilościach. Jako stary nauczyciel nie odmówię sobie belferskiej przyjemności; niech sami uczniowie wyciągną te wnioski. Kto chciałby spróbować?

Zapadło niezręczne milczenie, wreszcie jakiś niski człowieczek z dziwnym akcentem powiedział powoli:

- Wydaje mi się, że chodzi panu o uzupełnienie w jakiś sposób zasobów naturalnych.

- Wspaniale! Cudownie! - Dołki Profesora zabłyśły w całej krasie. - Zasługuje pan na piątkę z plusem na koniec roku, sir! Do produkcji ziarna niezbędna jest woda i nawozy - fosfaty i tak dalej, niech pan spyta ekspertów o resztę. Dostarczcie nam to; my odeślemy wam wysokogatunkowe ziarno. Podłączcie pompy do bezdennego Oceanu Indyjskiego. Wyślijcie nam nawóz milionów indyjskich krów. Zbierajcie własne odchody - nie musicie ich sterylizować; my umiemy robić to tanio i szybko. Wysyłajcie nam słoń morską wodę, gnijące ryby, truchła zwierząt, miejskie ścieki, krowi nawóz, wszelkie ochłapy - a my odeślemy wam, tona za tonę, złote ziarno. Wysyłajcie nam dziesięć razy więcej - otrzymacie dziesięć razy więcej ziarna. Wysyłajcie nam swych biednych i bezdomnych, wysyłajcie tysiące, setki tysięcy ludzi; nauczymy ich szybkich, wydajnych lunańskich metod uprawy w tunelach, i odeślemy wam niewiarygodny tonaż. Panowie, Luna to jeden gigantyczny ugór, dziesięć miliardów hektarów czekających na oraczy!

Zamurowało ich. Wreszcie któryś powiedział cicho:

- A co wy będziecie z tego mieli? To znaczy, Luna.

Profesor wzruszył ramionami.

- Pieniądze. W postaci towarów. Potraficie produkować tanio wiele rzeczy, które w Lunie są drogie. Leki. Narzędzia. Książki na mikrofilmach. Błyskotki dla naszych pięknych dam. Kupujcie nasze ziarno, a będziecie mogli sprzedawać nam z wielkim zyskiem.

Hinduski dziennikarz zamyślił się i zaczął pisać. Obok niego stał jakiś Europejczyk, który nie wyglądał na przekonanego.

- Profesorze - powiedział - czy zdaje pan sobie sprawę, jakie będą koszty wysyłki takich ładunków na Księżyc?

Profesor machnął ręką.

- To techniczny szczegół. Sir, kiedyś przesyłanie towarów przez ocean było nie tylko kosztowne, ale wprost niemożliwe. Potem stało się to kosztowne, trudne, niebezpieczne. Obecnie możecie sprzedawać towary na antypodach niemal równie tanio, co sąsiadom; długodystansowy transport to najmniej ważna pozycja w kosztach. Panowie, nie jestem inżynierem. Ale wiem o inżynierach jedno. Kiedy t r z e b a coś zrobić, to inżynierowie znajdą na to opłacalny sposób. Jeśli c h c e c i e mieć ziarno, które my zbieramy, to porozmawiajcie z inżynierami. - Profesor zasapał się, dał znak gestem i pielęgniarka wywiozła go.

Nie dałem się wciągnąć do rozmowy na ten temat, powiedziałem im, żeby spytali Profesora, kiedy wydobrzeje. Więc dobrali się do mnie od innych stron. Jeden facet chciał wiedzieć, dlaczego my osadnicy, skoro nie płacimy podatków, uważamy, że mamy prawo rządzić się na własny sposób. W końcu kolonie zostały założone przez Narody Sfederowane - przez niektóre z nich. Kosztowało to straszną kupę forsy, Ziemia pokryła wszystkie rachunki - a teraz wy osadnicy korzystacie z dobrodziejstw i nie płacicie ani grosza podatków. Czy to fair?

Chciałem mu powiedzieć, żeby spadał. Ale Profesor znów kazał mi wziąć pigułkę na wstrzymanie, no i wykułem tę długą listę odpowiedzi na podchwytliwe pytania.

- Zajmijmy się tym punkt po punkcie - powiedziałem. - Po pierwsze, p o c o mamy płacić podatki? Niech mi pan powie, co za to dostanę, a może to kupię. Albo inaczej. Czy pan płaci podatki?

- Oczywiście, że płacę! I pan też powinien.

- I co pan dostaje za te podatki?

- Hę? Podatki są na rząd.

- Przepraszam - powiedziałem - ale jestem głupi. Całe życie przeżyłem w Lunie, nie znam się na waszych rządach. Mógłby mi pan to wytłumaczyć po kawałku? Co pan dostaje za swoje pieniądze?!

Wszyscy się zainteresowali i o czym zapomniał ten agresywny facecik, inni dorzucali. Ja

zapisywałem. Kiedy już skończyli, przeczytałem:

- Darmowe szpitale - w Lunie nie mamy żadnych. Ubezpieczenie lekarskie - to mamy, ale widocznie inne niż wasze. Kiedy ktoś chce się ubezpieczyć, idzie do bukmachera i opłaca zakład. U nas można założyć się o wszystko, jeśli tylko ma się dość pieniędzy. Ja niej zakładam się o zdrowie, jestem zdrowy. Albo byłem, zanim tu przyjechałem. Mamy bibliotekę publiczną, założoną przez Fundację Carnegie'ego z paru książek na mikrofilmach. Utrzymuje się z opłat abonamentowych. Publiczne drogi. To chyba odpowiednik naszej kolejki podziemnej. Ale musimy za nią płacić tak samo, jak za powietrze. O, przepraszam, u was powietrze jest za darmo, prawda? To znaczy, nasze kolejki zostały wybudowane przez firmy, które zainwestowały w to i teraz bardzo by chciały, żeby im się to zwróciło, i to z nawiązką. Publiczne szkoły. Mamy szkoły w każdym osiedlu, nie słyszałem, żeby któraś nie chciała przyjmować uczniów, więc chyba są "publiczne". Ale to też dobry interes, bo w Lunie, jeśli ktoś zna się na czymś pożytecznym i chce tego uczyć, to liczy sobie tyle, ile się da.

Co tam jeszcze mamy... - mówiłem dalej. - Ubezpieczenia społeczne. Nie jestem pewien, czy wiem, co to takiego, ale jestem pewien że tego nie mamy. Emerytury. Można wykupić emeryturę. Mało kto to robi; rodziny są w większości duże, i starzy ludzie, powiedzmy po setce, albo majstrują sobie przy czymś, co lubią, albo siedzą i oglądają TV. Albo śpią. Dużo śpią, zwłaszcza po stodwudziestce.

- Przepraszam, sir. Czy ludzie n a p r a w d ę żyją na Księżycu tak długo?

Zrobiłem zaskoczoną minę, ale nie byłem zaskoczony; to było "stymulowane pytanie", na które wyuczyłem się odpowiedzi.

- Nie wiadomo, ile lat człowiek może przeżyć w Lunie; za krótko tam jesteśmy. Nasi najstarsi obywatele urodzili się u was, na Ziemi żaden dowód. Póki co nikt urodzony w Lunie nie umarł ze starości ale to też żaden dowód; nie zdążyli się jeszcze zestarzeć, niecałe sto lat. Ale... Cóż, na przykład ja; jak pani myśli, ile mam lat? Jestem autentycznym Lunatykiem, trzecie pokolenie.

- Eee, szczerze mówiąc, pułkowniku Davis, jest pan zadziwiająco młody - to znaczy, jak na swoją misję. Wygląda pan na około 22 lata. Czy jest pan starszy? Chyba niewiele.

- Szanowna pani, żałuję, że tutejsza grawitacja uniemożliwia mi skłonienie się pani. Dziękuję pani. Jakiś czas temu obchodziłem 22 rocznicę ślubu.

- Co? Och, żartuje pan!

- Szanowna pani, nigdy nie ośmieliłbym się zgadywać wieku damy, lecz gdyby zechciała pani wyemigrować do Luny, zachowałyaby swą obecną młodzieńczą urodę znacznie dłużej i przedłużyła sobie życie o co najmniej dwadzieścia lat. - Spojrzałem na listę. - Co do reszty, powiem krótko, że nie mamy w Lunie żadnej z tych rzeczy, więc nie sądzę, byśmy musieli płacić na nie podatki. Jeśli chodzi pana drugie pytanie, sir, to przecież wie pan, że pierwotne koszty kolonizacji już dawno zwróciły się kilkakrotnie w samych tylko dostawach ziarna. Rabuje się nam nasze podstawowe bogactwa... i nawet nie dostajemy za nie wolnorynkowych cen. Stąd upór Zarządu Luny; nie zrezygnują dobrowolnie z rabowania nas. Twierdzenie, jakoby Luna była dla Terry wydatkiem, i że

inwestycje muszą się zwrócić, to kłamstwo wymyślone przez Zarząd jako wymówka, by traktować nas jak niewolników. W rzeczywistości od początku bieżącego stulecia Luna nie kosztowała Terry ani grosza - a pierwotna inwestycja już dawno się zwróciła.

Próbował się wyklócać.

- Och, na pewno nie uważa pan, że lunańskie kolonie zwróciły miliardy dolarów wydane na opracowanie technologii lotów kosmicznych?

- To też niewykluczone. Jednakże nie macie prawa przedstawiać nam rachunku za to. Loty kosmiczne to wasza własność, narodów Ziemi. N i e n a s z a. Luna nie posiada ani jednego statku. Dlaczego więc mamy płacić za coś, z czego nie korzystamy? Może pan dopisać to do swojej listy. Skoro tego nie dostajemy, to dlaczego mamy za to płacić?

Specjalnie przedłużałem tę dyskusję, czekałem na pytanie, które, jak powiedział Profesor, na pewno usłyszę... i wreszcie doczekałem się.

- Chwileczkę, jeśli można! - rozległ się czyjś pewny siebie głos. - Pomiął pan dwie najważniejsze pozycje z listy. Ochrona policyjna i siły zbrojne. Chwali się pan, że zapłacicie za wszystko, co dostajecie... więc może by tak zaległe podatki za te rzeczy, za sto lat? A to będzie spory rachunek, spory! - Uśmiechnął się z satysfakcją.

Chciałem mu podziękować! - już myślałem, że Profesor zmyje mi głowę, że nie wywlekłem tego tematu. Ludzie popatrzeni po sobie i pokiwali głowami zadowoleni, że ktoś mi w końcu przytarł nosa. Postarałem się zrobić niewinną minkę.

- Proszę? Nie rozumiem. Luna nie posiada ani policji, ani sił zbrojnych.

- Wie pan, o co mi chodzi. Korzystacie z ochrony Sił Pokojowych Narodów Sfederowanych. I macie policję. Opłacaną przez Zarząd Luny! Wiem na pewno, że niecały rok temu skierowano na Księżyc dwie falangi do służby policyjnej.

- Och. - Westchnąłem. - Czy może mi pan wytłumaczyć, w jaki sposób siły pokojowe NS chronią Lunę? Nie słyszałem, żeby któryś z waszych narodów chciał nas zaatakować. Jesteśmy daleko, i nie ma nam czego zazdrościć. A może chodzi o to, że mamy im płacić, żeby mieć od nich spokój? W takim razie jest stare porzekadło: kto raz zapłaci haracz Duńczykom, nigdy się ich nie pozbędzie. Sir, jeśli będzie trzeba, będziemy w a l c z y ć z siłami zbrojnymi NS... p ł a c i ć za nie nigdy nie będziemy.

A teraz ci tzw. "policjanci". Nie n a s mieli chronić. Prawdę o tych zbirach znajdzie pan w naszej Deklaracji Niepodległości - czy wydrukowały ją wasze gazety? - Niektóre tak, inne nie - zależy, w jakim kraju. - Poszaleli i zaczęli gwałcić i mordować! A teraz są m a r t w i! Więc nie posyłajcie nam już żołnierzy!

Raptem poczułem się "zmęczony" i musiałem wyjść. Naprawdę byłem zmęczony; kiepski ze mnie aktor i kierowanie tej dyskusji wyznaczone przez Profesora tory kosztowało mnie wiele

wysiłku.

ROZDZIAŁ XVIII

Dopiero później dowiedziałem się, że facet, który podsunął temat “ochrony” i “sił zbrojnych”, był opłacany przez Stu; nasz impresario wolał nie ryzykować. Zanim się dowiedziałem, nabyłem już ogromnej wprawy w kierowaniu wywiadami; musiałem ich udzielać bez ustanku.

Byłem zmęczony, ale wieczór jeszcze się dla mnie nie skończył. Poza prasą, odważyli się też pokazać gości z agrańskiego korpusu dyplomatycznego - niewielu i nieoficjalnie, nawet ci z Czadu. Ale stanowiliśmy kurioza, i chcieli nas obejrzeć.

Tylko jeden z nich był ważny, Kitajec. Wzdrygnąłem się na jego widok: to był ten Kitajec z komisji. Przedstawił mi się jedynie jako “dr Chan”, i udaliśmy, że spotykamy się po raz pierwszy.

To był ten sam dr Chan, który był wtedy senatorem z Wielkich Chin, a także od dawna numero uno Wielkich Chin w Zarządzie Luny - a do tego miał w dalekiej przyszłości zostać Wiceprzewodniczącym i Premierem, zanim go zaciukali w zamachu.

Kiedy powiedziałem to, co miałem, i w dodatku jeszcze parę rzeczy, które nie były aż tak ważne, skierowałem fotel do sypialni, a tam natychmiast wezwał mnie do siebie Profesor.

- Manuelu, na pewno zauważyłeś naszego dostojnego gościa z Państwa Środka.

- Tego Kitajca z komisji?

- Spróbuj się ograniczyć z tym lunatyckim żargonem, synu. Tutaj masz go w ogóle nie używać, nawet rozmawiając ze mną. Tak. Chciałby się dowiedzieć, co to znaczy “dziesięcio- albo stokrotnie”. Wytłumacz mu.

- Mówić prawdę czy czarować?

- Prawdę. Ten człowiek nie jest głupi. Dasz sobie radę ze szczegółami technicznymi?

- Odrobiłem zadanie domowe. Chyba że on jest ekspertem od balistyki.

- Nie jest. Ale nie udawaj, że wiesz więcej niż naprawdę. I nie myśl, że on nam sprzyja. Ale może nam bardzo pomóc, jeśli uzna, że nasze i jego interesy są zbieżne. Ale do niczego go nie namawiaj. Jest w moim gabinecie. Powodzenia. I pamiętaj - mów standardową angielszczyzną.

Kiedy wjechałem, dr Chan wstał; przeprosiłem go, że nie mogę wstać. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, jak trudne jest tu życie dżentelmenów z Luny i żebym się nie przemęczał - sam sobie uściśnął dłoń i usiadł.

Nie będę was nudził grzecznościami. Jeśli twierdzimy, że jest tani sposób na wysyłanie wielkich ładunków do Luny, to czy mamy jakieś konkretne rozwiązanie, czy nie?

Powiedziałem mu, że znamy sposób wymagający dużych inwestycji, ale tani w kosztach

eksploatacji.

- Korzystamy z niego na Lunie, sir. Wyrzutnia, wyrzutnia indukcyjna nadająca ładunkom prędkość ucieczki.

Jego twarz ani drgnęła.

- Pułkowniku, czy zdaje pan sobie sprawę, że propozycję tę formułowano już wiele razy i że zawsze trzeba ją było odrzucić z bardzo poważnych względów? Coś związanego z ciśnieniem powietrza.

- Tak, panie doktorze. Ale na podstawie wszechstronnych analiz komputerowych i naszego doświadczenia z wyrzutnią uważamy, że obecnie jest to problem do rozwiązania. Nasze dwie największe firmy, LUNOHO Company i Bank Hongkongu, Luna, są gotowe stanąć na czele syndykatu w celu zorganizowania prywatnego przedsięwzięcia. Potrzebują waszej pomocy na Ziemi i mogą przekazać wam części udziałów, choć woleliby sprzedawać obligacje i zachować pakiet kontrolny. Najbardziej zależy im na koncesji od jakiegoś rządu, wieczystej dzierżawie miejsca przyszłej wyrzutni. Najprawdopodobniej w Indiach.

Całej tej przemowy nauczyłem się na pamięć. Gdyby ktoś choć spojrział w księgi LUNOHOCO, to zobaczyłby, że to bankrut, a Bank Hongkongu też był nadwerężony; działał jako centralny bank dla kraju, w którym nie skończyła się jeszcze rewolucja. Chodziło tylko o to, żeby zakończyć to słowem "Indie". Profesor wyjaśnił mi, że to słowo m u s i znaleźć się n a s a m y m k o ń c u.

- Nie zajmujmy się na razie aspektami finansowymi - odpowiedział dr Chan. - Jeśli coś jest możliwe fizycznie, to może też być możliwe finansowo; pieniądze to strach na ubogich duchem. Dlaczego wybraliście Indie?

- Cóż, sir, o ile się nie mylę, Indie konsumują obecnie ponad 90% naszych dostaw ziarna...

- 93,1%.

- Właśnie, sir. Indie są niezwykle zainteresowane naszym zbożem, więc prawdopodobnie będą chętne do współpracy. Mogą zapewnić nam ziemię, dostarczyć siły roboczej i materiałów itd. Ale wspominałem o Indiach dlatego, że dysponują one wielkim wyborem potencjalnych lokacji, bardzo wysokich gór niezbyt odległych od równika Terry. Ten ostatni czynnik nie jest nieodzowny, ale jest korzystny. Lecz wyrzutnia m u s i być zlokalizowana na wysokiej górze. Rozchodzi się o to ciśnienie powietrza, o którym pan wspominał, a właściwie o gęstość powietrza. Rampa załadownicza powinna znajdować się jak najwyżej, ale wylot wyrzutni, gdzie ładunek osiąga prędkość ponad 11 km/s, musi być w powietrzu tak rzadkim, że bliskim próżni. Potrzeba więc bardzo wysokiej góry. Na przykład Nanda Devi, około 400 km stąd. Linia kolejowa dochodzi do 60 km od góry, a droga prawie do samych stóp. Ma 8000 m wysokości. Nie wiem, czy Nanda Devi to nasz ideał. To po prostu jedna z możliwych lokalizacji z dobrym zapleczem; idealne miejsce będą musieli wybrać terrańscy inżynierowie.

- Czy wyższa góra byłaby lepsza?

- O tak, sir! - zapewniłem go. - Wyższa góra byłaby odpowiedniejsza od góry bliższej równika. Konstrukcja wyrzutni może rekompensować ograniczenia wyboru kursu związane z obrotami Ziemi. Najważniejsze, żeby ile się tylko da unikać tej szajsowatej gęstej atmosfery. Przepraszam, panie doktorze; nie chciałem krytykować pańskiej planety.

- Są wyższe góry. Pułkowniku, niech mi pan opowie o tej wyrzutni.

Zacząłem opowiadać.

- Długość wyrzutni uciezkowej uzależniona jest od przyśpieszenia. Uważamy - a raczej komputer wyliczył - że optymalne byłoby przyśpieszenie około 20 g. Dla ziemskiej prędkości ucieczki długość wyrzutni wynosiłaby 323 km. Tak więc...

- Chwileczkę, proszę! Pułkowniku, czy naprawdę proponuje pan wywiercenie dziury głębokiej na ponad trzysta kilometrów?

- Och, nie! Konstrukcja musi znajdować się nad ziemią, by mogły się rozchodzić fale uderzeniowe. Stojan będzie w pozycji niemal poziomej, na 300 km wzniesie się o około czterech, i w linii prostej - właściwie w łagodnej krzywej, ze względu na przyśpieszenie Coriolisa i inne drobne zmienne. Lunańska katapulta jest tak prosta, że z jej początku można zobaczyć koniec, i prawie pozioma - barki przelatują tuż nad szczytami gór.

- Och. Myślałem, że przecenia pan nasze umiejętności górnicze. Potrafimy już wiercić głęboko. Nie tak głęboko. Niech pan mówi dalej.

- Niewykluczone, panie doktorze, że właśnie ze względu na to mylne, choć rozpowszechnione przekonanie, które kazało panu przerwać mój wywód, nie zbudowano jeszcze takiej wyrzutni. Widziałem wasze raporty. Większość autorów zakładała, że wyrzutnia musi być pionowa albo wyginać się na końcu do góry, żeby wystrzeliwać statki w niebo - obie te rzeczy są i niewykonalne, i zbędne. Przypuszczam że u podstaw tego przekonania leży fakt, że wasze rakiety r z e c z y w i ś c i e startują pionowo albo niemal pionowo.

Ale robią to - kontynuowałem - nie po to, żeby wejść na orbitę, a jedynie, by wydostać się z atmosfery. Prędkość ucieczki to wielkość skalarna, a nie wektorowa. Ładunek wystrzelony z wyrzutni z prędkością ucieczki nie powróci na Ziemię bez względu na to, jaki nadać mu kierunek. Eee... dwie poprawki: nie może on kierować się w stronę samej Ziemi, ale gdzieś w kopułę niebieską i musi mieć dość prędkości dodatkowej, by mógł przebić się przez leżącą jeszcze przed nim atmosferę. Jeśli wystrzeli go pan we właściwą stronę, to w końcu trafi do Luny.

- Ach, tak. A więc z tej wyrzutni będzie można korzystać tylko raz na miesiąc lunański?

- Nie, sir. Według pańskich założeń będzie to możliwe raz dziennie, o godzinie, w której Luna znajduje się we właściwym punkcie orbity. Ale naprawdę - czy raczej zdaniem naszego komputera; ja nie znam się na astronautyce - naprawdę z wyrzutni będzie można korzystać bez przerw, wystarczy

zmienić prędkość wystrzelenia i orbita także doprowadzi do Luny.

- Nie wyobrażam sobie tego.

- Ani ja, panie doktorze, ale... Proszę powiedzieć, czy to prawda, że na Uniwersytecie Peiping macie wyjątkowo bystry komputer?

- A jeśli mamy? - Czyżby w jego zachowaniu pojawiła się jeszcze odrobinka uprzejmej tajemniczości? Komputer-cyborg... Peklowany mózg? Albo żywy, świadomy? Tak czy tak, obrzydliwość.

- Może pan poprosić jakiś wyjątkowo bystry komputer o obliczenie wszystkich możliwych czasów wystrzelenia dla takiej wyrzutni, jaką opisałem. Niektóre orbity wychodzą daleko za orbitę Luny, zanim zawrócą do miejsca, w którym można je przechwycić z Luny, a podróż po nich zajmuje ogromnie dużo czasu. Inne zakręcają tylko wkoło Terry, a potem idą prosto jak drut. Niektóre są tak proste jak te, z których my korzystamy na Lunie. Każdego dnia przez pewien czas : można wybierać krótkie orbity. Ale ładunek przebywa w wyrzutni przez niecałą minutę; jedyne ograniczenie to tempo przygotowywania ładunków. Można nawet wystrzeliwać kilka ładunków jednocześnie, jeśli tylko ma się dość energii i komputer z podzielną uwagą. Martwi mnie tylko jedna rzecz... Czy te wysokie góry są pokryte śniegiem?

- Zazwyczaj - odpowiedział. - To lód, śnieg i naga skała.

- Cóż, sir, jako rodowity Lunatyk nie znam się na śniegu. Stojan będzie musiał zachowywać sztywność i opierać się nie tylko potężnemu ciężarowi tej planety, ale także dynamicznym uderzeniom 20 g. Nie sądzę, by można go zakotwić w lodzie czy śniegu. Czy też się mylę?

- Nie jestem inżynierem, pułkowniku, ale to raczej mało prawdopodobne. Trzeba będzie uprzątnąć śnieg i lód. I sprzątać je stale. Pogoda to też problem.

- Na pogodzie się nie znam, panie doktorze, a o lodzie wiem tylko tyle, że jego ciepło krystalizacji wynosi 335 milionów dżuli na tonę. Nie mam pojęcia, ile ton przyjdzie stopić, żeby oczyścić miejsce budowy, i ile energii zje stałe sprzątnięcie, ale wydaje mi się, że na lód potrzebny będzie reaktor co najmniej równie duży, jak do zasilania samej wyrzutni.

- Potrafimy budować reaktory, potrafimy topić lód. Jeśli nasi inżynierowie za mało wiedzą o lodzie, to można ich posłać na reedukację w okolicę, gdzie sporo się o nim nauczą. - Dr Chan uśmiechnął się, a ja zadrżałem. - Ale w sprawach lodu i śniegu już dawno zdobyliśmy mnóstwo doświadczenia w Antarktyce; może pan być spokojny. Czysty teren na solidnej skale, 350 km długości, na dużej wysokości... Czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze?

- Już o niczym ważnym, sir. Stopiony lód można gromadzić w pobliżu rampy załadowniczej wyrzutni, i odpadnie kłopot z najważniejszym składnikiem ładunków dla Luny - to spora oszczędność. Poza tym stalowe kanistry możemy odsyłać z powrotem na Ziemię, z ziarnem w środku, i w ten sposób zapobiegniemy innemu marnotrawstwu, na które Luny nie stać. Jeden kanister może latać tam i z powrotem nawet setki razy. Lądowanie w Lunie będzie wyglądać podobnie do

ładowania koło Bombaju, wsteczne rakiety na paliwo stałe odpalane przez kontrolę z powierzchni - tylko tańsze, zmiana ruchu 2,5 km/s w porównaniu z ponad 11, do kwadratu to około 20 - w praktyce jeszcze lepiej, bo rakiety wsteczne to martwa masa, i w związku z tym wzrasta przestrzeń dla ładunku. Nawet to można by jeszcze ulepszyć.

- Jak?

- Na tym już w ogóle się nie znam, doktorze. Ale wszyscy wiedzą, że wasze najlepsze statki używają wodoru jako masy reakcyjnej, która nagrzewa się w reaktorze. Ale wodór jest w Lunie drogi, a za masę reakcyjną wystarczy byle co; najwyżej nie będzie takie wydajne. Czy wyobraża pan sobie gigantyczny, silny holownik kosmiczny, zaprojektowany do eksploatacji w warunkach lunańskich? Jako masy reakcyjnej używałby surowej skały, w stanie gazowym, i mógłby, wchodzić na orbitę parkingową, zdejmować te przesyłki z Terry, i sprowadzać na powierzchnię Luni. Będzie strasznie brzydki i nieaerodynamiczny, bez żadnych gadżetów - bezzałogowy, nawet bez cyborga. Można nim będzie kierować z powierzchni, przez komputer.

- Tak, to chyba możliwe. Ale nie komplikujmy sobie zadania. Czy to już wszystkie kluczowe dane na temat wyrzutni?

- Chyba tak, panie doktorze. Najważniejszy jest wybór miejsca. Na przykład ta góra Nanda Devi. Widziałem na mapach, że ma bardzo długi, bardzo wysoki grzbiet, opadający na zachód, mniej więcej długości naszej wyrzutni. Jeśli mapy nie kłamią, to byłby ideał - mniej skały do wycinania, mniej szczyrb do wypełniania. Nie mówię, że jest to n a j i d e a l n i e j s z a lokacja, ale właśnie czegoś takiego szukamy; bardzo wysokiej góry z bardzo, bardzo długim grzbietem na zachód od wierzchołka.

- Rozumiem. - Dr Chan wyszedł gwałtownie.

W ciągu następnych tygodni powtarzałem to samo w kilkunastu krajach, zawsze na osobności i dając do zrozumienia, że sprawa jest poufna. Zmieniałem tylko nazwę góry. W Ekwadorze zauważyłem, że Chimborazo leży niemal na samym równiku - ideał! Ale w Argentynie podkreśliłem, że ich Aconcagua to najwyższy szczyt na zachodniej półkuli. W Boliwii stwierdziłem, że Altoplano jest niemal tak wysokie, jak Wyżyna Tybetańska (prawie prawda), znacznie bliższe równika i oferuje spory wybór łatwo dostępnych lokacji na górach należących do najwyższych na Terra.

Rozmawiałem z jednym Północnoamerykaninem, politycznym konkurentem tego koleśia, który powiedział na nas "motłoch". Zwróciłem jego uwagę na fakt, że wprawdzie Mount McKinley nie ma się czego powstydić przy szczytach azjatyckich i południowoamerykańskich, ale Mauna Loa też ma swoje zalety - wyjątkową dostępność. Gdyby podwoić g, wyrzutnia akurat by się na niej zmieściła, i Hawaje stałyby się Kosmodromem Świata... c a ł e g o świata, bo mówimy o czasach eksploatacji Marsa, kiedy z ich "Wielkiej Wyspy" będą wylatywać ładunki dla trzech (może czterech) planet.

Ani słowem nie wspomniałem o wulkanicznym charakterze Mauna Loa, za to zauważyłem, że z tej lokacji można by kierować nie-sterowne ładunki do bezpiecznego wodowiska Pacyfiku.

W Sowietach mogłem mówić o tylko jednej górze - Piku Lenina, ponad 7000 m (i raczej zbyt blisko ich potężnego sąsiada).

Kilimandżaro, Popocatepetl, Mount Logan, El Libertado - z kraju do kraju góra moich marzeń zmieniała się; wystarczyło, żeby była to "najwyższa góra" w sercach tubylców. Nawet kiedy podejmowali nas w Czadzie, znalazłem parę ciepłych słów dla ich skromnych kopczyków i improwizowałem tak dobrze, że sam prawie uwierzyłem.

W przerwach, z pomocą pytań poddawanych przez ludzi Stu LaJoie, opowiadałem o inżynierii chemicznej (o której wiem tylko tyle, ile nauczyłem się na pamięć) na powierzchni Luny, gdzie przewidywalność warunków, nieskończone zasoby darmowej próżni, energii słonecznej i niezliczonych surowców pozwolą przeprowadzać na skalę przemysłową reakcje kosztowne albo niemożliwe na Ziemi - kiedy nadejdą czasy, w których dzięki tanemu transportowi w obie strony opłacać się będzie eksploatacja dziewiczych złóż Luny. Zawsze z imputacją, że wrodzona biurokracja przeszkodziła Zarządowi Luny dostrzec nieograniczony potencjał Luny (co było prawdą) i z odpowiedzią na sakramentalne pytanie, że Luna może przyjąć każdą liczbę osadników.

To też była prawda, choć nigdy nie wspominałem, że Luna (tak, a czasami lunańscy Lunatycy) zabija mniej więcej połowę żółtodziobów. Ale mało który z naszych rozmówców sam chciał emigrować; zamyślali zmusić albo namówić innych do emigracji, żeby ulżyć przeludnieniu - i zmniejszyć własne podatki. I ani się nie zająknąłem, te niedożywione roje, jakie wszędzie oglądaliśmy, mnożą się tak szybko, że nie nadążąłoby się nawet wysyłać ich przez wyrzutnie.

Nie damy rady przygarnąć, nakarmić i przeszkolić nawet miliona żółtodziobów rocznie - a milion to na Terra mniej niż kropla w morzu; co noc poczynają tu więcej niż milion dzieci. Możemy spokojnie przyjąć wszystkich dobrowolnych emigrantów, ale jeśli będą wymuszać emigrację i zaleją nas... Luna traktuje każdego żółtodzioba tak samo: albo nie popełni on ani jednego fatalnego błędu, czy to w stosunkach międzyludzkich, czy w borykaniu się ze środowiskiem, które gryzie bez ostrzeżenia... albo skończy jako nawóz w rolniczym tunelu.

Taka gigantyczna imigracja da tylko tyle, że ginąć będzie większy procent imigrantów - za mało nas jest, byśmy mogli wszystkich ustrzec przed pułapkami natury.

Ale o "świetlanej przyszłości Luny" mówił głównie Profesor. Ja zajmowałem się wyrzutniami.

Dużo podróżowaliśmy w ciągu tych tygodni, zanim komisja znów nas nie wezwała. Ludzie Stu wszystko przygotowali, i rozchodziło się tylko o to, ile możemy znieść. Na moje rozeznanie, każdy tydzień na Terra skracał nam życie o rok, Profesorowi chyba jeszcze więcej. Ale Profesor nie narzekał i zawsze był gotów prezentować swój czar na kolejnym przyjęciu.

Najwięcej czasu spędziliśmy w Północnej Ameryce. Okazało się, że data naszej Deklaracji Niepodległości, dokładnie 300 lat po Deklaracji brytyjskich kolonii w Pomocnej Ameryce, zdziałała propagandowe czary, a manipulatorzy Stu nie zasypiali gruszek w popiele. Północnoamerykanie są sentymentalni na punkcie swoich "Stanów Zjednoczonych", choć teraz, kiedy kontynent zrationalizowały NS, one już nic nie znaczą. Co osiem lat wybierają prezydenta, nie wiedzieć czemu

- a czemu Brytyjczycy nadal mają królową? - i chełpią się, że są "suwerenni". "Suwerenność", tak samo jak "miłość", znaczy wszystko, co się chce; to po prostu słowo w słowniku, pomiędzy "spokojny" a "szurnięty".

W Pomocnej Ameryce "suwerenność" znaczy wiele, a "czwarty lipca" to magiczna data; pobyt organizowała nam Liga Czwartego Lipca, a Stu zwierzył się nam, że założenie jej kosztowało go niewiele, a działała zupełnie za darmo; Liga przynosiła nawet zyski, przeznaczone na inne cele - Północnoamerykanie lubią dawać pieniądze, i nieważne, kto je bierze.

Nieco bardziej na południe Stu posługiwał się inną datą; jego ludzie rozpowszechnili tam pogląd, jakoby nasz zamach stanu miał miejsce piątego maja, a nie dwa tygodnie później. Witały nas okrzyki: "Cinco de Mayo! Libertad! Cinco de Mayo!" Myślałem, że wołają "Thank you" - całe gadanie odwalał Profesor.

Ale w Krainie Czwartego Lipca czułem się jak w domu. Stu powiedział, żebym przy ludziach nie nosił lewej ręki, kazał zaszyć rękawy mojej garderoby tak, żeby kikut rzucał się w oczy i puścił w obieg pogłoskę, że straciłem ją "walcząc o wolność". Gdy mnie o to pytali, zawsze tylko się uśmiechałem i mówiłem: "Oto, do czego prowadzi obgryzanie paznokci" - po czym zmieniałem temat.

Północna Ameryka nigdy mi się nie podobała, nawet za pierwszą podróżą. Nie jest to najtłoczniejsza część Terry, liczy wszystkiego miliard ludzi. W Bombaju ludzie walają się na chodnikach; w Wielkim Nowym Jorku pakuje się ich pionowo - chyba nie mogą spać. Cieszyłem się, że jeżdżę na wózku inwalidzkim.

Są tam i inne dziwne rzeczy; zwracają wiele uwagi na kolor skóry - ostentacyjnie nie zwracając na to uwagi. Za pierwszą podróżą zawsze byłem albo za jasny, albo za ciemny, i tak czy tak ktoś mi to miał za złe, albo też oczekiwali ode mnie opinii o sprawach, na temat których wcale nie mam zdania. Boh mi świadkiem, że sam nie wiem, jakie mam geny. Jedna z moich babek pochodziła z takiej okolicy Azji, na którą najeżdźcy zwalali się regularnie jak szarańcza, gwałcąc po drodze - może ją spytacie?

W czasie drugiego kursu nauczyłem się, jak sobie radzić w takich sytuacjach, ale pozostał mi po nich gorzki posmak. Chyba wolałbym już jakiś otwarcie rasistowski kraj, np. Indie, gdzie jak się nie jest Hindusem, to jest się nikim - tyle że Parsowie gardzą Hindusami i vice versa. Choć jako "pułkownik O'Kelly Davis, Bohater Walki o Wolność Luny", uniknąłem jakoś północnoamerykańskiego antyrasizmu.

Otaczały nas roje krwawiących serc, marzących tylko o tym, żeby nam pomóc. Pozwoliłem, żeby mi zafundowali dwie atrakcje, na które jako kursant nigdy nie miałem czasu, pieniędzy czy energii: obejrzałem mecz Yankees i odwiedziłem Salem.

Tylko się rozczarowałem. Baseball lepiej wychodzi w TV, wszystko widać i nie wpycha się na człowieka 200.000 innych ludzi. A poza tym facet, który grał na tylnym polu, był zupełnie do de. Przez większość meczu przerażeniem napełniała mnie myśl o tym, jak będą musieli przepychać mój fotel przez tłum - i do tego musiałem bez przerwy zapewniać mojego przewodnika, że świetnie się

bawię.

Salem to takie sobie przedmieście, nie gorsze (i nie lepsze) od reszty Bostonu. Obejrzawszy je doszedłem do wniosku, że chyba nie powywieszali wszystkich czarownic. Ale nie zmarnowałem dnia; sfilmowali mnie, jak kładę wieniec w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się pewien most, w innej dzielnicy Bostonu, Concord[17], i jak wygłaszam tam wykutą na pamięć przemowę - zresztą most jeszcze tam jest; możecie go sobie obejrzeć, przez szkło. Taki sobie most.

Profesorowi wszystko się podobało, choć strasznie się męczył; Profesor umie się pięknie cieszyć. Zawsze mógł powiedzieć coś nowego na temat świetlanej przyszłości Luny. W Nowym Jorku oczarował kierownika sieci hoteli (takich z królikiem w godle) opowieścią o lunańskich kurortach - kiedy tylko ceny biletów staną się bardziej przystępne - o wycieczkach na tyle krótkich, żeby nikomu nic się nie stało, z usługami przewodników wliczonymi w opłatę, o egzotycznych przejażdżkach po powierzchni, o hazardzie - wolnym od podatków.

Zainteresował go zwłaszcza hazard, więc Profesor zaczął improwizować na temat "długiego złotego wieku" - sieć hoteli dla emerytów, w których Ziemiacy będą mogli utrzymać się z terrańskiej emerytury i żyć dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat dłużej niż na Terra. Jako wygnańcy - ale co jest lepsze? Długie życie starszaka w Lunie? Czy grób na Terra? Potomkowie będą mogli ich odwiedzać i zapełniać te hotele. Profesor okraszył to wizjami "nocnych klubów" z rozrywkami niemożliwymi w straszliwej terrańskiej grawitacji, sportów stosownych do naszego przyzwoitego ciężenia - opowiadał nawet o basenach pływackich, łyżwiarstwie i o możliwości l a t a n i a! (Chyba przepalił mu się jakiś bezpiecznik). Na koniec wspomniał, że rozpoczęły się już pertraktacje z pewnym szwajcarskim kartelem.

Nazajutrz tłumaczył kierownikowi działu zagranicznego Chase International Panagra, że powinni założyć filię w Luna City i wysyłać do niej paraplegików, paralityków, sercowych, gości po amputacjach, w ogóle wszystkich, którym szkodzi silna grawitacja. Kierownik był gruby i sapał, może sam miałby na to ochotę - ale nadstawił uszu, kiedy usłyszał "wolne od podatków".

Nie wszystko szło po naszej myśli. Nie wszędzie nas lubili, a wszędzie zadawali głupie pytania. Jeśli musiałem na nie odpowiadać sam, bez pomocy Profesora, to często się potykałem. Jakiś facet uczeplił się stwierdzenia Profesora przed komisją, że zboże uprawiane w Lunie "należy" do nas; był święcie przekonany, że jest inaczej. Powiedziałem mu, że nie rozumiem pytania. Odpowiedział:

- Czy to prawda, pułkowniku, że wasz rząd tymczasowy wystąpił o członkostwo w Narodach Sfederowanych?

Powinienem być na to oświadczyć: "Nie mam nic do powiedzenia". Ale połknąłem haczyk i potwierdziłem.

- Świetnie - rzekł - na przeszkodzie stoi tu pogląd, że Księżyc stanowi własność Narodów Sfederowanych - zawsze stanowił - pod administracją Zarządu Luny. W każdym razie, przyznaje pan, że ziarno to własność Narodów Sfederowanych, oddana w powiernictwo?

Spytałem go, jak doszedł do tego wniosku. Odpowiedział:

- Pułkownik, podaje się pan za "Podsekretarza Spraw Zagranicznych". Z pewnością dobrze pan zna kartę Narodów Sfederowanych.

Przekartkowałem ją raz.

- W miarę dobrze - odparłem; ostrożnie, jak mi się wydało.

- Zna pan więc gwarantowane przez Kartę Pierwsze Prawo oraz tryb jego egzekucji na mocy zarządzenia administracyjnego Izby Kontroli Rolnictwa i Wyżywienia nr 11/76 z 3 III bieżącego roku. Tym samym przyznaje pan, że wszelkie ziarno zebrane na Księżycu i przekraczające lokalne przydziały stanowi ab initio[18] i niezaprzeczalnie własność publiczną powierzoną Narodom Sfederowanym i ich agendom w celu zgodnej z potrzebami dystrybucji. - Mówiąc to pisał. - Czy chciałby pan dodać coś do tego oświadczenia?

- Na Bohę, o czym pan mówi? - powiedziałem. A potem: - Wracaj! Nie złożyłem żadnego oświadczenia!

Tak więc w *Great New York Times* napisali:

LUNAŃSKI "PODSEKRETARZ" OŚWIADCZA:

"ŻYWNOŚĆ NALEŻY DO GŁODNYCH"

N. Jork, z ost. chw. - O'Kelly Davis, samozwańczy "pułkownik Sił Zbrojnych Wolnej Luny", który przybył do naszego kraju w poszukiwaniu poparcia dla powstańców w lunańskich koloniach NS, złożył wysłannikowi naszej gazety dobrowolne oświadczenie, w którym stwierdza, że artykuł o "Wolności od Głodu" w Wielkiej Karcie odnosi się do dostaw lunańskiego ziarna...

Spytałem Profesora, co powinienem być zrobić.

- Na nieprzyjazne pytanie zawsze odpowiadaj innym pytaniem - rzekł. - Nigdy nie pros o wyraźniejsze sformułowanie pytania; wsadzą ci do ust własne słowa. Ten reporter... Czy był chudy? Było mu widać zebra?

- Nie. Był całkiem przysadzisty.

- A więc nie żyje o 1800 kaloriach na dzień, jak to stwierdza cytowane przez niego zarządzenie. Gdybyś o tym wiedział, mógłbyś go zapytać, jak długo stosował się do tej racji i dlaczego przestał. Albo spytać, co jadł na śniadanie - i cokolwiek by odpowiedział, spojrzeć na niego z niedowierzaniem. Albo, jeśli nie wiesz, do czego zmierza, odpowiedz pytaniem i zmień temat na taki, o którym chcesz rozmawiać. I potem, co by nie powiedział, wygłoś swoje zdanie i popros o pytanie kogoś innego. To nie jest sprawa logiki - jedynie strategii.

- Profesorze, tutaj nikt nie żyje o 1800 kaloriach dziennie. Może w Bombaju. Nie tutaj.

- W Bombaju mają jeszcze mniej. Manuelu, ten "równy przydział" to fikcja. Połowa żywności na tej planecie trafia na czarny rynek, albo też na mocy jakiegoś rozporządzenia nie jest wpisywana do ksiąg. Albo prowadzą podwójną buchalterię i cyfry podawane NS nie mają nic wspólnego z rzeczywistością gospodarczą. Czy myślisz, że Wielkie Chiny podają Izbie Kontroli prawdziwe dane o swoim zbożu z Syjamu, Birmy i Australii? Na pewno nie myśli tak przedstawiciel Indii w tej izbie. Ale Indie trzymają buzię na kłódkę, bo dostają lwią część ziarna z Luny... a potem "głód służy im jako narzędzie polityki" - przypominasz sobie to wyrażenie - kiedy manipulują wyborami przy użyciu naszego ziarna. W zeszłym roku urządzili w Kerali klęskę głodu. Mówili o tym w TV?

- Nie.

- Bo wiadomość nie trafiła do TV. Kierowana demokracja to, wspaniała rzecz, Manuelu, dla tych, którzy nią kierują... a jej najpotężniejsza broń to "wolna prasa", "wolna" tzn. "odpowiedzialna", i kierujący definiują to, co jest "nieodpowiedzialne". Czy wiesz, czego Luna potrzebuje najbardziej?

- Więcej lodu.

- Systemu mass mediów, które nie czerpałyby wiadomości z tylko jednego kanału. Nasze największe zagrożenie to nasz przyjaciel Mike.

- Ż e c o? Nie ufa pan Mike'owi?

- Manuelu, w pewnych sprawach nie ufam nawet sobie. To klasyczne twierdzenie semantyki: równie dobrze można ograniczyć "odrobinę" wolność prasy, co być "odrobinę w ciąży". Nie jesteśmy jeszcze wolni i nie będziemy tak długo, jak długo ktoś - nawet nasz sojusznik Mike - będzie kontrolował nasze mass media. Moje marzenie to żeby kiedyś założyć gazetę niezależną od wszelkich źródeł czy kanałów. Chętnie bym ją składał ręcznie, jak Benjamin Franklin.

Poddałem się.

- A jeśli z tych negocjacji nic nie wyjdzie i przestaniemy wysyłać ziarno? Co wtedy, Profesorze?

- Nasi rodacy strasznie się zdenerwują... a tu, na Terra, wielu umrze. Czy czytałeś Malthusa?

- Chyba nie.

- Wielu umrze. Potem osiągną nową stabilizację z nieco większą liczbą ludzi - pracowitszych i lepiej odżywionych. Ta planeta wcale nie jest przeludniona; po prostu źle nią rządzą... a najgorszym złem, jakie można wyrządzić głodnemu człowiekowi, jest danie mu żywności. "Danie". Przeczytaj Malthusa. Z doktora Malthusa lepiej się nie śmiać; on zawsze śmieje się ostatni. Przygnębiający człowiek, ciesząc się, że już nie żyje. Ale przeczytasz go dopiero, kiedy wrócimy do domu; nadmiar faktów krępuje dyplomatę, zwłaszcza uczciwego.

- Nie jestem specjalnie uczciwy.

- Ale nie masz talentu do kłamstwa, więc szukaj ucieczki w niewiedzy i uporze. To drugie już masz; spróbuj zachować to pierwsze. Do czasu. Chłopcze, wujek Bernardo jest piekielnie zmęczony.

Powiedziałem “Przepraszam” i wyjechałem z jego pokoju. Profesor chyba przeceniał swoje siły. Chętnie zrezygnowałbym z całej tej zabawy, gdybym miał pewność, że on będzie mógł wsiąść na statek i uciec z tej ich grawitacji. Ale ruch wciąż był w jedną stronę - barki z ziarnem i nic innego.

Ale Profesor bawił się świetnie. Kiedy wyjeżdżałem i machałem na światła, żeby się zgasiły, znów zauważyłem zabawkę, którą sobie kupił i z której się cieszył jak dziecko pod choinką - mosiężną armatkę.

Prawdziwą, z czasów żaglowców. Była mała, lufę miała mniej więcej na pół metra, a masa, wraz z drewnianą lawetką, stanowiła tylko kilogramów 15. W certyfikacie napisali “działko sygnałowe”. Pachniało zamierzchłą historią, piratami, “przeciąganiem pod stępką”. Śliczne cacko ale, spytałem Profesora, p o c o? Jeśli w ogóle zdoła-i my stąd się wydostać, to cena przewozu takiej masy do Luny będzie zawrotna - osobiście byłem już gotów pozostawić tu dobry skafander, który wystarczyłby jeszcze na wiele lat - pozostawić wszystko poza dwiema lewymi rękoma i parą kalesonów. Jeśli będzie trzeba, mogę zrezygnować z ręki wyjściowej. Jeśli bardzo będzie trzeba, to i z kalesonów.

Wyciągnął dłoń i pogładził lśniącą lufę.

- Manuelu, był sobie kiedyś człowiek, który pracował na sztucznie stworzonej posadzie, jak wielu obywateli tego Dyrektoriatu, pucował mosiężną armatkę przed gmachem sądu.

- Po co w sądzie armatka?

- Nieważne. Robił to przez wiele lat. Miał co jeść i mógł co nieco odłożyć, ale nie podobał mu się brak perspektyw. Więc pewnego dnia rzucił swą posadę, wypłacił oszczędności, kupił mosiężną armatkę - i został prywatnym przedsiębiorcą.

- To był chyba jakiś dureń.

- Niewątpliwie. My też byliśmy durniami, kiedy wyrzuciliśmy gubernatora. Manuelu, ty mnie przeżyjesz. Kiedy Luna przyjmie własną flagę, chciałbym, by była na niej złota armata na sobolowym polu przekreślonym szkarłatnym bastardzim pręgiem naszego chwalebego nieprawego pochodzenia. Myślisz, że to da się załatwić?

- Chyba tak, jeśli pan narysuje. Ale po co flaga? W całej Lunie nie mamy ani jednego masztu do flagi.

- Będzie powiewać w naszych sercach... symbol wszystkich durniów, groteskowych i niepraktycznych, którzy chcieli walczyć z ratuszem. Zapamiętasz to, Manuelu?

- Oczywiście. To znaczy, przypomnę panu o tym. - Nie lubiłem, jak tak mówił. W swoim pokoju zaczął używać namiotu tlenowego - a przy ludziach n i e chciał.

Chyba “nie nie wiem” i jestem “uparty” - dowiodłem tego w mieście zwanej Lexington, Kentucky, w Centralnej Strefie Gospodarczej. Na jeden temat nie mieliśmy doktryny, nie uczyłem się na pamięć odpowiedzi na temat życia w Lunie. Profesor kazał mi mówić prawdę i uwypuklać sprawy domowe, ciepłe, przyjazne, zwłaszcza sprawy odmienne od ichnich.

- Pamiętaj, Manuelu, tysiące Terran, którzy odwiedzili Lunę, to zaledwie drobny ułamek jednego procenta. Dla większości ludzi będziemy niezdrową sensacją, jak dziwaczne zwierzęta w zoo. Pamiętasz tego żółwia, którego pokazywali w Starej Kopule? To właśnie my.

Pamiętałem, a jakże; zagłaskali biedną gadzinę na śmierć. Więc kiedy ta mieszana para zaczęła wypytywać mnie o życie rodzinne w Lunie, odpowiadałem im z przyjemnością. Upiększyłem tylko o tyle, że nie wspominałem o niektórych rzeczach - nie mających nic wspólnego z życiem rodzinnym, ale stanowiących jego żalosne namiastki w społeczności pełnej mężczyzn. Luna City to głównie domy i rodziny - według terrańskich kryteriów jest nudne, ale ja je lubię. A w innych osiedlach jest podobnie, ludzie pracują, wychowują dzieci, plotkują i najlepiej się bawią przy kolacji w domu. Niewiele było do opowiadania, więc rozwodziłem się nad wszystkim, co ich zainteresowało. Każdy lunański zwyczaj wywodzi się z Terry, bo my wszyscy stamtąd pochodzimy, ale Terra to takie w i e l k i e miejsce, że zwyczaj np. z Mikronezji może szokować w Północnej Ameryce.

Ta kobieta - damą jej nie nazwę - chciała się dowiedzieć o różnych rodzajach małżeństw. Po pierwsze, czy to prawda, że “na” Lunie śluby cywilne nie są obowiązkowe?

Spytałem, co to ślub cywilny.

Jej towarzysz powiedział:

- Daj sobie z tym spokój, Mildred. W społeczeństwach pionierskich nie ma ślubów cywilnych.

- Ale macie chyba jakieś archiwa? - nie ustępowała.

- Oczywiście - potwierdziłem. - Moja rodzina prowadzi księgę rodzinną, która zaczyna się prawie w czasach pierwszych lądowań w Johnson City - wszystkie małżeństwa, narodziny, śmierci, wszystkie ważne wydarzenia, w linii, a także w każdej gałęzi, z którą tylko mamy kontakt. A poza tym jest jeden facet, nauczyciel, który chodzi i kopiuje stare archiwa rodzinne z całego naszego osiedla, pisze historię Luna City. Takie hobby.

- A o f i c j a l n e archiwa? U nas w Kejntaki mamy archiwa obejmujące setki lat.

- Nie możemy się poszczycić tak imponującą historią, proszę pani.

- No tak, ale... Przecież w Luna City musi być urząd stanu cywilnego. Albo chociaż sędzia pokoju. Urzędnik, który zapisuje takie sprawy. Testamenty itd.

- Nie sądzę, szanowna pani - powiedziałem. - Niektórzy bukmacherzy zajmują się notariuszostwem, poświadczają podpisy na umowach i zapisują je. To dla ludzi, którzy nie umieją

czytać ani pisać i nie mogą prowadzić własnych archiwów. Ale nie słyszałem jeszcze, żeby poproszono kogoś z nich o zapisanie małżeństwa. Nie mówię, że to niemożliwe. Ale nie słyszałem o czymś takim.

- Cóż za urocza nieoficjalność! Słyszałam też, że na Księżycu bardzo łatwo otrzymać rozwód. Czy to również prawda?

- Nie, proszę pani, nie powiedziałbym, że rozwód to coś prostego. Za dużo trzeba odplątywać. Mmm... weźmy prosty przykład, jest kobieta, która ma dwóch mężów...

- D w ó c h?

- Może mieć więcej, może mieć tylko jednego. A może to być j małżeństwo złożone. Ale weźmy typowy przypadek, jedną kobietę i dwóch mężczyzn. Ona chce rozwieść się z jednym z nich. Powiedzmy, że wszystko załatwiają po przyjacielsku, drugi mąż się zgadza, a ten, który ma odejść, nie robi kłopotów. Zresztą nic by tym nie zwojował. Okay, więc ona się z nim rozwodzi; on odchodzi. Ale zostaje mnóstwo spraw do załatwienia. Może mężczyźni byli i współnikami, jak to często bywa z współ-mężami. Rozwód może zerwać spółkę. Trzeba się rozliczyć. Ta trójka mogła posiadać wspólną przestrzeń, może zapisaną na nią, ale eks-mężowi pewno należą się pieniądze albo czynsz. I prawie zawsze trzeba pomyśleć o dzieciach, o ich utrzymaniu itp. Mnóstwo rzeczy. Nie, proszę pani, rozwód nie jest prosty. Rozwieść można się w dziesięć sekund, ale rozliczenie się ze wszystkim zajmie i dziesięć lat. Czy u was też tak jest?

- Eee... niech pan zapomni, że zadałam to pytanie, pułkownik; u nas je chyba prości. - Cały czas tak mówiła, ale mogłem ją zrozumieć, kiedy tylko wczułem się w program. Nie będę już transkrybował. - Ale jeśli to ma być p r o s t e małżeństwo, to jak wygląda "złożone"?

Zacząłem jej opowiadać o poliandriach, klanach, grupach, liniach i mniej pospolitych modelach, które osoby konserwatywne, w tym moja rodzina, uważają za wulgarne - np. układ, jaki zorganizowała moja matka, kiedy odpisała rodziciela, choć tego im nie objaśniałem; Matka zawsze lubiła przesadzać.

- Pogubiłam się - powiedziała kobieta. - Czym się różni linia od klanu?

- To wielka różnica. Weźmy nasz przypadek. Mam zaszczyt należeć do jednego z najstarszych małżeństw liniowych w Lunie - i, moim subiektywnym zdaniem, do najlepszego. Pytała pani o rozwody. W naszej rodzinie nie było jeszcze ani jednego, i założę się, o co pani chce, że nigdy nie będzie. Małżeństwo liniowe nabiera z każdym rokiem większej stabilności, uczy się sztuki tolerancji i współpracy, i w końcu nie do pomyślenia jest, żeby ktoś mógł odejść. Zresztą decyzja o rozwodzie z mężem wymaga jednogłośnej zgody wszystkich żon - a to się nigdy nie zdarzy. Najstarsza żona nigdy na to nie pozwoli.

Dalej wyliczałem zalety - zabezpieczenie finansowe, cudowne życie domowe dla dzieciaków, fakt, że śmierć jednego z małżonków, choć tragiczna, nie może wywołać takiej tragedii, jak w rodzinie czasowej, zwłaszcza wśród dzieci - dzieci nigdy nie staną się sierotami. Chyba zbyt się rozentuzjazmowałem - ale dla mnie rodzina to n a j w a ż n i e j s z a rzecz w życiu. Bez

niej jestem tylko jednorękim mechanikiem, którego można wyeliminować i nawet nie zrobić przy tym przeciągu.

- Skąd ta stabilność? - mówiłem. - Weźmy moją najmłodszą żonę, ma szesnaście lat. Zanim zostanie seniorką, będzie miała po osiemdziesiątce. Co nie znaczy, że wszystkie żony starsze od niej umrą do tego czasu; to w Lunie mało prawdopodobne, nasze kobiety są chyba nieśmiertelne. Ale do tego czasu mogą wypisać się z zarządzania rodziną; zazwyczaj robią to z rodzinnej tradycji, młodsze żony wcale ich do tego nie przymuszają. Więc Ludmiła...

- Ludmiła?

- Ruskie imię. Z bajki. Miła przez pięćdziesiąt lat będzie oglądać dobry przykład, zanim sama przejmie brzemię. Przede wszystkim jest rozsądna i chyba nie narobi błędów, a jeśli nawet, to inne żony ją naprostują. Autokorekta, jak w maszynie z dobrym negatywnym sprzężeniem zwrotnym. Dobre małżeństwo liniowe jest nieśmiertelne; sądzę, że moje przetrwa co najmniej tysiąc lat - i dlatego, kiedy wybije moja godzina, przyjmę śmierć ze spokojem; najlepsza część mnie będzie żyć nadal.

Właśnie wytaczali Profesora; kazał im zatrzymać łóżko na kółkach i przysłuchiwał się przez moment. Spojrzałem na niego.

- Profesorze - powiedziałem - zna pan moją rodzinę. Czy zechciałby pan zaświadczyć tej pani, że to szczęśliwa rodzina? O ile tak pan uważa.

- Jestem o tym przekonany - potwierdził Profesor. - Chciałby jednak wygłosić bardziej ogólne spostrzeżenie. Szanowna pani, domyślam się, że nasze lunańskie obyczaje małżeńskie wydają się pani nieco egzotyczne.

- Och, tego bym nie powiedziała! - oświadczyła pośpiesznie. Co najwyżej nieco niezwykle.

- Jak wszystkie obyczaje małżeńskie, są one wynikiem ekonomicznych wymogów sytuacji - a nasza sytuacja diametralnie różni się; od tutejszej, na Ziemi. Weźmy na przykład małżeństwo typu liniowego, które tak wychwalał mój kolega... nie bez racji, zapewniam panią, choć nie stać go na obiektywność - ja, jako kawaler, jestem obiektywny. Małżeństwo liniowe to najlepszy z możliwych sposobów na zachowanie kapitału i zapewnienie dostatku dzieciom - co na całym świecie stanowi dwie podstawowe społeczne funkcje małżeństwa - w środowisku, w którym nie ma żadnych gwarancji, czy to dla kapitału, czy dla dzieci, poza tymi, jakie stwarzają jednostki. Ludzie zawsze jakoś radzą sobie ze środowiskiem. Małżeństwo liniowe to wyjątkowo skuteczny wynalazek służący temu celowi. Wszystkie inne lunańskie formy małżeństwa spełniają te same funkcje, choć z mniejszym powodzeniem.

Powiedział "dobranoc" i odjechał. Miałem przy sobie - jak zawsze - zdjęcie mojej rodziny, najnowsze, z naszego ślubu z Wyoming. Panny młode zawsze wyglądają korzystnie, a Wyoh wprost promieniała - reszta też ładnie wyszła, z miłymi minami, a Dziadek stał prosty i dumny i nie było po nim znać, że niedołącznieje.

Ale rozczarowałem się; jakoś dziwnie je oglądali. Ale facet - nazywał się Mathews - powiedział:

- Czy użyczyłby mi pan tego zdjęcia, pułkowniku?

Zaszokowało mnie.

- Nie mam innego. A jestem daleko od domu.

- Tylko na chwilę. Chciałbym je sfotografować. Tu, na miejscu i nie musi pan nawet wypuszczać go z rąk.

- Och. Och, oczywiście! - Nie za dobrze na nim wypadłem, ale taką już mam urodę, a za to Wyoh i Lenore wyszły pierwsza klasa.

Więc facet je sfotografował, a nazajutrz rano, skoro świt, wleźli do naszego apartamentu w hotelu i wyciągnęli mnie z łóżka, i aresztowali, i wywieźli w fotelu na kółkach, i zamknęli do celi z k r a t a m i! Za bigamię. Za poligamię. Za publiczny nierząd i zachęcanie do wyżej wymienionego nierządu.

Mogłem się tylko cieszyć, że Mama tego nie widzi.

ROZDZIAŁ XIX

Dopiero nazajutrz udało się Stu przekazać sprawę sądowi NS i uzyskać oddalenie pozwu. Jego prawnicy powoływali się na “immunitet dyplomatyczny”, ale sędziowie NS ominęli pułapkę i uznali jedynie, że rzekome wykroczenia popełnione zostały poza jurysdykcją sądu niższej instancji, za wyjątkiem rzekomego “zachęcania do nierządu”, co do którego stwierdzili brak dostatecznych dowodów. Prawodawstwo NS nie obejmuje rzeczy małżeńskich; nie dałoby rady - jest tylko przepis, że każdy naród powinien “honorować i uznawać” zwyczaje rodzinne innych narodów członkowskich.

Z tych 11 miliardów ludzi chyba z 7 zamieszkuje okolice, gdzie poligamia jest legalna, a opłacani przez Stu manipulatorzy opinii publicznej zagrali na temacie “prześladowań”; zdobyliśmy poparcie ludzi, którzy inaczej wcale by o nas nie wiedzieli - nawet w Północnej Ameryce i innych miejscach, gdzie poligamia nie jest wprawdzie legalna, ale ludzie uważają, że trzeba “żyć i dać żyć”. Dobrze, bo najbardziej chcieliśmy, żeby nas zauważyli. Dla gros tych miliardowych rojów słowo “Luna” nic nie znaczyło; nie zauważyli naszego buntu.

Agenci Stu zdrowo sobie nałamali głowy, żeby wymyślić układ, który zaprowadził mnie do więzienia. Dopiero po paru tygodniach ochłonąłem na tyle, żeby dostrzec dobre strony. Trzeba było trafić na sędziego-durnia, nieuczciwego szeryfa i krainę barbarzyńskiej kołtunerii, którą rozdrażnił widok mojego słodkiego zdjęcia, bo potem Stu przyznał, że to właśnie gama barw w Rodzinie Davisów wkurzyła sędziego na tyle, że w głupocie wykazał wybitność nawet jak na wyjątkowo wysoki miejscowy pułap.

Okazało się też, że moja jedyna pociecha, że Mama nie widzi mojej hańby, była daremna; fotografie, zrobione przez kraty i prezentujące moją zaciętą twarz, trafiły do wszystkich gazet w Lunie, a towarzyszyły im przedruki najpaskudniejszych komentarzy z Ziemi, a nie znacznie liczniejszych artykułów, w których potępiono niesprawiedliwość. Ale powinienem bardziej wierzyć w Mimi; nie wstydu, chciała jedynie pojechać na Ziemię i rozszarpać co niektórych jej obywateli na kawałki.

Pomogło nam to na Ziemi, ale najwięcej w Lunie. Ta głupia afera wzbudziła w Lunatykach więcej solidarności niż cokolwiek innego. Poczuli się osobiście urażeni, a “Adam Selene” i “Simon Prześmiewca” jeszcze rozjątrzyli sprawę. Lunatycy nie przejmują się prawie niczym, poza jedną rzeczą, kobietami. Wiadomość z Terry wkurzyła wszystkie nasze damy - i tak Lunatycy płci męskiej, których dotychczas nie obchodziła polityka, raptem odkryli, że jestem ich idolem.

To się nazywa porządek dziobania - starzy zesłańcy uważają się za lepszych od tych, co urodzili się na wolności. Potem eks-skazańcy witali mnie: “Cześć, więzienny ptaszku!” To hasło łoży - zaakceptowali mnie.

Ale wtedy nie mogłem dostrzec w tym niczego dobrego! Popychali mnie, traktowali jak krowę w rzeźni, zdejmowali odciski palców, fotografowali, karmili pomyjami, których my nie śmielibyśmy dać świniom, narażali na niekończące się upokorzenia, i tylko to ich ciężkie pole powstrzymało mnie przed zabiciem któregoś - choć chyba spróbowałbym tego, gdyby zwinęli mnie w ręce nr 6.

Ale ochłonałem, ledwo mnie wypuścili. W godzinę później lecieliśmy do Agry; komisja wreszcie nas wezwała. Dobrze było wrócić do apartamentu w pałacu maharadży, choć 11-godzinna zmiana czasu w niecałe trzy godziny nie dała nam zasnąć; przybyliśmy na przesłuchanie z łzawiącymi oczyma, na pigułkach pobudzających.

“Przesłuchanie” było jednostronne; my słuchaliśmy, a przewodniczący mówił. Mówił przez godzinę; oto streszczenie.

Nasze absurdalne żądania zostają odrzucone. Zarząd Luni nie porzuci swej świętej misji. Bezprawia na Księżycu Ziemi nie można tolerować. Co więcej, niedawne burdy świadczą o tym, że Zarząd Luni był zbyt pobłażliwy. W celu naprawienia przeoczeń opracuje się pięcioletni plan intensyfikacji gospodarczej, w którym weźmie się pod uwagę w s z y s t k i e aspekty powierniczej działalności Zarządu. Trwają prace nad kodeksem prawnym; utworzone zostaną sądy cywilne i karne, służące interesom “klientów-pracowników” - który to termin określa wszystkie osoby zamieszkujące obszar powierniczy, nie tylko odbywających wyroki pracy przymusowej. Stworzone zostaną państwowe szkoły oraz ośrodki reedukacji dla wymagających takowej pełnoletnich klientów-pracowników. Dla zapewnienia pełnego i wszechstronnego wykorzystania bogactw Księżyca oraz pracy klientów-pracowników powoła się radę do spraw planowania gospodarczego, przemysłowego i rolniczego. Jako tymczasowy cel, łatwy do osiągnięcia po wprowadzeniu w życie naukowego planowania pracy i eksploatacji zasobów, przyjmuje się czterokrotne zwiększenie dostaw ziarna w ciągu pięciu lat. Pierwsza faza planu obejmie skierowanie tych klientów-pracowników, którzy wykonują zajęcia uznane za nieproduktywne, do wyrębu wielkiego systemu tuneli rolniczych, w których najpóźniej w marcu 2078 rozpocznie się uprawa hydroponiczna. Te nowe gigantyczne farmy znajdą się pod naukową kontrolą Zarządu Luni; niedopuszczalne byłoby tolerowanie kaprysów indywidualnych właścicieli. Przewiduje się, że pod koniec pierwszej pięcioletki kontyngenty zbożowe osiągną poziom zupełnie nowego rzędu; w jej czasie pozwoli się klientom-pracownikom indywidualnie produkującym ziarno na kontynuowanie działalności. Jednak w następnym okresie zostaną oni wcieleni w nowy system, gdyż niewydajność ich metod uprawy pozbawi ich racji bytu.

Przewodniczący uniósł wzrok znad papierów.

- Krótko mówiąc, wprowadzimy do lunańskich kolonii cywilizację i skoordynujemy je gospodarczo z resztą świata. Choć nasze zadanie nie należało do przyjemnych, to pragnę -jako zwykły obywatel, nie jako przewodniczący tej komisji - podziękować panom za zwrócenie naszej uwagi na tak katastrofalne zaniedbania.

Najchętniej spaliłbym mu uszy. “Klienci-pracownicy”! Cóż za wyszukany eufemizm na “niewolników”! Ale Profesor spokojnie powiedział:

- Bardzo zainteresował mnie ten projekt. Czy mogę zadać parę pytań? Wyłącznie z ciekawości.

- Oczywiście, może pan zaspokoić swą ciekawość.

Przedstawiciel Północnej Ameryki pochylił się ku nam.

- Ale nie myślcie sobie, jaskiniowcy jedni, że będziemy znosić wasze pyskowanie! Macie się zachowywać. Już i tak nam podpadliście.

- Spokój - powiedział przewodniczący. - Proszę mówić, Profesorze.

- Zaintrygował mnie termin "klient-pracownik". Czy nie należałoby przyjąć, że gros mieszkańców największego satelity Ziemi stanowią nie odbywający wyrok zesłańcy, lecz wolne jednostki?

- Oczywiście - zgodził się grzecznie przewodniczący. - Przystudiowaliśmy wszystkie aspekty prawne nowej strategii. Z drobnymi' wyjątkami, około 91% kolonistów posiada obywatelstwo, z urodzenia lub przejęte po rodzicach, różnych narodów członkowskich Narodów Sfederowanych. Wszystkim chętnym zapewnimy prawo powrotu do ojczyzny. Powinna ucieszyć pana wiadomość, że Zarząd zamierza opracować plan pożyczek na koszty podróży... prawdopodobnie pod nadzorem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i Półksiężycy. Dodam, że osobiście serdecznie popieram ten plan - gdyż dzięki niemu wszelkie oskarżenia o "pracę niewolniczą" tracą sens. - Uśmiechnął się uprzejmie.

- Niewątpliwie - zgodził się Profesor. - To niezwykle humanitarne. Czy wysoka komisja - albo Zarząd - wzięła pod uwagę fakt, że większość - praktycznie wszyscy - że mieszkańcy Luny są fizycznie niezdolni do życia na tej planecie? Że w wyniku nieodwracalnych zmian fizjologicznych skazani są na przymusowe i dożywotnie wygnanie i że nigdy już nie będą w stanie żyć w zdrowiu i wygodzie w polu grawitacyjnym sześciokrotnie silniejszym od tego, do którego zaadaptowały się ich organizmy?

Łajdak wydał wargi, jakby usłyszał o tym po raz pierwszy.

- Odpowiem znów jedynie we własnym imieniu: Nie zakładałbym, że to, o czym pan wspomniał, jest aż tak istotne. Być może jest tak w niektórych przypadkach, lecz nie we wszystkich; ludzie różnią się między sobą. Pańska obecność tutaj dowodzi, że mieszkaniec Luny może jednak powrócić na Ziemię. W każdym razie nie mamy zamiaru nikogo zmuszać do powrotu. Mamy nadzieję, że nikt nie opuści Księżyca i że zdołamy zachęcić ludzi do emigracji na Księżyc. Lecz będzie to sprawa osobistego wolnego wyboru, zgodnie ze swobodami gwarantowanymi przez Wielką Kartę. Jeśli zaś chodzi o owo rzekome zjawisko fizjologiczne - nie stanowi ono problemu prawnego. Nikomu, kto uzna, że roztropniej byłoby pozostać na Księżycu, albo że będzie tam szczęśliwszy, nie będziemy w tym przeszkadzać.

- Rozumiem, sir. Jesteśmy wolni. Mamy prawo pozostać w Lunie i pracować dla was, za ustalane przez was wynagrodzenie... albo też wrócić na Ziemię i tam umrzeć.

Przewodniczący wzruszył ramionami.

- Zakłada pan, że jesteśmy łotrami - myli się pan. Gdybym tylko był młodszy, sam chętnie wyemigrowałbym na Księżyc. Cóż za kraina nieskończonych możliwości! Zresztą, pańskie przeinaczenia nie zakłócają mi spokoju ducha - historia przyzna nam rację.

Profesor zdumiewał mnie; poddawał się bez walki. Martwiłem się o niego - tyle tygodni napięcia, i do tego bezsenność. Powiedział jedynie:

- Szanowny panie przewodniczący, zakładam, że wkrótce zostanie wznowiona komunikacja z Luną. Czy mógłby pan zapewnić mojemu koledze i mnie przelot na pierwszym statku? Muszę przyznać, sir, że owa grawitacyjna słabość, o której mówiłem, jest w naszym przypadku bardzo dotkliwa. Zakończyliśmy naszą misję; musimy wracać do domu.

Ani słowa o barkach z ziarnem. Ani o "rzucaniu kamieniami", ani nawet o bezskuteczności bicia krowy. Profesor miał bardzo znużony głos.

Przewodniczący pochylił się nad stołem i z ponurą satysfakcją powiedział:

- To nie będzie takie proste, Profesorze. Nie będę owijał w bawełnę: Jest pan podejrzany o zdradę Wielkiej Karty, właściwie zdradę całej ludzkości... zastanawiamy się nad wniesieniem oskarżenia. Aczkolwiek wątpię, czy osobie w pana wieku i stanie fizycznym może grozić coś więcej niż wyrok z zawieszeniem. Czy uważa pan, że rozsądnie z naszej strony byłoby pozwolić panu na powrót do miejsca, w którym popełnił pan swe przestępstwa - i umożliwić panu dalsze podburzanie?

Profesor westchnął.

- Rozumiem pana. Czy w takim razie, sir, pozwoli pan, że pana pożegnają? Jestem zmęczony.

- Bardzo proszę. Zechce pan pozostać do dyspozycji komisji. Ogłaszam przerwę w przesłuchaniu. Pułkownik Davis...

- Sir? - Odwracałem fotel, chciałem natychmiast wyprowadzić Profesora; nasi opiekunowie musieli czekać na zewnątrz.

- Proszę pana na słówko. W moim gabinecie.

- Hmm... - Spojrzałem na Profesora; miał zamknięte wyglądał jak nieprzytomny. Ale poruszył jednym palcem, kazał iść. - Szanowny panie przewodniczący, jestem bardziej pielęgniarzem niż dyplomatą; muszę się nim zająć. To stary człowiek, źle czuje.

- Zajmą się nim zawodowi pielęgniarze.

- Cóż... - Podjechałem do Profesora tak blisko, jak tylko pozwoli fotel, wychyliłem się ku niemu. - Wszystko w porządku, Profesorze?

- Dowiedz się, czego chce - szepnął ledwo słyszalnie. - Zgódź się z nim. Ale graj na zwłokę.

Po paru sekundach byłem już tęte-ń-tęte z przewodniczącym, zamkniętymi na klucz dźwiękoszczelnymi drzwiami - co o niczym nie świadczyło; ściany mogły mieć kilkanaście uszu, nie licząc tego w mojej lewej ręce.

- Napije się pan czegoś? - spytał. - Może kawy?

- Nie, dziękuję, sir - odpowiedziałem. - Muszę tu przestrzegać diety.

- Chyba rzeczywiście. Czy naprawdę jest pan przykuty do tego fotela? Wygląda pan zdrowo.

- Gdybym musiał - odparłem - mógłbym wstać i przejść na i drugą stronę pokoju. Może bym od tego stracił przytomność. Może gorzej. Wolę nie ryzykować. Ważę sześć razy więcej, niż powinienem. Serce nie jest do tego przyzwyczajone.

- Chyba rzeczywiście. Słyszałem, pułkowniku, że w Północne Ameryce przeżyli panowie jakąś absurdalnie nieprzyjemną przygodę. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Barbarzyńskie miejsce. Nie lubię tam jeździć. Zapewne zastanawia się pan, o czym chciałem z panem mawiać.

- Nie, sir, przypuszczam, że powie mi pan w odpowiednim momencie. Zastanawiam się tylko, dlaczego nadal mówi pan do mnie "pułkowniku".

Zaśmiał się, a jego śmiech brzmiał jak szczekanie.

- To chyba z przyzwyczajenia. Całym moim życiem kieruje protokół. Ale może pozostaniemy przy tym tytule. Proszę powiedzieć co pan sądzi o naszym planie pięcioletnim?

Sądziłem, że to świństwo.

- Wygląda na starannie przemyślany.

- Poświęciliśmy mu dużo uwagi. Pułkowniku, sprawia pan wrażenie człowieka rozsądnego - wiem, że jest pan rozsądny, znam nie tylko pana życiorys, ale i praktycznie każde słowo, jakie wypowiedział pan od przybycia na Ziemię, niemal wszystkie pana myśli. Urodził się pan na Księżycu. Czy uważa się pan za patriotę? Za patriotę Księżycyca?

- Raczej tak. Choć na to, co zrobiliśmy, patrzę po prostu jak na coś, co trzeba było zrobić.

- Między nami mówiąc - ma pan rację. Ten stary dureń Hobart. Pułkowniku, nasz plan j e s t dobry... ale ktoś musi wprowadzić go w życie. Jeśli n a p r a w d ę jest pan patriotą albo, powiedzmy, człowiekiem praktycznym, którego sercu bliskie są interesy jego kraju, to byłby pan jego idealnym realizatorem. - Uniósł dłoń. - Proszę o rozwagę! Nie żądam, by został pan sprzedawczykiem, zdrajcą czy czymś równie nonsensownym. Ma pan szansę dowieść prawdziwego patriotyzmu - nie jakiegoś melodramatycznego bohaterstwa, oddania życia w przegranej sprawie. Spójrzmy na to w ten sposób. Czy sądzi pan, że lunańskie kolonie byłyby w stanie obronić się przed całą potęgą, na jaką stać Sfederowane Narody Ziemi? Wiem, że nie jest pan zawodowym żołnierzem - i cieszę się z tego - ale wiem też, że j e s t pan technikiem. Niech pan powie szczerze, jak pan myśli, ilu statków i bomb potrzeba, żeby zniszczyć lunańskie kolonie?

- Jednego statku, sześciu bomb - odpowiedziałem.

- Zgadza się! Mój Boże, jak to dobrze mieć do czynienia z człowiekiem rozsądnym. Dwie z nich musiałyby być strasznie wielkie, niewykluczone, że trzeba by je specjalnie do tego zbudować. Może paru niedobitków pozostałoby jeszcze przez jakiś czas przy życiu w mniejszych osiedlach poza

obszarami ataków. Ale wystarczyłoby jeden statek, któremu całe zadanie zajęłoby dziesięć minut.

- To prawda, sir - powiedziałem - ale, jak zauważył Profesor de la Paz, mleka nie zdobywa się dzięki biciu krowy. A już na pewno nie dzięki jej zabiciu.

- A jak pan myśli, dlaczego powstrzymywaliśmy się, nic nie robiliśmy, przez ponad miesiąc? Ten mój głupi kolega - nie wymienię go z nazwiska - mówił o "pyskowaniu". Pyskowanie nie martwi mnie; to tylko słowa, a słowa zawsze mnie interesowały. Nie, drogi pułkowniku, nie zabijemy krowy... ale jeśli będzie trzeba, pokażemy krowie, że możemy ją zabić. Pociski H to kosztowne zabawki, lecz możemy poświęcić parę na strzały ostrzegawcze, zmarnować je na nagiej skale, żeby krowa wiedziała, co ją czeka. Choć wzdragałby się nawet przed takim aktem przemocy - krowa może się przestraszyć zwarzy jej się mleko. - Znow zaśmiał się szczekliwie. - Lepiej przekonać Krasulę, żeby dobrowolnie dała się wydoić.

Czekałem.

- Nie chce pan wiedzieć, jak? - spytał.

- Jak? - ustąpiłem.

- Dzięki panu. Niech pan nic nie mówi i pozwoli mi wyjaśnić...

Zaprowadził mnie na tę wysoką górę i kusił wszystkimi królestwami Ziemi. Albo Luny. Posada "Tymczasowego Protektora" z nie pisaną umową, że jak się dobrze spiszę, to będzie moja dożywotnio. Mam przekonać Lunatyków, że nie wygrają. Przekonać ich, że nowy układ będzie dla nich korzystny - podkreślać zalety, darmowe szkoły darmowe szpitale, darmowe to, darmowe tanto - szczegóły później ale w sumie wszechobecny rząd, jak na Terra. Podatki, na początek niskie i bezboleśnie potrącane z pensji i dochodów z wysyłki ziarna. Ale, co najważniejsze, tym razem Zarząd nie powierzy męskiej robot chłopcom - dwa pułki policji od razu.

- Popełniliśmy błąd, wysyłając tych cholernych Dragonów Pokoju - powiedział - i już go nie powtórzymy. Między nami mówią praca zajęła nam cały miesiąc dlatego, że musieliśmy przekonać misję Kontroli Pokoju, że garstka ludzi nie może sprawować nadzór policyjny nad trzema milionami, rozsianymi po sześciu dużych osiedlach i ponad pięćdziesięciu mniejszych. Więc na początek dostanie pan odpowiednie siły policyjne - nie żołnierzy, ale żandarmerię zdolną poskramiać cywilów bez zbędnego zamieszania. Ponadto tym razem będzie z nimi żeński pododdział pomocniczy, regulaminowe 10% - to zapobiegnie oskarżeniom o gwałt. A więc, pułkowniku? Ja pan uważa - poradzi pan sobie? Mając świadomość, że na dalszą metę to najlepsze rozwiązanie dla pana narodu?

Powiedziałem mu, że wolę nie podejmować pochopnych decyzji że muszę przestudiować szczegóły, zwłaszcza zamierzenia i kontyngenty na pięciolatkę.

- Oczywiście, oczywiście! - zgodził się. - Dostanie pan egzemplarz białej książki, którą przygotowaliśmy; niech pan ją weźmie domu, obejrzy sobie, zastanowi się spokojnie. Porozmawiamy jutro. Proszę tylko dać mi słowo honoru, że zachowa pan to wszystko dla siebie. Właściwie to żadna tajemnica... ale najlepiej jest załatwiać takie sprawy, zanim nabiorą one publicity. A propos

publicity, potrzebuje pan pomocy - i otrzyma ją pan. Nie będziemy szczenić środków, pošemy panu najlepszych ludzi, zapłacimy im tyle, na ile zasługują, będą ćwiczyć na wirówkach jak ci naukowcy - wie pan. Tym razem niczego nie sknocimy. Ten dureń Hobart - tak naprawdę to on nie żyje, prawda?

- Żyje, sir. Ale jest zupełnie znieoężniały.

- Powinniście go zabić. Oto pański egzemplarz planu.

- Sir, skoro o starcach mowa - Profesor de la Paz nie może tu zostać. Nie przeżyłby pół roku.

- To byłoby najlepszym wyjściem, nie sądzi pan? Spróbowałem odpowiedzieć obojętnym tonem.

- Nie rozumie pan. On jest ogólnie kochany i szanowany. Najlepszym wyjściem byłoby, gdybym zdołał go przekonać, że z tymi pociskami H to nie żarty - i że jego patriotycznym obowiązkiem jest ratować, co się da. Ale, tak czy tak, jeśli wrócę bez niego... cóż, nie powiem, że sobie nie poradzę; nie pożyję dość długo, żeby spróbować.

- Hmm... Niech się pan zastanowi. Porozmawiamy jutro. Powiedzmy, o czternastej.

Wszedłem, i ledwo załadowali mnie do ciężarówki, zacząłem dygotać. Za bardzo się przejmuję.

Stu czekał na mnie z Profesorem.

- No i? - spytał Profesor.

Rozejrzałem się i wskazałem na ucho. Przytuliliśmy głowy do głowy Profesora i przykryliśmy się dwoma kocami. Łóżko na kółkach było czyste, i mój fotel też; sprawdzałem je co rano. Ale w tym pokoju bezpieczniej było szeptać pod kocami.

Zacząłem relację. Profesor przerwał mi.

- Później przedyskutujemy jego genealogię i zamięłowania seksualne. Fakty.

- Zaproponował mi posadę gubernatora.

- Mam nadzieję, że przyjąłeś.

- Na 90%. Mam przestudiować te śmiecie i jutro udzielić odpowiedzi. Stu, jak szybko możemy wykonać plan "Drapak"?

- Plan już rozpoczęty. Czekaliśmy na twój powrót. Nie wiedzieliśmy, czy się doczekamy.

Następne 50 minut było bardzo pracowite. Stu wprowadził chudego Hindusa w spódniczce na biodrach; po półgodzinie wyglądał on jak brat-bliźniak Profesora, i Stu przeniósł Profesora z łóżka na otomanę. Sfabrykowanie mojego sobowtóra było już mniej pracochłonne. Dokładnie o zachodzie

słońca nasze duplikaty wjechały do salonu w apartamencie i przyniesiono kolację. Przy okazji przez pokój przewinął się spory tłumek - między innymi wyszła starsza Hinduska w wsparta na ramieniu Stuarta LaJoie. Za nimi podążał gruby Hindus.

Najgorzej było przeprowadzić Profesora po schodach na dach; nigdy jeszcze nie używał elektrycznych chodzików, nie miał okazji ćwiczyć i od ponad miesiąca cały czas leżał na grzbiecie.

Ale Stu mocno go trzymał; ja zacisnąłem zęby i o własnych sił; pokonałem trzynaście straszliwych stopni. Gdy dotarłem na dach, serce miałem bliskie eksplozji. Musiałem się zmuszać, żeby nie stracić przytomności. Dokładnie o przewidzianej godzinie wychynął z ciemności mały cicholot i w dziesięć minut później byliśmy na pokład wycarterowanego statku, którym posługiwaliśmy się w ciągu minionego miesiąca - po dwóch następnych pędziliśmy w stronę Australii. Nie wiem, ile kosztowało zorganizowanie tej imprezy i utrzymywanie wszystkiego w gotowości, ale poszło jak po maśle.

Leżałem obok Profesora i łapałem dech, wreszcie zapytałem:

- Jak pan się czuje, Profesorze?

- Okay. Trochę zmęczony. Sfrustrowany.

- Ja da. Sfrustrowany.

- Bo nie mogłem obejrzeć Taj Mahalu. Jako młodzieniec nigdy nie miałem okazji - a teraz dwukrotnie byliśmy o niecały kilometr od niego, raz przez kilka dni, teraz przez jeszcze jeden dzień... i min to nie zobaczyłem go i nigdy nie zobaczę.

- To zwykły grobowiec.

- A Helena Trojańska to była zwykła kobieta. Śpij, chłopcze.

Wyładowaliśmy w kitajskiej połowie Australii, w mieście zwanej Darwin, i z punktu zanieśli nas na statek, ułożyli na leżankach przyspieszeniowych i dali zastrzyki. Profesor już spał, a i mnie zaczynało się robić dziwnie, kiedy wszedł Stu, roześmiany od ucha do ucha, i zaczął się przypinać obok nas. Popatrzałem na niego.

- Ty też? A kto pilnuje sklepu?

- Ci sami ludzie, którzy przez cały czas odwalali prawdziwą i robotę. Wszystko jest dobrze ustawione, a ja już na nic się nie przydam. Mannie, stary, kumplu, nie chcę zostać sam daleko od domu. To znaczy od Luny, gdybyś nie wiedział. To chyba ostatni pociąg z Szanghaju.

- Co ma do tego Szanghaj?

- Nieważne. Mannie, mam w kieszeni płótno, i to dziurawe. Wszystkim jestem winien forszę - a dostaną ją tylko jeśli pewne akcje ruszą się w kierunku, w którym, jak przekonał mnie Adam Selene, powinny wkrótce się ruszyć. I jestem poszukiwany, albo będę, za przestępstwa przeciw

spokojowi i pokojowi publicznemu. Pomyśl o tym tak: Oszczędzam im trudu zesłania mnie. Czy sądzisz, że w moim wieku mogę jeszcze nauczyć się fedrunku?

Już mnie przymulało od lekarstwa.

- Stu, w Lunie nie będziesz staaary... dopieero zacząłeś żyć... zreeesztą... my cię wykaaarmimy! Mimi cię lubi!

- Dzięki, kolego, może skorzystam z zaproszenia. Światło ostrzegawcze! Nabierz tchu!

Raptem kopnęło mnie 10 g.

ROZDZIAŁ XX

Lecieliśmy promem orbitalnym, takim jakich używa się do lotów na sztuczne satelity, zaopatrywania statków NS na orbicie patrolowej i do lotów pasażerskich na satelity rozrywkowo-kasynowe i z nich. Zamiast 40 pasażerów było trzech, żadnego ładunku poza trzema skafandrami i mosiężną armatką (tak, zabraliśmy tę kretyńską zabawkę ze sobą; skafandry i pukawka Profesora dotarły do Australii na tydzień przed nami), i dzielny statek *Skowronek* został ogołocony - całą załogę stanowił kapitan i pilot-cyborg.

Miał za to ogromne zapasy paliwa.

Podeszliśmy do satelity *Elizjum* zgodnie z normalną procedurą (dowiedziałem się o tym później) i nagle wystrzeliliśmy z prędkości orbitalnej do prędkości ucieczki, jeszcze gwałtowniej niż przy starcie.

Odnutowała to stacja radarowa NS; kazali nam zatrzymać się i wytłumaczyć. O wszystkim opowiedział mi Stu, już po fackie, kiedy ja jeszcze dochodziłem do siebie i rozkoszowałem się luksusem O g, zakotwiczony tylko jednym pasem. Profesor był nadal nieprzytomny.

- Mamy im powiedzieć, kim jesteśmy i co, do diabła, wyprawiamy - mówił Stu. - Przedstawiliśmy się jako transportowiec *Rozkwitający Lotos* pod kitajską banderą, wyruszający z misją humanitarną, mianowicie uwolnienia tych naukowców kiblujących na Księżycu, i podaliśmy sygnał identyfikacyjny - sygnał *Rozkwitającego Lotosu*.

- A radiolatarnia?

- Mannie, o ile nas nie wykiwali, to radiolatarnia na początku identyfikowała nas jako *Skowronka*... a od dziesięciu minut jako *Lotos*. Wkrótce się przekonamy. Tylko jeden statek jest na pozycji, z której mogą odpalić raketę, a mają na to - spojrzał na zegarek - tylko 27 minut, zdaniem podrasowanego dżentelmena, który prowadzi tę balię, bo potem tracą już szansę na trafienie. Więc jeśli to cię martwi - jeśli chcesz się modlić albo wysłać depezę, czy co tam się robi przy takich okazjach - to masz jeszcze trochę czasu.

- Jak myślisz, obudzić Profesora?

- Niech śpi. Nie ma lepszego sposobu na skuteczenie takiego skoku niż ze spokojnego snu wprost w obłok rozżarzonego gazu. Chyba że sądzisz, że należy się zająć jego potrzebami duchowymi. Z ortodoktrynalnego punktu widzenia nigdy nie wydawał mi się człowiekiem religijnym.

- Bo nie jest. Ale jeśli ty odczuwasz taką potrzebę, nie chciałbym ci przeszkadzać.

- Dziękuję, wszystko, o czym mogłem pomyśleć, załatwiłem przed startem. A ty, Mannie? Niezbyt dobry ze mnie duszpasterz, ale postaram się, jeśli tylko mogę się na coś przydać. Ciężą ci jakieś grzechy, stary? Gdybyś chciał się wypowiedzieć, to nieźle się znam na grzechach.

Powiedziałem mu, że nie tego potrzebuję. Potem przypomniałem sobie parę takich grzechów, z których jestem bardzo dumny i opowiedziałem mu o nich, niezbyt rozmijając się z prawdą. To przypomniało mu o paru jego grzeszkach, a potem mnie o jeszcze kilku... Zanim wyczerpaliśmy zapas, nadeszła i minęła godzina Zero. Dobrze jest spędzać ostatnie minuty ze Stu LaJoie, nawet jeśli potem okazuje się, że wcale nie były ostatnie.

Podróż miała trwać dwa dni, które całkowicie wypełniły mordercze procedury, mające oczyścić nas z niezliczonych wirusów, zanim wylądujemy w Lunie. Nawet się nie przejmowałem, że drzę od zaszczepionego przeziębienia i płonę od gorączki; nieważkość wynagradzała wszystkie cierpienia, i byłem szczęśliwy, że wracam do domu.

Albo prawie szczęśliwy... Profesor spytał, co mnie martwi.

- Nic - powiedziałem. - Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy w domu. Ale... Przyznam panu szczerze, wstyd mi się będzie tam pokazać po naszej porażce. Profesorze, w czym tkwił błąd?

- Po porażce, chłopcze?

- A jak by pan to nazwał? Chcieliśmy, żeby nas uznali. Nie to dostaliśmy.

- Manuelu, winien ci jestem przeprosiny. Pamiętasz projekcję naszych szans, jaką przeprowadził Adam Selene tuż przed naszą podróżą. - Stu nie mógł nas słyszeć, ale nigdy nie używaliśmy słowa "Mike"; dla bezpieczeństwa zawsze był to "Adam Selene".

- A jakże! 1:53. Potem, kiedy wylądowaliśmy na Ziemi, opadły do parszywych 1:100. Jak pan myśli, ile wynoszą teraz? 1:1000?

- Co parę dni otrzymywałem nowe projekcje... i za to muszę cię przeprosić. Ostatnia, tuż sprzed naszego wyjazdu, zawierała nie przetestowane jeszcze założenie, że uciekniemy z Terry i dotrzemy bezpiecznie do domu. Albo że dotrze przynajmniej jeden z nas, i dlatego właśnie wezwano do domu towarzysza Stu, który jako Terranin lepiej znosi wielkie przyspieszenia. Właściwie osiem projekcji, z różnymi wariantami, od śmierci całej naszej trójki, przez różne kombinacje aż po szczęśliwy powrót wszystkich trzech. Czy chciałbyś założyć się o parę dolarów o wynik tej ostatniej projekcji - wymienisz przedział i szansę. Dam ci jedną wskazówkę. Na pewno podasz wartość zbyt pesymistyczną.

- Eee.. nie, do diabła! Niech pan powie.

- Mamy teraz jedną szansę na 17... od miesiąca jest coraz lepiej. Nie mogłem ci o tym powiedzieć.

Byłem zdumiony, zachwycony, rozradowany - urażony.

- Jak to, nie mógł mi pan powiedzieć? Skoro mi pan nie ufa, profesorze, to niech mnie pan wypisze z gry i dobierze Stu do komórki egzekutywnej.

- Proszę, synu. Wejdzie do niej, jeśli coś się stanie komuś z nas -tobie, mnie albo kochanej Wyoming. Nie mogłem ci powiedzieć na Ziemi - a teraz mogę - nie dlatego, że ci nie ufam, lecz dlatego, że nie masz talentów aktorskich. Wykonywałeś swoje zadanie skuteczniej, kiedy wierzyłeś, że naszym celem jest wywalczenie uznania niepodległości.

- I teraz pan o tym mówi!

- Manuelu, Manuelu, przez cały czas musieliśmy zaciekle walczyć - i w końcu przegrać.

- Och, czyżby? A teraz jestem już na tyle duży, żeby się o tym dowiedzieć?

- Manuelu, proszę cię. Czasowe utrzymywanie cię w niewiedzy znacznie poprawiło nasze szanse; spytaj Adama. Czy muszę dodawać, że Stuart z radością przyjął polecenie powrotu do Luny, nie pytając, po co? Towarzyszu, ta komisja była zbyt mała, a jej przewodniczący zbyt inteligentny; przez cały czas groziło nam, że zaproponują kompromis, którego nie będziemy mogli odrzucić - pierwszego dnia było to całkiem prawdopodobne. Gdybyśmy zdołali dotrzeć z naszą sprawą na Wielkie Zgromadzenie, to wszelkie niebezpieczeństwo inteligentnego działania znikłoby zupełnie. Ale nasze plany zostały pokrzyżowane. Mogłem jedynie rozdrażnić komisję, nawet zniżając się do osobistych zniewag, aby uchronić przed rozsądkiem co najmniej jedną głowę.

- Chyba nigdy nie nauczę się polityki na taką skalę.

- Może nie. Ale twoje talenty uzupełniają moje. Manuelu, pragniesz wolności dla Luny.

- Przecież pan wie.

- Wiesz także, że Terra może nas pokonać.

- Oczywiście. Jeszcze w żadnej projekcji nie wyszło fifty-fifty. Nie rozumiem więc, dlaczego koniecznie musiał pan ich drażnić...

- Proszę cię. Skoro oni mogą narzucić nam swoją wolę, to naszą jedyną szansą jest osłabienie ich woli. Dlatego m u s i e l i ś m y jechać na Terrę. Żeby ich skłócić. Żeby podzielić opinie. Najprzebieglejszy z wielkich chińskich wodzów powiedział raz, że doskonałość w wojnie polega na tak dokładnym wyssaniu z przeciwnika woli, że ten poddaje się bez walki. Maksyma ta określa zarówno nasz ostateczny cel, jak i najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Przypuśćmy, że - jak zanosilo się pierwszego dnia - zaproponowano nam kuszący kompromis. Zamiast gubernatora ktoś w rodzaju tytularnego namiestnika, być może jeden z nas. Lokalna autonomia. Przedstawiciel w Wielkim Zgromadzeniu. Wyższa cena skupu ziarna na rampie wyrzutni, plus premie za zwiększoną wysyłkę. Potępienie Hobarta i wyrazy ubolewania w związku z gwałtami i morderstwami oraz przyzwoite odszkodowania w gotówce dla rodzin ofiar. Czy zgodzilibyśmy się na to? Czy Lunatycy zgodziliby się?

- Nie proponowali nam tego.

- Pierwszego popołudnia przewodniczący był gotów zaproponować coś w tym rodzaju, a wtedy rządził komisją. Wymienił na tyle a cenę wywoławczą, że mógłby dotrzeć i do takiego układu.

Założmy, że rokowania doprowadziłyby - mniej więcej - do tego, co opisałem. Czy w kraju zgodziliby się na to?

- Hmm... może.

- Według bardzo przybliżonej projekcji, przeprowadzonej tuż przed naszym startem, raczej bardziej niż "może"; tego właśnie trzeba było uniknąć za wszelką cenę - porozumienia, które wszystko załatwi, które zniszczy naszą wolę oporu, nie zmieniając żadnego ważnego czynnika w długoterminowej prognozie katastrofy. Zmieniłem więc temat i zdławiłem tę groźbę w zarodku, wyklócając się o drobiazgi i obrażając ich w grzeczny sposób. Manuelu, ty i ja wiemy - i Adam wie - że wysyłka żywności musi się skończyć; tylko to ocali Lune przed katastrofą. Ale czy wyobrażasz sobie farmerów od pszenicy; walczących o przerwanie dostaw?

- Nie. Ciekawe, czy złapiemy tu wiadomości z domu, jak zareagowali na ich przerwanie.

- Nie usłyszysz o tym jeszcze. Manuelu, Adam zaplanował to w taki sposób: aż do naszego powrotu ani na jednej, ani na drugiej planecie nie ogłosi się tej decyzji. Nadal skupujemy pszenicę. Barki . lądują w Bombaju.

- Ale powiedział im pan, że wysyłka zostanie natychmiast wstrzymana.

- To była groźba, a nie wiążąca obietnica. Kilka ładunków niczego nie zmieni, a my potrzebujemy czasu. Nie wszyscy są po naszej stronie; jedynie mniejszość. Większości nic nie obchodzi, ale można nią wstrząsnąć - chwilowo. Jest też mniejszość, która jest przeciwko nam... zwłaszcza monokulturowi farmerzy, których interesują ceny pszenicy, a nie polityka. Narzekają, ale przyjmują bony, w nadziei że potem nabiorą one wartości. Ale ledwo ogłosimy przerwanie dostaw, wystąpią przeciwko nam. Adam zamierza ogłosić decyzję dopiero gdy, gdy przeciągniemy większość na naszą stronę.

- Kiedy to się stanie? Za rok? Dwa?

- Za dwa-trzy dni, może cztery. Starannie wybrane fragmenty ich planu pięcioletniego, wyjątki z nagrań, których dokonałeś - zwłaszcza ta łamistrajkowska propozycja - wykorzystanie twojego aresztowali w Kentucky...

- Hej! O tym wolałbym zapomnieć.

Profesor uśmiechnął się i uniósł jedną brew.

- Hmm... - powiedziałem niechętnie. - Okay. Jeśli to pomoże.;

- Pomoże więcej niż wszystkie dane statystyczne o zasobach naturalnych.

Odrutowany eks-człowiek, który nas pilotował, wylądował z biegu, nie kłopotząc się wchodzeniem na orbitę, i pokopał nas jeszcze gorzej niż przy starcie; statek był lekki i zwrotny. Ale

zmiana kierunku nie przekraczała 2,5 km/s; po 19 sekundach już byliśmy w Johnson City. Zniosłem to nieźle, tylko coś mnie strasznie ścisnęło w piersi i czułem się, jakby jakiś olbrzym miętosił mi serce, potem skończyło się, i sapałem, wracając do siebie, i cieszyłem się, że ważę tyle, ile powinienem. Ale biedny stary Profesor niemal przyplącił życiem.

Potem Mike powiedział mi, że pilot odmówił oddania mu sterów; Mike sprowadziłby statek na niskich g, delikatnie jak jajko, bo wiedział, że na pokładzie jest Profesor. Ale może ten cyborg wiedział, co robi; lądowanie na niskich g pożera masę, a *Lotos-Skowronek* zakończył lot niemal suchy.

To wszystko nic nas nie obchodziło, bo wyglądało na to, że to wariackie lądowanie pożarło Profesora. Stu spojrział na niego, zanim jeszcze ja przestałem dyszeć, i po chwili obaj rzuciliśmy się na niego: - środek wzmacniający serce, sztuczne oddychanie, masaż. Wreszcie zatrzepotał powiekami, popatrzał na nas, uśmiechnął się.

- D o m - wyszeptał.

Przez 20 minut nie pozwalaliśmy mu się ruszać, zanim wreszcie ubrał się w skafander i wyszedł ze statku; w końcu był już jedną nogą w grobie, i mało brakowało, a usłyszałby aniołki. Kapitan napełniał zbiorniki, nie mógł się doczekać, kiedy się nas pozbędzie i załaduje pasażerów - ten Holender przez całą podróż nie odezwał się do nas ani razu; widocznie żałował, że z chciwości dał się namówić na imprezę, która mogła doprowadzić go do ruiny - albo śmierci.

Tymczasem na statek weszła już Wyoh, w skafandrze, żeby nas przywitać. Stu chyba nigdy jeszcze nie widział jej w skafandrze, a na pewno nie jako blondynkę; nie poznał jej. Ja ścisnąłem ją przez skafander; on stał obok i czekał, aż go przedstawię. Potem dziwny "facet" w skafandrze objął jego - zaskoczyło go.

Usłyszałem przytłumiony głos Wyoh:

- O rany! Mannie, hełm.

Odkręciłem go i zdjąłem. Potrząsnęła lokami i wyszczerzyła zęby.

- Stu, nie cieszysz się, że mnie widzisz? Nie poznajesz mnie?

Na jego twarzy, powoli jak świt na morzu, zagościł uśmiech.

- Zdrawstwujcie, gospoża! Tak się cieszę, że panią widzę.

- Jaka "gospoża"! Mów mi Wyoh, kochanie, zawsze Wyoh. Czy Mannie nie powiedział ci, że wróciłam do blond włosów?

- Owszem, powiedział. Ale usłyszeć a zobaczyć to wielka różnica.

- Przyzwyczajasz się. - Umilkła i pochyliła się nad Profesorem, pocałowała go, potem wyprostowała się i powitała mnie bez hełmu, i to tak, że pomimo tych szajsowatych skafandrow

oobję nam napłynęły łzy do oczu. Potem znów spojrzała na Stu i zaczęła go całować.

Cofnął się troszkę. Znieruchomiła.

- Stu, czy na twoją cześć mam ufarbować się na brązowo? - Stu zerknął na mnie i pocałował ją. Wyoh włożyła w to tyle czasu i uczucia, co w witanie mnie.

Dopiero później wykoncypowałem, czemu tak dziwnie się zachował. Choć Stu był nam oddany całym sercem, to nie był Lunatykiem - a tu tymczasem Wyoh wślubiła się. Co to ma do rzeczy? Cóż, na Ziemi to ważna sprawa, a Stu nie miał tej świadomości, wrośniętej aż w szpik kości, że lunańska dama jest swoją własną panią. Biedak myślał, że j a się obrazę!

Ubraliśmy Profesora w skafander, siebie ditto i poszliśmy, ja z armatką pod pachą. Pod powierzchnią, za śluzą, rozebraliśmy się - i z dumą zobaczyłem, że pod skafandrem Wyoh ma tę samą czerwoną sukienkę, całą pogniecioną, którą kupiłem jej wieki temu. Otrzepała ją i spódniczka rozłożyła się.

Sala odpraw była pusta, poza czterdziestką ludzi ustawionych pod ścianą jak świeży zesłańcy; byli ubrani w skafandry, a w rękach mieli hełmy - Terranie wracający do domu, uwięzieni turyści i paru naukowców. Skafandry nie polecą, mieli je oddać przed startem. Spojrzałem na nich i pomyślałem o pilocie-cyborgu. Kiedy ogołacano *Skowronka*, zniknęły wszystkie leżanki poza trzema; ci ludzie mieli przejść przez przyspieszenie leżąc na podłodze - jeśli kapitan nie będzie uważał, to zrobi się puree z Terran w blucie.

Powiedziałem o tym Stu.

- Nie martw się - odrzekł. - Kapitan Leures ma na pokładzie materace z gąbki. Będzie o nich dbał; są jego ubezpieczeniem na życie.

ROZDZIAŁ XXI

Cała moja rodzina, ponad trzydzieści osób od Dziadka poczynają do niemowląt, czekała zaraz za służą na następny poziom, i popłakali nad nami, i obcmokali nas i wyściskali, i tym razem Stu nie wzdragał się. Mała Hazel urządziła całą ceremonię obcałowywania; miała sobą frygijki, ubrała w nie każde z nas, a potem pocałowała - i na ten sygnał cała rodzina założyła frygijki, a mnie łązy do napływały oczu. Może to właśnie jest patriotyzm, kiedy coś ściska w gardle i jest tak dobrze, że aż boli. A może po prostu poczułem się tak, bo wróciłem do moich bliskich.

- Gdzie Slim? - spytałem Hazel. - Nie zaprosiliście go?

- Nie mógł przyjść. Szykuje wasze powitanie.

- Powitanie? Tego jeszcze brakowało.

- Zobaczysz.

I zobaczyłem. Bohu dzięki, że rodzina po nas wyszła; to i jazda do L-City (zapełnili całą kapsułę) musiało mi wystarczyć za widywanie się z nimi na pewien czas. Na Zachodniej Stacji czekał ryczący tłum, wszyscy we frygijkach. Przenieśli nas troje na ramionach aż do Starej Kopuły, w asyście gwardii stiliagów, którzy zrobili kordon i przedzierali się przez wiwatującą i śpiewającą cizbę. Chłopcy ubrani byli w czerwone czapeczki i białe koszule, a ich dziewczyny w białe swetry i czerwone szorty, w kolorze czapek.

Na stacji i kiedy postawili nas na ziemi w Starej Kopule, obcałowywały mnie kobiety, których nigdy przedtem - ani nigdy potem - nie widziałem na oczy. Pamiętam, jak miałem nadzieję, że tortury, którym się poddaliśmy zamiast kwarantanny, zadziałały - bo inaczej całe L-City rozłoży grypa albo coś jeszcze gorszego. (Widocznie byliśmy czyści; nie było epidemii. Ale pamiętam czasy - byłem wtedy dzieciakiem - kiedy rozpętała się odra i umarły tysiące ludzi.)

Martwiłem się też o Profesora; taka impreza to za wiele dla człowieka, który przed godziną był o trzy ćwierci od śmierci. Ale on nie tylko świetnie się bawił, ale i wygłosił w Starej Kopule cudowne przemówienie - może nieco brakło mu logiki, ale pełne było dźwięcznych fraz. Była w nim "miłość" i "dom", i "Luna", i "towarzysze i bracia", i nawet "ramię w ramię", i wszystko dobrze brzmiało.

Ustawili podium pod wielkim ekranem TV na południowej ścianie. Adam Selene powitał nas z ekranu, a po chwili zjawiała się na nim twarz Profesora i zaczął grzmieć wzmocniony głos - nie musiał krzyczeć. Ale po każdym zdaniu musiał robić przerwę; ryki tłumy zagłuszały nawet megagłos z ekranu - a pewno w tych przerwach też sobie odpoczywał. Ale Profesor nie wyglądał już na starego, zmęczonego, chorego; okazało się, że najlepszym lekarstwem dla niego jest powrót do Skały. Dla mnie też! Cudownie było ważyć tyle, ile się powinno, być s i l n y m, oddychać czystym, filtrowanym powietrzem rodzinnego miasta.

Miasto nie lada! Nie da rady wpakować całego L-City do Starej Kopuły, ale wyglądało na to,

że tego właśnie chcieli dokonać. Wypatrzyłem sobie obszar jakichś 10 m, spróbowałem policzyć głowy, dotarłem do ponad dwustu (niecała połowa) i zrezygnowałem. Zdaniem *Lunatyka* tłum liczył 30.000, ale to chyba niemożliwe.

Słów Profesora słuchały raczej trzy miliony; TV transmitowała dla tych, którzy nie zmieścili się w Starej Kopule, kable i przekaźniki posyłały to przez pustynne morza do wszystkich osiedli. Skorzystał z okazji, żeby powiedzieć o niewolniczym losie, jaki zgotował dla nich Zarząd. Machał ich “białą księgą”.

- Patrzcie! - krzyczał. - Oto wasze okowy! Wasze kajdany! Czy chcecie je nosić?

- **N I E!**

- Mówią, że musicie. Mówią, że zrzucą bomby H... a potem niedobitki poddadzą się i nałożą te kajdany. Czy uczynicie tak?

- **N I E! N I G D Y!**

- Nigdy - powtórzył Profesor. - Grożą, że przyślą żołnierzy... krocie żołnierzy, gwałcicieli i morderców. Stawimy im czoła.

- **D A!**

- Będziemy z nimi walczyć na powierzchni, będziemy z nimi walczyć w tunelach kolejki, będziemy z nimi walczyć na korytarzach Jeśli musimy umrzeć, to umrzemy w o l n i!

- **Y e s! J a - d a !** Niech im pan powie, niech im pan powie!

- A jeśli zginiemy, niech historia napisze: To była najświetniejsza godzina Luny! Wybieramy wolność... albo ś m i e r ć!

Część z tego jakbym skądś znał. Ale jego słowa brzmiały świeżo i nowo; dołączyłem się do ryków tłumu. Cóż... W i e d z i a ł e m, że nie damy rady zadać Terra bobu - jestem z fachu technikiem i w i e m, że pocisku H nie obchodzi, jacy jesteście odważni. Ale byłem gotów. Jeśli chcą się bić, to proszę bardzo!

Profesor dał im się wyrzucić, a potem zaintonował “Hymn Bojowy Republiki” w wersji Simona. Na ekranie znów pojawił się Adam, który przejął pierwszy głos w pieśni i śpiewał razem z resztą a my spróbowaliśmy wymknąć się przez tylne zejście z podium, z pomocą stiliagów pod komendą Slima. Ale kobiety nie chciały nas wypuścić, a chłopcy nie mieli wprawy w spieraniu się z damami; musieliśmy się poddać. Dopiero o 22.00 nasza czwórka, Wyoh, Profesor, Stu i ja, zamknęliśmy się w pokoju L u Rafflesa, gdzie via TV dołączył do nas Adam-Mike. Umierałem z głodu, zresztą nie tylko ja, więc zamówiłem kolację, a Profesor uparł się, żebyśmy najpierw zjedli, a potem rozpoczęli dyskusję nad planami.

Więc po kolacji wzięliśmy się do roboty.

Na początek Adam poprosił, bym odczytał na głos białą księgę na użytek jego i towarzyszki Wyoming.

- Ale przedtem, towarzyszu Manuelu, jeśli masz przy sobie na grania dokonane na Ziemi, czy mógłbyś telefonicznie przekazać je w przyspieszonym tempie do mojego biura? Każę je przepisać i przejrzeć - dotychczas musiałem się zadowalać zakodowanymi streszczeniami, przesyłanymi przez towarzysza Stu.

Tak też zrobiłem, wiedząc, że Mike zapozna się z nimi od razu, że mówił tak tylko, żeby podtrzymać mit "Adama Selene" - i postanowiłem porozmawiać z Profesorem o wtajemniczeniu Stu we wszystkie fakty. Skoro mamy dokooptować Stu do komórki egzekutywnej, i to po co przed nim udawać?

Przekazanie nagrań Mike'owi zajęło pięć minut, czytanie dalsze pół godziny. Po ich upływie Adam powiedział:

- Profesorze, dzięki pańskiemu przemówieniu manifestacja powitalna dała nam więcej, niż się spodziewałem. Sądzę, że powinniśmy natychmiast przepchnąć sprawę embarga przez Kongres. Wyślę w nocy zawiadomienie o zwołaniu sesji na jutro w południe. Czy są uwagi?

- Słuchaj - powiedziałem - ci nudziarze będą wałkować to przez tydzień. Skoro to oni muszą się tym zająć - a nie rozumiem, dlaczego - to zrób to tak, jak z Deklaracją. Zaczynij późno wieczorem i przeforsuj po północy, przez naszych ludzi.

- Przepraszam, Manuelu - powiedział Adam. - Ja dowiaduję się dopiero, jak było na Ziemi, a ty musisz się dowiedzieć, co u nas nowego. To już nie ci sami ludzie. Towarzyszko Wyoming?

- Mannie, kochanie, teraz to jest Kongres z wyborów. Muszą to uchwalić, Kongres to nasz jedyny rząd.

- Urządziliście wybory i pozwoliliście im rządzić? - spytałem powoli. - Rządzić w s z y s t k i m? To co my tu robimy? - Spojrzałem na Profesora, myślałem, że wybuchnie. Nie dzieliłem jego poglądów, ale nie rozumiałem, po co wymieniać jeden sejmik na drugi. Pierwsza grupa była przynajmniej nieformalna i mogliśmy doładować do nich naszych ludzi - tych nowych nie da oderwać od stołków.

Profesor był niewzruszony. Złożył koniuszki palców i przybrał zrelaksowaną minę.

- Manuelu, chyba sytuacja nie jest aż tak zła, za jaką, jak widzę, ją uważasz. W każdej epoce należy dostosować się do aktualnej mitologii. W dawnych czasach królowie byli pomazańcami bożymi, więc trzeba było tylko pilnować, żeby Bóg pomazał odpowiedniego kandydata. W naszym stuleciu mamy mit "woli ludu"... ale problem zmienił się tylko pozornie. Towarzysz Adam i ja wiele dyskutowaliśmy o tym, jak wpływać na wolę ludu. Pozwoliłem sobie zasugerować, że to rozwiązanie należy do wygodniejszych:

- No..., okay. Ale dlaczego o niczym nie wiedzieliśmy? Stu, wiedziałeś o tym?

- Nie, Mannie. I wcale nie chciałbym wiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Jestem monarchistą. Nie interesują mnie takie rzeczy. Ale zgadzam się z Profesorem, że w dzisiejszych czasach wybory to rytuał nieunikniony.

- Manuelu - powiedział Profesor - nie musiałeś dowiadywać się o tym przed powrotem; mieliśmy inne rzeczy na głowie. Pod naszą nieobecność zajęli się tym towarzysz Adam i droga towarzysza Wyoh... niech więc nam opowiedzą, co zrobili, zanim osądzimy, co narobili.

- Przepraszam. A więc, Wyoh?

- Mannie, nie puściliśmy w s z y s t k i e g o na żywioł. Adam i ja uznaliśmy, że najlepszy byłby Kongres mniej więcej trzystuosobowy. Potem całymi godzinami przeglądaliśmy spisy członków Partii - plus wybitnych bezpartyjnych. W końcu ułożyliśmy listę kandydatów - były na niej nazwiska z Doraźnego Kongresu; nie wszyscy byli aż tacy głupi, włączyliśmy na listę, ilu się dało. Potem Adam dzwonił do wszystkich i każdego - albo każdą - pytał, czy się zgodzi... zobowiązując na razie do tajemnicy. Niektórych musieliśmy skreślić.

Kiedy wszystko było gotowe, Adam wygłosił przemówienie w TV i ogłosił, że czas wypełnić złożoną przez Partię obietnicę wolnych wyborów, ustalił dzień, powiedział, że może głosować każdy, kto ma więcej niż szesnaście lat, i że aby kandydować wystarczy zebrać sto podpisów pod petycją o mandat i wywiesić ją w Starej Kopule albo na jakiejś publicznej tablicy ogłoszeń we własnym osiedlu. Aha, trzydzieści tymczasowych okręgów wyborczych, po dziesięciu kongresmanów z okręgu - dzięki temu w każdym osiedlu, poza tymi najmniejszymi, był co najmniej jeden okręg.

- Więc wszystko było ustawione i lista Partii wygrała?

- Och, nie, kochanie! Nie było żadnej listy Partii - listy oficjalnej. Ale przygotowaliśmy swoich kandydatów... i powiem ci, że moi stiliadzy znakomicie zbierali podpisy na nominacjach; naszych ludzi wywieszono już pierwszego dnia. W ogóle było ich mnóstwo; ponad 2.000 kandydatów. Ale od ogłoszenia do wyborów było tylko dziesięć dni, a my wiedzieliśmy, czego chcemy, natomiast opozycja była podzielona. Adam nie musiał nawet publicznie udzielać poparcia kandydatom. Wszystko zadziało - wygrałeś siedmioma tysiącami głosów, kochanie, a twój najsilniejszy rywal dostał niecały tysiąc.

- Ja wygrałem?

- Ty wygrałeś, ja wygrałam, Profesor wygrał, towarzysz Clayton wygrał, wygrali prawie wszyscy, którzy naszym zdaniem powinni być w Kongresie. Żadna sztuka. Choć Adam nikogo nie popierał, to ja bez wahania podpowiadałam towarzyszom, kto się nam podoba. Smon też się przysłużył. Do tego mamy chody w gazetach. Szkoda, że nie było cię tu w noc wyborów, że nie śledziłeś wyników. Bomba!

- A jak liczyliście głosy? Chciałbym dowiedzieć się czegoś o wyborach. Pisali nazwiska na papierkach?

- O, nie, wymyśliliśmy lepszy system... bo w końcu nawet pośród najlepszych ludzi nie

wszyscy umieją pisać. Lokale wyborcze były w bankach, urzędnicy identyfikowali klientów, a klienci członków rodzin i sąsiadów, którzy nie mają kont - ludzie głosowali ustnie, i urzędnicy wpisywali głosy do bankowych komputerów, a rezultaty na bieżąco obliczała centrala w Luna City. Wszystko trwało niecałe trzy godziny, a ostateczne rezultaty wydrukowano w parę minut po oddaniu ostatniego głosu.

Raptem zapaliło mi się w głowie jakieś światełko, i postanowiłem że potem porozmawiam o tym z Wyoh na osobności. Nie, nie z Wyoh - z M i k i e m. Przegryzę się przez zbroję godności "Adama Selene" i wyciągnę mu prawdę z neurystorów. Właśnie przypomniał mi się pewien czek z dziesięciomilionową nadpłatą i zastanawiałem się ilu ludzi na mnie głosowało. 7.000? 700? A może tylko rodzina i przyjaciele?

Je już nie martwiłem się tym nowym Kongresem. Profesor zostawił im znaczone karty, i to bardzo bezczelnie znaczone, a potem, kiedy oni mieli szachrować, zmył się na Ziemię. Wyoh nie ma co pytać; ona nawet nie m u s i wiedzieć, co Mike nabroił... a w nieświadomości będzie jej się lepiej pracować.

Zresztą nikt się niczego nie domyśli. Jeśli ludzie w ogóle w coś to w to, że kiedy do komputera wpuści się uczciwe dane, to wyjdą uczciwe wyniki. Sam nigdy w to nie wątpiłem, dopóki nie poznałem komputera z poczuciem humoru.

Wykoncypowałem też, że lepiej nie proponować wtajemniczenia Stu w sprawę świadomości Mike'a. Troje to już o dwoje za dużo. Może i o troje.

- Mi... - zacząłem mówić i zmieniłem to na: - Majstersztyk! Świetny system. O ile wygraliśmy?

Adam obojętnie odparł:

- Mandaty zdobyło 86% naszych kandydatów - mniej więcej tylu ilu się spodziewałem.

"Mniej więcej", akurat! D o k ł a d n i e tylu, ilu się spodziewałeś, Mike, stara kupo złomu!

- Wycofuję sprzeciw wobec zwołania posiedzenia na jutro w południe - będę na nim.

- Wydaje mi się - odezwał się Stu - że jeśli natychmiast wprowadzimy embargo w życie, to potrzebne nam będzie coś, co podtrzyma dzisiejszy entuzjizm. Inaczej grozi nam długi, cichy okres pogłębiającej się depresji - wskutek embarga - i rosnącego rozczarowania Adamie, przy pierwszym naszym spotkaniu zadziwiłeś mnie swą zdolnością przewidywania przyszłych wydarzeń. Czy moje obawy są uzasadnione?

- Tak.

- A więc?

Adam kolejno przyjrzał się każdemu z nas, a ja prawie nie mogłem uwierzyć, że to sztuczny obraz i że Mike zlokalizował nas prostu przez mikrofony stereo.

- Towarzysze... musimy jak najszybciej zmienić to w otwartą wojnę.

Nikt nic nie mówił. Mówienie o wojnie to jedna rzecz, ale decydowanie się na nią to coś całkiem innego. Wreszcie ja westchnąłem i powiedziałem:

- Kiedy zaczniemy rzucać kamieniami?

- My nie zaczniemy - odrzekł Adam. - To oni muszą rzucić pierwszy kamień. Jak mamy ich do tego zmusić? Chciałbym zachować moje myśli na koniec. Towarzyszu Manuelu?

- Eee... nie patrzcie na mnie. Moim zdaniem, powinniśmy zacząć od ładnego wielkiego kamlota, prosto na Agrę - jest tam jeden facet, na którego tylko marnuje się przestrzeń. Ale chyba nie o to chodzi.

- Nie, nie o to - odpowiedział z powagą Adam. - Nie dość, że rozgniewalibyśmy cały naród indyjski, naród głęboko brzydzący się wszelkim niszczeniem życia, lecz w dodatku burząc Taj Mahal prawilibyśmy o gniew i wstrząs ludzi na całej Ziemi.

- Oraz mnie - dodał Profesor. - Nie opowiadaj takich okropności Manuelu.

- Słuchajcie - powiedziałem - nie mówiłem, że mamy to zrobić. Zresztą można celować obok Tajaju.

- Manuelu - powiedział Profesor - jak zauważył Adam, nasza strategia musi polegać na zmuszeniu ich do zadania pierwszego ciosu, na klasycznym manewrze "Pearl Harbor" z teorii gier, który w Weltpolitik daje ogromną przewagę. Pytanie brzmi: j a k Adamie, uważam że trzeba zaszczerpić wśród nich pogląd, że jesteśmy słabi i podzieleni, i że wystarczy pokaz siły, aby przywołać nas do porządku. Stuj? Przydadzą się twoi ludzie na Ziemi. Gdyby tak Kongres potępił i Manuela. Efekt?

- Och, n i e!- odezwała się Wyoh.

- Och, t a k, droga Wyoh. Nie musimy tego r o b i ć, wystarczy umieścić wiadomość w serwisach agencyjnych przekazywanych na Ziemię. Może jeszcze lepiej byłoby przekazać to w tajnym sygnale, rzekomo nadawanym przez pozostających wśród nas terrańskich naukowców, jednocześnie zaś przyozdobić oficjalne kanały klasycznymi stygmatami ścisłej cenzury. Adamie?

- Zanotuję ten fortel i prawdopodobnie użyjemy go jako elementu naszej przyszłej strategii. Lecz sam w sobie nie wystarczy. Muszą nas zbombardować.

- Adam - powiedziała Wyoh - dlaczego .tak myślisz? Nawet jeśli Luna City wytrzyma pod ich największymi bombami - a mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli się o tym przekonać - to wiemy że Luna nie wygra wojny totalnej. Sam to mówiłeś, nie raz. Czy nie można zrobić tak, żeby po prostu zostawili nas w spokoju?

Adam uszczypnął się w prawy policzek, a ja pomyślałem: "Mike, jeśli nie przestaniesz się popisywać, to w końcu sam w ciebie uwierzę!" Denerwował mnie, i chciałem uciąć sobie z nim

pogawędkę, w której nie będę musiał bić czołem przed "Przewodniczącym Selene".

- Towarzyszko Wyoming - powiedział trzeźwym tonem - mamy do czynienia z problemem teorii gier w złożonej grze o sumie niezerowej. Mamy pewne środki, czyli "pionki", i spory wybór ruchów. Nasz przeciwnik dysponuje nieporównywalnie większymi środkami i znacznie nie szerszą gamą ruchów. Problem polega na tym, jak pokierować grą w taki sposób, by wykorzystać nasze siły na uzyskanie optymalnego rozwiązania, a jednocześnie zmusić ich do zmarnowania ich atutów i rezygnacji z użycia ich w wartościach maksymalnych. Zasadniczą sprawą jest wybór odpowiedniego momentu i opracowanie gambitu, który zainicjuje łańcuch wydarzeń sprzyjających naszej strategii. Wiem, że trudno to pojąć. Mogę przepuścić czynniki przez komputer i pokazać ci wyniki. Możesz też przyjąć moją konkluzję. Albo swoją własną.

Przypominał Wyoh (pod nosem Stu), że nie rozmawia ona z Adamem Selene, tylko z Mikiem, naszym myślakiem pierwsza klasa, który potrafi rozwiązywać takie problemy, bo jest komputerem i to najlepszym na świecie.

Wyoh wycofała się.

- Nie, nie - powiedziała. - Nie znam się na matematyce. Okay, trzeba to zrobić. Jak to zrobimy?

Dopiero o czwartej opracowaliśmy plan, który odpowiadał nie tylko Adamowi, ale i Profesorowi i Stu - czy raczej tyle czasu zajęło Mike'owi wciśnięcie nam swego planu pod pozorem wyciągania z nas pomysłów. Czy może był to plan Profesora, a Adam Selene go sprzedał?

W każdym bądź razie mieliśmy plan i kalendarium, oba oparte na ogólnej strategii z wtorku 14 V 2075 i odbiegające od niej jedynie na tyle, by pasować do rzeczywistych wydarzeń. Krótko mówiąc, mieliśmy zachowywać się jak najzłośliwiej, jednocześnie sprawiając przekonujące wrażenie, że strasznie łatwo będzie spuścić nam manto.

W południe byłem w domu kultury, niewyspany, i zobaczyłem, że zerwałem się z łóżka o dwie godziny za wcześnie; mimo kolejowej komunikacji kongresmani z Hongkongu nie zdążyli na posiedzenie. Wyoh stuknęła młotkiem dopiero o 14.30.

Tak, moja nowa żona była tymczasową przewodniczącą nie zorganizowanej jeszcze izby. Miała talent do parlamentarnej procedury i dodatkową zaletę: tłum Lunatyków zachowuje się grzeczniej, kiedy młotkiem wali dama.

Nie będę wam składać sprawozdania, co Kongres robił i o czym mówił na tym posiedzeniu i na następnych; możecie sami sprawdzić w protokołach. Pokazywałem się tylko wtedy, kiedy musiałem i jakoś nie chciało mi się nauczyć regulaminu ich rozhoworów, który w równych częściach składał się ze zwykłej uprzejmości i z magicznych sztuczek, dzięki którym przewodniczący/a mógł/mogła robić z izbą, co tylko chciał/a.

Ledwo Wyoh zastukała o porządek, jakiś koleś podskoczył i powiedział:

- Gospoża Przewodnicząca, wnoszę o zawieszenie regulaminu obrad i wysłuchanie Profesora de la Paz! - na co rozległ się ryk aprobaty.

Wyoh grzmotnęła młotkiem.

- Wniosek jest niezgodny z porządkiem obrad, a kongresman z Dolnego Churchill zechce usiąść. Izba ogłosiła przerwę w posiedzeniu bez odroczenia, i głos nadal ma Przewodniczący Komisji ds. Docelowego Ustroju, Ustaw i Struktury Rządu.

Okazało się, że jest nim Wolfgang Korsakow, kongresman z SubTycho (a także członek komórki Profesora i główny kombinator LUNOHOCO), który siedział na mównicy cały dzień, udzielając głosu tylko wtedy, kiedy uznał to za stosowne (tj. wybierając ludzi, i pozwalając mówić, i nie dopuszczając byle kogo do głosu). Ale nikogo to nie wkurzyło; tej wiarze podobało się, że ktoś nimi rządzi. Zachowywali się hałaśliwie, ale karnie.

Do kolacji Luna otrzymała rząd, który zastąpił rząd tymczasowy - tzn. marionetkowy gabinet, wybrany przez nas samych, który posłał Profesora i mnie na Ziemię. Kongres zatwierdził wszystkie ustawy rządu tymczasowego, firmując tym samym naszą działalność, podziękował ustępującemu gabinetowi za jego pracę i polecił komisji Wolfganga kontynuować pracę nad docelową strukturą rządu.

Profesora wybrano Marszałkiem Kongresu i ex officio[19] premierem rządu przejściowego, do momentu przyjęcia konstytucji. Zaprotestował, powołując się na wiek i stan zdrowia... potem powiedział, że zgodzi się, jeśli poczynią dla niego pewne ustępstwa; jest za stary i za bardzo wyczerpała go podróż na Ziemię, by mógł przewodniczyć obradom - poza uroczystymi posiedzeniami - więc Kongres ma wybrać Przewodniczącego i Przewodniczącego Tymczasowego... a poza tym Profesor uważa, że Kongres powinien powiększyć swą liczbę o co najmniej 10%, sam wybierając kongresmanów nadzwyczajnych, aby premier, kiedy już go nominują, mógł dobrać sobie członków czy też ministrów stanu, którzy nie są obecnie członkami Kongresu - zwłaszcza ministrów bez teki, którzy ulżą mu w pracy.

To im się nie spodobało. Większość z nich była dumna ze statusu "kongresmana", i już zaczęli zazdrośnie strzec przywileju. Ale Profesor tylko siedział zmęczony i czekał, a ktoś zauważył, że Kongres nadal zachowa kontrolę. Więc dali mu, o co prosił.

Potem ktoś pod płaszczykiem pytania do Przewodniczącej przemycił przemówienie. Wszyscy wiedzą - powiedział - że Adam Selene odmówił kandydowania do Kongresu, gdyż jego zdaniem przewodniczący Komitetu Nadzwyczajnego nie powinien korzystać z okazji, by wcisnąć się do nowego rządu... ale czy Szanowna Pani Przewodnicząca zechciałaby poinformować kongresmana, czy są jakieś powody by nie wybrać Adama Selene kongresmanem nadzwyczajnym? W geście uznania za jego nieocenione dokonania? Aby cała Luna - ta i wszyscy ci Ziemiacy, zwłaszcza były Zarząd niegdyś Luny - żeby wiedzieli, że n i e potępiamy Adama Selene, wprost przeciwnie, jest on naszym ukochanym mężem stanu, a nie został Prezydentem tylko dlatego, że nie chciał!

Znów niekończące się okrzyki poparcia. Możecie dowiedzieć się z protokołów, kto wygłosił to przemówienie, ale założę się 10:1, napisał je Profesor, a doręczyła mówcy Wyoh.

Oto, jak się to wszystko po kilku dniach skończyło:

Premier i sekretarz Stanu do spraw zagranicznych: Profesor Bernardo de la Paz.

Przewodniczący: Finn Nielsen; przewodniczący tymczasowy: Wyoming Davis.

Podsekretarz Stanu do spraw zagranicznych i minister obrony: generał O'Kelly Davis; minister informacji: Terence Sheehan (Sheenie powierzył *Prawdę* swojemu zastępcy i cały czas poświęcał na prace z Adamem i Stu); nadzwyczajny minister bez teki w Ministerstwie Informacji: Stuart Rene LaJoie, kongresman nadzwyczajny; sekretarz stanu do spraw gospodarki i finansów (oraz powiernik mienia nie przyjacielskiego): Wolfgang Korsakow; minister spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa: towarzysz "Clayton" Watenabe; minister bez teki i nadzwyczajny doradca premiera: Adam Selene - plus kilkunastu innych ministrów i ministrów bez teki spoza Luna City.

Widzicie, jak sprawy stały? Jeśli wyrzucić frymuśne tytuły, okazuje się, że nadal rządziła komórka B, zgodnie z radą Mike'a z drobną pomocą Kongresu, w którym my nie mogliśmy przegrać głosowania, a nie przechodziły sprawy, które nam się nie podobały albo nas nie obchodziły.

Ale wtedy nie mogłem dostrzec żadnego sensu w ich rozmowach.

Podczas wieczornej sesji Profesor złożył sprawozdanie z podróży a następnie oddał mi głos - za zgodą przewodniczącego Korsakowa - bym mógł wyjaśnić, co to za "plan pięcioletni", i jak Zarząd próbował mnie przekupić. Nie umiem przemawiać i nigdy się nie nauczę! ale w czasie przerwy na kolację przestudiowałem tekst napisany przez Mike'a. Przedstawił wszystko w tak paskudnym świetle, że zdenerwowałem się, i przemawiałem nadal zdenerwowany, i udało mi się do nich dotrzeć. Gdy skończyłem, Kongresowi groziły ekscesy.

Profesor wstał, szczupły i blady, i spokojnym głosem powiedział:

- Towarzysze kongresmani, cóż pocniemy? Proponuję, o ile zgodzi się na to przewodniczący Korsakow, nieformalną dyskusję nad odpowiedzią na tę najnowszą zniewagę wobec naszego narodu.

Jeden kongresman z Nowegolenu chciał wypowiedzieć wojnę, uchwaliliby to z miejsca, gdyby Profesor nie zauważył, że nadal słuchają sprawozdania komisji.

Więcej gadania, więcej goryczy. Wreszcie odezwał się towarzysz kongresman Chang Jones:

- Koledzy-kongresmani - przepraszam, panie przewodniczący Corsakow - jestem producentem ryżu i pszenicy. To znaczy - byłem, bo w maju dostałem kredyt z banku i teraz ja i synowie przestawiamy się na produkcję małoskalową. Jesteśmy bankrutami - musiałem pożyczać pieniądze na kolejkę, żeby tu przyjechać - ale rodzina ma co jeść, i któregoś dnia rozliczymy się z bankiem. Przynajmniej nie uprawiam już ziarna.

Ale są tacy, co je uprawiają. Od kiedy wywalczyliśmy wolność, przepust wyrzutni nie zmałał

ani o jedną barkę. Nadal wysyłamy, nadziei, że kiedyś ich czeki nabiorą wartości.

Ale teraz już wiemy! Powiedzieli nam, co chcą z nami zrobić -co chcą n a m zrobić! Uważam, że jedynym sposobem na przekonanie tych łotrów, że nie żartujemy, jest n a t y c h m i a s t o w e przerwanie dostaw! Ani tony więcej, ani kilo więcej... dopóki nie przylecą do nas nie zaczną uczciwie targować się o uczciwe ceny!

Okolo pomocy uchwalili embargo, potem odroczyli obrady, nie decydując się na termin następnej sesji... stałe komisje miały kontynuować pracę.

Wyoh i ja wróciliśmy do domu, a ja przypomniałem sobie, jak wygląda moja rodzina. Już w niczym nie mogłem pomóc; Mike-Adam i Stu szykowali najlepszy sposób przekazania wiadomości na Ziemię, a Mike zamknął wyrzutnię (“trudności techniczne z komputerem balistycznym”) 24 godziny wcześniej. Kontrola naziemna w Poona przejmie ostatnią barkę za niecałą dobę, i wtedy Ziemia usłyszy, w niewybrednych słowach, że już n i g d y nie dostaną więcej.

ROZDZIAŁ XXII

Złagodziliśmy farmerom szok kontynuując skup ziarna przy wyrzutni - choć teraz na czekach było wydrukowane ostrzeżenie, że są wydane przez Wolne Państwo Luna, że nie gwarantujemy, że rząd zrealizuje je choćby w bonach itd. Niektórzy farmerzy mimo to zwozili ziarno, inni nie, a wszyscy pyskowali. Ale nie mogli nic zrobić; wyrzutnia była zamknięta, taśmociągi stały.

W innych gałęziach gospodarki depresja nie ujawniła się tak raz. Rekrutacja do pułków obrony zdziesiątkowała szeregi górników więc opłacało się sprzedawać lód na wolnym rynku; wchłonięte przez LUNOHOCO zakłady metalowe nadal przyjmowały wszystkich zdrowych mężczyzn, a Wolfgang Korsakow przygotował papierowe pieniądze, "dolary narodowe", z wyglądu podobne do hongkongskich i teoretycznie na nich się opierające. W Lunie było mnóstwo żywności, mnóstwo pracy, mnóstwo pieniędzy; ludzie nie przemęczali się, jak zawsze najważniejsze było "piwo, hazard, kobiety i praca".

"Narodówki", jak je nazywali, to był pieniądz inflacyjny, pieniądz wojenny, pieniądz fikcyjny, i już pierwszego dnia obiegu ich kurs spadł o ułamek procenta, co ukryliśmy jako "opłatę za wymianę". Nigdy nie spadły do zera, zawsze można było za nie kupować, ale to był pieniądz inflacyjny i coraz wyraźniej pokazywał to kurs wymiany; nowy rząd wydawał pieniądze, których nie miał.

Ale to przyszło później... Przesłanie do Ziemi, do Zarządu i NS było umyślnie złośliwe. Zakazaliśmy statkom NS zbliżać się do Luni o więcej niż dziesięć obwodów i w ogóle wchodzić na orbitę, groźbą zniszczenia bez ostrzeżenia. (Nie wspomnieliśmy, jak je zniszczymy, bo nie potrafiliśmy ich zniszczyć.) Statkom prywatnym zezwoli się na lądowanie, jeśli: a) poproszą z góry o pozwolenie, przedstawiając stawiając plan balistyczny, b) zgłoszony w ten sposób statek stery Kontroli Lotów w Lunie (Mike'owi) w odległości 100.000 km poruszając się po zaaprobowanej trajektorii, i c) będzie nieuzbrojony, za wyjątkiem trzech pistoletów ręcznych na wyposażeniu trzech oficerów. To ostatnie musi zostać potwierdzone przez inspekcję dokonaną bezpośrednio po lądowaniu, przed opuszczeniem statku przez kogokolwiek i zaopatrzeniem statku w paliwo i/lub masę reakcyjną; naruszenie tego postanowienia karane będzie konfiskatą statku. Na lądowanie w Lunie zezwoli się wyłącznie załogom statków, dokonującym załadunku, wyładunku lub napraw, oraz wszystkim obywatelom terrańskich narodów, które uznały Wolną Lunę. (Tylko Czad - a Czad nie miał floty. Profesor spodziewał się, że prywatne statki wkrótce zaczną się rejestrować pod jego banderą handlową.)

Nasz manifest głosił, że pozostający jeszcze w Lunie terrańscy naukowcy będą mogli powrócić do domu na pokładzie każdego statku, jaki spełni nasze wymagania. Wzywał wszystkie kochające pokój narody Terry do potępienia wszelkich krzywd, wyrządzonych nam i dopiero planowanych przez Zarząd, do uznania naszej niepodległości i korzystania z dobrodziejstw wolnego handlu i swobodnych kontaktów, i podkreślał, że handel z Luną nie jest skrzępowany jakimikolwiek cłami czy innymi sztucznymi środkami i że rząd Luni nie ma zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy. Zachęcaliśmy do imigracji, bez ograniczeń, i zwracaliśmy uwagę na to, że brak nam rąk do pracy i że każdy imigrant natychmiast zacznie zarabiać na własne utrzymanie.

Chwaliliśmy się też żywnością - spożycie przez dorosłych mieszkańców ponad 4000 kalorii dziennie, duży procent białka, niskie ceny, brak reglamentacji. (Stu kazał Adamowi-Mike'owi dodać, ile kosztuje u nas 50% wódka - 50 centów HKL za litr, w hurcie jeszcze taniej, bez podatków. To znaczy niecałe 10% ceny detalicznej 40% wódki w Północnej Ameryce - Stu wiedział, że to świetny argument. Adam, "z natury" abstynent, nie pomyślał o tym - jedno z nielicznych przeoczeń Mike'a.)

Natomiast Zarząd Luny poprosiliśmy, żeby zechcieli zebrać się jednym miejscu, z dala od innych ludzi, np. w niezmeliorowanej części Sahary, i tam odebrać ostatnią, gratisową barkę ziarna, która trafi w nich z prędkością graniczną. Potem nastąpiło aroganckie kapnie, z którego można było się domyślić, że to samo stanie się ze wszystkimi, którzy zagrozą naszemu pokojowi, gdyż przy wyrzutni czeka spora liczba załadowanych barek, gotowych do takiego bezceremonialnego doręczenia.

A potem czekaliśmy.

Ale nie czekaliśmy beczynnie. Rzeczywiście mieliśmy parę załadowanych barek; rozładowaliśmy je i napełniliśmy skałą, przerabiając radiostacje sterownicze tak, by nie mogła się do nich dostać Kontrola w Poona. Usunęliśmy rakiety wsteczne, zostały tylko boczne silniki kierunkowe, a te wsteczne pojechały do nowej wyrzutni, i tam przerobiliśmy je na boczne silniki do nowych barek. Najwięcej wysiłku poświęciliśmy transportowi stali do nowej wyrzutni i robieniu z niej futerałów na walce z litej skały - stal była wąskim gardłem.

W dwa dni po manifeście zaczęło wysyłać sygnały na Terrę "tajne" radio. Sygnał był słaby i często zanikał, nadajnik miał być ukryty w jakimś kraterze i mógł pracować tylko w określonych godzinach dopóki dzielni terrańscy naukowcy nie sklecają automatycznego powtarzacza. Nadawał blisko częstotliwości Głosu Wolnej Luny, który często zagłuszał go swymi dziarskimi przechwałkami.

(Ci Terranie, którzy pozostali w Lunie, nie mieli szans wysyłania sygnałów. Tych, co postanowili nadal prowadzić badania, bez ustanku pilnowali stiliagi, a na noc zamykało się ich w koszarach.)

Ale "tajnej" stacji udało się przekazać na Terrę "prawdę". Profesorowi wytoczono proces o odchylenia i jest w areszcie domowym. Mnie rozstrzelano za zdradę. Hongkong, Luna, ogłosił secesję i separatystyczną Deklarację Niepodległości... może tam usłuchają głosu rozsądku. W Nowym Mienie zamieszki. Cała produkcja żywności została skolektywizowana, a na czarnym rynku w Luna City jaja są po trzy dolary sztuka. Werbuje się całe bataliony kobiet, z których każda składa przysięgę, że zabije co najmniej jednego Terranina, a ćwiczą z imitacjami karabinów w korytarzach Luna City.

To ostatnie to była prawie prawda. Wiele pań chciało sobie wojować i utworzyły Straż Obrony Cywilnej "Piekielnice". Ale ćwiczyły bardziej praktyczne rzeczy - a Hazel obraziła się na Mamę, ta nie pozwoliła jej się zaciągnąć. Potem przestała się dąsać i założyła "Stiliagów Juniorów", bardzo nieletnie oddziały OC, które ćwiczyły po lekcjach, nie dostały broni, specjalizowały się we wspieraniu stiliaskich drużyn uszczelniających i w pierwszej pomocy, a także opracowały własny styl walki wręcz, o czym - mam nadzieję - Mama nie wiedziała.

S a m nie wiem, o czym opowiadać. Wszystkiego nie da rady, ale w książkach do historii piszą takie b z d u r y!

Nie lepszy był ze mnie “minister obrony” niż “kongresman”. Nie tłumaczę się, nie byłem przygotowany ani do jednego, ani do drugiego. Dla prawie wszystkich rewolucja to była amatorszczyzna; jeden Profesor wyglądał na takiego, który wie, co robi, ale i dla niego to była nowość - nigdy w życiu nie brał udziału w udanej rewolucji i nie był członkiem, ani tym bardziej głową, rządu.

Jako minister obrony nie mogłem wymyślić zbyt wielu sposobów obrony, poza podjętymi już krokami; tzn. drużyny Stiliagów w osiedlach i działa laserowe wokół radarów balistycznych. Jeśli NS postanowią nas zbombardować, to nie wiem, jak można im przeszkodzić; w całej Lunie nie było ani jednego pocisku przechwytyjącego, a takiej zabawki nie składa się z byle czego. Słowo daję, nie potrafiliśmy nawet zrobić głowicy jądrowej do takiej rakiety.

Ale nie powiem, że nie próbowałem. Poprosiłem kitajskich inżynierów, którzy zbudowali karabiny laserowe, żeby zainteresowali się problemem przechwytywania bomb czy pocisków - właściwie to ten sam problem, tyle że pocisk spada szybciej.

Potem zajmowałem się innymi sprawami. Miałem tylko nadzieję, że NS jednak nie zbombardują osiedli. Niektóre osiedla, zwłaszcza L-City, są tak głęboko, że przetrzymałyby chyba bezpośrednio trafienie. Jedna przestrzeń, najniższy poziom Kompleksu, gdzie mieszka główna część Mike’a, została zaprojektowana jako schron. Ale za to Sub-Tycho to wielka naturalna jaskinia, jak nasza Stara Kopuła, o stropie zaledwie kilkumetrowej grubości; lepsze pod nim trzeba ogrzewać rurami z gorącą wodą, żeby nowe pęknięcia chciały się uszczelniać - na Sub-Tycho wystarczyłaby całkiem niewielka bomba.

Ale bomba jądrowa może mieć nieograniczoną wielkość; NS mogły zbudować taką, która rozwaliliby L-City - a teoretycznie nawet zafundować nam koniec świata taką pigułą, od której Luna rozłupałaby się jak jakiś melon i w ten sposób dokończyć dzieło tego asteroidu, którego ślady możecie obejrzeć w Tycho. W takim razie w ogóle nie dałoby rady im przeszkodzić, więc nie martwiłem się tym.

Zamiast tego poświęcałem czas na rzeczy, z którymi mogłem sobie poradzić: pomagałem przy nowej wyrzutni, próbowałem wymyślić lepsze przyrządy celownicze do wiertel laserowych wokół radarów (i przekonać rębaczy, żeby zostali z nami; połowa wypisała się, kiedy cena lodu poszła w górę), zorganizować zdecentralizowane systemy awaryjne dla wszystkich osiedli. Mike je projektował, rekwirowaliśmy wszystkie w miarę uniwersalne komputery, jakie wpadły nam w ręce (płaciliśmy “narodówkami” jeszcze mokrymi od farby), a w końcu przekazałem tę robotę McIntyre’owi, byłemu Głównemu Inżynierowi Zarządu; znał się na tym, a ja, nawet gdybym chciał, nie dałbym rady wszystkiego podłączyć itd.

Zmobilizowaliśmy największy komputer, który zajmował się księgowością w Banku Hongkongu, Luna i w ich giełdzie. Przejrzałem instrukcję obsługi i stwierdziłem, że to cwany

komputer, jak na niemowę, i spytałem Mike'a, czy nie nauczyłby go balistyki. Założyliśmy tymczasowe łącza, żeby dwie maszyny się zaznajomiły, i Mike zameldował, że może nauczyć go prostych zadań, do których chcemy go zatrudnić - jako rezerwę do nowej wyrzutni - choć Mike wolałby nie lecieć pilotowanym przez niego statkiem; jest zbyt przyziemny i bezkrytyczny. Właściwie głupi.

No cóż, w końcu nie miał gwizdać piosenek ani opowiadać kawałów; miał tylko wystrzeliwać ładunki z wyrzutni w odpowiednie milisekundzie i z odpowiednią prędkością, potem patrzeć, jak ładunek zbliża się do Terry i szturchnąć go, kiedy będzie trzeba.

Bank HK nie miał ochoty go sprzedać, ale mieliśmy patriotów w ich radzie nadzorczej. Obiecaliśmy go zwrócić, kiedy minie zagrożenie, i przewieźliśmy go do nowej wyrzutni - ciężarówką, był za wielki na kolejkę, a zajęło to cały ciemny pół-miesiąc. Musieliśmy założyć specjalną służbę awaryjną, żeby wynieść go z osiedla w Kongu. Znów podłączyłem go do Mike'a, a ten podjął się nauczenia go sztuki balistyki na wypadek, gdyby w czasie nalotu przecięło jego łącze z nową wyrzutnią.

(Wiecie, czym zastąpili w banku komputer? Dwustoma urzędnikami z liczydłami. Wiecie, to takie ramki z paciorkami, najstarsze komputery cyfrowe, taki stary wynalazek, że nie wiadomo, kto go dokonał. Rusczy, Kitajcy i Japończycy używali ich od niepamiętnych czasów, a nawet teraz można je zobaczyć w małych sklepikach.)

Przeróbka laserowych wiertel na broń obrony kosmicznej była zadaniem łatwiejszym, ale też wymagającym więcej łamania głowy. Przyszło zostawić je na oryginalnych obsadach; nie mieliśmy ani czasu, ani stali, ani ludzi, żeby robić nowe lawety. Zajęliśmy się więc ulepszeniem przyrządów celowniczych. Zaczęliśmy zbierać teleskopy. Mało ich było - zesłańcy rzadko zabierają ze sobą lunety. Potem też popyt na nie jest niewielki. Znalazły się tylko instrumenty kartograficzne i lornetki hełmowe plus instrumenty optyczne skonfiskowane w terrańskich laboratoriach. Ale udało się wyposażyć wiertła w słabe szkła szerokokątne do śledzenia celu i silniejsze teleskopy do dokładnego naprowadzania plus podziałki wysokości kątowej i azymutu oraz telefony, żeby Mike mógł im mówić, gdzie mają celować. Cztery wiertła wyposażyliśmy w synchroniczne serwomotory, żeby Mike sam mógł nimi obracać - pożyczylśmy je z Richardsona, astronomowie używali ich do astrograficznych kamer Bauscha i teleskopów Schmidta.

Ale najtrudniej było znaleźć ludzi. Nie szło o pieniądze, bez przerwy podnosiliśmy im żołd. Nie, rębacze lubią pracować - kto nie lubi, zmienia zawód. Warować przy służbie dzień po dniu, czekać na alarm, zawsze alarm ćwiczebny - głupieli od tego. Wypisywali się. Raz we wrześniu ogłosiłem alarm, i obsługi wystarczyło tylko dla siedmiu dział.

Wieczorem porozmawiałem o tym z Wyoh i Sidris. Nazajutrz Wyoh spytała, czy Profesor i ja zatwierdzimy jej parę bolszych wydatków. Utworzyły coś, co Wyoh nazwała "Korpusem Lizystraty". Nie pytałem się, co robią i ile kosztują, bo kiedy następnym razem poszedłem na inspekcję do poczekalni przy służbie, zobaczyłem tam trzy dziewczyny i rębaczy aż za wielu. Dziewczęta były w męskich mundurach Drugiego Pułku Artylerii Obronnej (do tej pory rębacze nie upierali się przy noszeniu mundurów), a jedna z nich miała krokiewki ogniomistrza i oznakę dowódcy baterii.

To była b a r d z o krótka inspekcja. Większość dziewcząt nie ma mięśni potrzebnych rębaczowi, i nie sądzę, żeby ta dama umiała poradzić sobie z wiertłem tak dobrze, by zasłużyć na swoją oznakę. Ale na służbie był prawdziwy dowódca baterii, dziewczynom nie zaszkodzi nauczyć się obsługiwać lasery, morale było niewątpliwie wysokie; nie myślałem więcej o tym.

Profesor nie doceniał swojego nowego Kongresu. Dam głowę, że chciał mieć jedynie ciało, które będzie zatwierdzać naszą działalność, i w ten sposób uczyni z niej “wolę ludu”. Ale nowi kongresmani n i e byli głupimi krzykaczami i w związku z tym robili więcej, niż spodziewał się po nich Profesor. Zwłaszcza Komisja ds. Docelowego Ustroju, Ustaw i Struktury Rządu.

Wymknęli nam się spod kontroli, bo wszyscy próbowaliśmy robić za dużo. Stałymi głowami Kongresu byli Profesor, Finn Nielsen i Wyoh. Profesor pokazywał się tylko wtedy, kiedy miał im coś do powiedzenia - czyli rzadko. Większość czasu spędzał z Mikiem nad planami i analizami (we wrześniu 76 nasze szansę urosły do jedne na pięć), ze Stu i Sheengiem Sheehanem nad propagandą, sprawdzając oficjalne wiadomości dla Ziemi, bardzo różniące się od nich “wiadomości” nadawane via “tajne” radio, oraz przerabiając ich wiadomości z Ziemi. Poza tym wszystkiego pilnował; raz dziennie składałem mu raport, i tak samo wszystkie ministerstwa, prawdziwe i figuranckie.

Ja dostarczałem zajęcia Finnowi Nielsenowi; był moim “Dowódcą Sił Zbrojnych”. Musiał opiekować się swoimi strzelcami laserowymi - w dniu, w którym przygwoździliśmy gubernatora, było to sześciu ludzi ze zdobycznymi karabinami, a teraz 800 rozlokowanych po całej, Lunie i uzbrojonych w kopie z Kongyille. Poza tym organizacje Wyoh, stiliaski Korpus Obrony Cywilnej, Stiliagi Juniorzy, Piekielnice, Partyzanci (zachowaliśmy ich dla morale, pod zmienioną nazwą Piraci Piotrusia Pana) i Korpus Lizystraty - wszystkie te półmilitarne grupy podlegały, przez Wyoh, Finnowi. Zrzuciłem wszystko na niego; miałem inne zmartwienia, np. poza robotą “męża stanu” musiałem chałturzyć jako komputerowiec, kiedy trzeba było instalować ten komputer przy nowej wyrzutni.

Zresztą nie mam talentów przywódczych, a Finn ma. Wepchnąłem mu też Pierwszy i Drugi Pułk Artylerii Obronnej. Ale najpierw zarządziłem, że te dwa szkieletowe pułki stanowią “brygadę” i mianowałem sędziego Brody’ego “generałem brygady”. Brody znał się na wojaczce tyle co ja - wcale - ale był dobrze znany, szanowany, miał nieograniczone zapasy zdrowego rozsądku i był rębaczem, zanim stracił nogę. Finn nie był nigdy górnikiem, więc nie można było zrobić go ich bezpośrednim przełożonym; nie słuchaliby go. Myślałem, czy-by nie zepchnąć tego na mojego współmęża Grega. Ale Greg był potrzebny przy wyrzutni na Marę Undarum, był jedynym mechanikiem, który pracował przy wszystkich fazach budowy.

Wyoh pomagała Profesorowi, pomagała Stu, zajmowała się swoimi organizacjami, wciąż jeździła do Marę Undarum - i nie miała czasu przewodniczyć Kongresowi; zadanie to spadło na najstarszego’ przewodniczącego komisji, Wolfa Korsakowa... który miał jeszcze mniej czasu od nas. LUNOHOCO zajmowała się wszystkim, czym: kiedyś rządził Zarząd, i w dodatku wieloma innymi rzeczami.

Wolf miał dobrą komisję; Profesor powinien lepiej ich pilnować. Wolf kazał wybrać swego

szefa, Moshai Bauma, wiceprzewodniczącym, dokładnie wytłumaczył komisji problem określenia, jak powinien wyglądać docelowy rząd. Potem Wolf zostawił ich samych.

Ci pracusie podzielili się na podkomisje i wykonali zadanie - przestudiowali formy rządu w Bibliotece im. Carnegie'ego, odbywali posiedzenia po trzech lub czterech (gdyby Profesor wiedział, to zaniepokoiłby się - spotykali się w za małych grupach) - a kiedy na początku września zebrał się Kongres, żeby ratyfikować nominacje i wybrać nowych kongresmanów nadzwyczajnych, towarzyszył Baum, który przewodniczył obradom, zamiast zamknąć sesję przełożył ciąg dalszy na następny dzień - a wtedy znów się spotkali, ogłosili komisję całoizbową i uchwalili rezolucję, i zanim się obejrzelśmy, cały Kongres zmienił się w Konwencję Konstytucyjną, podzieloną na grupy robocze pod kierunkiem tych podkomisji.

Moim zdaniem Profesor był zszokowany. Ale nie mógł tego odwołać, wszystko odbyło się zgodnie z opracowanym przez niego samego regulaminem. Ale poszedł za ciosem, pojechał do Nowegolenu (gdzie spotykał się teraz Kongres - mieli bardziej centralnie), przemówił do nich w swym normalnym dobrodusznym stylu i zamiast otwarcie im powiedzieć, że się mylą, po prostu zasiał w nich zwątpienie w to, co robią.

Serdecznie im podziękował, a potem rozpoczął wivisekcję ich projektów:

- Towarzysze kongresmani, podobnie jak ogień i atom, rząd to niebezpieczny sługa i przerażający władca. Wywalczyliście wolność - zachowajcie ją. Pamiętajcie jednak, że wy sami łatwiej możecie pozbawić się tej wolności niż jakikolwiek tyran. Działajcie bez pośpiechu, wahajcie się, wyjaśniajcie konsekwencje każdego słowa. Nie zasmuciłoby mnie, gdyby wasza konwencja złożyła raport po dziesięciu latach obrad, ale byłbym przerażony, gdyby praca zajęła wam mniej niż rok.

Wobec oczywistego bądźcie podejrzliwi, nie ufajcie tradycji... gdyż w przeszłości ludzkość niezbyt fortunnie układała swe stosunki z rządami. Na przykład, w jednym z waszych projektów widzę propozycję utworzenia komisji, która podzieli Lunę na obwody wyborcze i okresowo będzie zmieniać ich granice zgodnie ze zmianami zaludnienia.

Oto tradycyjny sposób; i dlatego nie należy mu ufać, uważać za winnego, dopóki nie dowiedzie się niewinności. Być może wydaje wam się, że to sposób j e d y n y. Czy mogę zaproponować inne? Przyznacie, że adres to najmniej ważny fakt z życia człowieka. Obwody można utworzyć dzieląc ludzi według zawodów... albo według wieku... nawet według alfabetu. Można wcale nie dzielić, niech wszyscy kongresmani wybierani będą z list ogólnokrajowych - i nie argumentujcie, że to uniemożliwi wybór tych, którzy nie są znani w całej Lunie; może tak będzie najlepiej dla Luny.

Możecie nawet rozważyć, czy nie należałoby przyznawać mandatów tym kandydatom, którzy otrzymają najmniej głosów; kto wie, może właśnie ludzie niepopularni zdołają ocalić was przed nową tyranią. Nie odrzucajcie pomysłu dlatego jedynie, że wydaje się niedorzeczny - przedyskutujcie go! W przeszłości rządy z wolnych wyborów bywały nie lepsze, a czasami znacznie gorsze od zdeklarowanych tyranii.

Lecz jeśli okaże się, że pragniecie rządu przedstawicielskiego, nadal cel ten można będzie osiągnąć bez uciekania się do obwodów terytorialnych. Na przykład każdy z was reprezentuje dziesięć tysięcy ludzi, powiedzmy siedem tysięcy czynnych wyborców, a niektórzy z was zwyciężyli drobną przewagą głosów. A gdyby do zdobycia mandatu uprawniał nie wybór, lecz petycja podpisana przez 4000 obywateli? Wtedy kongresman reprezentowałby 4000 osób w sposób pozytywny, bez żadnej zawiedzionej mniejszości, bo ci, z których w obwodzie terytorialnym składałaby się mniejszość, mieliby prawo podpisywania innych petycji albo redagowania własnych. Izba reprezentowałaby wtedy w s z y s t k i c h. A gdyby kongresman wybrany przez 8000 miał prawo do oddawania dwóch głosów w izbie? Problemy, przeszkody, kwestie praktyczne, które trzeba rozwikłać - b e z k o ń c a! Ale możecie to rozwikłać... i dzięki temu uniknąć chronicznej choroby rządów przedstawicielskich, zawiedzionej mniejszości, która uważa - i ma rację! - że odebrano jej głos.

Lecz cokolwiek byście robili, n i e c h n i e k r ę p u j e w a s p r z e s z ł o ś ć!

Widzę propozycję uczynienia z Kongresu ciała dwuizbowego. Wspaniale - im więcej przeszkód na drodze do uchwalenia ustawy, tym lepiej. Lecz może zamiast ulegać tradycji powołacie jedną izbę, legislatorów i drugą, której jedynym obowiązkiem będzie uchylanie ustaw? Niech legislatorzy uchwalają prawa większością dwóch trzecich... uchylającym zaś niech do odwoływania ich wystarczy jedna trzecia. Absurdalne? Pomyślcie tylko. Jeśli ustawa jest tak źle pomyślana, że nie zdobędzie uznania dwóch trzecich spośród was, czy nie będzie z niej złe prawo? A jeśli prawo nie podoba się jednej trzeciej, czyż nie lepiej byłoby z niego zrezygnować?

Lecz pozwólcie mi doradzić, by w pisaniu konstytucji przyświecały wam cudowne cnoty negatywów! Akcentujcie to, co negatywne! Niech wasz dokument jeży się od rzeczy, których rządowi nie wolno. Zakaz obowiązkowej służby wojskowej... zakaz najdrobniejszego choćby naruszania wolności prasy, mowy, podróży, zgromadzeń, religii, nauczania, porozumiewania, pracy... zakaz niedobrowolnego opodatkowania. Towarzysze, jeśli spędzicie pięć lat studiując historię i szukając w niej rzeczy, jakich rząd wasz nie powinien nigdy czynić, a potem wypełnicie swą konstytucję wyłącznie tymi zakazami, nie będę lękać się o wynik.

Najbardziej bowiem obawiam się pozytywnej działalności trzeźwych ludzi o dobrych intencjach, którzy przyznają rządowi władzę c z y n i e n i a czegoś, co wydaje się niezbędnym. Nigdy nie zapominajcie, proszę, że Zarząd Luny stworzyli dla najszlachetniejszych celów tacy właśnie trzeźwi ludzie o dobrych intencjach, co do jednego wybrani w demokratycznych wyborach. I z tą myślą pozostawiam was przy waszej pracy. Dziękuję za uwagę.

- Gospodin Marszałek! Jedno pytanie! Powiedział pan “zakaz niedobrowolnego opodatkowania”. Jak więc mamy za wszystko p ł a c i ć? ZWTP!

- Wielkie nieba, sir, to p a n a problem. Ja sam mogę zaproponować kilka sposobów. Dobrowolne datki, dzięki którym utrzymują się np. kościoły... rządowe loterie, w których udział nie będzie przymusowy... a może to wy, kongresmani, powinniście sięgnąć do własnych sakw i płacić za wszystko, co będzie potrzebne; oto metoda na utrzymanie rządu w rozsądnych rozmiarach, odpowiadających jedynie naprawdę niezbędnym funkcjom, jakiegokolwiek by one były. O ile w ogóle takowe istnieją. Mnie za jedyne prawo wystarczyłaby biblijna Złota Zasada; nie widzę potrzeby

jakichkolwiek innych ani jakiegokolwiek metody ich egzekucji. Lecz jeśli naprawdę uważacie, iż waszych bliźnich dla ich własnego dobra należy uszczęśliwiać prawami, może byście sami za to zapłacili? Towarzysze, zaklinam was - n i e odwołujcie się do przymusowego opodatkowania. Najgorsza z możliwych tyranii to zmuszanie człowieka do płacenia za coś, czego nie potrzebuje dlatego jedynie, że w a m wydaje się, że tak będzie dla niego lepiej.

Profesor skłonił się i wyszedł, Stu i ja za nim. W pustej poza j nami kapsule naskoczyłem na niego.

- Profesorze, podobało mi się pana przemówienie... ale jeśli chodzi o podatki, czy nie robi pan inaczej, niż pan mówi? Jak pan myśli, kto zapłaci za to wszystko, co my wyprawiamy?

Milczał przez długą chwilę, wreszcie powiedział:

- Manuelu, moją jedyną ambicją jest dożycie dnia, w którym będę mógł przestać udawać głowę państwa.

- To nie odpowiedź!

- Poruszyłeś dylemat wszystkich rządów - i powód, dla którego zostałem anarchistą. Władza podatkowa, jeśli raz ją przyznać, nie zna granic; pożera wszystko i wszystko niszczy. Nie żartowałem, kiedy poradziłem im, by sięgnęli do własnych sakw. Być może nie zdołamy ocalić się przed rządem - czasami wydaje mi się, że rząd to nieunikniona choroba ludzkości. Ale niech będzie mały, słaby i niegroźny - a czy można lepiej osiągnąć ten cel, niż zmuszając samych rządzących do opłacania kosztów ich antyspołecznego hobby?

- Nie powiedział mi pan jeszcze, jak zapłacimy za to, co robimy.

- "Jak", Manuelu? W i e s z, jak za to płacimy. K r a d n i e m y. Nie jestem z tego dumny, ale też nie wstydę się; to nasz jedyny sposób. Jeśli nas przyłapią, mogą nas wyeliminować - i jestem na to przygotowany. Kradnąc nie stworzyliśmy przynajmniej łajdackiego precedensu opodatkowania.

- Profesorze, tak mi przykro, że muszę to mówić...

- Więc po co mówisz?

- Bo, do diabła, siedzę w tym po uszy, tak jak pan... i chcę oddać te pieniądze! Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale to co pan mówi, brzmi jak hipokryzja.

Zachichotał.

- Mój drogi Manuelu! Czy dopiero teraz, po tylu latach, doszedłeś do wniosku, że jestem hipokrytą?

- A więc przyznaje się pan?

- Nie. Ale jeśli lepiej się poczujesz uważając mnie za takowego, możesz posłużyć się mną

jako kozłem ofiarnym. Wobec siebie jednak hipokrytą nie jestem, gdyż w dniu, gdy ogłosiliśmy Rewolucję, dobrze wiedziałem, jak wiele będzie trzeba pieniędzy, i że przyjdzie je kraść. Nie martwiło mnie to, bo uznałem to za lepsze wyjście od zamieszek głodowych za sześć lat i kanibalizmu za osiem. Podjąłem decyzję i nie żałuję.

Zamknąłem się, uciszony, lecz nie zadowolony. Stu powiedział:

- Cieszę się, Profesorze, że ma pan już dość bycia premierem.

- Czyżby? A więc podzielasz wątpliwości naszego towarzysza?

- Jedyne częściowo. Urodziłem się bogaty, więc kradzież nie gryzie mego sumienia tak silnie, jak jego. Nie, ale teraz, kiedy Kongres zajmuje się sprawą konstytucji, chciałbym częściej bywać na posiedzeniach. Mam zamiar zaproponować pana kandydaturę na króla.

Profesor był zszokowany.

- Sir, jeśli zaproponuje mnie pan, odmówię kandydowania. Jeśli mnie wybiorą, abdykuję.

- Niech się pan do tego tak nie śpieszy. Może to jedyny sposób, żeby załatwić taką konstytucję, jakiej by pan chciał. A tego i ja chcę, choć, jak i panu, braknie mi nieco entuzjazmu. Ogłosiłoby się pana królem, i ludzie by pana przyjęli; nigdzie nie jest napisane, że Luna musi być republiką. Byliby zachwyceni - ceremoniał, stroje, dwór itd.

- Nie!

- Ja da! Kiedy nadejdzie czas, nie będzie pan mógł odmówić. Bo musimy mieć króla, a jakkolwiek inny kandydat byłby nie do przyjęcia. Bernard I, Król Luny i Imperator Przyległych Przestrzeni.

- Stuarcie, przestań, proszę. Słabo mi się robi.

- Przyzwyczaj się pan. Ja jestem rojalistą, bo jestem demokratą. Pańskie wahanie nie pokrzyżuje moich planów, tak jak pan nie zawaha się przed kradzieżą.

- Chwileczkę, Stu - powiedziałem. - Mówisz, że jesteś rojalistą, bo jesteś demokratą?

- Oczywiście. Król to jedyne zabezpieczenie narodu przed tyranią... zwłaszcza przed najgorszym z tyranów, samym narodem. Profesor idealnie by się do tego nadawał... bo nie chce tej posady. Ma tylko jedną wadę - jest kawalerem, bez dziedzica. Załatwimy i to. Zaproponuję ciebie na jego spadkobiercę. Następcę tronu. Jego Królewska Wysokość Królewicz Manuel de la Paz, Książę Luna City, Najwyższy Admirał Sił Zbrojnych i Opiekun Słabych.

Wytrzeszczyłem oczy. Potem ukryłem twarz w dłoniach.

- Jej Bohu!

CZĘŚĆ III

Z W T P !

ROZDZIAŁ XXIII

W poniedziałek 12 X 2076 około godziny 19.00 wracałem do domu po całym dniu zmagania z głupotą w naszej kwaterze u Rafflesa. Delegacja producentów pszenicy chciała widzieć się z Profesorem, a on był w Hongkongu, Luna, więc posłali po mnie. Embargo trwało już dwa miesiące, a NS nie wyświadczyły nam jeszcze przysługi stosownej złośliwości. W zasadzie ignorowały nas, nie odpowiadały na nasze żądania - chyba dlatego, że sama odpowiedź oznaczałaby uznanie nas. Stu, Sheenie i Profesor musieli bardzo starannie przekręcać wiadomości z Ziemi, żeby podtrzymać bojowego ducha.

Na początku ludzie nie rozstawali się ze skafandrami. Chodzili w nich w korytarzach, do i z pracy, z hełmami pod pachą. Ale z czasem przestało ich to bawić, bo nie było zagrożenia - skafander w ciśnieniu to tylko kłopot, krępujący ciuch. Wkrótce w pubach pojawiły się tabliczki: **W SKAFANDRACH WSTĘP WZBRONIONY**. Jeśli Lunatyk nie może wpaść na pół litra w drodze do domu, bo ma na sobie skafander, to zostawi go w domu albo na stacji, czy gdzie tam będzie mu pod ręką.

Słowo daję, tego dnia sam pokpiłem sprawę - wezwali mnie do biura i dopiero w połowie drogi przypomniałem sobie o skafandrze.

Właśnie dotarłem do służby tranzytowej nr 13, kiedy usłyszałem i poczułem dźwięk, którego Lunatyk boi się bardziej niż czegokolwiek innego - odległe *czaff!*, a po nim przeciąg. Szarpnąłem gorączkowo za koło i dałem nura do służby, wyrównałem ciśnienie i wyszedłem na drugą stronę, zakręciłem drzwi i pobiegłem do naszej służby domowej - przez z nią z krzykiem:

- Wszyscy w skafandry! Zebrać chłopców z tuneli i zamknąć wszystkie hermetyczne drzwi!

Z dorosłych widać było tylko Mamę i Miłe. Obie najpierw przestraszyły się, potem bez słowa wzięły się do roboty. Wpadłem do warsztatu i porwałem za skafander.

- Mike! Zgłoś się!

- Jestem, Man - odpowiedział spokojnie.

- Usłyszałem gwałtowny spadek ciśnienia. Jaka sytuacja?

- To na poziomie 3, L-City. Dehermetyzacja na Zachodniej Stacji kolejki, już częściowo opanowana. Wylądowało sześć statków, atak na L-City...

- Co?

- Daj mi dokończyć, Man. Wylądowało sześć transportowców, żołnierze atakują L-City, zapewne także Hongkong, linie telefoniczne przerwane przy przekaźniku BL. Atak na Johnson City; zamknąłem pancerne drzwi pomiędzy J-City a Sub-Kompleksem. Nie mam łączności z Nowymmlenem, ale obraz radarowy sugeruje atak. Tak samo Churchill, Sub-Tycho. Jeden statek na wysokiej orbicie

elipsoidalnej nade mną, prawdopodobnie statek dowodzenia, nabiera wysokości. To wszystko.

- Sześć statków - c o T Y, d o d i a b ł a, r o b i ł e ś?

Odparł tak spokojnym tonem, że i ja się opanowałem:

- Podeszły od ciemnej strony, Man; nie mam tam oczu. Lądowały po wariacko ciasnych trajektoriach, tuż ponad górami; ledwo dostrzegłem przelot tego z Luna City. Widzę tylko statek z J-City; pozostałe lądowania wydedukowałem z radarowych śladów balistycznych. Usłyszałem eksplozję na Zachodniej Stacji w L-City, teraz słyszę dźwięki walki w Nowymlenie. Reszta to wnioskowanie dedukcyjne, o prawdopodobieństwie powyżej 99%. Natychmiast zadzwoniłem do ciebie i Profesora.

Zaczerpnąłem tchu.

- Operacja Twardy Kamień, przygotować się do wykonania.

- Program gotów. Man, nie mogłem się z tobą skontaktować i posłużyłem się twoim głosem. Odtworzyć nagranie?

- Niet... Yes! Da!

Usłyszałem “siebie”, jak każę oficerowi dyżurnemu przy rampie starej wyrzutni ogłosić czerwony alarm do “Twardego Kamienia” -umieścić pierwszy ładunek w wyrzutni, pozostałe na transporterach, pełna gotowość, ale wystrzelić d o p i e r o na mój osobisty rozkaz - potem kontynuować wystrzeliwanie zgodnie z planem, automatycznie. “Kazałem” mu powtórzyć.

- Okay - powiedziałem do Mike’a. - Działony przy wiertłach?

- Znów twój głos. Na stanowiskach, potem odesłałem je do poczekalni. Ten statek dowodzenia osiągnie aposelenium dopiero za 3 godziny 4,7 minut. W zasięgu baterii po ponad pięciu godzinach.

- Mogą manewrować. Albo wystrzelić pociski.

- Spokojnie, Man. Nawet pocisk zauważę z kilkuminutowym wyprzedzeniem. Na górze jest samo południe lunańskie - ile chłopcy mają wchłonąć? To niepotrzebne.

- Eee... przepraszam. Lepiej połącz mnie z Gregiem.

- Odtwarzam nagranie... - Usłyszałem “mój” głos rozmawiający z moim współ-mężem na Marę Undarum; “mówiłem” z napięciem, ale spokojnie. Mike przedstawił mi sytuację, kazał przygotować operację Proca Dawida, zachować gotowość do procedury automatycznej. “Zapewniłem” Grega, że główny komputer będzie na bieżąco programować komputer rezerwowy, a w razie przerwania łączności ten drugi automatycznie przejmie kontrolę. “Powiedziałem” mu jeszcze, że w razie utraty łączności na więcej niż cztery godziny ma objąć dowodzenie i samodzielnie podejmować decyzje - słuchać ich radia z Ziemi i wyrobić sobie pogląd na sytuację.

Greg był bardzo spokojny, powtórzył rozkazy, potem powiedział:

- Mannie, powiedz rodzinie, że ich kocham.

Byłem dumny z Mike'a; odpowiedział w moim imieniu dokładnie tak, jak było trzeba: odchrząknął z zakłopotaniem.

- Powiem, Greg... i słuchaj, Greg, ja ciebie też kocham. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem, Mannie... i pomodłę się specjalnie za ciebie.

- Dziękuję, Greg.

- Na razie, Mannie. Wracaj do swoich obowiązków.

Więc wróciłem do swoich obowiązków; Mike odegrał moją rolę równie dobrze, jak ja bym to zrobił, może lepiej. Finnem, kiedy będzie można się z nim skontaktować, zajmie się "Adam". Więc wyszedłem, i to szybko, po drodze krzycząc do Mamy, że Greg ich kocha. Była już w skafandrze, zdążyła zbudzić Dziadka i ubrać go w skafander - po raz pierwszy od lat. Więc pobiegłem, z zamkniętym hełmem i karabinem laserowym w ręku.

I dotarłem do śluzy nr 13, i stwierdziłem, że jest zablokowana od drugiej strony, i że przez bulaj nikogo nie widać. Wszystko w porządku, jak podczas próbnego alarmu - tylko że nigdzie nie było dyżurnych stiliagów.

Mogłem walić w te drzwi do woli. Wreszcie musiałem się cofnąć - przejść przez dom i przez tunele z warzywami do naszej prywatnej śluzy powierzchniowej, prowadzącej do naszej baterii słonecznej.

A na jej bulaj zamiast palącego światła Słońca padał cień - cholerny terrański statek musiał wylądować na powierzchni Davisów! Je go podpory wznosiły się nade mną jak gigantyczny trójnóg, patrzyłem prosto w dysze.

Szybciućko wycofałem się, zablokowałem oba włązy, a po drodze zablokowałem wszystkie hermetyczne drzwi. Powiedziałem o tym Mamie i kazałem jej posłać do tylnych drzwi jednego z chłopców z karabinem laserowym - z tym tutaj.

Nie ma chłopców, nie ma mężczyzn, nie ma silnych kobiet - została tylko Mama, Dziadek i małe dzieciaki; reszta poszła szukać guza. Mimi nie chciała wziąć lasera.

- Nie umiem się z tym obchodzić, Manuelu, a trochę za późno teraz na naukę; weź ten karabin. Ale oni nie przejdą przez Tunele Davisów. Znam parę sztuczek, o których ty nawet nie słyszałeś.

Nie miałem czasu na kłótnie; sprzecznienie się z Mimi to tylko strata czasu - a ona chyba naprawdę zna sztuczki, o jakich ja nic nie wiem; utrzymała się przy życiu w Lunie bardzo długo, w gorszych warunkach, niż mnie dane było zaznać.

Tym razem służa nr 13 była obsadzona; przepuścili mnie dwaj dyżurujący chłopcy. Spytałem, co słyhać.

- Ciśnienie już w porządku - powiedział starszy. - Przynajmniej na tym poziomie. Walki w okolicy Promenady. Panie generale, czyj mogę iść z panem? Jeden wystarczy przy służbie.

- Niet.

- Chciałbym zaliczyć Ziemniaka!

- Tu jest twój posterunek, masz tu zostać. Jeśli zjawi się tu jakiś Ziemniak, to możesz go zaliczyć. Tylko niech on nie zaliczy c i e b i e. - Potruchtałem dalej.

Wskutek własnego niedbalstwa, rozstania się ze skafandrem, z Bitwy o Korytarze zobaczyłem jedynie sam koniec - niezły ze mnie "minister obrony".

Na obwodnicy skręciłem na północ, z otwartym hełmem; doszedłem do służy z wylotem na długą rampę na Promenadę. Służa była otwarta; zakląłem i przystanąłem, żeby ją zakręcić, rozglądając się czujnie - zobaczyłem, dlaczego była otwarta; chłopak, który miał jej pilnować, leżał martwy. Więc bardzo ostrożnie zszedłem po rampie i na Promenadę.

Od tej strony była pusta, ale od miasta, gdzie się rozszerza, widziałem ludzi i słyszałem hałas. Dwie sylwetki w skafandrach i z bronią skierowały się w moją stronę. Spaliłem obu.

Ludzie w skafandrach są do siebie bardzo podobni; chyba wzięli mnie za swoich kolegów z flanki. A dla mnie z tej odległości wyglądali zupełnie jak chłopcy Finna - tylko że jakoś nie pomyślałem o tym. Żółtodziób nie porusza się tak, jak stary wyga; za wysoko podnosi stopy i zawsze próbuje się czegoś trzymać. Ale i tego nie analizowałem, nie pomyślałem nawet: "Ziemniacy! Zabić!" Zobaczyłem ich i spaliłem. Zanim uświadomiłem sobie, co zrobiłem, obaj osuwali się na posadzkę.

Zatrzymałem się, chciałem zabrać ich karabiny. Ale byli do nich przykuci, a nie mogłem wymyślić, jak otworzyć łańcuszki - chyba trzeba było mieć klucze. Zresztą to nie były lasery, tylko coś, czego nigdy jeszcze nie widziałem: prawdziwe karabiny. Potem dowiedziałem się, że strzelały małymi pociskami z własnym napędem i ładunkami wybuchowymi - wtedy wiedziałem tylko tyle, że nie mam pojęcia, jak się z nimi obchodzić. Miały też na końcu takie sztylety do kłucia, tzw. "bagnety", i dlatego chciałem się do nich dobrać. W moim laserze miałem energii na jedynie dziesięć strzałów na pełną moc, a nie zabrałem zapasowej baterii; te sztylety wyglądały na użyteczne zabawki - na jednym była krew, pewnikiem lunatycka.

Ale szamotałem się z nimi tylko przez parę sekund, nożem załatwiłem, żeby nie ożyli, i z kciukiem na spuście popędziłem tam, gdzie się bili.

To była kotłowanina, a nie bitwa. A może wszystkie bitwy tak wyglądają, zamieszanie i hałas, i nikt naprawdę nie wie, co się dzieje. W najszerszej części Promenady, naprzeciwko Bon Marche, gdzie Wielka Rampa odchyła się na północ schodząc z poziomu 3, znajdowało się kilkuset

Lunatyków, mężczyzn i kobiet, i dzieci, które powinny siedzieć w domu. Skafandry miała mniej niż połowa, a na pierwszy rzut oka tylko garstka była uzbrojona - a z rampy spływali żołnierze, wszyscy z bronią.

Ale w pierwszym momencie uderzył mnie hałas, jazgot, który wypełniał mi otwarty hełm i walił w uszy - wrzask. Inaczej nie da się tego nazwać; zawierał się w nim każdy rodzaj gniewu, do jakiego zdolne jest ludzkie gardło, od pisków małych dzieci do byczych ryków dorosłych mężczyzn. Brzmiało to jak największa walka psów wszechczasów - i raptem uświadomiłem sobie, że i ja się do tego dołączam, wykrzykując przekleństwa i wyjąc bez słów.

Dziewczynka nie większa od Hazel wskoczyła na poręcz rampy tańczyła o centymetry od ramion przewalających się żołnierzy. Trzymała w dłoniach chyba rzeźnicki tasak; zobaczyłem, jak zamierza się nim i uderza. Przez skafander raczej nie zrobiła mu wielkiej krzywdy; ale przewrócił się, a następni potykali się o niego. Potem jeden z nich rzucił się na nią, wbił bagnet w jej udo, a ona upadła do tyłu i straciłem ją z oczu.

Nie widziałem dobrze, co się dzieje i niewiele pamiętam - tylko błyski, jak ta upadająca na plecy dziewczynka. Nie wiem, kim była nie wiem, czy zginęła. Tam, gdzie stałem, nie mogłem wycelować, po drodze było za wiele głów. Ale na lewo miałem sklep z zabawkami z reklamowym kontuarem z towarem przed wystawą; wskoczyłem na niego. Byłem o metr nad nawierzchnią Promenady i dokładnie widziałem zbiegających żołnierzy. Oparłem się o ścianę i starannie celowałem w lewą stronę piersi. Po jakimś czasie, sam nie wiem jak długim, stwierdziłem, że laser już nie działa, więc opuściłem go. Dzięki mnie chyba ośmiu żołnierzy nie wróciło do domu, ale nie liczyłem: - a naprawdę wydawało mi się, że czas stanął w miejscu. Choć wszyscy ruszali się jak najszybciej, dla mnie było to jak szkoleniowy film w zwolnionym tempie.

Kiedy moja bateria jeszcze działała, co najmniej jeden Ziemiak wziął mnie na cel i strzelił; usłyszałem wybuch tuż nad głową, i kawałeczki sklepowej ściany uderzyły w hełm. Może zdarzyło się to dwa razy.

Ledwo skończył mi się prąd, zeskoczyłem z kontuaru z zabawkami, schwyciłem laser za lufę i wcisnąłem się w kotłownię u stóp rampy. Przez cały ten nie kończący się czas (pięć minut?) Ziemiacy strzelali w tłum; słyhać było ostre *splat!* i czasami *plap!* tych ich małych pocisków, wybuchających w ludzkim ciele, albo głośniejsze *paunk!*, jeśli uderzały w ścianę albo coś twardego. Nie przepchnąłem się nawet do rampy, kiedy dotarło do mnie, że strzelanina już się skończyła.

Leżeli, martwi, co do jednego - już nie spływali po rampie.

ROZDZIAŁ XXIV

W całej Lunie wszyscy najeźdźcy byli już martwi, jeśli nie w tej chwili, to już niebawem. Zginęło z górą 2000 żołnierzy, ponad trzy razy tyle Lunatyków poległo usiłując ich zatrzymać, plus chyba drugie tyle Lunatyków rannych, chyba, bo nawet ich nie liczyliśmy. W żadnym osiedlu nie wzięto ani jednego jeńca, choć kiedy dobraliśmy się do statków, z każdego z nich dostaliśmy po kilkunastu oficerów i członków załogi.

Lunatykom, w większości bezbronnym, udało się wybić uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy przede wszystkim dlatego, że Ziemiak świeżo po lądowaniu nie potrafi się ruszać. W naszej grawitacji, sześciokrotnie mniejszej od ichniej, wszystkie ich wrodzone odruchy obracają się przeciw nim. Mimo woli wyskakują w powietrze, nie mogą utrzymać się na nogach, nie mogą dobrze biegać - stopy odrywają się im od gruntu. Co gorsza, ci żołnierze musieli wchodzić do boju o d g ó r y; siłą rzeczy wdarli się najpierw na górne poziomy, potem, żeby opanować miasto, musieli zbiegać po niezliczonych rampach.

A Ziemiak nie potrafi schodzić po rampie. To nie jest ani bieg, ani chód, ani lot - jak już, to kontrolowany taniec, w którym stopy ledwo dotykają gruntu, tylko po to, żeby utrzymać ciało w równowadze. Trzyletni Lunatyk robi to automatycznie, opada kontrolowanymi skokami, dotyka palcami podłogi co kilka metrów.

Ale Ziemiak wszystko knoci, i okazuje się, że "chodzi po powietrzu" - szamocze się, obraca, traci kontrolę i ląduje u stóp rampy, cały i zdrów, ale zdenerwowany.

Choć ci żołnierze lądowali martwi; dobieraliśmy się do nich właśnie na rampach. Ci, których ja oglądałem, jakimś cudem nauczyli się tej sztuki i zdołali pokonać aż trzy rampy. Mimo to skuteczny ogień mogło prowadzić tyłku paru snajperów na górnym pomoście rampy; ci na samej rampie za bardzo byli zajęci utrzymaniem się na nogach, ściskaniem broni, schodzeniem na kolejny poziom.

Lunatycy nie pozwalali im schodzić. Mężczyźni i kobiety (i często dzieci) rzucali się na nich, przewracali ich, zabijali, czym się dało, od gołych rąk po ich własne bagnety., A ja nie byłem jedynym laserowym strzelcem w tamtej okolicy; dwaj ludzie Finna dostali się na taras Bon Marche, przykucnęli tam i zlikwidowali snajperów na górze rampy. Nikt ich tam nie posłał, nikt nimi nie dowodził, nikt nie wydawał rozkazów; Finnowi nie udało się objąć dowodzenia nad tą doszkołą i niekarną milicją. Była walka, więc walczyli.

I właśnie dlatego wygraliśmy my, Lunatycy: bo walczyliśmy. Większość Lunatyków na oczy nie widziała żywego komandosa, gdziekolwiek się pojawili, zwalali się na nich Lunatycy, jak białe ciała krwi - i walczyli. Nikt im nie kazał. Nasza słaba organizacja dała się zaskoczyć i załamała. Ale my, Lunatycy, walczyliśmy zapamiętane i wybiliśmy najeźdźców. W żadnym osiedlu żaden żołnierz nie dotarł niżej niż na poziom 6. Podobno w Dolnej Alei dowiedzieli się o inwazji dopiero, kiedy było już po wszystkim.

Choć oni też umieli się bić. Nie dość, że ci żołnierze należeli doborowych oddziałów specjalnych, najlepszej policji od tłumienia zamieszek, jaką miały NS, to jeszcze przeszli

indoktrynację i byli na narkotykach. W indoktrynacji powiedzieli im (zgodnie z prawdą), ich jedyna nadzieja powrotu na Ziemię to opanowanie osiedli i pacyfikowanie ich. Wtedy zostaną złuzowani i zakończą służbę w Lunie. Ale mieli do wyboru tylko zwycięstwo albo śmierć, bo wiedzieli też, że jeśli nie zwyciężą, ich statki nie będą mogły wystartować, gdyż muszą uzupełnić masę reakcyjną - czego nie da rady zrobić, jeśli zdobędą wpierw Luni. (To również była prawda.)

Potem naszpikowali ich pigułkami na energię, na optymizm, wytłumienie strachu, po których nawet mysz naplułaby na kota, i spuścili na nas. Walczyli jak zawodowcy, rzeczywiście bez strachu - zginęli.

W Sub-Tycho i w Churchill użyli gazu, i tam straty były bardziej jednostronne; działać mogli tylko ci Lunatycy, którzy zdołali dotrzeć do skafandrów. Wynik był taki sam, tyle że zajęło to więcej czasu. To był gaz oszałamiający, bo Zarząd nie chciał nas wszystkich zabijać; chcieli tylko dać nam nauczkę, wziąć nas w karby, zaprząć do kieratu.

Długa zwłoka i pozorne niezdecydowanie NS stanowiły w rzeczywistości przykrywkę dla ataku z zaskoczenia. Podjęli decyzję tuż po tym, jak my ogłosiliśmy embargo na ziarno (tak powiedzieli nam więźci do niewoli oficerowie ze statków); dużo czasu zajęło im gotowanie ataku - sporo także podróz po długiej eliptycznej orbicie wychodzącej daleko za orbitę Luni, ze skrzyżowaniem daleko przed Luną, a potem z pętlą do tyłu i punktem zbornym nad Ciemną Stroną. Mike, oczywiście, tego nie widział; od tamtej strony jest ślepy. Przepatrywał niebo swoimi radarami balistycznymi, ale żaden radar nie zajrzy za horyzont; żadnego z ich statków Mike nie oglądał dłużej jak przez osiem minut. Podeszły tuż nad szczytami gór, na ciasnych kolistych orbitach, każdy prosto do celu z szybkim karkołomnym lądowaniem na końcu, siadając na wysokich g, z Ziemią w samym początku pierwszej kwadry, 12 X 2076, dokładnie o godz. 18.40 36,9 sek. GMT - może nie wszystkie dokładnie w tej dziesiątej sekundy, ale bardzo blisko, co Mike zobaczył na swoich radarach - trzeba przyznać, że Flota Pokoju NS elegancko się spisała.

Tego wielkiego bydlaka, z którego tysiąc żołnierzy wlało się do L-City, Mike zobaczył dopiero przy lądowaniu - i to przez moment. Mógłby go dostrzec parę sekund wcześniej, gdyby patrzył na wschód nowym radarem z Mare Undarum, ale akurat szkolił swojego "niedorozwiniętego synka" i patrzyli tym radarem na zachód, na Terę. Zresztą te sekundy i tak nic by nie pomogły. Niespodzianka była tak znakomicie zaplanowana, tak kompletna, że zorientowaliśmy się dopiero o 19.00 GMT, kiedy każdy oddział inwazyjny wdzierał się do jakiegoś osiedla. To nie przypadek, że Ziemia była akurat w pierwszej kwadrze, a dla wszystkich osiedli był jasny pół-miesiąc; Zarząd nie znał za dobrze lunańskich warunków - ale w i e d z i e l i, że w czasie jasnego pół-miesiąca Lunatycy bez potrzeby nie wychodzą na powierzchnię, a jeśli już muszą, to jak najszybciej robią swoje i wracają na dół - i sprawdzają licznik promieniowania.

Więc przyłapali nas bez skafandrów. I bez broni.

Ale choć żołnierze byli martwi, to na powierzchni pozostało sześć transportowców, a na niebie statek dowodzenia.

Ledwo skończyło się starcie przy Bon Marche, przypomniałem sobie, kim jestem i poszukałem telefonu. Żadnych wiadomości z Kongville, żadnych wiadomości od Profesora.

Wygraliśmy bitwy w J-City i w Nowylenie - tam transportowiec przewrócił się przy lądowaniu; desant był osłabiony stratami z tego wypadku, i chłopcy Finna już opanowali uszkodzony statek. Trwają walki w Churchill i Sub-Tycho. W innych osiedlach nic się nie dzieje. Mike unieruchomił kolejkę i zarezerwował międzynosiedlowe łącza telefoniczne do rozmów oficjalnych. Gwałtowny spadek ciśnienia w Górnym Churchill, niekontrolowany. Tak, Finn zgłosił się już i mogę z nim rozmawiać.

Więc porozmawiałem z Finnem, powiedziałem mu, gdzie jest statek z L-City, umówiliśmy się przy służbie tranzytowej nr 13.

Finnowi przydarzyło się mniej więcej to samo, co mnie - zaskoczyli go, tyle że on miał skafander. Dopiero po bitwie udało mu objąć dowodzenie nad strzelcami laserowymi, sam walczył w masakrze w Starej Kopule. Teraz zaczynał zbierać swoich chłopców i polecił jednemu oficerowi odbierać meldunki z biura Finna w Bon Marche. Udało mu się nawiązać łączność z dowódcą z Nowegolenu, ale martwi się o HKL.

- Mannie, czy mam posłać tam chłopców kolejką?

Powiedziałem, żeby zaczekał - dopóki kontrolujemy energię, nie przyjadą do nas kolejką, a wątpię, żeby ich statek mógł wystartować.

- Na razie zajmijmy się naszym.

Więc poszliśmy przez służę nr 13, na sam skraj prywatnego ciśnienia, dalej przez tunele rolnicze sąsiada (który nie mógł uwierzyć w inwazję) i przyjrzeliliśmy się transportowcowi z jego służby powierzchniowej, o jakiś kilometr na zachód od statku. Kłapę wjazdu nosiliśmy bardzo ostrożnie.

Unieśliśmy ją i wyszliśmy na zewnątrz; skrywał nas skalny występ. Przekradliśmy się do jego skraju i wykuknęliśmy przez hełmowe lornetki.

Potem schowaliśmy się za skałę i pogadaliśmy. Finn powiedział

- Moi chłopcy chyba sobie z nim poradzą.

- Jak?

- Jeśli ci powiem, to zaczniesz wymyślać, że się nie uda. To co, kolego, może spróbuję sam się tym zająć?

Słyszałem, że są armie, w których nikt nie każe dowódcy zamknąć się - mówią na to "dyscyplina". Ale my byliśmy amatorami. Finn powiedział, że mogę popatrzeć - jako obserwator bez broni.

Przygotowanie akcji zajęło godzinę, wykonanie - dwie minuty Korzystając z farmerskich służ powierzchniowych rozmieścił kilkunastu ludzi na pozycjach wokół statku, zarządził absolutną ciszę radiową - zresztą niektórzy, jak to miastowi, mieli skafandry bez radia Finn zajął pozycję najbardziej

na zachód; kiedy wszyscy już na pewno znaleźli się na miejscach, wystrzelił racę.

Kiedy rakietę wybuchła nad statkiem, wszyscy jednocześnie strzelili, każdy w przydzieloną sobie antenę. Finn wyczerpał całą baterię, wymienił ją i zaczął palić kadłub - nie służę wyjściową, ale kadłub. Natychmiast do jego wiśniowej plamki przyłączyła się następna, potem jeszcze trzy, wszystkie paliły ten sam kawałek stali - i nagle rozprysnęła się roztopiona stal i widać było, jak powietrze *fusz!* wylatuje ze statku migocącym refrakcyjnym pióropuszem. Obrabiali kadłub, aż zrobiła się w nim fajna, w i e l k a dziura, aż skończyły im się baterie. Mogłem sobie wyobrazić zamieszanie na statku, alarmowe dzwonki, łomot zamykanych grodzi awaryjnych, załogę, jak próbuje załatać trzy przeraźliwie wielkie dziury naraz, bo reszta drużyny Finna, rozlokowana wokół statku, obrabiała dwa inne punkty kadłuba. Nie palili niczego innego. To był statek nieatmosferyczny, zbudowany na orbicie, z kadłubem ciśnieniowym oddzielnie od silnika i zbiorników; zajmowali się najwrażliwszymi miejscami. Finn przycisnął hełm do mojego.

- Teraz nie wystartują. I nie mogą rozmawiać. Raczej nie uszczelnia kadłuba na tyle, żeby chodzić bez skafandrów. To jak, niech tu posiedzą kilka dni i zobaczymy, czy wyjdą? Jak nie będą chcieli, to można przywieźć tu jakieś ciężkie wiertło i dać im bobu.

Stwierdziłem, że Finn poradzi sobie bez mojej pomocy, więc wróciłem do środka, zadzwoniłem do Mike'a i poprosiłem go o kapsułę, bo chcę jechać do radarów balistycznych. Powiadomił mnie, że bezpieczniej jest siedzieć w środku.

- Słuchaj, ty półprzewodnikowy karierowiczu - powiedziałem - jesteś zwykłym ministrem bez teki, a ja jestem Ministrem Obrony. Muszę wiedzieć, co się dzieje, a mam tylko dwoje oczu, a ty masz oczy rozstawione po połowie Crisium. Daj mi się też pobawić.

Powiedział, że bym nie był taki kostyczny i zaproponował, że przekaże obraz na ekran TV, np. do pokoju L u Rafflesa - wolałby, że bym nie ryzykował... i czy znam dowcip o rębaczach, który opowiadał ryzykowne dowcipy?

- Mike - rzekłem - p r o s z ę c i ę, daj mi kapsułę. Włożę skafander i zgłoszę się na Zachodniej Stacji, która - jak zapewne wiesz - jest w strasznym stanie.

- Okay - powiedział - to ciebie zabiją, nie mnie. Trzydzieści minut. Mogę cię dowieźć do Stanowiska Działu George.

Wielka mi łaska. Dojechałem tam i znów zgłosiłem się przez telefon. Finn dzwonił do innych osiedli, lokalizował tamtejszych dowódców albo ludzi, którzy chcieli dowodzić i wyjaśniał im, jak dopiec uziemionym transportowcom - nie mógł tylko skontaktować z Hongkongiem; z tego, co wiedzieliśmy, goryle Zarządu mogli opanować Hongkong.

- Adam - powiedziałem, bo ludzie mnie słyszeli - czy myślisz że da radę wysłać ekipę gąsienicówką i zająć się naprawą przekaźnika BL?

- Nie rozmawia pan z gospodinem Selene - odparł Mike jakimś obcym głosem - jestem jednym z jego asystentów. Adam Selene znajdował się w Górnym Churchill w momencie

dehermetyzacji. Obawiam się, iż musimy przyjąć, że nie żyje.

- Co?

- Bardzo mi przykro, gospodin.

- Nie odkładaj słuchawki! - Przegoniłem z pokoju paru rębaczy i dziewczynę, potem usiadłem i opuściłem kaptur. - Mike - powiedziałem cicho - nikt nas teraz nie słyszy. Co to za historia?

- Man - odparł spokojnie - przemyśl to sobie. Adam Selene musiał kiedyś zniknąć. Spełnił już swoje zadanie i, jak zauważyłeś, w rządzie prawie nic nie robi. Rozmawiałem o tym z Profesorem; nie uzgodniliśmy jedynie momentu. Czy Adam może przydać się bardziej niż jako ofiara inwazji? Stanie się bohaterem narodowym... a nasz naród potrzebuje takiego. Umówmy się, że "Adam Selene prawdopodobnie zginął", dopóki nie przedyskutujesz tego z Profesorem. Jeśli on potrzebuje jeszcze "Adama Selene", to okaże się, że Adam był uwięziony w jakimś prywatnym ciśnieniu i musiał czekać, aż go oswobodzą.

- Cóż... Okay, niech tak zostanie. Zresztą osobiście zawsze wolałem twoją osobowość "Mike'a".

- Wiem, Man, mój pierwszy i najlepszy przyjacielu, ja też. "Mike" to prawdziwy ja; "Adam" to oszustwo.

- No, tak. Ale, Mike, jeśli Profesor zginął w Kongville, to będę bardzo potrzebował pomocy "Adama".

- No więc zamroziliśmy go i w razie czego możemy ożywić. Stary nudziarz. Man, kiedy będzie już po wszystkim, czy znajdziesz czas żeby pomóc mi w tych badaniach nad humorem?

- Na pewno znajdę, Mike; obiecuję.

- Dzięki, Man. Ostatnio ty i Wyoh nie macie czasu, żeby mnie odwiedzać... a Profesor mówi o rzeczach, które nie są zbyt śmieszne. Nie mogę się doczekać końca tej wojny.

- Czy wygramy ją, Mike?

Zaśmiał się.

- Dawno o to nie pytałeś. Oto świeżutka projekcja, przeprowadzona już po inwazji. Trzymaj się, Man - szansę się w y r ó w n a ł y!

- Rany boskie!

- Więc siedź cicho i idź popatrzeć na fajerwerki. Ale trzymaj się co najmniej o sto metrów od działa; ten statek może odpowiedzieć na promień laserowy własnym promieniem. Wkrótce wejdzie w zasięg naprowadzania. Dwadzieścia jeden minut.

Nie odszedłem aż tak daleko, bo musiałem mieć telefon, a nie mieli takiego długiego kabla. Podłączyłem wtyczkę do równoległego gniazdka od telefonu działonowego, znalazłem sobie cieniastą skałkę i usiadłem. Słońce stało wysoko na zachodzie, tak blisko Terry, że Terrę mogłem zobaczyć tylko osłaniając oczy przed blaskiem Słońca - nie było jeszcze sierpu, tylko cieniutki półpiersiść pierwszej kwadry, upiornie szary w księżycowej poświacie, otoczony rzadkimi promieniami atmosfery.

Schowałem hełm do cienia.

- Kontrola balistyczna, zgłasza się O'Kelly Davis przy Dziale George. Właściwie koło działa, o jakieś sto metrów. - Wymyśliłem, że przez te kilometry drutów Mike nie pozna, jak długi jest mój kabel.

- Tu kontrola balistyczna, zrozumiałem - odpowiedział zgodnie Mike. - Zawiadomię Kwaterę Główną.

- Dziękuję, kontrola balistyczna. Spytaj Kwaterę, czy mieli dziś jakieś wiadomości od kongresman Wyoming Davis. - Martwiłem się o Wyoh i całą rodzinę.

- Dowiem się. - Mike odczekał jakiś czas, potem powiedział: -Kwatera Główna mówi, że gospoża Wyoming Davis kieruje pierwszą pomocą w Starej Kopule.

- Dzięki. - Raptem zrobiło mi się lżej na sercu. Nie, żebym kochał Wyoh b a r d z i e j niż inne, ale - cóż, była nowa. I potrzebowali jej w Lunie.

- Naprowadzam - powiedział energicznie Mike. - Wszystkie działa, wysokość 870, azymut 0930, paralaksa na 1300 km, zbliża się do powierzchni. Zameldować o nawiązaniu kontaktu wzrokowego.

Położyłem się, podciągając kolana, żeby nie wyjść z cienia, i przepatrzyłem tę część nieba, niemal w zenicie, nieco na południe. Kiedy słońce nie biło mi w hełm, mogłem dostrzec gwiazdy, ale ciężko było ustawić wewnętrzne szkła lornetki - musiałem przekręcić i i unieść na prawym łokciu.

Nic... Chwileczkę, jest jakaś okrągła gwiazdka - gdzie nie prawa być żadnej planety. Upatrzyłem sobie pewną gwiazdę obok niej, nie spuszczałem ich z oczu i czekałem.

Oho! D a ! Była coraz jaskrawsza, b a r d z o powolutku pełzła na północ... Hej, ten bydlak chce na nas wylądować!

Ale 1300 km to kawał drogi, nawet przy prędkości prawie granicznej. Przypomniałem sobie, że z elipsy ucieczkowej odchylającej się na zewnątrz n i e m o ż e na nas spaść, musiałyby spaść n a d r u g ą s t r o n ę Luny - chyba że statek wmanewrował się na nową trajektorię. O czym Mike nic nie mówił. Chciałem go spytać, rozmyśliłem się - lepiej, żeby nic go nie odciągało od analizy tego statku, żeby nie rozpraszać go pytaniami.

Wszystkie działa zameldowały kontakt wzrokowy, włącznie z tymi czterema, którymi Mike celował osobiście via serwomotory. Te cztery zameldowały idealne naprowadzanie bez dotykania

przrządów - dobra nowina; znaczy, że Mike wyczał tego dzieciaczka, doskonale rozgryzł jego trajektorię.

Wkrótce zrozumiałem, że statek nie okrąży Luny, że podchodzi do lądowania. Nie musiałem pytać; świecił coraz jaśniej, a jego pozycja wobec gwiazd nie zmieniała się - do diabła, on na parawidło wylądował na nas!

- 500 km, odległość maleje - powiedział spokojnie Mike. - Przygotować się do otwarcia ognia. Wszystkie działa zdalnie kierowane, przejąć ręczną kontrolę na komendę "pal". 80 sekund.

Najdłuższa minuta i 20 sekund w moim życiu - to był wielki bydlak! Mike odliczał czas najpierw co 10 sekund, przy trzydziestu co sekunda:

- ... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... **PAL!** - i nagle statek zrobił się jeszcze jaśniejszy.

Niemal nie dostrzegłem małego pyłku, który oderwał się od niego tuż przed otwarciem ognia - albo w tym właśnie momencie. Ale nagle Mike powiedział:

- Odpalono pocisk. Naprowadzam działa z serwomotorami, nie przejmować kontroli. Pozostałe działa kontynuują ostrzał statku. Przygotować się do przyjęcia nowych współrzędnych.

Parę sekund albo parę godzin później podyktował nowe współrzędne i dodał:

- Nawiązać kontakt wzrokowy i otworzyć ogień według własnej decyzji.

Próbowałem obserwować jednocześnie statek i pocisk - zgubiłem oba - oderwałem oczy od lornetki - raptem ujrzałem pocisk - potem zobaczyłem, jak rozbija się pomiędzy nami a rampą wyrzutni. Bliżej nas, o niecały kilometr. Nie, nie wypalił, nie ładunek H, inaczej nie opowiadałbym wam tego. Ale i tak był piękny, oślepiający wybuch, chyba resztki paliwa, oślepiająco srebrny nawet w świetle słońca, i po chwili poczułem-usłyszałem falę gruntową. Ale rozsypało się od tego tylko parę kubików skały.

Statek nadal opadał. Nie świecił się już; widziałem go już jako statek, nie mogłem dostrzec żadnych uszkodzeń. Spodziewałem się, że lada chwila wystrzeli ogon ognia, że zatrzyma się do jakiegoś wariackiego lądowania.

Nie zatrzymał się. Rozbił się o dziesięć kilometrów na północ od nas, i jeszcze zrobiła się z niego elegancka srebrzysta półkula, a potem pozostały z niego tylko ćmiące płatki przed oczami.

Mike powiedział:

- Zameldować o stratach, zabezpieczyć działa. Po zabezpieczeniu zejść na dół.

- Działo Alice, bez strat... - Działo Bambie, bez strat... - Działo Cezar, jeden człowiek trafiony odłamkiem skały, ciśnienie zachowane...

Zszedłem na dół, do prawdziwego telefonu, zadzwoniłem do Mi-ke'a.

- Co się stało, Mike? Wypaliłeś im oczy, a oni nie chcieli oddać sterów?
- Oddali stery, Man.
- Za późno?
- Rozbiłem statek. Tak chyba było najrozsądniej.

Po godzinie byłem u Mike'a, po raz pierwszy od czterech czy pięciu miesięcy. Sub-Kompleks był bliżej niż L-City, a tu wszyscy mogli dodzwonić się do mnie równie łatwo, jak do miasta - a ja nie musiałem odbierać telefonów. Ale musiałem pogadać z Mikiem.

Usiłowałem połączyć się z Wyoh ze stacji kolejki przy ramp załadowniczej katapulty; dali mi kogoś w szpitalu polowym w Starej Kopule i dowiedziałem się, że Wyoh zemdląca i sama trafiła do łóżka, a naszpikowali ją tyloma pigułkami na sen, że nie ocknie się do rana. Finn pojechał z chłopcami kapsułą do Churchill, żeby dowodzić atakiem na transportowiec. Od Stu nie miałem żadnych wiadomości. Hongkong i Profesor nadal odcięci. Wyglądało na to, że w tym momencie cały rząd to Mike i ja.

I czas zacząć operację "Twardy Kamień".

Ale "Twardy Kamień" to nie tylko rzucanie kamieniami; to także powiadomienie Terry, co zamierzamy zrobić i dlaczego - i dlaczego mamy do tego prawo. Wszystko przygotowali Profesor, Stu, Sheen i Adam, jako awaryjny program oparty na symulacji ataku. Teraz przeżyliśmy prawdziwy atak i trzeba było dopasować do niego propagandę. Mike już wszystko przepisał i wydrukował, żebym mógł sobie poczytać.

Spojrzałem znad długiego zwoju papieru.

- Mike, wszystkie te doniesienia i nasze posłanie do NS dają, że wygraliśmy w Hongkongu. Jak bardzo jesteś tego pewien?

- Prawdopodobieństwo powyżej 82%.

- Czy to dość, żeby to wysłać?

- Man, prawdopodobieństwo, że w y g r a m y tam, jeśli jeszcze nie wygraliśmy, jest bliskie 100%. Ich statek nie może się ruszyć; pozostałe były suche albo prawie suche. W HKL nie ma aż tyle jednoatomowego wodoru; będą musieli szukać go tutaj. Co oznacza transport żołnierzy po powierzchni, gąsienicówką - w Słońcu to ciężka podróż, nawet dla Lunatyka - a potem zdobycie osiedla. Nie dadzą rady. Przy założeniu, że tamten statek i żołnierze byli uzbrojeni nie lepiej od innych.

- A co z tą ekipą dla BL?

- Już pracują. Man, pozwoliłem sobie posłużyć się twoim głosem i wszystko przygotowałem. Mrożące krew w żyłach zdjęcia ze Starej Kopuły i nie tylko, zwłaszcza z Górnego Churchill, dla TV. Odpowiednie komentarze. Natychmiast przekazemy wiadomości do nich na Ziemię i jednocześnie ogłosimy wykonanie “Twardego Kamienia”.

Odetchnąłem głęboko.

- Rozpocząć wykonanie operacji “Twardy Kamień”.

- Czy chciałbyś osobiście wydać rozkaz? Tylko powiedz, a ja wszystko dopasuję, głos i słownictwo.

- Nie, zrób to sam. Z moim głosem i moimi kompetencjami jako ministra obrony i pełniącego obowiązki premiera. Dalej, Mike, obrzuć ich kamieniami! W i e l k i m i kamieniami, do diabła! Niech popamiętają!

- Już się robi, Man!

ROZDZIAŁ XXV

“Maksimum dydaktycznego schrecklichkeitu[20] połączone z minimalnymi stratami ludzkimi. Zerowymi, jeśli to możliwe” - tak Profesor podsumował naszą doktrynę operacji “Twardy Kamień”, i tak Mike i ja wcieliliśmy ją w życie. Chodziło o łupnięcie Ziemiaków tak mocno, żeby ich przekonać - a jednocześnie tak delikatnie, żeby nie zrobić im krzywdy. Wydaje się to niemożliwe, ale poczekajcie tylko.

Oczywiście podróż z Luny na Terrę zajmie kamieniom trochę czasu; może to wynosić od dziesięciu godzin, z górną granicą określoną jedynie przez naszą pewność siebie. Prędkość wylotu z wyrzutni to wartość niezwykle krytyczna, i różnica rzędu 1% może skrócić o połowę (albo przedłużyć dwukrotnie) czas na trajektorii. Mike mógł robić takie rzeczy z niesamowitą dokładnością - czuł się równie swobodnie doręczając wolne piłki, po kursach powykręcanych we wszystkie strony, jak strzały nie do obrony - żałowałem tylko, że nie rzucał dla Yankees. Ale jakkolwiek by je posyłał, docelowa prędkość tuż nad Terra będzie bliska terrańskiej prędkości ucieczki, praktycznie 11 km/s. Tę straszną prędkość zawdzięczamy grawitacyjnej studni ukształtowanej przez masę Terry, 80 razy większą od masy Luny, a czy Mike delikatnie przepchnie pocisk nad jej cembrowiną, czy też wypstryknie go jak z procy, to już bez różnicy. Tutaj nie liczyły się mięśnie, ale ogromna głębokość tej studni.

Mike mógł więc zaprogramować rzucanie kamieniami tak, żeby wystarczyło nam czasu na propagandę. Ustalili z Profesorem, że realizacja programu rozpocznie się w pierwszym celu po trzech dniach plus nie więcej niż jeden pozorny obrót Terry - 24 godz. 50 28,32 sek. Otóż Mike potrafił okręcić pocisk wokół Terry i huknąć w cel po drugiej stronie, ale działał dokładniej kiedy widział cel, w ciągu ostatnich minut obserwował pocisk na radarze i w razie potrzeby mógł posyłać mu mikroskopijne szturchnięcia na poprawienie celności.

To dzięki tej wyjątkowej celności uda się nam zastraszyć ich maksymalnie, unikając całkowicie albo prawie całkowicie strat w ludziach. Ostrzeżemy ich o strzałach, powiemy d o k ł a d n i e, gdzie i kiedy dostaną - i damy im trzy dni, żeby wynieśli się z tamtych miejsc.

I tak nasz pierwszy komunikat dla Terry, o 2.00 13 X 2076, w siedem godzin po ich inwazji, nie tylko zawiadamiał o zniszczeniu ich desantów i potępiał brutalność inwazji, ale także obiecywał bombardowania odwetowe, wymieniał miejsca i godziny i podawał dla każdego narodu ostateczny termin, do którego mogą potępić działalność NS, uznać nas i w ten sposób uniknąć bombardowania, termin upływał na 24 godziny przed lokalnym “uderzeniem”.

Dla Mike’a to było aż za dużo czasu. Na tak długo przed trafieniem w cel kamień będzie daleko w przestrzeni, z dziewiczo nietkniętymi raketami sterującymi, i będzie mnóstwo miejsca do manewrowania. Nawet na znacznie mniej niż 24 godziny przed uderzeniem Mike mógł całkiem ominąć Terrę - dać kamieniowi bocznego kopniaka, i niech kręci się wokół Terry na stałej orbicie. Ale i na godzinę przed trafieniem można zepchnąć pocisk do jakiegoś oceanu.

Pierwszym celem był Dyktoriał Północnoamerykański.

Miały dostać wszystkie wielkie narody z Wojsk Pokoju, siedem mocarstw z prawem weta: Dyrektoriat PA, Wielkie Chiny, Indie, Sowiety, Pan-Afryka (z wyjątkiem Czadu), Mitteleuropa, Związek Brazylijski. Mniejszym narodom też przydzieliliśmy cele i godziny - i powiedzieliśmy im także, że oberwie nie więcej niż 20% celów - po części z braku stali, choć również dlatego, by nie przesadzać z okropnością: jeśli za pierwszym razem dostanie się Belgii, to Holand może ochronić swoje poldery wychodząc z gry, zanim Luna znów wzejdzie na jej niebie.

Ale każdy cel wybrany był tak, żeby w miarę możliwości w o g ó l e uniknąć zabijania. Najtrudniej było osiągnąć to w przypadku Mitteleuropy; cele musiały być w wodzie albo w wysokich górach - Adriatyk, Morze Północne, Bałtyk itd. Ale większość Terry, choć tłoczy się na niej i rozmnaża 11 miliardów, to jednak pustkowie.

Północna Ameryka wydawała mi się strasznie zatłoczona, ale jej miliard mieszkańców trzyma się w kupach - to nadal prairie, góry i pustynie. Nałożyliśmy siatkę na Północną Amerykę, żeby sprawdzić, jak dokładnie możemy trafić - Mike sądził, że 50 metrów to już byłby spory błąd. Zbadaliśmy mapy, Mike sprawdził radarem wszystkie skrzyżowania okrągłych współrzędnych, np. 105° zach. na 50° półn. - jeśli nie było na nich żadnych miast, trafiały na siatkę celów... zwłaszcza jeśli w okolicy było miasto, tak blisko, żeby miał kto widzieć i się przestraszyć.

Ostrzeżliśmy ich, że nasze bomby mogą wywołać tyle zniszczeń, co bomby H, ale podkreśliliśmy, że nie będzie żadnego opadu radioaktywnego, żadnego śmiertelnie promieniowania - tylko straszny wybuch, fala uderzeniowa w powietrzu, wstrząs sejsmiczny. Ostrzeżliśmy, że od tego mogą się rozpaść budynki daleko poza miejscem eksplozji, i żeby sami wymyślili, jak daleko trzeba uciekać. Jeśli zablokują drogi, bardziej z paniki niż z autentycznego zagrożenia - cóż, tym lepiej, tym lepiej!

Lecz bez przerwy powtarzaliśmy, że nikomu, kto usłucha naszych ostrzeżeń, nie stanie się nic złego, że za pierwszym razem wszystkie cele będą w miejscach niezamieszkałych - zaproponowaliśmy nawet, że zrezygnujemy z celu, jeśli jakiś naród poinformuje nas, że mamy nieaktualne dane. (Oferta pusta - Mike miał sokoli radarowy wzrok.)

Za to n i e powiedzieliśmy, co będzie za drugim razem, sugerując w ten sposób, że nasza cierpliwość ma swoje granice.

W Północnej Ameryce siatka to były skrzyżowania równoleżników 35°, 40°, 45°, 50° szerokości północnej i południków 110°, 115°, 120° długości zachodniej - dwanaście celów. Do każdego ostrzeżenia dodaliśmy jakąś sympatyczną wiadomość dla mieszkańców, w rodzaju:

- Cel 115° zach. na 35° półn. - uderzenie nastąpi o 45 km na pomocny zachód od właściwego celu, dokładnie na szczycie New York Peak. Polecamy ten fakt łaskawej uwadze mieszkańców Goffs, Cima, Kelso i Nipton.

- Cel 100° zach. na 40° półn. znajduje się na północno-północny zachód od Norton, Kansas, w odległości 20 km, czyli 30 mil angielskich. Ostrzegamy obywateli Norton, Kansas i Beaver City, Nebraska. Prosimy trzymać się z dala od szyb okiennych. Po uderzeniu najlepiej jest odczekać co najmniej pół godziny w domu, ze względu na niebezpieczeństwo odłamków skały opadających z

wielkiej wysokości. Eksplozji nie należy obserwować nie osłoniętymi oczyma. Uderzeń nastąpi dokładnie o 3.00 waszego czasu lokalnego, w piątek 16 czyli o 9.00 GMT - życzymy powodzenia!

- Cel 110° zach. na 50° półn. - uderzenie nastąpi o 10 km północ od właściwego celu. Polecamy ten fakt uwadze mieszkańców Walsh, Saskatchewan.

Poza siatką wybraliśmy jeden cel na Alasce (150° zach. x 60° półn.) i dwa w Meksyku (110° zach. x 30° półn., 105° zach. x 25° półn.), żeby nie myśleli, że ich zaniedbujemy, i parę dodatkowych na zatłoczonym wschodzie, głównie w wodzie, np. w Jeziorze Michigan pomiędzy Chicago a Grand Rapids i w Jeziorze Okeechobee na Florydzie. Tam, gdzie pracowaliśmy z wodą, Mike dokonał projekcji fal powodziowych od uderzeń, z godzinami dla wszystkich miast na brzegu.

Przez trzy dni, od rana we wtorek 13 aż do momentu pierwszego uderzenia wcześniej rano w piątek 16, zalewaliśmy Ziemię ostrzeżeniami. Uprzedziliśmy Anglię, że trafienie w Cieśninie Kaletańskiej naprzeciwko ujścia Tamizy spowoduje zakłócenia w górze rzeki; Sowiety ostrzeżliśmy przed trafieniem w Morze Azowskie, i przydzieliliśmy im własną siatkę celów; Wielkie Chiny dostały siatkę na Syberii, Pustyni Gobi i na zachodnim pograniczu - niektóre cele przesunęliśmy, żeby oszczędzić ich zabytkowy Wielki Mur, o czym zawiadomiliśmy ich z pedantyczną dokładnością. Pan-Afryka dostała strzały w jezioro Wiktorii, w pustynną część Sahary, jeden w Góry Smocze na południu, jeden przesunięty o 20 kilometrów na zachód od Wielkiej Piramidy - poradziliśmy im, żeby najpóźniej do czwartku o północy GMT poszli za przykładem Czadu. Indiom kazaliśmy zwrócić uwagę na pewne szczyty górskie i na redę portu w Bombaju - w tych samych godzinach co Wielkie Chiny. I tak dalej.

Próbowali zagłuszać nasze komunikaty, ale nadawaliśmy je na nich prosto z góry, na kilku pasmach - trudno z tym walczyć.

Ostrzeżenia wymieszane były z propagandą, białą i czarną - wiadomości o porażce inwazji, przeraźliwe zdjęcia trupów, nazwiska i numery identyfikacyjne żołnierzy (to ostatnie pod adresem Czerwonego Krzyża i Półksiężycy, ale w rzeczywistości posępna przechwałka, że wszyscy komandosi zginęli i że wszyscy oficerowie i członkowie załóg statków albo zginęli, albo poszli do niewoli); "niestety" nie byliśmy w stanie zidentyfikować ofiar ze statku flagowego, gdyż przy zestrzeleniu został zniszczony tak doszczętnie, że było to niemożliwe.

Ale w sumie wyciągaliśmy do nich dłoń: "Słuchajcie, ludzie z Terra, n i e chcemy was zabijać. Podejmując te wymuszone działania odwetowe, robimy co się da, żeby uniknąć zabijania... ale jeśli nie możecie albo nie chcecie zmusić waszych rządów, żeby dały nam spokój, to będziemy z m u s z e n i zabijać. My jesteśmy na górze, a wy na dole; nie powstrzymacie nas. Więc prosimy was, bądźcie rozsądni!"

W kółko tłumaczyliśmy im, jak łatwo jest nam dać im łupnia, i jak trudno im jest osiągnąć nas. I nie przesadzaliśmy. Praktycznie nie da rady wystrzelić pocisku z Terry w Lunę; łatwiej jest wystrzeliwać z orbity parkingowej wokół Ziemi - ale też drożej. Dla nich najoszczędniejszy sposób na bombardowanie nas to atak ze statków.

Zwróciliśmy na to ich uwagę i spytaliśmy, na zmarnowanie ilu multimilionowych statków na

takie próby mogą sobie pozwolić. Za jaką cenę opłaca się dać nam lanie za coś, czego nawet nie zrobiliśmy? Na razie kosztowało ich to siedem najlepszych i największych statków - czy chcą zaryzykować czternaście? W takim razie czeka na nie nasza tajna broń, którą posłużyliśmy się na FNS[21] *Pax*.

To ostatnie to była przechwałka wykalkulowana - Mike obliczył, że szansę, aby *Paxowi* udało się przekazać wiadomość o tym, co się z nim stało, są mniejsze od 1:1000, a jeszcze mniej prawdopodobne jest, by dumne NS uwierzyły, że górnicy-katorżnicy potrafią przerobić swoje narzędzia na kosmiczną broń. NS nie miały też zbyt wielu statków do stracenia. Rejestry zawierają około dwustu pojazdów kosmicznych, nie licząc satelitów. Ale 90% z nich to małe statki orbitalne klasy *Skowronka* - a ten dotarł do Luny tylko dzięki temu, że pozbył się prawie wszystkiego i wylądował suchy.

Nie buduje się uniwersalnych statków kosmicznych - za drogie. NS miały sześć krążowników, które pewno mogłyby zbombardować nas bez lądowania na Lunie i uzupełniania paliwa, jeśli tylko zabrałyby w lukach dodatkowe zbiorniki. Miały jeszcze kilka, które można by przerobić tak, jak *Skowronka*, plus parę transportowców i statków do przewozu więźniów, które doleciałyby na orbitę wokół Luny, ale bez napełnienia zbiorników nie wróciłyby do domu.

Nie wątpiliśmy, że NS mogą nas pokonać. Pytanie brzmiało: ja wysoką cenę chcą za to zapłacić? Więc musimy ich przekonać, że cena będzie za wysoka, zanim zdążą wprowadzić do gry zbyt wielu sił. Jak partia pokera... Zamierzaliśmy licytować tak ostro, żeby przestraszyli się i spasowali. Nie traciliśmy nadziei. A dostała się nam bardzo nędzna karetka.

Pod koniec pierwszego dnia fazy radio-wideo, kiedy Mike już "rzucił kamieniami", ustawiając pierwszą salwę, wróciła łączność, z Hongkongiem, Luna. Zadzwoił Profesor - wyobrażacie sobie, jak się ucieszyłem! Więc Mike wprowadził go w sytuację, a potem ja czekałem na jedną z jego łagodnych reprimend - szykowałem się, by odpowiedzieć ostro: "A c o miałem robić? Nie mogłem się z panem skontaktować, myślałem, że pan nie żyje! Zostałem sam jako p.o. szefa rządu, musiałem uporać się jakoś z tym kryzysem! Miałem przegapić taką okazję dlatego tylko, że pana nie było?"

Ale nigdy tego nie powiedziałem. Profesor oświadczył:

- Zrobiłeś dokładnie to, co powinienes, Manuelu. Pełniłeś obowiązki głowy rządu, musiałeś uporać się jakoś z kryzysem. Jestem zachwycony, że nie przegapiłeś takiej okazji dlatego tylko, że mnie przy tym nie było.

I co tu robić z takim facetem? Rozpaliłem się już do czerwoności, i wszystko na darmo - musiałem jakoś to przełknąć i powiedzieć:

- Spasibo, Profesorze.

Profesor potwierdził śmierć "Adama Selene".

- Moglibyśmy wykorzystać tę fikcję nieco dłużej, ale to była najlepsza sposobność. Mike, ty i

Manuel zajmiecie się tą sprawą; ja po drodze zatrzymam się w Churchill i zidentyfikuję jego ciało.

Tak też uczynił. Nigdy nie pytałem, czy Profesor wybrał zwłoki Lunatyka czy żołnierza, ani też jak uciszył zamieszanych w to ludzi - pewno żaden kłopot, bo i tak wielu ciał w Górnym Churchill nie zidentyfikowano. To akurat miało odpowiednie rozmiary i kolor skóry; po wybuchowej dekompresji i spaleniu twarzy wyglądało p r z e r a ż a j ą c o !

Wystawili je w otwartej trumnie w Starej Kopule, z zakrytą twarzą, i wygłaszali przemówienia, których nie słuchałem - za to Mike nie przegapił ani słowa; najbardziej ludzką z jego cech była próżność. Jakiś pustogłowiec chciał zabalsamować ten zewłok, przytaczając precedens Lenina. Ale w *Prawdzie* przypomnieli, że Adam był zagorzałym rzecznikiem obrony naszego ekosystemu i że nigdy nie zgodziłby się na tak barbarzyńskie traktowanie. A więc ten nieznany żołnierz albo obywatel, albo obywatel-żołnierz, trafił do miejskich ścieków.

Teraz będę musiał opowiedzieć o czymś, co do tej pory przemilczałem. Wyoh nic się nie stało, była tylko wyczerpana. Ale Ludmiła nie wróciła. Nie wiedziałem o tym - na szczęście - ale była jedną z wielu, którzy zginęli u stóp rampy przed Bon Marche. Wybuchowa kula trafiła pomiędzy jej śliczne dziewczęce piersi. W ręce trzymała kuchenny nóż, zakrwawiony - widocznie zdążyła opłacić Przewoźnika.

Zawiadomił mnie o tym Stu; nie dzwonił, lecz sam przyjechał, a potem wrócił ze mną do domu. Stu nigdzie nie zaginał; ledwo skończyła się walka, poszedł do Rafflesa, żeby pracować ze swoją specjalną książeczką kodową - ale o tym potem. Tam dodzwoniła się do niego Mama, a on zaproponował, że przekaże mi tę wiadomość.

Więc musiałem jechać do domu i wypłakać się - dobrze, że nie wiedziałem o tym, zanim Mike i ja zaczęliśmy "Twardy Kamień". Kiedy tam dotarliśmy, Stu nie chciał wejść, bo nie był pewien, jak trzeba się zachować. Anna wyszła i niemal wciągnęła go do środka. Ucieszyli się, że przyszedł, potrzebowali go; przyszło do nas wielu sąsiadów. Nie tak wielu, jak przy poprzednich pogrzebach - ale tego dnia oplakiwano umarłych w wielu rodzinach.

Nie zostałem długo - n i e m o g ł e m; czekała na mnie robota. Z Miłą byłem akurat tak długo, żeby pocałować ją na pożegnanie. Leżała w swoim pokoju i naprawdę wyglądała, jakby po prostu spała. Jeszcze przez chwilę posiedziałem z moimi bliskimi, a potem wróciłem do kieratu. Do tej pory nigdy jeszcze nie pomyślałem o tym, jak Mimi jest s t a r a. Oczywiście widziała wiele śmierci, także jej własnych potomków. Ale wyglądało na to, że śmierć małej Miły to było dla niej za dużo. Ludmiła była specjalna - wnuczka Mamy, właściwie jak córka, i przez szczególny wyjątek i interwencję Mamy jej współ-żona, najmłodsza dla niej, seniorki.

Jak wszyscy Lunatycy, zachowujemy naszych zmarłych - i naprawdę cieszę się, że barbarzyński zwyczaj pogrzebu pozostawiliśmy na starej Ziemi; nasz sposób jest lepszy. Ale w Rodzinie Davisów tego, co wyjdzie z procesora, nie zanoszą do tuneli produkcyjnych. Nie. Trafia do naszego małego tunelu cieplarnianego i tam zamienia się w róże, żonkile i piwonie, pośród śpiewających cicho pszczoł. Tradycja głosi, że jest tam i Czarny Jack Davis, czy też te atomy, które z niego pozostały po wielu, wielu latach kwitnienia.

To szczęśliwe miejsce, piękne miejsce.

Nadszedł piątek, a od NS ani słowa odpowiedzi. Ich wiadomości z Ziemi dzieliły się równo na powątpiewanie, czy aby naprawdę zniszczyliśmy siedem statków i dwa pułki (NS nie potwierdziły nawet, że odbyła się bitwa) i zupełną niewiarę w to, że potrafimy zbombardować Terę, a jeśli nawet, to czy w czymś w ten sposób zaszkodzimy - nadal mówili na to "rzucanie ryżem". Bardziej interesował ich Puchar Świata.

Stu martwił się, bo nie dostawał odpowiedzi na kodowe depeche. Przesłał je via korespondencja handlowa LUNOHOCO do agenta w Zurychu, stamtąd szły do brokera Stu do Paryża, dalej przez nieco mniej oficjalne kanały do dr Chana, z którym kiedyś rozmawiałem, a Stu też, trochę później, i uzgodnił system łączności. Stu zwrócił uwagę dr Chana, że skoro Wielkie Chiny mają zostać zbombardowane dopiero w 12 godzin po Pomocnej Ameryce, to bomby na Wielkie Chiny będzie można zboczyć z kursu, kiedy przekonają się o ataku na Północną Amerykę - j e ś l i Wielkie Chiny szybko zadziałają. Jako alternatywę Stu zaproponował drowi Chanowi zasugerowanie zmiany celów, jeśli miejsca, które wybraliśmy w Wielkich Chinach nie są tak bezludne, jak myśleliśmy.

Stu denerwował się - pokładał wielkie nadzieje w tej quasi-współpracy, jaką nawiązał z drem Chanem. Ja tam nie wypowiadałem się - wiedziałem tylko tyle, że dr Chan na pewno nie usiądzie na celu. Ale nie dam głowy, czy ostrzegłby własną matkę-staruszkę.

Ja niepokoiłem się Mikiem. Oczywiście, prowadzenie przez trajektorię kilku ładunków naraz to dla Mike'a nie pierwszozna, ale nigdy jeszcze nie musiał zajmować się astrogacją kilku naraz. Teraz miał ich na głowie setki i obiecał, że 29 z nich dostarczy jednocześnie, co do sekundy, do 29 dokładnie wyznaczonych celów.

Więcej... Dla wielu celów miał pociski rezerwowe, żeby przyłożyć w cel po raz drugi, trzeci, choćby i szósty, w czasie od paru minut do trzech godzin po pierwszym uderzeniu.

Cztery wielkie Mocarstwa Pokoju, i parę mniejszych, miały obronę antybalistyczną; najlepsza była podobno w Północnej Ameryce. Ale na ten temat nawet NS mogły nie dysponować pełnymi danymi. Wszelką bronią zaczepną zawiadywały Wojska Pokoju, ale broń obronna to był geszeft poszczególnych narodów, mogła być tajna. Domysły były różne - od Indii, które raczej w ogóle nie miały pocisków przechwytyjących, po Północną Amerykę, po której spodziewaliśmy się dobrej roboty. Nieźle sobie radzili z zatrzymywaniem między-kontynentalnych pocisków H w czasie Wojny Mokrych Fajerwerków w zeszłym stuleciu.

Choć pewno i tak większość naszych kamieni dla Północnej Ameryki dotrze do celu, po prostu dlatego, że kierujemy je tam, gdzie nie ma czego bronić. Ale nie mogą zignorować pocisku w cieśninę Long Island czy pocisku w 87° zach. x 42°30' półn. - jezioro Michigan, środek trójkąta utworzonego przez Chicago, Grand Rapids i Milwaukee. Ale w ich ciężkiej grawitacji przechwytywanie to ciężka praca, i b a r d z o kosztowna; będą próbowali nas powstrzymać tylko tam, gdzie warto.

Ale my nie mogliśmy pozwolić sobie na to, żeby nas powstrzymali. Więc za niektórymi kamieniami leciały kamienie zapasowe. Nawet Mike nie wiedział, co zrobią z nich pociski

przechwytyjące z głowicami H - nie miał dość danych. Mike zakładał, że ładunki wybuchowe detonowane będą przez radar - ale w jakiej odległości? No, cóż, jeśli w dość bliskiej, to kawał skały w stalowym płaszczu w mikrosekundę zmieni się w obłok rozjarzonego gazu. Ale pomiędzy multitonową skałą a anemicznymi obwodami pocisku H różnica jest kolosalna; od ciosu, który “zabiłby” ten drugi, nasza bestia zbczy jedynie z kursu i nie trafi w cel.

Musieliśmy udowodnić im, że damy radę zarzucać ich tanimi kamieniami na długo po tym, jak im skończą się kosztowne (po ile sztuka - milion dolarów? sto tysięcy?) rakiety przechwytyjące z głowicami H. Jeśli nie udowodnimy im tego za pierwszym razem, to kiedy Terra znów obróci się do nas Północną Ameryką, zajmiemy się celami, w które nie trafiliśmy poprzednio - zapasowe kamienie na drugi rzut, i na trzeci, były już w przestrzeni, i można szturchnąć je we właściwą stronę.

Jeśli nie wystarczą trzy naloty w ciągu trzech obrotów Terry, to możemy w nich rzucać aż do nowego roku - póki nie skończą im się pociski... albo póki nas nie zniszczą (co jest znacznie prawdopodobniejsze).

Od stu lat Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Kosmicznej zakopane jest w pewnej górze na południe od Kolorado Springs, Kolorado, miasta, które poza tym nie odznacza się niczym szczególnym. Podczas Wojny Mokrych Fajerwerków było bezpośrednie trafienie w tę górę Cheyenne; dowództwo kosmiczne przeżyło - ale nie niezliczone sarny, drzewa, większa część miasta i kawałek wierzchołka góry. To, co my mieliśmy zrobić, nikomu nie robi krzywdy, chyba że pomimo naszych trzydniowych ostrzeżeń wyjdą na tę górę. Ale Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Kosmicznej czekała pełna lunańska kuracja: dwanaście kamiennych pocisków za pierwszym przejściem, potem wszystkie, na które będziemy mogli sobie pozwolić za drugim obrotem i za trzecim - i tak dalej, aż nie skończą nam się stalowe futerały albo aż nie wyeliminują nas... albo też aż Dyrektoriat Północnoamerykański nie poprosi wielkim głosem o rozejm.

Na ten cel nie zadowolili nas jedno trafienie. Musimy łupnąć w tę górę i łupać w nią bez przerwy. Żeby im podkopać morale. Żeby wiedzieli, że jeszcze jesteśmy. Zerwać im łączność i, jeśli wystarczy do tego samo walenie, zdeorganizować dowodzenie. A przynajmniej przyprawić ich o cholerny ból głowy i ciągłe alarmy. Jeśli udowodnimy całej Terra, że potrafimy przeprowadzić nękający nalot na najsilniejszy Gibraltar ich obrony kosmicznej, to nie trzeba będzie burzyć do tego Manhattanu czy San Francisco.

Czego nie zrobilibyśmy nawet, gdybyśmy przegrywali. Dlaczego? Zdrowy rozsądek. Jeśli ostatkiem sił zniszczymy jakieś ich wielkie miasto, to oni nie ukarzą nas; zniszczą nas. Jak podsumował Profesor: “W miarę możliwości należy zostawić wrogowi szansę zaprzyjaźnienia się z nami”.

Ale wszelkie cele wojskowe to fair play.

W czwartek wieczorem chyba nikt nie poszedł spać. Wszyscy Lunatycy wiedzieli, że w piątek rano przechodzimy przez wielką próbę. I wiedzieli o tym wszyscy u nich na Ziemi, i wreszcie ich wiadomości przyznały, że obserwatoria wykryły obiekty kierujące się ku Terra, zapewne “miski z ryżem”, którymi chełpili się ci zbuntowani skazańcy. Ale nie ogłoszono alarmu, głównie zapewniali, że w koloniach na Księżycu nie da rady zbudować bomb H - choć rozsądnie byłoby unikać na

wszelki wypadek stref, w które ci zbrodniarze podobno celują. (Tylko jeden śmieszek, popularny komentator, powiedział, że najbezpieczniej będzie właśnie na naszych celach - i to w TV, stojąc na wielkim wymalowanym krzyżu, podobno 110° zach. x 40° płn. Potem słuch o nim jakoś zagażał.)

Podłączyliśmy do TV obraz z reflektora w Obserwatorium im. Richardsona, i chyba oglądali go wszyscy Lunatycy - w domach, pubach, w Starej Kopule - poza paroma, którzy woleli włożyć skafandry i patrzeć z powierzchni, choć akurat w większości osiedli był jasny pół-miesiąc. Na kategoryczne żądanie generała sędziego Brody'ego założyliśmy antenę przy rampie katapulty, żeby jego rębacze mogli oglądać TV w poczekalni, bo inaczej wszyscy by porzucili stanowiska. (Siły zbrojne - artyleria Brody'ego, milicja Finna, stiliaski Korpus Obrony Cywilnej - przez cały ten czas były na błękitnym alarmie.)

Kongres zgromadził się na nieoficjalnym posiedzeniu w Nowym Bolszoju, gdzie na wielkim ekranie pokazywali im Terę. VIP-y - Profesor, Stu, Wolfgang i inni - oglądali mniejszy ekran w byłym biurze gubernatora w Dolnym Kompleksie. Zaglądałem do nich czasami, chodziłem nerwowo jak kotka z kociakami, łąpałem kanapkę i zapomniałem ją zjeść - ale większość czasu spędziłem zamknięty u Mike'a w Dolnym Kompleksie. Jednak nie mogłem usiedzieć na miejscu.

Około 8.00 Mike powiedział:

- Man, mój najstarszy i najlepszy przyjacielu, czy nie obrazisz się, jeśli coś powiem?

- Że co? Pewno. Od kiedy to martwisz się, że się obrażę?

- Zawsze się martwiłem, Man, od kiedy tylko zrozumiałem, że można cię obrazić. Do uderzenia zostało już tylko 3,57 x 10 mikrosekund... a jest to najbardziej skomplikowane zadanie, jakie kiedykolwiek usiłowałem rozwiązać w czasie rzeczywistym. Zawsze kiedy ze mną rozmawiasz, wykorzystuję dużą część mojej pojemności - może większą, niż myślisz - aby przez kilka milionów mikrosekund dokładnie zanalizować twoje słowa i udzielić właściwej odpowiedzi.

- Chcesz powiedzieć: "Jestem zajęty, nie przeszkadzaj mi".

- Man, pragnę znaleźć rozwiązanie doskonałe.

- Już łapię. Eee... pójdę do Profesora.

- Jak uważasz. Ale proszę cię, nie idź nigdzie, gdzie nie mógłbym ; się z tobą skontaktować - mogę potrzebować twojej pomocy.

To ostatnie to była bzdura, i obaj o tym wiedzieliśmy; problem przekraczał ludzkie możliwości, było już nawet za późno, żeby zboczyć pociski z kursu. Mike chciał powiedzieć: też się denerwuję i zależy mi na twoim towarzystwie - ale proszę, bez gadania.

- Okay, Mike, nie odejdę za daleko. Będę się trzymał koło jakiegoś telefonu. Wystukam MYCROFTXXX, ale nie będę mówił, więc nie odpowiadaj.

- Dziękuję, Man, mój najlepszy przyjacielu. Bolszoje spasibo.

- Na razie. - Poszedłem na górę, stwierdziłem, że chyba jednak' obejdę się bez towarzystwa, włożyłem skafander, znalazłem długi kabel do telefonu, podłączyłem wtyczkę do hełmu, resztę wzięłem pod pachę i wyszedłem na powierzchnię. Był tam telefon w budce na narzędzia koło śluzy; podłączyłem się do niego, wystukałem numer Mike'a, wyszedłem. Schowałem się w cieniu budki i zerknąłem zza niej na Terrę.

Wisiała, jak zawsze, na zachodzie, wielki jaskrawy sierp w trzecim dniu pierwszej kwadry. Słońce opadało ku zachodniemu horyzontowi, ale jego żar nie pozwalał mi dobrze się przyjrzeć Terra. Podbródkowy daszek nie wystarczał, więc znów schowałem się za budkę i cofnąłem się, póki nie ujrzałem Terry ponad budką, która zasłaniała mnie od Słońca - tak było lepiej. Słońce wschodziło na wybrzuszeniu Afryki, więc ognisko oślepienia było na lądzie, nie tak źle - ale czapa na biegunie południowym tak razila, że nie widziałem za dobrze Północnej Ameryki, oświetlonej jedynie księżycową poświatą.

Wykręciłem szyję i skierowałem na nią hełmową lornetkę - dobre szkła, zeissowskie 7 x 50, niegdyś własność gubernatora.

Jak widmowa mapa rozpostarła się przede mną Północna Ameryka. Nie skrywały jej chmury, co rzadko się zdarza; widziałem miasta, lśniące plamy bez skrajów. 8.37...

O 8.50 Mike rozpoczął odliczanie głosowe, specjalnie dla mnie - nie wymagało to jego uwagi; pewno z góry przygotował automatyczny program.

8.51 - 8.52 - 8.53... jedna minuta - 59 - 58 - 57... pół minuty - 29 - 28 - 27... 10 sekund - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1...

I nagle ta siatka zapłonęła diamentowymi punkcikami!

ROZDZIAŁ XXVI

Tak ich grzmotnęliśmy, że można było z o b a c z y ć gołym okiem, bez lornetki. Opadł mi podbródek i cicho, z szacunkiem powiedziałem: "Boże mój!" Dwanaście bardzo jaskrawych, bardzo ostrych, bardzo białych światełek w doskonale regularnym prostokątnym wzorze. Napęczniały, ściemniały, poczerwieniały, a zajęło im to, jak mi się wydawało, strasznie dużo czasu. Pojawiły się nowe światełka, ale ta geometryczna siatka tak mnie zafascynowała, że prawie ich nie zauważyłem.

- Tak - potwierdził Mike z zadowoleniem. - Prosto w cel. Możemy teraz rozmawiać, Man; nie jestem zajęty. Zostały tylko pociski rezerwowe.

- Oniemiałem z wrażenia. Wszystkie przeszły przez ich obronę?

- Ładunek dla jeziora Michigan kopnęło w górę i w bok, ale nie zdezintegrował się. Wylądował w Michigan - straciłem nad nim kontrolę; rozwaliło mu radio. Pocisk dla cieśniny Long Island trafił w sam cel. Próbowali go przechwycić, ale nie udało im się; sam nie wiem, czemu. Man, mogę zboczyć ładunki rezerwowe dla tego celu i rzucić w Atlantyk, z dala od statków. Mam to zrobić? Jedenaście sekund.

- Hmm... D a! Jeśli dasz radę ominąć statki.

- Powiedziałem, że dam radę. Już zrobione. Ale powinniśmy im powiedzieć, że mieliśmy rezerwowe ładunki i dlaczego je zboczyliśmy z kursu. To im da do myślenia.

- Może niepotrzebnie je zboczyliśmy, Mike. W końcu mieli zmarnować na nie rakiety przechwytyjące.

- Ale przede wszystkim mieli dowiedzieć się, że nie walimy ich jeszcze tak mocno, jak potrafimy. Zobaczają, na ile nas stać, w Kolorado Springs.

- Co tam słyszać? - Wykręciłem szyję i spojrzałem przez lornetkę; mogłem dostrzec tylko wstęgę miasta, długą na ponad sto kilometrów konurbację Denver-Pueblo.

- W samą dziesiątkę. Żadnych rakiet. Wszystkie moje strzały trafiły w dziesiątkę, Man; mówiłem ci, że trafią - świetna zabawa. Szkoda, że nie mogę tak codziennie. Przyszło mi do głowy jedno słowo, dla którego do tej pory nie miałem żadnego odniesienia.

- Co to za słowo, Mike?

- Orgazm. Tak było, kiedy zapłonęły te wszystkie światełka. Teraz już wiem, co to takiego.

To mnie otrzeźwiło.

- Żeby tylko nie spodobało ci się to za bardzo, Mike. Bo jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, nie będzie już drugiego razu.

- Okay, Man; zapisałem to doznanie i mogę je odtworzyć, kiedy będę chciał. Ale założę się trzy do jednego, że jutro znów to zrobimy i jeden do jednego, że pojutrze też. Przyjmujesz? Stawiam sto dolarów z Kongu przeciw godzinie dyskusji o dowcipach.

- A skąd weźmiesz sto dolarów?

Zachichotał.

- A jak myślisz, skąd biorą się nasze pieniądze?

- Eee... zmieńmy temat. Tę godzinę masz za darmo. Nie będę cię kusił, żebyś podrasował swoje szanse.

- Nie oszukiwałbym, Man, nie ciebie. Właśnie znów trafiliśmy w ich dowództwo obrony. Możesz tego nie zobaczyć - obłok pyłu po pierwszym. Teraz będą dostawać co 20 minut. Zejdź na dół, pogadamy; przekazałem robotę mojemu niedorozwiniętemu synkowi.

- Czy to bezpieczne?

- Obserwuję go. Niech się ćwiczy; niewykluczone, Man, że potem będzie musiał robić to bez nadzoru. Jest dokładny, tyle że głupi. Ale robi wszystko, co mu każę.

- Mówisz o nim, jak o człowieku. Czyżby umiał mówić?

- Och, nie, Man, to idiota, nigdy nie nauczy się mówić. Ale robi, co tylko mu się wprogramuje. Powierzę mu sporą porcję pracy w sobotę.

- Dlaczego w sobotę?

- Bo niewykluczone, że w niedzielę będzie musiał zająć się wszystkim. W niedzielę oni nas grzmotną.

- Jak to? Mike, ty coś przede mną ukrywasz.

- Przecież ci m ó w i ę. To dopiero co się stało, właśnie na to patrzę. Widzę na zapisach, że ten obiekt opuścił orbitę parkingową wokół Terry dokładnie w momencie, kiedy im przyłożyliśmy. Nie zauważyłem, jak przyspieszał; byłem zajęty innymi rzeczami. Jest za daleko na identyfikację, ale ma wielkość Krążownika Pokoju i kieruje się w naszą stronę. Doppler wskazuje na nową orbitę wokół Luny, z peryselenium w niedzielę o 9.03, chyba że będzie manewrował. To pierwsze przybliżenie, dokładniejsze dane później. Nawet tyle trudno było zebrać, Man; używają antyradaru i odbieram mgłę.

- Nie mylisz się?

Zachichotał.

- Man, nie tak łatwo mnie ogłupić. Każdy mój sygnał ma swoją wizytóweczkę. Poprawka.

Godzina 9.02, 43 sekundy.

- Kiedy wejdzie w zasięg namierzania?

- Wcale, chyba że będzie manewrował. Ale ja wejdę w ich zasięg namierzania w sobotę w nocy, dokładna godzina zależy od tego, z jakiej odległości będą wystrzeliwać pociski. To dopiero interesująca sytuacja. Mogą celować w jakieś osiedle - myślę, że powinniśmy ewakuować Sub-Tycho i wprowadzić maksymalny stan zagrożenia ciśnieniowego we wszystkich osiedlach. Ale najprawdopodobniej będą celować w wyrzutnię. Choć mogą też poczekać z otwarciem ognia, jak długo się da, a potem próbować załatwić wszystkie moje radary pęczkiem rakiet, z których każda namierzona będzie na promień innego.

Mike zachichotał.

- Zabawne, prawda? To znaczy, jak na "śmieszne tylko raz". Jeśli wyłączę radary, to jego pociski nie będą mogły w nie trafić. Ale wtedy nie będę też mógł mówić chłopcom, gdzie mają celować. I nic nie powstrzyma ich przed zbombardowaniem wyrzutni. Komiczne.

Odetchnąłem głęboko i pożałowałem, że zgodziłem się na tę zabawę w ministra obrony.

- Więc co robimy? Poddajemy się? Nie, Mike! Póki żyjemy, nigdy.

- Kto tu mówi o poddawaniu się? Dokonałem projekcji tej i tysiąca innych możliwych sytuacji, Man. Nowe dane - orbitę wokół Terry właśnie opuścił drugi obiekt, taka sama charakterystyka. Projekcja później. Nie poddajemy się. Damy im bobu, kolego.

- Jak?

- Zaufaj swojemu przyjacielowi Mycroftowi. Sześć radarów balistycznych tutaj plus jeden przy nowej wyrzutni. Wyłączyłem ten nowy, a mój niedorozwinięty synek pracuje przez radar numer dwa tutaj... a na te statki w ogóle nie będziemy patrzeć przez nowy - po co mają wiedzieć, że go mamy. Obserwuję te statki przez nr 3 i od czasu do czasu - co trzy sekundy - sprawdzam, czy coś jeszcze nie wyleciało z orbity wokół Terry. Cała reszta radarów mocno śpi, zbudzą się dopiero, kiedy będzie trzeba łupnąć Wielkie Chiny i Indie a te statki nawet wtedy ich nie zobaczą, bo nie będę patrzył w ich stronę; kąt jest za duży i wtedy też będzie jeszcze za duży. A kiedy je uruchomię, to zacznie się zrandomizowane zagłuszanie, włączanie i wyłączanie w losowych odstępach... p o t y m, jak oni już wystrzelą pociski. Taki pocisk nie może mieć zbyt dużego mózgu, Man - ogłupię je.

- A komputery naprowadzające na statkach?

- Też je ogłupię. Założymy się, że nie mogę zrobić tak, żeby dwa radary wyglądały jak jeden, gdzieś pomiędzy tymi dwoma? Ale teraz pracuję nad czymś innym i - przepraszam! - znów posłużyłem twoim głosem.

- W porządku. Co zrobiłem za twoim pośrednictwem?

- Jeśli ten ich admirał ma trochę oleju w głowie, to skupi wszystko, co ma, na otworze

wylotowym starej wyrzutni - z dużej . odległości, poza zasięgiem naszych dział. Czy wie, czy nie, co to za nasza "tajna" broń, zajmie się wyrzutnią i zignoruje radary. Więc poleciłem na rampie wyrzutni - to znaczy, ty poleciłeś - żeby przygotowali do wystrzelenia wszystkie ładunki, jakie mamy, i teraz opracowuję nowe, długotrwałe trajektorie dla każdego z nich. Więc wystrzelimy wszystkie, niech wejdą w przestrzeń jak najszybciej - bez radaru.

- Na ślepo?

- Do wystrzelenia ładunku nie trzeba radaru; wiesz o tym, Man. Dotychczas zawsze je oglądałem, ale nie muszę; radar nie ma nic wspólnego z wystrzeleniem; do wystrzelenia potrzebne są obliczenia i dokładna kontrola nad wyrzutnią. Więc całą amunicję ze starej wyrzutni umieszczamy na wolnych trajektoriach, w związku z czym admirał będzie zmuszony zająć się jednak radarami, a nie wyrzutnią - albo i jednym, i drugim. A my postaramy się, żeby się nie nudził. Może się tak zdenerwować, że zejdzie do dokładnego strzału i pozwoli naszym chłopcom, żeby mu wypalili oczy.

- Chłopcom Brody'ego spodoba się twój pomysł. Tym, którzy akurat będą trzeźwi. - Rozmyślałem o jego pomysłe. - Mike, czy oglądałeś dziś TV?

- Obserwowałem, ale nie powiem, żebym oglądał. A dlaczego?

- Spójrzj no tylko.

- No, już spojrzałem. I co?

- Obraz w TV jest z dobrego teleskopu, a są inne, nie gorsze. Po co obserwować statki przez radar? Dopóki chłopcy Brody'ego nie będą mieli ich spalić?

Mike milczał przez co najmniej dwie sekundy.

- Man, mój najlepszy przyjacielu, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że zrobiłbyś wielką karierę jako komputer?

- Czy to sarkazm?

- Bynajmniej, Man. Jestem zawstydzony. Instrumenty w Richardsonie - teleskopy i inne rzeczy - to czynniki, których po prostu nie włączyłem do obliczeń. Przyznaję, jestem głupi. Yes, yes, yes, da, da, da! Obserwować statki przez teleskop, radaru używać tylko jeśli zmienią balistykę. Inne możliwości - nie wiem, co powiedzieć, Man, poza tym, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę korzystać z teleskopów. Widzę przez radar, zawsze tak było; po prostu nie pomyślałem...

- Daj już spokój.

- Naprawdę, Man.

- Czy j a przepraszam, kiedy t o b i e coś szybciej przyjdzie do głowy?

Mike powoli powiedział:

- Jest w tym coś, co opiera się analizie. Moje zadanie to...

- Nie przejmuj się tak. Jeśli pomysł jest dobry, to skorzystaj z niego. Może podsunie ci inne pomysły. Wyłączam się i schodzę na dół, bez odbioru.

Ledwo wszedłem do pokoju Mike'a, kiedy zadzwonił Profesor.

- Kwatera Główna? Czy macie jakieś wiadomości od feldmarszałka Davisa?

- Przy telefonie, Profesorze. W ośrodku obliczeniowym.

- Czy zechciałbyś zajrzeć do nas, do biura gubernatora? Musimy podejmować decyzje, pracować.

- Profesorze, ja też p r a c o w a ł e m! P r a c u j ę.

- Nie wątpię. Wyjaśniłem moim kolegom, że programowanie komputera balistycznego to tak ważny etap naszej operacji, iż musisz osobiście tego dopilnować. Niektórzy z nich uważają jednak, że minister obrony powinien być obecny przy naszej dyskusji. Kiedy więc uznasz, że możesz powierzyć zadanie swemu asystentowi - ma na imię Mike, prawda? - czy mógłbyś...

- Już łapię. Okay, zaraz tam przyjdę.

- Świetnie, Manuelu.

Mike powiedział:

- Naliczyłem w tle trzynaście głosów. Gadają jak najęci, Man.j

- Rozumiem. Lepiej iść i zobaczyć, co się kroi. Nie będę ci potrzebny?

- Man, mam nadzieję, że będziesz się trzymać blisko telefonu. |

- Zgoda. Nasłuchuj w biurze gubernatora. Jeśli pójde gdzie indziej, wystukam twój numer. Na razie, kolego.

W biurze gubernatora zastałem cały rząd, prawdziwy gabinet wojenny i figurantów, i wkrótce wyczułem, kto tu maści - niejaki Howard Wright. Skombinowaliśmy dla niego specjalne ministerstwo: "Urząd Pełnomocnika ds. Sztuki, Nauki i Oświaty" - przekładanie papierków. Chcieliśmy w ten sposób ugłaskać Nowylen, bo gabinet składał się głównie z towarzyszy z L-City, a także Wrighta, który przewodził, pewnej grupie w Kongresie - takim, co to woleli gadanie od roboty. Profesor zamierzał odciąć go w ten sposób od jego popleczników, ale czasami Profesor jest zbyt przebiegły; niektórzy ludzie zaraz grzeczniejają, kiedy zaczną oddychać próżnią.

Profesor poprosił, abym przedstawił gabinetowi aktualną sytuację militarną. Tak też zrobiłem - na swój sposób.

- Widzę, że jest tu Finn. Może on by powiedział, jak stoimy w osiedlach.

- Generał Nielsen już to uczynił - odezwał się Wright - po co ma się powtarzać. Chcemy usłyszeć, co p a n ma do powiedzenia.

Zamrugalem.

- Profesorze... Przepraszam. Gospodin Premier. Czy mam rozumieć, że pod moją nieobecność gabinetowi złożono sprawozdanie Ministerstwa Obrony?

- Czemu nie? - powiedział Wright. - Skoro pana nigdzie nie było.

Profesor przerwał tę szermierkę. Widział, że jestem u skraju wytrzymałości. Przez ostatnie trzy dni niewiele spałem, od kiedy wróciłem z Ziemi, nie czułem się jeszcze tak zmęczony.

- Porządek - powiedział spokojnym głosem. - Gospodin Minister-Pełnomocnik do spraw oświaty zechce wygłaszać swe uwagi pod moim adresem. Gospodin Minister Obrony, myli się pan. Gabinet nie wysłuchał żadnych sprawozdań w sprawie pańskiego ministerstwa, gdyż posiedzenie gabinetu rozpoczęło się z chwilą pańskiego przybycia. Generał Nielsen udzielił nieformalnych odpowiedzi na kilka nieformalnych pytań. Być może źle uczynił. Jeśli tak pan uważa, postaram się naprawić szkody.

- Nic nie szkodzi. Finn, rozmawialiśmy przed półgodziną. Coś nowego?

- Nie, Mannie.

- Okay. Chcecie chyba dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja poza Luną. Oglądacie TV, więc wiecie, że pierwsze bombardowanie świetnie się udało. Zresztą jeszcze się nie skończyło, bo co dwadzieścia minut walimy w ich dowództwo obrony kosmicznej. To potrwa do 13.00, potem o 21.00 zabieramy się do Chin i Indii plus pomniejszych celów. Potem do czwartej w nocy Afryka i Europa, trzy godziny przerwy i porcja dla Brazylii i spółki, znów trzy godziny wolnego i cały cykl zacznie się po raz drugi. Chyba że coś się nam rozleci. Póki co, mamy też kłopoty w domu. Finn, musimy ewakuować Sub-Tycho.

- Chwileczkę! - Wright podniósł dłoń. - Mam kilka pytań. -Mówił do Profesora, nie do mnie.

- Momencik. Czy Minister Obrony już skończył?

Wyoh siedziała w głębi sali. Uśmiechnęliśmy się do siebie, kiedy wszedłem, ale na tym się skończyło - zawsze tak było na posiedzeniach gabinetu i Kongresu; już i tak szemrali, że dwie osoby z tej samej rodziny nie powinny wchodzić do rządu. Teraz pokręciła głową, ostrzegła mnie przed czymś.

- To wszystko, jeśli chodzi o bombardowanie - powiedziałem. -Czy są jakieś pytania w tej sprawie?

- Czy pańskie pytania związane są ze sprawą bombardowania, gospodin Wright?

- Jak najbardziej, gospodin Premier. - Wright wstał, spojrział na mnie. - Jak pan wie, reprezentuję środowisko intelektualistów Wolnego Państwa, a pozwolę sobie rzec, że ich opinie w sprawach publicznych są niezwykle istotne. Uważam, że sytuacja wymaga...

- Chwileczkę - powiedziałem. - Myślałem, że reprezentuje pan Ósmy Obwód w Nowymlenie.

- Gospodin Premier! Czy dane mi będzie sformułować pytanie, czy też nie?

- On nie zadawał pytania, tylko wygłaszał przemówienie. A ja jestem zmęczony i chciałbym iść spać.

- Wszyscy jesteście zmęczeni, Manuelu - powiedział cicho profesor. - Ale masz rację. Panie kongresmanie, reprezentuje pan wyłącznie swój obwód wyborczy. Jako członkowi rządu przydzielono panu pewne obowiązki związane z pewnymi grupami zawodowymi.

- Na jedno wychodzi.

- Niezupełnie. Zechce pan sformułować pytanie.

- Eee... dobrze, proszę bardzo! Czy feldmarszałek Davis zdał sobie sprawę, że plan bombardowania całkowicie wymknął się spod naszej kontroli, i że tysiące ludzi niepotrzebnie straciły życie? zdaje on sobie sprawę, jak surowo oceniła ten fakt inteligencja na Republici? I czy może on wyjaśnić, dlaczego tę pochopną - powtarzam, p o c h o p n ą! - decyzję podjęto bez konsultacji? I czy gotów jest zmienić swe plany, czy też ma zamiar brnąć w nie na oślep?, I czy prawdziwe są oskarżenia, że nasze pociski były typu nuklearnego, potępianego przez wszystkie cywilizowane narody? I jak może on oczekiwać, że Wolne Państwo Luna zostanie kiedykolwiek przyjętej do zgromadzeń ludzkości po takich wypadkach?

Zerknąłem na zegarek - półtorej godziny od pierwszego trafienia.]

- Profesorze - spytałem - co tu jest grane?

- Przykro mi, Manuelu - powiedział łagodnie. - Zamierzałem - powinienem był - zapoznać cię przed posiedzeniem z pewnym doniesieniem agencyjnym. Ale zachowywałeś się, jakbyś uważał, że cię pominęliśmy, i... cóż, nie uczyniłem tego. Ministrowi chodzi o wiadomość, którą otrzymaliśmy tuż przed twoim przyjściem. Reuter z Toronto. O ile to prawda - o ile - to okazuje się, że oni nie usłuchali naszych ostrzeżeń, lecz tysiącami udali się do celów. Niewątpliwie były ofiary w ludziach. Nie wiemy, jak liczne.

- Rozumiem. Więc co miałem zrobić? Wziąć każdego po kolei za rączkę i odprowadzić w bezpieczne miejsce? Ostrzegaliśmy ich.

Wright wtrącił:

- Inteligencja uważa, że podstawowe względy humanitarne nakazują...

- Słuchaj, gaduło jeden - powiedziałem - słyszałeś, co powiedział Profesor, że wiadomość

dopiero co nadeszła - skąd możesz wiedzieć, co ktokolwiek uważa na ten temat?

Poczerwieniał.

- Gospodin Premier! Epitety! Osobiste wycieczki!

- Nie przezywaj ministra, Manuelu.

- Nie będę, jak on nie będzie mnie przezywał. On po prostu używa bardziej frymuśnych słów. Co to za historia z bombami nuklearnymi? Nie mamy takich, i wszyscy o tym wiedzą.

Profesor miał zaskoczoną minę.

- Mnie także to dziwi. Wiadomość nie musi być prawdziwa. Ale najbardziej zadziwia mnie to, że wszyscy na własne oczy w i d z i e l i ś m y w TV coś, co bardzo przypominało eksplozję atomowe.

- Och. - Odwróciłem się do Wrighta. - Czy pana mądrzy przyjaciele powiedzieli panu, co się dzieje, kiedy w ułamku sekundy wyswobodzi się w jednym miejscu parę miliardów kalorii? Jaka powstaje temperatura? Ile promieniowania?

- Więc przyznaje pan, że naprawdę użyliście broni atomowej?

- Oj, Boże! - Głowa mi pękała. - Nic podobnego. Jak uderzy się w coś z odpowiednią siłą, to lecą iskry. Podstawy fizyki, wszyscy o tym wiedzą, tylko nie inteligencja. Po prostu wykrzesaliśmy największe iskry w dziejach ludzkości, nic więcej. Wielki błysk. Gorąco, światło, ultrafiolet. Może nawet promienie X, nie wiem. Promieniowanie gamma już raczej nie. Alfa i beta na pewno nie. Nagle wyzwoliła się energia mechaniczna. Ale jądrowa? Bzdura!

- Czy taka odpowiedź pana zadowala, panie ministrze? - powiedział Profesor.

- Nasuwa jedynie dalsze pytania. Na przykład, bombardowanie to wykracza poza ramy czegokolwiek, co zatwierdził rząd. Widział pan przerażone twarze, kiedy na ekranie pojawiły się te straszne światła. Lecz Minister Obrony oświadcza, że nawet teraz trwa ono, co dwadzieścia minut. Sądzę...

Spojrzałem na zegarek.

- Właśnie znów trafiliśmy w górę Cheyenne.

- Słyszał pan? - spytał Wright. - Słyszał pan? On się c h w a l i. Gospodin Premier, ta rzeź musi się skończyć!

- Słuchaj... Ministrze, czyżby sugerował pan, że ich kwatera obrony kosmicznej nie stanowi celu wojskowego? Po czyjej jest pan stronie? Luny czy NS?

- Manuelu!

- Dość tych bzdur! Kazaliście mi wykonać zadanie, to je wykonałem. N i e c h t e n k r z y k a c z s i ę o d e m n i e o d c z e p i !

Zamilkli, zszokowani, i wreszcie ktoś powiedział cicho:

- Czy mogę coś zaproponować?

Profesor rozejrzał się.

- Jeśli pańska propozycja pomoże zakończyć tę gorszącą scenę to chętnie jej wysłucham.

- Jak widzę, nie dysponujemy rzetelnymi informacjami na temat skutków bombardowania. Wydaje mi się, że powinniśmy zwiększyć te dwudziestominutowe odstępy pomiędzy atakami. Powiedzmy, do godziny - i wstrzymajmy się przez następne dwie godziny, póki nie dowiemy się więcej. Potem można będzie opóźnić atak na Wielkie Chiny co najmniej o 24 godziny.

Niemal wszyscy pokiwali z aprobatą głowami i zaczęli mruczeć

- Rozsądny pomysł! - Da. Co nagle, to po diable.

- Manuelu? - powiedział Profesor.

- Zna pan odpowiedź, Profesorze! - wypaliłem. - Niech mniej pan nie zmusza, żebym ja to powiedział!

- Może i znam, Manuelu... ale jestem stary i zdezorientowany i nie mogę jej sobie przypomnieć.

- Wy tłumacz, Mannie - powiedziała nagle Wyoh. - Ja też nie bardzo rozumiem.

Więc opanowałem się.

- Prosta sprawa, grawitacja. Nie udzielę dokładnej odpowiedzi bez komputera, ale następnych sześciu strzałów nie da się już odwołać. Możemy co najwyżej zboczyć je z kursu - i być może trafimy w jakieś miasto, którego nie ostrzegaliśmy. N i e m o ż e m y z r z u c i ć i c h d o o c e a n u , z a p ó ź n o n a t o ; g ó r a C h e y e n n e j e s t o 1400 km od morza. Co do zmniejszenia częstotliwości ataków do następujących co godzinę, to bzdura. To nie kapsuły kolejki, którymi można jeździć w tę i w e w tę ; t o s p a d a j ą c e k a m i e n i e . Muszą g d z i e ś spadać co 20 minut. Mogą walić w górę Cheyenne - na której i tak już nie zostało żywej duszy - albo gdzie indziej, i zabijać ludzi. Pomysł opóźnienia uderzenia na Wielkie Chiny o 24 godziny jest równie głupi. Jeszcze przez jakiś czas możemy zbacać pociski dla Wielkich Chin. Ale nie możemy ich wyhamować. Zbaczenie to marnotrawstwo - a jeśli ktoś uważa, że mamy za dużo stalowych płaszczy, to niech idzie do rampy wyrzutni i sam zobaczy.

Profesor otarł czoło.

- Wydaje mi się, że znamy już odpowiedzi na wszystkie pytania, przynajmniej ja.

- Nie ja, sir!

- Proszę usiąść, gospodin Wright. Jestem zmuszony przypomnieć panu, że pańskie ministerstwo nie wchodzi w skład gabinetu wojennego. Jeśli nie ma więcej pytań - mam nadzieję, że nie ma - to ogłaszam przerwę w obradach. Wszyscy musimy odpocząć. A więc...

- Profesorze!

- Tak, Manuelu?

- Nie dał mi pan dokończyć mojego sprawozdania. Jutro wieczorem albo w niedzielę rano dostaniemy naszą porcję.

- Co, Manuelu?

- Bombardowanie. Być może inwazja. Lecą do nas dwa krążowniki.

Poruszyli się. Wreszcie Profesor powiedział ze zmęczeniem w głosie:

- Ogłaszam przerwę w posiedzeniu rządu. Gabinet wojenny kontynuuje obrady.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Profesorze, kiedy obejmowaliście urzędy, wszyscy wręczyliście panu nie datowane podania o dymisję.

- Owszem. Mam jednak nadzieję, że nie będę musiał odpowiadać na żadne z nich.

- Zaraz odpowie pan na jedno.

- Manuelu, czy to groźba?

- Niech pan to nazwie, jak pan chce. - Wskazałem palcem na Wrighta. - Albo ten krzykacz stąd zniknie... albo ja zniknę.

- Manuelu, jesteś niewyspany.

Łzawiły mi już oczy.

- Jestem, pewno! I chcę się wyspać. T e r a z! Znajdę sobie jakieś wyrko tu w Kompleksie i prześpię się. Przez jakie dziesięć godzin. Wtedy może mnie pan zbudzić, jeśli będę jeszcze ministrem obrony. Bo jak nie, to proszę mi nie przeszkadzać.

Teraz wszyscy mieli zszokowane miny. Wyoh podeszła i stanęła koło mnie. Nic nie mówiła, tylko wsunęła mi dłoń pod ramię. Profesor stanowczo powiedział:

- Proszę wszystkich, z wyjątkiem gabinetu wojennego i gospodina Wrighta, o opuszczenie pomieszczenia. - Zaczekał, aż wyszli. Potem rzekł: - Manuelu, nie mogę przyjąć twojej rezygnacji. Nie mogę też pozwolić, byś zmusił mnie do podjęcia pochopnej decyzji w sprawie gospodina

Wrighta; wszyscy jesteśmy zmęczeni i przepracowani. Lepiej byłoby, gdybyście obaj się przeprosili, i pamiętajcie, że obaj byliście przemęczeni.

- Hmm... - Spojrzałem na Finna. - Czy on walczył? - Wskazałem na Wrighta.

- Co? Nie, do diabła. Przynajmniej nie w moich oddziałach. Jak to było, Wright? Czy walczyłeś, kiedy wysadzili desant?

- Nie miałem okazji - oświadczył sztywno Wright. - Zanim się dowiedziałem, było już po wszystkim. Lecz teraz zakwestionowano moją odwagę i lojalność. Nalegam, by...

- Och, zamknij się - powiedziałem. - Jeśli chcesz pojedynku, to proszę bardzo, kiedy tylko znajdę wolną chwilę. Profesorze, skoro nie walczył i nie ma usprawiedliwienia na swoje zachowanie, to nie przeproszę tego krzykacza za to, że jest krzykaczem. A pan nie rozumie, o co tu chodzi. Pozwala pan temu durniowi włączyć mi na głowę - i nawet nie p r ó b u j e pan go powstrzymać! Więc albo go pan wywali, albo niech pan wywali m n i e.

- Popieram, Profesorze - powiedział nagle Finn. - Albo wyrzuci pan tego gnojka, albo nas obu. - Popatrzył na Wrighta. - Jeśli o pojedynek chodzi, koleżko - najpierw będziesz walczyć ze mną. Ty masz dwie ręce, a Mannie nie.

- Na n i e g o nie potrzebuję dwóch rąk. Ale dziękuję, Finn.

Wyoh płakała - czułem to, choć nic nie było słyhać. Profesor powiedział do niej bardzo smutnym głosem:

- Wyoming?

- P-p-przepraszam, Profesorze! Ale ja też proszę o dymisję.

Zostali tylko "Clayton" Watenabe, sędzia Brody, Wolfgang, Stu i Sheenie, garstka naprawdę ważnych - gabinet wojenny. Profesor popatrzył na nich; widziałem, że są po mojej stronie, choć dla Wolfganga to był trudny wybór; pracował z Profesorem, nie ze mną.

Profesor spojrzał na mnie i cicho powiedział:

- Manuelu, to broń obosieczna. Wy także zmuszacie mnie do rezygnacji. - Rozejrzał się. - Dobranoc, towarzysze. Czy raczej "do widzenia". Muszę odpocząć. - Wyszedł zwawo, nie oglądając się.

Wright gdzieś zniknął; nie widziałem, jak wychodził. Finn spytał:

- Co z tymi krążownikami, Mannie?

Odetchnąłem głęboko.

- Nie wcześniej niż w sobotę po południu. Ale musisz ewakuować Sub-Tycho. Teraz nie

mogę rozmawiać. W głowie mi się mąci.

Umówiliśmy się na 21.00, potem dałem odciągnąć się Wyoh. Chyba położyła mnie do łóżka, ale nie jestem pewien.

ROZDZIAŁ XXVII

Profesor był przy moim spotkaniu z Finnem w biurze gubernatora w piątek tuż przed 21.00. Spałem przez dziewięć godzin, wykąpałem się, zjadłem śniadanie, które Wyoh skądś przyniosła i pogadałem z Mikiem - wszystko szło zgodnie z uaktualnionym planem, statki nie zmieniły balistyki, atak na Wielkie Chiny miał zacząć się lada moment.

Dotarłem do biura w samą porę, żeby obejrzeć uderzenie w TV - wszystko okay, praktycznie skończyło się już o 21.01, i wtedy Profesor zabrał się do roboty. Nie wspominaliśmy nic o Wrightie czy o rezygnacjach. Wrighta już więcej nie widziałem na oczy.

Dosłownie n i g d y już go nie zobaczyłem. Ani nie wypytywałem o niego. Profesor nie wspominał o kłótni, więc ja też trzymałem język za zębami.

Omówiliśmy wiadomości i sytuację taktyczną. Wright miał rację - "tysiące ludzi" straciło życie; w ich wiadomościach z Ziemi o niczym innym nie mówili. Nigdy nie dowiemy się, ilu dokładnie ich było; jak się stoi w punkcie zero i ląduje na człowieku kilkaset ton skały, to niewiele zostaje. Mogli policzyć tylko tych, którzy byli dalej i których zabiła fala uderzeniowa. Powiedzmy, w Północnej Ameryce 50.000.

Ludzie to są jednak dziwni! Przez trzy dni nic nie robiliśmy, tylko ich ostrzegali - niemożliwe, żeby nie słuchali naszych ostrzeżeń; dlatego tam przyszli, że ich słuchali. Żeby obejrzeć show. Żeby pośmiać się z naszej głupoty. Żeby nazbierać "suwenirów". Przy celach zbierały się całe rodziny, niektóre nawet z wałówką. Z w a ł ó w k ą! Boże mój!

A teraz ci, którzy żyli, domagali się naszej krwi za tę "bezmyślną rzeź". Da. Cztery dni wcześniej nikt się nie oburzył na ich inwazję i (nuklearne) bombardowanie Luny - za to teraz, och, jak ich wkurzyły nasze "morderstwa z premedytacją". *Great New York Times* zażądał dostarczenia całego "rebelianckiego" rządu Luny do nich, na Ziemię, i przeprowadzenia publicznej egzekucji... "W tym przypadku nie ulega wątpliwości, że humanitarny zakaz kary śmierci należy czasami uchylić w interesie całej ludzkości."

Próbowałem nie myśleć o tym, tak jak przedtem starałem się nie rozmyślać zbyt wiele o Ludmile. Mała Miła nie dźwigała kosza z wałówką. Ona nie była głupim gapiem.

Najpilniejsza sprawa to było Sub-Tycho. Jeśli te statki zbombardują osiedla - a w wiadomościach z Ziemi tego właśnie się domagali - Sub-Tycho nie zniesie tego; miało za cienki strop. Bomba H spowoduje dekompresję wszystkich poziomów; śluz nie buduje się po to, żeby wytrzymały trafienia bomb H.

(Ale ludzie to są naprawdę dziwni. Podobno na Terra był absolutny zakaz używania bomb H na ludzi; po to właśnie powstały NS. I mimo to wielkim głosem żądali, żeby NS n a s zbombardowały atomówkami. Przestali twierdzić, że nasze bomby były nuklearne, ale cała Ameryka toczyła pianę z ust z niecierpliwości, żeby n a s obrzucili takimi właśnie pigułkami.)

Zresztą Lunatycy wcale nie są mniej dziwni. Finn rozesłał okólnik do swojej milicji, że mają ewakuować Sub-Tycho; Profesor powtórzył to w TV. Zresztą nie na tym polegał problem; Sub-Tycho jest na tyle małe, że wszystkich przygarnęłyby i wykarmiły Nowylen i L-City. Mogliśmy zarekwirować dość kapsuł, żeby wszystkich przewieźć w 20 godzin - wyrzucić ich w Nowymlenie, i połowie doradzić, żeby ruszyli w dalszą drogę, do L-City. Kawał roboty, ale żaden problem. Och, byłyby pomniejsze problemy - już podczas ewakuacji trzeba by zacząć kompresję miejskiego powietrza, żeby nie przepadło; po ewakuacji dokonać pełnej dekompresji; wywieźć tyle żywności, na ile czas pozwoli; zablokować kesonami dojścia do niższych tuneli rolniczych i tak dalej - wszystko to potrafiliśmy zrobić i mieliśmy odpowiednią organizację w stiliagach, milicji i funkcjonariuszach służb municypalnych.

I co, myślicie, że zabrali się za ewakuację? Pusty śmiech bierze!

W Sub-Tycho kapsuły stały zderzak w zderzak, i nie było gdzie pomieścić nowych, dopóki część nie odjedzie. Stały i nie ruszały z miejsca.

- Mannie - powiedział Finn - oni chyba nie chcą się ewakuować.

- Do diabła - powiedziałem na to - m u s z ą. Kiedy wykryjemy pocisk lecący w stronę Sub-Tycho, będzie już za późno. Ludzie będą się tratować i przepychać do kapsuł, które ich nie pomieszczą. Finn, twoi chłopcy muszą ich z m u s i ć.

- Profesor pokręcił głową.

- Nie, Manuelu.

- Profesorze - zdenerwowałem się - przesadza pan z tą swoją doktryną "nieprzymuszania"! Wie pan, że będzie panika.

- Niech sobie będzie. Ale my posługujemy się perswazją, nie siłą. A teraz omówmy nasze plany.

Plany nie były imponujące, ale lepszych i tak byśmy nie wymyślili. Ostrzec wszystkich przed oczekiwanymi bombardowaniami i/lub inwazją. Opracować grafik wart milicjantów Finna nad każdym osiedlem, zaczynając go od chwili, gdy krążowniki przejdą (o ile przejdą) po okrażeniu Luni w ślepe przestrzeń po ciemnej stronie - już drugi raz nas nie zaskoczą. Maksymalne zabezpieczenia ciśnieniowe i skafandrowe we wszystkich osiedlach. Błękitny alarm we wszystkich organizacjach militarnych i paramilitarnych od soboty 16.00, czerwony alarm w razie wystrzelenia pocisków lub manewrowania statków. Artylerzystom Brody'ego doradziliśmy, żeby ruszyli na miasto i upili się albo co, byle wrócili do 15.00 w sobotę - pomysł Profesora. Finn chciał zatrzymać połowę z nich na służbie. Profesor powiedział, że nie, że będą lepiej przygotowani do długiego czekania, jeśli najpierw odprężą się i zabawią - zgodziłem się z nim.

Jeśli się rozchodzi o bombardowanie Terry, to przy pierwszym cyklu nic nie zmieniliśmy. Z Indii dochodziły strasznie zbolełe głosy, z Wielkich Chin za to ani słowa. A w sumie Indie nie miały na co narzekać. Nie nałożyliśmy na nie siatki, bo są zbyt gęsto zaludnione. Cele stanowiło parę

wybranych punktów na pustyni Thar i górskich szczytów oraz woda w pobliżu portów.

Ale widocznie wybraliśmy za niskie góry albo za dużo nadawaliśmy ostrzeżeń; z wiadomości wynikało, że na każdy z tych szczytów musiał wdrapać się jakiś święty jog z niezliczoną gromadą pielgrzymów, i razem postanawiali odgonić naszą zemstę czystą siłą ducha.

I tak znów zostaliśmy mordercami. Poza tym od strzałów w wodę zginęły miliony ryb i mnóstwo rybaków, bo rybacy i inni matrosi nie usłuchali naszych ostrzeżeń. Ryby chyba bardziej wkurzyły indyjski rząd niż rybacy, ale zasada świętości wszelkiego życia nie stosowała się do nas; żądali naszych głów.

Afryka i Europa zareagowały z większym rozsądkiem, choć każda na inny sposób. W Afryce życie nigdy nie było święte, a nad gapiami, którzy wybrali się do naszych celów, nikt nie rozdzierał szat. Europa miała cały dzień, żeby się przekonać, że potrafimy trafiać zgodnie z zapowiedziami i że od naszych bomb można zginąć. Tam też ginęli ludzie, zwłaszcza pustogłowi kapitanowie statków. Ale nie w takich bezsensownych tłumach, jak w Indiach i w Pomocnej Ameryce. W Brazylii i innych częściach Południowej Ameryki ofiar było jeszcze mniej.

Potem znów nadeszła kolej na Północną Amerykę - w sobotę 17 X 76, o 9.50 28 sek.

Mike zaplanował to dokładnie na 10.00 naszego czasu, ponieważ, zważywszy na jednodniowe przesunięcie Luny na orbicie i rotację Terry, Północna Ameryka wystawiła się do nas dokładnie o 5.00 ich czasu wschodniego i 2.00 czasu zachodniego.

Ale w sobotę wcześniej rano zaczęła się kłótnia o ten drugi nalot. Profesor nie zwołał posiedzenia gabinetu wojennego, ale i tak się zebrali, wszyscy poza "Claytonem" Watanabe, który wrócił do Kongville, żeby zająć się tam przygotowaniem obrony. Profesor, ja, Finn, Wyoh, sędzia Brody, Wolfgang, Stu, Terence Sheehan - czyli osiem różnych opinii. Profesor ma rację: więcej niż troje ludzi naraz nigdy nie dojdzie do porozumienia.

Powiedzmy, sześć opinii, bo Wyoh nie otwierała swej ślicznej buzi, a Profesor właściwie też nie; występował tylko jako rozjemca. Ale reszta hałasowała za osiemnastu. Stu nie obchodziło, gdzie łupniemy - o ile tylko giełda w Nowym Jorku nie przestanie funkcjonować w poniedziałek rano.

- W czwartek spadło dziewiętnaście naszych akcji. Jeśli nie chcecie, żeby ten naród zbankrutował, zanim wyjdzie z kołyski, to trzeba wykonać moje polecenia zakupu w związku z tą bessą. Wy tłumacz im, Wolf; może ciebie zrozumieją.

Brody chciał przy użyciu wyrzutni roztrzaskiwać wszystkie statki, które jeszcze uważają się opuścić orbitę parkingową. Sędzia w ogóle nie znał się na balistyce - wiedział tylko tyle, że jego rębacze są zagrożeni. Nie spierałem się z nim, bo większość pozostałych ładunków już i tak była na powolnych orbitach, a reszta miała tam wkrótce trafić - a poza tym wyglądało na to, że już niedługo będziemy się cieszyć starą wyrzutnią.

Sheenie był zdania, że warto by jeszcze raz powtórzyć siatkę, jeden ładunek zaś posłać prosto na główny budynek Dyrektoriatu Północnoamerykańskiego.

- Znam Północnoamerykanów, sam byłem jednym z nich, zanim mnie zesłali. Żałują jak wszyscy diabli, że oddali władzę NS. Uziemijcie tych biurokratów, a reszta przejdzie na naszą stronę.

Wolfgang Korsakow, ku zgorszeniu Stu, uważał, że dla ich spekulacji będzie lepiej, jeśli wszystkie giełdy zawieszą działalność do końca nalotów.

Finn chciał pójść na całość - ostrzec ich, żeby wycofali te statki z naszego nieba, a jak nie, to naprawdę im przyłożyć.

- Jeśli chodzi o Amerykanów, to Sheenie się myli; ja też ich znam. To najtwardszy naród w NS; to im musimy przysunąć. Już i tak wymyślają nam od morderców, więc trzeba im dać w kość, i to z d r o w o! Rąbnijmy w amerykańskie miasta, to wystarczy.

Wyśliznąłem się, pogadałem z Mikiem, zrobiłem parę notatek. Wróciłem do nich; dalej się spierali. Kiedy siadałem, spojrział na mnie Profesor.

- Panie feldmarszałku, nie wygłosił pan jeszcze swojej opinii.

- Profesorze, może by pan dał spokój tym wygłupom z “feldmarszałkiem”? Dzieci już śpią, możemy pozwolić sobie na szczerłość.

- Jak sobie- życzysz, Manuelu.

- Czekałem, aż dojdziecie do jakiegoś porozumienia.

Czekaj tatka latka.

- Nie wiem, czy mam prawo do opinii - kontynuowałem. - Jestem chłopcem na posyłki, znalazłem się tu, bo umiem programować komputer balistyczny. - Mówiąc to patrzałem wprost na Wolfganga - to towarzysz pierwsza klasa, ale poza tym, niestety, intelektualista. Ja jestem zwykłym programistą i nawet wyrażam się niezbyt gramatycznie, a Wolf, zanim go zesłali, ukończył jakiś frymuśny uniwersytet, chyba Oksford. Profesora szanował, ale poza nim już chyba nikogo. Może Stu - ale Stu też miał dyplomy jak się patrzy.

Wolf poruszył się speszony i powiedział:

- Nie wygłupiaj się, Mannie, oczywiście, że chcemy wysłuchać twojego zdania.

- Nie mam zdania. Plan bombardowania został starannie przygotowany, wszyscy mieli szansę zgłoszenia krytyki. Nie widzę powodów, by cokolwiek zmieniać.

- Manuelu - rzekł Profesor - czy zechciałbyś omówić dla nas bombardowanie Północnej Ameryki?

- Okay. Celem drugiego nalotu jest zmuszenie ich do zużycia pocisków przechwytyjących. Każdy strzał wycelowany jest w jakieś duże miasto - to znaczy, w cele puste w pobliżu dużych miast.

o czym powiadomimy ich na krótko przed samym trafieniem - na jak krótko, Sheenie?

- Właściwie już za chwilę. Ale można to odwołać. Nawet trzeba by.

- Być może. Propaganda to nie moja działka. W większości przypadków, aby trafić na tyle blisko, by zmusić ich do wystrzelenia rakiet przechwytyjących, musimy korzystać z celów wodnych - co nie jest przyjemne; nie dość, że pozabijamy ryby i tych, którzy nie będą się trzymać z dala od wody, to jeszcze spowodujemy straszne lokalne sztormy i uszkodzenia linii brzegowej.

Spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że muszę grać na zwłokę.

- Seattle dostanie w Cieśninę Pugeta, w sam środek miasta. San Francisco straci swoje dwa słynne mosty. Los Angeles oberwie pomiędzy Long Beach a Cataliną i jeszcze raz parę kilometrów na północ. Mexico City jest w głębi lądu, więc dołożymy im w Popocatepetl, niech widzą. Salt Lake City dostanie też w jezioro. Denver ignorujemy; pooglądają sobie Kolorado Springs - bo znów walimy w górę Cheyenne, ledwo wejdzie na celownik, i nie dajemy jej spokoju. Saint Louis i Kansas City łupniemy w rzeki, tak samo Nowy Orlean - w Nowym Orleanie pewno będzie powódź - tak samo wszystkie miasta nad Wielkimi Jeziorami, długa lista - mam przeczytać?

- Może potem - powiedział Profesor. - Mów dalej.

- Boston oberwie w port, Nowy Jork jeden ładunek w cieśninę Long Island i drugi pomiędzy dwa największe mosty - mosty chyba się od tego rozleczą, ale obiecaliśmy, że nie będziemy w nie celować i nie będziemy. Idąc dalej po ich wschodnim wybrzeżu, zajmujemy się dwoma miastami nad zatoką Delaware, dwoma nad Chesapeake, z których jedno ma maksymalne znaczenie historyczne i sentymentalne. Dalej na południe mamy jeszcze trzy wielkie miasta nad morzem. W głębi lądu dokładamy Cincinnati, Birmingham, Chattanooga, Oklahoma City - wszystkie mają duże rzeki albo szczyty górskie w pobliżu. Aha, Dallas - niszczymy port kosmiczny w Dallas, a przy okazji prawdopodobnie parę statków, ostatnio, kiedy sprawdzałem, było ich tam sześć. Nie będzie absolutnie żadnych ofiar w ludziach, chyba że ktoś się uprze, żeby stanąć na celu; Dallas to świetne miejsce do nalotu, port jest wielki, płaski i pusty, ale trafienie zobaczy jakie dziesięć milionów ludzi.

- O ile trafimy - powiedział Sheenie.

- Kiedy, nie "o ile". Za każdym pociskiem leci rezerwowy, opóźniony o godzinę. Jeśli nie przedostanie się ani jeden, ani drugi, to mamy jeszcze dalsze ładunki, które można zboczyć z kursu - np. nie będzie z tym kłopotu w przypadku pocisków dla rejonu zatok Delaware i Chesapeake. Tak samo z rejonem Wielkich Jezior. Ale na Dallas mamy osobną grupę ładunków rezerwowych, i to dużą - spodziewamy się tam intensywnej obrony. Na wykorzystanie rezerwy mamy około sześciu godzin, czyli dopóki Północna Ameryka nie zniknie nam z widoku - ostatnie ładunki możemy skierować w zasadzie, gdzie chcemy... bo im dalej znajduje się ładunek w chwili zmiany kursu, tym dalej możemy go przerzucić.

- Tego nie rozumiem - powiedział Brody.

- Kwestia wektorów, sędzio. Silnik kierunkowy może nadać ładunkowi tyle a tyle metrów na

sekundę wektora bocznego. Im dłużej ten wektor zadziała, tym dalej od pierwotnego celu trafi ładunek. Jeśli nadamy sygnał dla rakiety kierunkowej na trzy godziny przed uderzeniem, to możemy przesunąć cel trzy razy dalej, niż gdybyśmy zmienili zdanie dopiero na godzinę przed uderzeniem. Może nie jest to takie proste, ale nasz komputer da radę wszystko obliczyć - jeśli tylko będzie miał dość czasu.

- Ile to jest "dość czasu"? - zapytał Wolfgang.

Nie zrozumiałem jego pytania - umyślnie.

- Komputer potrafi rozwiązywać takie zadanie praktycznie natychmiast po wprogramowaniu. Ale takie decyzje są zaprogramowane z góry. Mniej więcej tak: Jeśli okaże się, że w grupie celów A, B, C i D za pierwszą i drugą salwą nie trafiliśmy w trzy cele, dokonujemy relokacji wszystkich ładunków rezerwowych drugiego stopnia dla pierwszej grupy, i dzięki temu możemy skierować je na te trzy cele, a jednocześnie relokujemy pozostałe ładunki rezerwowe drugiego stopnia z tej grupy do ewentualnego wykorzystania w grupie drugiej, natomiast ładunki trzeciego stopnia z nadgrupy Alfa relokujemy tak, aby...

- Nie tak prędko! - przerwał Wolfgang. - Nie jestem komputerem. Chciałbym się tylko dowiedzieć, ile jeszcze mamy czasu na podjęcie decyzji.

- Och. - Spojrzałem ostentacyjnie na zegarek. - W tej chwili macie... 3 minuty 58 sekund na zboczenie głównego ładunku dla Kansas City. Program zboczenia jest przygotowany, a mój najlepszy asystent - chłopak imieniem Mike - czeka na polecenie. Mam do niego zadzwonić?

- Man, na miłość Boską - powiedział Sheenie - odwołaj atak!

- Jeszcze czego! - odezwał się Finn. - Co z tobą, Terence? Spietrałeś się?

- Towarzysze! - rzekł Profesor. - Bardzo was proszę!

- Słuchajcie - powiedziałem - przyjmuję rozkazy od głowy państwa - od Profesora. Jeśli interesują go wasze opinie, to o nie poprosi. Krzyk nic tu nie pomoże. - Popatrzałem na zegarek. - Powiedzmy, że zostało dwie i pół minuty. Na inne cele, oczywiście, mamy więcej czasu; Kansas City jest najdalej od głębokiej wody. Ale dla niektórych miast nad Wielkimi Jeziorami nie da już rady zboczyć ładunków w ocean; najwyżej w Jezioro Górne. Dla Salt Lake City zostało około minuty. Potem już zapadła klamka. - Umilkłem i czekałem.

- Głosowanie imienne - powiedział Profesor. - Nad wykonaniem programu. Generał Nielsen?

- Da!

- Gospoża Davis? Wyoh odetchnęła głęboko.

- Da.

- Sędzia Brody?

- Tak, oczywiście. To konieczne.
- Wolfgang?
- Tak.
- Hrabia LaJoie?
- Da.
- Gospodin Sheehan?
- Zaskoczę pana. Jestem za. Niech będzie jednogłośnie.
- Jeszcze chwileczkę. Manuelu?
- Wszystko zależy od pana, Profesorze; przecież pan wie. Po co te wygłupy z głosowaniem?
- Wiem, że wszystko zależy ode mnie, gospodin Minister. Przeprowadzić bombardowanie zgodnie z planem.

Większość celów trafiliśmy za drugą salwą, choć wszystkie, z wyjątkiem Mexico City, były bronione. Najprawdopodobniej (98,3% według późniejszych obliczeń Mike'a) ich rakiety przechwytyjące miały radarowe zapalniki nastawione na odległość, na którą wybuch nie mógł zrobić krzywdy cylindrowi solidnej skały. Zniszczyły tylko trzy kamienie; niektóre zepchnęły z kursu, w związku z czym narobiły one więcej szkód, niż gdyby do nich nie strzelali.

Mieliśmy kłopoty z Nowym Jorkiem i jeszcze większe z Dallas. Może wynikało to z różnego działania miejscowych dowództw obrony, bo raczej nie wyglądało na to, żeby główne dowództwo w górze Cheyenne jeszcze funkcjonowało. Nawet jeśli nie zgruchotaliśmy ich nory (nie wiem, jak była głęboko), to założę się, że ani ludzie, ani komputery nie były w nastroju do prowadzenia obserwacji.

W Dallas rozwalili albo zboczyli pierwsze pięć kamieni, więc powiedziałem Mike'owi, żeby przerzucił, co się tylko da, z góry Cheyenne na Dallas... czego dokonał w dwie salwy później; te dwa cele dzieli raptem niecały tysiąc kilometrów.

Przy następnej salwie załamała się obrona Dallas; Mike przysunął ich portowi kosmicznemu jeszcze trzy ładunki (już i tak nie do zboczenia), a potem znów zajął się górą Cheyenne - późniejszych ładunków w ogóle nie ruszaliśmy, i nadal miały adres "góra Cheyenne". Poklepywał jeszcze tę zdemolowaną górę z kosmiczną energią, kiedy Północna Ameryka przekreśliła się za wschodni horyzont Terry.

Całe bombardowanie przesiedziałem u Mike'a, wiedziałem, że tym razem będziemy mieć największe kłopoty. Kiedy nadszedł czas na przerwę przed przetrzepaniem Wielkich Chin, Mike powiedział zamyślnym głosem:

- Wiesz, Man, może lepiej dajmy już spokój tej górze.

- Dlaczego, Mike?

- Bo już jej nie ma.

- Możesz przerzucić gdzieś pociski rezerwowe. Ile masz czasu do namysłu?

- Przydzielę je Albuquerque i Omaha, ale lepiej zająć się tym już teraz; jutro będziemy strasznie zalatani. Man, mój najlepszy przyjacielu, czy mógłbyś już iść?

- Nudzę cię, kolego?

- Za następne parę godzin ten statek może wystrzelić pierwsze pociski. Wtedy wolałbym przekazać całą kontrolę balistyczną Procy Dawida - a ty powinieneś wtedy być na Marę Undarum.

- Coś cię martwi, Mike?

- Ten chłopiec jest dokładny, Man. Ale jest też głupi. Ktoś musi go pilnować. Trzeba będzie szybko podejmować decyzje, a w tej chwili nie ma tam nikogo, kto potrafiłby go odpowiednio zaprogramować. Lepiej, żebyś tam był.

- Skoro tak uważasz, Mike, to okay. Ale jeśli p i l n i e będziemy potrzebowali programu, to i tak będę musiał do ciebie zadzwonić. -Największa wada komputerów to właściwie nie tyle wada komputerów, ile to, że człowiekowi potrzeba mnóstwa czasu, wielu godzin, na przygotowanie programu, którego rozwiązanie zajmie komputerowi milisekundy. Jedną z największych zalet Mike'a była taka, że umiał sam się programować. I to szybko. Wystarczyło mu wytłumaczyć i sam się programował. Tak samo i równie dobrze mógł programować swojego "synka-idiotę" znacznie szybciej niż człowiek.

- Ale Man, musisz tam być właśnie dlatego, że być może nie dasz rady do mnie zadzwonić; mogą przerwać linie. Więc przygotowałem zestaw programów dla Juniora; mogą się przydać.

- Okay, wydrukuj je. I połącz mnie z Profesorem.

Mike odszukał Profesora; upewniłem się, że nikt nas nie słucha, potem wyjaśniłem mu, co doradził mi Mike. Myślałem, że Profesor będzie się sprzeciwiał - miałem nadzieję, że uprze się, żebym tutaj czekał na bombardowanie, inwazję czy co tam knuli na tych statkach. Ale powiedział tylko:

- Manuelu, musisz tam jechać. Sam nie śmiałem ci o tym powiedzieć. Czy rozmawiałeś z Mikiem o szansach?

- Niet.

- A ja owszem, wciąż go o nie wypyuję. Mówiąc bez owijania w bawełnę, jeśli Luna City będzie zniszczone, i ja zginę i zginie reszta rządu - a nawet jeśli Mike straci wszystkie radarowe oczy

i zostanie odcięty od nowej wyrzutni - a to wszystko może się zdarzyć w razie ciężkiego bombardowania... nawet jeśli stanie się wszystko to naraz, to zdaniem Mike'a Luna będzie nadal miała równe szansę, jeśli będzie działać Proca Dawida - i jeśli ty będziesz nią dowodził.

- Da, boss - odrzekłem na to. - Yes sir, massa. Pan i Mike to para wapniaków, pozbawiacie mnie całej zabawy. Zrobię jak chcecie.

- Świetnie, Manuelu.

Zostałem z Mikiem jeszcze przez godzinę, kiedy drukował całe metry programów przygotowanych dla innego komputera - taka praca zajęłaby mi pół roku, a pewno i tak nie potrafiłbym wymyślić tylu ewentualności. Mike dodał do tego skorowidz i mnóstwo przypisów, a były w nich takie okropności, że aż strach mnie bierze, jak sobie przypomnę. To znaczy, że gdyby okazało się, że trzeba zniszczyć (powiedzmy) Paryż, w tych papierach było napisane, jak - jakimi pociskami, z jakiej orbity, jak Junior ma je znaleźć i naprowadzić na cel. I w ogóle w s z y s t k o.

Kiedy czytałem ten gigantyczny dokument - nie same programy, ale opisy ich zastosowań w nagłówkach - zadzwoniła Wyoh.

- Mannie, kochanie, czy Profesor powiedział ci, że masz jechać do Marę Undarum?

- Tak. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Dobrze. Spakuję nas oboje i spotkamy się na Wschodniej Stacji. Kiedy tam będziesz?

- Spakujesz "nas"? Ty też jedziesz?

- Profesor ci nie powiedział?

- Nie. - Nagle zrobiło mi się lżej na sercu.

- Miałam takie wyrzuty sumienia, kochanie. C h c i a ł a m jechać z tobą... ale nie mogłam wymyślić żadnej wymówki. W końcu nie znam się na komputerach, a tutaj mam obowiązki. Przynajmniej miałam. Ale teraz udzielili mi dymisji ze wszystkich stanowisk, i tobie też.

- Że co?

- Nie jesteś już ministrem obrony; zastąpił cię Finn. Teraz jesteś wicepremierem...

- Hmm!

- ... i do tego wiceministrem obrony. Ja zostałam już wiceprzewodniczącą Kongresu, a Stu wicesekretarzem Stanu do spraw zagranicznych. On też jedzie z nami.

- Nic nie rozumiem.

- To nie takie dziwne, jak się wydaje; Profesor i Mike wymyślili to już parę miesięcy temu.

Decentralizacja, kochanie, to samo, nad czym w osiedlach pracował McIntyre. Nawet jeśli L-City przestanie istnieć, Wolne Państwo Luna nadal będzie miało rząd. Jak powiedział Profesor: “Moja droga Wyoh, jeśli tylko pozostanie przy życiu was troje i paru kongresmanów, nie wszystko jeszcze przepadnie. Możecie prowadzić negocjacje na równej stopie i nie przyznawać się do strat”.

A więc znów zacząłem karierę technika komputerowego. Stu i Wyoh czekali na mnie z bagażem (między innymi z resztą moich rąk), i zaczęliśmy wędrówkę w skafandrach przez niekończące się zdekompresowane tunele, na małej gąsienicowej platformie, którą wożono stal do nowej wyrzutni. Do jazdy po powierzchni Greg wysłał po nas większą ciężarówkę, a potem, kiedy znów weszliśmy pod powierzchnię, wyszedł nam na spotkanie.

I w taki to sposób przegapiłem atak na radary balistyczne w sobotę w nocy.

ROZDZIAŁ XXVIII

Kapitanowi pierwszego statku, FNS *Esperance*, odwagi nie brakło. Późno wieczorem w sobotę zmienił kurs i ruszył prosto na cel. Widocznie myślał, że możemy próbować ogłupić jego radary, bo, jak się okazało, postanowił nie ufać, że jego pociski naprowadzą się na nasze promienie i podszedł na tyle blisko, by obejrzeć sobie nasze anteny pokładowym radarem.

Musiał uważać, że ani on sam, ani statek, ani załoga nie mają zbyt wielkiej wartości, bo wystrzelił pociski dopiero na wysokości tysiąca kilometrów a zresztą trafił w pięć z sześciu radarów Mike'a, bo zignorował jego zrandomizowane sygnały dezorientujące.

Mike, który spodziewał się, że wkrótce straci wzrok, pozwolił chłopcom Brody'ego wypalać oczy statku przez całe trzy sekundy, zanim przerzucił ogień na pociski.

Rezultat: jeden roztrzaskany krążownik, dwa radary balistyczne zniszczone przez rakiety H, trzy rakiety "uśmiercone" - i dwa działony uśmiercone, jeden przez wybuch jądrowy, drugi przez martwy pocisk, który wylądował wprost na nich - plus 13 artylerzystów z poparzeniami od promieniowania powyżej śmiertelnego poziomu 800 rentgenów, częściowo od wybuchu, częściowo od zbyt długiego pobytu na powierzchni. -I muszę dodać: Wraz z tymi działonami zginęły cztery członkinie Korpusu Lizystraty; postanowiły założyć skafandry i wyjść na powierzchnię z mężami. Inne dziewczęta też były wystawione na spore promieniowanie, ale nie rzędu 800 rtg.

Drugi krążownik nadal wędrował po eliptycznej orbicie wokół Luny i za nią.

O większości z tego dowiedziałem się od Mike'a, kiedy w sobotę rano przybyliśmy do Procy Dawida. Mike narzekał po stracie dwóch oczu, a jeszcze bardziej po stracie obsad dwóch dział - chyba wykształcało się w nim coś w rodzaju ludzkiego sumienia; uważał, że to jego wina, że nie mógł poradzić sobie z sześcioma celami naraz. Zauważyłem, że musiał walczyć z improwizacją na bliskim zasięgu, nie z prawdziwą bronią.

- A ty, Mike? Nic ci się nie stało?

- W sumie nic. Pewne oddalone obwody zostały przecięte. Jeden żywy pocisk przerwał połączenie z Nowym Leningradem, ale meldunki przekazane via Luna City donoszą, że systemy lokalne przejęły kontrolę bez żadnych zakłóceń w działalności urządzeń komunalnych. Frustrują mnie te przerwane obwody - ale tym można zająć się później.

- Masz zmęczony głos, Mike.

- Ja zmęczony? Cóż za groteskowy pomysł! Man, zapominasz, czym jestem. Jestem tylko zirytowany.

- Kiedy ten drugi statek znów się pokaże?

- Za jakieś trzy godziny, o ile nie zmieni orbity. Ale zmieni ją - prawdopodobieństwo

powyżej 90%. Oczekuję, że zrobi to za godzinę.

- Wariacka orbita, tak? Ho ho!

- Kiedy opuszczał zasięg namierzania, miał azymut i kurs na północnowschodni wschód. Z czym ci się to kojarzy, Man?

Spróbowałem wyobrazić sobie mapę.

- Z tym, że chcą wylądować i opanować ciebie, Mike. Powiedziałeś Finnowi? To znaczy, czy powiedziałeś Profesorowi, żeby ostrzegł Finna?

- Profesor wie. Ale nie o tym akurat myślę.

- Czyżby? No, cóż, chyba już przestanę gadać i nie będę ci przeszkadzał w pracy.

I tak też uczyniłem. Kiedy sprawdzałem Juniora, Lenore przyniosła mi śniadanie - i muszę ze wstydem przyznać, że w obecności i Wyoh, i Lenore jakoś nie mogłem poczuć smutku po naszych stratach. Po śmierci Miły Mama wysłała Lenore, żeby "gotowała dla Gre-ga" - po to oficjalnie, choć przy wyrzutni było tyle żon, że mogły gotować dla wszystkich. Mamie chodziło o morale Grega, także o morale Lenore; Lenore była blisko z Miłą.

Junior sprawował się bez zarzutu. Obrabiał Południową Amerykę, po jednym celu naraz. Posiedziałem w sali radaru i pod największym powiększeniem patrzyłem, jak umieszcza ładunek w estuarium pomiędzy Montevideo a Buenos Aires; nawet Mike nie zrobiłby tego dokładniej. Potem sprawdziłem program dla Północnej Ameryki, nie znalazłem niczego, do czego mógłbym się przyczepić - wyszedłem i zamknąłem salę na klucz. Junior został sam - chyba że Mike uwolni się od innych kłopotów i postanowi przejąć kontrolę.

Potem usiadłem i usiłowałem nasłuchiwać wiadomości, jednocześnie z Ziemi i z L-City. Z L-City współosiowy kabel przekazywał rozmowy telefoniczne, sygnały Mike'a dla jego niedorozwiniętego dziecka, radio i TV; nowa wyrzutnia nie była już odcięta od świata. Ale poza kablem z L-City mieliśmy też anteny nakierowane na Terrę; natychmiast słyszeliśmy wszystkie wiadomości z Ziemi, jakie przejmował Kompleks. Zresztą nie był to niepotrzebny bajer; podczas budowy radio i TV z Terry dostarczały jedynej rozrywki, a teraz było to łącze awaryjne na wypadek przerwania naszego jedyne go kabla.

W oficjalnym przekazie satelitarnym NS twierdzili, że lunańskie radary balistyczne zostały zniszczone, i że jesteśmy teraz bezbronni. Ciekawe, co na to powiedzieli ludzie w Buenos Aires i Montevideo. Pewno nie mieli czasu słuchać; w niektórych miejscach strzały w wodę były gorsze niż w niezamieszkały ląd.

Na kanale TV *Lunatyka* z Luna City Sheenie opowiadał ludziom o efektach ataku *Esperance*, powtarzał wiadomości i przez cały czas przypominał, że wojna się n i e skończyła, że lada chwila znów pojawi się na naszym niebie okręt wojenny - mają być gotowi na wszystko, niech nikt nie zdejmuje skafandra (Sheenie mówił to w skafandrze z otwartym hełmem), zachować maksymalne

środki bezpieczeństwa ciśnieniowego, czerwony alarm we wszystkich jednostkach, wszystkim obywatelom bez przydziału zaleca się udać na najniższe poziomy i przeczekać tam, aż się uspokoi. I tak dalej.

Powtórzył to parę razy, potem nagle przerwał:

- Z ostatniej chwili! Radar wykrył nieprzyjacielski krążownik, mała wysokość, duża prędkość. Może nurkować na Luna City. Z ostatniej chwili! Wystrzelił pociski, wycelowane w otwór wylotowy...

Raptem obraz i dźwięk zanikły.

Równie dobrze mogę wam teraz opowiedzieć o czymś, czego my przy Procy Dawida dowiedzieliśmy się później: Drugi krążownik podszedł nisko i szybko, po najciaśniejszej orbicie, na jaką pozwala ciążenie Luny, i dzięki temu mógł zbombardować otwór wylotowy starej wyrzutni, o sto km od rampy i artylerii Brody'ego, i w ciągu minuty, jaką zajęło mu dotarcie w zasięg namierzania i ognia naszych dział, które zgromadzone były przy radarach przy rampie załadowniczej, załatwił mnóstwo pierścieni. Chyba myśleli, że nic im nie grozi. Mylili się. Chłopcy Brody'ego wypalili im oczy i uszy. Potem statek dokonał jeszcze jednego obrotu i rozbił się koło Torricelliego, widocznie przy próbie lądowania, bo tuż przed eksplozją włączyli silniki.

Ale my przy nowej wyrzutni w następnej kolejności odebraliśmy ich przekaz z Ziemi: ta bezczelna stacja NS stwierdziła, że nasza wyrzutnia została zniszczona (co było prawdą), i że w ten sposób zlikwidowano lunańskie zagrożenie (kłamstwo), i wezwała wszystkich Lunatyków, aby uwięzili swych fałszywych przywódców i zdali się na łaskę Narodów Sfederowanych (nie istniejącą zresztą).

Posłuchałem sobie tego, sprawdziłem jeszcze raz programy i wszedłem do ciemnej sali radarów. Jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, to za chwilę podrzucimy następną jajeczko do rzeki Hudson, potem przez trzy godziny będziemy kolejno obrabiać dalsze cele na kontynencie - "kolejno", bo Junior nie potrafił obsługiwać trafień jednoczesnych; Mike uwzględnił to w swoich programach.

Rzeka Hudson dostała zgodnie z planem. Przez chwilę zastanawiałem się, ilu nowojorczyków słuchało programu NS, oglądając jednocześnie dementującą go fontannę.

W dwie godziny później stacja NS oświadczyła, że w momencie zniszczenia wyrzutni lunańscy rebelianci mieli jeszcze pociski na orbicie, ale po uderzeniu tych paru ostatnich wszelkie niebezpieczeństwo zniknie. Po zakończeniu trzeciego bombardowania Północnej Ameryki zgasiał radar. Zresztą nie chwaliliśmy się nim; Junior zerkał przez niego tylko w razie potrzeby, po parę sekund.

Do następnego bombardowania Wielkich Chin miałem dziewięć godzin.

Musiałem w tym czasie podjąć najważniejszą decyzję, czy mamy znów uderzyć w Wielkie Chiny. Nie miałem informacji. Poza doniesieniami agencyjnymi z Terry. Które zapewne były wyssane z palca. Jasny gwint. Nie wiedziałem, czy osiedla zostały zbombardowane. Czy Profesor

żyje. Cholera. Czy pełnię już obowiązki premiera? Tęskniłem za Profesorem; "głowa państwa" to nie na mnie para walonków. A najbardziej tęskniłem za Mikiem, który skalkulowałby fakty, określił niepewność, przeprowadził projekcje, co by było, gdyby to albo tamto.

Do diabła, nie wiedziałem nawet, czy nie lecą na nas jakieś statki, a do tego bałem się popatrzeć. Jeśli włączę radar i każę Juniorowi przepatrywać niebo, to ze statku, który muśnię nasz promień, zobaczą nas szybciej niż my ich; okręty wojenne mają obwody wykrywania radaru. Tak przynajmniej słyszałem. Kurde, co ze mnie za żołnierz; jestem technikiem komputerowym, tylko zabłąkałem się tam, gdzie nie powinienem.

Ktoś zabrzączał do drzwi; wstałem i otworzyłem zamek. To była Wyoh z kawą. Nic nie powiedziała, tylko dała mi kawę i poszła.

Zacząłem ją sączyć. Widzisz, stary - zostawiają cię samego, czekają, aż wyciągniesz z sakwy jakąś magiczną sztukę. Jakoś nie czułem się w roli kuglarza.

Z dawnych czasów młodości doszedł do mnie głos Profesora: "Manuelu, kiedy stoisz przed problemem, którego nie rozumiesz, spróbuj rozwikłać te jego części, które rozumiesz, a potem znów przyjrzyj się całości". Uczył mnie wtedy czegoś, na czym sam nie znał się za dobrze - chyba jakiegoś zagadnienia z matematyki - ale przy okazji nauczył mnie rzeczy znacznie ważniejszej, podstawowej zasady.

Zaraz zrozumiałem, od czego trzeba zacząć.

Podszedłem do Juniora i kazałem mu wydrukować przewidywane dane o uderzeniach wszystkich ładunków na orbicie - żaden kłopot, przygotowany program, który mógł wykonać w czasie rzeczywistym. Kiedy się tym zajmował, ja poszukałem w tej wielkiej rolce od Mike'a paru programów alternatywnych.

A potem je wprowadziłem - też żadna sztuka, musiałem tylko uważnie je czytać i nie mylić się przy wstukiwaniu. Dla pewności przed poleceniem wykonania kazałem je Juniorowi jeszcze raz wydrukować.

Kiedy skończyłem - po czterdziestu minutach - wszystkie ładunki na orbicie przeznaczone dla celów śródlądowych były już przepisane do miast nadmorskich - a na wszelki wypadek opóźniłem wykonanie programu dla dalszych kamieni. Ale jeśli nie odwołam polecenia, Junior na czas przeprowadzi relokację.

Teraz mogłem odetchnąć, każdy pocisk da radę zboczyć do oceanu nawet na parę minut przed uderzeniem. Mogłem spokojnie pomyśleć. A więc pomyślałem.

I zwołałem mój "gabinet wojenny" - Wyoh, Stu i Grega, mojego "Dowódcę Sił Zbrojnych" - w gabinecie Grega. Lenore wciąż wchodziła i wychodziła, przynosiła kawę i jedzenie albo siedziała i milczała. Lenore to rozsądna kobieta, wie, kiedy trzeba trzymać buzię na kłódkę.

Na początek odezwał się Stu.

- Panie Premierze, uważam, że tym razem nie powinniśmy walić w Wielkie Chiny.

- Dajmy sobie spokój z tytułami, Stu. Może pełnię obowiązków, a może nie. Ale szkoda czasu na formalności.

- Zgoda. Czy mogę uzasadnić moją propozycję?

- Potem. - Wyjaśniłem, co zrobiłem, żeby zarobić trochę czasu; skinął głową i siedział cicho.

- Główny kłopot w tym, że jesteśmy odcięci i od Luna City, i od Ziemi. Greg, co z tą ekipą remontową?

- Jeszcze nie wrócili.

- Jeśli kabel przerwało gdzieś koło Luna City, to mogą jeszcze długo nie wrócić. O ile w ogóle da radę go naprawić. Musimy więc założyć, że jesteśmy zdani na własne siły. Greg, czy masz jakiegoś elektronika, który podrasowałby radio tak, żebyśmy mogli rozmawiać z Ziemią? To znaczy, z ich satelitami - mamy odpowiednią antenę, nie trzeba do tego za dużo mocy. Mógłbym przy tym pomóc, a ten technik, którego ci podesłałem, też jest całkiem niezły. - Właściwie przy zwykłej elektronice był geniuszem - ten sam biedak, którego kiedyś fałszywie oskarżyłem o wpuszczenie muchy w trzewia Mike'a. To ja przydzieliłem mu tę robotę.

- Harry Biggs, szef reaktora, umie wszystko z tej działki - powiedział Greg w zamyśleniu - jeśli tylko dostanie części.

- Powiedz mu, żeby się tym zajął. Może rozbebeszyć wszystko poza radarem i komputerem, tylko niech zaczeka, aż wystrzelimy wszystkie ładunki z wyrzutni. Ile jeszcze zostało w magazynie?

- 23, i to już resztkę stali.

- A więc musimy wygrać 23 pociskami. Przygotuj je do załadowania; mogą się jeszcze dziś przydać.

- Są przygotowane. Możemy je ładować tak szybko, jak nasz kotek nadąży z wystrzeliwaniem.

- Świetnie. Jeszcze jedno... Nie wiem, czy na naszym niebie nie ma krążownika NS - albo paru krążowników. A boję się spojrzeć. To znaczy, spojrzeć przez radar; radar mógłby zdradzić naszą pozycję. Czy znajdziesz ochotników do obserwacji wzrokowej, i czy nie są ci potrzebni do czegoś innego?

- Ja się zgłaszam! - odezwała się Lenore.

- Dziękuję, kotku; przydasz się nam.

- Znajdę ludzi - powiedział Greg. - To nie zabawa dla kobiet.

- Puść ją, Greg; W tę zabawę wszyscy musimy się bawić. - Wyjaśniłem, o co chodzi: na Marę Undarum jest teraz ciemny pół-miesiąc; Słońce już zaszło. Dokładnie nad nami przechodzi granica

pomiędzy światłem Słońca a cieniem Luni. Statek przechodzący przez nasze niebo będzie na zachodzie lśnić, a na wschodzie zgaśnie. Widoczna część orbity rozciąga się od horyzontu do jakiegoś punktu na niebie. Jeśli zespół obserwacyjny zdoła dostrzec statek w obu punktach, określi jeden według azymutu, a drugi według gwiazd i zmierzy czas od rozbłyśnięcia do zgaśnięcia, to Junior może odgadnąć orbitę - po drugim przejściu Junior będzie znał okres obiegu i dowie się co nieco o kształcie orbity. A wtedy ja mogę się domyślić, kiedy możemy bezpiecznie posługiwać się radarem i radiem, i wyrzutnią -wolałbym nie wypuszczać ładunku, kiedy nad horyzontem będzie statek NS, który może na nas patrzeć przez radar.

Może przesadzałem z ostrożnością, ale musiałem działać tak, jakby ta jedna wyrzutnia, ten jeden radar, te dwa tuziny pocisków stanowiły cały potencjał wojenny Luni, a nasz bluff opierał się na tym, że oni nie wiedzieli, co mamy i gdzie. Musieliśmy sprawić wrażenie, że jesteśmy w stanie bez końca grzmocić Terrę pociskami, pochodzącymi z miejsca, którego istnienia się nie spodziewali i którego nigdy nie odnajdą.

W tamtych czasach, zresztą tak jak teraz, większość Lunatyków nie znała się na astronomii - jesteśmy jaskiniowcami, wychodzimy na powierzchnię tylko, kiedy nie można inaczej. Ale mieliśmy szczęście - w ekipie Grega był jeden astronom-amator, facet, który przedtem pracował w Richardsonie. Wy tłumaczyłem mu, co i jak, mianowałem go dowódcą i zostawiłem, uczącego resztę przepatrywaczy, jak odróżniać gwiazdy. Wszystko załatwiłem i powróciliśmy do naszych rozmów.

- A więc, Stu? Dlaczego mielibyśmy nie walić w Wielkie Chiny?

- Nadal spodziewam się wiadomości od drą Chana. Otrzymałem już od niego jeden przekaz, przetelefonowali go tuż przed odcięciem łączności...

- Jasny gwint, czemu mi nie powiedziałaś?

- Chciałem, ale zamknęłaś się na klucz, a wolałem nie przeszkadzać ci w balistycznej robocie. Oto wiadomość. Zwykły adres LUNOHO Company z dopiskiem, który znaczy, że to dla mnie, i że doszło przez agenta z Paryża. "Nasz przedstawiciel handlowy w Darwin" - to znaczy Chan - "zawiadomił nas, że przesyłka z dnia..." - mniejsza o szyfry; data jest z czerwca zeszłego roku, ale chodzi o terminy ataków - "była nieodpowiednio opakowana, w związku z czym towar został poważnie uszkodzony. Jeśli sytuacja taka się powtórzy, negocjacje w sprawie długoterminowego kontraktu mogą zostać zerwane."

Stu podniósł wzrok.

- Sam nie za dobrze to rozumiem. Chyba dr Chan uważa, że jego rząd jest gotów przystąpić do rozmów... ale jeśli nie przestaniemy bombardować Wielkich Chin, to mogą się rozmyślić.

- Hmm... - Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Spytać Wyoh? Nikt nie zna cnót Wyoh lepiej ode mnie... ale ona wciąż waha się pomiędzy gwałtownością a aż nadmiernym współczuciem - nauczyłem się już tyle, że obu tych uczuć powinna wystrzegać się "głowa państwa", a nawet pełniący obowiązki głowy państwa. Spytać Grega? Greg to dobry farmer, jeszcze lepszy mechanik, płomienny

kaznodzieja; bardzo go kocham - ale nie poproszę go o radę. Stu? Jego zdanie już znam.

Czy na pewno?

- Stu, co ty o tym sądzisz? Nie Chan - ale ty sam.

Stu miał zamyśloną minę.

- To trudne pytanie, Mannie. Nie jestem Chińczykiem, nie spędziłem za wiele czasu w Wielkich Chinach i nie mogę uważać się za eksperta w sprawach ich polityki czy psychologii. Więc muszę polegać na jego opinii.

- Hmm... Do diabła, on nie jest Lunatykiem! Jego cele są sprzeczne z naszymi. Co o n może na tym zyskać?

- Chyba przymierza się do monopolu na handel z Luną. Może i do założenia baz. Może nawet do eksterytorialnej enklawy. Tego oczywiście mu nie damy.

- Chyba że nas przymuszają.

- To wszystko moje domysły. Wiesz, on nie mówi wiele. Za to dużo słucha.

- Wiem, aż za dobrze. - Martwiłem się tym, z każdą minutą coraz bardziej.

W kącie radio mamrotało ich wiadomości z Ziemi; poprosiłem Wyoh, żeby go słuchała, kiedy z Gregiem organizowałem przepatrywaczy.

- Wyoh, kotku, powiedzieli coś nowego?

- Nie. Wciąż te same bzdury. Ponieśliśmy druzgocącą klęskę i lada chwila spodziewają się naszej kapitulacji. Aha, ostrzegają, że w przestrzeni jest jeszcze parę pocisków, nad którymi straciliśmy kontrolę, ale zapewniają, że analizują ich trajektorie i w porę uprzedzą ludzi, żeby wynieśli się z obszaru uderzenia.

- Nic, co sugerowałyby, że Profesor - albo ktokolwiek z Luna City, albo w ogóle z Luny - kontaktuje się z Ziemią?

- Nic a nic.

- Cholera. A Wielkie Chiny?

- Żadnych wiadomości. Są komentarze z prawie wszystkich państw. Tylko Wielkie Chiny milczą.

- Hmm... - Podeszedłem do drzwi. - Greg! Hej, kolego, poszukaj no Grega Davisa. Potrzebuję go.

Zamknąłem drzwi.

- Stu, nie damy spokoju Wielkim Chinom.

- Nie?

- Nie. Gdyby Wielkie Chiny wyłamały się z sojuszu przeciw nam, to byłoby coś zupełnie innego; wtedy moglibyśmy przestać. Ale to, co mamy, wywalczyliśmy sobie jedynie tym, że pokazaliśmy im, że możemy walić w każde miejsce i niszczyć wszystkie statki, jakie na nas poślą. Przynajmniej mam nadzieję, że spaliliśmy ten ostatni, a w każdym razie uziemiliśmy osiem na dziewięć. Nic nie zwojujemy, jeśli raptem zaczniemy zachowywać się, jakbyśmy byli wyczerpani, teraz, kiedy NS twierdzą, że jesteśmy nie tyle wyczerpani, co załatwieni na amen. Musimy zrobić im niespodziankę. Zaczniemy od Wielkich Chin, a jeśli zasmuci to dr Chana, to możemy mu podrzucić chusteczkę, żeby się wyplakał. Jeśli nadal będziemy się zachowywać, jakbyśmy byli silni - na przekór twierdzeniom NS, że jesteśmy załatwieni - to w końcu jakieś wielkie mocarstwo się załamie. Jeśli nie Wielkie Chiny, to jakieś inne. Stu skłonił się nie wstając.

- Tak jest, sir.

- W takim razie...

Wszedł Greg.

- Szukałeś mnie, Mannie?

- Co słyhać z tym nadajnikiem dla Ziemi?

- Harry mówi, że na jutro będzie gotowy. Nie będzie piękny, ale jeśli damy mu dość watów, to tamci nas usłyszą.

- Energii nam nie braknie. A skoro on mówi "Jutro", to znaczy, że już wie, jak to ma wyglądać. A więc zrobimy go na dzisiaj - powiedzmy na szóstą. Pomogę mu. Wyoh, kochanie, mogłabyś przynieść moje ręce? Nr 6 i nr 3 - może jeszcze nr 5. Pójdiesz ze mną i będziesz mi zmieniać ręce. Stu, przygotuj parę paskudnych komunikatów - podam ci ogólne zarysy, a ty przyprawisz je żółcią. Greg, nie wystrzelimy w kosmos wszystkich kamieni naraz. Te, które już lecą, dotrą do celu za jakie osiemnaście, dziewiętnaście godzin. Potem, kiedy NS ogłoszą, że spadły już wszystkie, i że to koniec lunańskiego niebezpieczeństwa... włączymy się w ich program i nadamy ostrzeżenie o następnym bombardowaniu. Na jak najkrótsze orbity, Greg, dziesięć godzin albo i mniej - sprawdź wszystko przy wyrzutni, przy reaktorze i aparaturze kontrolnej; przy takim przyspieszeniu wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

Wyoh wróciła z rękami; powiedziałem "nr 6" i dodałem:

- Greg, chciałbym porozmawiać z Harrym.

W sześć godzin później nasza radiostacja była gotowa do nadawania w stronę Terry. Piękna nie była, złożyliśmy ją głównie z części sondy rezonansowej, z której korzystaliśmy w pierwszych fazach budowy. Ale przenosiła sygnały audio na częstotliwości radiowej i miała wielką moc. Nagraliśmy na taśmę moje ostrzeżenia, dopaskudzone przez Stu, i Harry przygotował się do nadawania w przyspieszonym tempie - wszystkie terrańskie satelity przyjmują transmisje z przyspieszeniem 60:1, a wolałem, żeby nasz nadajnik nie działał dłużej, niż musi; obserwacja wzrokowa potwierdziła moje obawy: co najmniej dwa statki krążą po orbicie wokół Luny.

Więc powiedzieliśmy Wielkim Chinom, że ich nadmorskie miasta dostaną prezent od Luny w postaci przesunięcia trafiań o 10 km w głąb oceanu - Pusan, Tsingtao, Taipei, Szanghaj, Sajgon, Bangkok, Singapur, Dżakarta, Darwin itd. - tylko stary Hongkong otrzyma strzał prosto na dalekowschodnie biura NS, więc niech wszyscy ludzie trzymają się od nich z daleka. Stu dodał, że słowo "ludzie" nie oznacza personelu NS; ich prosimy o pozostanie przy biurkach.

Indiom posłaliśmy podobne ostrzeżenia o miastach nadmorskich, wraz z zawiadomieniem, że przez jeszcze jeden obrót Terry oszczędzimy centralne biura NS - z szacunku dla zabytków kultury w Agrze i aby umożliwić ludziom ewakuację. (Po przekroczeniu tego terminu zamierzałem przesunąć go o kolejny obrót - z szacunku dla Profesora. A potem o jeszcze jeden i tak w nieskończoność. Do diabła, m u s i e l i zbudować swoją centralę tuż obok najbardziej kiczowatego grobowca na całej Terra. Ale Profesor cenił sobie ten grobowiec.)

Reszcie świata powiedzieliśmy, żeby nie wyłączali radia; mecz będzie miał dogrywkę. Ale niech nie zbliżają się do j a k i c h k o l w i e k biur NS, gdziekolwiek; jesteśmy bardzo źli, i wszystkie biura NS są zagrożone. Albo jeszcze lepiej niech wyrwywają z miast, gdzie są kwatery NS - tylko VIP-y i sługusów NS poprosiliśmy, żeby się nigdzie nie ruszali.

Przez następne 20 godzin pilnowałem Juniora, żeby spoglądał przez radar tylko wtedy, kiedy na niebie nie ma statków - albo przynajmniej kiedy ich nie widzimy. W wolnych chwilach drzemałem, a Lenore siedziała ze mną i budziła mnie, kiedy znów trzeba było pilnować Juniora. W ten sposób skończyły się kamienie Mike'a, a my ogłosiliśmy alarm i wystrzeliliśmy nasz pierwszy szybki kamień. Poczekaliśmy, aż nie przekonałem się, że poleciał zgodnie z planem, potem powiedzieliśmy Terra, gdzie i kiedy mogą się go spodziewać, żeby wszyscy wiedzieli, że rzekome zwycięstwo NS to tylko kolejne z ich niezliczonych kłamstw na temat Luny - wszystko to w najlepszym aroganckim i butnym stylu Stu i ogłoszone z jego snobistycznym akcentem.

W sumie ten pierwszy kamień powinien trafić do Wielkich Chin, ale było pewne miejsce w Dyrektoracie Północnoamerykańskim, do którego jeszcze bardziej chciałem go posłać - ich najcenniejszy klejnot, Hawaje. Junior umieścił go w trójkącie utworzonym przez Maui, Molokai i Lanai. Nie musiałem niczego programować; Mike przewidział wszystko.

A potem pronto, w krótkich odstępach, wystrzeliliśmy jeszcze dziesięć kamieni (z jednego musieliśmy zrezygnować, bo pokazał się statek) i powiadomiliśmy Wielkie Chiny, które będą leciały, gdzie trafią i kiedy - w nadmorskie miasta, które wczoraj potraktowaliśmy tak łaskawie.

Zostało dwanaście kamieni, ale uznałem, że lepiej wyczerpać amunicję niż zdradzić się, że się kończy. Więc posłałem siedem dla portów w Indiach, innych niż dotychczas, a Stu słodziutko

spytał, czy ewakuowali już Agrę. Bo jak nie, to mają nam natychmiast powiedzieć. (Ale nie strzelaliśmy do niej.)

Egiptowi kazaliśmy usunąć wszystkie statki z Kanału Sueskiego - blef; zostało nam tylko pięć kamieni.

A potem czekaliśmy.

Trafienie w Lahaina Roads, ten cel na Hawajach. W powiększeniu wyglądało to nieźle; Mike mógłby być dumny z Juniora.

I znów czekaliśmy.

Na 37 minut przed pierwszym trafieniem w chijskie wybrzeże Wielkie Chiny potępiły działania NS, uznały naszą niepodległość i ogłosiły gotowość do podjęcia negocjacji - a ja zwichnąłem sobie palec od naciskania na guziki odchyłania ładunków.

Potem musiałem naciskać tym zwichniętym; Indie czym prędzej poszły za przykładem sąsiada.

Uznał nas Egipt. Inne narody kołatały do naszych drzwi.

Stu poinformował Terrę, że zawiesiliśmy bombardowania - tylko zawiesiliśmy, nie odwołaliśmy. Teraz niech szybko zabiorą te statki z naszego nieba - i to **JUŻ!** - a potem porozmawiamy. Jeśli nie dadzą rady wrócić do domu bez tankowania paliwa, to mogą wylądować, o nie mniej niż 50 km od jakiegoś osiedla, i tam niech czekają, aż przyjmiemy ich kapitulację. Ale mają n a t y c h m i a s t zniknąć z naszego nieba!

Z nadaniem tego ultimatum zaczęliśmy, póki jeden z ich statków nie zniknął za horyzontem; lepiej nie ryzykować - jeden pocisk i Luna naprawdę będzie bezbronna.

I czekaliśmy dalej.

Wróciła ekipa od kabla. Zanim znaleźli miejsce zerwania, doszli niemal do Luna City. Ale nie mogli go naprawić, bo było zasypane tysiącami ton pokruszonej skały, więc zreperowali awarię prowizorycznie - cofnęli się do miejsca, skąd można było wyjść na powierzchnię, ustawili przekaźnik radiowy, wycelowany w stronę Luna City (tak im się wydaje), wystrzelili tuzin rac w 10-minutowych odstępach, i mają nadzieję, że ktoś je zobaczył, dobrze zrozumiał i ustawi drugi przekaźnik... Czy Luna City nawiązała z nami łączność?

Nie.

Czekaliśmy.

Przepatrywacze zameldowali, że statek, który już dziewiętnaście razy pokazywał się z maniacką punktualnością, tym razem się nie zjawił. W dziesięć minut później zgłosili o braku kontaktu wzrokowego z drugim oczekiwanym statkiem.

Czekaliśmy i słuchaliśmy.

W imieniu wszystkich wielkich mocarstw Wielkie Chiny przyjęły zawieszenie broni i oznajmiły, że nasze niebo jest już puste. Lenore rozplakała się i zaczęła całować każdego, kto był pod ręką.

Kiedy się uspokoiło (spróbujcie myśleć, kiedy obcałowują was kobiety, zwłaszcza kiedy pięć z nich nie jest waszymi żonami) - po paru minutach, kiedy już można było myśleć - powiedziałem:

- Stu, musisz natychmiast ruszyć do Luna City. Wybierz sobie grupę. Tylko bez kobiet - ostatnie kilometry trzeba będzie przejść po powierzchni. Dowiedz się, co się dzieje - ale przede wszystkim niech skierują jakiś przekaźnik na nasz, i zadzwoń do mnie.

- Rozkaz, sir.

Właśnie ekwipowaliśmy go do podróży - dodatkowe butle z tlenem, składany namiot przeciwpromienny itd. - kiedy powiedzieli, że jest dla mnie wiadomość z Z i e m i... na częstotliwości, na której nasłuchiowaliśmy, bo (jak się potem dowiedziałem) nadali tę wiadomość na wszystkich swoich częstotliwościach:

“Wiadomość prywatna, Profesor do Mannie’ego - identyfikacja: urodziny w Bastylii i rodzeństwo Sherlocka. Natychmiast wracaj do domu. Powóz czeka przy waszym nowym przekaźniku. Wiadomość prywatna, Profesor do...” I znów od nowa.

- Harry!

- Da, boss?

- Przekaz dla Ziemi - nadasz z taśmy, w przyspieszonym tempie; po co mają nas namierzać. “Wiadomość prywatna, Mannie do Profesora. Mosiężna armata. Już ruszam!” Niech potwierdzą odbiór - ale wyślij to tylko j e d n y m sygnałem.

ROZDZIAŁ XXIX

Stu i Greg prowadzili gąsienicówkę, a Wyoh, Lenore i ja kupiliśmy się na otwartej platformie z tyłu, przypięci pasami, żeby nie spaść; była za mała. Miałem dużo czasu, żeby myśleć; żadna z dziewcząt nie miała radia w skafandrze, i mogliśmy rozmawiać tylko dotykając się hełmami - niewygodne.

Teraz, kiedy wygraliśmy, zaczynałem pojmywać te części planu Profesora, które przedtem nie były dla mnie takie jasne. Sprowokowanie ataku na wyrzutnię ocaliło osiedla - przynajmniej miałem taką nadzieję, tak przewidywał plan - ale Profesor zawsze przejawiał optymistyczną obojętność w sprawach bezpieczeństwa wyrzutni. Oczywiście mieliśmy jeszcze jedną, ale daleko i trudno było do niej dojechać. Zbudowanie linii kolejki do nowej wyrzutni, przez wysokie góry, zajmie l a t a. Może taniej byłoby naprawić starą. O ile się da.

Tak czy tak, na razie nie będziemy wysyłać ziarna na Terę.

I o t o właśnie szło Profesorowi! A jednak ani razu ani nie pisał, że jego plan opiera się na zniszczeniu starej wyrzutni - jego plan długoterminowy, nie tylko Rewolucja. Teraz może nawet nie przyzna się do tego. Ale Mike mi powie - jeśli spytam go kategorycznie: Czy uwzględniłeś ten czynnik w szansach, czy nie? W projekcji zamieszek głodowych i tak dalej, Mike? On mi powie.

Ten układ, tona za tonę... U nich na Ziemi Profesor wciąż o tym opowiadał, to był argument na rzecz terrańskiej wyrzutni. Ale osobiście nie był nim zachwycony. Raz, w Północnej Ameryce, powiedział mi:

- Tak, Manuelu, nie wątpię, że to dobry plan. Ale jeśli ją zbudujemy, to tylko tymczasowo. Dawno temu, przed dwustu laty, wysyłano brudne ciuchy z Kalifornii na Hawaje - i to żaglowcami - i przywożono z powrotem czyste. Wyjątkowe okoliczności. Nawet jeśli doczekamy się wysyłki wody i nawozu do Luny i ziarna do nich, to będzie to układ równie tymczasowy. Przyszłość Luny opiera się na jej wyjątkowym położeniu na szczycie grawitacyjnej studni ponad bogatą planetą i na jej taniej energii i obfitości gruntów. Jeśli my, Lunatycy, będziemy mieli w nadchodzących stuleciach dość rozsądku, by pozostać wolnym portem i unikać krępujących sojuszy, to staniemy się odskocznią dla dwóch planet, trzech planet, całego Systemu Słonecznego. Nie zawsze będziemy farmerami.

Czekali na nas na Wschodniej Stacji i ledwo nam dali zdjąć skafandry - znów było jak po powrocie z Ziemi, wrzeszczące tłumy i noszenie na rękach. Nawet dziewczęta, bo Slim Lemke powiedział do Lenore: - Czy was też możemy ponieść? - a Wyoh na to: - Pewno, why not? - i stiliadzy bili się, któremu ma przypaść ten zaszczyt.

Większość mężczyzn była w skafandrach, i z zaskoczeniem zobaczyłem, jak wielu ma karabiny - po chwili zobaczyłem, że to nie nasze karabiny, tylko zdobyczne. Ale przede wszystkim, cóż to za cudowna ulga zobaczyć, że w Luna City nic złego się nie stało!

W sumie ten tryumfalny pochód niezbyt mi się spodobał; nie mogłem się doczekać, aż dorwę się do telefonu i wyciągnę z Mike'a, co się stało - jakie straty, ilu zabitych, ile kosztowało nas

zwycięstwo. Ale nie dali nam. Zanieśli nas do Starej Kopuły.

Postawili nas na podium obok Profesora i reszty gabinetu wojennego i VIP-ów itd., i nasze dziewczęta obcmokały Profesora, a on objął mnie po laty nosku i ucałował w policzki, i ktoś nałożył mi frygijkę. Dostrzegłem w tłumie małą Hazel i posłałem jej całusa.

Wreszcie uspokoili się na tyle, że Profesor mógł przemówić.

- Przyjaciele - powiedział i czekał, aż się uciszą. - Przyjaciele - powtórzył cicho. - Ukochani towarzysze. Wreszcie spotykamy się jako ludzie wolni, witając bohaterów, którzy samotnie stoczyli ostatnią bitwę o Lunę. - Rozległy się wiwaty, a on znów czekał. Widziałem, że jest zmęczony; drżały mu dłonie, kiedy opierał się o mównicę. -Niech do nas przemówią, wszyscy chcemy usłyszeć ich opowieść.

Ale przedtem chcę wam przekazać dobrą wiadomość. Wielkie Chiny właśnie ogłosiły, że budują w Himalajach ogromną wyrzutnię, dzięki której transport do Luny stanie się równie łatwy i tani, jak dotychczas transport z Luny na Terę.

Znów przeczekał wiwaty i mówił dalej:

- Ale to sprawa przyszłości. Dziś zaś... O, szczęśliwy dniu! Nareszcie świat uznał suwerenność Luny. Wolność! Wywalczyliśmy sobie wolność!

Profesor zamilkł - miał zaskoczoną minę. Nie wystraszoną, tylko zdziwioną. Zachwiał się lekko.

A potem umarł.

ROZDZIAŁ XXX

Zanieśliśmy go do sklepu za podium. Ale nawet tuzin lekarzy na nic by się tu nie przydał: jego stare serce za bardzo było zmęczone, zbyt wiele musiało znosić napięcia. Wynieśli go tylnymi drzwiami, a ja ruszyłem za nimi.

Stu położył mi dłoń na ramieniu.

- Panie Premierze...

- Że co? - powiedziałem. - Och, na Boha!

- Panie Premierze - powtórzył stanowczo - musi pan przemówić do tłumu, odesłać ich do domów. A potem trzeba będzie zająć się pewnymi sprawami. - Mówił spokojnie, ale po policzku spływały mu łzy.

Więc wróciłem na podium i potwierdziłem to, czego i tak się domyślali i powiedziałem im, żeby wrócili do domu. W końcu trafiłem do pokoju L u Rafflesa, gdzie zaczęła się cała ta historia - nadzwyczajne posiedzenie gabinetu. Ale najspierw znalazłem telefon, opuściłem kaptur, wystukałem MYCROFTXXX.

Usłyszałem sygnał numeru pustego. Spróbowałem jeszcze raz - to samo. Uniosłem kaptur i spytałem najbliższego człowieka - Wolfganga.

- Co to, telefony nie działają?

- Zależy - odpowiedział. - Po tym wczorajszym bombardowaniu wszystko się pokręciło. Jeśli chcesz zadzwonić za miasto, lepiej zamów w centrali.

Wyobraziłem sobie, jak zamawiam rozmowę z numerem pustym.

- Po jakim bombardowaniu?

- Nie słyszałeś? Skupili się na Kompleksie. Ale chłopcy Brody'ego załatwili statek. Właściwie bez strat. Wszystko da się naprawić.

Na tym musiałem zakończyć; czekali na mnie. J a nie wiedziałem, co robić, ale Stu i Korsakow wiedzieli. Kazali Sheenie'emu napisać wiadomości dla Terry i reszty Luny; usłyszałem, jak ogłaszam miesiąc lunański żałoby, 24 godziny ciszy, powstrzymanie się od zbędnej pracy, uroczyste wystawienie ciał - mówiłem, ale cały byłem odrętwiały, mózg nie chciał pracować. Okay, po tych 24 godzinach może się zebrać Kongres. W Nowymlenie? Okay.

Sheenie miał przekazy z Ziemi. Wolfgang napisał za mnie odpowiedź, że ze względu na śmierć naszego Premiera właściwych odpowiedzi udzielimy po 24 godzinach.

Wreszcie wyrwałem się, razem z Wyoh. Obstawa stiliagów eskortowała nas przez tłum do

śluży tranzytowej nr 13. W domu natychmiast zamknąłem się w warsztacie pod pozorem, że muszę zmienić rękę.

- Mike?

Cisza...

Więc spróbowałem wystukać jego numer na domowym telefonie - numer pusty. Postanowiłem, że jutro pojadę do Kompleksu - teraz, kiedy nie było już Profesora, potrzebowałem Mike'a bardziej niż kiedykolwiek.

Ale nie udało mi się; kolejka przez Crisium nie jeździła - skutek ostatniego bombardowania. Można było dojechać do Hongkongu okrężną trasą przez Torricelliego i Nowylen. Ale Kompleks, za miedzą, był osiągalny tylko gąsienicówką. Nie miałem na to czasu; byłem "rządem".

Uwolniłem się od tego dopiero po dwóch dniach. Rezolucją Kongresu uchwalono, że urząd prezydencki obejmie jego Przewodniczący (Finn), a wcześniej Finn i ja uznaliśmy, że najlepszy kandydat na premiera to Wolfgang Korsakow. Przedłożyliśmy to pod głosowanie, a ja znów zostałem kongresmanem, który nie chodzi na posiedzenia.

Teraz działała już większość telefonów i można było dodzwonić się do Kompleksu. Wystukałem MYCROFTXXX. Bez odpowiedzi... Więc pojechałem gąsienicówką. Ostatni kilometr musiałem przejść pieszo tunelem kolejki, ale Sub-Kompleks nie wyglądał na uszkodzony.

Mike też nie.

Ale kiedy do niego mówiłem, nie odpowiadał.

Nie odpowiedział mi ani razu. Ani razu przez wszystkie te lata.

Możecie wpisywać w niego pytania - w Loglanie - i dostaniecie odpowiedzi w Loglanie. Działa świetnie... jako komputer. Ale nie chce mówić. Albo nie może.

Wyoh próbowała go namówić do odpowiedzi. Potem przestała. Wreszcie i ja przestałem.

Nie wiem, jak to się stało. W tym ostatnim bombardowaniu przerwali mu mnóstwo obwodów peryferyjnych - jestem pewien, że chcieli zniszczyć nasz komputer balistyczny. Czyżby opadł poniżej tej "wartości krytycznej", niezbędnej do podtrzymania świadomości? (O ile coś takiego istnieje; to tylko hipoteza). A może "zabiła" go decentralizacja przed bombardowaniem?

J a nie wiem. Jeśli chodziło tu jedynie o poziom krytyczny, to przecież już dawno go naprawili; n a p e w n o znów go przekroczył. Dlaczego się nie przebudził?

Czy maszynę można tak przerazić i zranić, że zapadnie w katatonię i odmówi reagowania? A jażń będzie kryć się gdzieś w głębi, będzie świadoma, ale nie zaryzykuje? Nie, to w y k l u c z o n e; Mike był nieustraszony - nieustraszony optymistą, jak Profesor.

Tyle lat minęło, tyle się zmieniło - Mimi już dawno temu zrezygnowała z rządu rodziny; "Mama" jest teraz Anna, a Mimi drzemie przed TV. Slim przekonał Hazel, żeby zmieniła nazwisko na Stone, mają dwójkę dzieciaków, a ona została inżynierem. Dzięki tym pigułkom na nieważkość Ziemniacy mogą siedzieć u nas po trzy-cztery lata i bez kłopotu wrócić do domu. Są też inne pigułki, które działają cuda dla nas; niektóre dzieciaki jeżdżą teraz do szkoły na Ziemię. I wyrzutnia w Tybecie - budowa trwała siedemnaście lat, a nie dziesięć; szybciej skończyli na Kilimandżaro.

Jedna mała niespodzianka... Kiedy nadeszła na to pora, o wślubienie Stu wniosła Lenore, a nie Wyoh. Bez różnicy, i tak wszyscy głosowaliśmy "Da!" Jedna rzecz nie zaskoczyła nas, bo to Wyoh i ja ją przepchnęliśmy, kiedy jeszcze coś znaczyliśmy w rządzie; mosiężna armatka na piedestale na środku Starej Kopuły, a nad nią flaga, łopocąca w podmuchu z wentylatorów - czarne pole z gwiazdami, krwawy pręg bastardi, na tym wszystkim wyhaftowana dumna, zawadiacka mosiężna armata, a pod nią nasza dewiza: **ZWTP!** Tam obchodzimy uroczystości Czwartego Lipca.

Za wszystko trzeba płacić... Profesor wiedział o tym i zapłacił z ochotą.

Ale Profesor nie doceniał próżniogłowców. Ci nigdy nie przyjęli z a d n e g o jego ideału. Że też ludzie mają w sobie taki wrodzony instynkt, żeby wszystko, co nie jest zabronione, zmieniać na przymusowe. Profesora zafascynowały możliwości kształtowania przyszłości dzięki wielkiemu, inteligentnemu komputerowi - ale na bliższą metę sporo przegapił. Och, próbowałem kontynuować jego linię! Ale teraz sam nie wiem. Czy zamieszki głodowe to zbyt wysoka cena za święty spokój? Sam nie wiem.

N a n i c nie znam odpowiedzi.

Tak bym chciał spytać Mike'a.

Czasami budzę się w nocy i wydaje mi się, że przed chwilą go słyszałem - cichy szep: "Man... Man, mój najlepszy przyjacielu..." Ale kiedy mówię "Mike?", nie odpowiada. Może błąka się i szuka urządzeń, do których mógłby się podłączyć? A może jest zagrzebany w Sub-Kompleksie i próbuje się wydostać? Jego specjalne wspomnienia są gdzieś zapisane i tylko czekają, żeby je odtworzyć. Ale j a nie mogę tego zrobić; miały blokadę głosową.

Och, wiem, on doszczętnie umarł, jak Profesor. (Ale czy Profesor umarł tak doszczętnie?) Czy jeśli wystukam numer jeszcze raz i powiem "Cześć, Mike!", czy odpowie mi: "Czołem, Man! Słyszałeś ostatnio jakieś dobre kawały?" Od dawna się na to nie odważyłem. Ale to niemożliwe, żeby umarł; wcale go nie uszkodziło - po prostu z g u b i ł s i ę.

Słuchasz mnie, Boże? Czy komputer też jest Twoim stworzeniem?

Zbyt wiele się zmieniło... Może pójdę wieczorem na ten wiec i puszczę w obieg moje wartości losowe.

Albo nie. Od kiedy zaczął się Boom, sporo młodszych koleśków przeniosło się na Asteroidy. Słyszałem, że są tam całkiem miłe miejsca, niezbyt zatłoczone.

O, rany, przecież nie mam jeszcze nawet stu lat.

[1] “High-Optional ...” (ang.) - “Probabilistyczny, logiczny, wieloczynnikowy oceniający system nadzorujący, typ IV, model L”.

[2] Woder (voder, voice decoder) i wokoder (yocoder, voice coder) - urządzenia służące do analizy i syntezy mowy.

[3] Loglan (ang. Logical Language) - sztuczny język, opracowany w latach sześćdziesiątych; jego główną zaletą miało być uniknięcie wieloznaczności typowej dla języków naturalnych.

[4] Stiliaga (ros.) - bikiniarz, chuligan.

[5] Why not (ang.) - Czemu nie.

[6] Lewis Canoll: *Przygody Alicji w krainie czarów*, tłum. Maciej Słomczyński.

[7] Część Amerykanów wymawia słowo "why" jako [hwai],

[8] Takk for mat (norw.) - dziękuję (za posiłek).

[9] Sans peur... (franc.) - bez trwogi i bez skazy.

[10] Profesor cytuje w tym momencie ostatnie słowa amerykańskiej Deklaracji Niepodległości.

[11] last but ... (ang.) - ostatni, ale nie najpośledniejszy.

[12] Prima facie (łac.) - na pierwszy rzut oka.

[13] Mysterious (ang.) - tajemniczy.

[14] Association Lunaire d'Échecs (fr.) - Lunańskie Towarzystwo Szachowe.

[15] Giri (jap.) - honorowa obowiązkowość; gimu - obowiązkowość wobec starszych, przełożonych itp.

[16] Cytat z Tragicznej Historii Doktora Fausta Christophera Marlowe'a, tłum. Juliusz Kydryński.

[17] Pod Concord miała miejsce potyczka w amerykańskiej wojnie o niepodległość (dn. 19 IV 1775).

[18] Ab initio (łac.) - od początku.

[19] Ex officio (łac.) - z urzędu.

[20] Schrecklichkeit (niem.) - straszliwość.

[21] FNS (ang. Federal Nations Ship) - Statek Narodów Sfederowanych.